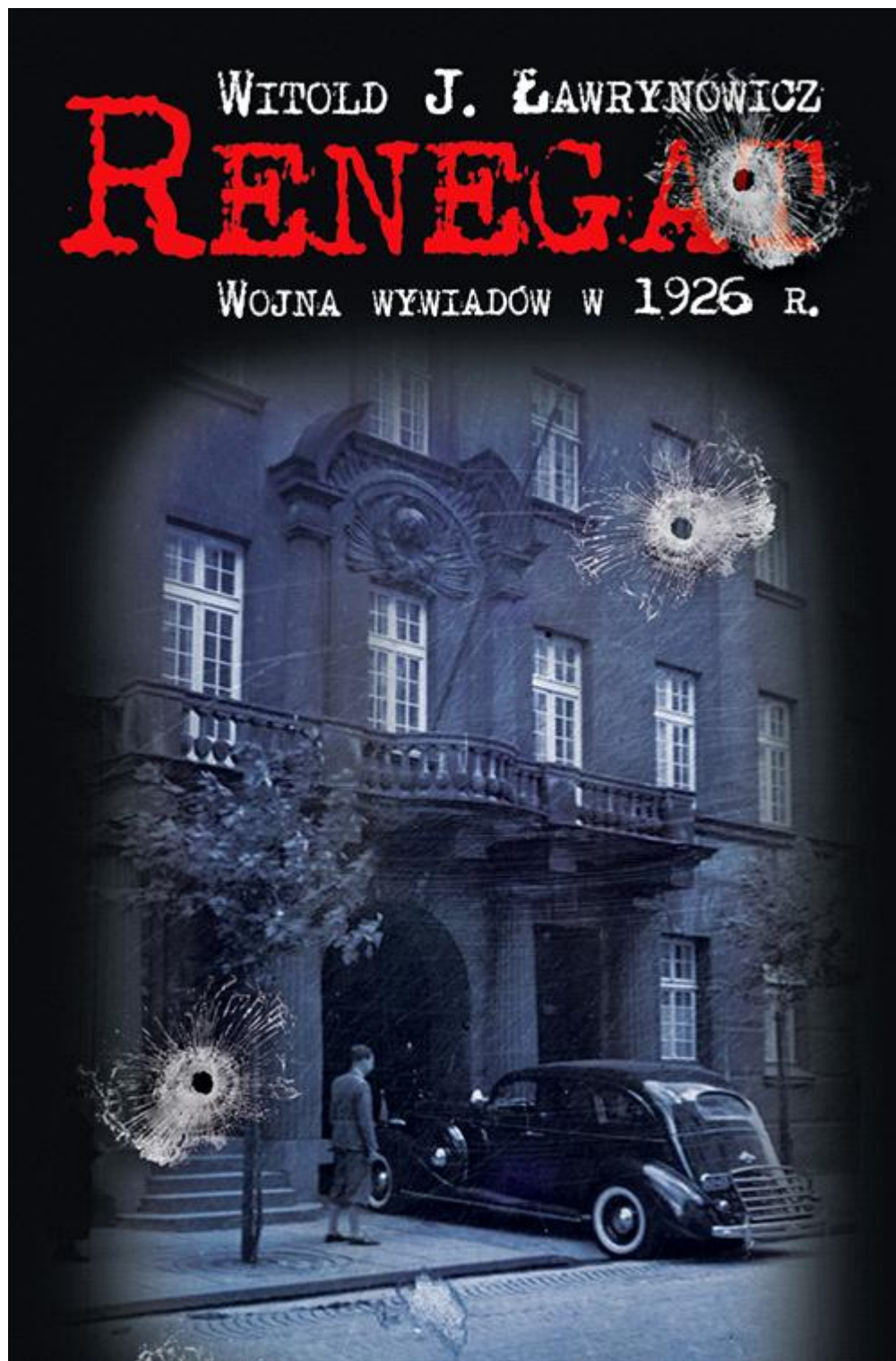


WITOLD J. ŁAWRYNOWICZ

RENEGAŃ

WOJNA WYWIADÓW W 1926 R.



*Mojej Matce,
warszawiance przez 92 lata,
poświęcam – autor*

Prolog

Moskwa – listopad 1920

Nad „oficjalną” Moskwą wisiła zatęchła atmosfera rozrachunków i wzajemnych rekryminacji za przegraną wojnę z Polską. Nastroje pogarszała trwająca od kilku dni nieprzerwana jesienna mżawka, która wieczorami zamarzała na ulicach. Wprawdzie urzędowa propaganda przedstawiała wynik wojny jako zwycięski remis – Polacy zatrzymali natarcie i rozpoczęli rozmowy pokojowe, jednak korytarze Kremla huczały wprost od wzajemnych oskarżeń, a poszukiwanie winnych trwało od miesięcy. Dla każdego oficera Sztabu Generalnego Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej nie było tajemnicą, że marsz na Zachód zakończył się pod Warszawą, a bitwa nad Niemnem spowodowała utratę ledwo uporządkowanych armii Frontu Zachodniego i ogromną próżnię operacyjną. Armia Czerwona straciła tak wielu oficerów i żołnierzy, że nie było komu bronić drogi na wschód. Polacy, gdyby chcieli, mogliby prawie bez oporu maszerować na Moskwę. Ale stanęli, i to dało podstawę twierdzeniom, że wojna nie była przegrana. Gazety podały do wiadomości, że „jaśniepańska Polska”, w obawie przed nieuniknionym kontratakiem wojsk Armii Czerwonej, wołała zawrzeć pokój. Tylko nikt w sztabie nie wiedział, skąd te wojska miałyby przybyć. Zdolne do dalszych działań dywizje były związane walkami na Syberii przeciwko interwentom¹ i na Krymie przeciwko Wranglowi, odwodów nie było. Rozejm z Polską przedstawiano jako sukces, natomiast odwrót spod Warszawy w podejrzliwej atmosferze panującej na Kremlu powoli zaczynał nabierać kształtów zdrady. Winnych tej zdrady zawzięcie poszukiwano i dosłownie każdy mógł zostać oskarżony.

Po rozpoczęciu negocjacji pokojowych z Polską przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Włodzimierz Iljicz Lenin nie zrezygnował ze swoich wielkich planów. Pomost do proletariatu Europy, jakim była Polska, obronił się przed inwazją i Armia Czerwona nie zdołała połączyć się z klasą robotniczą Niemiec, ale to nie oznaczało porzucenia idei zbudowania Wszechświatowej Republiki Rad. Lenin uważał, że rewolucja do dalszego rozwoju potrzebowała wsparcia proletariatu Niemiec z ich ogromną bazą przemysłową, natomiast zamknięta w granicach Rosji zadusi się i upadnie. W jego przeświadczeniu jedynym ratunkiem było rozszerzenie idei rewolucji socjalnej na inne kraje i narody. Niepowodzenie pod Warszawą odwlekało w czasie rozprzestrzenienie myśli socjalistycznej po świecie, ale nie oznaczało jej końca. W pojęciu Lenina i otaczających go komunistów Polska stała się państwem buforowym zagrażającym bolszewikom drogę do Europy. Pokonać Polskę oznaczało obalić porządek wersalski i rozpocząć światową rewolucję. Skoro jednak Polska, antybolszewicki szaniec Ententy, odparła najazd, należało podejść

do problemu w odmienny sposób i zacząć długofalową pracę nad zmiękczeniem przeciwnika. Dyrektywy nie zostały jeszcze wydane, Politbiuro miało za ledwie mgliste pojęcie o nowych kierunkach działania, ale cel rewolucji socjalnej był przecież niezmienny.

Wywiad nieprzerwanie pracował nad zdobyciem nowych informacji o przeciwniku. Podjęto długodystansowe działania obliczone nie na doraźny zysk, ale na tworzenie ośrodków wywiadu, których zadaniem było podminowanie struktury państwa polskiego, poznanie systemu obronnego i umieszczenie agentów we władzach cywilnych oraz wojskowych. Z natury rzeczy te działania musiały trwać latami.

Podmuch powietrza wpadający przez raptownie otwarte drzwi poderwał papiery na biurku. Drzwi trzasnęły pchnięte silnym ramieniem i ciężkie kroki zadudniły o drewnianą podłogę. Siedzący za biurkiem szef Wydziału Zagranicznego Czeka z niecierpliwością podniósł głowę znad czytanych papierów. Niezadowolony z przerwania mu pracy spojrzął niechętnie na intruza. Jakow Christoforowicz Dawtian właśnie rozpoczął pracę w nowo utworzonym departamencie wywiadu zagranicznego i dopiero zapoznawał się z wyznaczonymi mu zadaniami. Podchodził do pracy z energią i w ciągu pierwszych dni urzędowania wydał już wstępne polecenia mające na celu stworzenie siatki w Polsce. Rozpoczął organizację grup dywersyjnych, których zadaniem było sianie niepokoju w strefie przygranicznej, ale jednocześnie zaczął myśleć o przygotowaniu wyszkolonych agentów zdolnych do przeprowadzenia głębokiego wywiadu. Czytał właśnie raport z Polesia, które z racji ukształtowania geograficznego stanowiło znakomity teren do przerzucania szpiegów przez granicę, nie mógł zatem spoglądać zyczliwie na natręta.

Aleksiej Protasow, podwładny i chwilowo prawa ręka Dawtiana, z szerokim uśmiechem na twarzy i błyszczącymi oczami szybko zbliżył się do ustawionego na środku dużej sali biurka, za którym siedział jego przełożony.

– Znalazłem kandydata, towarzyszu komisarzu – powiedział Aleksiej Protasow, kładąc obie dłonie na brzegu biurka i pochylając się do przodu. Rozpierała go radość z wypełnienia trudnego zadania i nie mógł odmówić sobie natychmiastowego zameldowania przełożonemu o wykonaniu rozkazu. – Doskonały kandydat. Człowiek, który pasuje do legendy. Ideowy bolszewik i czysty Polak. Lepszego nie da się nigdzie znaleźć.

– Ach, to wy, Aleksiej. Można pomyśleć, że denikinowcy wdarli się na Kreml i wpadli do mojego biura – powiedział sarkastycznie Jakow Dawtian, nie wykazując zainteresowania samym meldunkiem. – Siadajcie. Porozmawiamy o tym. Czy to pewny człowiek?

Szef INO², jak w skrócie nazywano Wydział Zagraniczny, czyli wywiad Czeka, odłożył pióro i zamknął teczkę, nad którą pracował. Wierzył swojemu współpracownikowi, ale to nie oznaczało, że miał podzielić się z nim wiedzą, któ-

rej tamten nie potrzebował. Gestem ręki wskazał Protasowowi krzesło przed biurkiem, a sam oparł się łokciami o blat.

Na pomysł przeprowadzenia dalekosiężnej akcji wywrotowej Dawtian wpadł na początku miesiąca i zlecił swojemu podkomendnemu znalezienie właściwego człowieka do wykonania zadania. Od początku zdawał sobie sprawę, że wierność ideologii bolszewickiej była najważniejszym wymaganiem wobec kandydata na szpiega. Lista warunków, jakie musiał spełniać kandydat, obejmowała polskie pochodzenie, a to stwarzało dodatkową trudność – Polacy wprawdzie byli ideowi, ale zwykle byli również patriotycznie nastawieni do swojego świeżo odtworzonego kraju. Przy tym pochodzenie społeczne niekoniecznie wskazywało na wierność ideologii, przecież oprócz strategii Piłsudskiego to patriotyzm chłopów obronił Polskę w lecie 1920 roku. Polscy chłopci nie przyjęli ideologii bolszewickiej i stanęli do obrony własnego kraju. Ideowość agenta musiała być dodatkowo mocno ugruntowana, gdyż Dawtian przewidywał długoterminową działalność we wrogim kraju i w warunkach luksusowego życia. Wszystko razem zmuszało do starannego poszukiwania odpowiedniego kandydata. Dawtian nie mógł być pewien, czy jego człowiek nie zdradzi pod wpływem uczuć patriotycznych albo z przywiązania do zbytku nie przejdzie na stronę Polaków. Stąd jego pytanie. Wiedział, jaką otrzyma odpowiedź, nie o to chodziło, chciał mieć w ręku dowód, że w wypadku zdrady będzie mógł winą obarczyć Protasowa.

– Nie ma lepszego bolszewika – odparł Protasow, siadając na trzeszczące krzesło. – Zupełnie pewny. Polak z mieszczańskiej rodziny, ojciec był lewicującym nauczycielem, matka dorabiała szyciem w domu. Obydwoje rodzice zginęli po zajęciu Kowla przez Polaków w 1919 roku.

– Zamordowani przez Polaków? – przerwał mu Dawtian.

– Jak to było, tego nikt już nie dojdzie. – Protasow wzruszył ramionami. – Bardak był taki, że kto to wie. Ale on wierzy, że rodziców zlikwidował polski wywiad w odwecie za działalność socjalistyczną. Chłopak działał w naszych organizacjach od gimnazjum. Inteligentny i ocytany. Ma wykształcenie, studiował na Wydziale Prawa w Piotrogradzie jeszcze przed wojną. Potem go zmobilizowali i został lejtnantem, ale tyle uzyskali, że im rady żołnierskie zakładał w 81 pułku piechoty. Od końca 1919 roku jest w Czeka w Piotrogradzie. Zdolny pracownik, szczególnie cięty na Polaków, aż trzeba go pilnować, bo potrafi przesadzić. Pracował jako tajny agent, odznaczył się. Towarzysz Dzierżyński chciał zabrać go ze sobą do działań na terenie Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad, ale to nam nie wyszło i wrócił do Piotrogradu.

– Sprawdzony czekista, to dobrze – mruknął do siebie Dawtian. – Towarzysz Dzierżyński ma do niego zaufanie, a to bardzo dobrze. Możemy zatem zacząć działanie. Zrobimy tak: przeszkolicie go w zakresie działań agenturalnych. Tylko krótki kurs. Wiecie: nawiązanie kontaktów, przekazywanie informacji, maskowanie przed

kontrwywiadem. Znajdziecie mu nazwisko – polskie, dobre, ale nie arystokratyczne. Panowie wszyscy znają się między sobą i łatwo rozpoznają podrzuconego im agenta, zatem ładne polskie nazwisko, inteligentne. Potem odbędę z nim rozmowę i podam mu szczegóły zadania. Zadania, które potrwa latami.

Brwi Protasowa uniosły się ze zdziwienia. Sam nie znał przeznaczenia agenta i raczej myślał o zadaniu typu dywersyjnego, na krótki czas. Tymczasem słowa Dawtiana wskazywały na wieloletnią działalność na tyłach wroga. Wojna się skończyła, zatem działania z zakresu szpiegostwa wojskowego, zawsze ważne, zeszły jednak na drugi plan. Jeśli nie dywersja to co? Kolejny rezydent w Warszawie? Mieli już jednego, a te zadania rzadko dublowano. Nie rozumiał, do czego dąży Dawtian.

– Jak nazwisko? – spytał Dawtian.

– Bobiński Andrzej.

– Ile ma lat? – indagował dalej.

– Dwadzieścia sześć.

– Dobry wiek. Już dorosły, ale może jeszcze długo pracować. A jak się zachowuje pod presją?

– Spokojny i opanowany. Dowiódł zimnej krwi już wielokrotnie. Odważny, ale nieskory do podejmowania niepotrzebnego ryzyka. Naprawdę doskonały agent.

– Widzę to – mruknął Dawtian. – Będzie agentem śpiochem. Obudzimy go we właściwym momencie. A na razie będzie się piał po szczeblach kariery urzędniczej. W tym też trzeba mu będzie pomóc, ale tą część zorganizuję osobiście przez kontakty w Warszawie. Do was należy jeszcze umieszczenie go na liście repatriacyjnej. Naciśnięcie kogoś w Czerwonym Krzyżu, ale tak bez śladów.

– A co on ma tam działać? – spytał Protasow, wiedząc, że nie uzyska odpowiedzi. Jednak ciekawość wzięła u niego górę nad ostrożnością.

– Tego, Protasow, nawet wy wiedzieć nie musicie – ostrym głosem powiedział Dawtian i wymownie popatrzył podwładnemu w oczy. – Znajdziecie mu dobrą legendę. Jakaś rodzinę polską, zlikwidowaną, żeby nie można było sprawdzić, ale na tyle dobrą, żeby go przyjęto jak swego. Nazwisko musi być rozpoznawalne w kręgach elit w Warszawie, ale, jak mówiłem, nie z arystokracji. A, niech zapozna się z działalnością Narodowej Demokracji, prawicy. Tam go ulokujemy. Załatwcie mu polskie książki i parę starych gazet prawicowych. Musi rozumieć idee endecji, żeby mógł powiedzieć kilka chwytliwych haseł, jak będzie szukał stanowiska, ale to... No, to będzie później, jak ja z nim porozmawiam.

Protasow coraz mniej rozumiał z robionych półgłosem uwag szefa INO. Uwaga Dawtiana, żeby nie dopytywał się o szczegóły, nieco go zdenerwowała. W tym rzemiośle należało być ostrożnym, a on wykazał nadmierne zainteresowanie nowym agentem. Jednak ostrożność szefa wydała mu się nielogiczna.

Przecież to zupełnie głupie – pomyślał Protasow. Przecież to ja wynalazłem

tego Polaka, ja mam mu znaleźć nazwisko i przykrywkę, pod jaką będzie działał. Czyli ja będę wiedział o nim najwięcej ze wszystkich, ale jakie ma zadanie to komisarz mi nie powie. Dlaczego?

– Tak, tak, dużo pracy, zanim przygotujemy agenta – mruzczał, jakby do siebie, Dawtian. – A wódkę to on pije?

– Całkiem po naszymu, towarzyszu komisarzu – z uśmiechem powiedział Protasow. – I lubi, i potrafi.

– No to od teraz nie będzie wódki i przejdzie na pół porcji.

– A czemu tak? Za co go karać? Nasz człowiek...

– Protasow, żadnej wódki, mało żarcia! Rozumiecie! – Dawtian zjadliwym tonem dał wyraz niezadowoleniu z kwestionowania jego rozporządzeń. – Czy kto widział tłustego repatrianta z flaszką w ręku? No, zrozumieliście. Idźcie do roboty, macie dużo do wykonania.

Dawtian uznał rozmowę za zakończoną i spojrzał na blat biurka, usiłując przypomnieć sobie, nad czym pracował, zanim mu przerwano.

– Odmeldowuję się, towarzyszu komisarzu – powiedział Protasow, stając na baczność na wprost biurka.

– Jeszcze jedno, Protasow – Dawtian westchnął i oderwał oczy od dokumentów. – Następnym razem, jak macie taką sensację do zameldowania, to meldujcie się przez sekretariat, od tego jest. Możecie tu wpaść bez zapowiedzi, tylko jeśli Chińczycy rozpoczną szturm Kremla.

Dawtian uśmiechnął się lekko na widok zdziwionej miny swojego podwładnego. Wiedział, że zajmie mu trzy minuty, zanim zrozumie, że to był dowcip.

Tym razem Protasow cicho zamknął za sobą drzwi. Dawtian wrócił do przerwanej pracy, ale po krótkiej chwili rzucił papiery na biurko, odchylił się na krzesło i zamyślił się. Wytyczne udzielone mu przez Feliksa Edmundowicza były zupełnie jasne i oparte na jego znajomości Polski. Dawtian nie był przekonany, że Dzierżyński miał całkowitą rację, niemniej nie zamierzał podważać jego zdania. Polecenie nakazywało mu wybranie kandydatów, jak na razie miał jednego, do długiej pracy agenturalnej w Polsce. Agent miał wrosnąć w społeczeństwo i przez lata wspinać się po drabinie urzędniczej, żeby w końcu dotrzeć do stanowiska, na którym będzie mógł wpłynąć na kierunek polityki w Polsce.

Tu właśnie Dawtian miał największe wątpliwości. Co taki agent mógł działać? Czy dotrze na odpowiednie stanowisko? A nawet jeśli tak, to czy nie zdradzi? Długi pobyt w burżuazyjnym państwie, pieniądze z tym związane i władza mogły łatwo odmienić lojalność agenta. Wprawdzie Feliks Edmundowicz powiedział, że w Polsce pod nieobecność zewnętrznego wroga pojawią się zawiści między politykami i Polacy zaczną gryźć się między sobą, ale to tylko była teoria.

Wytyczne Feliksa Edmundowicza były proste: odsunąć Piłsudskiego od rzą-

dzenia. Dawtian nie mógł uwierzyć, żeby wódz, który objął najwyższy urząd w momencie odzyskania niepodległości, skonsolidował państwo i poprowadził Polskę do zwycięstwa w wojnie, został nagle usunięty od władzy. A to przecież było celem całej operacji obliczonej na lata, zgodnie z teoretycznymi wywodami szefa Czecha Dzierżyńskiego. Żeby ten cel osiągnąć, Dawtian zamierzał wysłać agentów, którzy staną się polskimi urzędnikami, a przy pewnej dozie szczęścia i z właściwymi instrukcjami – może nawet politykami. Wtedy za pomocą chwytnych hasel i moskiewskich pieniędzy będą mogli podsycać działalność prawicy przeciwko Piłsudskiemu. Narodowcy cieszyli się w Polsce dużym poparciem i mogli przechwycić władzę, a bez Piłsudskiego Polska upadnie pod naporem kolejnego ataku. Praca była obliczona na lata, szansa sukcesu nikła, niemniej koszt takich operacji też był niewielki i można było zaryzykować. W każdym razie kiedy sprawa stanie na Politbiurze, to będzie można wykazać, że INO pracuje nad usunięciem buforu między Niemcami a radzieckim komunizmem, czyli dąży do rozszerzenia rewolucji. I w końcu tylko o to chodziło.

Warszawa – styczeń 1926

Kapitan Józef Niemojewski prawie marszowym krokiem doszedł do rogu Chmielnej i Szpitalnej, po czym skręcił w lewo. Obejrzał się za siebie, żeby zobaczyć kolorowy neon Chevroleta na dachu narożnej kamienicy. Lubił spojrzeć na reklamę, choć wiedział, że za jego gażę nigdy nie kupi sobie amerykańskiego samochodu. Trójkątna, narożna kamienica, ograniczona zbiegiem Zgody i Szpitalnej, oprócz podtrzymywania kolorowego neonu, mieściła w swoim wnętrzu liczne redakcje gazet codziennych, których reklamy zwisały z balkonów na różnych piętrach. Niemojewski na ten widok zawsze uśmiechał się nieco pogardliwie, gdyż żadnej z redakcji, w tym nawet najbardziej endeckiej „Gazety Warszawskiej”, nie było stać na świetlną reklamę, a Chevroleta owszem. Będąc zwolennikiem Marszałka, Niemojewski miał złe zdanie o endekach, których obciążał winą za śmierć pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, rozróby na ulicach i korowód zmieniających się prawicowych gabinetów.

Kilka chwil później dotarł na miejsce, obrócił klucz w zamku i pchnął drzwi swojego mieszkania w domu przy Chmielnej 24. Miał zamiar odświeżyć się, przebrać i wyjść na umówione spotkanie z kolegami. Spędzanie wieczorów samotnie w małym pokoiku jakoś kłóciło się z naturą ułana, do tego kawalera. Kobiet w życiu kapitana Niemojewskiego było dużo, ale żadna nie została jego żoną, być może dlatego, że było ich tak wiele i tak szybko się zmieniały. Jednak tego wieczoru nie wybierał się na randkę, lecz na wódeczkę w męskim gronie.

W przedpokoju położył okrągłą czapkę z żółtym otokiem na półce, zdjął rękawiczki, pas z kaburą i idąc w stronę pokoju, zaczął rozpinać kurtkę mundurową. Położył dłoń na klamce oszklonych drzwi i zatrzymał się. Coś było nie w porządku.

Zastanowił go zapach unoszący się w mieszkaniu – zapach aromatycznego tytoniu tureckiego, innego niż zwyczaj palii. Niemojewski, oficer wywiadu, rozpoczął karierę wojskową w 3 pułku ułanów podczas wojny z Sowiecami, wcześniej służył krótko w wojsku rosyjskim, z którym odbył kampanię w Besarabii. W wojnie 1920 roku odznaczył się w zagonie na Kalenkowicze, za co otrzymał Krzyż Walecznych. Pomimo zmiany przydziału i przeniesienia do Sztabu Generalnego stale nosił mundur oficera 3 pułku ułanów, do którego miał sentyment. Lata spędzone na koniu i w okopach, w ciągłym niebezpieczeństwie, nauczyły go opanowania i podejmowania szybkich decyzji. Udział w dziesiątkach starć wręcz, czy to na koniu, czy na piechotę, przygotowały go do walki z bliska, zatem momentalnie przeszedł do akcji. Niemojewski nie czuł obawy przed spotkaniem z – jak przypuszczał – włamywaczem. Wahanie trwało tylko sekundę i wyrobione przez wojnę odruchy pobudziły go do działania. Zawrócił do przedpokoju, wyjął pistolet z kabury i odwrócił się w stronę pokoju. Kciukiem prawej dłoni odsunął bezpiecznik, a lewą nacisnął klamkę. Ostrożnie zajrzał do środka, ale patrząc z oświetlonego przedpokoju w głąb ciemnego pomieszczenia nic niepokojącego nie zauważył. Wycelował pistolet w głąb swojego gabinetu, który jednocześnie służył mu za sypialnię i jadalnię, i lewą ręką zaczął macać po ścianie, szukając kontaktu. Przekręcił przełącznik i w świetle wiszącej pod sufitem lampy zobaczył siedzącego w jego fotelu człowieka w cywilnym garniturze, który gasił papierosa w leżącej mu na kolanach popielniczce.

– Ręce do góry! – warknął Niemojewski przekonany, że złapał złodzieja. Liczba rozbojów i włamań w stolicy była duża i kapitan pomyślał, że przyłapał kryminalistę na płądrowaniu jego mieszkania. Wydało mu się tylko dziwne, że siedzący w fotelu posiwiały mężczyzna był porządnie ubrany, nie próbował uciekać, a pokój nie nosił śladów przeszukiwania. Mężczyzna wpatrywał się w Niemojewskiego spokojnym wzrokiem, trzymał ręce oparte na podłokietnikach i nie robił wrażenia przestraszonego spotkaniem z uzbrojonym oficerem.

– Widzę, że awansowałeś, Józus – powiedział nieznajomy, powoli podnosząc ręce do góry, ale w ten sposób, że łokcie ciągle dotykały podłokietników, jakby szukały wsparcia.

– Ktoś ty! – rzucił Niemojewski, nie ruszając się z miejsca i trzymając pistolet wycelowany w intruza. Zaskoczyło go, że obcy użył zdrobnienia, jakim obdarzali go wyłącznie rodzice i najbliżsi koledzy.

– Nie poznajesz? No, upłynęło kilka lat i zmieniłem się, ale najlepszego kolegę powinieneś pamiętać – powiedział spokojnie intruz.

Niemojewskiemu na moment odebrało mowę. Siedzący w fotelu mężczyzna nie wyglądał na uzbrojonego, nie robił żadnych agresywnych ruchów, a ostatnie zdanie spowodowało, że kapitan zaczął uważnie przyglądać się dobrze widocznym w elektrycznym świetle rysom jego twarzy. Liczne zmarszczki koło oczu i skrzy-

wiony po złamaniu nos nadawały mu wygląd starego człowieka, ale postawa i gęste włosy, wprawdzie wyraźnie siwiejące, wskazywały na średni wiek. Milczenie trwało kilkanaście sekund, aż wreszcie Niemojewski doznał olśnienia, rozpoznał przyszła i mocniej ścisnął pistolet.

– Karol Czerski! Renegat! Zdrajca! – prawie krzyknął zaskoczony Niemojewski i podniósł pistolet wyżej, jakby dla oddania strzału.

– Wiem, postarzałem się, ale jednak poznałeś – powiedział Czerski i po raz pierwszy lekko się uśmiechnął – Mogę opuścić ręce? Jestem bez broni.

– Nie! – powiedział Niemojewski chrapliwym głosem, mrużąc oczy. – Trzymaj ręce w górze. Wstawaj. Idziemy.

– Myślisz o tym, żeby zaprowadzić mnie na posterunek żandarmerii i aresztować za zdradę? – Czerski wciąż się uśmiechał, ale jego oczy były pozbawione wyrazu. – Zasłużyłem, ale wstać nie mogę, bo rozsypię popiół z popielniczki, czekając, wypaliłem kilka papierosów i użyłem...

– Wstawaj! – prychnął Niemojewski, przerywając wywód. – Ręce w górze i marsz przede mną.

– Jeśli wyjdziemy stąd i będę trzymał ręce w górze, zginiesz. – Czerski mówił tym samym obojętnym tonem. – Jestem bolszewickim agentem wywiadu i mam obstawę. Strzelą ci w łeb na klatce schodowej albo na ulicy. Nie dadzą ci szansy. To zawodowcy i jestem dla nich ważny, bardzo ważny.

– Pieprzysz głupoty, Czerski – odpowiedział oficer i robiąc wymowny gest pistoletem, dodał: – Wstawaj z fotela. Idziemy!

– Pamiętasz sprawę Leśniewskiego? – Czerski nawet nie drgnął. – On odmówił współpracy z nami, kiedy agent go werbował. Ostentacyjnie przyszedłem tutaj, żeby namówić ciebie do współpracy. Nawet dano mi takie polecenie. Jeśli mnie wyprowadzisz z rękami w górze, to będzie znaczyło, że odmówiłeś.

Niemojewski doskonale pamiętał porucznika Ignacego Leśniewskiego, którego rok wcześniej znaleziono zarżniętego na klatce domu, w którym mieszkał. Krew z podciętego gardła płynęła po stopniach w dół, ale nikt niczego nie słyszał. Wyglądało na to, że dawny frontowy oficer piechoty nie bronił się przed atakiem. Policja uznała, że to bandycki napad, ale wywiad wiedział swoje – Leśniewski pracował w Sztapie Generalnym i miał dostęp do tajnych dokumentów.

– To nie byłem ja – Czerski odpowiedział na nienawistny wzrok kapitana. – Wtedy jeszcze leczyłem się w szpitalu pod Moskwą.

– Widzę, że dużo wiesz o Polsce pomimo długiego pobytu za granicą – rzucił z sarkazmem Niemojewski.

– Jak mi pozwolisz, to opowiem ci kilka interesujących ciebie spraw – powiedział Czerski, myśląc z zadowoleniem, że najtrudniejsza część spotkania była już za nim. Niemojewski nie zastrzelił go, był zaintrygowany nieoczekiwanym przybyszem i bez wątpienia chciał się więcej od niego dowiedzieć.

Niemojewski zawahał się. Obecność zdrajcy w jego mieszkaniu, całkowity spokój, z jakim patrzył na wycelowaną w niego lufę pistoletu, sprawiła, że zaczął zastanawiać się nad powodem wizyty. Czerski zniknął dwa lata wcześniej z planami obrony Kresów Wschodnich przez atakiem z Rosji Sowieckiej. Wkrótce wywiad doniósł, że przeszedł na stronę bolszewików, ale dalsze jego losy pozostały nieznane. Nagłe pojawienie się zdrajcy w mieszkaniu kapitana wywiadu było tak zaskakujące, że Niemojewski zupełnie tego nie rozumiał.

– Po co przyszedłeś?

– Po nowe plany obrony wschodniej granicy i plany mobilizacyjne.

– Co? – po raz drugi tego wieczoru Niemojewskiemu odebrało mowę. – Przecież wykradłeś je i zaniósłeś bolszewikom.

– Ale są, a raczej będą, nowe plany. Plany dla zreorganizowanej, zredukowanej liczebnie armii. Nowe plany.

– Żadnej reorganizacji nie było.

– Ale będzie.

– Nic o tym nie wiem.

– A właśnie – w oczach Czerskiego pojawił się błysk tryumfu. – Ty jeszcze nic nie wiesz, a ja już wiem.

– Hę? – Niemojewskiemu opadła ze zdziwienia szczęka.

– Będzie reorganizacja armii, w każdym razie jest planowana, i wobec tego plany defensywne „Wschód” ulegną modyfikacji, a może nawet zostaną sporządzone plany ofensywne. Wywiad sowiecki wie o tym, ale w sztabie dopiero nad tym pracują. I właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać. Daj mi szansę to opowiem ci, o co w tym wszystkim chodzi.

Niemojewski patrzył na swego dawnego kolegę szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. To, co opowiadał, nie mieściło mu się w głowie. W jaki sposób wywiad bolszewicki mógł wiedzieć o zmianach w armii polskiej, zanim wiedziało o nich Ministerstwo Spraw Wojskowych? Przełknął ciężko i sięgnął po stojące pod ścianą krzesło. Odwrócił je oparciem do przodu i usiadł okrakiem, trzymając pistolet wycelowany w Czerskiego. Poruszył kilka razy głową na boki i mrugnął oczami.

– Skąd wiesz, że ciebie nie zastrzelę albo nie powlokę na żandarmerię?

– Bo nie jesteś idiotą, Józus. Nie byłbyś kapitanem w wywiadzie, gdybyś nim był, a poza tym znam ciebie tak dobrze, że aż za bardzo. Myślę, że jak mnie wysłuchasz, to podejmiesz grę.

– Jaką grę?

– Wywiadowczą, oczywiście.

– Słuchajcie, Czerski, nie jesteśmy kolegami, więc nie zwracajcie się do mnie po imieniu – Niemojewski szybko oprzytomniał z osłupienia i postanowił zdystansować się od dawnego kolegi. – A teraz zaczynajcie od początku, bo jestem

zgubiony w tym, o czym mówicie. I żebyście wiedzieli, że jak skończycie, idziemy na posterunek przy komendzie miasta.

– Jak sobie pan życzy, panie kapitanie – Czernski silnie zaakcentował stopień wojskowy dawnego kolegi. – Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od samego początku – odparł Niemojewski i oparł dłoń ściskającą pistolet o oparcie krzesła. Wiedział już, że opowieść potrwa długo.

Warszawa – styczeń 1924

W Warszawie hucznie obchodzono okres karnawału. Na rozlicznych zabawach, balach i rautach szampan lał się strumieniami, garściami sypano konfetti i rzucono tysiące serpentyn. Skądinąd poważni przedstawiciele społeczności warszawskiej nosili śmieszne papierowe kapelusze na gumkach, a ich żony wkładały maski rodem z weneckiego karnawału. Jak zawsze na balach rej wodzili pełni energii i dziwacznych pomysłów młodzi kawalerowie. Wśród młodych szczególnie wyróżniali się oficerowie, dla których każdy bal był okazją, żeby powspominać wojnę, napić się wódki i co najważniejsze – spotkać się z płcią przeciwną. Ułańska fantazja i urok munduru sprawiały, że cieszyli się ogromnym wzięciem wśród pięknych warszawianek i przybyszek spoza stolicy, których setki zjechały do miasta, żeby zażyć zabawy i wytchnienia, a może nawet złowić męża.

Tej nocy bal w Bristolu zdawał się nie mieć końca. Podporucznik Karol Czernski przyszedł już nieco wstawiony, gdyż zanim jeszcze dotarł do hotelu, wstał z kolegami do „Wróbla”³ na jedną wódkę. Oczywiście nie skończyło się na jednym głębszym, wspomnienia wojenne i plotki o wyższych dowódcach wymagały przecież odpowiedniego podkładu. W efekcie, kiedy wszedł do sali balowej, czuł już przyjemny szmerek w głowie. Dumny z munduru i przypiętego doń Krzyża Walecznych za walki o przeprawę pod Druskienikami w wojnie bolszewickiej, wypinał do przodu pierś i z wyższością, a nawet z pewną arogancją, rozglądał się po sali. Dostrzegł znajomych siedzących przy stoliku w głębi i właśnie ruszał w ich kierunku, kiedy jego uwagę ściągnęło obiecujące spojrzenie od strony baru. Nie dbała oparta o ladę, z nogą założoną na nogę, co pozwalało na obejrzenie dużego fragmentu jej zgrabnej łydki, siedziała znajoma. Czarna suknia z lejącego się aksamitu opływała jej ciało, podkreślając kształty, a odważny dekolt, obramowany strusimi piórkami, kontrastował z bielą jej długiej szyi. Natychmiast ją sobie przypomniał, tańczył z nią kilka dni temu na balu w teatrzyku Rocco na Nowym Świecie. Prawda była taka, że tamtego wieczoru nie mógł się od niej oderwać i w rezultacie tańczył tylko z nią. Pamiętał, że na imię miała Ninon, mówiła z kresowym zaciąganiem i w tańcu lgnęła do niego całym ciałem. Powtarzała mu szeptem, że to wina trzech kieliszków szampana, które wypila przed kolacją, ale on czuł co innego. Czernski zachował gorące wspomnienia z tamtej nocy, ale ani adresu, ani obietnicy spotkania nie mógł wtedy od niej uzyskać. Z przekornym uśmiechem powiedziała

mu, że jeśli ich przeznaczeniem jest spotkać się ponownie, to tak się stanie. Samo wspomnienie tamtej zabawy przyprawiało go o dreszcz podniecenia.

Nie musiał się decydować, nogi same poniosły go w stronę baru, przy którym siedziała Ninon. Widział, że nie oderwała od niego wzroku, kiedy zbliżając się, lawirował między stolikami i zanim zdążył podejść, wyciągnęła do niego rękę w długiej czarnej rękawiczce sięgającej za łokieć.

– Witam pana porucznika – powiedziała niskim, uwodzicielskim głosem, kiedy całował jej dłoń.

– Dobry wieczór. Miałem nadzieję panią spotkać – odparł Czerski. – Mówiąc prawdę, szukałem pani na różnych balach, ale dopiero dziś mi się to udało.

– Cieszę się, że widzę pana porucznika – odparła z wyczuwalnym w głosie rozrzewnieniem, ciągle patrząc mu w oczy. – Ja też się trochę za panem stęskniłam. Tamtej nocy pan tak świetnie tańczył.

Czerski wprawdzie ostatnie dni poświęcił na pracę w sztabie, a nie na poszukiwanie interesującej go kobiety, ale małe kłamstwo nie mogło w tej sytuacji zaszkodzić. Młody oficer, zasłużony na wojnie w szeregach 3 pułku ułanów, nie znoził pracy biurowej, do której zmuszała go funkcja młodszego oficera w Wydziale Operacyjnym Sztabu Generalnego. Co gorsza ostatnie dni wypełniły poprawki do planu obrony granicy wschodniej, które pod nieobecność szefa musiał nanosić sam. Czytanie tekstu słowo po słowie i wyszukiwanie najmniejszych błędów w maszynopisie było zajęciem nudnym, ale nie mógł odkładać tego dłużej – termin oddania pracy zbliżał się nieubłaganie. Plany były tajne, a przy tym obejmowały ogromne obszary na Kresach, a zatem opis, tabele, mapy i wykresy liczyły ponad sto stron. Czerski prowadził ostateczną redakcję gramatyki i błędów literowych i wobec tego codziennie musiał taszczyć potężną teczkę z papierami z kancelarii tajnej do swojego biura. Po kilku dniach znużony długimi wycieczkami po korytarzach i ciężarem noszonego papieru zawarł nieformalną i całkowicie sprzeczną z dyscypliną umowę z podoficerem w kancelarii tajnej, która pozwoliła mu, jeśli pracował długo w nocy, zamykać plany w kasie pancерnej w jego biurze. Tego wieczoru skończył pracę na tyle późno, że też nie odniósł planów. Chciał jeszcze przejrzeć dodane w ostatniej chwili aneksy, ale odłożył to na następny dzień. Zmęczony i znudzony wyszedł do miasta zobaczyć się z kolegami. W ten sposób znalazł się w Bristolu. Rozpoczętej „U Wróbla” zabawy nie sposób było skończyć o dziewiątej. W jego mniemaniu wyjście na miasto opłaciło się – spotkał kobietę, o której marzył każdej nocy przed zaśnięciem.

W tym momencie orkiestra zaczęła grać piosenkę z filmu *Zdobyć cię muszę*, oryginalnie wykonywaną przez Jana Kiepurę – *Ninon, ach uśmiechnij się*⁴ i Czerski odczytał to jako dobry omen. Porwał zmysłową Ninon do tańca, a wokalista śpiewał z estrady:

Uśmiech Twój ma niepojęty czar,
Wzniecił w sercu moim pragnień żar,
Nagle bez słów, odeszłaś Ty i przysły złudne sny.

Raz wzbudzona miłość w sercu tli,
Gdzież Cię szukać gdzież, ach powiedz mi,
Przyzywam Cię piosenką tą,
Czy słyszysz mnie, Ninon.

Ninon, ach uśmiechnij się, urok Twoich ust oczarował mnie
Chcę Cię całować Ninon wysłuchaj mnie
Czy nie wiesz mała Ninon
Że kocham Cię

Ninon, ach uśmiechnij się, Tyś jest w życiu mem
Najcudniejszym snem
Ninon, ach uśmiechnij się, urok ust Twych opromienia
Życie me

Ninon, ach uśmiechnij się, Tyś jest w życiu mem
Najcudniejszym snem
Ninon, ach uśmiechnij się, urok ust Twych opromienia
Życie me

Zabawa potoczyła się zgodnie z typowym szablonem tamtych dni. Przed dziesiątą tańczyli klasycznego walca i tango argentyńskie, przeplatając tańce kolejnymi kieliszkami szampana. W miarę wzrastania temperatury balu orkiestra zaczęła grać szybsze melodie dla żądnej silnych wrażeń młodszego publicznego. Czerski wprost porwał Ninon w swoich ramionach to do fokstrota, to do quickstepa, to do rumby. Po szybkich tańcach odpoczywali w gorącym, lecz wolniejszym rytmie bolera. Czas płynął niezauważenie i na sali zaczęło się robić luźniej, gdy stateczne pary powoli udawały się na nocny wypoczynek. Czerski niczego nie widział oprócz wpatrzonych w niego błękitnych oczu Ninon. Jej lekko rozwarte, karminowe usta podniecały go i pobudzały wyobraźnię. Słyszał jej perlisty śmiech za każdym razem, gdy rzucił żart albo uwagę. W nozdrzach czuł jej zapach, oszałamiający zapach egzotycznych kwiatów i południowych mór – jak sądził. Oddziaływała na jego zmysły w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył i na dobrą sprawę nie rozumiał. Ninon była wymarzoną, wprost idealną kobietą, która zgadywała jego ruchy w tańcu, wymieniała z nim dykteryjki i plotki, a nawet dotrzymywała mu kroku w picciu.

O północy Czerskiemu sala zaczęła wirować w głowie, a gorące usta Ninon wprost parzyły mu wargi przy ukradkowych pocałunkach. Nieprzejęty konwenansami cieszył się piękną i doskonale tańczącą partnerką, myśląc od czasu do czasu, że koledzy będą mu zazdrościć takiej zdobyczy. Będzie mógł pochwalić się znajomością w gronie oficerskim i pokazać się nie tylko w teatryku, ale nawet w operze. Rzut oka w stronę stolika zajętego przez kolegów upewnił go, że siedzący w tym momencie samotnie porucznik Niemojewski wodził za nimi rozmarzonym wzrokiem. Poderwanie tak ślicznej kobiety przez Czerskiego musiało wywołać jego zazdrość i chęć udowodnienia, że on też potrafi czegoś podobnego dokonać. W miarę rosnącego w głowie Czerskiego szumu delikatne muśnięcia warg Ninon stawały się coraz częstsze i dłuższe. Kobieta zdawała się całkowicie poświęcać zabawie i powoli z liczbą wypitych kieliszków szampana stawała się coraz bardziej frywolna. Pozwalała Czerskiemu ścisnąć się na parkiecie wśród innych par, a kiedy leciutko złapała go zębami za ucho, poczuł gwałtowny napływ krwi do głowy, i nie tylko do głowy. Ten gest graniczył z kresem jego możliwości panowania nad sobą, bo nad własnym ciałem już nie był w stanie zapanować. Pomyślał, że musi, po prostu musi, zabrać ją ze sobą na kwaterę. Tu jednak przyszło otrzeźwienie. Czerski nie był aż tak pijany, żeby nie pamiętać, że dzielił kwaterę ze Stasiem Kubanickim. Zatem ich wynajęty pokój odpadał. Zawiedziony w swoich nadziejach, wpadł jednak na pomysł, jak rozwiązać ten problem.

Po północy stanęli na zasypnym świeżym śniegiem chodniku przed Bristolem. Czerski oparty na trzymającej go pod rękę Ninon rozglądał się za dorożką. O tej godzinie w zimie nie było to łatwe, ale Czerski spodziewał się, że w karnawale dorożki będą kursować po mieście całą noc, a w każdym razie miał taką nadzieję.

– Weźmiesz mnie do siebie? – niskim z napięcia głosem wyszeptała mu w ucho Ninon.

Czerski spojrzał w oczy kobiety i zobaczył w nich błagalną wprost prośbę. W takiej sytuacji nie mógł zawieść, nie pozwalał mu honor oficera 3 pułku ułanów, a przede wszystkim młodzieńcza krew dwudziestoczterolatka.

– Oczywiście, że jedziemy do mnie – szepnął, lekko całując jej usta. – Ale moja kwatera jest dosyć daleko, a dorożki jakby znikły w pomroce, zanim się doczekamy, zmarzniesz.

– Możemy pójść do twojego biura albo gdziekolwiek – odparła, przyciskając się do niego całym ciałem.

– Biuro, świetna myśl – powiedział Czerski, myśląc, że powinien wpaść na ten pomysł wcześniej. – Tylko że pokój taki mało przytulny, ale za to dużo bliżej i możemy pójść piechotą.

Zajrzał jej w oczy i pocałował zmarzniętymi wargami.

– Nieważne gdzie, byle z tobą – prawie jęknęła Ninon i mocniej przytuliła

się do Czerskiego, a jednocześnie ścisnęła w rękę jeszcze jedną butelkę szampana zakupioną przed wyjściem z Bristolu. Jak powiedziała, na kwaterze wypiją toast na cześć miłości.

Czerski nie zamierzał wyjaśniać Ninon, że młodszy oficerowie zarabiają mało i nie stać ich na wynajęcie własnego mieszkania w Warszawie. Z tego powodu mieszkali po dwóch i dzielili wydatki. Dopiero porucznicy, którym przysługiwała wyższa gaża, mieli lepsze warunki mieszkaniowe i mogli się żenić, a i to tylko za zezwoleniem dowódcy pułku. Podporucznicy nie. Nie miał też dosyć pieniędzy na hotel, wydał wszystko na kolejne kieliszki szampana, a pokój w Bristolu był drogi. Uznał, że w istniejącej sytuacji tego typu tłumaczenia byłyby niestosowne. Również z powodu wyczerpania zasobów finansowych pozwolił jej na zapłacenie za ostatnią butelkę szampana, którą dzielnie dzierżyła w zziębniętej dłoni.

Ruszyli zatem przez opustoszałe ulice w stronę placu Saskiego. Pod stopami chrząścił im świeży śnieg, którego biel spowijała wszystko, nadając miastu baśniowy wygląd. Wirujące w powietrzu płatki iskrzyły się odbitym światłem latarni i w panującej nad miastem ciszy łatwo było wyobrazić sobie spływające z chmur sianie Królowej Śniegu. Kiedy szli przez wyludnione ulice, za nimi w nieskazitelnej warstwie świeżego puchu zostawały odciski ich butów. Wyszli na plac Saski, którego rozmiar sprawiał, że pomimo ulicznego oświetlenia w dużej części i tak tonął w ciemnościach. Po lewej minęli resztki rozbieranego od pięciu lat soboru Świętego Aleksandra Newskiego. Ten symbol rosyjskiego panowania w Warszawie zniknął cegielka po cegielce. Czerski jeszcze w 1921 roku wykupił sobie taką cegielkę, która dawała mu prawo do wyjęcia jednej cegły z budowli i z uczuciem satysfakcji podważył cegłę w murze od strony placu. Zabrał ją ze sobą i przechowywał wraz z dokumentem jak pamiątkę ze zwycięskiej wojny z bolszewikami. Warszawiacy kolekcjonowali małe karteczki z zezwoleniem na rozbiórkę, co stanowiło dumę wielu mieszkańców miasta. Ogromna bryła prawosławnego soboru, która miała przypominać Polakom o panowaniu Rosji w Warszawie, zniknęła wynoszona rękami obywateli miasta i państwa, gdyż przyjeżdżano z różnych zakątków Rzeczypospolitej, żeby wyjąć sobie jedną cegielkę. Czerski, mijając resztki soboru, zawsze uśmiechał się, los wielkiej cerkwi był podwójnie symboliczny. Chciał nawet coś powiedzieć do Ninon, ale ona widocznie zafascynowana oczekiwaniem nie popatrzyła w tamtą stronę.

Przecięli plac na ukos, gdyż nic o tej porze nie jeździło po mieście, i w ten sposób skrócili sobie drogę. Czerski, idąc, spojrzął na konny pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, który czuwał nad placem od strony pałacu. Czarna postać księcia z rzymskim mieczem w wyciągniętej dłoni odcinała się od jaśniejszej elewacji pałacu i tylko śnieg zbierający się na głowie Poniatowskiego nie pasował do powagi monumentu. Nawet czując ciepło przytulającej się do jego boku kobiety, Czerski nie zapomniał pozdrowić księcia wzrokiem. Poniatowski był jego idolem od naj-

młodszych lat, kiedy po raz pierwszy przeczytał *Huragan* Gąsiorowskiego i zapragnął zostać ułanem. Marzenie ziściło się na krótko dopiero w czasie wojny, ale to w niczym nie zmieniło dumy Czerskiego z noszonego munduru. Poszli w stronę wschodniego skrzydła Pałacu Saskiego, gdzie znajdowało się biuro zajmowane przez Czerskiego. Pracował z dwoma innymi oficerami, ale o tej porze nie było tam nikogo. Ponadto miał klucz do bocznego wejścia i nie musiał przechodzić przez główne, przy którym zawsze siedział podoficer służbowy. W ten sposób mógł niezauważenie wprowadzić Ninon do biura. W części gmachu, w której urzędował, normalnie nie przechowywano żadnych tajnych dokumentów, zatem nie obowiązywały tak ostre rygory jak w głównym skrzydle.

Po spacerze na mrozie zwykle niezbyt dogrzane biuro wydawało się ciepłe i przytulne pomimo swego typowo urzędniczego charakteru. Czerski zaoferował zrobienie na maszynie spirytusowej gorącej herbaty, ale Ninon miała co innego na myśli. Przycisnęła swoje zmarznięte usta do jego warg i wyszeptwała:

– Rozgrzeję ciebie sama. Obejdzie się bez herbaty.

Zsunęła się w dół i klękając przed nim, nerwowymi ruchami ściągnęła cienkie rękawiczki z dłoni. Jej palce były zupełnie zimne, kiedy rozpięła mu spodnie. Czerski zdziwił się nieco pośpiechem, z jakim kobieta szarpała na nim mundur, ale oczarowany nieoczekiwanym sukcesem popłynął z falą uczuć. Dwie minuty później doznał rozkoszy, o jakiej nawet nie wiedział, że istnieje. Nie spodziewał się takich pieszczot ani efektu, jaki na nim wywarły. Zdawało mu się, że bramy Niebios rozwarły się przed nim i wciągnęły go żywcem do Edenu. Ogarnęło go uczucie zupełnego zapomnienia o świecie, jakby wszystko wokół nagle przestało istnieć. Ninon dowiodła, że miała wprawę i odwagę, żeby zaspokoić największe pożądanie młodego mężczyzny. Robiła to cierpliwie, powoli i bardzo delikatnie, od czasu do czasu spoglądając do góry, jakby chciała sprawdzić, czy jej działania spotykają się z należyтым odzewem z jego strony. Czerskiemu kręciło się w głowie od alkoholu i nigdy wcześniej niedoznananych pieszczot. Pod wpływem jej dotyku wprost topniał jak śnieżny bałwan na marcowym słońcu. W ciągu kwadransa Ninon zmieniła liniowego oficera, który z uśmiechem na ochotnika wrywał się do najbardziej niebezpiecznych akcji, w jęczącego, drgającego chłopca o szklanych, zamglonych oczach. Kiedy skończyła, drżały mu ręce, miał przyśpieszony oddech i dygotała mu dolna warga. Nie był już sobą, nie panował nad niczym, zmieniła oficera w galaretę niepohamowanego podniecenia.

– Zanim zrobimy to jeszcze raz, na odmianę na twoim biurku – powiedziała, wstając z klęczek – wypijmy toast za naszą miłość.

– Tak, tak – odparł zadyszany, ocierając krople potu, które pojawiły mu się na czole. – Wypijmy toast. Poszukam kubków, niestety nie mamy tutaj kryształowych kieliszków jak w Bristolu.

– Przecież to nieważne – powiedziała Ninon z dostrzegalną pogardą dla

mieszczkańskich nawyków.

Postawił na blacie biurka dwa kubki, które zwykle służyły do picia porannej kawy, i oszołomiony patrzył, jak otwierała butelkę. Zrobiła to z wprawą, wyjęła korek tak zręcznie, że odgłos otwierania szampana, zawsze przypominający wystrzał z pistoletu, był prawie niesłyszalny. Nalała musującego wina do kubków i kiedy wyciągał rękę po jeden z nich, wpiła mu się w usta. Całowała tak gorąco, że zupełnie stracił poczucie rzeczywistości. Oderwała się od niego i płynnym ruchem podała mu kubek. Czerski wypił go jednym haustem i zimne wino otrzeźwiło go na moment. Spojrzał w oczy Ninon i zdziwił się. Miała zupełnie inny wzrok niż kilka chwil wcześniej, z oczu zniknęło rozmarzenie i miłość, pojawiło się zimno i obojętność. Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, chciał przyciągnąć ją do siebie i pocałować, ale poczuł osłabienie. Kolana mu się ugięły i byłby upadł, ale Ninon złapała go w ramiona i delikatnie położyła na podłodze. Wtedy ogarnął go mrok.

Obudził się jeszcze w nocy, a w każdym razie za oknem było ciemno. W głowie mu huczało, a zdrętwiały język wypełniał mu całe usta. Czuł oczywiste skutki picia alkoholu i typowe bóle związane z leżeniem na twardej, zimnej podłodze. Jęknął i próbował się podnieść, ale musiał przedtem uporządkować garderobę. Zapinając spodnie, spojrzał przed siebie na sejf, w którym trzymał dokumenty przez noc. Był otwarty.

Pomimo alkoholowego zamroczenia, które tylko częściowo z niego wyparowało, odczuł wstrząs. Wpatrywał się w otwarte drzwiczki sejfu, w których tkwił klucz, czego zupełnie nie mógł pojąć. Chwycił się za kieszeń, gdzie zwykle przechowywał klucze do budynku, pokoju i sejfu – nic nie znalazł. Zawirowało mu w głowie, nie mógł uwierzyć w to, co widział na własne oczy. Podczołgał się na czworakach do sejfu i drżącymi ze zdenerwowania rękami zaczął sprawdzać papiery wewnątrz. Czuł, jak rosło ciśnienie krwi, które zamieniło zwykły ból głowy w pulsującą migrenę. Przerzucał papiery, ale wynik był niezmienny. Brakowało kilku teczek, w tym planu „Wschód”, ściśle tajnego planu obrony Kresów przed bolszewicką inwazją.

– To niemożliwe, niemożliwe – szeptał do siebie, przewracając papiery po kilka razy. Poczuł, jak robi mu się na przemian gorąco i zimno, a pot występuje kroplami na czole. Dokumentów nie było w sejfie.

Usiadł zrezygnowany na podłodze i spuścił głowę.

Przez głowę przebiegały mu liczne myśli, ale nic nie mogło wytłumaczyć otwartego sejfu i zniknięcia dokumentów. Przypomniał sobie ostrzeżenie matki, jej ostatnie słowa przed wyjazdem z domu na wojnę, że los płata nam figle i nadmiar szczęścia szybko kompensuje jakimś nieszczęściem. Tak jak teraz. Matka zawsze miała rację, znała życie i jego pułapki.

Nagle Czerski zerwał się z podłogi i wypadł z biura, nie zamykając za sobą drzwi. Ninon, tylko ona mogła zabrać te teczki – musiał ją odnaleźć. Przecież nie

poszła daleko, musiała tu gdzieś być.

Lodowate powietrze przedświtu otrzeźwiło go zupełnie. Zaczął rozglądać się za kobietą, z którą spędził wieczór, ale plac był pusty i cichy. Na świeżym śniegu widniały nienaturalnie powoli ślady bucików. Poszedł za nimi. Wiodły wprost przez plac, aż spotkały się ze śladami automobilowych opon. Wtedy Czerski zrozumiał – Ninon była agentką sowieckiego wywiadu, zabrała plany i odjechała ze swym opiekunem. Nigdy jej już nie znajdzie. Kolejne myśli były jeszcze bardziej ponure – sąd wojskowy, degradacja, odebranie odznaczeń i śmierć przez rozstrzelanie. Czerski uderzył się kilkakrotnie pięścią w głowę. Tylko jedna myśl kotłowała mu się w mózgu – jak mógł być tak głupi.

Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Stał samotnie na środku ogromnego, pustego, ciemnego placu i kręcąc głową w różnych kierunkach, rozglądał się, sam nie wiedząc za czym. Zupełnie zrezygnowany poszedł w stronę mieszkania.

Dowlóknął się do swojej kwatery po godzinie. Zmarznięty i przemoczony, ale obojętny na wszystko. Stasia nie było w łóżku, co jeszcze bardziej pogorszyło jego nastrój. Mógł ją zabrać do siebie i niechby kradła, co chciała, nic ciekawego nie posiadała. Opadł na krzesło zrezygnowany i złapał się za głowę. Nie widział wyjścia z sytuacji. Nie mógł spojrzeć w oczy rodzicom, kolegom, przełożonym. Za taki błąd płaciło się życiem. Słowo „hańba” obijało mu się teraz w myślach. Chciał, żeby coś mu się stało. Zawał serca, omdlenie, cokolwiek, ale jego organizm wytrzymywał nerwowe napięcie i nic się nie działo.

Nie! Czerski zerwał się z krzesła i szybko zaczął doprowadzać się do porządku. Jest wyjście, ostatnie możliwe, ale jest. Uporządkowawszy mundur usiadł przy stole i napisał list, krótki, zwięzły i rozstrzygający wszystkie wątpliwości. Potem wstał, stanął przed lustrem i wyciągnął pistolet z kabury przy pasie. Spojrzał jeszcze, czy wszystkie guziki były pozapinane, wygładził mundur na piersi ręką i podniósł pistolet do skroni. W lustrze widział odbicie zdeterminowanego mężczyzny, który stracił wszelką nadzieję. Stanął na baczność i pociągnął za spust.

Warszawa – styczeń 1926

– No, to tu przesadziliście, Czerski – powiedział kapitan Niemojewski z lekkim uśmiechem pobłażania na twarzy. – Już prawie wam uwierzyłem. Idziemy! Wstawajcie!

– Daj mi skończyć – odparł takim samym beznamiętnym tonem Czerski. – Ona wyjęła amunicję z pistoletu. Usłyszałem tylko suchy trzask iglicy i nic więcej. Sprawdziłem pistolet – ani jednej kuli. Wydział Zagraniczny Czerezwyczajki nie chciał mojego trupa, chcieli mnie żywego.

– Taaak – powiedział z niedowierzaniem Niemojewski. – No i co było dalej?

– Ano, co było dalej. Moment po niedoszłym strzale ktoś zapukał do na wpół otwartych drzwi. Znaczy się: stali na podeście i czekali. Przyszło dwóch ludzi. Je-

den z obstawy, obojętny dryblas z rękami w kieszeniach płaszcz, i drugi starszy, o wyglądzie urzędnika, w okularkach, garniturze i z małą teczką. Ten starszy przekonał mnie, że zabić się będę miał jeszcze czas, a on oferuje mi życie, zmienione nazwisko, dobrą pracę i oczywiście Ninon. Byłem w takim stanie, że zgodziłem się na to, co obiecywał, myślałem o niej. Wywieźli mnie do Rosji, nawet nie wiem dokładnie jak. Zapakowali mnie do skrzyni i przewieźli pociągiem do Mławy. Potem samochodem do pruskiej granicy i dalej już wygodnie pierwszą klasą do Sowietów.

– Proszę, życie zdrajcy opłacało się – ton Niemojewskiego był zgryźliwy, a pistolet zatoczył krąg w powietrzu. – Przestań już głądzić. Idziemy.

– Wylądowałem pod Moskwą w takim ośrodku dla inostraców – ciągnął Czerski, nie zwracając uwagi na polecenia kolegi. Teraz patrzył w podłogę, jakby wstyd było mu spojrzeć w oczy Niemojewskiego. – Szkolili tam całą masę agentów z różnych krajów, ale mnie nie chcieli niczego uczyć. Widać przyrzeczenia tego urzędnika miały mnie zwabić do Rosji, ale nie zamierzali ich dotrzymać. Chcieli się dowiedzieć, czy nie jestem nasłanym polskim wywiadowcą. Bili mnie regularnie przez kilka tygodni do zupełnego załamania psychicznego. Gdyby chcieli mnie zatłuc, mogli to zrobić całkiem łatwo, ale oni chcieli mnie złamać psychicznie. Jak wiesz, o której godzinie przyjdą ciebie zabrać, to nie bicie jest najstraszniejsze, ale oczekiwanie. Powiedziałem wszystko, co tylko wiedziałem. Po trzech tygodniach nie byłem już człowiekiem, a tylko przerażonym, wyjąłym ze strachu małym dzieckiem. Dla pewności bili mnie tydzień dłużej, ale nic więcej nie mogłem z siebie wycisnąć. W końcu wysłali mnie do szpitala. Ale to był dopiero początek.

– I chcecie, Czerski, żebyśmy w to uwierzyli? – Niemojewski nie mógł powstrzymać się od kpiny. – Nie macie śladów porządnego bicia.

– Na początku miałem jeszcze siły i rzuciłem się na oprawcę, ale oni są dobrze przeszkoleni, trzasnął mnie w nos i złamał. A ślady... – Czerski najpierw wskazał na nos, a potem powoli rozpiął koszulę i obnażył pierś, na której nie było skóry, ale jedna wielka blizna. Poszarpana skóra zgoiła się, ale nie odzyskała swojego naturalnego wyglądu.

W pokoju zapadła na chwilę cisza. Niemojewski z przerażeniem cofnął się odruchowo i opuścił pistolet.

– Widzisz, pewnych obrażeń nie da się zupełnie wygoić, nawet przy szpitalnej opiece. Żebra pozrastały się, ale skóra odpadła i zostały mi blizny – Czerski spojrzał na obnażoną klatkę piersiową.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – powiedział półgłosem Niemojewski.

– Jak wspominałem, najgorsze przyszło dopiero potem, jak wydobrzałem w szpitalu – Czerski zdawał się nie słyszeć słów kapitana Niemojewskiego i kontynuował swoją opowieść, zapinając koszulę. – Trudno ująć cały ten czas w kilku zdaniach, ale nie będę ciebie nudził szczegółami mojej katorgi. Nie muszę ci mówić, że Ninon nie zobaczyłem już nigdy. A swoją drogą miałeś szczęście, że to

mną się zainteresowała, bo mogła uwieść każdego. Ciebie też.

Niemojewski milczał, rozważając słowa dawnego kolegi. Pamiętał Ninon jak przez mgłę, upłynęło już kilka lat, ale doskonale zapamiętał ogromne wrażenie, jakie na nim wywarła. Wiedział, że Czerski nie mylił się, mówiąc o jego szczęściu.

– Pewnego dnia, zupełnie straciłem rachubę czasu, ale to było już na wiosnę, zabrali mnie i wsadzili do pociągu z grupą innych takich jak ja odrzutów ze szkolenia szpiegów. Pojechaliśmy zamkniętym wagonem gdzieś na północ i znowu była zima wokół. Po drodze kilku słabszych, albo bardziej zbitych, zmarło, ale nie można było ich wyrzucić z wagonu. Liczba skazańców miała się zgadzać na końcu podróży. Potem w małym obozie, prawie bez straży, kopałem kanał w zmrożonej ziemi. Skąd i dokąd – nie wiem. Ile czasu – nie wiem, wtedy myślałem, że przyjdzie mi tam dokonać żywota, bo ludzie umierali z wycieńczenia. Nikt nic od nas nie chciał, poza tym, żebyśmy umarli, nawet nie fatygowali się, żeby zabijać więźniów, bo i po co, sami umrą. Orali nami w taki sposób, że po pewnym czasie nie wiedziałem, jaki to dzień tygodnia. Wszystkie dni wyglądały tak samo. Teraz myślę, że chcieli odebrać mi nadzieję na przetrwanie. Wiesz, człowiek, który stracił nadzieję, robi wszystko. Udało im się, całkowicie im się udało. Trudno mi samemu zrozumieć, jak to się stało, ale wszystko przestało się dla mnie liczyć oprócz przetrwania. Nie zabili we mnie instynktu samozachowawczego, a pewnie myśleli, że i to we mnie umarło. I kiedy następnej wiosny, czyli odsiedziałem tam około roku, zaoferowali mi wyjazd do Polski z misją szpiegowską, zgodziłem się natychmiast, bo było mi wszystko jedno. Mało powiedziane, byłbym im buty całował, żeby się stamtąd wydostać. Mniejsza z tym i tak nie uwierzysz, co można zrobić z człowieka. Jak mnie zabrali z obozu, dali mi prawdziwe szpiegowskie przeszkolenie. Dokładne i bardzo szerokie, a zaraz potem dostałem zadanie. Tutaj przechodzę do sedna sprawy, do powodów, dla których przyszedłem do ciebie.

– Myślałem, że chcesz się wkupić w powrót do Polski, do normalnego życia – mruknął trochę do siebie Niemojewski. Nie zauważył, że ponownie zaczął mówić dawnemu koledze na ty, jakby uwierzył w jego opowieść i skrucę.

– To też – z cynicznym uśmiechem odparł Czerski, który zrozumiał wymowę ponownego przejścia na ty i uznał, że jego misja ma duże szanse powodzenia. – Ale są ważniejsze dla mnie sprawy. Ja chcę żyć. Znając sposób działania bolszewików, jestem przekonany, że po wykonaniu zleconej mi misji zlikwidują mnie, zacierając w ten sposób ślady. Być może zlikwidują i ciebie. Ot tak, dla porządku i lepszego zatarcia tropów.

– O! – Niemojewski zdziwił się, ale znał sposoby działania wywiadu sowieckiego na tyle dobrze, że rozumiał to. – Co zatem masz wykonać i jaki jest plan?

– Co mam dostarczyć, już ci powiedziałem, to akurat będzie łatwe – z pewnym lekceważeniem oświadczył Czerski. – Ale jak przeżyć?

– Nie masz wielkiego wyboru. Śmierć albo sąd za zdradę. Ale tak sobie my-

śle, że ty wymyśliłeś, jak wydostać się z matni, inaczej nie siedziałbyś tutaj w moim fotelu. Zatem co zamierzasz?

– Oczywiście, że jeśli uda mi się zdemaskować szpiega, to wkupię się w łaski polskiego wywiadu – wyłożył Czerski. – Człowieka, który wie o zmianach w planach obrony Kresów, zanim oficer II Oddziału Sztabu Generalnego, przez którego ręce przejdą te plany, został o tym powiadomiony. To musi być ktoś ulokowany bardzo, bardzo wysoko, z dostępem do najważniejszych dokumentów państwa. To nie jest po prostu oficer sztabu, to musi być ktoś z dostępem do najwyższych władz państwa. To człowiek zakorzeniony we władzach, bez śladu podejrzenia, i przez to bardzo niebezpieczny. INO zrobi absolutnie wszystko, żeby go chronić, bo daje im wgląd do największych tajemnic i przyszłych posunięć wrogiego bolszewikom państwa. A nawet do zamiarów, zanim zostaną one sprecyzowane i zamienione w plany.

– Hmm. Zatem kto to może być? Nie można rzucać oskarżeń bezpodstawnie, trzeba będzie to udowodnić. Jestem pewien, że mamy pod stałą obserwacją znanych agentów i wiemy, kto się z nimi kontaktuje.

– To nic nie da. Przemyślałem sprawę podczas podróży do Polski. Agent ma ogromną wartość dla Sowietów, zatem rezydent sowiecki w Warszawie nie będzie się z nim w ogóle kontaktować. Pewno nawet nie wie, że ten agent istnieje. Ale ten agent istnieje, bo wyznaczona mi misja...

– Jeśli plany rzeczywiście zostaną zmienione i wkrótce się o tym dowiem, to potwierdzi twoją teorię.

– To już nie jest teoria. Opowiem ci jeszcze coś z moich doświadczeń. W obozie był Rosjanin, Jurij Protasow, któremu powiedziałem, że jestem Polakiem. Zaprzyjaźniliśmy się, o ile to w warunkach obozowych było możliwe. Otóż ten Protasow powiedział mi, że jego brat, Aleksiej Protasow, pracownik Czeka, opowiadał mu o przygotowywaniu agenta do długoterminowej misji w Polsce.

– Ejże, nikt nie opowiada takich rzeczy.

– Poczekaj. Aleksiej Protasow sześć lat temu wyszukał Polaka, ideowego bolszewika, który został przeszkolony w pracy szpiegowskiej. Przyjechał do Polski z grupą repatriantów, pewno już w 1921 roku, z zadaniem dostania się do wysoko postawionych urzędów. Robota na lata, ale widać udało mu się. Otóż sprawa była tak tajna, że Aleksiej obawiał się o swoje życie. On jeden mógł rozpoznać agenta. Uważał, że w razie powodzenia operacji Czeka go zlikwiduje, żeby zmniejszyć grono wtajemniczonych. Powiedział o sprawie agenta-Polaka bratu, żeby w razie jego śmierci tamten zemścił się na Czeka. Rodzaj ubezpieczenia – jak wy mnie zabijecie, to brat Jurij doniesie Polakom o szpiegu. Tyle że to nie zadziałało, tak jak Aleksiej sobie wyobrażał. Czekistę chyba rzeczywiście zlikwidowano, ale całą jego rodzinę wysłano do obozów, tak dla pewności, żeby wiadomość się nie wymknęła. Tego Jurija Protasowa zamknęli w obozie na krótko przed moim przybyciem, czyli

agent zaczął działać poprzedniej zimy, cztery lata po przybyciu do Polski.

– Jak nazwisko? – zapytał niecierpliwie Niemojewski. Czuł, że chwyta koniec nici wielkiej szpiegowskiej afery.

– Nazywał się Bobiński Andrzej, ale do Polski wysłali go pod zmienionym nazwiskiem, a tego Protasow nie znał.

– Jak wyglądał ten Bobiński?

– Tego to już Jurij wiedzieć nie mógł, przecież go nie widział.

– Co się z nim stało? Czy wyszedł z obozu?

– Niestety, Józus, Jurij wkrótce zmarł. Myślę, ale to są moje domysły, że zwierzył mi się z tajemnicy, chcąc, żebym ją wyniósł, bo on spodziewał się śmierci. Wyglądał słabo, gdy mi to opowiadał, a ludzie umierali po roku, takie to było miejsce.

– W takim razie znalezienie agenta nie będzie łatwe. Nie mogę zacząć sprawdzać, skąd wziął się każdy urzędnik w rządzie. Ba, nie mogę nawet zacząć dopytywać się, kto wie o zmianach w planie „Wschód” i w ten sposób ustalić krąg podejrzanych. Jeśli planu nie ma jeszcze u nas, to znaczy, że znajduje się na szczeblu generalskim, a tam sięgać nie mogę.

– To nie będzie generał – powiedział Czerski. – To musi być ktoś względnie młody i pracujący od nie więcej niż sześciu lat. Musimy zyskać na czasie. Bobiński przekazał im tylko, że plany zostaną zmienione, i teraz wywiad sowiecki chce je zobaczyć. Oni nawet nie chcą ich ukraść, ta historia ze mną nauczyła ich, żeby nie zostawiać śladów. Zrobimy tak: jak wyjdę, powiem im, że ciebie zwerbowałem...

– Co? – kolejny raz tego wieczoru Niemojewski zdziwił się. – Co to to nie, to niemożliwe.

– Jesteś oficerem wywiadu i wiesz, jak działa mechanizm zdobywania informacji. Zatem poczekaj, aż skończę, i potem powiesz mi, czy wydajesz wyrok śmierci na nas obu, czy chcesz popracować jak prawdziwy agent. Powiem im, że planów jeszcze nie ma, ale w swoim czasie wyniesiesz je ze sztabu na jedną noc. Nic więcej nie chcą. Jedną noc. Powiedzmy, dostaniesz za to tysiąc, no, dwa tysiące dolarów. Dodam, że jako kawaler lubisz dziewczki i dobrą zabawę. To drugie, a o ile pamiętam, to nawet się zgadza.

– Na rolę podwójnego agenta muszę mieć zgodę przełożonych – uciął Niemojewski. – Tutaj ciągle jest porządek i droga służbowa.

– Co ty opowiadasz? – Czerski tym razem zaśmiał się szczerze. – Jaki porządek? To farsa, a nie porządek. Rząd chce zmniejszenia armii i usunięcia z wojska zwolenników Marszałka. Dlatego będą przepracowywać plan „Wschód”, bo wojska będzie mniej i dowódców też. Szczególnie tych doświadczonych dowódców, którzy wyszli spod ręki Marszałka. Idzie walka polityczna o rządzenie krajem. Prawica robi bałagan na całego.

– Ale w wojsku jest porządek!

– Do czasu.

– Co znaczy „do czasu”?

– Jak zrobią reorganizację i odsuną ludzi Marszałka, to zacznie się walka o stanowiska, a kto wie, może i coś więcej. Założeniem mojej akcji, tyle informacji mi przekazali, jest zdobycie nowych planów „Wschód”. Wiedzą, że plany będą zmienione, bo sytuacja w kraju się zmienia. Obiecałem, że ciebie zwerbuję. To jest moja jedyna szansa, bo jeśli im powiem, że masz plany, to mnie rozwalą. Nie będę im więcej potrzebny, a ciebie zlikwidują po obejrzeniu materiałów.

– Na taką grę muszę mieć zgodę dowódcy.

– I jak myślisz, czy dowódca postawi sprawę na najbliższej naradzie w sztabie? Pewno tak. A nie wiemy, kim jest szpieg. Jeśli ma takie informacje, to dowie się, że jesteś podwójnym agentem i przegramy.

Niemojewski zasępił się. Zdawał sobie sprawę, że uwaga Czerskiego była logiczna. Człowiek, który miał dojście do informacji o przyszłych planach, mógł mieć dostęp do tajnych notatek z narad sztabowych.

– Jutro porozmawiam z kapitanem Grudzińskim – Niemojewski ustąpił tylko częściowo. – Poproszę go o pełne utajnienie naszej operacji. Przypuszczam, że zgodzi się na to, jak przedstawię mu twoje tezy. Jak się z tobą skontaktować?

– Mieszkam w Warszawie, ale nie podam ci adresu. To może być zbyt niebezpieczne. Jak będę miał ci coś do powiedzenia, to przyjdę do tej mordowni na rogu Zajęczej i Topiel, nazywa się „U Anatola”, i zostawię wiadomość u właściciela, że potrzebuję rozmawiać z Józkiem od Noża. Udaj się tam na wódkę tak dwa razy w tygodniu i zrób z tego swój nowy zwyczaj. Wypijesz jedną setkę, zagryziesz ogórkiem i pogadasz z szynkarzem. Powiesz mu coś, że potrzebujesz zarobić i czy ktoś o ciebie nie pytał. On za wydanie wiadomości będzie chciał parę złotych i w ten sposób ułatwi nam kontakty.

– A jeśli to ja będę potrzebował się z tobą porozumieć?

– To na jeden dzień przestawisz doniczkę z pelargonią z parapetu na posadzkę albo na stół.

Niemojewski odruchowo spojrzął na okno wychodzące z jego pokoju na Chmielną. Na parapecie rzeczywiście stała doniczka z pelargonią. Kwiatek, dawno niepodlewany, z pewnością miał sucho, oficer nie może przecież pamiętać w takich sprawach. Niemojewski pomyślał, że będzie musiał go podlać, żeby nie zwiądł do końca.

– Przychodząc do twojego mieszkania, obawiałem się tylko, że możesz wrócić w towarzystwie damy. Zawsze byłeś kochliwy.

– Odpieprz się!

– Brunetki, blondynki, ja wszystkie was, dziewczynki... – zaczął Czerski.

– A swoją drogą, jak ty tu wszedłeś? – przerwał mu Niemojewski, który nagle przypomniał sobie, że przecież nie wpuścił Czerskiego do mieszkania. – Mam

dobre zamki i nie było na nich śladów. Dopiero dym z papierosa zdradził twoją obecność.

– Nie bądź śmieszny – odparł Czerski, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Nie takich rzeczy mnie nauczyli. Ale papierosy, te z tureckiego tytoniu, tego mi brakowało. Na tej ich machorce można odzwyczaić się od palenia. No to idę. I tak już za długo siedzę u ciebie. Mogą zrobić się podejrzliwi.

– Zaraz, zaraz – Niemojewski odłożył pistolet na stół, ale nie zamierzał wypuścić niezwykłego gościa bez dalszych wyjaśnień. – Czy ty naprawdę uważasz, że ja wyniosę plany „Wschód” ze sztabu i wręcę je bolszewikom?

– Oj, Józus! – Czerski w teatralnym geście załamał dłonie. – To daje wam szansę na dezinformację. Miałeś zwyczaj zwracać się do mnie przez Karolku. Przypomnij sobie.

– To było w innych czasach – mruknął Niemojewski, patrząc na plecy wychodzącego Czerskiego.

Niemojewski przez długą chwilę patrzył na drzwi, które zamknęły się za Czerskim. W przedpokoju unosił się niebieski dym aromatycznych, tureckich papierosów, a na schodach zamarły odgłosy kroków.

Nie mógł zrozumieć Czerskiego. Kłamał czy mówił prawdę? Jeśli kłamał, to robił to wybitnie dobrze, ale czemu miałby kłamać? Sowietci nie wypuścili bez powodu informacji o wysoko postawionym szpiegu. On ją przyniósł jako pierwszy. Na razie wiadomość nie jest potwierdzona przez fakty, jednak brzmi prawdopodobnie. Widzę, o co gra Czerski, ale co mieliby ugrać sowieciarze? Czyli jednak nie kłamał. Był bity, bliźni o tym świadczą, ale to nie znaczy, że nie zmienił stron. No i ten ostateczny argument, że cokolwiek robi, to po to, żeby zostać przy życiu. Tak, zmienił strony, tyle że nie na sowiecką i nie na naszą. On jest po swojej własnej stronie, tak jak mówił. To jest wiarygodne.

Niemojewski usiadł w swoim fotelu i poczuł, że był jeszcze ciepły. Wiedział, że dawny kolega, ba, towarzysz broni z ostatniej wojny, był teraz innym człowiekiem niż ten, którego wtedy znał. Splótł palce pod brodą i zapatrzył się w przestrzeń. Chciał na spokojnie przemyśleć całą rozmowę od początku do końca.

Czerski, zadowolony z siebie, zbiegł po schodach z młodzieńczą energią. Wyszedł z bramy na zimną ulicę i szybkim krokiem poszedł w kierunku Nowego Świata. Na opustoszałych ulicach jego kroki rozbrzmiewały donośnym echem. Nie oglądał się, ale miał świadomość, że ktoś za nim idzie, słyszał za sobą szybkie kroki. Na rogu Wielkiej przystanął, zaciągnął się resztką papierosa i zaczął czekać, aż idący za nim człowiek przejdzie obok. Wtedy, patrząc na słup ogłoszeniowy, powiedział ściszym głosem:

– Rybka wzięła przynętę. Trzeba trochę poczekać.

Przypisy

¹ Interwentami Rosjanie nazywają wojska alianckie wkraczające do Rosji w 1918 roku (Anglików, Amerykanów, Francuzów i Japończyków).

² INO – Innostrannyj Otdiel, czyli Wydział Zagraniczny.

³ „U Wróbla” – restauracja warszawska na ulicy Mazowieckiej 12, której kuchnia uchodziła za bardzo smaczną. Często odwiedzana przez literatów i artystów była również miejscem spotkań oficerów garnizonu warszawskiego.

⁴ Wprawdzie piosenka *Ninon, ach uśmiechnij się* została wylansowana przez Jana Kiepurę po nakręceniu filmu *Ein Lied für dich* dopiero w roku 1933, ale mam nadzieję, że puryści podarują mi to drobne przesunięcie w czasie.

Rozdział I

Moskwa – luty 1926

Za oknami panowała zamieć, która podnosiła śniegowy pył z zamarznętej ziemi i tłukła nim o szyby. Młode świerki otaczające chałupę uginały się pod naciskiem silnego wschodniego wiatru, lecz w chwilach ciszy elastycznie wracały do naturalnej, strzelistej postaci. Podmuch zrzucił śnieżne płatki z gałązek i choinki w ciemności wyglądały na całkiem czarne. Jeśli na południu już dawno zagościła wiosna, to tutaj, pod Moskwą, nadal niepodzielnie panowała zima. Przez szczeliny w futrynach wpadał powiew mroźnego powietrza, gwizdząc przy silniejszych podmuchach i studząc gorącą atmosferę w izbie. W drewnianej rozłożystej chałupie od południa biesiadowali szefowie wydziałów Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego, zwanego w skrócie OGPU¹. Pomimo formalnej zmiany nazwy i reorganizacji, która pociągnęła za sobą rozszerzenie pola działania, nadal potocznie nazywano ich Czeka. Nazwa zakorzeniła się w powszechnej świadomości tak głęboko, że przetrwała wiele zmian organizacji i próbę czasu.

Pili wódkę od obiadu, który podała im jedyna kobieta dopuszczona do przebywania w ich prywatnym „ośrodku wypoczynkowym”. Panowało przekonanie, że tylko mężczyźni są zdolni do dotrzymania tajemnicy, zatem kobiety spełniały wyłącznie role drugoplanowe. Po obiedzie odesłano gospodynię do kuchni i czekaści mogli bez skrępowania oddać się relaksowi po męczącym tygodniu pracy. Zmrok zapadał wcześniej o tej porze roku, w trwających stale zimowych warunkach nie było to niczym dziwnym. Zapalili więc lampę naftową pod sufitem i kontynuowali biesiadę.

Wiaczesław Rudolfowicz Mienżyński, zastępca kierownika OGPU, przysiadł się do szefa wywiadu zagranicznego Michaiła Abramowicza Trilissera i popatrzył na niego ze współczuciem.

– I co, towarzyszu – powiedział swoim ochrypłym basem – pracujecie, staracie się i nic wam w tej Polsce nie wychodzi.

– Jak to nic – zaperzył się szczupły szef wywiadu. Jego okrągła twarz wyrażała zdziwienie. – Dużo zdziałaliśmy. Czy chcecie, żebym wam, Wiaczesławie Rudolfowiczu, zreferował?

Mienżyński był pochodzącym z Polski Żydem, ale wśród bolszewików uchodził za Polaka, co wraz z zaufaniem, jakim darzył go Dzierżyński, dawało mu niekwestionowane prawo do nadzorowania spraw związanych z Polską. Prywatnie mówił po polsku, jak wielu Żydów pochodzących z Kongresówki, a tylko w stosunkach służbowych używał języka rosyjskiego. Po kilku kolejkach, nudząc się w dobrze znanym towarzystwie, postanowił zabawić się podrażnieniem podwład-

nego, który zajmował się sprawami wywiadu na zagranicę. Trilisser miał spore osiągnięcia w rozbudowywaniu nielegalnych siatek szpiegowskich w Europie, ale zawsze można było mu coś zarzucić. Na przykład brak ostatecznego sukcesu wyznaczonego przez Politbiuro.

– Możecie wyliczać, jak długo chcecie – ciągnął Mienżyński – ale wyników jak nie było, tak nie ma. Polska jak stała na drodze, tak stoi. Ot co!

– Operacje dywersyjne idą swoim trybem – odparł Trilisser, który zaskoczony niespodziewanym atakiem zaczął w nerwowym odruchu przecierać szkła drucianych binokli. – Skład amunicji w Warszawie wysadzony? Tak czy nie? Nasi podburzają proletariat przeciwko rządowi i strajki są. Ba, zorganizowaliśmy próbę zamachu w 1923 w Krakowie. Nasi ludzie tam działali. Infiltrujemy partie mniejszości narodowych, tam też są nasi ludzie. Mamy całą stajnię lokalnych dziennikarzy, którzy przy małej inspiracji ze strony naszych agentów drukują pochlebne dla nas teksty.

– I co? To ma być wszystko? – zakpił Mienżyński.

– Pozakładaliśmy całe spółki handlowe do wymiany z Sowietami. Do Polski płyną nasze towary, a my bierzemy pieniądze. Przy okazji te różne inicjatywy biznesowe naciskają na rząd w celu unormowania stosunków z Krajem Rad. Oficjelowi Narodowej Demokracji podsuwamy myśl o otwarciu wielkich rynków na „Wschodzie” i oni na to idą. No to czego wam jeszcze potrzeba? Robota na lata, nie na miesiące.

– Wszystko pustota, mieliście rozerwać Polskę od środka, pieniądze płyną, lata lecą, a pomost do niemieckiego proletariatu zamknięty – Mienżyński bawił się drażnieniem podwładnego. – Ot i Wersal nadal stoi.

– Nie wszystko poszło zgodnie z naszymi planami – Trilisser przyjął postawę defensywną. Rozmawiał z przełożonym i nie mógł sobie pozwolić na zbyt agresywne nastawienie. – Ale robota trwa. Spenetrowaliśmy stronnictwo ukraińskie w ich sejmie, robią, co im każemy. Mamy swoich ludzi na wysokich stanowiskach, dostajemy materiały informacyjne, szykujemy dalsze akcje.

– Wszystko ładnie, tylko efektów nie ma. Liczy się ostateczny efekt, a nie dobre wyniki w pracy.

– Nad tym też pracujemy. A poza tym to nie jest moje jedyne zajęcie. Niemcy, Francja, Anglia – tam są właściwe ośrodki naszego działania.

– Polska najważniejsza, bo to forpocztą światowego kapitalizmu, bo potrzebujemy wspólnej granicy z Niemcami. W dwudziestym trzecim, jak zaczynała się rewolucja w Niemczech, nie mogliśmy przyjść towarzyszom z KPD² z pomocą, bo Polska nie pozwalała. Ot i zawalidroga na szlaku do światowej rewolucji.

– Pamiętam, towarzyszu Mienżyński, pamiętam. Był plan, żeby dać im wolną rękę w Prusach Wschodnich, a Polaczki i tego nie chcieli. A potem powstanie w Hamburgu upadło i wszystko się rozlało.

– Czy mam to wam tłumaczyć, towarzyszu Trilisser, o tym mówił towarzysz Lenin, a potem powtórzył komitet wykonawczy Kominternu, i tego należy się trzymać. Bez pokonania Polisy nie pójdziemy na Zachód.

– Gospodarka im kuleje, pytajcie towarzyszy z Wydziału Gospodarczego, kryzys wszędzie, waluta leci na łeb na szyję. Do tego ta ich demokracja – Trilisser zaśmiał się pogardliwie – toż oni gryzą się jak zajadłe kundle. Przyjmą każdą pomoc z zewnątrz, byle dopiec przeciwnikom z innej partii. Państwo im się rozpada przez walki wewnątrz sejmu, a oni nic tylko obrzucają się błotem i ryją pod sobą. Bałagan taki, że to tylko kwestia czasu, a my w odpowiednim momencie popchniemy i wszystko się zawali.

– No i jak to zrobicie? Chyba nie za sprawą rezydenta, tego tam, Wojkowa. Obrotny to on jest, dobry i zasłużony komunista, tylko zamachy niczego nie załatwią. Płytko sięga i wiele nie zdziała.

– Wiecie przecież, że rozbudowuję siatkę w Warszawie. Mamy kilku oficerów, nawet z ich wywiadu. A do tego jest dobry agent w Kancelarii Prezydenta.

Trilisser uznał, że na odcinku personalnym ma się czym pochwalić. Rzeczywiście udało mu się zwerbować kilku oficerów sztabu, którzy mieli słabe punkty szybko wykorzystane przez agentów. Było to kosztowne, ale na dłuższą metę opłacało się, a przy tym INO zawsze miało dość pieniędzy.

– Ach tak, czytałem raport o tym waszym superszpiegu ulokowanym w pobliżu prezydenta, ale jak dotąd nie wykazał się specjalnie. To jakaś stara sprawa z czasów Dawtiana, to pewno już nieaktualne.

– Młody człowiek, stale awansuje i posuwa się do przodu po drabinie urzędniczej. Dostarcza nam rekomendacje, a nie dokumenty. To nawet ważniejsze, bo dzięki niemu wiemy o planach zmniejszenia armii w Polsce. Same plany też dostaniemy dzięki ostatnim werbunkom. Wszystko w swoim czasie. Co nagle to po diabie.

– Guzdrze się – Mienżyński poderwał gwałtownie rękę i chciał wałnąć pięścią w stół, ale paroksyzm bólu w chorym od dawna krzyżu zatrzymał rozpoczęty gest. Mężczyzna jęknął i powoli opuścił rękę. – Pogońcie go do pracy – dodał ścisłym głosem.

– To nie takie łatwe. Kontakty z nim są tylko przez ludzi przyjeżdżających z Berlina. Jest zbyt wartościowy, żeby ryzykować spotkania z rezydentem i jego ludźmi.

– Rozumiem to, ale podkrećcie go do roboty. Niech wpływa na tego bubka – ich prezydenta, pochlebia mu, niech wykorzystuje typową dla Polaków zarozumiałość i niech używa do tego pożytecznych idiotów, których nigdy nie brakuje. Czas płynie, Komintern działa, a u was wyników brak.

– To wszystko mu wkładano do głowy, ale zbytnia natarczywość sprowadza podejrzenia. Mogę zaaranżować spotkanie, żeby popchnąć go do bardziej wyteżo-

nej pracy. To potrwa z tydzień, ale mogę to zrobić. Co mam nakazać?

Mienżyński zastanowił się. Chciał tylko zabawić się kosztem podwładnego i nie przemyślał konkretnych posunięć. Zamilkł na chwilę, zbierając myśli w zamkniętym wódką mózgu i rozejrzał się po izbie, jakby szukał natchnienia.

– Jak na razie ma za zadanie obserwację i dostarczanie wiadomości o sytuacji politycznej w Polsce – podjął Trilisser, widząc milczenie swojego szefa. – Jest na wspaniałym stanowisku, żeby się przyglądać, wszystkie papiery przechodzą przez jego ręce. Jeśli polska prawica osiągnie swoje cele, to odsuną Piłsudskiego od wojska, a wtedy, kto wie, Piłsudski może wystąpić zbrojnie i wybuchnie wojna domowa. Jak złączą się walki, to wkroczymy z wojskiem i Polska upadnie. Jak nie będzie wojny domowej, to odsuną dziada od dowodzenia i łatwo wygramy kampanię przeciwko Polsce. Tak czy inaczej naprawimy błąd historii i rozdzielimy to ich sezonowe państwko między nas i Niemców. Jak nie jedno, to drugie się uda. Zbudujemy dogodne połączenie z proletariatem Niemiec, wspólną granicę. Ot i cały plan.

– Dobrze, wiem o tym, ale trzeba popchnąć sprawy – ból w krzyżu zelżał i Mienżyński wiedział już co powiedzieć. – Tezy drugiego zjazdu KPP nie zostały wprowadzone w życie. Niech podsuwa prezydentowi wiadomości o buncie w wojsku, o wywrotowej działalności Piłsudskiego i jego kamaryli. Jak mówiłem, niech stworzy konspirację, wyolbrzymia fakty, komentuje wypowiedzi prasowe Piłsudskiego i jego zauszników. W końcu pomyślcie o wykorzystaniu go do prowokacji, która może zainicjować wojnę domową. Ktoś może strzelić do Piłsudskiego albo lepiej w stronę domku, w którym są jego córki. Wtedy agent na coś się przyda. Polaków łatwo podzielić, kłóć się między sobą bez naszej pomocy. Niech podkłada drewniek do ognia, aż kocioł zacznie buzować. Sytuacja międzynarodowa nam sprzyja. Zachód nie ruszy się w obronie Polski, a z Niemcami mamy układ. Teraz jest moment, ten wasz agent niech działa energicznie.

– To ryzykowne.

– Ale tam. Ma spełnić swoją rolę i nawet jak się spali, to my i tak wchodzimy. Prędzej czy później wejdziemy. Wyciągniemy go, bo oni bawią się w procesy, adwokatów i takie tam dyrdymały, to i będzie czas. Damy pieniądze na adwokatów, a ci przeciągną sprawę w nieskończoność. Niebezpieczeństwa nie ma. Do akcji.

– Tak jest, Wiczesławie Rudolfowiczu, przekażę.

– A poza tym niech nawiąże bezpośredni kontakt z rezydentem. Tydzień czasu na przekazanie i odebranie wiadomości to stanowczo za długo.

– Bezpośredni kontakt jest jeszcze bardziej ryzykowny – skomentował Trilisser, który na samą myśl o kontaktowaniu się szpiega z rezydentem dostał dreszczy.

Mienżyński wzruszył ramionami, dając znać, że ryzyko, jakie poniesie

szpieg w Warszawie, nie interesuje go. W ogóle rozmowa zaczęła go nudzić. Zakończył zabawę, bo przestała być rozrywkowa, a zmieniła się w pracę. Na to nie miał ochoty. Spojrzał na trzymaną w dłoni szklankę.

– No to napijemy się. Na pohybel Polsce! Niech żyje rewolucja!

– Na pohybel! – odparł Trilisser i automatycznie wypił wódkę.

Mienżyński odwrócił się i z opróżnioną szklanką w ręku odszedł do innego stołu. Trilisser znowu znalazł się sam i zasepił się. Jeśli nie będzie wyników w tym albo następnym roku, to wyrzucą go na zbity pysk i koniec kierowania wywiadem zagranicznym. Nikt nie będzie zawracał sobie głowy wcześniejszymi sukcesami, spojrzą tylko na ostatnie zadanie, Polska stoi niepodległa na drodze do Europy. I wyrzucą. Kogo obchodzi, że zorganizował zamach i demonstracje podminowujące funkcjonowanie państwa. Kto pamięta, że przez swoich agentów-Polaków wykorzystał endecję do zmniejszenia napięcia między państwami i rozpoczął wymianę handlową. Nikt nie wspomni jego pomysłu podsunienia zamożnym przedsiębiorcom-endekom mirażu otwarcia chłonnego i ogromnego rynku za wschodnią granicą, dzięki czemu zaczęły powstawać inicjatywy dążące do odprężenia między Polską a Sowietami. Pożyteczni idioci raz popchnięci we właściwym kierunku zaczęli już później pracować sami. To był genialny pomysł porównywalny tylko z operacją „Trust”. Co więcej mógł zrobić w Polsce ze swoim szpiegiem?

Bobiński to fujara – pomyślał Trilisser. Tyle lat, a on jest zwyczajnym kancelistą. Jakbym mu nie pomógł, to pewno byłby urzędnikiem w gazowni. Zdolny to on był w tropieniu kontrrewolucjonistów, ale w bardziej delikatnej robocie nie sprawdził się. Dawtian miał nadzieję, że zostanie wysoko postawionym działaczem partyjnym, dlatego kazał mu studiować ideologię prawicy. Tymczasem on nie potrafi przekonywać ludzi inaczej jak pałką i rewolwerem. Ta wiadomość o reorganizacji wojska to był wręcz przypadek. Zobaczył notatki na biurku sekretarza prezydenta i zapamiętał. Co on tam może zdziałać? Każe mu układać raporty dla prezydenta w taki sposób, żeby te o Piłsudskim leżały na wierzchu, ale co to da? W każdym razie nie zrobi niczego nieprzewidzianego, więc może go nie złapią. Ich kontrrozwiedka przecież działa i dobrze byłoby wiedzieć, co robią, co wiedzą. Może skonstruować prowokację i porwać tak jednego czy dwóch. Jak im się rozwiąże języki, będziemy wiedzieli wszystko, co oni wiedzą. To nie takie trudne. Muszę porozmawiać z szefem Oddziału Pogranicznego. Podrzucimy im wartościowego prowokatora, na przynętę, a jak zjawią się, żeby go przejąć, capniemy kilku oficerów. No i plan jest!

Przemyślawszy plan operacji, Trilisser poweselał. W pierwszej chwili, kiedy Mienżyński wystąpił z zarzutami, przestraszył się, ale teraz zadowolony z pomysłu, który na pewno spodoba się szefowi, wrócił do wesołej kompanii.

Warszawa – marzec 1926

Mokra kostka ulicy Ordynackiej lśniła jak polerowana stal. Nawierzchnia na jezdni stała się śliska, lecz przecinający ulicę ludzie nie zwalniali kroku. Drobnym deszczykiem tylko nieznacznie przeszkadzał warszawiakom w codziennej rutynie załatwiania drobnych sprawunków, na chodnikach przechodnie podążali w różnych kierunkach i tylko nieco większy pośpiech w poruszaniu się znamionował chęć ucieczki przed nieprzychylną aurą. Węglarz w zmoczonej deszczem czapce na zmierzwionych siwych włosach z wysiłkiem nosił na podwórzu kamienicy wiklinowe kosze pełne czarnego opału. Na zmęczonej, pobrudzonej węglowym pyłem twarzy mieniły mu się kropelki potu albo deszczu. Dalej za furą z węglem stanęła dorożka z postawioną skórzaną budą.

W tym momencie Czerski przerwał obserwację ulicy, którą prowadził bardziej z przyzwyczajenia niż autentycznej potrzeby zabezpieczenia się. W Warszawie, przynajmniej do czasu otrzymania planów od Niemojewskiego, nic mu nie groziło. Ale wbite mu do głowy przez sowieckich instruktorów zasady działania w polu nakazywały czujność w każdej sytuacji. Czujność i podejrzliwość, uważną obserwację otoczenia i wyciąganie wniosków z najbliższych zdarzeń. Przechodzący policjant nie był groźny, szpiegów nie aresztowali umundurowani granatowi, robiła to specjalna jednostka kontrwywiadu, zawsze w cywilu. Zatem stójkowy nie był groźny, ale z pewnością należało spojrzeć, kto przyjechał dorożką. Jednak kiedy z pojazdu wygramoliła się korpulentna paniusia z dwójką tłustych dzieci i naręczem bambetli, Czerski uznał, że to nie jest agent kontrwywiadu.

Zza dorożki wyłoniła się kobieta w kapelusiku i beżowym płaszczu obładowana spożywczymi zakupami. Niosła pękate siatki w obu rękach, a jakby tego było mało, torebkę i zamkniętą parasolkę, widać nie miała wolnej ręki, żeby ją otworzyć. Czerski czekał na nią od kilku dni w tym samym miejscu i czasie. Wprawdzie dostał polecenie poznania Anny Chylińskiej, ale wymyślił tę akcję sam. Agentura nakazała jej wykonanie z chęci zabezpieczenia sobie drugiego dojścia do dokumentów na wypadek niepowodzenia z Niemojewskim, a Czerski nawet po sukcesie sprzed miesiąca, skoro włożył czas w rozpoznanie, uznał, że doprowadzi sprawy do końca. Czekał na nią kilka dni, ale wiedział, że w końcu będzie musiała przechodzić Ordynacką, niosąc sprawunki – i to była jego okazja. Ruszył przed nią nieco wolniejszym krokiem, pozwalając jej zbliżyć się do siebie od tyłu. Minutę później dostrzegł chłopca sprzedającego na ulicy „Kurier Warszawski” i skinął na niego. Warszawski ulicznik podbiegł, wyciągając przed siebie rękę ze złożoną gazetą. Czerski nieostrożnie wyjął rękę z kieszeni płaszcza i podał mu drobne, ale gwałtowny ruch wyrzucił z kieszeni jego portfel, który upadł na chodnik tuż pod nogi nadchodzącej kobiety. Czerski wykonał półobrót, szybko schylił się po portfel i kobieta z siatkami wpadła na niego. Czerski w tym momencie cały ciężar ciała miał na jednej nodze, zatem popchnięty z boku przewrócił się.

– Och! – instynktownie wykrzyknęła kobieta, widząc leżącego na zabłoco-

nym chodniku mężczyznę.

Czerski poderwał się sprężyście z ziemi i spojrzał złym wzrokiem na zafra-sowaną twarz kobiety, a potem przeniósł wzrok na powalany płaszcz. Było to wy-rażne skarcenie, może nawet zbyt filmowe jak na prawdziwe życie, ale uznał, że nie będzie bawił się w niuanse.

– Ja bardzo przepraszam – powiedziała kobieta z wyraźnym zażenowaniem.
– Pan schylił się tak szybko, że nie mogłam się zatrzymać.

– Ależ to nic – odparł z wymuszonym uśmiechem.

– Naprawdę, nie chciałam – kobieta uśmiechnęła się do niego i po przyjrze-niu się Czerskiemu dodała: – Pana płaszcz... cały w błocie. Przepraszam.

– Ach, płaszcz. To nic takiego. To ja przepraszam, że byłem nieostrożny.

– Czy pan się potłukł? – zapytała z nieudawaną troską.

– Nic podobnego, szanowna pani. Tylko ten brudny płaszcz. Ja akurat po-trzebuję wyglądać porządnie, bo, wie pani, idę starać się o pracę i chciałbym zrobić dobre wrażenie. Bezrobocie duże, to nie mogę pokazać się taki uszargany w błocie. A tu taka przygoda – Czerski rozejrzał się po ulicy. – Gdzież by tu wyczyścić?

– Tak mi przykro – dodała, czerwieniąc się na twarzy. Kobieta była napraw-dę zawstydzona, szczególnie po wzmiance o szukaniu pracy, i nie wiedziała co zro-bić ze sobą.

– To nie jest pani wina – Czerski usiłował być szarmancki, jednocześnie pa-trząc na wielką brązową plamę na płaszczu. – Proszę się nie troskać i pozwolić się odprowadzić. Zaniosę zakupy.

– Ach, jaki pan uprzejmy. A wszystko przez moją nieuwagę.

– Proszę, pomogę. I niech pani zapomni o tym niemiłym incydencie.

Kobieta przez chwilę wahała się, ale widać siatki były ciężkie i zmęczyła się, niosąc je już spory kawałek drogi. Gdyby oddała zakupy Czerskiemu, mogłaby otworzyć parasolkę i osłonić się od deszczu, przy tym Czerski – ubrany w popielaty płaszcz, spod którego widać było ciemnoszary tenisowy garnitur, krawat i białą koszulę, robił najlepsze wrażenie. Kiedy wyciągnął rękę po siatki z zakupami, po-dała mu je bez zbytniego ociągania się. Poszli dalej ramię w ramię.

– Jak pan jest taki miły, to może u mnie wyszczotkuje pan płaszcz. Miesz-kam tutaj niedaleko, o jedną przecznicę, na Szczygła.

– Bardzo będę wdzięczny. Wie pani, niełatwo teraz o pracę i bardzo bym chciał dobrze wypaść. Nawet dla dawnych żołnierzy nie ma żadnych przywilejów.

– To pan służył w wojsku?

– A tak, i to do niedawna. Byłem w kawalerii legionowej, a potem w drugim ułanów. No, a teraz jestem bezrobotny. Pani pozwoli, że się przedstawię, wach-mistrz Bałaban Karol.

Oczy kobiety błysnęły i spojrzała na Czerskiego przyjaźnie. Coś miłego po-łechtało ją w sercu i wróciły wspomnienia.

– Anna Chylińska, miło mi – odpowiedziała grzecznie, a jej policzki ponownie się zaróżowiły. Panna Chylińska była wysoką brunetką o owalnych, brązowych oczach i długich rzęsach. Mały nos i zawsze lekko uśmiechnięte usta nadawały jej twarzy ujmujący wyraz. Czas jak dotąd obszedł się z nią łaskawie, nie miała kurzych łapek w kącikach oczu, choć w widoczny sposób upływ czasu zaokrąglił jej biodra, ale w jej wypadku krągłości podkreślały kobiecość, a nie wiek.

– Nietypowe spotkanie, ale cieszę się z poznania – Czerski usiłował być czarujący.

– Pan był w 2 pułku ułanów – powiedziała z niedowierzaniem Chylińska i po krótkim namyśle dodała: – Ale pan chyba nie brał udziału w szarży pod Rokitną, tam wszyscy zginęli.

– O, nie, nie wszyscy, ale wielu tak. Owszem, byłem ranny pod Rokitną, ale skąd u pani taka znajomość historii wojskowej?

– Wie pan, mój opiekun, porucznik Włodek, poległ w tej bitwie. Wojna jest straszna. Tylu przyjaciół straciłam, że aż przykro wspomnieć.

Czerski stanął w miejscu z wyrazem osłupienia na twarzy. Zdziwionym wzrokiem patrzył w oczy kobiecie i ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa.

– Pani znała porucznika „Prawdźca”? – wykrztusił po długiej chwili, z premedytacją używając legionowego pseudonimu oficera. – To niesamowity przypadek. Jak to możliwe? Chyba bogowie z Olimpu mieli mnie w swojej opiece, że panią spotkałem. To wprost jak w książkach takie spotkanie. Porucznik był moim dowódcą. Wprawdzie krótko go znałem, ale w szarży byliśmy razem.

– Och! Doprawdy? Musi mi pan kiedyś o nim opowiedzieć. Tak, koniecznie opowiedzieć wszystko, co pan pamięta. On był moim wychowawcą, czułym i dobrym człowiekiem. Tak go pamiętam.

– Ależ oczywiście. Tylko może nie dzisiaj, nie chcę spóźnić się za bardzo. Ta praca... to dla mnie takie ważne. Wie pani, kryzys i ogólne bezrobocie. Ale co ja mówię, to nieważne! Cóż za spotkanie!

– Tak, zupełnie niespodziewane – powiedziała z nieukrywaną radością w głosie i wykonała gest ręką. – Tutaj mieszkam. Proszę wejść na moment. Wyszczotkuję pana płaszcz.

Kwadrans później Czerski w świeżo wyszczotkowanym płaszczu i usatysfakcjonowany z poczynionych postępów zwawo zbiegł ze schodów na ulicę. Rozpierało go zadowolenie, które miało ten efekt, że zwiększało jego energię i apetyt na życie.

No, to wszystko poszło dobrze – pomyślał Czerski. W innym życiu mógłbym zostać aktorem, całkiem niezłym aktorem. Jutro zaniosę jej kwiatki i powiem, że dostałem pracę. Podziękuję ładnie i umówię się z nią na kawę. Sprawy idą w dobrym kierunku. Operacja nabiera tempa. Oby tak dalej.

A swoją drogą – zreflektował się po chwili – ładna kobieta i ma taki błysk

w oku. Może się podobać.

Żychcin, Kresy – marzec 1926

Dworek w Żychcinie wprawdzie stanowił największą budowlę we wsi, ale mimo to nie imponował ogromem. Budynek wyróżniał się jedynie na tle krytych strzechą chat należących do majątku wsi. Dworek i wieś leżały o pięć kilometrów od sowieckiej granicy, co zadecydowało o pominięciu ich w powiatowym planie rozwoju. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zamierzał topić skąpych funduszy państwowych w przygranicznej wsi, szczególnie że napady band dywersyjnych przetrzucanych nocami z Bolszewii wciąż jeszcze się zdarzały. Drogi zatem na przedwiośniu stawały się jednym brunatnym pasmem rozjeżdżonego błota, szkoła we wsi była dwuizbowa z jedną nauczycielką, a linia kolejowa kończyła się w pobliskim miasteczku.

Niemniej Żychcin był ważny. Obsadzony przez emerytowanego oficera piechoty stanowił ostatnią placówkę przed sowiecką granicą. Mieszkający we wsi osadnicy w dużej mierze wywodzili się z żołnierzy Wielkiej Wojny, którym przy demobilizacji nadano małe gospodarstwa rolne na Kresach w zamian za krzewienie polskości na wschodnich terenach i pomoc w strzeżeniu granicy. Jednostka Korpusu Ochrony Pogranicza stacjonowała w Hubkowie – kilka kilometrów dalej, a zatem mieszkańcy wsi często stawali się pierwszą zaporą przed przenikaniem obcych agentów na teren Polski. Czasem, za cichym przyzwoleniem wywiadu, z Żychcina wychodziła mała grupka tragarzy, która trudniła się szmuglem towarów do Sowieków, zwykle przy okazji przetrzucała też polskiego agenta na stronę sowiecką. Dwór w Żychcinie karmił i nocował polskich szpiegów, przez co stał się ostatnim przystankiem przed przejściem na drugą stronę. Nadawał się do tego celu wybornie ze względu na osobę właściciela, usytuowanie w pobliżu granicy, jak również ze względu na swoją obronną budowę. Dom zbudowany na planie prostokąta był parterowy, z wysokim, skośnym dachem, pod którym mieściły się pomieszczenia dla służby, lecz był murowany, a dach zrobiono z dachówki. Można było się w nim bronić bez obawy podpalenia go przez napastników. Obronność miejsca powiększał solidny i wysoki płot, który dodatkowo zabezpieczono na szczycie drutem kolczastym. Służba w dworku składała się z dawnych żołnierzy, a zbrojownia zawierała dostateczną dla długiej obrony liczbę karabinów i zapas amunicji. Rządzący mająteczkiem emerytowany major mikołajewskiej armii Oktawian Dub-Dębicki wprowadził wojskowy rygor, jakby to była kresowa stacja, a nie gospodarstwo rolne. Zdarzało się, że podpiwszy sobie wieczorem, stary major kpił głośno z bliskości granicy i z bolszewickich band – i nie była to czysta fanfaronada. Kiedy w 1924 roku taka banda napadła na Żychcin z zamiarem spalenia majątku i wygnania Polaków z Kresów, tak skutecznie na czele służby odparł napad, że trupy dywersantów zaścieliły okoliczne łąki, a niedobitki uciekły do Bolszewii ścigane przez konny pa-

trol KOP-u. Major Dub-Dębicki bardzo pewnie siedział na Żychcinie i swoimi wpływami ogarniał najbliższą okolicę.

W marcowy wieczór major podejmował dwóch oficerów kontrwywiadu, którzy przybyli z Warszawy. Nie chcieli mówić o wykonywanych rozkazach, ale major i tak wiedział, że zjawili się z zadaniem przejęcia uciekiniera z Sowdepii. Spodziewano się, że bieżeniec przejdzie granicę w nocy przed końcem tygodnia. Wszelkie sprawy awizowane przez siatkę wywiadu z Rosji zawsze miały pewien margines błędu, zwykle związany z niedającymi się przewidzieć trudnościami po stronie sowieckiej. Wprawdzie oficerowie oczekiwali na przyjście przyjaznego im człowieka, który szukał w Polsce schronienia przed czerwonym terrorem, jednak przedsięwzięli podstawowe środki ostrożności. Nie rozstawali się z bronią boczną i ze sporą torbą, w której nosili kilka granatów. Uciekinier mógł przecież przywlec za sobą pościg sowieckich pograniczników, a wtedy należało go obronić do czasu przybycia odsieczy z Hubkowa.

Na zewnątrz padał wiosenny deszczyk, topiąc pozostałe po zimie śnieżne zapy, a wiatr w mocniejszych porywach wył w kominie i wydmuchiwał iskry z paleniska. Atmosfera w salonie, gdzie przy wyłożonym czerwonym suknie stoliku grano w czwórkę w wista, miała w sobie coś z melancholii fin de siècle'u. Wisząca nad stolikiem porcelanowa lampa naftowa rzucała żółtawe światło na grających, wystarczające, żeby rozróżniać karty, lecz tworzące cienie na blacie. Warszawscy oficerowie nudzili się w otoczonym łąkami dworku i nerwowo wypatrywali uchodźcy, który miał nieść istotne informacje i dokumenty. Major częstował gości lokalną okowitą i wędzonym boczkim, usiłował zabawić grą w karty i opowiadaniem wojennych anegdot, ale pomimo wysiłków nie mógł rozproszyć ciężkiej atmosfery.

Tego wieczora, po dwóch nudnych nocach oczekiwania, wszyscy myśleli, że zbieg wreszcie dotarł do Żychcina. Po zmroku do bramy zapukał przemoczony obdartus, prosząc łamaną polszczyzną o nocleg i łyżkę stawy. Obaj czekający na uciekiniera oficerowie zerwali się z miejsc i poszli go zobaczyć, wymienili hasło, ale obdartus nie odpowiedział, jak było w umowie. Uznali zatem, że jest to zwykły włóczęga zagubiony nocą, i wrócili do gry w karty. Major kazał zabrać go do kuchni i nakarmić, a przepytywanie odłożył do rana. Jednak zawiedzione nadzieje pogorszyły i tak napiętą atmosferę oczekiwania.

– Panowie, tak nie wypada – zwrócił im w końcu uwagę major, który z racji starszeństwa stopniem i wiekiem uważał, że wolno mu upomnieć oficerów. – Przyjazd tak wspaniałej kompanii do mnie, na to pustkowie, musi być burszowską okazją³, a panowie siedzicie tutaj jak sowy na pogrzebie.

– Panie majorze – westchnął i odezwał się porucznik Musiał – jesteśmy na służbie. Niestety, musimy być czujni i zwracać uwagę na okolicę.

– Ach tam – major machnął ręką. – Po to wystawiłem strażę, żeby nas

w porę ostrzegły, jak zajdzie potrzeba. Tu w Żychcinie jesteśmy jak w twierdzy, bezpieczni. Jeszcze po jednym, co?

– Panie majorze, proszę – odezwał się podporucznik Kierostawski, młodszy z pary oficerów. – Gdyby się kapitan Niemojewski dowiedział o tym, że w ogóle coś wypiliśmy, toby dopiero dał nam kapelusz.

– Nikt się przecież nie dowie, ale służbę znam – odparł major zafrasowany, że warszawskie towarzystwo nie spełniało jego oczekiwań. – Nie będę do wódeczki przymuszał, służba to służba. No, ale ja jestem u siebie, to ja się z Bernardem napiję.

Major zwał tak zwalistego podoficera, który grał z nimi w wista jako czwartą. Siwy olbrzym w wytartym zielonym mundurze nic nie mówił przez cały wieczór, ale teraz podniósł duży kieliszek z rżniętego szkła i wyciągnął go w stronę gospodarza. Major sięgnął pod stół po oplecioną trzcina butelkę i zamierzał nalać, kiedy na podwórzu padł strzał, a zaraz po nim rozległ się urwany krzyk. Wszystko trwało dwie sekundy, ale nastrój w salonie zmienił się równie szybko. Bernard bez słowa skręcił knot lampy naftowej do końca i spowił salon w mroku. Major postawił butelkę i nie patrząc, sięgnął ręką za siebie, gdzie na kanapie leżał jego wielki pistolet – pamiątka z czasów wojny.

– Do broni! – krzyknął major, budząc resztę służby, która w międzyczasie rozeszła się do swoich pomieszczeń. – Bernard, zabierz dwóch chłopaków i osłoń tyły domu. A my karabiny w ręce i do okien, a głowy mi chować za murem, bo coś widzę, że gęsto strzelają.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział służbiście Bernard i ciężkie buciorry zadudniły o podłogę, kiedy wybiegał z salonu.

– Co to? Najście? – zapytał zupełnie zdezorientowany porucznik Musiał.

– Bolszewiki, panowie, bolszewiki – prawie wesoło odparł major. – Zapowiada się gorąca noc. Koniec nudy, będziemy tańcowali.

Wydawało się, że stary major przyjął z zadowoleniem nadchodzącą bitwę. Bezczyńność długich szarych dni na odludziu dawała mu się we znaki i możliwość rozpędzenia bandy dywersantów rzeczywiście sprawiła mu niekłamaną radość.

– No, to im teraz pogonim kota – mruczał do siebie Dub-Dębicki z zadowoleniem. – Widać Mochy zapomnieli, jakie dwa lata temu dostali tu cięgi, i trzeba poprawić.

Musiał i Kierostawski porwali karabiny ze stojaka pod ścianą i z energią godną młodych oficerów podskoczyli do okien. Major z większym opanowaniem – artretyczne kolano nie pozwalało mu na zbyt gwałtowne ruchy – skrył się za murem międzyokiennym i ostrożnie wyjrzał na podwórze. Na zewnątrz panowała ciemność, księżyc ukrył się za ciężkimi deszczowymi chmurami i oczy powoli przyzwyczajały się do braku oświetlenia. Tymczasem z górnego piętra huknęły pierwsze strzały, służba wdrożona do dyscypliny i wychowana na wojnie nie pani-

kowała, ale podjęła obronę. Z podwórza szedł gęsty ogień karabinowy, obtłukując tynk ze ścian i wybijając szyby w oknach.

Major zdziwił się. Napadające na polskie wsie bandy składały się z chłopów, czasem dowodzonych przez bolszewickiego oficera, czasem przez lokalnego watażkę. Taka banda robiła dużo krzyku, strzelała bardzo niecelnie i we wszystkich kierunkach, a interesowała się głównie rabunkiem. Zbierający ludzi na wyprawę do Polski bolszewicy opowiadali im o bogactwach, jakie znajdą za zachodnią granicą, a żądza rabunku była podstawową motywacją dla chłopów. Tymczasem wyglądając przez okno w ciemności, major zobaczył kilkanaście błyskających wystrzałów i cienie ludzi biegnących w stronę dworku. To wyglądało bardziej na natarcie piechoty niż na napad chłopskiej bandy. Bolszewicy strzelali dużo i celnie, zbyt celnie jak na chłopską zbieraninę.

Major Dub-Dębicki nie miał jednak czasu na rozważania, skąd się wzięła celność bolszewickiego ognia – biegnący w stronę dworku dywersanci byli już o kilkanaście metrów. W pokoju huknął strzał, a zaraz po nim drugi i major z radością skonstatował, że jego goście znają wojenne rzemiosło. Dwóch z biegnących wywalilo się na plecy z takim impetem, że machnęli nogami w powietrzu. Major wyciągnął rękę i szybko wystrzelał osiem sztuk amunicji mieszczących się w magazynku jego austriackiego pistoletu Steyr M12. Broń z reguły górowała, gdyż pociągnięcie za spust musiało najpierw naciągnąć iglicę przed strzałem i wobec tego wymagała dużej siły. W takiej sytuacji mniej wprawni strzelcy pozwalali pistoletowi poderwać się do góry. Major jednak przez lata obchodzenia się ze steyrem opłacał technikę strzelania z tej broni i umieścił kilka pocisków w napastnikach albo dostatecznie blisko, żeby ich nastraszyć.

Jak dotąd strzały z głębi podwórza były skierowane do górnych okien, z których strzelała służba, ale szybko po sobie następujące strzały majora ściągnęły na niego uwagę bandy. Pociski zaczęły wpadać przez okna od salonu, rozpryskując na około szyby. Wszyscy ukryli się za murem, ale nie zaniedbali obrony. Musiał wyjąć z torby dwa granaty i wraz z Kierostawskim rzucił je na podwórze. Wybuchy targnęły powietrzem i jakby silny podmuch wiatru przetoczył się przez salon, ale na zewnątrz na moment zapanowała cisza. Wyglądało na to, że napad został odparty, cienie poznikały z podwórza, za to ogień z drugiej strony płotu nasilił się i słychać było krzyki, jakby ktoś wydawał rozkazy.

– Dziwne – powiedział głośno major Dub-Dębicki, mocując się z prowadnicą do ładowania steyra. – To jakby ktoś wydawał komendy hołocie.

– Szli na nas jak wojsko w ataku – zauważył Musiał.

– Atakowali na pewniaka – dodał Kierostawski. – Myśleli, że na parterze nikogo nie ma, czy jak?

– A jeszcze dziwniejsze, że nie uciekli – dodał major. – Zwykle starcza dać odpór hołocie i ucieka. Ale mniejsza, za chwilę przyjdą żołnierze ze wsi, a wkrótce

będzie szwadron z Hubkowa. Nic to.

– Byle tylko na czas – powiedział Musiał, który usiłował wypatrzeć ruchy napastników.

Z dala, gdzieś z tyłu dworu, dały się słyszeć strzały, których intensywność szybko narastała, przechodząc w prawdziwą kanonadę. Major obejrzał się niespokojnie, to zdecydowanie przekraczało jego oczekiwania.

– Musieli osłonić się od strony wsi wydzielonym oddziałem – powiedział powoli. – To nie jest zwykła banda dywersyjna, panowie, to wojsko. Wojsko dowodzone przez doświadczonego i obeznanego z rozkładem Żychcina oficera. Zupełnie nieoczekiwana historia.

Musiał popatrzył na majora z niepokojem. Co to miało oznaczać? Inwazja sowieckich wojsk?

– Co robimy, panie majorze? – spytał Musiał.

– Ano, co mamy zrobić? Bronimy się – odparł major, ale wcześniejsza nuta wesołości zgasła w jego głosie. – Wybierajmy ich po jednym. Kryją się za płotem, ale przecież widać błyski wystrzałów.

W tym momencie z dalekiego końca podwórza zagdał karabin maszynowy, prując długą serią po górnych oknach dworu. Chwilę później z piętra doszły majora krzyki jego ludzi. Ktoś został ranny.

– Walcie na błyski wystrzałów – krzyknął major i wystrzelał kolejny magazynek ze steyra.

Karabin maszynowy ciągnął po oknach szeroką serią, zagłuszając swoim dudnieniem wszystkie inne odgłosy walki. Kierostawski złożył się i strzelił kilka razy w kierunku, gdzie ustawiona była broń maszynowa, ale po ciemku niełatwo było trafić.

– Może im się zatnie – powiedział z nadzieją Musiał.

– Może – mruknął major. – Granaty trzymajcie pod ręką, zaraz pójdą na nas.

Z piętra dochodziło już kilka głosów wzywających pomocy, a ogień z górnych okien osłabł. Nagle seria pocisków wpadła do salonu najpierw przez zachodnie okno, a potem kolejno przez wszystkie pozostałe. Fragmenty drewnianej framugi, ram i szkła okiennego wleciały do środka. Hałas i zamieszanie wywołane strzałami zagłuszyły nowe odgłosy walki dochodzące z tyłu dworku. Musiał i Kierostawski na przemian chowali się za murem i strzelali w stronę nowej fali atakujących, która zgodnie z przewidywaniem majora pojawiła się na podwórzu. Atakujący zmienili taktykę, przebiegali kilka kroków, przypadali do ziemi i strzelali do obrońców. Potem podrywali się, biegli kilka kroków i padali na ziemię.

Idzie regularne natarcie piechoty – pomyślał major. Czyżby rzeczywiście Sowieci napadli na Polskę? Wierzyć mi się nie chce. Nadzieja w szwadronie alarmowym KOP-u z Hubkowa. Jedyna nadzieja.

– Granaty w pogotowiu! – krzyknął, strzelając z pistoletu. – Są już blisko.

Musiał rzucić granat i schylił się po następny, ale nie zrobił tego dostatecznie szybko. Odrzucony potężną siłą poleciał na środek salonu, podskoczył, leżąc na dywanie i znieruchomiał. Kierostawski zaklął ohydnie i strzelił w stronę najbliższego z napastników. Na tyłach dworku rozległo się przeciągłe „urra” i gwałtowne strzały – napastnicy wdzierali się do wnętrza.

Major Dub-Dębicki w krytycznej sytuacji nie stracił zimnej krwi. Nogą podsunął sobie torbę, z której Musiał wyciągał granaty ręczne. Schylił się i znalazł w torbie ostatnią sztukę. Doskonale wiedział jak go użyć. Odbezpieczył granat i rzucił go lekko na podwórze. Wiedział, że kilku z napastników prawdopodobnie już dobiegło pod ścianę dworku, gdyż karabin maszynowy przerzucił swój ogień na górne piętro. Wybuch blisko muru musiał spowodować przynajmniej poranienie każdego, kto krył się pod murem. Dub-Dębicki od momentu, kiedy zaczął strzelać karabin maszynowy, wiedział już, że tej nocy umrze, ale chciał umrzeć w walce. Nie bał się żadnej bandy chłopskiej, ale natarcie regularnego wojska nie mogło skończyć się inaczej jak tylko zdobyciem dworku. Nawet odsiecz z Hubkowa nie mogła nic pomóc. Mały szwadron konny KOP-u nie mógł wygrać starcia z co najmniej plutonem piechoty uzbrojonym w karabin maszynowy. Nie było żadnej nadziei. Jednego major nie rozumiał – czemu go w ogóle napadli? Ostatnio był zastój w działalności szpiegowskiej, przyście uciekiniera z Sowdepia nie doszło do skutku, nie przechowywał tutaj nic cennego dla bolszewików, więc czemu?

Major Dub-Dębicki nie miał czasu na rozważania nad powodem najścia na jego gospodarstwo, gdyż wypadki wokół niego rozwijały się z zawrotną szybkością. Wybuch rzuconego przezeń granatu zatrzymał podkradających się pod dworki bolszewików, ale w tym samym czasie inna grupka zbliżała się do ganku i drzwi frontowych. Kule z karabinu maszynowego podziurawiły drzwi w wielu miejscach i osłabiły ich konstrukcję, zatem kilka uderzeń kolbami wystarczyło, żeby wpadły do sieni. Bolszewicy byli już we dworze.

– Panie poruczniku – odezwał się major. – Niech pan się ratuje. Tu za tymi drzwiami jest mój gabinet, a dalej, w amfiladzie, sypialnia.

– Nie zostawię pana majora – odpowiedział przez zaciśnięte zęby Kierostawski. – Jestem oficerem! Nie splamię honoru ucieczką.

– Głupiś, młody człowieku! – major zawarczał jak belfer na uczniaka. Wiedział, że od wtargnięcia bolszewików do salonu dzielą go nie minuty, a sekundy, wobec tego nie miał czasu na subtelne wyjaśnienia. – To rozkaz! Musi przetrwać świadek napadu, który opowie w Warszawie o najeździe bolszewickim. Nie ucieczka, ale zeznanie naocznego świadka jest ważne. Idź!

– Tak jest! Rozkaz – odpowiedział Kierostawski, któremu zaświtało w głowie, że ma dalszą misję do spełnienia.

– Czekać! – Dub-Dębicki miał jeszcze coś do powiedzenia. – W alkuwie jest małe okienko, nisko, w głowie łóżka. Wychodzi w krzakach, tak że go z zewnątrz

nie widać. Uciekniesz. A pamiętaj pomścić i mnie, i porucznika Musiała.

– Polaki, zdawajcieś! – krzyknął ktoś z sieni.

– O! Niedoczekanie – wycedził Kierostawski i chciał mówić dalej, ale major machnął ręką na niego i podniósł steyra do strzału – pierwsi bolszewicy pchali się z sieni do salonu.

– Żywcem brać! Pliennych nada – wyraźnie w sieni znajdował się oficer dowodzący napadem.

Dub-Dębicki oddał trzy strzały z pistoletu, zanim bolszewicy odpowiedzieli ogniem. Wysoka postać majora, na tle biało malowanych ścian, nawet w ciemności, stanowiła dobrze widoczny cel. Uderzenia pocisków rzuciły nim o ścianę, na której zostały rozbryzgnięte plamy krwi. Major, osuwając się na podłogę, próbował podnieść rękę z pistoletem, ale sił mu zabrakło. Nie zdołał nawet ściągnąć spustu.

Kierostawski tymczasem wpadł do gabinetu, zatrzaskał za sobą drzwi i przekręcił klucz tkwiący z zamku. Nie miał nadziei, że zwykły zamek w drzwiach zatrzyma bolszewików na długo, ale chciał zyskać kilkanaście sekund na odnalezienie okienka w sypialni. Kilkoma szybkimi krokami przeszedł gabinet i położył rękę na klamce do sypialni, kiedy usłyszał łomotanie do drzwi gabinetu, przekleństwa i krzyki. Kierostawski wyciągnął służbowego naganta i zaczął strzelać w drzwi. Z zaciśniętymi zębami liczył strzały, które rozdzierały ciemność żółtawymi błyskami. Wrzaski bólu po drugiej stronie sprawiły mu głęboką satysfakcję. Zemsta za Musiała i Dub-Dębickiego właśnie się rozpoczęła. Po siódmym strzale młotek opadł ze stuknięciem na wystrzeloną gilzę. Kierostawski sięgnął po naboje do kieszeni, nie mógł zostać zupełnie rozbrojony i zaczął ładować bębenek naganta. Włożył piąty nabój. Lata spędzone na froncie pozwalały mu robić to szybko i sprawnie nawet w zupełnej ciemności, ale został w gabinecie za długo. Bolszewicy zaczęli strzelać przez drzwi. Dosięgnął go trzeci strzał, przypadkowy, oddany pośpiesznie, bez celowania, na oślep przez zamknięte drzwi. Dosięgnął i zabił.

Ukryty w stogu siana człowiek w przemoczonym i podartym ubraniu trząsał się, patrząc szeroko rozwartymi oczami na rozgrywającą się przed nim bitwę. Głodny, zmarznięty i zmęczony długą podróżą sądził, że po wielu krytycznych przejściach znalazł się u celu. Było inaczej. W tym momencie Kostia Ługin zastanowił się nad decyzjami, jakie podjął dwa dni wcześniej, ale nie miał już możliwości odwrotu.

Przypisy

¹ OGPU – Objedinionnoje Gosudarstwiennojje Politiczeskoje Uprawlenije, Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny, policja polityczna w ZSRR w latach

1923–1934. OGPU zajmowało się wywiadem i kontrwywiadem, kontrolą granic i bezpieczeństwem wewnętrznym. Jego poprzedniczką była Czecha, czyli Wsieros-sijskaja Czriezwyczajnaja Komissija po Borbie s Kontrriewolucyjej i Sabotażom (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem).

² KPD – Kommunistische Partei Deutschlands (Komunistyczna Partia Niemiec) założona w grudniu 1918 roku w Berlinie. W 1923 roku na polecenie Kominternu zorganizowała zakończone klęską powstanie w Hamburgu.

³ Burszowie (niem. *Bursch* – chłopak, student) – w XIX wieku studenci w Niemczech należący do korporacji studenckich. Burszowie znani byli z burd, arogancji i pojedynków, często zakończonych widocznymi bliznami na twarzy.

Rozdział II

Warszawa – marzec 1926

Karol Czerski przed oczekiwanym spotkaniem z Anną włożył dużo wysiłku, a nawet przemyśleń, w zdobycie właściwego prezenciku. Wprawdzie na pierwszy rzut oka upominek nie sprawiał specjalnie imponującego wrażenia, ale podstawy psychologii wdrożone na przyspieszonym kursie dla agentów wywiadu podpowiały mu, że właśnie taki będzie najlepszy. Spodziewał się, że panna Anna wysoko oceni drobiazg – zwłaszcza ze względu na porę roku. Wszelkie pomysły kupienia efektownej biżuterii odrzucił natychmiast, chociaż miał pieniądze na wydatki z budżetu INO. Na coś bardzo osobistego uznał, że było za wcześnie, zatem po długich poszukiwaniach znalazł stojącą na rogu Nowego Świata i Foksał góralkę i kupił bukietek krokusów.

Z maleńkimi zwiastunami nadchodzącej wiosny stanął przed pomalowanymi na szaro drzwiami jej mieszkania przy Szczygła 15 i nacisnął elektryczny dzwonek. Z wnętrza usłyszał stukot obcasików o klepki parkietu. Czerski uśmiechnął się, nie tylko po to, żeby przyjemnie powitać Annę, ale również z radością, że była gotowa na jego przyście. Dwa dni temu, kiedy zjawił się z bukietem czerwonych róż i oznajmił jej, że przyniosła mu szczęście, bowiem dostał pracę, o którą się starał, umówił się z nią na kawę w kawiarni. Wtedy nie pozwolił zaprosić się do mieszkania, to mogło być źle przyjęte, wygłosił swoje podziękowania przez próg i wymówił się obowiązkami w pracy. Teraz zamierzał zabrać ją na randkę. Oczywiście nie roił sobie, że zaciągnie starą pannę do łóżka, Anna Chylińska miała już dwadzieścia osiem lat, ale był prawie pewien, że ją oczaruje. Nie zamierzał postępować zbyt obcesowo i spieszyć się, takie zagranie było dobre z pannami służącymi, ale nie z dziewczyną wychowaną w patriotycznym polskim domu. Niemniej był pewien swego.

– Och, to pan! – Anna Chylińska udała zdziwioną, choć przyszedł z pięćminutowym spóźnieniem. – Jestem prawie gotowa. Proszę wejść, tylko włożę płaszcz i możemy iść.

– Witam panią – powiedział Czerski, pochylił się i ucałował podaną dłoń. – Oczywiście zaczekam. Proszę się nie spieszyć. To dla pani.

– Jakie śliczne – Chylińska przyjęła podany jej bukietek i lekko zaczerwieniła się. – Nie trzeba było.

– Przecież to przyjemność. Czy pójdziemy na kawę?

– Już, już – odpowiedziała i przycisnęła bukietek krokusów obu rękami do piersi. – Jeden moment, tylko wstawię je do wazonika.

Zniknęła w mieszkaniu, a Czerski rozejrzył się po przedpokoju. Kilka rzeczy

wisiał na wieszaku, na półeczce spoczywała sterta kapeluszy, a na podłodze kilka par butów i czerwone kapcie. Z głębi mieszkania dobiegł go hałas i wtedy uśmiechnął się szerzej.

Spieszy się i przewróciła coś – pomyślał z zadowoleniem. No cóż, idzie jak po maśle.

Anna Chylińska ubrała się skromnie, lecz gustownie, a w beżowej spódnicy i brązowym kapelusiku na głowie wyglądała bardzo atrakcyjnie. Czerski dał wyraz aprobaty przez długie spojrzenie, jakim obdarzył ją przy podawaniu jej płaszcza. Nie mogła tego nie zauważyć.

Piętnaście minut później siedzieli przy stoliku w kawiarni Bliklego w kamienicy Hołowczyca na Nowym Świecie 35 przy filiżankach aromatycznej kawy po turecku i pączkach, z których wyrobu firma słynęła od lat. Po podaniu zamówienia kelner zniknął, tak jak się pojawił – bezszelestnie. Sposób pracy w kawiarni polegał na kupowaniu zamówienia przez kelnera od zakładu, a dopiero pod koniec dnia rozliczał się on i wiedział, ile zarobił na napiwkach. Z tego powodu kelnerzy byli szczególnie uważni na wszystkie życzenia klientów i mieli salę pod stałą obserwacją. Wyłożona zielonym dywanem salaumeblowana maleńkimi okrągłymi stoliczkami, każdy z kilkoma wyściełanymi fotelikami, była zawsze zatłoczona. W zależności od godziny zmieniało się towarzystwo, rano urzędnicy jedli śniadanie, przed południem panie przychodziły poplotkować, po południu spożywano poobiednie desery, a wieczorem panowie przy koniaku i cygarach dyskutowali o polityce. Odkąd w kawiarni zaczęły pojawiać się damy, do czego doszło dopiero po Wielkiej Wojnie, na ścianach zawieszono lustra, wszak kobieta musiała się obejrzeć. Dodano też kilka drobiazgów, takich jak wazonik z kwiatami na stoliku i serwetki. O klienta dbano i momentalnie spełniano każde życzenie.

W pierwszej chwili przy stoliku zapanowało kłopotliwe milczenie. Czerski z lekkim uśmiechem na wargach zajrzał w oczy Annie, która odwzajemniła się powłóczyстым spojrzeniem. Od tego momentu rozmowa potoczyła się gładko. Chylińska wypytywała go o znajomość z porucznikiem Włodkiem i Czerski musiał opowiadać szczegóły z życiorysu poległego oficera, którego nie tylko nigdy nie znał, ale również nigdy nie widział. Wprawdzie przestudiował życiorys porucznika Romana Włodka, ale wiele drobiazgów dotyczących codziennego życia w szwadronie musiał zmyślać. Nie było to trudne, sam był dawnym ułanem, ale mimo wszystko nie czuł się pewnie na tym gruncie. Odetchnął, kiedy zapytała go o pracę.

– Udało mi się świetnie – odparł szczęśliwy, że może przejść do interesującego go tematu. – Dostałem pracę w Sztapie Generalnym.

– Doprawdy? – Chylińska była wyraźnie zdziwiona, w końcu przedstawił się jako wachmistrz, i do tego zdemobilizowany.

– A tak. Zostałem cywilnym pracownikiem wojska. No, powiedzmy, przybudówki do wojska.

– To wspaniale, bo ja jestem sekretarką w Sztabie Generalnym, czyli też cywilnym pracownikiem wojska.

– Proszę, to łączy nas coraz więcej.

– A co pan tam robi? Nie widziałam pana w budynku sztabu.

– Ja nie jestem urzędnikiem wojskowym. W budynku sztabu nie przebywam.

– To co pan robi? – Chylińska była nieco zdezorientowana, ale zaciekawiona.

– To tajemnica.

– Ach! Tajemnica? Jak to tajemnica?

– Jak pani pracuje w sztabie, to myślę, że mogę pani powiedzieć – Czerski zastanowił się i umilkł na krótką chwilę. Potem pochylił się nad stolikiem i powiedział szeptem: – Jestem cywilnym agentem kontrwywiadu. Ale proszę nikomu o tym nie mówić, naprawdę, bo to tajemnica.

– Coś podobnego! – Chylińska dała wyraz swojemu zdziwieniu i natychmiast nakryła dłonią usta, rozglądając się wokoło. – To pan będzie łapał szpiegów?

– Coś w tym rodzaju – odparł z poważnym wyrazem twarzy. – Praca zupełnie inna niż pani może wyczytać w powieściach sensacyjnych. To bardzo poważna robota i nie mogę o tym opowiadać.

– Rozumiem w zupełności i o nic nie pytam.

– Na razie zaczynam, czyli jeszcze potrwa, zanim rzeczywiście będę miał zadanie do wypełnienia. Pracy jest dużo i z pewnością nie będę siedział z założonymi rękami.

– To niebezpieczna praca? Czy pan będzie się narażał?

– Nie sądzę, żebym był w prawdziwym niebezpieczeństwie – odpowiedział z pewną dozą pewności siebie. – Potrzebowali frontowego żołnierza, sprawdzonego i obytego z bronią. Ale proszę sobie nic nie wyobrażać, tam dowodzą oficerowie, a ja tylko wypełniam rozkazy.

– Ależ to fascynujące – kolory na twarzy Chylińskiej ponownie objęły jej policzki, a oczy błysnęły zainteresowaniem. – Te wszystkie intrygi i podchody. Wykrywanie szpiegów, toż to niesamowite.

– Wie pani, z moich dotychczasowych przygotowań wynika, że to raczej nudne i szczegółowe badanie drobnych wydarzeń. Dużo chodzenia po mieście, rozmawiania z ludźmi, stania na ulicy w oczekiwaniu, że coś się wydarzy, zdobywania wiadomości i pomocy od ludzi.

– Jeśli będę mogła pomóc, proszę natychmiast mi o tym powiedzieć – oczy Chylińskiej błyszczały na samą myśl o szpiegowskiej intrydze.

– Z pewnością skorzystam, ale nie mówmy o tym – Czerski z ukontentowaniem uznał, że kolejny krok w osiągnięciu jego planów został już poczyniony. – Pomówmy o pani, to o wiele bardziej interesujący temat. Co pani lubi? Kino? Teatr? Czy może lubi pani tańczyć?

Godzinę później Czerski wiedział już wszystko, co mogło mu pomóc w jego planach. Chylińska opowiedziała mu o swojej pracy w sztabie, o sobie, a nawet o swoich przyjaciółkach. Odprowadził Annę pod bramę kamienicy, idąc z nią pod rękę. Jej oczy ani na chwilę nie przestały błyszczeć. Przy pożegnaniu znowu szarmancko pocałował jej dłoń i nie nagabując o zaproszenie do mieszkania, odszedł.

Anna po rozstaniu z Karolem Bałabanem oparła się o zatrzaśnięte właśnie drzwi i odetchnęła kilka razy głęboko, przyciskając dłonie do piersi. W głowie jej wirowało od nadmiaru wrażeń i przeżyć. Oto po latach nudnego życia, kiedy już prawie pogodziła się ze staropanieństwem, spotkała człowieka, który interesował się nią, był szarmancki, odważny, męski i prowadził niebezpieczną grę z bolszewikami. Lekki powiew przygody, jaki poczuła, rozmawiając z Karolem, wystarczył, żeby skłoniła się w jego stronę. Będzie musiała przemyśleć, co ma dalej zrobić. Za mało знаła Karola, żeby łatwo podjąć decyzję, ale nęciła ją przygoda i niebezpieczeństwo. W jej życiu przewijał się kawaler, Nikodem Trebuski, z którym spotykała się czasem od osiemnastu miesięcy. W tym czasie poznała dobrze Nikodema, może by się w końcu jej oświadczył, ale życie małżeńskie z nim musiałyby być koszmarnie nudne.

Nikodema poznała na seansie spirytystycznym w domu doktora Niepołomiczkiego. Kiedyś czując, że czas ucieka jej w samotności, pozwoliła się zaprosić na taki seans. Pociągało ją nieznanne i niewytłumaczalne, a przy tym miała nadzieję poznać kogoś interesującego. O ile spirytyzm, bardzo wówczas modny w Warszawie i w Polsce w ogóle, spełnił jej nadzieję, o tyle poznanie Nikodema Trebuskiego nie. Wprawdzie później od czasu do czasu widywała się z nim, ale on był grzeczny, nadskakujący i oczytany, czyli nudny. Przy tym wszystkim po prawie półtora roku spotkań nie poprosił jej o rękę, czyli co? Nie miał zamiaru czy czekał na coś?

Natomiast w środowisku okultystycznym Anna odniosła sukces – już na drugim seansie okazała się wspaniałym medium. Pod jej drobną dłonią talerzyk fruwał po stole i przywołane z zaświatów duchy przemawiały do zebranych. Anna stała się częstym gościem na seansach, a nawet zorganizowała sama kilka z nich. Któregoś wieczora poprosiła doktora Niepołomiczkiego o zadanie pytania o jej dalsze losy i odpowiedź zadziwiła wszystkich. Duch przepowiedział jej życie pełne przygód i teraz, po spotkaniu z Karolem, czuła, że jej czas nadszedł.

Moskwa – marzec 1926

Michaił Abramowicz Trilisser siedział przy biurku w swoim gabinecie i wewnętrznie gotował się z trudno tłumionej wściekłości. Lampa elektryczna z okrągłym szklanym abażurem, typowa dla wyposażenia każdego sowieckiego biura na Kremlu, oświetlała szerokie biurko zasłane papierami, na którym trzymał płasko położone dłonie. Nie mógł pokazać swojemu gościowi, że drżą, zatem położył je na blacie i w ten sposób unieruchomił. To pomogło, ale tylko częściowo, szczeka cho-

działa mu tam i z powrotem, jakby żuł coś twardego. Oczami świdrował siedzącego przed nim szefa Okręgu Zachodniego Oddziału Przygranicznego ze Smoleńska Jaszę Aleksandrowicza Drozda, którego winił za niepowodzenie akcji w Żychcinie. Po otrzymaniu raportu o przebiegu operacji po polskiej stronie wezwał go do Moskwy, żeby uzyskać dokładne informacje.

– No i co, towarzyszu Drozd? – Trilisser cedził słowa, żeby tym bardziej nastraszyć swojego gościa. – Położyliście mi robotę. I co ja mam teraz z wami zrobić? Oddać was pod sąd czy samemu złożyć rezygnację u Mienżyńskiego?

– Towarzyszu Trilisser, pozwólcie wyjaśnić, jaki był przebieg wypadków – Drozd pocił się w fotelu naprzeciw biurka. Wprawdzie nie podlegał bezpośrednio Trilisserowi, co dawało mu pewną możliwość obrony, ale irytacja potężnego naczelnika Oddziału Zagranicznego zawsze była niebezpieczna.

– Co wy mi możecie wyjaśnić? – fuknął Trilisser. – Z całego wypadku nie przyprowadziliście mi nikogo wartościowego.

– Oficer nie popełnił żadnego błędu. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Co strzelcy mieli zrobić? Polacy bronili się do ostatniego naboju, nikt się nie poddał.

– Mieliście wysłać inteligentnego oficera – Trilisser nie chciał słuchać żadnych tłumaczeń. – Niepowodzenie to jest wasza odpowiedzialność!

– Wysłałem doświadczonego oficera i pluton strzelców – Drozd uznał, że musi dojść do słowa, bo inaczej obciążą go winą za zbieg okoliczności. – Sami doświadczeni ludzie, żadnych nowicjuszy. Wykonali rozkazy co do joty...

– Gówno, a nie doświadczeni ludzie – Trilisser czuł, że traci panowanie nad sobą. Jeszcze chwila i zacznie wrzeszczeć, a to nie przystoiło naczelnikowi INO. Z wysiłkiem nakazał sobie spokój, zamknął oczy i opanowawszy rozdrażnienie, dodał spokojniejszym tonem: – Mówcie wreszcie. Wszystko, po kolei i nie ukrywajcie niczego.

– Oddział odczekał w polu, aż ktoś z wieczora wszedł do budynku. Prawda? – zaczął Drozd zadowolony, że może nareszcie przedstawić przebieg wypadków. – Zgodnie z planem. Oficer wyraźnie widział, że wpuszczono do środka człowieka. Nie mógł wiedzieć, że to zwykły przybłęda, który akurat tej nocy przylazł po prośbie. Dla pewności odczekał jeszcze godzinę, nikt inny nie pojawił się, a tamtego nie wyrzucili na zbity pysk. Czyli uciekinier nawiązał kontakt z Polakami. Tak? Logiczny wniosek? Potem podeszli pod ogrodzenie cicho, nikt ich nie wykrył. Prawda? Czyli dobrzy zwiadowcy. Dopiero jak przeskoczyli płot, znaleźli wartownika i zabili cicho, nożem...

– Ale zdążył zaalarmować swoich – zgryźliwie zauważył Trilisser.

– A kto mógł to przewidzieć, że nawet pchnięty nożem zdąży wystrzelić? – Drozd rozłożył ręce w geście bezradności. – Kto się spodziewał, że trzymają wartę w taką noc?

– Ech. – Trilisser machnął ręką z rezygnacją.

– Zaatakowali w ciszy – ciągnął Drozd, niezrażony gestem Trilissera. – Polaki strzelali do nich jak do kaczek, po ciemku położyli nam sześciu strzelców. Bronili się granatami, a wywiad informował, że mają tylko karabiny. Ot co. Dopiero jak ich przygnietli ogniem z maszynki, strzelcy mogli podejść pod budynek. I tak dobrze, że wzięli maxima ze sobą, inaczej cała akcja skończyłaby się klęską. Wot, inicjatywa oficera opłaciła się, czyli dobry oficer, przewidujący. Ale jak przeszło do walki w dworze, to już nie było możliwości brania jeńców. Polaki strzelali, ciemność, ludzie źli, że tylu dobrych bojców ubitych, to i walka poszła. Ostatni bronił się w alkowie i może by go wzięli, ale przypadkowa kula go ubiła. Nie było jak. Wytlukli wszystkich do ostatniego, bo żaden się nie poddał. Wołali, żeby się poddali, ale co tam. Strzelali do ostatka.

– I wszystkich ubili – z rezygnacją powiedział Trilisser. – Nawet tych przysłanych z Warszawy. Zamiast bieżenca przyprowadzili jakiegoś głupkowatego żebraka, który nic o niczym nie wie. A papierów żadnych ważnych też nie przynieśli.

– Wzięli, co było na wierzchu – tłumaczył Drozd. – Czasu nie było. Chłopi ze wsi następowali, a pewno szwadron alarmowy z Hubkowa musiał już być w drodze. Bitwa była jak czort. Oficera też straciliśmy. Zastrzelony już we dworze.

– Durnia nie żal, będzie inny – skomentował Trilisser. – Ważne, że nie wykonali zadania i ja nie mam kogo przesłuchiwać. Ani oficerów z polskiej defensywy, ani bieżenca nie wzięli. Reszta nieważna.

– Oficera szkoda, bo zdolny i odważny, ale zastępstwo się znajdzie – Drozd poczuł grunt pod nogami. – Teraz, towarzyszu, trzeba przedyskutować, jak wypełnić zadanie po niepowodzeniu. Podejmiemy jeszcze jedną próbę.

– Z pewnością podejmę dalsze kroki, ale już bez was – Trilisser nie miał zamiaru dyskutować swoich posunięć z naczelnikiem okręgu. – Możecie odmaszerować. Na dziś skończyliśmy, ale jutro rozmowa z Mienżyńskim.

– Odmeldowuję się, towarzyszu Trilisser – Drozd stanął przepisowo na baczność, wykonał zwrot w tył i odszedł.

– Idi w czorty – mruknął za nim zły na cały świat Trilisser.

Po wyjściu Drozda Trilisser uspokoił się na tyle, że mógł zacząć myśleć o naprawieniu sytuacji. Następnego dnia na spotkaniu z przełożonym musiał przedstawić dalsze plany. Dla własnego dobra musiał koniecznie wysunąć nową inicjatywę zdobycia informacji z Polski, od tego zależała jego pozycja u Mienżyńskiego.

Zwałę winę za niepowodzenie na Drozda, ale to za mało – pomyślał. Muszę mieć w zanadrzu nowy plan, który odwróci uwagę Wiaczesława Rudolfowicza od wpadki w Żychcinie. Nowy plan, który będzie lepszy od poprzedniego, szerszy, rokuszący szansę na wielkie zwycięstwo. Z jednej strony z dużym prawdopodobieństwem sukcesu, z drugiej z wielką nagrodą na końcu. O! Taki plan zatrudni wyobraźnię Wiaczesława Rudolfowicza i pomniejszy niepowodzenie. Tak, muszę go

tylko wymyślić. A o tym, że Ługin zaginął, nikt wiedzieć nie musi. Swoją drogą, co stało się z Kostią Ługinem? Wyjechał odprowadzić tego Arychtomowa i zniknął bez śladu. No, do roboty, Kostią zajmę się później, teraz muszę wymyślić sposób na polski wywiad.

Trilisser zapalił papierosa i czując przypływ energii, sięgnął po teczkę z ostatnimi raportami z Warszawy. Zaczął wgłębiać się w doniesienia, jednocześnie układając dalsze projekty.

Warszawa – marzec 1926

Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Stare porzekadło, że w marcu jak w garncu, tego roku sprawdzało się w całej rozciągłości. Dopiero co było sucho i słonecznie, aż nagle zaczął padać deszcz ze śniegiem, zmieniając chodzenie po chodnikach w slalom między kałużami i rozmiękłym śniegiem. Warszawa za czasów carskich uchodziła za brudne miasto, nawet po zbudowaniu przez Lindleya systemu kanalizacyjnego nie należała do najczystszych miast i chodzenie po niej w taką pogodę nieodmiennie kończyło się zabłoceniem spodni i przemoczeniem butów.

Spotkali się, zgodnie z umową, w knajpie „U Anatola” na rogu Topiel i Zajęczej. Knajpa stała w szeregu niskich, często parterowych domów, znacznie odbijających swoim wyglądem od stylowych kamienic śródmieścia. Ciemnowa speluna odwiedzana przez osobników z półświatka doskonale im odpowiadała. Mogło się wydawać, że z powodu słoty liczba gości będzie niewielka, ale widać specyficzna klientela Anatola nie przejmowała się deszczowo-śnieżną aurą. Knajpa była pełna. Czerski siedział przy stole pod ścianą i z namaszczeniem grał rolę alkoholika. Wziął z baru setkę czystej, usiadł i popijał wódkę drobnymi łyżkami. Oparty o ścianę, z kapeluszem nasuniętym na czoło, z przyzwyczajenia obserwował salę. Za szynkwasem królował Anatol – starszawy, łysiejący mężczyzna, który obsługiwał gości mięsistymi rękami. Jego uważne oczy obserwowały tłumek i błyskawicznie liczyły podawane pieniądze. Drobne wrzucał do szuflady w kontuarze, a papierowe chował do kieszeni fartucha. Przy barze harmonista fałszywie wygrywał światowe szlagiery, przeplatając je z rodzimymi melodiami. W miarę konsumowania czystej przez muzyka melodie stawały się coraz bardziej rzewne. Czasem ktoś wrzucał do położonej na kolanach czapki drobne i zamawiał melodię, a wtedy harmonista z większą ochotą brał się do dzieła. Cwaniak w brudnożółtej marynarce i chuda dziewczyna w kolorowej sukience usiłowali tańczyć do melodii, potykając się o meble albo potrącając siedzących, na co nie zwracano uwagi. Tancerka na chwilę przyciągnęła uwagę Czerskiego. W barwnej rozkloszowanej sukience, gibka i chyka, zdawała się fruwać nad deskami podłogi w takt skocznej polki. Wysoka, szczupła i obdarzona obfitym biustem, a przy tym o szlachetnych rysach twarzy nie pasowała do ferajny lokalnych złodziejasków. Wyglądała bardziej na damę z to-

warzystwa niż na nocną ćmę z Powiśla.

Niemojewski wszedł tak przebrany, że trudno było go rozpoznać. Naciągnięta na oczy czapka cyklistowska i podniesiony kołnierz kraciastej marynarki zakrywały mu większość twarzy, a kolorowy szalik fantazyjnie wiszący na plecach nadawał mu wygląd żula z przedmieścia. Strzepnął krople deszczu z cyklistówki na podłogę i powolnym krokiem podszedł do baru. Wziął setkę i dwa ogórki na talerzyku, potem rozejrzał się uważnie i podszedł do stołu Czerskiego. Usiadł bez słowa i popchnął talerzyk na środek. Czerski wziął dwoma palcami ogórka i zagryzł ostatni łyk wódki.

– Co się wydarzyło? – zapytał.

– Dużo, bardzo dużo – odparł Niemojewski i pociągnął długi łyk ze szklanki.

– Po pierwsze mam zezwolenie na przeprowadzenie operacji, a nawet zachętę.

– Miałeś nic nikomu nie mówić – Czerski zdenerwował się.

– Nie przejmuj się tak bardzo – Niemojewski uśmiechnął się kącikiem ust. –

Oszukałem szefa, nie wie po co naprawdę potrzebne nam te plany. A ponadto jest za stary, żeby mógł być tą wtyką.

– Dobrze. I co jeszcze?

– Zimno na dworze. Mogę złapać jakąś francę – powiedział Niemojewski, spoglądając wymownie na tańczącą parę, która podsunęła się bliżej do ich stołu.

– W taką pogodę to i porządnej roboty dostać się nie da – wszedł w rolę Czerski.

Para tańczących przesunęła się na środek sali i Niemojewski uznał, że w ogólnym hałasie nikt ich nie podsłucha. Pochylił się nad stolikiem i ze szklanką wódki w ręku mówił dalej konspiracyjnym tonem.

– Druga sprawa. Odnalazł się uciekinier z Sowietów, przeszedł granicę i zgłosił się do placówki w Hubkowie. Mówi, że jest dawnym carskim kapitanem z 82 pułku piechoty z Kazania, ale nie sposób tego sprawdzić. Przedstawił się jako Sergiej Sergiejewicz Arychtomow. Nie muszę ci mówić, że nie ma żadnych dokumentów identyfikacyjnych.

Niemojewski uważnie obserwował Czerskiego, ciekaw, czy zobaczy błysk zainteresowania w jego oczach. Ciągle nie wierzył, że Czerski przeszedł na polską stronę – sprawdzał go. Zainteresowanie mogło wskazywać, że wiedział o akcji podrzucenia wywiadowi agenta sowieckiego, o ile to był agent, a nie prawdziwy uciekinier.

– Co z tego? – obojętnie rzucił Czerski.

Więc jednak nie wie, o co chodzi – pomyślał Niemojewski. To dobrze. Chciałem się upewnić, czy nie maczał w tym palców, ale widać nie miał z Żychcieniem nic wspólnego.

– Ten uciekinier tylko przez nadmierną ostrożność nie wpadł w łapy bolszewików – powiedział Niemojewski i w krótkich słowach zrelacjonował wydarzenia

w Żychcinie.

– Z tego nic dla nas nie wynika – skomentował Czerski, który nie wiedział o operacji na pograniczu.

– Tak, ale skąd bolszewicy wiedzieli, kiedy i gdzie uderzyć, żeby go złapać? – zastanawiał się Niemojewski. – Zaatakowali dosłownie na moment, zanim uciekinier się ujawnił.

– Uderzyli przed jego przyjściem na placówkę w Żychcinie? – spytał Czerski z zainteresowaniem. – To ciekawe.

– A czemu? – Niemojewski chciał wyciągnąć informacje z Czerskiego i zaczął go podpytywać.

– Zastanów się, jeśli szli za nim, co jest możliwe, to napad byłby po jego wejściu na placówkę. Zatem wiedzieli, gdzie idzie, kiedy tam będzie i byli pewni, że tam jest. Razem wskazuje to na zorganizowaną akcję na Żychcin i na uciekiniera. Oni wiedzieli.

– Czyli uciekinier to ich agent – stwierdził Niemojewski. – Ale jest możliwe, że bolszewicy się pomylili. Uciekinier widział, że ktoś dobijał się do bramy dworu i został wpuszczony.

– To możliwe, że czekali, aż ktoś przybędzie. Zobaczyli, że wszedł do domu, i uznali, że to uciekinier, na którego czekają. A kto to był?

– Tego nie wiem, jak mówiłem, bronili się do ostatniego. Ten uciekinier to musi być bolszewik, a podawał się za białego oficera.

– Niekoniecznie. On może nic nie wiedzieć, ale bolszewicy zorganizowali całą akcję, żeby zdobyć coś w placówce. Co tam było? Co tam zmieniło się z powodu uciekiniera?

– Wysłałem dwóch oficerów po niego. Miał przynieść dokumenty i chciałem zabezpieczyć wszystko.

– I co z twoimi oficerami?

– Wszyscy zginęli, dwór spalony, mnóstwo zabitych.

– Dla mnie to znaczy, że sprawa była ukartowana z góry przez wywiad sowiecki – Czerski był już pewien, że wie, o co chodziło w Żychcinie. – Bolszewicy chcieli wziąć twoich oficerów, porwać i wycisnąć z nich wiadomości.

– Hm. To możliwe. Uciekinier zeznał, że jak odchodzili, to klęli potwornie, że akcja nieudana, a przecież dwór zdobyli i spalili. Co więcej, zabrali kogoś ze sobą. Ten bieżeniec twierdził, że jak przechodzili obok, to słyszał swoje nazwisko.

– A właśnie – mruknął do siebie Czerski. – Jakie dokumenty przyniósł ten biały?

– Papiery o organizacji siatki antybolszewickiej w Rosji. Tylko teraz nie wiem, czy to prawdziwy uciekinier, czy podsunięty nam sowiecki agent. Na razie trzymamy go w Warszawie bez kontaktu ze środowiskiem emigracyjnym. Bardzo mu się to nie podoba, ale zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie, i siedzi cicho.

– Józus, zastanów się – w zamyśleniu powiedział Czerski. – Jeśli wysłali przez granicę dużą bandę, zorganizowali całą ekspedycję, to im zależy na złapaniu zbiega. A on przez przypadek wymknął im się z rąk. Jeśli to wszystko prawda, to spróbują ponownie i tu masz pole do popisu. Nie wiesz kiedy, ale wiesz gdzie i wiesz co. To już dużo.

Niemojewski skinął głową w milczeniu. Sam wiedział, że musi nastąpić druga próba ataku, ale na swoim terenie miał większe szanse na sukces.

– Ten Ruski musi być dla nich ważny – dodał Czerski. – Nawet bardzo ważny. Ciekawe dlaczego... Tylko to nie posuwa nas w naszej akcji. Żeby być zupełnie pewnym, że uciekinier jest tym, za kogo się podaje, znajdź wśród lokalnej emigracji rosyjskiej kogoś z 82 pułku i skonfrontuj ich.

– Poszukam, popytam, ale wiesz, mała szansa, żeby tutaj był ktoś akurat z jego pułku – powiedział Niemojewski w zamyśleniu, widząc piętrzące się przed nim trudności.

– Jak nikogo nie znajdziesz, to daj mi z nim porozmawiać – powiedział Czerski z chytrym uśmieszkiem. – Ja wyciągnę z niego wszystko. Ale to sprawa uboczna. Nas interesuje ten ich agent. Na razie nie mamy nic.

– Jak sądzę, to ty masz kontakty z siatką bolszewicką w Warszawie – zauważył Niemojewski. – Podglądaj ich. Muszą komunikować się z tym Bobińskim.

– Robię to od dnia przybycia. Niestety bez żadnego wyniku, czyli albo nie mają kontaktu, albo agent jest tak głęboko zakonspirowany, że kontakt jest przez kogoś spoza siatki. A tymczasem co z fałszywymi planami?

– W robocie, to jeszcze potrwa kilka dni i nie może być zakończone przed zrobieniem oryginalnych planów. A potem...

Niemojewski nie skończył rozpoczętego zdania, gdyż ktoś spadł mu nagle na plecy. Wpadła na niego tańcząca w knajpie kobieta. Oficer zdenerwowany nieodpowiednim, jak uważał, miejscem prowadzenia narady i zaskoczony wpadającym na niego ciałem odruchowo odepchnął ją od siebie, a dopiero później, kiedy ręka napotkała na miękki biust, obejrzał się. Kobieta, która musiała być kochanką jej partnera do tańca, przewróciła się z piskiem na podłogę. Siedzące w speluncie towarzystwo zareagowało drwiącymi uśmieszkami. Niemojewski, widząc, kogo potraktował tak obcesowo, zreflektował się, podniósł się z ławki i chciał pomóc jej wstać.

– Przepraszam – powiedział, wyciągając w stronę leżącej kobiety rękę. – Nie wiedziałem. Proszę o wybaczenie.

– Cham! – warknęła kobieta, która oglądana z niewielkiej odległości przestała robić wrażenie młodej dziewczyny. – Stachu, pozwalasz, żeby ten łapserdak mną pomiatał.

– Spływaj, fagasio! – rzucił przez zęby partner tancerki, który podsunął się bliżej i zamierzał podać jej rękę. Potem, widząc pod wpływem jej słów, zmienił zdanie i wziął zamach prawą ręką.

Niemojewski spostrzegł ruch ręki i ciągle pochylony nad leżącą kobietą, zamiast wyprostować się do walki, zrobił krok w bok, pozostając w tej samej pozycji. Prawy sierpowy Stacha miał trafić go w szczękę, ale wyprowadzony w oczekiwaniu na wyprostowanie się przeciwnika minął się z celem i zachwiał napastnikiem, zmuszając go do zrobienia kroku w przód. Niemojewski wykorzystał utratę równowagi przez przeciwnika, wyprostował się szybko i lewą nogą kopnął go w tyłek, posyłając głową naprzód między stoły. Sala pełna podobnych do tancerza oprychów odpowiedziała wybuchem chóralnego śmiechu. Twardzi ludzie żyjący na co dzień w świecie przemocy traktowali burdę jak rozrywkowe widowisko, a widok lecącego na twarz kamrata uznali za śmieszny. Siedzący najbliżej cofnęli nawet krzesła, otwierając wolną przestrzeń na kształt ringu – spodziewali się zobaczyć więcej atrakcji.

– Chodźmy stąd – powiedział, odwracając się do Czerskiego, Niemojewski.
– Draka nam niepotrzebna.

– Za tobą – powiedział Czerski, nie podnosząc się z krzesła i wskazał oczami coś za plecami Niemojewskiego.

Kopnięty drab zerwał się z zabłoconych desek stanowiących podłogę w knajpie Anatola i ruszył w stronę Niemojewskiego, grzebiąc prawą ręką w kieszeni żółtawej marynarki. Wystawiony na pośmiewisko przez kopniak Niemojewskiego musiał natychmiast oddać albo ryzykował utratę respektu u kamratów. Niemojewski wziął lewą ręką swoją cyklistówkę ze stołu i stanął na rozkraczonych nogach.

– Szpanujesz czy Józka chcesz moją straszyć? – spytał z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

– Na ulicę z majchrem! – wrzasnął Anatol i wytarłszy ręce w brudnawy fartuch, zaczął wychodzić z za kontuaru.

Niemojewski nie obdarzył go nawet przelotnym spojrzeniem, skupił całą uwagę na opryszku, który otwierał mały składany nóż. Czerski, który uważnie obserwował reakcje sali, zauważył, że knajpiarz dzierżył w ręku solidną łagę. Widać bójki zdarzały się tutaj często i Anatol, chłop wielki, gruby i z pewnością silny, pozbywał się rozrabiaczy za pomocą tej broni. Czerski sięgnął na sąsiedni stolik i podniósł ciężką szklaną solniczkę.

– Won mi stąd! – zawarczał Anatol, rozpychając widzów. – Granatowych tu naprowadzicie. Na ulicę precz!

Obserwujący rozróbę rozstąpili się przed postępującym właścicielem, widać znali jego metody i nikomu nie było spieszo zapoznać się z pałką Anatola. Czerski podrzucił solniczkę, jakby warząc ją w rękę, wziął zamach i cisnął nią w knajpiarza. Solniczka odbiła się od łysej głowy właściciela i poszybowała w stronę sufitu, żeby potem spaść na tłum patrzących. Anatol złapał się za rozbite czoło, potoczył złym wzrokiem i jego oczy momentalnie znalazły winnego. Ruszył w jego stronę i nagle stanął niepewny co robić dalej. Czerski pogroził mu palcem prawej

ręki i jednocześnie lewą odsłonił połę płaszcza. Z wewnętrznej kieszeni wyglądała rączka rewolweru. Gest jednoznacznie oznaczał, że Czerski zamierzał wtrącić się w rozróbę, gdyby Anatol chciał interweniować. Jednocześnie był mało widoczny dla ogółu, ale dla Anatola, który skupił całą swoją uwagę na Czerskim, groźba była wyraźna. Czerski miał cichą nadzieję, że Anatol ruszy na niego i będzie miał okazję wziąć udział w burdzie, zamiast tylko ją obserwować.

– Na ulicy zimno – powiedział kpiąco Czerski, a jego uwaga wywołała śmiech siedzących najbliżej klientów. Nadzieja Czerskiego nie spełniła się, Anatol na widok broni cofnął się, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

– Tamara, na bok! – powiedział Stach, a kobieta poderwała się z podłogi i stanęła rozplaszczona pod ścianą, obserwując starcie.

– Powiedz swojemu fatygantowi, żeby się odkrochmałił – zwrócił się do niej Niemojewski.

Tymczasem Stach wysunął kozik w stronę Niemojewskiego i zaczął obchodzić go bokiem. Niemojewski przyglądał mu się spod przymrużonych powiek, szacując przeciwnika, który nie robił na nim wrażenia szczególnie niebezpiecznego. Wychudzony i żyłasty, mógł być szybki, ale nie miał siły, a przede wszystkim nie miał wytrzymałości, a wysunięcie broni do przodu dowodziło, że nie znał techniki walki nożem. Wprawiony we wszystkich możliwych sposobach walki wręcz oficer nie odczuwał nawet dreszczyku podniecenia. Stach nie czekał długo z atakiem, wykonał krok do przodu i dźgnął nożem w brzuch Niemojewskiego. Oficer z łatwością przewidział ten atak, gdyż opryszek musiał cofnąć rękę, żeby móc zadać pchnięcie, zatem oznajmił swoje zamiary i Niemojewski gładko zszedł mu z linii ciosu. Lewą ręką, przez grubą, wełnianą czapkę chwycił dłoń z nożem, wykonał obrót i stojąc plecami do napastnika uderzył go łokciem prawej ręki w kręgosłup. Stach ponownie poleciał na podłogę, ale ręka z nożem pozostała w uścisku Niemojewskiego, który poderwał ją do góry. Stach krzyknął z bólu i puścił nóż. Niemojewski stanął butem na szyi Stacha i przyszpilił mu twarz do desek.

– Odwał się, grzdylu zapowietrzony – powiedział swobodnym tonem, przywołując typowo koszarowe powiedzonko. – To było niechcący, a ty jesteś partacz i nie zadzieraj z zawodowcami.

Niemojewski odsunął się o krok, podniósł kozik, przerzucił do prawej ręki, złapał za ostrze i rzucił nim w drzwi wejściowe. Nóż wbił się w drewno i ze specyficznym dźwiękiem drgał przez chwilę. Na sali zrobiło się na moment cicho. Popis umiejętności w operowaniu nożem i walki wręcz, jaki dał Niemojewski, spotkał się z ogólną aprobatą. Obserwujący scenę walki mieszkańcy Powiśla zaczęli pokrzykiwać i gwizdać, a kilku zaklaskało w dłonie. Oficer nie zwrócił uwagi na aplauz, obejrzał się na Czerskiego, chcąc dać mu znak, że pora opuścić knajpę, ale Czerski stał już obok niego.

– Wiedziałem, że dasz sobie radę – mruknął Czerski z chytrym uśmiechem

na twarzy. – Ale chciałem sprawdzić, czy nie zardzewiałeś w biurowej robocie.

Niemojewski spojrział na kolegę z dezaprobatą i wzruszył ramionami. Kiwnął na niego ręką i bez słowa wyszli z knajpy.

Czerski ani przez chwilę nie obawiał się o wynik bójki. Podczas wojny służył razem z Niemojewskim w 3 pułku ułanów i pamiętał, że jego kolega był zawsze najlepszym rębaczem spośród kadry. O ile on, Czerski, preferował broń palną i był świetnym strzelcem, to Niemojewski kochał szablę i walkę w zwarcu. Widział go wiele razy, jak w gąszczu przeciwników operował szablą albo nożem. Dokonywał wtedy prawdziwych cudów. W polu z szablą w prawej ręce i rewolwerem w lewej potrafił opędzić się trzem Kozakom, położywszy dwóch z nich. Potyczki, kiedy na czele plutonu konno szarżowali w ćmę jazdy bolszewickiej, zdarzały im się kilkakrotnie. Niemojewski zawsze prowadził swoich ułanów i pierwszy wpadał na nieprzyjaciela, rąbiąc na prawo i lewo z szybkością błyskawicy. Przy tym nie przeszkadzało mu, że czasem robił to na piechotę, kiedy obsadzali okopy, zastępując piechotę. W szwadronie drwiono z Niemojewskiego, że w akcji nosi nóż za cholewą jak rzezimieszek, do czasu kiedy złamawszy główkę szabli w starciu, obronił się nożem przed Kozakiem.

Sokółka – sierpień 1920

Podchorąży Karol Czerski skinieniem dłoni zatrzymał prowadzoną przez siebie szpicę szwadronu i sięgnął po wiszącą na piersiach lornetkę. Zatoczył koniem pod gałęzie rosnącej przy drodze brzozy i z tego ukrycia obserwował przez długą chwilę widoczną za mostkiem osadę. Grupka chatek skupionych pośrodku dużego pola nad rzeczką zdawała się cicha i całkowicie pokojowa. Z jednego komina wznosiła się siwa strużka dymu i szła wysoko w górę, zanim zanikła w stojącym powietrzu. Psy nie czekały i nie było widać ludzi, ale w południowej godzinie nie było to dziwne. Scena była prawie idylliczna i jakby wymarzona do obrazu Wojciecha Kossaka, brakowało tylko dziewczyny z dzbanem mleka. Jednak pierwsze wrażenia nie zawsze były zgodne z rzeczywistością i młody kandydat na oficera świetnie o tym wiedział. Od prawie roku służył w 3 pułku ułanów, przeżył marsz na Kijów, odwrót, walki pozycyjne i teraz w pościgu za umykającym przeciwnikiem nie zamierzał ryzykować. Lustrował wzrokiem zabudowania, chaszcze nad rzeczką, mostek, a nawet daleki skraj lasu. Nie widział żadnego niebezpieczeństwa, żadnych oznak zastawionej przez Kozunów pułapki, wydawało się, że ciągnący za szpicą szwadron mógł spokojnie przejechać przez mostek.

– Janowski – Czerski odwrócił się w siodle i zaczął wydawać rozkazy – wróćcie do szwadronu i zameldujecie rotmistrzowi, że wieś wydaje się wolna od nieprzyjaciela. Ktoś wie, jak ta wieś się nazywa?

– Będzie Sokółka – odparł jeden z ułanów.

– E, nie – Czerski nie zgodził się. – Sokółka to duża wieś i pewno leży za la-

sem. Nic to. Janowski, zameldujecie, że pojechałem do wsi sprawdzić. Wykonać!

– Ta jest – ułan zakręcił koniem i pogalopował drogą, którą przyjechali.

Czerski spojrzął na pozostałą czwórkę ułanów i wskazał dwóch młodszych.

– Pojedziecie ze mną – powiedział i odwrócił się do pozostałych. – Wy dwaj zostaniecie tutaj pod osłoną drzew. Dacie nam osłonę, a jakby coś, to wracać do szwadronu i meldować, że wpadłem w zasadzkę.

– Zrobi się – odparł najstarszy z ułanów i zsunął karabinek z pleców.

– No, to jedziemy sprawdzić tą bezimienną osadę – powiedział wesoło Czerski i dał koniowi ostrogę.

Między patrolem a wsią płynęła szeroka na kilka metrów rzeczka, a nad nią wznosił się prymitywny drewniany mostek. Mostek stanowił wąskie gardło i dlatego Czerski postanowił przeprowadzić bliższe rozpoznanie. Gdyby we wsi była zasadzka to odwrót szwadronu przez wąski mostek mógł spowodować poważne utrudnienia.

Kładkę przebyli bez przygód, ale kiedy podjechali na kilkadziesiąt metrów do pierwszej zagrody, sytuacja zmieniła się. Zza najbliższego domu wyjechało sześciu Kozaków i stanęło w szeregu w poprzek drogi. Czerski rozpoznał typowe dla budionnowców spiczaste czapki z naszytą czerwoną gwiazdą. Zatrzymał konia i sięgnął po rewolwer. Kozacy na komendę – Czerski słyszał ją świetnie – przerzucili z pleców karabiny, szykując się do oddania salwy. Czerski szarpnął prawą wodzę i uderzył konia lewą ostrogą, zawracając w miejscu.

– W konie – krzyknął na swoich ułanów.

Konie z miejsca ruszyły galopem i pofrunęły po drodze jak spłoszone jaskółki. Za nimi został tylko tuman żółtawego kurzu. Ułani spłaszcyli się na grzbietach i wiedząc, że od prędkości zależy ich życie, poganiali swoje wierzchowce do szybszego biegu.

Ukryli się, dranie, za chałupą i czekali, aż podjadę bliżej – pomyślał Czerski, czując na twarzy pęd powietrza. Nie było widać chłopów, a to zawsze jest dziwne. Głupiec ze mnie.

Wtedy padła salwa. Nierówna, oddana z wysokości konia, ale mimo to celna. Czerski zobaczył jednego z ułanów, jak rozłożył ręce i zsunął się na ziemię z galopującego konia. Klacz Czerskiego potknęła się, poderwał ją wodzami i spojrzął przed siebie, mostek był jeszcze o dobre sto metrów. Koń potknął się ponownie i zwolnił biegu. Czerski wyrzucił nogi ze strzemion i zagryzł wargi. Koń przebiegł jeszcze parę metrów i upadł na kolana. Czerski wyskoczył z siodła, przekoziółkował w powietrzu i poleciał w świeżo zaorane skiby. Ostatni z jego ułanów pogalopował przez mostek.

Czerski jęknął głucho w momencie zetknięcia z ziemią. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem zaczął obmacywać nogi. Nie były połamane. Upadek w miękką, spulchnioną lemieszem ziemię był szczęśliwy. Wprawdzie zgubił czapkę, ale to

był drobiazg. Żył i był nadal zdolny do walki. Nieco oszołomiony po upadku usiadł i próbował rozejrzeć się po polu. Głowa przy pierwszym ruchu zareagowała tępym łupnięciem w skroniach. Opadł na plecy, sięgnął garść czarnej roli i przyłożył sobie do czoła. Chłód ziemi przyniósł mu ulgę.

Leżał bez ruchu, zwalczając ból w głowie, kiedy z oddali doszedł go tętent galopujących jeźdźców – to Kozacy pędzili po jeńca. Z drugiego brzegu rzeczki odezwały się strzały, jego ułani próbowali osłonić ucieczkę swego dowódcy ogniem z karabinów. Dystans był duży i cel, ruchomy, zatem celność ognia słaba. Czerski wyjął rewolwer z kabury i odciągnął kurek. Jednym spojrzeniem ocenił swoje szanse. Nie zdąży do mostku, Kozacy blisko. Klęknął i trzymając naganta w obu rękach, zaczął strzelać. Jeden z Kozaków, nie wiadomo przez kogo trafiony, spadł z konia, towarzysze podnieśli go i pogalopowali do wsi. Nie chcieli ryzykować pod ogniem z drugiego brzegu. Czerski wstał i chwiejnym krokiem pobiegł w stronę mostku. Przebiegł już połowę drogi, kiedy na kładce zadudniły kopyta. Podniósł głowę i natychmiast rozpoznał Niemojewskiego, który przyjechawszy pierwszy z całego szwadronu, samotnie wyrwał się, żeby ratować przyjaciela. Ułani przestali strzelać, bojąc się trafić swojego.

Niemojewski osadził konia tuż przy Czerskim i wyciągnął do niego rękę, chcąc go wziąć na drugiego i wycofać się. Czerski zobaczył zaczerwienioną twarz przyjaciela, który skupionym wzrokiem omiatał przedpole.

– Ranny? – krzyknął Niemojewski.

– Nie, tylko potłuczony – odparł szybko Czerski i chciał podać dłoń Niemojewskiemu, kiedy ten cofnął rękę.

– O! Nie pozwolę! Swołocz! – warknął Niemojewski i kopnął ostrogami konia.

Czerski podążył za wzrokiem przyjaciela i zobaczył, że ze wsi nadjeżdżał galopem Kozak. Widać, kiedy ułani przestali strzelać, któryś z bolszewików zdecydował się na pojedynek, ufając swojej wprawie we władaniu szablą. Kozacka umiejętność fechtunku była legendarna i pojedynki ułanów z Kozakami kończyły się różnie. Widząc Kozaka, Niemojewski uznał to za wyzwanie i wyciągnął szablę.

Spotkali się o kilkanaście kroków od Czerskiego, który ścisnął w dłoni rewolwer, ale w walce konnej, przy błyskawicznych ruchach jeźdźców, nie mógł strzelać. Uniesione szable szczękły i konie rozniosły walczących. Jednak uderzenie broni Kozaka musiało być silne albo szabla Niemojewskiego pęknięta, gdyż głównia wyleciała w powietrze, przekoziółkowała, zabłysła w słońcu i wbiła się w ziemię. Niemojewski rzucił ułomek na ziemię i zanim jeszcze konni spotkali się ponownie, zerwał z pleców karabinek. Kozak szarżował z wzniesioną szaszką, pewien zwycięstwa i przyprowadzenia jeńców. Niemojewski chwycił karabinek lewą ręką za lufę i machając nim w powietrzu niczym maczugą, pogalopował naprzeciw. Prawą ręką sięgnął do buta i wyciągnął swój długi nóż, a mając obie ręce zajęte,

tylko łydkami kierował koniem. Chciał zajechać Kozaka z lewej, żeby utrudnić mu cięcie szablą i ułatwić sobie zasłonę karabinem, ale sprawny w jeździe Kozak nie pozwolił mu na to i ustawił się w dogodnej dla siebie pozycji. Szabla spadła ciosem od przodu, który musiał ranić w korpus – widać Kozak chciał wziąć Polaka żywcem i nie próbował roztrzaskać mu głowy. I to go zgubiło. Niemojewski przerzucił karabinek na prawą stronę i szabla odbiła się od ciężkiej broni. Uderzenie wybiło nieporęczną w starciu wręcz broń z dłoni Polaka, ale mając wolną prawą rękę Niemojewski ciał nożem pod wzniesioną rękę Kozaka. Cios okazał się celny, na kurtce jeźdźca pokazała się smuga krwi. Kozak odjechał galopem, puścił szablę i chwycił się za zraniony bok. Nie zawrócił, a tylko goniony strzałami ułanów pogalopował pochylony w siodle w stronę wsi. Niemojewski podjechał do Czerskiego i pomógł mu wskoczyć na konia za siebie. Od tego dnia nikt w szwadronie nie próbował już podśmiewać się z Niemojewskiego, że chodzi z nożem za cholewą buta.

Rozdział III

Warszawa – marzec 1926

Albert Sturman z hałasem zatrzasnął za sobą drzwi. Rozmowa, której przeprowadzenie zlecono mu w Berlinie, nie zadowoliła go, ale miał ją za sobą i wymazał z pamięci zarówno miejsce, jak i osobę, której przekazał zlecenia. Mógł wracać do Berlina.

Nie pierwszy raz był w Warszawie z zadaniem skontaktowania się z głęboko zakonspirowanym sowieckim agentem, ale zawsze dziwił się temu, że był to rdzenny Polak. Nie lubił tych podróży, bo musiał spędzić bez snu dzień i dwie noce w pociągu, ale nie miał wyboru. Polecenie wydane mu w berlińskiej Centrali było nieco dziwne, ale wypełnił je co do joty. Przekazał agentowi nakaz utworzenia stałej linii komunikacji z rezydentem w Warszawie i przygotowanie akcji skompromitowania jakiegoś emerytowanego polskiego generała. W tym celu przekazał mu numery telefoniczne używane przez rezydenta, adresy skrzynek kontaktowych w mieście i ustalił, że projekt akcji zostanie przygotowany w ciągu tygodnia, przedstawiony rezydentowi do zatwierdzenia i wprowadzony w życie natychmiast po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi. Zlecenie z Centrali nie dawało mu jednak spokoju. Na tyle długo pracował w wywiadzie, żeby wiedzieć, że było w nim coś dziwnego.

Raz, że śpioch nie powinien mieć kontaktu z rezydentem, który najpewniej jest obserwowany. Po drugie po co zajmować się jakimś emerytem, nawet jeśli jest znany i wpływowy, są przecież sprawy bieżące, zatem o co tu chodzi? Sprawa wygląda na ryzykowną i nic dziwnego, że ten tam się wściekł. Ale czego mnie tak skłó – zastanawiał się – jestem tylko kurierem z Centrali, ja tego nie wymyśliłem. Ma wykonać i tyle. Nie jego sprawa dlaczego, jego robota, myślą za niego inni.

Schodząc szybko po schodach, nie zwrócił uwagi na człowieka w koszuli z podwiniętymi rękawami i w szelkach wycierającego szybki w oknie klatki schodowej. Nieogolony sprzątac chuchał i pluł na szybki na podeście między piętrami, po czym przecierał je zmiętą w kłęb gazetą. Sturman, zajęty własnymi myślami, a przy tym poddenerwowany odbytą dopiero co rozmową, minął go obojętnie. Gdyby zwracał większą uwagę na otoczenie, zapewne spostrzegłby zwiniętą marynarkę wrzuconą w kąt oraz brak kubła i szmaty, zwyczajowo używanych przy myciu okien. Jednak Sturman obojętnie przeszedł obok sprzątacza i zadowolony z zakończenia misji udał się w kierunku Dworca Głównego.

Wywiadowca policyjny Wojciech Kruk odczekał, aż trzasnęły drzwi do kamienicy, i schylił się po swoją marynarkę. Musiał sprawdzić, z kim skontaktował się znany polskiemu wywiadowi sowiecki kurier z Berlina. Zadanie śledzenia Sturmana otrzymał po zwolnieniu obserwującego go agenta, który przyjechał ze Stur-

manem od granicy. Polski wywiad, na podstawie wiadomości przekazanych przez wywiad Republiki Weimarskiej, namierzył Sturmana podczas poprzedniej wizyty w Warszawie. Na granicy urzędnik kontrolujący dokumenty podróżnych rozpoznał go ze zdjęcia i zatelefonował do wojewódzkiej centrali wywiadu. Na następnej stacji do pociągu wsiadł polski wywiadowca i przejechał ze Sturmanem do Warszawy, gdzie przekazał śledzenie sowieckiego kuriera Krukowi. Zadanie było proste – ustalić, z kim kontaktował się Sturman. Kruk zamierzał sprawdzić, do kogo należał lokal, w którym nastąpiło spotkanie. Włożył marynarkę i chciał wejść piętro wyżej, ale w tym momencie drzwi do obserwowanego mieszkania otworzyły się. Kruk momentalnie odwrócił się i zaczął powoli schodzić w dół, trzymając się poręczy. Był przekonany, że właściciel mieszkania minie go na schodach i wtedy będzie mógł pójść za nim. Ku jego zdziwieniu człowiek w płaszczu i kapeluszu zamiast udać się do wyjścia zaczął wchodzić po schodach w górę. Kruk zaczął liczyć kroki idącego mężczyzny. Każde piętro miało 24 schody, Kruk doliczył do 48, a potem zaskrzypiały drzwi.

Czyżby miał drugie mieszkanie na poddaszu? No, teraz bez pośpiechu. Powoli zbierzemy nazwiska z tabliczek na drzwiach i w końcu się dowiemy, który to. Żadnych rozmów z dozorcą, bo wyda się, że policja węszy i facet zniknie.

Kruk, wywiadowca o ogromnych ambicjach pięcia się po drabinie policyjnej, dopiero niedawno przeszedł z Wydziału IV rejestracyjno-pościgowego do Wydziału V politycznego. Praca w kontrwywiadzie zajmującym się sprawami dywersji bolszewickiej w Polsce bardzo mu odpowiadała głównie ze względu na wyższe zarobki i lepsze możliwości awansu. Teraz nagle Kruk poczuł, że ma szansę na prawdziwą karierę. Wykrycie, z kim kontaktuje się bolszewicki kurier z Berlina, na pewno zrobi wrażenie na szefie.

Kruk bez pośpiechu szedł z piętra na piętro i spisywał nazwiska z tabliczek na drzwiach. Na ostatnim piętrze, gdzie – jak obliczył – trzasnęły drzwi, nie było mieszkań. Zakłopotany podrapał się w głowę.

Wszedł na dach, czy jak?

Otworzył jedyne drzwi na poddaszu i trafił do pachnącej wilgocią i praniem suszarni. W wielkich kamienicach warszawskich urządzano suszarnie świeżo upranej bielizny na poddaszach, żeby mieszkańcy nie wywieszali jej na podwórzu. Kruk znalazł się w ogromnym pomieszczeniu ciągnącym się przez całą długość kamienicy, które łączyło ze sobą kilka klatek schodowych tego samego budynku. W mdłym świetle wpadającym przez małe i brudne okienka w dachu nie widział nic, co wskazywałoby, w którą stronę udał się śledzony przez niego mężczyzna. Cały strych był poprzecinany sznurkami, na których wisiała mokra pościel, bielizna i koszule.

No, ta robota zajmie mi dużo czasu i cały notes – uznał i rozchylając wiszące prześcieradła, poszedł wzdłuż ściany w poszukiwaniu drzwi wiodących na inną

klatkę schodową. Schodził po schodach i z tabliczek na drzwiach albo z listy lokatorów spisywał nazwiska. Pracował niespiesznie i dokładnie, a kiedy skończył, miał w swoim notesie sześćdziesiąt nazwisk mieszkańców domu przy Czackiego 17, ale żadne z nich nic mu nie mówiło.

I co dalej? – pomyślał Kruk.

Warszawa – marzec 1926

Pogoda znowu się zmieniła, teraz śnieg – pomyślał Bogusław Kleszczyński sekretarz prezydenckiej kancelarii, obserwując ulice z wnętrza samochodu. Choler-na plucha! Wystarczy przejść z auta do domu i mogę przemoczyć nogi, a wtedy grypa murowana. Jakiś feralny rok, wiosny ani widu.

Po chwili o szyby auta zabębnił deszcz, a wolno ruszające się wycieraczki rozmazały deszczówkę po przedniej szybie. Poruszały się ze skrzypieniem, zatrzymywały na moment i znowu przeskakiwały do przodu, ale nigdy nie zbierały całej wody ze szkła. Na słabo oświetlonej ulicy przedmieścia auto wpadło w dziurę i chlapnęło wodą na pusty trotuar. Kleszczyński sennie rozmyślał o szczęśliwym dla niego osobiście zbiegu wydarzeń politycznych, który pozwolił mu na zakupienie willi. Plany rozbudowy Warszawy na północ, na Żoliborz, istniały, ale roboty posuwały się bardzo wolno. Brak pieniędzy i walki polityczne w zarządzie miasta skutecznie blokowały postępy. Jedynie obszar wokół dawnej Cytadeli był zabudowany domkami jednorodzinnymi i zasiedlony przeważnie przez oficerów przydzielonych do służby na Cytadeli. Ale nawet tutaj prace napotykały na nieprzewidziane trudności. Otaczające fortyfikacje domki ucierpiały podczas wybuchu włoskiego prochu na Cytadeli w październiku 1923 roku. Dwóch komunizujących oficerów Wojska Polskiego zostało za ten zamach skazanych na śmierć, ale prezydent Wojciechowski postanowił ich ułaskawić i zamienił im karę śmierci na dożywotnie więzienie. W 1925 roku uznano, że można ich wymienić za Polaków przetrzymywanych w Sowietach. Do wymiany jednak nie doszło. Na stacji w Stołpcach zastrzelił ich członek eskorty, policjant Józef Muraszko. To wtedy sekretarz Kancelarii Prezydenta kupił okazji jeden z uszkodzonych w wybuchu domków na Żoliborzu, wyremontował go i teraz właśnie udawał się na spóźniony odpoczynek.

I tak dobrze, że nie muszę tłuc się tramwajem – pomyślał Bogusław Kleszczyński, siedząc wygodnie na kanapie służbowego samochodu. Szczęśliwie się złożyło, że mogłem wziąć samochód z kancelarii, inaczej jechałbym z godzinę do domu tramwajem.

Przejechali przez tory koło Dworca Gdańskiego i na placu Inwalidów skręcili w prawo. Kierowca, dawny warszawski taksówkarz, świetnie znał miasto i nawet w ciemnościach prowadził auto pewnie. W lewo w Śmiałą, dwa skręty i samochód stanął przed domkiem na Kaniowskiej. Kleszczyński pożegnał szofera i otwierając drzwiczki, niemal jednocześnie rozłożył parasol. Samochód odjechał natychmiast,

szofer musiał odstawić go jeszcze do garaży rządowych i dopiero potem mógł udać się do siebie. Kleszczyński skulony przed padającym deszczem nieporadnie szukał kluczy w kieszeni płaszcza. Furtka w zarośniętym winem parkanie jak zwykle była zamknięta, a on nie mógł wygrzebać kluczy wepchniętych głęboko na dno kieszeni pod rękawiczki. Zezłościł się na siebie za tę nieporadność i wtedy usłyszał szybkie kroki. Namacał wreszcie pęk domowych kluczy i podsunąwszy go blisko pod oczy, zaczął wybierać właściwy. Kroki zbliżyły się i umilkły za nim. Kleszczyński zdziwiony odwrócił się, żeby spojrzeć, kto szwenda się po nocy w taką pogodę. Za nim stał wysoki mężczyzna w naciśniętym na oczy kapeluszu i z postawionym kołnierzem płaszcza.

– Pan Bogusław Kleszczyński? – zapytał.

– Tak. A kto pyta? – odparł automatycznie Kleszczyński.

Człowiek w kapeluszu nie odezwał się, wyjął rękę z kieszeni i pchnął Kleszczyńskiego nożem w szyję. Kleszczyński najpierw zdziwił się, a potem chciał krzyknąć ze strachu, ale nie mógł. Przebita krtań nie wydała żadnego dźwięku. Gwałtowny upływ krwi z przeciętej aorty pozbawił mózg tlenu i Kleszczyński po kilku sekundach osunął się po furtce na ziemię. Człowiek w kapeluszu, nie zwracając uwagi na deszcz, pochylił się nad nim i wprawnie przeszukał ubranie. Zabrał portfel, srebrną papierośnicę i zegarek z ręki. Nie musiał się spieszyć przy takiej pogodzie, na ciemnej ulicy nie było przypadkowych przechodniów, którzy mogli być świadkami zabójstwa. Wyjął z kieszeni brudną czapkę w kratę i rzucił na ulicę. Skończywszy, Pasza Iwanow oddalił się do czekającego o kilka przecznic samochodu. Zlecenie zostało wykonane, tylko zmarł i przemoczył nogi. Pewno złapie przeziębienie.

Warszawa – marzec 1926

Czerski miał plan, a przynajmniej tak sądził. Długo myślał, jak wyciągnąć sowieckiego szpiega na światło dzienne, ale snute w głowie fantastyczne koncepcje nie przystawały do prawdziwego świata. W końcu zaczął rozbierać sytuację na elementy i wywnioskował, że może wykorzystać pośpiech, z jakim Sowieci będą zapoznawać się z planem obrony Kresów Wschodnich. Kopię planu dostarczy Niemojewski, przekaże Czerskiemu gdzieś na mieście, a on zabierze materiały do rezydenta. Taka była umowa, ale Sowieci wiedzą, od kogo będą pochodzić plany, zatem będą chcieli to wykorzystać jeszcze w przyszłości. Rezydent powiedział, że na zapoznanie się z planami będą potrzebowali godzinę, może dwie, a potem zwrócą papiery, żeby Niemojewski niepostrzeżenie mógł je odnieść do sztabu. Czyli chcą je pobieżnie przeczytać albo może nawet spróbują je sfotografować strona po stronie, ale taka operacja nie będzie prosta. Fotografowanie trwa i wymaga przygotowania sprzętu oraz laboratorium. Zatem jeśli Czerski wykaże, że są różnice w planach zdobytych z różnych źródeł, to będą musieli szybko stwierdzić, które z nich są

autentyczne. To z kolei wymusi kontakt z jedynym człowiekiem, który może potwierdzić prawdziwość planów, czyli z wysoko postawionym agentem. Pośpiech i kontakt będą okazją do zaobserwowania, o kogo chodzi, a Czerski będzie się kręcił po dziupli rezydenta, czekając na odniesienie polskich planów.

Liczę na szczęście i nieostrożność Sowietów – pomyślał Czerski. Podwójna prowokacja. To może być ciekawe, a jednocześnie groźne. Bolszewicy myślą, że zdobędą plany „Wschód”, a tymczasem ja użyję sfalszowanych planów do zdobycia informacji o ich szpiegu. Nie będą się za bardzo kryli, bo i tak chcą mnie zlikwidować, to może coś się dowiem. Jakaś skrzynka kontaktowa, sygnał alarmowy, kurier, którego da się rozpoznać, i dalej już Niemojewski dojdzie po nitce do kłębka. Znaleźć punkt zaczepienia. Byle tylko nie chcieli mnie rąbnąć zaraz po przekazaniu planów. Ale nie, potrzebują zwrócić je Niemojewskiemu, żeby móc wycisnąć z niego inne dokumenty. Taki kontakt jak oficer wywiadu w sztabie jest zbyt wartościowy, żeby go spalić przy pierwszej akcji. Czyli jestem chwilowo bezpieczny. Potem przejdę na polską stronę i zniknę.

Czerski dolał sobie gorącej herbaty z czajniczka i dopełnił szklanek wrzącą wodą z samowara. Nabrał rosyjskich przyzwyczajęń podczas wojny, przebywając z oficerami pochodzącymi z Kresów. On był najmłodszym podporucznikiem w pułku, zatem wzorował się na postępowaniu starszych oficerów, a oni mieli wyniesione z domów wschodnie nawyczki. Walczyli wtedy z bolszewikami, a zachowywali się jak Rosjanie: nie kawa, ale herbata z samowaru i do tego nie z filiżanki, ale ze szklanki, i to najlepiej ze szklanki z podstawką. Do tego lubili konfitury jezdzone łyżeczką ze spodeczka. Kto by robił takie rzeczy w Warszawie, takie zwyczaje panowały jedynie na Kresach. No i wódkę pili jak Rusczy – dużo i szybko. Ale wtedy była wojna, wojna bezpardonowa, okrutna i długa, nie to co na froncie zachodnim, gdzie wojna skończyła się w 1918 roku. Tutaj wszystko zaczęło się na poważnie dopiero wiosną 1920 i jeszcze do jesieni nikt nie wiedział, jaki będzie wynik. Bolszewicy rzadko brali jeńców, a oficerów z reguły mordowali w najbardziej wyrafinowany sposób. Napatrzył się na pokiereszowane trupy, których nie sposób było nawet rozpoznać. Najgorsi jednak byli chłopcy. Wpaść w ręce chłopstwa na Ukrainie oznaczało długie godziny konania w strasznych męczarniach. Bolszewicy nauczyli ich mordować i prości ludzie przez stulecia zmuszani do niewolniczej pracy, traktowani przez ziemian jak zwierzęta, mścili się na wrogu. A wroga wskazali im bolszewicy agitatorzy. Czerski zamrugał oczami, chcąc odpędzić koszarne obrazy, otrząsnął się z ponurych myśli, które jednak szybką pętlą wróciły do niego. Przecież i teraz nie był w lepszej sytuacji. Jeśli bolszewicy wykryją, że pracuje dla Polaków – zamęczą go, żeby dać przykład innym. Jak wykona swoje zadanie – zlikwidują go, żeby nie było śladów. Każdy wybór stawia go w niebezpiecznej sytuacji. Wielokrotnie i dokładnie wpajano każdemu kandydatowi na szpiega, że przed długimi rękami INO nie było ani ucieczki, ani kryjówki.

W trakcie szkolenia widział innych kandydatów na agentów mówiących po angielsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku i w językach, których nigdy nie rozpoznał. To też był sposób na utrzymanie swoich szpiegów na smyczy. Bolszewicy jakby mówili im: popatrzcie, mamy swoich ludzi w każdym kraju na świecie, nie uciekniesz, więc lepiej nie nawet próbuj, bo i tak ciebie znajdziemy.

Sięgnął po butelkę z wódką, spojrzął na etykietę z napisem „Jeszcze raz” i odstawił ją nietkniętą na podłogę. Dużo siły woli kosztowało go, żeby nie pić, ale nakazał sobie trzeźwość w każdej sytuacji, nawet na swojej kwaterze. I nie pił. Z doświadczenia wiedział, że utrata możliwości zdrowego oceniania sytuacji może kosztować życie, przeżył to dwa lata wcześniej. Tylko na herbacie nie oszczędzał.

Dopił, wyłączył czajnik i włożył płaszcz. Miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Wyszedł z wynajętego mieszkania na Kopernika i Chmielną przeszedł do Marszałkowskiej. Wskoczył do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i pojechał na Wolę. Resztę drogi przeszedł piechotą. Wszedł na cmentarz Powązkowski przez Bramę Świętej Honoraty i z rękami w kieszeniach płaszcz pomaszerował w głąb. Przejście wrót strzeżonych przez postać Rzymianina stanowiło rodzaj cezury, wejście do innego świata, odejście od codziennego życia. Za bramą zostawał hałas ulicy, mało słyszalny za murem i zanikający w miarę posuwania się dalej, a jakże przygniatający podczas chodzenia po mieście. Alejki wysadzone starymi kasztanami wyglądały szaro o tej porze roku, a drzewa, które pochylały się w stronę przejścia, zdawały się tworzyć korytarze wzdłuż rzędów grobów. Bywał tutaj dwudziestego trzeciego każdego miesiąca. To była rocznica śmierci matki, nie mógł opuścić tej daty. Ziemne alejki po panujących ostatnio deszczach były pokryte ciemnoszarym błotem z czarnymi plamami kałuż, ale nie zwracał na to uwagi. Szedł przed siebie w zamyśleniu, rozchlapując deszczówkę i wślaząc w miękkie błoto. W miesiącach letnich wielkie liście kasztanowców ocieniały cmentarz, co tworzyło niepowtarzalną scenerię unikalnej w Europie nekropolii. Groby stanowiły niezwykłą kolekcję dzieł sztuki i dowód szacunku, jakim warszawiacy darzyli tych, którzy zmarli. Budowane z marmuru, piaskowca, kamienia i metalu, stawiane od ponad stulecia i ciągnące się jak okiem sięgnąć, przemawiały do Czerskiego swoistym głosem wieczności. Tutaj można było zapomnieć o kłopotach i niebezpieczeństwie, tu oddawało się myślom o przemijaniu i miłości do tych, którzy odeszli. Pomimo ogromnego ładunku emocjonalnego, który przyciągał Czerskiego na cmentarz, za każdym razem, kiedy przechodził tą samą trasę do kamiennego grobowca w kwaterze 48, nie mógł powstrzymać się od podziwiania swoistego piękna tego miejsca. Wielka gotycka kaplica baronostwa Lesserów, bankierów, i ich rodziny ciemniała już pod wpływem działania deszczu padającego na biały niegdyś piaskowiec. Wielka i pojemna, wybudowana na początku dziewiętnastego wieku, cierpliwie czekała na dalsze pochówki. Piękny grób rodziny Kociołkiewiczów, na którym każdemu nowemu lokatorowi stawiano oddzielną kamienną tablicę z płaskorzeźbą – profi-

lem denata, był zwieńczony figurą kobiety trzymającej krzyż. Na skrzyżowaniu alejek nad grobem Aleksandra Olechowicza pochylał się anioł ze zwiniętymi skrzydłami – jakby opłakiwał odejście ukochanej osoby. Opodał ogromny grobowiec rodzinny Kisielańskich górował nad mniejszymi mogiłami swoją różową bryłą wyciętą z piaskowca. Czerski minął piękny grób Jana Gelli, ledwie dwudziestolatka, z aniołem wyciągającym rękę nad mogiłą w geście pożegnania. Dalej figura chłopca w krótkich spodenkach i marynarskiej koszulce mówiła o odejściu czyjegoś syna. Przedwczesnym odejściu. Wzdłuż alejek ciągnęły się rodzinne groby, szerokie, jakby przewidziane na przyjęcie wszystkich żyjących jeszcze krewnych, z wyrytą długą listą zmarłych przodków, zwieńczone przez herby i opatrzone wypalanymi na porcelanie fotografiami. Cisza i powaga miejsca miała kojący wpływ na rozedrganą duszę podwójnego agenta. Im dalej Czerski zanurzał się w głąb cmentarza, tym bardziej stawał się zadumany, jakby atmosfera miejsca mówiącego mu o przemijaniu życia i odchodzeniu do wieczności zmieniała jego stan mentalny. Wczesnowiosenne otoczenie było ponure, brak liści na drzewach i świeżych kwiatów na grobowcach nadawał cmentarzowi bardziej niż zwykle posępny charakter. Cmentarny nastrój podkreślały fruujące między drzewami wrony, których krakanie zdawało się współgrać z atmosferą miejsca. Tylko polskie rude wiewiórki z pędzelkami futra na końcach sterczących uszek, widocznie czujące już zbliżającą się wiosnę, skakały jak zawsze po alejkach, grobach i drzewach. Dla rudyh mieszkańców cmentarza była to oaza w pulsującym życiu, gęsto zabudowanym mieście. Nie bały się ludzi, nie uciekały, wprost przeciwnie – podchodziły do wyciągniętej ręki w nadziei na otrzymanie orzeszka. Wiły gniazda między konarami i w dziuplach drzew, zapewne nigdy nie opuszczając tego wymarzonego dla zwierzątek zakątka.

Na widok wiewiórek Czerski uśmiechnął się mimo woli. Zawsze poprawiały jego humor, kiedy tylko miał okazję przez dłuższą chwilę obserwować ich zwinne harce. Rudzielce, które obdarzał sympatią od lat szkolnych, nieodmiennie kojarzyły mu się z Warszawą. Dlatego pod koniec szkolenia zapytany przez instruktora INO o wybór pseudonimu odparł bez wahania „Krasnaja Bielka”. Instruktor pokiwał z uznaniem głową. Niewątpliwie pomyślał, że nawiązanie do czerwonego koloru oznaczało szacunek dla czerwonej rewolucji, dla bolszewików. Był jednak w błędzie.

Czerski, idąc, nie czytał numerów kwater wyrytych na słupkach z piaskowca ustawionych na skrzyżowaniach alejek, nie musiał, znał drogę na pamięć. Odnalazł grób bez wysiłku, jakby wszystkie ścieżki do niego prowadziły. Mały grób rodziny Czerskich z figurą pochylonej kobiety, która w geście rozpaczony załamywała dłonie, pasował do nastroju i charakteru cmentarza. Gołą ręką zgarnął kilka zeschniętych liści rzuconych wiatrem, ale poza tym płyta była czysta. Napuszczony srebrną farbą napis pozostał czytelny. Czerski nie przyniósł ani znicza, ani kwiatów. Nie chciał zo-

stawiać po sobie śladów. Zadbany grób mówił mu, że ojciec był tu nie tak dawno i usunął brudy po zimie. Ale Czernski nie mógł pozostawić żadnego znaku, że ktoś opiekuje się grobem. Nie mógł nawiązać kontaktu z rodziną, gdyż to mogło spowodować na nią niebezpieczeństwo.

Stał tam pochylony, odmówił modlitwę za zmarłych, ale ciągle patrzył na czarną płytę. Matka zmarła pół roku po jego zniknięciu. Domyślał się, że złamało ją oskarżenie o zdradę, jakie na niego rzucono. Pewno serce nie wytrzymało nadmiaru złych wiadomości i rozszarpującej duszę miłości do syna, który sprzeniewierzył się wszystkim wpajającym mu od dziecka ideałom. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia, ta faza w jego życiu już się zakończyła, czuł żal. Żal do siebie, że dał się tak łatwo sprowokować, i żal do Ninon, która obdarzona jego młodocianą miłością okazała się zimnym agentem wywiadu. Od tamtego dnia nie kochał żadnej kobiety, nie spotykał kobiet, wręcz ich unikał. Dopiero teraz na polecenie sowieckiego oficera zaczął sekretarkę ze sztabu. Wiedział, do czego miała prowadzić gra, a Anna, kobieta całkowicie nieprzygotowana do takich rozgrywek, łatwowierna i delikatna, była łatwym celem.

Chcą, żebym zniszczył jej życie – pomyślał. Ten sam scenariusz, jaki przeprowadzili ze mną, werbunek przy wykorzystaniu uczuć. Taka ładna i miła kobieta. Bezpretensjonalna. No i ten błysk w oku, jak na mnie patrzyła. Nie mogę jej złamać i zniszczyć. Nie mogę na to pozwolić.

W jego myślach nie było zaciętej determinacji, a tylko zwykłe postanowienie. Silne uczucia zostawił za sobą na śniegu, w którym widniały ślady pantofelek Ninon.

Poprzedniego wieczoru umówił się z Anną do kina, po seansie odprowadził ją pod drzwi kamienicy i wtedy pozwoliła mu się pocałować. Na moment, na do widzenia, i zaraz potem spłoszona i nieco zaambarasowana uciekła do swojego mieszkania. Nie poszedł za nią, nie próbował wprosić się „na kawę”, stał przez chwilę w miejscu jak zaczarowany. Krótki, miękki, przelotny pocałunek, który przypominał mu ciepło, jakie tylko kobieta dać potrafi. Myślał o tym pocałunku przez długi czas przed zaśnięciem. Czuł jego smak na wargach. Ten pocałunek wiele zmienił w jego sposobie myślenia. Zrozumiał różnicę między pocałunkiem doświadczoną w miłości Ninon a delikatnym, niemalże dziewiczym muśnięciem warg Anny.

Spod powieki wymknęła mu się gorąca łza i spłynęła po policzku. Nie stał jej z twarzy, odwrócił się i odszedł. Nadchodził czas działania, koniec z melancholią. Jeśli przyjdzie tutaj za miesiąc, to będzie znaczyło, że ocalał – wtedy zapali lampkę.

Wracając do siebie, z rozmysłem przeszedł obok okna mieszkania Niemojewskiego. W oświetlonym oknie nie było pelargonii.

Warszawa – marzec 1926

Spotkali się już następnego dnia w Ogrodzie Saskim, tak jak to wcześniej ustalili. Czerski siedział na ławce opodal fontanny, smakując atmosferę codzienności i bezpieczeństwa – jakże powierzchowną w jego mniemaniu. Wokół niego pod czujnym wzrokiem panien służących biegały i bawiły się dzieci. W ostatnich kilku latach liczba służby domowej w Warszawie gwałtownie wzrosła – wraz z bogaceniem się mieszczaństwa. Młode kobiety z prowincji przyjeżdżały do stolicy w poszukiwaniu pracy i zwykle znajdowały posady w zamożnych rodzinach przy opiece nad dziećmi i typowych robotach domowych. Czerski ocenił, że w polu widzenia było ich ponad dwadzieścia. Jedne popychały wózki z niemowlętami, inne uganiały się za szalejącymi po parku rozbrykanymi kilkulatkami, ale większość zajmowała się plotkowaniem, które musiało sprowadzać się do obgadywania chlebobawców. Bo i o czym innym miały rozmawiać?

Jednak nie młode służące stanowiły ośrodek jego zainteresowania. Czerski z lubością przyglądał się wielkiej empirowej fontannie, którą zwyczajowo nazywano wodotryskiem. Patrzył na nią od strony ogrodu, zatem widział ją na tle kolumnady Pałacu Saskiego. O ile pamiętał, fontannę zaprojektował i zbudował w połowie dziewiętnastego wieku Henryk Marconi i podłączył do wodociągów zakładanych w mieście. Stanowiła nie tylko centralny punkt ogrodu, ale też miejsce spotkań i swoiste serce całego parku. Pomalowana na biało fontanna wyrzucała w górę kaskady szmerzącej wody, które spadały do postawionej na pojedynczej nodze misy. U dołu cztery delfiny, z których każdy tryskał strumieniem wody, obramowywały dolny basen ozdobiony płaskorzeźbami głów. Woda wylatująca w górę nierównym srebrzystym strumieniem, na tle błękitnego dzisiaj nieba, odbijała promienie słońca. Miało się wrażenie, że nad ogrodem unosiła się lekka tęczowa mgiełka, która nadawała okolicy nieco romantyczny charakter. W jego osobistej opinii fontanna była śliczna, lubił ją i to miejsce, lubił widok beztroskich ludzi kręcących się po alejkach ogrodu.

Przesunął wzrok z fontanny na stojący obok niej zegar słoneczny. Wykonany na zamówienie profesora fizyki Antoniego Szeligi-Magiera w 1863 roku marmurowy zegar przetrwał wojny, powstania i okupacje i nadal cieszył oko zarówno znawców, jak też laików. Czas słoneczny podawany był z dokładnością do pięciu minut i Czerski czasem sprawdzał na nim dokładność swojego zegarka. Piękny element klasycystycznego wystroju parku uzupełniał architektoniczny plan osi saskiej i samą swoją masą skutecznie opierał się działaniom rozbrykanej dzieciarni.

Gdyby jeszcze te rozwydrzone bachory nie wrzeszczały jak obdzierane ze skóry – pomyślał Czerski i rozmarzył się. Szmer wody i wielobarwna tęczą na tle lazuru nieba, to jest mój ideał.

Rzeczywistość ściągnęła go na ziemię niesłychanie szybko. Kątem oka zobaczył zbliżającego się Niemojewskiego. Kapitan, tym razem ubrany w eleganckie

cywilne ubranie i kapelusz, przeszedł obok Czerskiego obojętnie i poszedł w kierunku Zachęty. Czerski dał mu odejść na kilkanaście kroków i podążył za nim. Nie potrzebował zaproszenia, wiedział, że kapitan nie może otwarcie spotykać się z nim, a po fiasku w knajpie Anatola zrobił się bardziej ostrożny. Niemojewski poprowadził go Królewską do Twardej, skręcił w Grzybowską i po przejściu kilku przecznic zatrzymał się przed typową robotniczą kamienicą. Obejrzał się po raz pierwszy, czy Czerski idzie za nim, i wszedł w podwórze. Zaczekał w wejściu do klatki schodowej, przy skrzynce na listy.

– Drugie piętro, drzwi po lewej – mruknął niewyraźnie do przechodzącego Czerskiego.

– Co jest? – zapytał Czerski szeptem.

– W mieszkaniu na drugim piętrze trzymamy Arychtomowa, tego bieżenca z Bolszewii, o którym ci opowiadałem – wyjaśnił cichym głosem Niemojewski. – Niestety nie znalazłem żadnego oficera z 82 pułku z Kazania, żeby go skonfrontować, ale mam zdjęcie dwóch oficerów z tego pułku. Któryś z innych uciekinierów miał takie zdjęcie ze sobą. Damy mu do rozpoznania, który z nich jest Nikołaj Reczke. Jak nie pozna, to znaczy, że w pułku nie był.

– Dobrze – odparł Czerski. – Ale to mało. Nie musiał znać wszystkich oficerów pułku.

– Dlatego ty tu jesteś. Pogadasz sobie z nim, wysondujesz, sprawdzisz, a potem powiesz mi swoje wrażenia.

– Chciałem zrobić coś takiego. Pokazanie zdjęcia może zadziałać, będę go obserwować.

– Pilnuje go, znaczy tego Arychtomowa, starszy przodownik policji. Zaufany człowiek, ale jego instrukcje nie obejmują wyciągania zeznań, to już robota wywiadu.

Weszli na drugie piętro. Niemojewski zapukał do drzwi, mimo że na futrynie był elektryczny dzwonek. Czerski zauważył, że Niemojewski stuknął dwa razy, przerwał i stuknął trzy razy. Ktoś obejrzał ich przez wizjer i dopiero po rozpoznaniu twarzy Niemojewskiego otworzył drzwi. Za progiem stał wysoki i szeroki w barach mężczyzna w cywilnym ubraniu z policyjną blachą przypiętą do klapy marynarki. Siwiejące włosy i nastroszone wąsy nadawały mu wygląd napoleońskiego grenadiera starej gwardii, co pasowało do sierżanckiej postawy i zachowania policjanta. Z twarzą bez wyrazu skinął na nich ręką i zamknął drzwi.

– Jak podopieczny, panie Stawecki? – zapytał Niemojewski.

– Siedzi cicho, nie rozrabia – odparł policjant i oczami wskazał na Czerskiego.

– Ten pan jest ze mną – odparł na nieme pytanie Niemojewski. – Przyszliśmy porozmawiać. Niech pan prowadzi.

Policjant zmierzył Czerskiego jednym spojrzeniem, odwrócił się i otworzył

drzwi do pokoju. Weszli do mieszczańsko umeblowanego saloniku, w którym nie było nikogo. Stawecki zamknął za nimi drzwi na klucz i dopiero wtedy przeszedł do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Przekręcił klucz w zamku, pchnął drzwi i przepuścił ich przed sobą. Znaleźli się w przestronnym pokoju z balkonem, w którym na kanapie leżał mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli i patrzył w sufit. Stawecki został w saloniku, ale zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku. Na widok wchodzących człowiek na kanapie poderwał się z widocznymi oznakami zdenerwowania. Poprawił szybko koszulę i z wyciągniętą ręką zrobił krok w stronę Niemojewskiego.

– Witam, gospodin kapitan – powiedział, siląc się na uśmiech.

– Dzień dobry, panie Arychtomow – odpowiedział Niemojewski i uścisnęli sobie ręce, po czym Niemojewski odwrócił się i wskazał ręką na Czerskiego. – To jest mój współpracownik, porucznik C.

– Dzień dobry – Czerski wyciągnął rękę i zauważył, że dłoń Arychtomowa była spocona ze zdenerwowania.

– Czy długo będziecie mnie tu trzymać? – spytał Arychtomow cichym głosem. – Chcę zacząć działać, a siedząc w tym pokoju, marnuję czas.

– Pan rozumie, że musimy wszystko sprawdzić – odparł Niemojewski, siadając na krześle. – A sprawdzanie trwa, nic nie da się załatwić w kilka dni, ale z pewnością to już nie potrwa długo. Czy karmią pana dostatecznie dobrze?

– Z pewnością lepiej niż w wojsku – odparł Arychtomow, opadając na kanapę.

– No to chyba nie narzeka pan na złe traktowanie – wtrącił Czerski.

Czerski zdjął płaszcz i kapelusz, rzucił je na fotel i stanął oparty o ścianę. Chciał mieć jak najlepsze pole obserwacji.

– Rozumiem, że wywiad musi mnie przeświecić – powiedział Arychtomow, siląc się na ugodowy ton – tylko nudzę się tutaj, a mógłbym już zacząć pracować.

– Wszystko w swoim czasie – Niemojewski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zdjęcie dwóch oficerów piechoty w carskich mundurach. Jak każde tego typu zdjęcie przedstawiało upozowaną scenę w atelier, jeden z nich siedział na stołku, a drugi opierał się o niską pseudogrecką kolumnę na tle ekranu z namalowaną scenką w parku. – A to jest fotografia oficerów pańskiego pułku. Czy pan kogoś rozpoznaje?

– Aha – mruknął Arychtomow i wziął ją do ręki, odwracając się do światła. – Pan wie, kapitanie, ja byłem przeniesiony przed samą wojną i mogę nie znać wszystkich oficerów pułku. Snimka niewyraźna, rozmazana i złamana, to niełatwe.

Czerski spostrzegł wyraźne zdenerwowanie na twarzy Arychtomowa, który przez długą chwilę przyglądał się postaciom na fotografii, obrócił tekturkę kilka razy w rękę, aż w końcu spojrział bezradnie na Niemojewskiego.

– Nie znam tych ludzi – powiedział. – Może byli w pułku, zanim ja dołączy-

łem. Snimka widać jeszcze z carskich czasów, mundury mikołajewskie. Ja dołączyłem do 82 pułku w sierpniu 1914, już podczas mobilizacji. Nie znam.

– Jeden z nich nazywał się Reczke – dodał Niemojewski. – Niech pan jeszcze raz popatrzy. Czy pan go poznaje?

– Nie ma potrzeby patrzeć, panie kapitanie, ja ich nie rozpoznaję – w głosie Arychtomowa drgnęła nuta rezygnacji. – Teraz pan mi nie wierzy, ale ja uciekłem z Rosji. Tam straszno, ja sam uciekłem. To była moja szansa, żeby się wyrwać stamtąd.

Arychtomow mówił powoli, ze smutkiem w głosie. Świetnie rozumiał, że podczas krótkiej rozmowy nie zdał egzaminu i wobec tego może zostać potraktowany jak bolszewicki szpieg. Oddał zdjęcie Niemojewskiemu i siedział nieruchomo, jakby czekał na wyrok. W całej postawie Arychtomowa przebijała rezygnacja połączona z fatalizmem. Nie mógł udowodnić, że jest tym, za kogo się podaje, nie mógł uciec ani wpłynąć na tok wydarzeń, zatem apatycznie czekał na werdykt Niemojewskiego.

– No to szkoda, że pan nie poznaje sztabkapitana Reczkego – powiedział Niemojewski.

– Panie Arychtomow, jak przyjechał pan do granicy? – zapytał Czerski. – Czy trudno było przejść granicę?

– Przejście granicy było łatwe – odparł zapytany. – Ale do granicy nie przyjechałem, pociągi nie dochodzą. Ostatnie pięćdziesiąt wiorst szedłem pieszo, nocami. Bo pilnują nie linii granicznej, ale strefy przygranicznej głębokiej na pięćdziesiąt wiorst.

– Niech pan nam o tym opowie – kontynuował Czerski.

– Co tu dużo mówić? Szedłem dwie noce, a w dzień kryłem się w rowie na otwartym polu, bo bałem się, że po krzakach i lasach będą szukać. Samą granicę przeszedłem nie wiedząc kiedy, żadnych znaków nie było, ale doszedłem do Żychcina bez kłopotu. U mnie była karta okolicy, jeszcze wojenna, a kierunek brałem po słońcu. Tylko już po polskiej stronie zaczął padać deszcz i trochę się zgubiłem. Jak doszedłem bliżej, to schowałem się w sianie, żeby zaczekać, zobaczyć, czy to naprawdę Polska. No i wtedy bolszewicy nastąpili na dworek.

– To ciekawe – mruknął Czerski. – A skąd pan zna polski?

– Stacjonowałem w Warszawie od 1910 do 1914 roku, to i poduczyłem się. Służyłem wtedy w 29 Czernichowskim Pułku Piechoty. Dobrze tu było przed wojną, przyjemnie. Miasto piękne, metropolia. Trzecie co do wielkości miasto w imperium. Ot i skuczno za dawnymi czasy.

– Niech pan się nie przejmuj, panie Arychtomow – powiedział pojednawczo Niemojewski i kiwnął głową na Czerskiego. – Nam już pora, ale przyjdziemy jeszcze pogadać. Może jutro. Niech pan sobie wypoczywa po trudach podróży z Bolszewii.

– Rzeczywiście pora na nas – powtórzył Czerski, który wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć.

Na schodach nie rozmawiali, choć widać było, że Niemojewskiego roznosiła ciekawość. Dopiero na podwórzu zatrzymali się, Czerski wyciągnął papierosa i z lubością zaciągnął się aromatycznym dymem.

– No i co? – zapytał Niemojewski.

– Oficerem to on nie jest, a do tego zbolszewiczały jakiś – odparł Czerski w zamyśleniu. – Powiedział „mikołajewskie mundury”, żaden przedrewolucyjny oficer czegoś takiego by nie powiedział. Ponadto powiedział „uciekłem z Rosji”, nie z Bolszewii, ale z Rosji.

– Znaczy szpieg – podsumował krótko Niemojewski.

– Nie jestem tego pewien – odparł Czerski. – To nie jest takie proste. Powiedział, że szedł ostatnie pięćdziesiąt wiorst do granicy piechotą, czyli nie dowieźli go do granicy. Oni rzeczywiście pilnują głębokiej strefy przygranicznej, a nie tylko granicy jak my. Przy tym poprawnie wymienił pułk, który przed wojną stacjonował w Warszawie.

– Zatem?

– Zatem, Józus, to jest uciekinier, ale nie oficer, a ktoś zupełnie inny. Dawny żołnierz albo może podoficer. Przepytaj go jeszcze raz, podsuń, że mu nie wierzysz, może się załame i powie prawdę. Na przeszkolonego szpiega mi nie wygląda. Gdyby nim był, to miałby szybką i klarowną odpowiedź na każde pytanie. Ale kto wie?

– I co ja mam z nim zrobić? – Niemojewski podrapał się w głowę w zakłopotaniu.

– A to już nie moja sprawa. Ale możesz sprawdzić na Cytadeli w archiwach, czy jakiś Arychtomow służył w 29 pułku. Chyba macie jakieś archiwa?

– Z pewnością są – Niemojewski poweselał. – A potem go przycisnę, że takiego nie było i zobaczymy, co powie.

Warszawa – marzec 1926

Poprawiła jeszcze raz pomadkę na ustach i z zadowoleniem przyjrzała się wynikom swojej pracy. Lekki makijaż podkreślał urodę, a jednocześnie był na tyle delikatny, że nie miał wyzywającego charakteru. Posunęła się tak daleko, że nawet wypolerowała paznokcie, czego nie robiła od bardzo dawna, uważając, że to strata czasu. Mając przygotowania za sobą, oceniła wyniki swoich wysiłków. Sądząc z odbicia w lustrze toaletki, a odwracała się z obu boków, z pewnością dzisiaj wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Jej sylwetka nie straciła młodzieńczej linii, jedynie biodra trochę się zaokrągliły, zatem obcisła spódnica tylko uwydatniała zalety jej figury. Ubrana w jasnopopielatą bluzkę i szarą garsonkę – wygładziła dłonią niewidoczne fałdy na froncie spódnicy – prezentowała się jak dwudziestoletnia dziew-

czyna. Włosy, gładko zaczesane do tyłu w modny kok, odsłaniały owal twarzy, a pojedynczy sznur perełek, odziedziczonych po matce, ozdabiał skromny dekolt. Anna Chylińska uśmiechnęła się do odbicia w lustrze i uznała, że wygląda szalenie. Z radości zakręciła się na obcasie bucików i klasnęła w dłonie. W tym momencie była pewna zwycięstwa.

Chyba jestem zakochana – pomyślała i przeciągnęła się, patrząc wciąż w lustro. Ach, jakie to piękne, jakie błogie. Jestem taka szczęśliwa.

Przypadkiem jej wzrok prześliznął się po zegarze stojącym na komodzie i z niepokojem sprawdziła czas na ręcznym zegarku – jej amant spóźnił się. Wychowana w rodzinie wojskowej lubiła punktualność i ceniła ją u innych, ale tym razem Karol nie zjawił się o umówionej godzinie i to ją zmartwiło. Dotychczas zawsze był na czas, a właśnie dziś, kiedy ubrała się i umalowała, spóźnił się.

Czy aby coś mu się nie stało? – pomyślała i natychmiast czarne przewidywania nawiedziły jej umysł. Ma przecież taką niebezpieczną pracę, w wywiadzie. Może go bolszewicy poranili, może potrzebuje pomocy. Co mam zrobić? Dokąd pójść? Gdzie szukać pomocy?

Na żadne z tych pytań nie miała odpowiedzi. Poczula nagły przypływ strachu o Karolka. Kilka dni temu zaczęła go nazywać w myślach zdrobniałym imieniem. Wiedziała, że to głupi, taki pensjonarski odruch, ale nie mogła już myśleć o nim: „Karol Bałaban”. Takie poważne traktowanie starającego się o nią mężczyzny było zbyt sztywne. Niemniej zdrobnienie wydawało się śmieszne, nie byli już przecież uczniakami, nie prowadziła sztambucha, żeby wymyślać pieszczotliwe imiona dla ukochanego, ale nie mogła opanować odruchu. Teraz już pozostał w jej myślach Karolkiem.

Stała przed lustrem przy toaletce i czuła narastające zdenerwowanie, jakby jakiś duch nagle wycisnął z niej całą radość życia. Moment wcześniej cieszyła się na spotkanie, stroiła i malowała, a po jednym spojrzeniu na zegar stała się kłębkim nerwów. Wahadło uczuć w ciągu jednej sekundy przesunęło się z jednego ekstremum w drugie. Lata przeżyte w samotności, kiedy już prawie pogodziła się z myślą, że zostanie starą panną, bo przecież na Trebuskiego nie mogła liczyć, spowodowało pustkę w jej życiu. Tę pustkę wypełnił przypadkowo poznany dawny podwładny jej opiekuna. Przemity człowiek, delikatny, spokojny i prawdziwy patriota, który ryzykował życiem dla Polski nie tylko podczas wojny, ale również teraz. Szarpnęły ją emocje tak silne, że poczuła słabość w nogach. Potrząsnęła dłońmi, które zaczęły jej drżeć i czując uginające się pod nią kolana, opadła na gondolkę. Jeszcze moment i się rozplacze. Przycisnęła dłonie do twarzy, żeby się opanować, i w tym momencie dzwonił dzwonek u drzwi.

Poderwała się z radością i biegiem ruszyła w stronę przedpokoju, stukając obcasikami o parkiet. Szarpnęła klamkę, nie spoglądając nawet w wizjer i cała opadła z sił. Przed progiem stał uśmiechnięty Karol z bukietem pierwszych tulipanów

w ręku. Ulga, jakiej doznała w tym momencie, obezwładniła ją zupełnie.

– Witaj, Aniu – powiedział swoim miękkim głosem. – Spóźniłem się, przepraszam. Miałem robotę i...

– Ach, Karolku – powiedziała z ulgą, która odbierała jej siły, i bezwiednie rzuciła mu się w ramiona.

Czerski chwycił ją i przycisnął do piersi, a ich usta spotkały się niemal przypadkowo. Ten pocałunek był namiętny, nie sztubacki, nerwowy i pełen wahania, lecz dorosły i z dawna oczekiwany. Anna nie mogła się bronić, potrzebowała tego pocałunku jak niczego innego na świecie. Chciała przeciągnąć moment intymności, zamknęła oczy i smakowała jego wargi. Pod falą przenikających ją gwałtownych uczuć poczuła delikatny dreszczyk wokół krzyża, słabość w kolanach i nagle jej nogi ugięły się. Osłabiona nieoczekiwanym przejściem od rozpaczki do szczęścia zaczęła osuwać się, lecz wtedy poczuła trzymające ją silne ramiona mężczyzny. Długo tłumione uczucia owładnęły nią i nie pozwoliły myśleć o tym, co przystoi porządnej kobiecie z dobrego domu. Nic się nie liczyło, tylko on.

Czerski zaskoczony nagłą pieszczotą przyjął ją i oddał z całą mocą. Poczł ogarniające go pożądanie, ale potrafił się kontrolować i stale myślał o zachowaniu decorum. Postąpił krok naprzód i wolną ręką pchnął drzwi. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś z sąsiadów zobaczył ich w intymnej sytuacji, to mogło zaszkodzić reputacji Anny. Drzwi trzasnęły głośno i Anna zdziwiona hałasem oderwała usta od jego warg. Spojrzał jej w oczy, zobaczył przymknięte ze szczęścia powieki, omdlała prawie twarz i zrozumiał moment.

– Tak się o ciebie bałam – szepnęła.

– Nie mów nic – wyszeptał i pociągnął ją w głąb mieszkania.

Anna wiedziała, że powinna się bronić, nie dopuścić do tego, co musiało teraz nastąpić, ale nie mogła. Za długo była sama, za wiele marzeń, zbyt często płakała w poduszkę w nocy, za bardzo pożądała miłości, żeby teraz opierać się ramionom swojego wybranego mężczyzny. Uległa. Anna nie byłaby jednak sobą, gdyby omdlała i bezwolnie pozwoliła zawlec się na łóżko jak manekin, coś takiego byłoby wbrew jej naturze. Wzięła aktywny udział w rozgrywającej się akcji – pomogła mu zdejmować z siebie ubranie. Efekty wielu godziny przygotowań spędzonych przed lustrem legły w gruzach w ciągu minuty pod postacią zmiętej na podłodze garderoby. Anna uwielbiała każdą sekundę, kiedy czuła dłonie Karolka zrywające z niej ubranie, bluzkę i spódnicę, a potem bieliznę. Ułatwiała mu, co tylko mogła, czy to rozpinając guziki, żeby szybciej zdjąć bluzkę, czy też unosząc biodra, żeby łatwiej zsunąć jedwabną bieliznę. Czuła szczęście na samą myśl, że jest pożądana i pieszczona, jak jej się wydawało – tak jak żadna inna kobieta na świecie. Oboje nie mieli wprawy ani wiedzy, a pomimo to przeżycie było niezwykłe. Nie trwało to długo. Pierwszy moment intymności, wiedziony gwałtownym porwywem uczuć, zwykle nie trwa długo. Kochankowie opanowani burzą uczuć nie dążą do przeciągnięcia

momentu rozkoszy, to przychodzi później. Oboje śpieszyli się, jakby chwila szczęścia mogła się nagle skończyć. Kiedy w końcu Karolek doszedł do sedna, ułatwiła mu to i poruszyła biodrami na boki. W momencie przekroczenia apogeum stracili natychmiast siły i opadli na zmiętą pościel. Przez długą chwilę delectowali się pocałunkami, żeby wreszcie opaść z sił i ułożyć się obok siebie. Anna na ustach miała uśmiech, a jej oczy powoli zachodziły mgłą odurzenia. Długo oczekiwana rozkosz właśnie się spełniła.

Wyczerpani zaspokojeniem chronicznie tłumionych uczuć legli obok siebie i ciężko oddychali. Anna naciągnęła na siebie prześcieradło, chcąc okryć swoją nagość, ale taka skromność była zupełnie Czerskiemu obca. Zamknął oczy i czekał, aż serce przestanie mu kołatać w piersi. Powoli czuł, jak się gdzieś zapada, znikające podniecenie wyzwoliło zmęczenie, jego umysł zaczął zwalniać i Czerski zasnął, leżąc nago na wznak na pościeli.

Obudził się godzinę później. Leżał sam na łóżku, a Anna w szlafroku krzątała się po pokoju. Ubranie było pozbierane i porządnie złożone na krześle obok. Ubierając się, ze zdziwieniem zauważył, że spodnie i koszulę miał odprasowane. Spojrzał na Annę, która z uśmiechem na twarzy obserwowała, jak ubierał się, siedząc na łóżku. Jakby zawstydzeni nie patrzyli sobie w oczy. Anna, wyraźnie przejęta czymś, zajmowała się drobiazgami, przestawiała paczuszki herbaty w szafce, postawiła imbryk na gazie i sięgnęła po filiżanki.

– Skąd masz te okropne blizny na piersi? – spytała napiętym ze zdenerwowania głosem, stojąc do niego tyłem. Samo zadanie tego pytania wiele ją kosztowało. Nie chciała dopytywać się o jego przeszłość, ale blizny były makabryczne i nie mogła o nich zapomnieć.

– To niestety pamiątka ze służby wojskowej – odparł, wiedząc, że kłamie. – Wojna to zła matka.

Przyjęła jego słowa i więcej nie pytała, chociaż wydawało się jej, że takie blizny nie były skutkiem odniesionych na polu bitwy ran. Godzinę później Czerski wyszedł z kamienicy na Szczygła i zatrzymał się przed bramą. Odruchowo rozejrzał się po ulicy i nie widząc niczego, co zwracałoby uwagę, ruszył w stronę Nowego Świata. Mijał właśnie stojącą przy krawężniku dorożkę, kiedy usłyszał, jak ktoś zawołał go po imieniu.

– Panie Karolu, proszę tu do mnie. Podwiozę pana do domu.

Na dźwięk tego głosu Czerski wzdrygnął się, znał go dobrze. Spod budy dorożki wyjrzała twarz Pokrowskiego, sekretarza posła ZSRS Piotra Wojkowa, który jednocześnie był rezydentem bolszewickiego wywiadu w Warszawie. Pokrowski momentalnie zniknął za podniesioną budą dorożki, chciał uniknąć rozpoznania przez przypadkowego przechodnia. Czerski przez ułamek sekundy był oszołomiony, ale szybko opanował się. Nikt na ulicy nie mógł zauważyć czegoś nienormalnego w jego zachowaniu.

Jak oni mnie tutaj znaleźli? – pomyślał. Obserwowali czy po prostu stali tutaj przed tym domem. Nie, nie stali, wiedzieli, że tu będę, zatem ktoś za mną chodził. Jestem obserwowany, być może stale obserwowany, muszę wziąć to pod uwagę.

Czerski odwrócił się i z uśmiechem, jakby spotkał przypadkowo znajomego, wsiadł do dorożki. Nie uszło przy tym jego uwadze, że na koźle siedział jeden z agentów Wojkowa w Warszawie. Nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy dorożka ruszyła z miejsca.

– Jak to dobrze, że was spotkałem – powiedział Pokrowski.

– Tak, rzeczywiście – odparł Czerski z nutką sarkazmu w głosie. – Czy coś się stało?

– Och, nie – szybko powiedział Pokrowski. – Po prostu niepokoił się o was. Dawno nie składaliście raportu i szef chciał wiedzieć, co się dzieje.

– Pracuję. Jak dotąd wszystko idzie zgodnie z planem.

– Długo trwa. Szef się niepokoi. Centrala naciska na wyniki. Wiecie, jak to jest.

– Nic nie poradzę. Niech pan powtórzy szefowi – Czerski z rozmysłem zwracał się do Pokrowskiego przez pan – że nie mam wpływu na tempo pracy w polskim sztabie. Wyniki moich działań są obiecujące. Jak coś będzie, powiadomię w normalnym trybie.

– Trzeba trochę nacisnąć.

– Plany nie są gotowe, to i ja ich mieć nie mogę.

– Jak z tą sekretarką. Będzie pomocna?

– Zrobi wszystko, co będę chciał.

– Znaczą się, zerznięliście ją – Pokrowski zaśmiał się lubieżnie. – Mówiłem szefowi, że można na was liczyć.

Czerski pomyślał, że chętnie dałby mu w gębę. Spojrzał na Pokrowskiego z dezaprobatą, ale natychmiast zmienił wyraz twarzy i uśmiechnął się.

– A wy myśleliście, że co? Sama chciała.

– W każdym razie macie jeszcze tydzień na zakończenie tej sprawy. Moskwa żąda wyników. Nie możemy czekać w nieskończoność. Użyjcie silniejszych argumentów, a jak to nie podziała, to pošlemy do kapitana Niemojewskiego Iwanowa. On sprawę załatwi.

– To byłby błąd. Tych spraw nie można ponaglać, bo Niemojewski zrobi coś głupiego i wszystko przypadnie.

– Jak pogada z Iwanowem, to będzie grzeczny i zaraz przyniesie plany.

Czerski wyczuł w głosie Pokrowskiego groźbę i przestraszył się nie na żarty. Iwanow był agentem używanym do wymuszeń, a czasem nawet do zabójstw. Czerski znał jego reputację z rozmów z podwładnymi Wojkowa, którzy bali się go i niechętnie o nim mówili. Iwanow utrzymywał dyscyplinę wśród bolszewickich agentów i likwidował zagrożenia dla lokalnej siatki szpiegowskiej.

– Nie ma takiej potrzeby. Niemojewski współpracuje bez zastrzeżeń. Tylko planów po prostu jeszcze nie ma.

– Tak wam powiedział?

– Tak powiedział. Ja już tu wysiądę, a pan niech opowie szefowi, co raportowałem.

– Siedźcie spokojnie – głos Pokrowskiego stał się zimny. – Jak z wami skończę, to wam pozwolę iść. Czyli rozumiem, że Niemojewski powiedział wam, że plany niegotowe. Czy tak?

– Już to mówiłem. Tak – Czerski zaniepokoił się ponownie. Dopytywanie się o ten sam szczegół mogło oznaczać, że wiedzą więcej niż to, co on im mówi.

– A ta Chylińska? Co ona mówi?

– Jej nie pytałem o plany. Za wcześnie.

– Aha. Za wcześnie. No to możecie wysiadać, towarzyszu Czerski. Oczekujemy raportu za trzy dni i wyników w ciągu tygodnia. Rozumiemy się?

– Zrobię, co będę mógł. Do widzenia.

Czerski wyskoczył z dorożki, nie czekając na odpowiedź i ruszył do swojego mieszkania. Nie oglądał się, to mogło oznaczać, że się boi, ale czuł na plecach wzrok Pokrowskiego. Jego plany brały w łeb, bolszewicy albo nagle zaczęli się spieszyć, albo mieli więcej agentów, którzy raportowali co innego niż Czerski. Jeśli posądzą go o zdradę, to dostanie kulę w plecy. Tu na ulicy, w biały dzień. Czerski czuł, jak po krzyżu przebiegają mu dreszcze. Zrobił pięć kroków, a potem kolejne pięć. Strzał nie padł i mężczyzna skręcił w bramę swojej kamienicy.

Rozdział IV

Warszawa – marzec 1926

Wywiadowca Wojciech Kruk spędził całe dwa popołudnia przy biurku w Inspektoracie 1 na Hożej 30, porównując nazwiska z listy lokatorów z nazwiskami znanymi ze świata polityki, ale niczego nie osiągnął. Nikt z mieszkających w kamienicy przy Czackiego 17 nie był osobą znaną publicznie. Kiedy skończył pracę, poczuł głębokie rozczarowanie tym niepowodzeniem. Jeśli nie mógł znaleźć nikogo poważnego, to oznaczało, że człowiek, który kontaktował się z agentem Sturmanem, wyszedł z kamienicy przez klatkę schodową i zniknął. Na drzwiach mieszkania, w którym spotkali się dwaj agenci, wisiała tylko nic nieznacząca tabliczka z nazwiskiem Andrzej Nowak. Kruk zdążył już sprawdzić, że nikt pod takim nazwiskiem nie był zameldowany w kamienicy, mieszkanie należało do kogoś innego, kto podnajał je Nowakowi. Oczywiście nazwisko było popularne i zapewne zmyślane, a sprytny szpieg używał go do spotkań z bolszewickimi kurierami.

Kruk poczuł zniechęcenie, podrapał się w głowę, wsadził kolejnego papierosa do zażółconej od częstego używania szklanej fifki i zapalił. Odczuwane przez dwa dni podniecenie, że jest blisko wykrycia bolszewickiego agenta, zaczęło zamieniać się w frustrację.

Szpieg, który kontaktował się ze Sturmanem, jest bardzo ostrożny – pomyślał. Używa wynajętego mieszkania do spotkań i nawet nie wychodzi na ulicę z tej samej klatki schodowej co kurier z Berlina. Bardzo, bardzo ostrożnie. Czyli jest to ktoś, kto przeszedł przeszkolenie, zna rzemiosło i nie da się łatwo podejść. A zatem mamy do czynienia z ważnym, wysoko ulokowanym szpiegiem, a nie z tuzinkowym urzędnikiem. Zniknął mi i na liście lokatorów są same nic nieznaczące nazwiska, co oznacza, że może nie mieszkać w tej samej kamienicy, w której spotkał się z kurierem. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to nigdy go nie znajdę. Ale zanim zrezygnuję, to jeszcze raz przejrzę listę lokatorów i porównam z nazwiskami znanych osobistości. No cóż, ale zanim... pora napić się herbaty.

Kruk wstał zza biurka i przeszedł przez biuro sekcji dochodzeniowej. W małej niszy w ścianie na końcu dużego pokoju detektywi i wywiadowcy robili sobie herbatę na dwupalnikowej kuchence gazowej. Kruk postawił czajnik na gazie i oparł się o ścianę, czekając, aż woda się zagotuje. Spojrzał na najbliższe biurko i sięgnął ręką po leżącą gazetę. Na pierwszej stronie widniała notatka *Morderstwo na Żoliborzu*. Jak zawsze zainteresowany kroniką kryminalną miasta Kruk zaczął czytać.

„Wczoraj nad ranem policja została zawiadomiona o znalezieniu zwłok zamordowanego mężczyzny na ulicy Kaniowskiej na Żoliborzu. Ofiara została ziden-

tyfikowana jako Bogusław Kleszczyński, sekretarz w kancelarii prezydenta Rzeczypospolitej. Policja stwierdziła, że tłem morderstwa był rabunek, gdyż przy ofierze nie znaleziono portfela oraz zegarka i papierośnicy, które zawsze nosił przy sobie. Morderstwa dokonano za pomocą noża. Zarówno motyw i sposób dokonania zbrodni, jak też znaleziona w pobliżu apaszowska czapka wskazują na udział warszawskiego półświatka. Wszystkie osoby, które mogłyby rzucić światło na okoliczności morderstwa, proszone są o kontakt z policją. Ze względu na osobę zamordowanego śledztwo przejęła Komenda Główna Policji.

Sekretarz Bogusław Kleszczyński został, do czasu nominacji przez szefa gabinetu prezydenta, zastąpiony w czynnościach przez podsekretarza Andrzeja Krasnostawskiego”.

Kruk zmarszczył czoło, a potem nagle uświadomił sobie, gdzie widział to nazwisko. Popędził do swojego biurka. Złapał notes i zaczął go wertować, nerwowo śliniąc palce przy przewracaniu małych stronnic. Na trzeciej kartce z nazwiskami spisany na klatce schodowej w kamienicy przy Czackiego 17 widniało nazwisko Andrzeja Krasnostawskiego.

No, to jeszcze może być przypadek – pomyślał wywiadowca. Ale z drugiej strony to musiałyby być cholernie przypadkowy przypadek. Powinienem złożyć raport do nadinspektora, ale trzeba wyeliminować możliwość pomyłki. Oskarżenie urzędnika w Kancelarii Prezydenta musi być dobrze udokumentowane, a nie jakaś tam zbieżność nazwisk. Trzeba to sprawdzić za pomocą najprostszej prowokacji.

Kruk pożałował po raz nie wiadomo który, że nie widział twarzy szpiega. Gdyby znał jego wygląd, mógłby go zidentyfikować bez większego wysiłku. A tak musiał uciec się do podstępu.

Jeśli pójdę teraz do szefa z tą wiadomością, to pewnie wyrzuci mnie za drzwi – pomyślał. Muszę sprawdzić, czy mam rację. Podrzucę temu Krasnostawskiemu list z żądaniem zapłacenia mi pięciu tysięcy dolarów za milczenie. Nie, to za mało na szpiega, lepiej będzie dziesięć tysięcy dolarów. Jeśli zapłaci, to znaczy, że go mam, jeśli narobi awantury w kontrwywiadzie, to jest niewinny. Przy okazji dowiem się, jak wygląda. Wprawdzie może spróbować uciekać, ale wtedy złapią go na granicy.

Kruk przez resztę popołudnia rozważał różne możliwości swojej akcji, przewidywał ruchy szpiega i oceniał grożące mu niebezpieczeństwo. Uznał, że nie musi spotykać się z Krasnostawskim, wystarczy, jeśli powie mu, gdzie zostawić pieniądze, a potem będzie obserwować to miejsce.

Tak, ale jak to zrobić, żeby wiedzieć, który to ten Krasnostawski? – pomyślał. Ktoś coś wrzuci do skrytki, a ja nadal nie będę wiedział, jak on wygląda. Ryzyko duże, bo to szpiegowska afera i mogą posłać za mną likwidatora. To Sowietci, zatem będą chcieli mnie zlikwidować, a nie zapłacić.

Kruk podrapał się w głowę i spojrzął na rozłożony notes. Podkreślił nazwi-

sko Krasnostawskiego i wrzucił notes do szuflady. Musiał zająć się pisaniem raportu z obserwacji kuriera, a potem pójdzie się przespać i rano może coś mądrego wpadnie mu do głowy.

Usiadł przy biurku i dokładnie opisał wydarzenia z tamtego ranka. Opisał wszystko łącznie ze zniknięciem agenta, nie wspomniał jednak o zebraniu nazwisk lokatorów kamienicy. O tym napisze w następnym raporcie, jak będzie już pewny, że ma komplet informacji.

Warszawa – marzec 1926

Iwanow na robotę zabrał z poselstwa dwóch ludzi. Potrzebował kierowcy samochodu, żeby odwieźć Arychtomowa do willi, ale najważniejszą rolę zamierzał powierzyć młodemu czekiście Szurajewowi, świeżo przysłanemu z Moskwy. Wojkow przedstawił Iwanowowi zadanie i dał mu jeden dzień na przygotowanie planu. Robota nie była trudna, wymagała jednak pewnego przygotowania, żeby akcja odbyła się w ciszy, bez świadków i wynikających z tego utrudnień. Iwanowowi bardzo zależało, żeby nikt ich nie widział, a tym bardziej nie zapamiętał. Jakiś przypadkowy świadek mógł spowodować odesłanie go do Centrali, a tego wołał uniknąć. Lubił Warszawę, która oferowała dużo rozrywek, co przy jego znacznych dochodach z OGPU oznaczało, że nie musiał siedzieć sam na kwaterze. Nauczył się trochę polskiego, przez co mógł uchodzić za uciekiniera ze Wschodu. W różnych sytuacjach wielokrotnie i z dobrym skutkiem udawał Polaka – uchodźcę wygnanego z Mińszczyzny przez bolszewików. Potrafił ubrać się modnie i na tyle porządnie, że zewnętrznie robił dobre wrażenie na kobietach, co bardzo pomagało w nawiązywaniu kontaktów. Wprawdzie po kilku minutach konwersacji każdy mógł wyczuć poważne braki w edukacji, ale nie był wybredny i zadawał się z kobietami z niższych sfer, które nie były wykształcone. Zwykle wystarczało zafundowanie kilku kolejek wódki i pokaz męskiej siły, żeby kobiety mu ulegały. Lubił zatem warszawską placówkę. Ponadto powrót do Centrali po wpadce oznaczał wysłanie do jakiejś zapadłej dziury w głębi Rosji, gdzie będzie musiał nocami likwidować wrogów i w końcu dostanie pomieszczenia zmysłów, jak kilku jego kolegów. Widział takie przypadki i doskonale się orientował, że były wywołane pracą. Mając to na uwadze, Iwanow starannie przygotował się do wykonania zlecenia Wojkova.

Zaczął przygotowanie do przeprowadzenia akcji od udania się pod kamienicę na Grzybowskiej. Nie miał czasu na długą obserwację obiektu, ale kilka godzin mógł na tę podstawową czynność poświęcić. Kupił butelkę wódki, stanął w bramie naprzeciw i powoli popijał. Człowiek pijący z butelki stanowił powszedni widok w tej części miasta, gdzie kręcili się robotnicy z browaru Haberbusch i Schiele, Żydzi udający się do Zarządu Warszawskiej Gminy Starozakonnych i pracownicy zakładów metalowych Konrad, Jarnuszkiewicz i Spółka. Warszawscy robotnicy mający stałą pracę i niezłe zarobki stanowili rodzaj arystokracji wśród niższych

warstw stolicy, jednak picie wódki w bramie nie było niczym nadzwyczajnym. Po brukowanej kocimi łbami ulicy Grzybowskiej wciąż jeździły konne platformy towarowe, po trotuarach przewalały się tłumy pieszych, co sprawiało, że Iwanow zniknął w ogólnym rozgardiaszu. Cieszyła go sucha pogoda, ale gdyby nie wódka z pewnością zmarzłby porządnie, bo aura była typowo marcowa, trochę słońca, trochę chmur i chłodno.

Po dwóch godzinach siedzenia i patrzenia na bramę, uznając, że niczego więcej się już nie dowie, Iwanow poszedł przeprowadzić bliższą inspekcję. Przeciął podwórko, którego prawą stroną zajmowała sklecona z desek, długa na całą ścianę buda, i wszedł na klatkę schodową. Przeszedł wszystkie trzy piętra, zapamiętując nazwiska na tabliczkach przybitych do drzwi, i po długiej chwili namysłu wiedział już jak podejść do akcji. Zadowolony z wyników oględzin udał się z powrotem do poselstwa przy Poznańskiej 15.

Następnego dnia na podwórko przy Grzybowskiej wjechała warszawska taksówka z paskiem biało-czarnej szachownicy na boku i zatrzymała się przed drzwiami klatki schodowej. Ubrany w garnitur i melonik Iwanow wbiegł po schodach na drugie piętro, gdzie na podeście leżał jego młody współpracownik Agaton Szurajew, tocząc pianę z ust. Szurajew drgał i jęczał, ale robił to na tyle dyskretnie, że nikt jeszcze nie wyjrzał na klatkę schodową. Iwanow klęknął na chwilę przy ubranym w mundurek gimnazjalny agencie, wydał z siebie okrzyk rozpaczony i zaczął pięścią dobijać się do drzwi. Po krótkiej chwili drzwi mieszkania uchyliły się, blokowane jednak nadal przez łańcuch, i ze środka wyjrzał zdziwiony hałasem Stawecki.

– O co ten harmider? – zapytał niechętnie, trzymając rękę na służbowym pistolecie.

– Niech pan mi pomoże zabrać syna do samochodu – powiedział rozedrganym głosem Iwanow. – Zachorował nagle, wychodząc od kolegi, trzeba go zawieźć do szpitala.

– Co mu jest?

– Przecie nie wiem, pianę ma na ustach i omdlał – odpowiedział szybko Iwanow i pochylił się nad leżącym.

Stawecki ocenił sytuację. Na podeście pod jego drzwiami stał zrozpaczony, elegancko ubrany mężczyzna, a obok niego leżał chłopiec w mundurku szkolnym z widoczną na ustach pianą. Nie przyszło mu na myśl, że jeśli chłopak wychodził od kolegi, to gdzie są jego rodzice.

Choroba jakaś – pomyślał policjant. Może padaczka albo zatrzał się czym. Trzeba się zająć.

Stawecki przymknął drzwi, żeby zdjąć łańcuch. Chciał pomóc podnieść dziecko z kamiennego podestu. To był krótki moment, kiedy policjant nie widział, co działo się przed drzwiami. Iwanow na to czekał, słysząc spadający łańcuch, ude-

rzył drzwi ramieniem i wpadł do środka. Zaraz za nim wskoczył do mieszkania Szurajew, który momentalnie zatrzasnął za sobą drzwi. Iwanow przycisnął ciężarem ciała Staweckiego do przeciwległej ściany, zatkał mu dłońią usta i wyciągnęty spod marynarki sztyletem, lewą ręką pchnął go w środek piersi od prawej do lewej. Ostrze z łatwością przebiło mięśnie poniżej mostka i sięgnęło serca. Staweczki, który trzymał w ręku pistolet, nie zdążył wystrzelić. Iwanow przyciskał policjanta do ściany tak długo, aż martwy zaczął osuwać się bezwładnie na podłogę. Iwanow miał dużą wprawę w zabijaniu nożem, który wolał od pistoletu, bo nie robił huk. Przy takim pchnięciu, kiedy ścisnął ofiarę, rana mało krwawiła w pierwszej chwili i nie pobrudził sobie garnituru.

Szurajew przebiegł przez salonik, rozejrzał się i nie widząc nikogo, spróbował otworzyć drzwi do następnego pokoju, ale były zamknięte.

– Drzwi zawarte – krzyknął za siebie do Iwanowa. – Obmacaj tamtego, musi mieć klucze.

– Ach, durak! – warknął, przebiegając przez pokój, Iwanow, kopnął drzwi na wysokości zamka i wpadł do pokoju.

Za stojącą na środku pokoju kanapą, ściskając dłońmi brzeg oparcia, stał człowiek w koszuli. Przerażona twarz z wyrazem osaczonego zwierzęcia ukazywała strach graniczący z rozpaczą. Iwanow nie zatrzymał się nawet na sekundę, tylko skoczył wprost na kanapę z wyciągniętymi przed siebie rękami, ale Arychtomow uderzył go pięścią w nos i powalił na podłogę. Widząc padającego na podłogę Iwanowa, Szurajew wyciągnął naganta i podniósł do strzału.

– Stoj! – wrzasnął. – Budu strielat!

Arychtomow wreszcie zrozumiał, kto po niego przyszedł, i zrezygnował z walki. Odwrócił się i zaczął otwierać drzwi na balkon.

– Nie strielaj – krzyknął, zrywając się Iwanow. – Żywego bieri.

Szurajew rzucił rewolwer. Zareagował momentalnie, skoczył za Arychtomowem i złapał go za ramiona już w otwartych drzwiach. Razem upadli na cegły balkonu. Iwanow przeskoczył kanapę i uderzył Arychtomowa pięścią w tył głowy. Potem wciągnął go za nogi do pokoju i zamknął szerokie francuskie drzwi.

– Wskoczyć chciał – mruknął, grzebiąc w bocznej kieszeni marynarki. – Swołocz, chciał się zabić.

– Mamy go – radośnie powiedział Szurajew.

– Zamknij się, gnido – rzucił przez zęby Iwanow. – Jeden strzał i mielibyśmy tu tłum ludzi. Świadkowie! Rozumiesz?!

Twarz Szurajewa natychmiast straciła wesoły wygląd, wiedział, że o włos, a spartoliłby całą akcję. Iwanow wyciągnął z kieszeni małą buteleczkę, wylał zawartość na chustkę i przycisnął do ust szarpiącego się Arychtomowa. Po pokoju rozszedł się duszący zapach eteru. Arychtomow prawie natychmiast przestał się szarpać i stracił przytomność. Iwanow rzucił chustkę w kąt pokoju i obtarł twarz

brzegiem firanki, zostawiając czerwone plamy. Nos mu krwawił.

– Swołocz – mruknął zły na siebie, że dał się tak zaskoczyć. – Nos mi rozbił i koszulę mam pokrwawioną.

Szurajew obrzucił wzrokiem Iwanowa i skinął głową, bał się odezwać, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu agenta. Dopiero teraz wypluł kawałek mydła, którego użył do wywołania piany na ustach. Iwanow wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z kuchenną ścierką, którą przewiesił sobie na szyi, tak że zasłaniała krew.

– No, bierzemy go – powiedział – i pamiętaj, to twój chory wujek. Zrób zmartwioną minę.

Szurajew ponownie kiwnął głową, podziwiając inwencję Iwanowa w zasłonięciu plamy na koszuli i przybrał płaczliwy wyraz twarzy. Wzięli Arychtomowa pod ramiona i powlekli za sobą. Na schodach Iwanow zatrzymał się na moment i dokładnie zamknął drzwi za sobą.

– Zachorował – powiedział w stronę wyglądających z mieszkań sąsiadów. – Upadł i zabieramy go do szpitala.

Chwilę później ford T ze znakami warszawskiej taksówki odjechał z podwórka na Grzybowskiej.

Warszawa – marzec 1926

Czerski udał się na swój wieczorny spacer ulicami Warszawy. Robił to często, a teraz dodatkowo miał motywację, żeby bez potrzeby ciągnąć za sobą ogon, o ile taki był. Jak każdego wieczoru poszedł tą samą trasą, która zaprowadziła go pod okna mieszkania Niemojewskiego przy Chmielnej 24. W oświetlonym oknie nie zauważył kwiatka, z czego wynikało, że Niemojewski dawał mu sygnał. Kilka dni wcześniej Czerski po prostu wszedłby do mieszkania kolegi, ale po spotkaniu z Pokrowskim przed mieszkaniem Anny uważał, że jest śledzony, może nie stale, ale jednak nie chciał ryzykować. Wrócił do swojego mieszkania, wypił herbatę, zgasił światło i czekał. Obserwacja ulicy przez okno nic nie dała, ale z drugiej strony orientował się, że Sowietci nie postawią agenta w jego polu widzenia, zatem nadal nic nie wiedział. Czekał w nadziei, że znudzi im się stanie pod ciemnym oknem i uznając, że położył się spać, pójdą sobie. O pierwszej nad ranem wstał z fotela, włożył płaszcz i ciemną klatkę schodową zszedł po schodach do piwnicy. Przeszedł korytarzykami na wschodnią ścianę budynku i otworzył wytrychem zamek piwnicznej komórki. Ta komórka miała ogromną zaletę, jej nieokratowane okienko wychodziło na podwórko sąsiedniej kamienicy, przez które mógł wydostać się na Nowy Świat. W ten sposób omijał wystawione przed domem czujki – o ile takie były.

Czerski nie lubił używać tej drogi, gdyż za każdym razem brudził sobie płaszcz, wylaząc na czworakach z okienka. Przy tym tylko złodziej mógł wyczołgiwać się z piwnicy o takiej godzinie. Jakiś przypadkowy przechodzień mógł wsz-

czyć alarm i wezwać policjanta, a wtedy miałby kłopot. Jednak o tak późnej porze ryzykował niewiele. Zgodnie z jego oczekiwaniami nic się nie stało, mieszkańcy spali, a w każdym razie nie wyglądali przez okna.

Czerski przeciął skwerek na tyłach Nowego Świata i wyszedł przez bramę na ulicę. Pomimo późnej, czy raczej wczesnej, pory na chodniku panował ruch, jakby to było w południe. Zgodnie z ostatnio ukutym powiedzonkiem warszawiacy nie mieli pieniędzy tylko do siódmej wieczorem, bo po tej godzinie jedli, pili i tańczyli do upadłego. W nocy chodzili się zabawić do restauracji, kin i na dansingi, których ostatnio kilka powstało w centrum stolicy. Na Nowym Świecie nie brakowało lokali rozrywkowych. Po wyjściu z bramy Czerski zatrzymał się na moment i rozejrzał. Z prawej, na rogu Ordynackiej, widniała bryła secesyjnego hotelu Savoy z namalowaną na północnej, ciemnej teraz, ścianie ogromną reklamą mydła Jeleń. Na parterze hotelu mieścił się elegancki sklep z konfekcją męską Ignatowskiego, a nad nim jaśniała światłami hotelowa restauracja z dansingiem. Czerski skręcił w lewo i przeszedł pod neonem kina Casino, którego świetlna tablica reklamowała jakiś western. Wzdłuż Nowego Świata stały elektryczne latarnie, rzucając żółtawe plamy na ruchliwą ulicę. Wszystkie parterowe lokale zajmowały różnego rodzaju przedsiębiorstwa handlowe, których rozświetlone nocą witryny dodawały koloru i przyciągały uwagę. Ulicą sunął nieprzerwany korowód aut i dorożek, a chodnikiem ciągnął sznur mieszczan spragnionych nocnych rozrywek. Nowy Świat nawet późną nocą tętnił życiem.

Czerski przeszedł na nieparzystą stronę ulicy i po kilku krokach skręcił w Chmielną. Tutaj mniej było dorożek i automobili, gdyż ulica była węższa. Niemniej Chmielna miała za zadanie odciążenie, przynajmniej częściowe, Alei Jerozolimskich, zatem stanowiła jedną z ważniejszych tras komunikacyjnych Warszawy. Chodnik oświetlony był równie jasno jak na Nowym Świecie, lecz liczba przechodniów zmniejszyła się. Główne ulice Warszawy robiły wrażenie arterii europejskiej metropolii, ale im dalej od centrum, tym mniej było powierzchniowego poluru. Chmielna na odcinku od Nowego Świata do Marszałkowskiej, węższa niż Nowy Świat, pozostała jednak urokliwą częścią pięknego miasta, które cudzoziemcy nazywali Paryżem Północy.

Szedł teraz szybko, nie oglądając się za siebie. W tym tłoku, przy świetle lamp ulicznych i tak nie mógł zauważyć, czy ktoś go śledzi, zatem postawił na szybkość. Skręcił w Szpitalną i przez Przeskok oraz Zgodę wrócił na Chmielną, nikt za nim nie szedł.

Czerski wszedł do kamienicy, w której mieszkał Niemojewski i zdjął buty. Po schodach poruszał się bezszelestnie. Przed drzwiami mieszkania, stojąc na słomiance, włożył buty, wyjął zawinięty w szmatkę komplet wytrychów i zaczął pracować nad zamkiem. Nawet po ciemku, dobierając narzędzie tylko na wycucie, Czerski otworzył zamek w ciągu dwóch minut.

Dobrze mnie wyszkolili – pomyślał. Otwieranie zamków w drzwiach to pestka, biurka i szafy są trudniejsze, a kasy pancerne to dopiero sztuka.

Lekko uchylił drzwi i wśliznął się do środka. Ostrożnie zamknął za sobą. Zrobił zaledwie trzy kroki po wyściełanym chodniczkiem korytarzyku, kiedy zza uchylonych drzwi pokoju dobiegł go nieomylny szczęk repetowanej broni. Uśmiechnął się do siebie.

Nie ma to jak doświadczony oficer – pomyślał. Pijackie wrzaski na schodach pewno by go nie obudziły, ale cichy szczęk zamka i już ma pistolet w rękę.

– To Czerski, nie strzelaj, Józus – powiedział głośno i wyraźnie.

– Zapal światło i stań w progu – odpowiedział głos z pokoju.

Czerski, uznając, że kolega może obawiać się, czy nie jest oszukiwany, zrobił, co mu kazano i stanął w oświetlonych drzwiach pokoju.

– Możesz wejść – powiedział Niemojewski, widząc, że Czerski jest sam. – Co to za pomysły, żeby włamywać się do mnie po nocy?

– Nie miałem wyjścia. Jestem śledzony – odparł Czerski i opowiedział o spotkaniu z Pokrowskim.

– Głupio. Mogłem ciebie zastrzelić – skomentował wyraźnie zły Niemojewski. – Ale wydarzyło się coś ważnego i niedobrego. Musimy się naradzić.

– U mnie też. Niestety.

Czerski usiadł w fotelu, zapalił papierosa i opowiedział o żądaniu Pokrowskiego szybkiego dostarczenia planów. Zakończył opowiadanie charakterystyką Iwanowa i sposobów jego działania.

– Iwanow jest niebezpiecznym człowiekiem – powiedział. – Wykonuje zlecenia siłowe i jest w tym naprawdę dobry. Zabija ludzi bez zmrużenia oka. Jak robota jest większa, sprowadzają mu pomagierów z Berlina. To są ludzie na jego poziomie sprawności i całkowicie pozbawieni skrupułów.

– Wiem o tym – odpowiedział ponuro Niemojewski, który siedział na łóżku w pidżamie z dłonią na odłożonym na pościel pistolecie. Wskazał wzrokiem na broń. – Jak widziałeś, podjąłem pewne środki ostrożności. Mam po temu powody, dziś w południe porwali Arychtomowa i zabili Staweckiego. Wzięli go wprost z mieszkania, bez strzału, a Staweckiego, starego policjanta, zadźgali nożem. Aż zimno się robi na samą myśl.

– Coś podobnego – Czerski zdziwił się. – A po co im ten bieżeniec?

– Po co, tego nie wiem. Ale mówiliśmy, że nie jest tym, za kogo się podaje, czyli uciekł im ktoś ważniejszy i bardzo chcieli go złapać. Porwanie to niebezpieczna akcja, ale zaaranżowali je w taki sposób, że nie ma świadków. Jednak ciekawsze dla mnie jest, skąd wiedzieli, gdzie go ukryliśmy.

– Śledzili mnie – odparł Czerski. – Ja się trochę zastanawiałem, czemu Pokrowski objawił się przed mieszkaniem Chylińskiej. Wygląda mi na to, że chciał mi pokazać, ile o mnie wiedzą. Zastraszyć? Z tego by wynikało, że wiedzą o naszej

wizycie na Grzybowskiej. Jesteśmy obaj w niebezpieczeństwie. Wyraźnie podejrzewają mnie, na razie nie wiem o co, ale to widać. Może trzeba szybko kończyć z tą imprezą i zwinąć ich.

– Co ty? Chcesz kończyć grę, zanim się na dobre rozpoczęła? Nie tak szybko. Podrzucimy im fałszywe plany, przy okazji – są już gotowe. Zrobimy to jutro. A potem zaczekamy na wyniki. Jak kanał przerzutowy zadziała, to posłużymy się nim ponownie. Jak nie, to musisz zniknąć. Kto to ta Chylińska?

– Jak nie zadziała, to mnie zlikwidują – odparł Czerski i dodał cynicznie: – A Chylińska to moja kobieta. Muszę mieć jakąś. Chcemy wypłoszyć głęboko zakonspirowanego szpiega, a to będzie trudne i niebezpieczne. Nie łapiemy rezydenta, o roli, jaką pełni Wojkow, przecież w kontrwywiadzie już wiecie. Jak się nad tym zastanowić, to czemu Pokrowski mnie tak przycisnął? Czy wiadomość o zakończeniu prac nad planem „Wschód” przeniknęła na zewnątrz?

– Prawdę mówiąc, plan „Wschód” ukończono już kilka dni temu – odpowiedział Niemojewski powoli. – Wcześniej niż nasz fałszywy plan. Była już narada w sztabie nad przyjęciem planu, złożono podpisy i myślę, że poszedł do przepisania. Zrobią tylko pięć kopii planu. Zatem o wiele więcej osób wie o ukończeniu tych prac niż o naszej kopii. Musiało się roznieść.

Czerski pomyślał, że kolega mu tak całkowicie nie ufa. Nie powiedział mu wcześniej, że plan jest ukończony, czyli zabezpiecza się na wypadek, gdyby Czerski jednak współpracował z bolszewikami.

– W takim razie jutro przekazujemy plany bolszewikom i czekamy na reakcję – powiedział Czerski, myśląc o tym, czy uda mu się uzyskać chociaż fragment oryginału od Chylińskiej. – Spotkamy się na mieście? Nie mogę czekać, Pokrowski się niecierpliwi. A swoją drogą, zachowanie Pokrowskiego mówi nam, jak dużo wiedzą bolszewicy. W momencie jak plany zostały ukończone, zaczęli naciskać na zdobycie ich. Ani wcześniej, ani później. Czyli wiedzieli o wszystkim.

– Jeśli to prawda, toby oznaczało, że nie jesteśmy im potrzebni – myślał głośno Niemojewski. – Po co to robią? Czyżby chcieli ciebie sprawdzić?

– E, nie. Za skomplikowana intryga na sprawdzenie podrzędnego agenta. Dowiedzieli się od swojego wysoko ulokowanego szpiega, że jest plan i domagają się kopii. Myślę, że nie chcą narażać swojego człowieka. Stoi o wiele wyżej w hierarchii wartości. Jeśli my im tego nie przyniesiemy, to spróbują inną drogą, ale swoje osiągną. A wtedy przestajemy kontrolować bieg wypadków i wypadamy z gry.

– Może masz rację, że chcą nas pogonić do roboty – powiedział w zamyśleniu Niemojewski. – Ale mnie się ten nagły pośpiech nie podoba. Wiele zdarzeń może wywołać nacisk na przyspieszenie działalności wywiadowczej, ale zawsze jest to niebezpieczne dla agentów. Wywiad działa powoli, metodycznie i zabezpiecza się ze wszystkich stron.

– Kiedy widziałeś bolszewików pracujących według regulaminów? Oni są brutalni i pomysłowi w swoich akcjach, dzięki czemu są bardziej niebezpieczni.

– Wszystko prawda, ale mnie się to nie podoba – zamruczał Niemojewski nieprzekonany argumentami kolegi. – Zgadzam się z tobą, że musimy działać. Przed spotkaniem podejmij środki bezpieczeństwa: broń, zostaw list z opisem sprawy w lewej kieszeni garnituru w szafie, zgub ogon, idąc na spotkanie ze mną. Nie muszę ci mówić, żeby z nikim nie gadać.

– Zrobię, co trzeba – odpowiedział z powagą Czerski. – Spotkanie w Ogrodzie Saskim, pod fontanną, jak ostatnio.

– Jutro w południe, a teraz trzeba się przespać. Musimy być przygotowani na bolszewików.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – powiedział Czerski i machnąwszy ręką na do widzenia, wyszedł z mieszkania.

Tej samej nocy wywiadowca Kruk cicho wsunął kopertę z listem pod drzwi z tabliczką Andrzej Krasnostawski. Dopchnął palcem kopertę, żeby jej brzeżek nie wystawał spod progu. Ktoś przechodząc rano, mógłby to zauważyć i wyciągnąć list, a tego Kruk nie chciał. List miał dotrzeć do adresata i tylko do niego. Wywiadowca niezauważony przez nikogo z mieszkańców wyszedł na ulicę i zadowolony z wykonanej prowokacji oddalił się.

Warszawa – marzec 1926

Czerski czekał w parku, chodząc spacerowym krokiem między figurami muz i spoglądając w stronę fontanny. Przyszedł trochę wcześniej, żeby się porozglądać, i czekał cierpliwie na pojawienie się kapitana Niemojewskiego. Podobnie jak podczas poprzedniego spotkania, po ogrodzie kręciły się panny służące z płaczącymi niemowlętami w wózkach albo szalejącymi z nadmiaru energii kilkulatkami. Liczba służących była mniejsza, zapewne za sprawą ołowianego nieba, które od rana groziło zimnym deszczem. Większość matek obawiała się wystawienia swoich pociech na działanie zmiennej aury i zatrzymała dzieci w domu. Czerskiemu to nie odpowiadało, wolał zobaczyć gęsty tłum, w którym mógł z łatwością zniknąć szpiegującym go agentom bolszewików. W zasadzie uważał, że nikt nie mógł za nim iść, wykonał swoją rutynową pętlę i nie zauważył nikogo, ale nigdy nie mógł być pewny.

Zadanie, które miał wykonać, nie pozbawiło Czerskiego zdolności do refleksji i zadumy. Kiedy znudzony oczekiwaniem obszedł dookoła fontannę, spojrzął w kierunku kolumnady Pałacu Saskiego. Wzrok pobiegł po pieczołowicie utrzymanych gazonach z kwiatami, aby zatrzymać się na kutej kracie zamykającej trzy arkady pałacu. Środkową kratę zwieńczał stylizowany orzeł w złotej koronie, a boczne miały centralnie umieszczone polskie odznaczenia bojowe: po prawej Krzyż Walecznych, po lewej Virtuti Militari. Wkute w filary kolumnady kraty zamykały

Grób Nieznanego Żołnierza, przy którym zawsze paliły się dwa znicze. Za kratami leżał matowy, szorstki sarkofag z czarnego granitu kontrastujący z wypolerowanymi czarnymi płytami, którymi go otoczono. Samą surowością wykonania skupiał uwagę i żądał powagi. Czerski wielokrotnie przechodził obok tego pomnika poległych bezimiennych i zawsze trochę się wzruszał, kiedy jego myśli ulatywały do ofiar poniesionych przez społeczeństwo w walce o niepodległość. Po powrocie do Polski przeczytał historię powstania Grobu Nieznanego Żołnierza i łzy stanęły mu w oczach. Matka zaginionego na wojnie syna ochotnika, Jadwiga Zarugiewiczowa, wybrała trumnę kryjącą ciało poległego i niezidentyfikowanego polskiego żołnierza ekshumowanego z grobu masowego we Lwowie. Sam sposób selekcji nieznanego, honory, z jakimi sprowadzono zwłoki do Warszawy, i tłumy, które brały udział w uroczystościach mówiły wiele o wdzięczności kraju dla jego obrońców. Wprawdzie gazety ostatnio pisały krytycznie o opiece miasta nad grobem po przekazaniu przez wojsko patronatu Warszawie, jednak nie zmieniało to ducha i siły oddziaływania tego symbolu. Czerski na myśl o tysiącach bezimiennych poległych odruchowo zdjął z głowy kapelusz, przycisnął go do piersi i wyprostował się w postawie zasadniczej. Nie wypadało stać w pobliżu tego pomnika w nakryciu głowy. Przechodzący opodal oficer spojrzał w kierunku pałacu i zaszalutował. Bezimiennym należała się cześć i wręcz odruchowo oddawano im honory wojskowe. Nie można było zachować się inaczej.

Ciekawe, czy tacy jak ja, jeśli skończą gdzieś pod płótnem zabici przez bolszewika albo zwyczajnego bandytę, też będą się liczyć do poległych bezimiennych – pomyślał i zamrugał oczami. Czy walka wywiadów też liczy się jako walka o niepodległość? Ilu już poległo polskich agentów, o których nawet nie wiadomo, kto, gdzie i kiedy ich zabił?

Czerski otrząsnął się z myśli o poległych. Przywołał się do porządku. Były sprawy niecierpiące zwłoki, a moment zadumy mógł kosztować życie. Obszedł ponownie fontannę i rozejrzał się po parku. Dostrzegł Niemojewskiego z dużej odległości, jak zbliżał się od strony ulicy Królewskiej. Kapitan tym razem wystąpił w mundurze i regulaminowym płaszczu, ale wyglądał na kogoś, kto w południe wyszedł do parku odprężyć się od pracy. Szedł swobodnym krokiem, nieśpiesznie, zapatrzony przed siebie, jakby był na spacerze. W opuszczonej ręce miał grubą, szarą kopertę, którą przyciskał do boku. Czerski obliczył odległość, wybrał grupkę nianieek z wózkami i ruszył w stronę zbliżającego się oficera. Minęli się zasłonięci z jednej strony przez rozgadane służące, z drugiej przez fontannę. Niemojewski nie zatrzymując się, nawet nie spoglądając na Czerskiego, podał mu kopertę, którą ten wsunął pod płaszcz. Po prostu minęli się w parku, nikt z obecnych nie powinien tego zauważyć. Niemojewski skręcił w stronę Marszałkowskiej, a Czerski poszedł ku Królewskiej.

Szurajew nie zobaczył niczego, ale mając rozkaz śledzenia Czerskiego, po-

szedł za nim. Młody czekista nie wiedział, po co chodzi za własnym agentem, ale nie pytał o przyczyny, pisał raporty i to wystarczało. Po szkole wywiadu znał podstawowe triki konieczne w profesji i wiedział, jak się przed nimi obronić. Kiedy Czerski wykonywał pętlę, Szurajew po prostu czekał na niego, wiedząc, że obiekt obserwacji wróci na trasę. Jak dotąd miał rację.

Czerski po odebraniu koperty poszedł na pocztę, zapłacił w okienku za rozmowę telefoniczną i zamknął się w kabinie. Poprosił telefonistkę o numer w Śródmieściu i czekał cierpliwie na połączenie.

– Czy doktor Antoniewski? – powiedział do słuchawki i nie czekając na odpowiedź, szybko ciągnął dalej. – Mam badania, o które doktor prosił. Czy mogę przyjść?

– To pomyłka – usłyszał w słuchawce i połączenie zostało przerwane.

Czerski, zadowolony z rozmowy, sprawdził czas na zegarku, wyszedł z poczty i podążył na spotkanie. Sygnał został przekazany, pozostało mu dotrzeć na umówione miejsce i przekazać kopertę. Teraz już nie bawił się w kluczenie i gubienie możliwego ogona, szedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Miał czas, sygnał oznaczał, że równo godzinę później Czerski miał stawić się na Zielnej opodal wieżowca Cedergrena i czekać na łącznika. Przejście najkrótszą drogą mogło zająć mu najwyżej kwadrans, wybrał zatem drogę okrężną i szedł przed siebie Kredytową, Mazowiecką, Szpitalną, Bracką do placu Trzech Krzyży. Wszedł do kościoła Świętego Aleksandra i odmówił krótką modlitwę, polecając się w opiekę Bogu. Sam nie wiedział, czy był wierzącym katolikiem, czy ateuszem, bo w Rosji podczas śledztwa przechodził od jednej skrajności do drugiej. Po powrocie do Polski zamierzał poprawić się, jak każdy, kto próbował zmienić swoje życie na lepsze, ale okoliczności, w jakich się znalazł, nie pozwalały mu na to. Kłamstwo stało się jego życiem i tylko w rozmowach z Niemojewskim mówił prawdę. Niemniej był całkowicie przekonany, że modlitwa w niczym mu nie zaszkodzi, a przecież może pomóc.

Wychodząc, zatrzymał się na podeście pomiędzy kolumnami i udając, że przygląda się fasadzie kościoła, zanotował w pamięci twarze osób w polu widzenia. Nie miał ku temu powodów, ale przyzwyczajenie... czy może raczej przeszkolenie było jego drugą naturą. Przesunął wzrokiem po skwerze na wprost wylotu Nowego Świata, spojrzął na przejeżdżające tramwaje, dalej w stronę Alei Ujazdowskich rozpoznał gmach Gimnazjum Żeńskiego imienia Królowej Jadwigi. Uśmiechnął się do siebie, znał Warszawę bardzo dokładnie, zapewne lepiej niż większość urodzonych w stolicy mieszkańców. Przeciął plac i wszedł między czynszówki na Żurawiej. Miał już mało czasu, więc Marszałkowską doszedł do Chmielnej i dalej do Zielnej. Spoglądając w głąb otoczonej skromnymi, trzypiętrowymi kamienicami Zielnej, zauważył stojącą pod drzewem dorożkę. Przyspieszył kroku.

Czerski nie czuł napięcia, a tym bardziej strachu, przygotował się do spotka-

nia należycie, przemyślał różne warianty zachowań bolszewików i po modlitwie w kościele był zupełnie spokojny. Docierał do celu.

Zbliżył się do dorożki i zaglądając pod postawioną budę, rozpoznał w niej Pokrowskiego. Bez zaproszenia wsiadł do środka i zajął miejsce na kanapie, dorożka ruszyła z miejsca bez słowa.

– Macie plany? – spytał Pokrowski.

– A jakże! – odparł Czerski i podał mu kopertę z papierami.

Pokrowski wyciągnął brzeg kartek z maszynopisem i przyjrzał im się z zainteresowaniem. Uśmiechnął się lekko i wepchnął papiery do środka.

– Zuch maładiec – powiedział. – Pojedziemy dokładnie obejrzyć te dokumenta. Dobrze, dobrze.

– Mówiłem, że trzeba poczekać cierpliwie – rzucił Czerski.

– Cierpliwie to można czekać na przyjście wiosny, towarzyszu, a nam spieszno. Centrala nagli, dokument przygotowany, to trzeba go sprawdzić. Czy to oryginał?

– Jedna z pięciu kopii – odparł Czerski. – Mamy ją tylko do wieczora, dzisiaj musi wrócić do tajnej kancelarii.

– Dobrze, dobrze – zamruczał zadowolony Pokrowski. – Zobaczymy co dalej.

Czerski zamilkł. Przejechali Chmielną i zatrzymali się na podwórku kamienicy przy Twardej. Pokrowski wyskoczył z dorożki bez słowa i zszedł po schodkach do suteryny, nad którą widniał napis „Zakład Szewski – Antoni Klepa”. Czerski prawie biegiem podążył za nim. W ciasnym, ciemnym pokoiku siedział siwy szewc i stukał młotkiem w skórę rozciągniętą na kawałku metalu. Spojrzał przelotnie na Pokrowskiego i skinął głową. Pokrowski nie obdarzył go nawet spojrzeniem, przeszedł przez pomieszczenie i na drugim końcu odchylił stary koc, odsłaniając drzwi ze złamaną klamką. Pięścią zastukał w nie cztery razy i czekał. Po chwili drzwi otworzyły się i po wymianie krótkiego pozdrowienia weszli w piwniczny korytarz oświetlony tylko jedną żarówką. Czerski, przepychając się obok stojącego w drzwiach człowieka w koszuli, zauważył, że trzyma on w ręku rewolwer. Z korytarza weszli do przestronnej piwnicy bez okna, w której stały stoły z maszynami do pisania. Za stołami siedziały urzędniczki z rękami wiszącymi już nad klawiaturą. Na każdym stole stała mała elektryczna lampka rzucająca światło tylko na część blatu. Ściany nikły w mroku, ale z unoszącego się w powietrzu zapachu można było domyślać się, że nie tak dawno trzymano w tej piwnicy kartofle i kapustę.

– Moładiec – powiedział Pokrowski do siedzącego na krześle Wojkowa. – Przyniósł plany.

– Rebiata do pracy – głośno powiedział Wojkow, biorąc do ręki kopertę i wyciągając strony maszynopisu.

Nie czytając nawet nagłówka na pierwszej stronie, zaczął rozdzielać po pięć

kartek siedzącym przy stołach kobietom. Pomieszczenie momentalnie wypełnił stukot maszyn do pisania. Czerski rozejrzał się w zadziwieniu. Co najmniej osiem maszynistek żwawo stukało w klawiatury, przepisując cały dokument. Pomyślał, że zorganizowanie tak dużej grupy urzędniczek i zatrzymanie jej do czasu otrzymania dokumentów wymagało nie lada środków. Na więcej spostrzeżeń nie miał czasu. Wojkow z pustą kopertą w ręku podszedł do niego.

– Gratuluję wam, towarzyszu – powiedział, ściskając mu dłoń. – Doskonale przeprowadzona akcja. Teraz mamy już wszystko.

– Dziękuję, towarzyszu pośle – odparł Czerski i opanował odruch, żeby stanąć na baczność. Przy okazji zauważył złoty pierścionek z rubinem na palcu Wojkova.

Czemu sowiecki poseł nosi biżuterię? – pomyślał. I do tego pierścionek wygląda na kosztowny, a przy tym damski. Ciekawe.

Wojkow poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się. Czerski pomyślał, że mocno musieli przycisnąć rezydenta, żeby okazywał aż taką radość.

– Wszystko jest po planu – zauważył Pokrowski. – Jeszcze zdążymy.

– Tak jest, macie rację, Pokrowski, zdążymy – odpowiedział Wojkow. – Nu, niech one piszą, a my przejdziemy do mojego gabinetu i chwilę porozmawiamy.

We trzech wyszli na korytarz, a Czerski zauważył, że po zamknięciu drzwi klekot maszyn do pisania był prawie niesłyszalny. Nigdy wcześniej nie był w tajnych pomieszczeniach wywiadu bolszewickiego i starał się zanotować w pamięci każdy szczegół, ale nie było na co patrzeć – to była zwykła piwnica. Posadzka z betonu, ściany z czerwonej, nietynkowanej cegły, światło z nieosłoniętej żarówki, nic do zapamiętania. Wojkow zrobił kilka kroków w głąb korytarza, otworzył drzwi do innej piwnicy i znaleźli się w mniejszym pomieszczeniu, w którym stało biurko i dwa fotele. Poseł zasiadł za biurkiem i sięgnął za fotel pod ścianę. Postawił na biurku wódkę, potem z szuflady biurka wyciągnął trzy szklanki i odkorkował butelkę. Jego twarz wprost promieniowała radością, taki sukces mógł oznaczać awans, a nawet przeniesienie na lepszą placówkę do Francji albo Anglii. Piotr Łazarewicz Wojkow, wykształcony na Uniwersytecie Genewskim, pomimo swoich bolszewickich przekonań lubił kulturę Zachodu. Placówkę w Warszawie, którą objął zaledwie przed dwoma laty, dostał jako trudną, gdyż umiejscowioną we wrogim bolszewikom kraju. Jako zaufanemu komuniście – w sierpniu 1917 roku przyjechał do Rosji z Leninem, a potem brał udział w wymordowaniu rodziny cara Mikołaja II – powierzono mu ważne zadanie, które w przyszłości mogło pozwolić na rozprzestrzenienie rewolucji do zachodniej Europy. W Moskwie miał opinię ambitnego i bezwzględniego komisarza, o czym przekonała się rodzina carska i chłopcy na Uralu, a teraz odczuć mieli to Polacy. Wojkow zamierzał wywołać wojnę domową w Polsce.

– Za sukces, towarzysze, i za wojnę w Polsce! – powiedział i zaczął nalewać

wódkę do szklanek.

– Za wszechświatową rewolucję! – dodał Pokrowski, siadając w drugim fotelu.

– Za zwycięstwo! – powiedział Czerski, biorąc z ręki Wojkova podaną mu szklankę. Dla niego nie było już fotela, wobec tego oparł się o ścianę.

Wypili po łyku i ciężko odetchnęli. Czerski, patrząc na butelkę na biurku, z rozbawieniem zauważył, że pili polską wódkę, a przecież, o czym wiedział doskonale, poselstwo otrzymywało zaopatrzenie w alkohol z Sowieców.

Czy Wojkow woli smak polskiej wódki? – zapytał sam siebie Czerski. W takim razie czy jest dobrym rewolucjonistą, skoro preferuje kapitalistyczną wódkę od rodzimej robotniczej? Poseł z pewnością jest postacią nietuzinkową: polska wódka i damska biżuteria.

Czerski uśmiechnął się do własnych myśli. Pokrowski zauważył uśmiech i odczytał go jako radość z pochwały za dobrze wykonaną akcję szpiegowską.

– Możecie się cieszyć, towarzyszu – powiedział Pokrowski. – Poszło jak po maśle i wkrótce zacznie toczyć się lawina, a wszystko dzięki wam.

– Znaczą się, wasze zdrowie, Krasnaja Bielka – dodał Wojkow z szerokim uśmiechem na twarzy.

Podnieśli szklanki i w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Wojkow nieco zdziwiony odstawił szklankę. Nie spodziewał się, żeby przepisywanie zostało wykonane w tak krótkim czasie.

– Wejść! – krzyknął.

W drzwiach stała jedna z sekretarek. Starsza, siwiejąca kobieta ubrana w coś, co przypominało granatowy ni to mundur, ni to drelich roboczy, otworzyła drzwi do połowy i niepewnie zajrzała do wnętrza.

– O co chodzi? – powiedział Wojkow niezadowolonym głosem. – Meldujcie, towarzyszeko Sirina.

– Towarzyszu Wojkow – zaczęła Sirina – to jest tylko część planów obejmująca defensywę. Brak jest części o działaniach ofensywnych.

– Doprawdy? – zdziwił się Wojkow. – Sprawdziliście wszystkie części maszynopisu? Jesteście pewna, towarzyszeko?

– Absolutnie, sprawdzałam dwa razy – odpowiedziała kobieta, stojąc stale na progu.

– Możecie odejść – zakomenderował Wojkow i zaczął, aż drzwi się zamknęły. – No to co jest? Gdzie druga część?

– Przyniosłem wszystko, co dostałem – odpowiedział Czerski zdziwiony.

– Znaczą się, Niemojewski ukrył połowę planów? – zapytał Pokrowski. – Czyżby chciał więcej pieniędzy?

– Obiecałem mu dwa tysiące dolarów – powiedział Czerski. – Trzeba dać mu te pieniądze, to będzie dalej współpracował. Wartościowy człowiek, ma dojście do

Sztabu Generalnego.

– Pieniądze to nie problem – odpowiedział Wojkow. – Problem to gdzie jest reszta planu „Wschód”. Przecież nie mogą istnieć tylko plany defensywne.

– Tego nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Czerski. – W rozmowach mówiłem plany „Wschód”, ale nie precyzowałem defensywne czy ofensywne.

– Co wy mi tu banialuki pieprzycie – wrzasnął Wojkow. – Robota nie jest skończona. Macie uzyskać resztę planów.

Drzwi otworzyły się nagle, bez pukania i stanął w nich człowiek w koszuli, który wpuścił ich do piwnicy.

– Czego wy chcecie? – wrzasnął zdenerwowany Wojkow, patrząc złym wzrokiem na intruza.

– Depesza specjalna dla was, towarzyszu – powiedział czekista. – Tylko dla was.

– Co teraz? – warknął Wojkow i wyszedł z pomieszczenia.

Na korytarzu stał sekretarz tajnej kancelarii z poselstwa. Jego twarz wyrażała zatroskanie i złość, ale na widok Wojkowa nie powiedział ani słowa.

– Mówcie – rzucił Wojkow, ale sekretarz pokręcił głową i wskazał wzrokiem czekistę.

– Dobrze – Wojkow zrozumiał w lot, że treść depeszy musiała być ściśle tajna i odszedł w koniec piwnicznego korytarza. Piwnica miała tylko dwa pomieszczenia i oba były w tym momencie zajęte, zatem jeśli chciał wysłuchać wiadomości w oddaleniu od innych, musiał stanąć w korytarzu z dala od swoich ludzi. Sekretarz poszedł za nim, a czekista wrócił na swoje stanowisko pod drzwi. Wojkow stanął pod ścianą i spojrzał pytająco na sekretarza.

– Towarzyszu Wojkow – powiedział ściszym głosem – do skrzynki specjalnej dostaliśmy wiadomość od agenta numer jeden. Napisał, że jest szantażowany. Ktoś podrzucił mu do mieszkania anonim z żądaniem dziesięciu tysięcy dolarów za milczenie. Napisał, że wie o jego działalności szpiegowskiej, żąda pieniędzy za utrzymanie tajemnicy. Ktoś go wydał.

– O żesz job waszu mać! – Wojkow zaklął i zrobił się wściekły. Przez chwilę stał, zaciskając zęby i pięści, ale szybko opanował się. – Sprowadzicie mi tu Iwanowa z automobilem. Jeszcze dwóch ludzi z sekcji wykonawczej. Odmaszerować!

Sekretarz wyszedł wypuszczony do zakładu szewskiego przez czekistę. Wojkow stał oparty o ścianę i myślał. Nie na darmo dostał trudną placówkę w Warszawie, potrafił odrzucić rozbuchane uczucie wściekłości i myśleć logicznie.

Trzeba zatkać przeciek – pomyślał. Najpierw zatkać przeciek. Na początek przesłuchamy tego Polaczka, potem resztę ludzi, z którymi się kontaktował. Ale jak wpadli na trop Bobińskiego? To prawie niemożliwe. Szantażystą zajmie się Iwanow i sprowadzi go żywego. No i potem wszystko wróci do normalnego biegu.

– Wasyl! – zawołał czekistę przy drzwiach. – Chodź no tutaj. Masz robotę.

Warszawa – marzec 1926

Seans spirytystyczny, a z nim i wieczór, dobiegł końca. Goście doktora Niepołomickiego żegnali się i wychodzili kolejno. Nie wypadało, żeby wszyscy naraz wstali od stolika i razem wyszli, zatem po jednej parze podchodzili do pani domu i podawali rękę w geście pożegnania. Mecenasa Skorskiego, patrząc z ukosa na pozostającą przy stoliku Annę, szepnął doktorowi parę słów na ucho, wychwalając wspaniałe medium, ale Niepołomicki podejrzewał, że po prostu podobała mu się ta kobieta. Niemniej obiecał zaprosić mecenasa i jego małżonkę, co podkreślił intonacją głosu, na następny seans spirytystyczny, który planował w nadchodzącym tygodniu. Mecenasa znacząco uściskał dłoń doktorowi, jeszcze raz obejrzał się na Annę i westchnął, biorąc pod rękę swoją dobrze odżywioną żonę. Kiedy ostatnia para już wyszła, doktor spojrzał ze zdziwieniem na ciągle siedzącą przy stoliku Annę. Kobieta, która wciąż trzymała talerzyk pod palcami, jakby spodziewała się powtórzenia misterium. Doktor chrząknął, wymienił niepewne spojrzenie z żoną i miał zapytać Annę, czy coś się stało, ale ona odezwała się pierwsza.

– Panie doktorze, czy mogę prosić o wielką przysługę? – powiedziała cichym głosem, nie patrząc w stronę lekarza. – To dla mnie bardzo ważne.

– Czy coś się stało? – odpowiedział Niepołomicki, podejrzewając, że Anna jest chora i potrzebuje jego fachowej pomocy. – W czym mogę pomóc?

– Proszę wprowadzić mnie ponownie w trans – odpowiedziała Anna. – Chodzi o to, że muszę zapytać o moje życie. Stoję przed bardzo poważną decyzją i potrzebuję spojrzeć w przyszłość.

– Ależ panno Anno, jest pani wyczerpana – sprzeciwił się lekarz, przyglądając się kobiecie z uwagą. – Dzisiejszy seans był długi i widzę po pani, że potrzebuje pani odpoczynku, a przede wszystkim snu.

– To naprawdę bardzo ważna decyzja – powiedziała Anna i po raz pierwszy od początku konwersacji spojrzała Niepołomickiemu w oczy. – Dla mnie krytyczna. Seans nie potrwa długo.

Niepołomicki pod wpływem spojrzenia Anny zmięknął jak wosk. Spojrzenie jej szeroko otwartych brązowych oczu wywarło ogromny efekt na czterdziestoletnim lekarzu.

Chyba niejedno serce męskie rozpląnęło się pod wpływem spojrzenia kasztanowych oczu panny Ani – pomyślał Niepołomicki i szukając ostatniej sposobności uniknięcia seansu, zapytał:

– Czy musimy koniecznie zrobić to dzisiaj?

– Och! Tak – powiedziała wyraźnie podekscytowana Anna. – Koniecznie. Ja muszę wiedzieć.

– Dobrze panno Anno, ale tylko na chwilę, najwyżej na trzy pytania – niechętnie zgodził się Niepołomicki, myśląc o możliwości udaru sercowego u przeme-

czoney dziewczyny. – Czyjego ducha mamy wywołać?

– Myślę, że wywołamy ducha mojej matki Sabiny Chylińskiej – powoli powiedziała Anna. – Jak byłam małą dziewczynką, pytałam ją o wszystko, a ona mądrze odpowiadała.

– Dobrze. Zatem o co mam zapytać?

– Ale czy pan doktor dotrzyma tajemnicy? Ani pytania, ani odpowiedzi nie mogą...

– Dziecko! – podniesionym głosem przerwał jej obrażony Niepołomicki i wstał z fotelika, żeby zamknąć drzwi do salonu. Jeśli nikt ma nie wiedzieć, o co będą pytali, to żona też musi być wykluczona.

– Dziękuję – bardzo cicho szepnęła Anna. – Proszę się na mnie nie obrażać. To są bardzo osobiste sprawy.

– Tajemnica nie jest mi obca – odparł Niepołomicki. – Jestem lekarzem i stale mam do czynienia z ludzkimi sekretami, ba, ze sprawami życia i śmierci. Zatem jakie będą pytania?

– Pierwsze: kto będzie lepszym mężem, Karol czy Nikodem?

– Ciekawe – mruknął do siebie Niepołomicki, zapisując w notesiku pytanie.

Anna spojrzała w górę i złożyła dłonie pod brodą. W gabinecie doktora Niepołomickiego zapadła zupełna cisza. Odgłosy ulicy tłumili grube kotary na oknach, a z innych pomieszczeń mieszkania nie dochodziły nawet najłżejsze dźwięki. Anna zastanawiała się o co pytać, a jednocześnie czuła narastające w niej napięcie.

– Drugie: który poprosi mnie o rękę pierwszy?

Niepołomicki pokiwał głową i notował dalej.

– I w końcu: z kim życie będzie spokojne, a z kim pełne przygód?

– No, no, panienko – skomentował lekarz, odłożył notes na stoliczek i sięgnął za siebie na bibliotekę po wahadełko.

Po kilku minutach Anna w głębokim transie nie zdawała już sobie sprawy z otaczającej ją rzeczywistości. Niepołomicki, podobnie jak godzinę wcześniej czynił to w obecności licznych znajomych, poważnie i spokojnie zaczął mówić.

– Duchu z zaświatów, Sabino, przywołuje ciebie twoja rodzona córka.

Przerwał na chwilę i powtórzył wezwanie.

– Sabino Chylińska, przemów do córki swojej Anny, która ciebie potrzebuje.

W pokoju doktora niby nic się nie zmieniło, nie przeszedł żaden powiew chłodnego powietrza, żadne zjawy się nie objawiły, ale talerzyk pod palcami Anny zaczął najpierw lekko drżeć, a potem nagle ruszył po stoliku. Stolik, który doktor Niepołomicki sprowadził specjalnie z Krakowa, został sporządzony wyłącznie do jednego celu – seansów spirytystycznych. Przy konstruowaniu mebla nie użyto żadnych metalowych części, żadnych gwoździ czy śrub, aby stolik nie był w żaden sposób magnetyczny. Błat, na co dzień zakryty zielonym suknem, miał wymalowa-

ne w półokręgu litery alfabetu i cyfry. Krótkie zatrzymania talerzyka na poszczególnych literach wskazywały, co duch chciał przekazać żyjącym. Litery zapisywano i po zakończeniu seansu odczytywano. Tym razem ruchy talerzyka i dłoni Anny były tak szybkie, że Niepołomicki miał kłopot z notowaniem i rzucał szybkie spojrzenia na stół, obawiając się, że może przepuścić którąś z liter.

Anna z twarzą skierowaną w górę, przymkniętymi oczami i skupionym wyrazem twarzy wyglądała jak personifikacja uduchowienia. Jej szczupłe palce ledwo dotykały pomykającego po blacie talerzyka, ale nigdy nie straciły z nim kontaktu. Doktor Niepołomicki pomyślał, że nigdy jeszcze duchy nie przemawiały z taką mocą, a przede wszystkim z taką prędkością jak tego wieczoru.

Po pięciu minutach było po wszystkim, pytania zostały zadane, odpowiedzi zanotowane i seans zakończony. Doktor z zadowoleniem przyjął zakończenie misterium, zamierzał wstać, kiedy nagle talerzyk drgnął, przeciąwszy stolik, spadł na podłogę i pękł na trzy części. Niepołomicki zadziwiony tym zdarzeniami odłożył notes i patrzył przez chwilę na rozbitą porcelanę. W końcu uznał to za przypadek i dotknąwszy ramienia Anny, rozbudził ją. Anna otworzyła oczy, zamrugała nimi i oparła głowę o stolik. Była zupełnie wyczerpana.

– Panno Anno, sesja wypadła nadzwyczajnie – powiedział Niepołomicki. – Z pani jest niesłychanie czułe medium, ma pani prawdziwie bliski kontakt z zaświatami.

– Doprawdy? – odparła zmęczonym głosem Anna. – Seans się udał? Świetnie.

– Przy tym zakończenie seansu było dramatyczne. Nigdy nie widziałem, żeby duch przerwał kontakt, rozbijając talerzyk.

– Och! – Anna jęknęła, spoglądając na podłogę, gdzie leżały skorupy. – Ja bardzo przepraszam. Nie chciałam.

– To nic, nie pani wina – doktor uśmiechnął się. – Czuję jednak, że koniec seansu miał nam coś powiedzieć. Ciekawe co.

– Tego niestety nie wiem, doktorze.

– Tu są moje notatki – wyrwał karteczkę z notesu i podał ją Annie. – Przyznaję, że odpowiedzi były tak szybkie, że ledwo zdążyłem zapisywać. Mogą być jakieś pominięcia. Ale niech pani już idzie i wypocznie. Widzę, że jest pani niesłychanie zmęczona i zaczynam się poważnie obawiać o pani zdrowie. Jako lekarz nakazuję wypoczynek.

– To prawda – Anna powoli podniosła się z krzesła. – Przepraszam, że przetrzymałam pana doktora. Proszę nie mieć mi tego za złe.

– Ależ skąd. Nigdy nie byłem świadkiem tak bliskiego kontaktu, jaki pani potrafi nawiązać. Fenomenalne. Może spotkamy się w przyszłym tygodniu. Mecenas już prosił mnie o następny seans.

– Oczywiście, doktorze. Służę swoją osobą.

Anna Chylińska pożegnała się szybko i z pośpiechu nie zapinając płaszcza, wyszła z mieszkania doktorostwa Niepołomicznych. Jednak nie śpieszyła się do siebie, pomimo zmęczenia nie gnała jej chęć wypoczynku, lecz chęć przeczytania odpowiedzi na swoje pytania. Ledwie wyszła na klatkę schodową, natychmiast otworzyła torebkę i chwyciła karteczkę z notatkami doktora Niepołomiczkiego. Paliła ją ciekawość, po prostu musiała dowiedzieć się, co przekazał jej duch dawno zmarłej matki. Otworzyła złożony na cztery arkusik papieru i zaczęła czytać.

„Kto będzie lepszym mężem? Nikodem.

Kto poprosi mnie o rękę pierwszy? Karol. Daj szansę Nikodemowi.

Z kim życie będzie spokojne, a z kim pełne przygód? Spokojne życie będziesz miała z Nikodemem. Przygody z Karolem”.

Anna uśmiechnęła się. Już teraz wiedziała, czemu talerzyk stłukł się na końcu seansu. Duch matki podpowiadał jej, co powinna zrobić, i jednocześnie wiedział, jak zachowa się Anna. Matka zawsze chce najlepiej dla swego dziecka i nigdy się nie myli. Jednak zna charakter dziecka i wie, jak postąpi jej córka.

Pobiegła szybko po stopniach w dół. Teraz już spieszyła się do swojego mieszkania i możliwości przespania się. Na półpiętrze nagle stanęła. Przypomniała sobie o czymś.

Czemu talerzyk pękł na trzy części, a nie na dwie? – pomyślała i już wolniej, zadumana, zeszła ze schodów.

Rozdział V

Warszawa – kwiecień 1926

Kruk świetnie zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem, a dokładniej z bolszewicką kulą z naganta, zatem spędził trochę czasu na przemyśleniu operacji i podjął podstawowe środki ostrożności. W czynszówce na Żytniej, na miejscu, gdzie miał odebrać pieniądze, zjawił się nie chwilę wcześniej, ale całe sześć godzin przed czasem. Miał swój plan, który od razu wprowadził w życie. Przygotowania zajęły mu godzinę, a potem usiadł w oknie drugiego piętra, naprzeciwko bramy wjazdowej, obserwując puste podwórko. Długo przyglądał się wybranemu miejscu, które znał już dobrze z poprzednich akcji, i po namyśle zdecydował, że potrzebuje dodatkowego zabezpieczenia. Wyszedł na pobliski plac Kercelego i nabył kilka sztuk używanej odzieży. Otyła zawinięta w chustę kobieta z prowincji sprzedająca stare ubrania z ręki nie miała wygórowanych cen i Kruk uznał, że nawet jeśli Wydział nie zwróci mu pieniędzy za zakupy, to dużo na tym nie straci. Bez targowania się dał kobiecie dwa złote i zauważył, że zdziwiła się, nie oczekiwając, że ktoś zapłaci jej żadaną cenę. Ale Kruk spieszył się i nie miał zamiaru tracić czasu na targowanie się o pięćdziesiąt groszy, zwinął nabytki w tobolek i wrócił na swój punkt obserwacyjny.

Podwórko na Żytniej, z racji wyglądu nazywane potocznie studnią, było takie samo jak we wszystkich innych tego typu robotniczych kamienicach. Zaplute, z leżącą pod ścianą kupą śmieci wywożonych raz na jakiś czas i pozostałościami po zimowych brudach. Gdzieś po bokach sklecono drewniane budy, które stanowiły mieszkania najbiedniejszych mieszkańców. Na murach spod odpadającego tynku wystawały płyty czerwonej cegły, tylko jedna ściana odróżniała się od całości świeżością zaprawy murarskiej. Rok wcześniej kamienica częściowo spłonęła i na murach widoczne były ślady po remoncie. Remont po pożarze został wykonany tanio i właśnie obcinanie kosztów sprawiło, że to jedno podwórko najlepiej nadawało się do wykonania planu wywiadowcy. Kruk nie zaniedbał niczego.

Na godzinę przed wyznaczonym terminem przekazania okupu na podwórko wszedł wysoki mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Obejrzał dokładnie wszystkie szczegóły, skrzywił nos na widok śmierdzącej kupy śmieci wyrzuconych w róg podwórza i cofnął się do bramy. Kruk ukryty za framugą zamkniętego okna widział, że mężczyzna stanął wewnątrz wiodącej na ulicę bramy, oparty o ścianę, opodał drzwi na klatkę schodową. Czekał. Po kilku minutach podeszła do niego dozorczyńni i zaczęła go natarczywie przepytывать. Człowiek w kapeluszu dał jej coś i kobieta z miotłą w ręku oddaliła się.

Mój człowiek – pomyślał Kruk z zadowoleniem. Krasnostawski też przy-

szedł wcześniej, ale jednak później niż ja. Ostrożny sukinsyn. Dał babie pieniądze, powiedział pewnie coś o policyjnej akcji i odczepiła się od niego. Spryciarz. Warto by zobaczyć zasłoniętą kapeluszem twarz, no i musi wrzucić pieniądze do umówionego miejsca, a wtedy już będę pewien. Cierpliwości, już mi nie ucieknie.

Kruk czuł rosnące powoli napięcie, oblizał nerwowo wargi w oczekiwaniu na dalszy przebieg wypadków. Mijały ostatnie minuty przed umówioną godziną przekazania okupu. Z napiętą uwagą, skupiony, obserwował bramę pewien, że bolszewicki agent musi przecież zrobić jakiś trik. Nie odda pieniędzy ot tak po prostu, będzie chciał pozbyć się człowieka, który wykrył jego prawdziwą działalność, zażegnać niebezpieczeństwo zdemaskowania. Kruk w myślach zgadywał, co też mógł zrobić agent, czy jest sam, czy ma obstawę, czy będzie chciał strzelić. Ale człowiek w kapeluszu nieruchomo trwał na swoim posterunku w bramie i nie przejawiał chęci podjęcia jakiegokolwiek akcji.

O piątej na podwórko wszedł ostrzyciel noży z pedałową ostrzałką na ramieniu i zaczął stukać młotkiem w blachę przybitą do kozła z kamieniem, oznajmiając swoje przybycie. Ostre, metaliczne dźwięki odbijały się od murów i okien, robiąc straszny hałas, ale spełniły swoją misję. Z narożnej klatki schodowej wyszła kobieta z dwoma kuchennymi nożami. Potem zjawiła się inna z garnkiem z urwaną rączką, który wymagał znitowania, i wkrótce wokół rzemieślnika utworzył się wianuszek klientek. Na wcześniej pustym podwórku zrobił się tłok i gwar rozgadanych kobiet, ktoś krzyczał z okna, pojawiły się ciekawskie dzieciaki. W studni narastał harmider i zamieszanie.

Kruk, pisząc anonimowy list, zażądał wrzucenia koperty z gotówką do starego wiadra stojącego na kupie śmieci pod ścianą, bezpośrednio pod oknem, w którym sam się zaczął. Krasnostawski miał zrobić to o piątej po południu, ale stojący w bramie mężczyzna nie ruszał się. Zaczynało się ściemniać, minęła piąta piętnaście i nic się nie działo. Kruk zaczął się obawiać o powodzenie w jego mniemaniu perfekcyjnie zaplanowanej operacji, kiedy nagle dostrzegł ruch w bramie. Krasnostawski zrzucił płaszcz i kapelusz, zostając w starej marynarce z szalikiem, przeszedł podwórko i pod samą ścianą zniknął mu z pola widzenia. Moment później wrócił do bramy i ponownie ubrał się w porzucone rzeczy. Kruk obserwował go w napięciu. Żadna z kobiet plotkujących wokół ostrzyciela noży nie zwróciła na to uwagi, ale Kruk obejrzał go dokładnie i przynajmniej częściowo zidentyfikował twarz. Panował już półmrok i szczegółowe rozpoznanie rysów przy braku światła stało się niemożliwe. Na podwórzu było tylko jedno wejście, zatem Krasnostawski nie musiał stać na samym podwórzu, żeby obserwować podjęcie okupu. Tak też się stało. Krasnostawski zniknął z bramy, zapewne wyszedł na ulicę, żeby lustrować wchodzących.

Czyżby to było wszystko – pomyślał Kruk. Zapłacił? Bez najmniejszej próby dowiedzenia się, kto go szantażuje. Coś to za łatwo wygląda. Przecież musiał się

jakoś zabezpieczyć.

Kruk postanowił zaczekać trochę, ale nic więcej się nie działo. Kobiety gadały, po podwórku biegały dzieciaki, żadnych podejrzanych mężczyzn, którzy mogli okazać się bolszewickimi agentami. Upłynęło piętnaście minut i Kruk postanowił działać. Przebrał się w zakupione ciuchy i zmienił wygląd. Przeistoczył się w przekupkę w długiej szarej spódnicy i zawiązanej na głowie chustce. Swoje ubranie spakował w węzełek i położył obok. Wnęka na klatce schodowej dobrze mu służyła, kilka przechodzących osób minęło go, nie zwracając najmniejszej uwagi. Podniszczone ubranie, którego używał, identyfikowało go jako jednego z nich, a po przebraniu się wyglądał na typową kobietę zajmującą się handlem obnośnym, na tyle typową, że niezauważalną. Gotowy do ucieczki uchylił nieznacznie okno i pociągnął za sznurek.

Pomysł podjęcia okupu był prosty i jednocześnie sprytny. Kruk nie miał zamiaru zejść na podwórze i wsadzić ręki do kubła. Natomiast przywiązał do pałaka cienki sznurek, który ukrył w śmieciach i przeciągnął wzdłuż rynny do okna. Teraz wystarczyło wciągnąć kubel do góry. Szybko wybierał sznurek i usłyszał stuknięcie kubła o ścianę, a potem szuranie metalu o mur. Któraś z kobiet, zainteresowana hałasem, spojrzała, ale niemal natychmiast wróciła do rozmowy. Kubel szybko poruszał się do góry. Kruk pozostał ukryty za framugą okna, wychylając się jedynie na tyle, żeby popatrzeć na wydarzenia na dole. Nagle ostrzący noże rzemieślnik porzucił swoje zajęcie i podbiegł do ściany, chcąc złapać za kubel, ale było już za późno.

Zatem to jest bolszewik – zauważył z satysfakcją Kruk i zaczął ciągnąć jeszcze szybciej. Spóźniłeś się, bratku, i nie dopadniesz mnie.

Bolszewicki agent zrezygnował z łapania wiadra i wpadł do najbliższej klatki schodowej, chcąc pobiec na piętro, ale szybko zorientował się, że nie prowadziła ona do właściwego okna. Zbiegł ponownie na podwórze i wyciągnął naganta zza pazuchy. Kruk sięgnął po kubel i wciągał go właśnie przez okno, kiedy z podwórza padł strzał. Bolszewik stał w rozkroku na środku studni i raz po raz strzelał w okno. Huk wystrzału w zamkniętej przestrzeni podwórza rozległ się jak grom i przeraził kobiety. Nagle wszyscy zaczęli biegać w panicznym strachu, kryjąc się pod ścianami i w drzwiach klatek schodowych. Chaos powiększały matki, które z krzykiem zaczęły zaganiać dzieciaki do domów.

Szkló z rozbitej szyby i okruchy tynku obsypały Kruka, ale ukryty za framugą okna wywiadowca stanowił trudny cel. Nie dosięgła go żadna kula. Porwał koptę, rzucił kubel za okno i pochylony pobiegł po schodach na dół.

Kruk wybrał właśnie to podwórko tylko z jednego powodu. Podczas remontu, który wykonano po spaleniu części kamienicy, zamurowano wejście od podwórza na klatkę schodową. Teraz wychodziło się z niej nie na podwórze, a na ulicę Kaczą i bolszewicki agent nie mógł dopaść Kruka, bo żeby to zrobić, musiał obejść

kwartał budynków i wejść z Kaczej na schody. A na to nie miał czasu, gdyż odgłos wystrzałów musiał ściągnąć policję.

Kruk wyszedł na ulicę i pozostawiając zamieszanie za sobą, odszedł powolnym krokiem w stronę ulicy Wolność i Śródmieścia. Kopertę ukrył pod ubraniem i zupełnie spokojny o swoje bezpieczeństwo oddalił się. Idąc, stale palcami dotykał koperty z pieniędzmi, jeszcze nigdy w życiu nie miał tyle gotówki.

Tymczasem Iwanow, który przebrał się za ostrzyciela noży, przebiegł dookoła bloku i zaczął szukać właściwego wejścia, ale wiedział już, że się spóźnił. Kacza była długą ulicą i identyfikacja drzwi wiodących na tę właśnie klatkę schodową musiała zająć dużo czasu. Wściekły i potwornie zdenerwowany biegał przez kilka minut po Kaczej, ale oprócz przechodniów, którzy rzucali mu złe spojrzenia, kiedy ich potraçał, nie zauważył niczego podejrzanego. Mijał wracających z fabryk robotników, kobiety z zakupami, urzędników i handlarki z placu Kercelego. Zrezygnował, kiedy zaczęły zapalać się latarnie, pojął, że sprawa była beznadziejna. Wprawdzie kiedy strzelał, widział zarys człowieka w oknie, ale w marcowym półmroku było to za mało, żeby rozpoznać go na ulicy. Wsiadając do tramwaju, spocyny i zmęczony, myślał o tym, co po takiej wpadce wydarzy się w poselstwie.

Trzeba było dokładnie rozpoznać miejsce – pomyślał. Nie było czasu, nie było kiedy. Cała akcja odbyła się w ciągu dwóch godzin. Żeby to jasna cholera.

Kruk dopiero po dojściu do swojego mieszkania zobaczył, że krwawił z rozcięcia na czole. Kawałek szkła z rozbitej kulami szyby musiał rozciąć mu skórę. Zalepił ranę plastrem, stojąc przed lustrem w łazience i dopiero wtedy postanowił zajrzeć do koperty z okupem. Koperta nie była zaklejona i Kruk wytrząsnął na stół paczkę studolarówek.

No, to mam szpiega – pomyślał z satysfakcją i usiadł na krześle.

Wachlując się plikiem pieniędzy, uśmiechnął się do własnych myśli, ale zbyt dobrze znał metody działania policji i zaraz przyszła refleksja.

Wskażę szpiega albo będę bogaty – pomyślał i zmarszczył czoło. Jak zawiadomię szefa, to nie tylko dostanę burę, że zrobiłem to sam, ale również będę musiał oddać pieniądze. Po prawdzie zasługuję na opieprz, bo mogliśmy mieć już tego Mocha w celi, gdyby było tam ze mną kilku agentów policyjnych. No i ten co strzelał już by gryzł piach, a tak mam dolary, które dowodzą, że to prawdziwy bolszewicki agent.

Kruk nagle wyprostował się na krześle. Dał Krasnostawskiemu bardzo krótki termin na zapłacenie, właśnie po to, żeby uniknąć agentury bolszewickiej, nie dać im czasu na przygotowanie się. Krasnostawski zapłacił, to po co strzelali do niego? Albo płacą, albo zabijają. Kruk przerzucił trzymaną w ręku paczkę pieniędzy. Na wierzchu leżało kilka studolarówek, ale pod spodem były kawałki równo pociętego papieru do maszynopisania.

– Bydlaki – warknął na głos wywiadowca.

Momentalnie zdał sobie sprawę, w co wdepnął. W tej sytuacji nie mógł pójść do szefa, który niewątpliwie spyta, gdzie jest reszta pieniędzy. Wyjdzie na to, że Kruk je ukradł i zrobią mu dochodzenie. W najlepszym razie jego kariera w policji będzie skończona, w najgorszym pójdzie do więzienia. Kruk spocił się z wrazenia i ujrzał sytuację w zupełnie innym świetle.

Rembertów – kwiecień 1926

Czerski obudził się z łupiącym bólem umiejscowionym gdzieś pod sklepieniem czaszki, a do tego z mózgiem jakby otulonym watą. Myśli przechodziły mu przez głowę w zwolnionym tempie, a do tego były mało konkretne. Przez dłuższą chwilę odmawiał powrotu do rzeczywistości, jakby podświadomie wiedział, że nic dobrego na niego nie czeka. Nie otwierając oczu, pomacał głowę i znalazł ją w całości, czyli nikt go nie uderzył, ale ból nie ustępował. Otworzył oczy i zaraz je zamknął. Wokół panował półmrok, a pomimo to światło raziło mu wzrok. Zaczął myśleć o tym, co robił na moment przed utratą świadomości, przypomniał sobie spotkanie z Wojkowem i Pokrowskim, ale potem nie pamiętał już nic. Starał się skupić, z doświadczenia wiedząc, że nawet jak tracił przytomność, to zawsze zostawały jakieś ślady pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć, jakie było jego ostatnie odczucie. Spotkanie z Wojkowem zostało przerwane po wizycie kuriera z poselstwa, to pamiętał. Przypomniał sobie, że nalegał na zwrot oryginału planu „Wschód” i wyszli z piwnicy zajmowanej przez Wojkova na korytarz i tam wszelkie wspomnienia się urywały.

Otworzył szeroko oczy i rozejrzał się wokół. Mgła przed oczami rozproszyła się, myśl zaczęła pracować szybciej, a nawet ból zaczął odchodzić. Czerski podniósł głowę i stwierdził, że leżał na kamiennej posadzce w małym pomieszczeniu bez okna, a jedyne światło dochodziło przez okratowany przeziernik w drzwiach. Spróbował usiąść i wysiłek wyczerpał go całkowicie. Przez kilka minut pólżąc, oparty o ścianę, zbierał siły. Zaczął poruszać ramionami i chociaż z początku szło mu bardzo ciężko, jakby ręce miał zanurzone w mazi, to jednak czuł, że z każdą chwilą odzyskuje siły. Wykonał kilka głębokich wdechów i to pomogło mu na tyle, że zaczął rozglądać się i rejestrować swoje otoczenie.

Więc zamknęli mnie w więzieniu – pomyślał. Pewno w tej piwnicy domu przy Twardej. Ale czemu? Nie mieli powodu. Chyba że wiedzą o sfałszowanych planach, ale skąd mieliby wiedzieć? Muszę odzyskać siły i wydostać się stąd. Jeśli mnie zamknęli, to znaczy, że coś chcą się dowiedzieć, gdyby wiedzieli o podrzuconych planach – już bym nie żył. Czyli będą przesłuchiwać i bić. Tak jak wtedy w Rosji, będą bić, aż straci wszelką wolę oporu i sam im powie rzeczy, o które nie zapytają. W pewnym momencie zacznie się sam oskarżać, a nawet wymyśli coś, byle tylko przestali bić. Ten kurier z poselstwa... po jego wizycie wszystko się zawaliło. Znaczy się, dostali jakąś wiadomość. Ale jaką?

Czerski wiedział, że niczego nie wymyśli. Odetchnął znowu i poczuł przyływ sił. Nie zamierzał czekać na rozwój wypadków, potrząsnął głową z zamiarem zrzucenia resztek waty z mózgu, ale zamiast większej klarowności umysłu doczekał się tylko potężnego łupnięcia w głowie. Ból był tak silny, że zobaczył gwiazdy przed oczami i osunął się ponownie na posadzkę. Leżał i dyszał ciężko, a potem zrobiło mu się wszystko jedno, poddał się i zapadł w niespokojny sen.

Obudziło go szuranie butów tuż obok jego głowy. Czuł się otumaniony snem, miał jednak na tyle przytomności umysłu, żeby tylko jęknąć i nie poruszyć się. W zasadzie czuł się już zupełnie normalnie, ale nie miał zamiaru zdradzić tego swoim prześladowcom, jedynie wyschnięte gardło domagało się wody.

– Wstawajcie – powiedział Pokrowski i pchnął Czerskiego nogą.

Ciało Czerskiego przewróciło się na wznak. Jęknął ponownie, spróbował podnieść głowę, ale udając, że nie ma na to siły, opadł na posadzkę.

– Udaje – osądził Pokrowski i cofnął się o kilka kroków. – Szurajew, zwiążcie mu ręce i weźcie go do towarzysza Wojkova.

– Słucham, towarzyszu Pokrowski – odpowiedział młody czekista.

– Nie bijcie go – dodał Pokrowski. – Na razie jeszcze nie.

Pokrowski odwrócił się i wyszedł. Szurajew sprawnie przewrócił Czerskiego na brzuch i szorstkim sznurem związał mu dłonie w przegubach. Szurajew jakiś czas pracował w gubernialnym więzieniu, zatem miał dużą wprawę w pokonywaniu oporu więźniów i nie bał się ewentualnego starcia. Był przygotowany na atak ze strony krępowanego Polaka, ale tym razem nie potrzebował korzystać ze swoich doświadczeń. Czerski był bezwładny i nie stawiał oporu.

– No, wstawajcie, aby bystro – powiedział Szurajew, który nie zamierzał wlec ciężkiego człowieka po schodach.

Kopnął lekko Czerskiego, ale widząc brak jakiegokolwiek reakcji, podniósł go za ramiona. Z pomocą Szurajewa Czerski zaczął poruszać się, powoli robił krótkie kroki po piwnicznej posadzce, a nawet zaczął wchodzić po schodach. Krok po kroku wyszli po kamiennych stopniach z piwnicy. Czerski był zaskoczony otoczeniem, które w niczym nie przypominało mu robotniczej czynszówki. Piwniczne schody wychodziły do przestronnej, wyłożonej białymi kafelkami kuchni, z której wydostali się do kredensu, a następnie do jadalni. Wszystkie pomieszczenia swoim rozmiarem zaprzeczały typowemu kamienicznemu budownictwu. Czerski spojrzął w okno i zrozumiał, że był w podmiejskiej willi. Widok głębokiego ogrodu z altaną oplecioną pnącymi różami powiedział mu, że znajdował się poza miastem. Wciągnął w płuca świeże powietrze, którego wiejski aromat potwierdził jego obserwacje. Zamrugał oczami, jakby chciał odpędzić sen, ale gest miał pokryć zdziwienie, gdyż nie pamiętał wyjazdu z Warszawy. Ból głowy ustępował powoli i Czerski czuł, że wracają mu siły.

Zanim jeszcze całkiem oprzytomniał, Szurajew wepchnął go do małego po-

koju, który z pewnością był gabinetem właściciela. Gabinet ten znajdował się w alkowie bez okna, za potężnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Szurajew posadził go na stołku na środku pomieszczenia. Podłoga wokół Czerskiego była przykryta dużą płachtą grubego płótna.

– Widzicie, Krasnaja Bielka, mamy kilka spraw do wyjaśnienia – powiedział Wojkow, wstając z fotela pod ścianą. Wprawdzie użył jego kryptonimu agenturalnego, ale mówił spokojnym tonem, jakby prowadził salonową konwersację. Ton i zachowanie Wojkowa z jednej strony świetnie pasowało do otoczenia, z drugiej kłóciło się z funkcją, jaką sprawował w Polsce, i sytuacją, w jakiej się znajdowali.

Czerski nie odpowiedział, a Wojkow powolnym krokiem podszedł bliżej, pochylił się, przysuwając twarz do twarzy Czerskiego i zapytał.

– A czemu nie ma planu ofensywnego „Wschód”? A?

– Nie ma – odparł bezmyślnie Czerski charczącym głosem. – Przyniosłem, co mi dał Niemojewski.

– No, a ja nie wierzę, żeby taki fachowiec jak generał Kutrzeba, planując obronę Kresów Wschodnich, nie sporządził planu ofensywnego. To gdzie on?

– Może takiego nie ma. W ogóle nie ma.

– Mówiliście z Niemojewskim o planie ofensywnym?

Czerski zastanowił się chwilę. Przebiegł myślami swoje rozmowy z Niemojewskim i ku własnej radości stwierdził, że pamięta je. Jego myśli stały się klarowne, jakby nigdy nic mu się nie stało.

– Dajcie mi wody – poprosił.

Wojkow skinął na Szurajewa, który sięgnął po karafkę stojącą na okrągłym stoliczku po drugiej stronie gabinetu. Czerski kilkoma haustami wypił podaną mu szklankę wody i oblizał wargi.

– Chciałem tylko plany, bez precyzowania jakie – powiedział normalnym głosem.

– A Niemojewski co na to?

– On też mówił plany. Żaden z nas nie wspomniał o defensywnych i ofensywnych. Po prostu plany.

– A może wy chcecie je sprzedać komu innemu? Co?

– A kogo mogą obchodzić plany obrony Kresów? Kogo oprócz Rosjan?

Wojkow wiedział, że Czerski ma rację, i nie naciskał więcej. W zanadrzu miał swoje sposoby sprawdzenia prawdopodobności agenta. Pytanie dalej nie prowadziło do niczego konstruktywnego. Postanowił zacząć pytać o inny nurtujący go problem – o sprawę Bobińskiego.

– Może nawet wam uwierzę – powiedział Wojkow. – W końcu Niemojewski mógł was oszukać, ale powiedzcie mi, czy my wam za mało płacimy?

To pytanie tak zaskoczyło Czerskiego, że odwrócił głowę w stronę Wojkowa i przez dłuższą chwilę nie wiedział co ma powiedzieć. Bolszewicy nigdy nie dali

mu pieniędzy obiecanych Niemojewskiemu, może zatem podejrzewali go, że chce zarobić na swojej wiedzy o nich.

– Bo widzicie – ciągnął po chwili przerwy Wojkow, patrząc z bliska w oczy Czerskiego – zaczynamy mieć wątpliwości, po której stronie leży wasza lojalność.

– Chyba udowodniłem moją wierność, towarzyszu Wojkow – odpowiedział powoli Czerski niepewnym głosem. Pomyślał, że bolszewicy wiedzą więcej, niż przyznają. Nie miał wątpliwości, że jeśli znają treść jego rozmów z Niemojewskim, to uważają go za zdrajcę i w pewnym momencie dostanie kulę w tył głowy.

Wojkow odczytał niepewność w głosie Czerskiego jako jego zdziwienie pytaniem o lojalność. Poza tym reakcja Czerskiego na pytanie wskazywała, że był nim całkowicie zaskoczony. Tymczasem Wojkow postawił to pytanie wyłącznie w celu zastraszenia Czerskiego, którego nadal uważał za swojego agenta.

– Na udowodnienie wierności będziecie mieli jeszcze okazję – powiedział Wojkow. – To jak tacy jesteście wierni, powiedzcie mi, komu sprzedajecie informacje o naszych agentach.

– Ja przecież nie znam żadnych agentów w Warszawie ani gdzie indziej – Czerski był szczerze zdziwiony kierunkiem, jaki przybierało przesłuchanie. – Nie dostałem żadnych kontaktów. Wiedziałem tylko o Pokrowskim, a po przyjeździe do Warszawy o was, towarzyszu Wojkow.

– Może sami wysledziliście? Bo widzicie, mamy kłopot. Ktoś szantażuje naszego agenta. Dobrego agenta. I trzeba sprawdzić kto to taki. A wy mi pasujecie tutaj.

– Nikogo nie szantażuję – Czerski z nieudawanym oburzeniem odrzucił oskarżenie. – Czego wy od mnie chcecie?

– Chcemy wiedzieć, kto wam wskazał agenta numer jeden – wycedził Wojkow.

Czerski nagle pojął, że chodzi o tego agenta, którego zamierzał ścigać, o którym opowiedział Niemojewskiemu przy ich pierwszym spotkaniu, którego wydał mu Jurij Protasow. Skojarzył pytania Wojkowa o szantaż z podejrzeniem, że zna ich wysoko ulokowanego szpiega i zrozumiał, dlaczego znalazł się w roli przesłuchiwanego. Pomimo oczywistego niebezpieczeństwa, jakie niesło podejrzenie o szantaż, Czerski nadstawił uszu, chcąc usłyszeć jakiś szczegół, który pomoże mu w identyfikacji bolszewickiego superagenta.

– Ja nie wiem, kto to jest agent numer jeden – odpowiedział zgodnie z prawdą Czerski. – Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

– A może to wyście go komuś wskazali?

– Nie mogłem wskazać kogoś, kogo nie znam, a nawet nie wiem, że istnieje – odparł Czerski.

– To znaczy, on was też nie zna?

– A skąd miałby mnie znać?

Wojkow skinął na stojącego w pokoju Szurajewa, który przesunął lampkę elektryczną na biurku i oświetlił z bliska twarz Czerskiego. Czerski pod wpływem silnego światła zmrużył oczy i odruchowo cofnął głowę. Wojkow zapukał w drzwi i po chwili do gabinetu weszły dwie osoby. Czerski nie mógł nikogo rozpoznać, ale był pewien, że jedna z nich to Pokrowski, a druga to szpieg Bobiński. Obie postacie stanęły przed Czerskim i jedna z nich, w kapeluszu i płaszczu, dodatkowo zakrywała sobie twarz chustką. Przez chwilę Bobiński przyglądał się Czerskiemu, ale w końcu pokręcił przecząco głową. Czerski zrozumiał, że nie rozpoznał go i w ten sposób ocalił mu życie. Ktokolwiek szantażował Bobińskiego, musiał się kręcić w jego pobliżu, zatem szpieg powinien go znać z widzenia.

Pokrowski wyprowadził Bobińskiego do drugiego pokoju. Drzwi się zamknęły i Czerski znowu został sam z Wojkowem i Szurajewem.

– No to jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia – powiedział Wojkow.

– Czego wy jeszcze chcecie? – zapytał znużonym głosem Czerski. – I zabierzcie tą cholerną lampę, oczy bolą.

– Zamknij się – warknął Wojkow zły, że jego podejrzenia nie sprawdzają się. – Jeszcze z wami nie skończyłem.

Wojkow uważał, że miał eleganckie rozwiązanie sprawy szantażu – przyjął założenie, że Czerski w jakiś sposób wykrył Bobińskiego i postanowił sobie dorozić przez szantaż. Tymczasem okazało się, że nic z tego. Wojkow podjął jednak inne kroki – wysłał Iwanowa, żeby powęszył na mieście, kto mógł rozpoznać jego agenta, ale sam nie wierzył w powodzenie takiego śledztwa. Pomimo że miał zaufanie do zdolności Iwanowa, to jednak zbyt mało było punktów zaczepienia, a miasto zbyt duże. Tymczasem ukrył Bobińskiego w willi poselstwa w Rembertowie i kazał mu zawiadomić sekretariat, że ze względu na chorobę będzie przez kilka dni nieobecny. Uważał, że tak cennego agenta należy chronić przed przypadkowym aresztowaniem, w końcu szantażystą mógł być zwykły kryminalista, który przypadkowo wpadł na trop szpiegowskiej afery.

– Sprowadzicie Arychtomowa z piwnicy – powiedział Wojkow do Szurajewa.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Czerski z zamkniętymi oczami usiłował wykombinować, co powie po tym, jak Arychtomow go rozpozna. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy i postanowił czekać, co powie im Rosjanin. Wojkow przemyślał swój następny ruch i też się nie odzywał.

Po kilku minutach milczenia za drzwiami rozległy się kroki i odgłos wleczenia czegoś po podłodze. Szurajew otworzył drzwi i wciągnął za sobą Arychtomowa, który wisiał uczepiony jego ramienia. Arychtomow wyglądał o wiele gorzej niż przy poprzednim spotkaniu i wprawdzie nie miał posiniaczonej twarzy, ale wyraźnie nie mógł chodzić i Szurajew musiał mu pomagać.

– No, wstawajcie – warknął Wojkow i Czerski wstał ze stołka. – Stańcie tu-

taj.

Wojkow wskazał mu miejsce przed biurkiem, a Szurajew wziął lampę i oświetlił twarz Czerskiego. Arychtomow ciężko usiadł na stołku i wyprostował nogi przed siebie, żeby nie dotykać stopami podłogi. Twarz miał gładką, bez śladów pobicia, ale zmęczoną i zszarzałą, z widocznymi głębokimi bruzdami na czole. Mętne, półprzytomne oczy wskazywały na zupełne zubożenie na własny los.

– Znacie go? – krzyknął Wojkow i nie widząc żadnego odzewu u Arychtomowa, dodał: – Patrzcie tutaj! Widzieliście go?

Arychtomow podniósł twarz, obrzucił Czerskiego jednym spojrzeniem i kiwnął głową. Wojkow wyraźnie poweselał.

– Gdzie go widzieliście? – pytał Wojkow.

– Na kwartirze na Grzybowskiej – odpowiedział Arychtomow.

– Z kim przyszedł?

– Z kapitanem Niemojewskim, ale tylko raz i nic nie mówił.

– Nie przepytywał?

– Ani razu.

Czerski zdziwił się, czemu Arychtomow kłamał. Nie miał po temu powodu, a przy tym czemu miałby go oszczędzać? Nic mu nie zawdzięczał.

– Słyszeliście, jak rozmawiał z kapitanem Niemojewskim? – kontynuował Wojkow.

– On nic nie mówił – odparł Arychtomow. – Niemojewski pokazywał mi jakąś starą snimkę i pytał, czy znam tych oficerów, ale ja ich nigdy nie widziałem. Wy to wszystko wiecie.

– To po co go przyprowadził? – spytał Wojkow.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – odpowiedział pytaniem na pytanie Arychtomow.

– Zabierajcie go, Szurajew – mruknął Wojkow i uderzył Czerskiego w tył głowy. – Znaczy się, wy znacie bieżenca z Sowietów.

– Nie znam, ale widziałem go raz – odpowiedział Czerski. – Byłem tam dla towarzystwa z Niemojewskim.

– A po co on was zabrał do tego zdrajcy?

– To jego spytajcie, ja nie wiem.

– I to też zrobimy – powiedział Wojkow i widząc wracającego Szurajewa, dodał: – Zabierajcie go do piwnicy. Jutro pogadamy z nim znowu.

Warszawa – kwiecień 1926

Kwiecień zawitał do Warszawy piękną słoneczną aurą. Promienie słońca wyloczyły ulice, parki i place, oblały swoim światłem kamienice, pomniki i pałace, zaróżowiły policzki dzieci i rozweseliły oblicza dorosłych. Ciągłe jeszcze okutani w zimowe paltoty mieszczanie stąpali rażniej, a wywołane ciepłem uśmiechy na

twarzach spowodowały, że kobiety w mieście wyładniały. Nawet zwykle ponurzy dozorca warszawskich kamienic, jakby pobudzeni szybko zbliżającą się wiosną, zamiatali ulice z większym zaangażowaniem. Ale ciepło i blask miały swoją mroczną stronę, odsłaniały zalegający na podwórzach i trotuarach brud, pokazywały zszarzałe szyby w oknach i zaniedbane zieleńce i skwery. Pozostałości po zimie, odarte z ukrywającego ją półmroku zachmurzonego marcowego nieba, ukazały się w pełnej iluminacji i nagle zaczęły kłuć mieszczan w oczy. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami, zwiastowana ciepłym powiewem wiatru, promieniami słońca odczuwanymi na twarzy i zmianą nastrojów ludzi w mieście.

Pasza Iwanow pogody prawie nie zauważał, całkowicie poświęcony wyznaczonemu zadaniu zawzięcie szukał szantażysty. Misja znalezienia winnego była dla niego sprawą osobistą. Jeszcze nigdy nie zawiódł swoich przełożonych i nie zamierzał tworzyć precedensu. Uważał się za najlepszego w swoim fachu. Po cichu uznawał się za niezastąpionego i właśnie z tego powodu postanowił, że znajdzie drania, zanim przyjadą wezwane przez Wojkowa posiłki z Berlina. Po długim namyśle doszedł do wniosku, że jedynym śladem, który może doprowadzić go do osoby szantażysty, były studolarówki włożone do koperty. Spróbował wyobrazić sobie, co może zrobić taki człowiek po odkryciu oszustwa. Wyda Bobińskiego czy zatai sprawę w obawie przed represjami ze strony polskiej policji i sowieckich agentów.

Ma dwa wyjścia – pomyślał Iwanow. Jeśli to kryminalista, to sprzeda dolary i zamknie się; jeśli policjant, to po wszystkim, bo wyjawi osobowość naszego agenta i sprawa przepadła. Człowiek, który mnie ograł na Żytniej, nie był przeciętnym złodziejaszkiem, a zawodowcem. Z drugiej strony nie pojawili się żadni tajni agenci policji, czyli działał sam. Prowokacja nie była akcją ani policji, ani kontrwywiadu, a pojedynczego człowieka. Zatem? Co zatem? Ha, jeśli to policjant, który zrobił prowokację po to, żeby zarobić, to nie może wyjawić agenta, bo sam na tym wpadnie. Wpadnie, bo nie zorganizował obławy, a tylko zażądał okupu i wrogi agent mu uciekł. Dostał oszukany okup, to co może zrobić? Sprzeda dolary i będzie siedział cicho albo spróbuje się zemścić i w niedalekiej przyszłości podrzuci dowody winy Bobińskiego. W takim wypadku należy się spieszyć, i to bardzo. Tak czy inaczej dolary są jedynym śladem wiodącym do szantażysty. Sto dolarów to dużo pieniędzy, zatem kto w Warszawie kupi taki banknot, przecież nie pójdzie z nim do banku, gdzie mogą go rozpoznać. Zostają mu tylko Żydzi na Nalewkach.

Iwanow uśmiechnął się do siebie. Jeśli jego rozumowanie było poprawne, to znajdzie tego człowieka i odzyska nadszarpniętą reputację w poselstwie. Najpierw poszedł do biura administracji i wyciągnął numery studolarówek użytych do zapłacenia okupu, po czym nauczył się ich na pamięć. Wiedział, że ma do czynienia z zawodowcem i postanowił dobrze się przygotować do spotkania. Sprawdzał swój niemiecki luger P08, przeczyścił go starannie i naoliwił, gdyż broń zaciniała się, jeśli ziarenka piasku dostały się do mechanizmu, w końcu przeładował świeżą amuni-

cją. Wsadził pistolet do prawej kieszeni marynarki, a do lewej włożył dwa zapasowe magazynki. Schował nóż w pochwie wszytej w lewą połą marynarki i przebrał się, żeby z wyglądu przypominać warszawskiego apasza. Na koniec zawinął kolorowy szalik wokół szyi i włożył kraciatą czapkę cyklistowską. W takim stroju wyruszył na Nalewki szukać szantażysty.

Przez resztę dnia chodził po Nalewkach, Gęsiej, Pawiej i Zamenhofs, ale dopiero na Beera Majzelsa wpadł na pierwszy ślad szantażysty. Przyjął bardzo prosty system pracy, zachodził do kantorów żydowskich i pytał, czy właściciel nie sprzedałby mu studolarówki. Inne nominały nie interesowały go i odmawiał kupienia dolarów w dwudziestkach czy pięćdziesiątkach. Kilku Żydów oferowało mu banknoty studolarowe, wtedy oglądał je bardzo dokładnie i porównywał numery z numerami banknotów wydanymi na okup. Jeśli nie zgadzały się, odmawiał zakupu, twierdząc, że banknot może być sfalszowany, i wychodził odprowadzany złym spojrzeniem kantorowca. Ale na Beera Majzelsa w kantorze Lejzora Golicera jego cierpliwe poszukiwania zostały nagrodzone – pokazany mu banknot miał właściwe numery.

– No, wygląda na dobry – powiedział poważnie Iwanow, obracając przez cały czas w rękach banknot. – Może i kupię.

– Jak szanowny pan sobie życzy – powiedział Żyd w jarmułce i jedwabnym, lecz powycieranym chałacie. – Ile szanowny pan oferuje?

– Dam tysiąc złotych – rzucił Iwanow, wiedząc z góry, że cena była za niska.

– O dla Boga – wrzasnął Lejzor Golicer, jakby napadli go w kantorze bandyci. – Toż pan szanowny chce mnie obrabować? Obedrzeć ze skóry? Tysiąc dwieście i ani grosza mniej.

– To ty chcesz mnie obrabować, Żydzie – warknął Iwanow, który zapłaciłby więcej za studolarówkę, ale wiedział, że musi się targować. – Dam tysiąc pięćdziesiąt i ani grosza więcej.

– Toż ja pójdę z torbami, a moje dziatki pomrą z głodu – lamentował Golicer, który przestał zacierać ręce i w geście rozpaczony wzniósł je do nieba. – Tysiąc sto osiemdziesiąt, ostatnie słowo. No, robimy ten geszeft?

– Niech ci będzie, tysiąc sto. Stoi?

– Nie mogę, proszę szanownego pana, czasy niepewne, złotówka spada na łeb i szyję. Rząd się chwieje. Inflacja! A co dopiero będzie jutro? Tysiąc sto pięćdziesiąt.

– A więcej takich będziesz miał, Żydzie? – spytał Iwanow.

– Może będę miał więcej – Lejzor poczuł, że jest do zrobienia większy interes i wrócił do zacierania dłoni. – Klient sprzedał tę jedną stówkę, ale może mieć więcej.

– A kiedy będzie miał więcej? – Iwanow poczuł rosnące w nim napięcie.

– O, tego to ja nie wiem. Nie mówił kiedy, ale wyglądał, że mu spieszno.

Mówił, że wróci.

– Taki wysoki blondyn w okularach? – zapytał Iwanow. – Elegancko ubrany, w płaszczu. Bo jak to ten, to to jest mój wspólnik, co mnie okradał.

– Nie, szanowny panie, średni, czarniawy, ot taki zwyczajny, szczerowaty. Ale może to podstawiony człowiek? – Golicer pomyślał, że może tu chodzić o porachunki między złodziejami.

– E, kto by tam dał tyle pieniędzy komuś tam. A zresztą, kto go tam wie. Może to i prawda, że podstawiony – rozważał Iwanow.

– Dla pana szanownego tysiąc sto trzydzieści, ale tylko dzisiaj. Inaczej nie mogę. Bo wie szanowny pan, jak interes dobry to dobry dla obu, znaczy dla pana i dla mnie. Bo jak interes dobry tylko dla jednego, to nie jest interes, to jest szwindel.

– Dobry interes dla obu? – filozofowanie Golicera zdziwiło Iwanowa.

– Szanowny pan zarobi i ja też. To może zrobimy interesik jeszcze raz?

W przyszłości.

– Zrobimy tak, kupię tą stówkę za tysiąc sto trzydzieści, a jak ten szczerowaty przyjdzie jeszcze raz, to odsłonicie firanki w okienku – Iwanow wskazał na zaprziałe okienko na froncie kantoru.

– Ja tam się, proszę szanownego pana, w żadne historie nie mieszam – odparł Lejzor, wietrząc możliwość burdy w jego kantorze. – Wasz wspólnik, wasza sprawa.

Iwanow sięgnął za połę marynarki i w tym momencie Golicer skurczył się w sobie, myśląc, że klient sięga po broń. Jednak Iwanow wyjął najbardziej przekonujący ze wszystkich argumentów – okazał zwitek stu złotych. Lejzor, choć oczy mu błysnęły, z premedytacją odwrócił wzrok na widok takiego bogactwa. Iwanow powoli odliczył tysiąc sto trzydzieści złotych i obok położył jeszcze jedną setkę.

– Wiecie, Lejzor – Iwanow popukał w setkę palcem wskazującym – ona ma siostrzyczkę, równie ładną i miłą.

– Jak przyjemnie robić interes z szanownym panem – cicho odparł Golicer i jednym płynnym ruchem zgarnął pieniądze z lady. Teraz już był pewien, że ma do czynienia z kryminalnymi.

Iwanow chuchnął na setkę i wsadził ją do kieszeni. Doszedł do wniosku, że nic więcej nie dowie się już od Golicera i pora wracać.

– No to nie zapomnijcie – rzucił na odchodnym Iwanow i wyszedł z kantoru zadowolony z sukcesu.

– Oj, nie zapomnę – mruknął za nim Lejzor Golicer i w myślach porachował dochody z tego jednego klienta. Nie wiedział, czy ma się go bać, czy cieszyć z dobrego zarobku.

Na ulicy Iwanow dokładnie i powoli zlustrował okolicę, pamiętał, że porażka

na Żytniej była spowodowana brakiem rozpoznania. Przeszedł się w górę i w dół ślepej uliczki, która łączyła się tylko z Zamenhofa, pozaglądał do bram, przemyślał potencjalne miejsce na zasadzkę i zaczął nasiąkać swoistym kolorytem dzielnicy. Pomimo spóźnionej pory na ulicy panował tłok i harmider. Po chodnikach, a nawet z braku miejsca ulicą, przewalał się tłum starozakonnych ubranych w swoje typowe chałaty. Zdawało się, że wszyscy gadali, a część dla podkreślenia wagi swoich słów gestykułowała zawzięcie. Jedyni milczący ludzie to byli robotnicy dźwigający paki albo ciągnący na wózkach towar, na który czekali kupcy w sklepikach. Iwanow popatrzył na otoczenie z pewnym rozbawieniem i pomyślał, że musi dokładnie rozpoznać drogę odwrotu, bo ślepa uliczka łatwo mogła okazać się pułapką, z której trudno byłoby się wydostać. Chcąc spojrzeć z dalszej perspektywy na domek, w którym mieścił się kantor Lejzora Golicera, zszedł z chodnika na kocie łby ulicy i omalże nie upadł, stawiając stopę na nierównej nawierzchni. Zaklął i kulejąc na skrzyżowaną stopę, przeszedł na drugą stronę, gdzie chodnik był równie wyboisty jak ulica. Spojrzał na parterowy domek z kantorem i natychmiast wiedział, w jaki sposób zniknie w tłumie.

Ciągle jestem najlepszy – pomyślał. Udowodnię to komisarzowi. Złapię tego Polaczka. Chciałeś być lepszy od agenta INO, od Iwanowa, no to teraz się poprobujemy.

Zaczynało zmierzchać i Iwanow uznał, że dzisiaj nie ma co liczyć na pojawienie się zwierzyny – tak w myślach zaczął nazywać szantażystę. Postanowił udać się do poselstwa i złożyć raport Wojkowowi, jak również omówić plan złapania Polaka i może wydostać Szurajewa do zabezpieczenia odwrotu.

Rembertów – kwiecień 1926

Iwanow wepchnął więźnia do komórki piwnicznej przerobionej na celę i zatrzasnął drzwi. W willi były tylko trzy małe, przerobione ze zwykłej piwnicy, komórki przystosowane do przetrzymywania ludzi – prywatne więzienie Wojkowa. Z zasady więźniowie z tej samej sprawy nie mogli siedzieć obok siebie, żeby nie mieli jak się porozumiewać. W tym jednak wypadku trzeba było upchnąć ich w celach obok siebie, bo nie było miejsca. Iwanow popchnął zasuwę, która blokowała drzwi od zewnątrz i przekręcił klucz w zamku. Drzwi były solidne, ale drewniane, natomiast zamek z jednym zuhalem przypominał zwykły zamek do drzwi w biurach.

Taki zamek to nie utrzymałby kota w środku – pomyślał. Dobrze, że jest zastawa, choć i to za mało, bo można z łatwością otworzyć od zewnątrz.

Wzruszył ramionami na zaniechania i uznał, że pora się przespać. Pomimo wielkiej odporności na zmęczenie Pasza Iwanow miał dosyć jak na jeden dzień. Oprócz ugania się po mieście za szantażystą wieczorem komisarz zlecił mu jeszcze porwanie i przywiezienie więźnia do willi w Rembertowie. Dobrze, że chociaż

pozwoił zabrać automobil z poselstwa, który umożliwił szybki wyjazd z miasta, a teraz szybki powrót z Wojkowem do jego rezydencji. Przynajmniej będzie mógł przespać się we własnym łóżku, a może nawet dostanie kolację z kuchni poselstwa. Na straży w willi w Rembertowie zostawał Szurajew, który był młodszy i jego robota w ciągu dnia ograniczała się do prowadzenia więźniów.

Iwanow wyszedł z piwnicy i zamknął za sobą drugie drzwi. Z pewnym podziwem popatrzył na gładkie wykończenie stolarki, jakiego nigdy nie widział w Rosji. Przejechał ręką po futrynie i sprawdził, jak szczelnie przylegały do niej drzwi. W kuchni w białym świetle przykręconej do sufitu lampy za szerokim stołem siedział Wojkow i Pokrowski, a Szurajew zajmował się gotowaniem wody na elektrycznej płytce. Ogromna węglowa kuchnia, podstawa przyrządzania posiłków w dużym domu, stała zimna i wygaszona – nie była nikomu potrzebna.

– Siadaj, Pasza – powiedział przyjaźnie Wojkow. – Pora czajku popić i odpocząć od roboty.

– Najwyższa pora – odparł Iwanow, którego zły humor przebijał w tonie jego głosu. – Toż już po północy.

– No, dużo pracy dzisiaj zrobiliście, towarzyszu – ciągnął z uśmiechem Wojkow, którego nie zrażał ton głosu Iwanowa. – I jeszcze was potrzebuję. Musicie nakryć tę wesz, która podejrzwała naszego człowieka. W tym jesteście nie do zastąpienia.

– Kiedy przyjedzie pomoc z Berlina? – Iwanow nie dawał się wziąć na pochlebstwa, szukał konkretów.

– Wysłałem telegram rano z poselstwa, tak myślę, że zjawią się jutro – odpowiedział mu Wojkow. – W sam czas, żeby zakończyć z wami poszukiwania.

– Berlińczycy do tego są niezdatni – mruknął Iwanow. – Miasta nie znają, po polsku nie mówią. Ja potrzebuję Agatona, on choć trochę zna Warszawę. Przy okazji podszkoli się, to i lepszy czekista z niego będzie.

– Rozumiem – Wojkow podrapał się w głowę, rozrzucając bujne blond włosy na boki. – Ale jutro, znaczy się dziś, bo już po północy, Szurajew jest mi tutaj potrzebny. Zamierzam poddać Krasną Bielkę testowi na lojalność. Wolałbym was tu mieć, ale nie, wy musicie ścigać tego szantażystę. Tylko wy to możecie zrobić.

– Wiem – mruknął niezadowolony Iwanow, który już wiedział, że nie będzie miał pomocy przez cały następny dzień.

– Czajku nalać? – zapytał Szurajew.

– Nalewaj, nalewaj – Wojkow z szerokim uśmiechem machnął ręką zapraszająco. – Trzeba się napić po całym dniu pracy.

Po chwili z widocznym zadowoleniem raczyli się gorącą, słodką herbatą ze szklanek. Wojkow, zwykle apodyktyczny i wyniosły, tym razem rozmawiał ze swoimi podwładnymi, jakby byli jego bliskimi kolegami. Zarozumiałstwo posła wzięło się z jego osobistej znajomości z Władimirem Iljiczem Leninem, z którym

przyjechał do Rosji w zaplombowanym wagonie. Oczywiście oficjalna wersja wydarzeń była inna, ale i tak wszyscy wiedzieli, że Wojkow był starym rewolucyjnym towarzyszem Lenina.

Gorąca herbata rozgrzewała ciało i odpędzała natrętną senność, co było konieczne, gdyż mieli przed sobą długą drogę do Warszawy. Wojkow poczuł się różnie i wsiadając do samochodu, wbrew swoim zwyczajom zajął miejsce z tyłu i zaprosił Pokrowskiego, żeby usiadł obok. Iwanow zajął miejsce obok kierowcy i odjechali w stronę Warszawy.

Wojkow przez długą chwilę przyglądał się ciemnej drodze, która w światłach reflektorów w sposób hipnotyczny przyciągała wzrok. W wąskim strumieniu światła migwały przydrożne drzewa, ale całe pobocza pozostawały ciemne i tajemnicze. Kierowca prowadził pewnie i szybko, środkiem drogi, jakby nic nie mogło nadjechać z naprzeciwka.

– Towarzyszu Pokrowski – ton głosu i forma wypowiedzi zdradzały, że Wojkow miał coś oficjalnego do załatwienia. – Muszę zlecić wam robotę. Z rana mam zobaczyć się z moim człowiekiem z KPP, a to jest najważniejsza w tej chwili sprawa, i nie mogę być w Rembertowie w tym czasie. Pojedziecie tam z samego rana, potem odeślecie samochód do poselstwa. Waszym zadaniem będzie skonfrontowanie Krasnej Bielki z oficerem i wydobyć z nich, co stało się z planami ofensywnymi „Wschód”.

– Rozumiem, towarzyszu Wojkow – odpowiedział formalnie Pokrowski i zastanowił się, po co Wojkow odsyła go do Rembertowa. Czy chce się go pozbyć z poselstwa przed przyjściem polskiego komunisty, czy chce, żeby załatwił coś za niego w Rembertowie?

– Możecie ich trochę poprzęsłuchiwać, ale nie przesadzajcie – ciągnął Wojkow półgłosem. – Zależy mi na tym, żeby ich zmiękczyć. Jutro mam zajęty dzień i nie mam czasu na wielogodzinne przepytывanie. Jak przyjadę z Wasylem, będzie nas czterech na ich dwóch. Wtedy poddam Krasną Bielkę ostatecznemu egzaminowi lojalności.

– Co to ma być? – zapytał wiedziony ciekawością Pokrowski.

– Widzicie, Pokrowski, wcale nie jestem pewien, czy Krasnaja Bielka pracuje dla nas, a nie dla Polaków. Ta sprawa z szantażowaniem Bobińskiego bardzo mi się nie podoba. Może on pokumał się z Polakami, a nas tylko zwodzi. Raz już zdradził, może zdradzić ponownie.

– Prawdę mówiąc, ja też tak pomyślałem – przerwał mu Pokrowski.

– A właśnie. Każę mu zastrzelić Niemojewskiego. Nie będzie miał wyjścia; jeśli się zawaha, znaczy, że zdradził nas – Wojkow wygłosił ostatecznie zdanie zupełnie obojętnym tonem, jakby mówił o pogodzie.

Pokrowski przez moment obracał w myślach słowa Wojkowa, a kiedy ich znaczenie w końcu dotarło do niego, z przerażeniem spojrzął na swojego szefa, ale

zaraz potem, przyzwyczajony do całkowitego posłuszeństwa, kiwnął powoli głową.

– W ten sposób stracimy doskonałe źródło wiadomości ze sztabu – powiedział, rozważając skutki tego posunięcia. – Czy on, Krasnaja Bielka, ma zastrzelić naprawdę, czy robimy udawaną egzekucję? Ot tak, żeby jego sprawdzić.

– Naprawdę, naprawdę – odparł Wojkow, kiwając poważnie głową. – Żadne źródła nie będą nam już potrzebne. W ciągu kilku dni w Polsce zacznie się wojna domowa, a nasze oddziały wkroczą za tydzień czy dwa i droga do Europy zostanie otwarta. Dobry agent z wejściem do sztabu przez tę sekretarkę nam wystarczy. Reszta jest nieważna.

Pokrowski spojrział z podziwem na szefa i pomyślał, że bierze udział w wielkich wydarzeniach. Wydarzeniach, których znaczenia tak do końca nie rozumiał.

W jaki sposób Wojkow zamierza rozpętać wojnę domową w Polsce? – pomyślał. Czemu rezygnować z tak dobrego donosiciela jak Niemojewski? Dlaczego ten polski komunista jest taki ważny? Nic nie rozumiem.

Czerski siedział w komórcie oparty o ścianę, a przez głowę przelatywały mu obrazy z poprzedniego dnia. Był przerażony. Znowu to samo bagno – czekał nie wierząc, że go bili, aż przyzna się nawet do spraw, z którymi nie miał nic wspólnego. Już raz to przeżył i wspomnienie przesłuchań w Bolszewii wprowadzało go w stan paniki. Pamiętał ból i oczekiwanie na następną porcję tortur, na kolejną dawkę bólu. Złamali go wtedy, doprowadzili do zezwierzęcenia, wywlekli z niego duszę i pozbawili go człowieczeństwa. Już raz został szmatą, teraz pójdzie im łatwiej, załamię się szybciej, bo już wie, że nie wytrzyma bicia. W momencie kiedy opracował sobie sposób na odzyskanie zaufania polskiego wywiadu przez wystawienie im wysoko postawionego szpiega, poczuł, że znowu staje się normalnym człowiekiem. Teraz wszystko załamało się ponownie. Chciało mu się płakać nad samym sobą. Czerski był jednak frontowym oficerem, wiele razy znajdował się pod ogniem i wtedy też odczuwał ten sam graniczący z przerażeniem strach. Jedyne rozwiązanie, jakie znał na opanowanie tego strachu, to nakazać sobie jakąś czynność. Na wojnie było to proste: strzelać czy szarżować, tutaj w zamkniętym małym pomieszczeniu, w beznadziejnej sytuacji nie miał nic do zrobienia. Jednak nie rezygnował łatwo i nakazał sobie myślenie.

Nie dali mu nawet koca, a komórka była idealnie wyczyszczona ze wszystkiego. Szurajew rozwiązał mu ręce przed zamknięciem go i zdrętwiałe wcześniej dłonie wróciły do normalnego stanu. Było mu zimno, czuł silny głód i pragnienie. Od wczoraj nic nie jadł, wypił tylko szklankę wody podaną mu przez Szurajewa podczas przesłuchania. Do tego betonowa podłoga po jakimś czasie zrobiła się nadzwyczaj twarda i zimna. Usiłował przenosić ciężar z jednej części ciała na drugą, ale to pomagało tylko przez jakiś czas. Opadał z sił, co też było częścią przesłuchania – osłabienie organizmu przyspieszało załamanie woli. Jednak jeszcze nie był złamany, nakazał sobie zbieranie informacji. Jedyne, co mógł, to nadśluchiwać

i wyciągać wnioski z dochodzących go dźwięków. Czekał, aż zapadnie zupełna cisza. W zamkniętej komórce nie było światła i pełna izolacja odcinała go od wielu odgłosów z zewnątrz. Mimo to zarejestrował przyprowadzenie jeszcze jednego więźnia, zatraskiwanie drzwi i kroki człowieka wychodzącego z piwnicy. Potem usłyszał warkot silnika i pomyślał, że część Rosjan odjechała na noc do Warszawy.

Czekał dalej pewien, że ktoś został na straży, i nie pomylił się. Po jakimś czasie lekko skrzypnęły drzwi wiodące z kuchni do piwnicy. Odgłos był ledwo słyszalny, ale w panującej ciszy jego wyostrzony słuch powiedział mu, że ktoś schodził cicho po schodach. Spojrzał w kierunku drzwi, ale najmniejsza smuga światła nie ukazała się w szczelinie pod nimi.

Wartownik przyszedł sprawdzić, czy więźniowie czegoś nie kombinują – pomyślał. Zdjął buty i nie zapalił światła, to ci spryciarz. Myśli, że nas zaskoczy, a tu nic. Może się potknie na schodach i zleci na łeb. To byłoby dobre.

Przesunął się pod same drzwi i przyłożył ucho do drewna. Usłyszał szelest ubrania. Czekał cierpliwie. Odgłos przesunął się w dół korytarza, zamarł i wrócił, a potem znowu skrzypnęły drzwi. Wiedział już, że w piwnicy byli sami.

Szurajew zrewidował go bardzo dokładnie i zabrał mu broń. Ale nie dość dokładnie. Nie zaglądał do butów, a tam Czerski ukrył ostrze fińskiego noża owinięte na rękojeści plastrem. Płaskie i krótkie mieściło się w bucie i nie przeszkadzało przy chodzeniu. To była jego jedyna szansa, żeby się wydostać. Nie dopuszczał do siebie myśli, że wszystko, co robił, było i tak beznadziejne. Zamknięty w komórce, w piwnicy, na odludziu z czekistami na straży nie miał szans. Cokolwiek robił, było tylko po to, żeby się czymś zająć i nie zwariować przez noc.

Czerski obmacał drzwi, które otwierały się do środka komórki. Miały zwykłą klamkę z zamkiem pod spodem, ale wiedział, że z zewnątrz zamyka je potężna antaba. Ani wyjęcie zamka, ani wycięcie zawiasów niczego nie zmieniało – antaba trzymała drzwi. Uznał, że nie przebije drzwi, nawet gdyby pracował całą noc, i zrezygnował. Podsunął się pod ścianę komórki i obmacał ją. W momencie, kiedy Szurajew wpychał go do środka, w smudze światła z korytarza Czerski zauważył, że jedna ściana była inna niż pozostałe. Wyglądała na świeżo zbudowaną i nie była pomalowana wapnem na biało. Odcinała się od otoczenia świeżą czerwienią cegły, rozchlapaną zaprawą i czystością.

Czerski obmacał ścianę opuszkami palców i z boku znalazł cegłę, wokół której ilość zaprawy była mniejsza. Zaczął powoli wydłubywać zaprawę, dziobiąc ją nożem. W ciągu kilku minut wyciągnął odprysk zaprawy spomiędzy cegieł i uskrzydłony tym sukcesem zaczął pracować ze zdwojoną energią. Pomyślał, że jak wyjmie jedną cegłę, to potem pójdzie mu łatwiej. Zaczął mieć już nadzieję, ale wbijanie noża w mur szło opornie. Im głębiej wchodziło ostrze między cegły, tym mniejsze osiągał rezultaty. Ilość wykruszonej zaprawy zmalała do kilkunastu ziaren po każdym ruchu. Owinięta plastrem rączka noża zaczęła ranić mu dłoń i Czerski

zwątpił w sukces. Zaczęły nachodzić go ponure myśli, że nie wie, dokąd się przebi-ja, nie zdąży do rana, że czekaści na górze usłyszą stukanie i złapią go. Zaczął szybciej, bardziej gorączkowo kłuć nożem przestrzeń między cegłami i nagle nóż wpadł w próżnię. Wyciągnął go powoli i zajrzał przez szparę, ale po drugiej stronie pano-wała taka sama ciemność.

– Kto tu? – usłyszał szept zza ściany.

– Porucznik Czerski, a wy kto? – nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Potrzebuję pomocy, jestem uwięziony przez bolszewików.

– Tu Arychtomow, panie poruczniku, ja też uwięziony – usłyszał szept i ręce mu opadły.

– To ja przebiłem się do sąsiedniej celi? – zapytał Czerski, znając z góry od-powiedź.

– Ano tak, panie poruczniku. Niech mnie pan stąd wyciągnie. Ja bieżeniec, zamordują mnie.

– Mnie pewno też – odparł Czerski i zwiesił głowę.

– U mnie mnóstwo bogactwa – Arychtomow przyłożył usta do dziurki w murze i zaczął szeptać gorączkowo. – Podzielę się. Dam brylanty, dużo dam.

– Co z tego, kiedy nie ma jak uciekać – Czerskiego nie interesowały brylan-ty. – Co mnie to obchodzi.

Po drugiej stronie muru zapadła cisza. Po długiej chwili Czerski usłyszał zduszone łkanie.

– Zabijają, zbijają – powtarzał głos za ścianą. – Po co mnie to było? Zabijają mnie.

– Mnie pewnie też – Czerski czuł się bliski nerwowego załamania. – Ale was nie mają po co mordować. Was wywiozą do Sowietów.

– Oni mnie bili – ciągnął Arychtomow przerywanym głosem. – Bili po no-gach, żebym nie mógł chodzić, to im wtedy nie ucieknę. Bo ja wcale nie nazywam się Arychtomow, on nie żyje. Jak się zwiedzą, kto jestem, to zabijają.

– Tyle to ja już odkryłem, że nie jesteście Arychtomow – mruknął do siebie Czerski.

– Po co mnie to było? – jęczał uciekinier. – Mogłem nie najgorzej żyć w Ro-sji. Miałem żonę, bogactwo, ale chciałem więcej, chciałem do wolnego kraju i wpadłem.

– Mówiliście, że macie brylanty – zdziwił się Czerski, który pod wpływem udzielającej mu się hysterii sąsiada kojarzył słowa wolno. – To was nie zrewidowa-li, nie zabrali wam?

– Ukryłem wszystko pod Żychcinem – odpowiedział Rosjanin. – Myślałem, że jak będę na wolności, to wrócę tam i odszukam. Pomóżcie mi, podzielę się z wami.

– Nie ma jak uciekać – mruknął do siebie Czerski i przepelniony frustracją

uderzył nożem w ścianę.

Klinga pękła i z brzękiem poleciała na podłogę celi. Czerski siedział chwilę ogłupiały z trzonkiem złamanego noża w ręku. Potem na czworaka zaczął szukać, macając po podłodze, i szybko znalazł złamane ostrze.

Podetnę sobie żyły i zrobię z tym koniec – pomyślał.

Warszawa – kwiecień 1926

Anna Chylińska zatrzasnęła wieko puderniczki i wstała zza biurka. Nie zależało jej, żeby wyglądać szczególnie ponętnie, wystarczało porządnie. Zawsze dbała o siebie, zatem nawet po kilku godzinach za biurkiem nie potrzebowała dużo czasu, żeby doprowadzić swoją aparycję do stanu przyzwoitości. Praca w soboty trwała krócej i o trzeciej już mogła wyjść, ale Anna nie mogła się jeszcze zrelaksować, przed nią nadal była najtrudniejsza misja dnia. Odkładała ten moment przez cały miesiąc, ale przyzwoitość nakazywała, żeby w końcu stawić mu czoła.

Wyszła z budynku sztabu, lecz zamiast skrócić w prawo w stronę Nowego Świata i iść do swojego mieszkania na Szczygła, skręciła w lewo – w stronę Mazowieckiej. Idąc chodnikiem po Królewskiej, mijala tłumy takich jak ona warszawiaków, którzy zadowoleni z zakończenia tygodnia pracy z energią sobotniego popołudnia ruszali w miasto w poszukiwaniu rozrywek. Skręciła w Mazowiecką i od razu przeszła na parzystą stronę ulicy. Nie była to łatwa sztuka, gdyż po zachodniej stronie ulicy znajdowało się mnóstwo znanych magazynów i restauracji, zatem panował ruch i przechodząc przez jezdnię, trzeba było wymijać zarówno automobile oraz dorożki, jak też tłumy śpieszących się przechodniów. Na Mazowieckiej znalazła się w wąwozie z obu stron zabudowanym wysokimi secesyjnymi kamienicami, które z samego wyglądu zewnętrznego tchnęły solidnością i zamożnością zamieszkujących je mieszczan. Poszarzałe kamienne elewacje robiły ponure wrażenie średniowiecznych murów obronnych i tylko witryny sklepów zmieniały ducha ulicy na handlowy. Na wysokości pierwszego piętra z każdej kamienicy wystawały balkony, czasem zabudowane i oszklone, ale częściej wielkie, kamienne i masywne. Balkony stawały się przydatne podczas deszczu, w słoneczny dzień odbierały światło i zasłaniały błękit nieba. Chylińska idąc ulicą miała wrażenie, że idzie w tunelu. Takie impresje wzbudzały w niej trzykondygnacyjne domy o wysokich piętrach zamknięte z obu stron wąską ulicę. Spróbowała spojrzeć w górę, ale zobaczenie nieba wymagało zadarcia głowy, a wtedy traciło się z oczu ulicę i łatwo było potrącić kogoś z przechodniów, zatem zrezygnowała.

Szła zdecydowanym krokiem, jakim idzie się na nieprzyjemne, lecz konieczne spotkanie. Starła się nie myśleć o tym, co chce powiedzieć i jak ucukrować swoje zdecydowane dictum, żeby nie zranić zbyt głęboko mężczyzny. Z gazet dobrze znała wypadki, kiedy młodzi ludzie zawiedzeni w swoich romantycznych oczekiwaniach strzelali sobie w głowę, czasem z pistoletu ojca, co zawsze zwielo-

krotniało rodzinną tragedię. Zerwanie chciała przeprowadzić w sposób jednoznaczny, niepozostawiający żadnych nadziei na zmianę sytuacji w przyszłości, ale jednocześnie bardzo chciała uniknąć skrzywdzenia dobrego przecież człowieka. Wręcz bała się wyrzutów sumienia, gdyby po zbyt stanowczym rozstaniu targnął się na własne życie. Musiała powiedzieć wszystko, co leżało jej na duszy, w sposób naturalny, czyli nie układać przemowy, ale po prostu pójść za odczuciem serca. Od dnia, kiedy spotkała Karola, podświadomie wiedziała, że moment rozstrzygnięcia nadejdzie. Jej serce domagało się jasności sytuacji, zdawała sobie sprawę, że musi wybrać. Sam wybór nie był trudny i poświęciła tylko jedną krótką chwilę na zastanowienie. Nastąpiło to po ich ostatnim spotkaniu, po zaspokojeniu fizycznego pożądanego, kiedy nie można było już odwlekać ostatecznej rozmowy z Nikodemem. Planowała to jak wizytę u dentysty na wyrwanie trzonowego zęba, niechciane i konieczne jednocześnie, odsuwane od siebie na następny dzień wedle zasady: może nie dzisiaj, może jutro. W końcu nie było już wyjścia. Chylińska nie była kobietą, która mogła zdecydować się na prowadzenie dwóch romansów jednocześnie, tego się po prostu nie robiło. Wychowano ją inaczej.

Przeszła wzdłuż długiej witryny składu fortepianów Herman i Grossman i jak zawsze rozmarzyła się na widok błyszczących, długich niczym łodzie instrumentów. W domu porucznika Włodka jako czternastoletnia wychowanka uczyła się gry na fortepianie, który zapewne pamiętał jeszcze czasy napoleońskie. Granie zawsze sprawiało jej wielką przyjemność, ale odkąd musiała pójść na swoje, nie miała na to ani czasu, ani pieniędzy, więc tylko wzdychała, przechodząc Mazowiecką. Minęła restaurację Wróbla – nie odwiedzała jej, było to miejsce raczej dla mężczyzn, i parę kroków dalej skręciła do Małej Ziemiańskiej. Pchnęła obrotowe szklane drzwi, jedne z pierwszych w Warszawie, i znalazła się w małym lokalu o zwykłych tynkowanych ścianach i długiej ladzie z ciastkami wzdłuż całej lewej strony. Dlaczego właśnie ta kawiarnia z małymi okrągłymi stoliczkami stała się modna w intelektualnym świątku Warszawy, tego nie wiedział nikt. Spekulowano na temat nazwy i gros bywalców przychyliło się do teorii, że przymiotnik „Mała” pochodził po prostu od rozmiarów lokalu. Natomiast miano „Ziemiańskiej” zapewne wiązało się z bliskością Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gdzie przychodzili ze swoimi długami właściciele wielkich majątków. Po załatwieniu prolongaty długów bądź uzyskaniu hipotecznego zabezpieczenia przez listy zastawne ziemianie zaglądali do kawiarni. I tak nieudolność gospodarcza ziemian stała się matką chrzestną małej kawiarenki w Warszawie.

Chylińska po wejściu przystanąła za drzwiami i rozejrzała się po stolikach, szukając znajomej twarzy, ale nie spostrzegła jej. Z natury obdarzona inicjatywą, nie czekała na kelnera, przecięła kawiarnię i lawirując między zajęтыми stoliczkami, dotarła pod ścianę. Powiesiła płaszcz na drewnianym wieszaku w rogu i w kapeluszu na głowie usiadła przy jednym z nielicznych wolnych jeszcze stolików.

Odwróciła krzesło tak, żeby siedzieć twarzą do wejścia i kiwnęła na kelnera.

– Pół czarnej i ziemianki – zamówiła tak, jak robili to starzy bywalcy. W Ziemiańskiej nie zamawiano kawy, lecz „pół czarnej”, którą podawano w wypełnionej do połowy szklance. Natomiast ziemianki były czymś w rodzaju małych pączków o niezwykłym smaku, podawanych właśnie w tej kawiarni.

Oparła się plecami o ścianę i skierowała wzrok na drzwi wejściowe. Sprawdziła czas na zegarku, bardzo nie lubiła czekać, uważała, że mężczyzna powinien czekać na nią. Wskazówki małego damskiego tissota wskazywały trzecią piętnaście, czyli on nie był spóźniony, raczej ona przyszła przed czasem. W zasadzie była zadowolona, że dotarła nieco wcześniej, mogła odpocząć chwilę po szybkim marszu ze sztabu i poprawić urodę. Ukradkiem spojrzała w lusterko i lekko przypudrowała nieco zaczerwieniony spacerem nosek. Zaakceptowała swój wygląd i zatrzasnęła szylkretową puderniczkę. Napięcie na chwilę spadło i miała czas obejrzeć sobie towarzystwo w kawiarni. Mała sala, zasnuta błękitnawym dymem egipskich i tureckich papierosów, rozbrzmiewała kakofonią głosów, śmiechów i zawołań. Wypełniona niemal do ostatniego stolika Ziemiańska była klaustrofobiczna, duszna i zatłoczona, a mimo to niesłychanie popularna i chętnie odwiedzana przez intelektualną śmietankę stolicy.

Chylińska zdążyła rozmieszać kostkę cukru w kawie, kiedy w obrotowych drzwiach stanął on – Nikodem Trebuski, urzędnik bankowy, rodowity warszawiak i przy tym aspirujący intelektualista. Dostrzegł ją natychmiast i z szerokim uśmiechem na swojej jowialnej twarzy zaczął przepychać się w jej stronę. W ciągu piętnastu minut, które Chylińska spędziła w kawiarni, wszystkie wolne stoliki zostały zajęte i tłok zwiększył się jeszcze bardziej.

– Witam – Nikodem pochylił się nad jej dłonią, lecz nie dotknął jej wargami, raczej markując gest, niż go wykonując. – Przepraszam za spóźnienie, tyle pracy w sobotę, że nie mogłem wyjść o właściwej godzinie.

Chylińska pomyślała, że Nikodem niepotrzebnie się tłumaczy, bo nie był spóźniony, ale przez grzeczność chciał wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że musiała siedzieć samotnie i czekać. Zachowanie typowe dla kogoś takiego jak Nikodem, czyli dla safandudy. Zaraz potem zauważyła, że w myślach nazywa go Nikodem, a nie Nikoś, jak kiedyś miała zwyczaj.

– Przez telefon powiedziałaś, że masz mi coś ważnego do zakomunikowania – mówił szybko, z uśmiechem na twarzy i stale patrząc w jej oczy. Wyraźnie oczekiwał ciekawej propozycji spędzenia wieczoru albo może nawet czegoś więcej. – Może potem pójdziemy do kina? W Casino na Nowym Świecie grają nowy amerykański film kowbojski.

Chylińska nie tylko nie odwzajemniła uśmiechu, ale jej wzrok pozostał całkowicie obojętny, wręcz zimny. Zrobiło się jej smutno, że za moment zgasi uśmiech na jego ustach.

– Posłuchaj, Nikodem – zaczęła poważnie i zabrakło jej słów. Nastąpiła krótka chwila napiętego milczenia. W końcu Chylińska lekko chrząknęła, przemogła się i zaczęła mówić: – Nie ma innego wyjścia, ja nie wiem, jak to powiedzieć inaczej niż zupełnie po prostu. Nikodem, musimy się rozstać.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdziwienia, nie spodziewał się tego, nic nie wskazywało na zerwanie. Przez chwilę patrzył na Annę, która opuściła oczy, żeby uniknąć jego wzroku. Potem zamrugnął powiekami, jakby nagle poraziło je światło, i wreszcie wykrztusił:

– Ale czemu? Czy popełniłem jakąś gafę? Bo jeśli tak, to niechący i bardzo proszę o wybaczenie. Wytłumacz mi, proszę.

– Nie ma za wiele do tłumaczenia – Chylińska była zażenowana, ten ujmująco grzeczny mężczyzna musiał czuć się zraniony. – Nikodem, muszę pójść inną drogą.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie zwracała się do niego z drobiazłem przez Nikoś, nie śmiała się i nie patrzyła mu w oczy. I wtedy zrozumiał. Nie potrzebował już żadnego wytłumaczenia, już wiedział, że w życiu Anny pojawił się ktoś inny. Ta myśl go zdziwiła, Anna uchodziła za starą pannę. Nadal była zgrabna i z miłą buzią, ale skończyła dwadzieścia osiem lat, a kobiety w jej wieku raczej nie miały zbyt wielu starających się.

– Jesteś miłym, inteligentnym mężczyzną, Nikodem – zaczęła Chylińska. – A ja nie mogę ciebie oszukiwać.

– Co się stało? – zapytał ostrożnie, pomimo że znał odpowiedź. – Jak widzieliśmy się ostatnio, nic nie mówiłaś.

– Tak, ale wiele się wydarzyło przez ten tydzień – powiedziała, myśląc, że na poprzednim spotkaniu z Nikodemem, wtedy jeszcze Nikosiem, nie była pewna swoich uczuć wobec Karolka. Machnęła ręką na własne myśli, lawirowanie między zdrobnieniami i pełnymi imionami mężczyzn w jej życiu zaczynało robić się skomplikowane. Uznała, że wyłoży sprawę i po prostu ucieknie, żeby uniknąć sceny. – W moim życiu pojawił się ktoś, kto wypełnia je bez reszty. Nie mogę mieć do czynienia z dwoma mężczyznami jednocześnie, to nieprzyzwoite. Musiałam z kogoś zrezygnować.

– I wypadło na mnie – dokończył za nią Nikodem Trebuski.

Chylińska nie odpowiedziała, ale jej wzrok nie pozostawiał wątpliwości. Wstała i wyjęła z torebki banknot. Położyła go na stole pod niedopitą szklanką z kawą, pochyliła się i pocałowała Nikodema w policzek. Zrobiła to impulsywnie, bez namysłu i tak szybko, żeby tylko może kilku gości to zauważyło. W sumie było jej żal Nikodema, który zawsze stał na wysokości zadania, był niesłychanie dobrze ułożony i grzeczny, stanowił porządne oparcie dla kobiety i wróżył szczęśliwe, dostatnie, bezbarwne życie małżeńskie. Chylińską pociągało jednak zupełnie co innego. Karolek niósł ze sobą smak ryzyka, uwodzący zapach przygody, a nawet nie-

bezpieczeństwa. Chylińska zdawała sobie sprawę z kruchości swojego związku z Karolem Bałabanem, ale po raz pierwszy w swoim szarym, nudnym i przewidywalnym życiu spotkała kogoś, kto mógł wciągnąć ją w szaleńczą przygodę, a temu nie mogła się oprzeć.

– Nie mogę ciebie narażać na niebezpieczeństwo, Nikoś – powiedziała szep-tem wciąż pochylona nad Nikodemem. – Prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie zasługujesz na to, jesteś zbyt dobrym człowiekiem.

Wygłosiwszy to ostatnie zdanie, Anna odeszła szybkim, zdecydowanym krokiem, poruszając zgrabnie okrągłymi biodrami przy mijaniu stolików zajętych przez stałych bywalców Ziemiańskiej. Odprowadzała ją para bardzo zdziwionych oczu.

Co znaczy, że nie może narażać mnie na niebezpieczeństwo? – pomyślał Nikodem.

Rozdział VI

Warszawa – kwiecień 1926

Wojkow wykazywał wielką energię i ruchliwość tego ranka. Najpierw wysłał Pokrowskiego do Rembertowa, potem Iwanowa na miasto, a w końcu resztę swoich czekistów zatrudnił na terenie poselstwa. Wydawał polecenia tak długo, aż w końcu pozbył się wszystkich pracowników i przed dziewiątą rano został sam na parterze budynku. To było jego celem – pozbyć się świadków spotkania, które wyznaczył na tę godzinę. Agent, z którym miał się zobaczyć, był tak głęboko zakonspirowany, że nie chciał, żeby ktokolwiek go widział. Dokładnie o dziewiątej poszedł do tylnych drzwi poselstwa i otworzył je na krótką chwilę. Z ulicy wszedł do budynku skromnie wyglądający, nieco przygarbiony człowiek w powycieranym robotniczym ubraniu. Uścisnęli sobie dłonie jak starzy znajomi i po wymianie zdawkowych powitań przeszli do gabinetu Wojkowa.

Wojkow znał swego posłańca od dawna. W raportach określał go jako dobrego internacjonala o solidnych robotniczych korzeniach i zupełnie oddanego sprawie rewolucji. Był to jeden z tych nielicznych Polaków, który pracował dla idei, a nie za pieniądze. Pieniądze zawsze były najbardziej przekonującym argumentem na świecie, ale jednak ideowcy potrafili wykonać najtrudniejsze zadania z pełnym poświęceniem i nie zdradzali, kiedy zaoferowano im większą sumę pieniędzy. Ideowy współpracownik sowieckiego wywiadu, który zgłosił się na ochotnika, członek KPP, był w Polsce kimś niezwykłym. W obecnej sytuacji, po decyzji KPP o poparciu Piłsudskiego w nadchodzącym przesileniu rządowym, nadawał się jak nikt inny do wykonania prowokacji zaplanowanej przez Wojkowa.

– Jakiś kłopot, żeby dostać funkcję negocjatora? – zapytał Wojkow.

– Żadnego, tylko kilku lokalnych nacjonalistów głosowało przeciwko – odparł komunista. – Przegłosowaliśmy ich bez większego kłopotu.

– To dobrze, ale zapamiętajcie nazwiska tych ludzi. Kto wie, może z czasem trzeba będzie się ich pozbyć.

– Wszystko opisałem w raporcie – agent podał Wojkowowi kartkę papieru. – Przy następnych wyborach pozbedziemy się ich z egzekutywy.

Wojkow nie to miał na myśli, ale uznał, że nie musi dzielić się swoimi planami z polskim agentem. Odłożył papier na biurko i zmienił temat.

– Widzicie, towarzyszu – powiedział Wojkow, z premedytacją unikając nazwiska swojego rozmówcy – powierzam wam najważniejszą sprawę od kilku lat. Ten jeden ruch na politycznej szachownicy otworzy nam drogę do Europy. Wypełnijcie moje polecenia co do joty, a dobrze zasłużycie się dla sprawy proletariatu.

– Rozumiem, towarzyszu pośle – odparł robotnik. – Zrobię wszystko, jak to

zaplanowaliście.

Wojkow wyjął z biurka kopertę przyniesioną przez Czerskiego i położył na blacie. Postukał palcem wskazującym w papiery.

– Jedziecie dziś na rozmowę do Sulejówka – mówił Wojkow ściszym głosem, patrząc w oczy polskiego komunisty. – Macie przeprowadzić rozmowy na temat pomocy KPP dla przejścia władzy w Polsce przez krwawego dziada. Im więcej uda się wam wytargować, tym lepiej, ale nie będę narzucał wam, o czym macie mówić i jakie osiągnąć uzgodnienia. To sprawa drugorzędna. Waszym zadaniem jest zostawić te papiery w willi w Sulejówku. Czy będziecie tam przebywać godzinę, czy pięć jest bez znaczenia. Przy pierwszej okazji utajcie te papiery w pokoju, sądzę, że będziecie rozmawiać w salonie. Może wsadzicie je między gazety albo pod fotel, ale podkreślam: nikt nie może zobaczyć was z kopertą. Czy to jest jasne?

– Nikt mnie nie zobaczy. Spotkanie było anonsowane, wprowadzie towarzysze z KPP nie otrzymali potwierdzenia, ale to może być zwykła, w takich przypadkach, ostrożność.

– Możecie się nie spieszyć. On zwykle drzemie sobie po śniadaniu do wczesnego popołudnia. Niemniej chcę mieć od was raport dziś przed wieczorem, im wcześniej, tym lepiej. Raport przekażecie telefonicznie na mój numer specjalny.

– Tak jest, towarzyszu Wojkow.

– Nie wolno wam nic mówić, skąd otrzymaliście tą kopertę. Ani towarzyszom z KPP, ani nikomu innemu, nawet spośród moich ludzi. Ściany mają uszy. Rozumiecie?

– Nie martwcie się, towarzyszu Wojkow, zajmę się wszystkim. To nie jest trudna akcja.

– A właśnie, że trudna, nie w fazie wykonania, ale z powodu wagi, jaką za sobą niesie – Wojkow akcentował każde słowo, obawiał się, że jego rozmówca może traktować sprawę zbyt lekko.

– Rozumiem powagę sytuacji i wykonam polecenia w najdrobniejszych szczegółach – zapewnił komunista. – Lepiej, żeby nikt przypadkowy nas nie widział razem, już pójdę.

– Idźcie – Wojkow podniósł kopertę i podał ją komuniście. – No i spiszcie mi się dobrze.

– Zamelduję przed wieczorem.

Komunista wyszedł przez tylne drzwi, niewidziany przez nikogo z poselstwa. Wojkow pozostał w swoim gabinecie i z zadowolenia zatarł ręce. Koło historii zaczęło się obracać puszczane w ruch przez rezydenta wywiadu sowieckiego w Warszawie. Teraz należało czekać na jeden telefon i wydarzenia same pobiegną we właściwym kierunku.

Jeden anonimowy telefon do porucznika Charaszkiwicza z II Oddziału i wykończę najniebezpieczniejszego człowieka w Polsce, a przy okazji stworzę po-

wód dla wkroczenia Armii Czerwonej – myślał Wojkow z zadowoleniem. Dwa cele przy jednym posunięciu, ciekaw jestem, czy ktokolwiek w INO mógłby pochwalić się podobnym sukcesem. Jak ta burza będzie przewalać się nad Polską, to ja odpocznę sobie w willi w Rembertowie, a Polaczki nich mordują się między sobą.

Ostatnia myśl przypominała mu o więźniach w Rembertowie i wyszedł z gabinetu zapytać, czy automobil wrócił po odwiezieniu Pokrowskiego.

Rembertów – kwiecień 1926

– No jak, Czerski, zmiękliście – powiedział kpiąco Pokrowski na widok zmiętej postaci wprowadzanej do pokoju. – Widać noc wam dobrze posłużyła.

Szurajew posadził związanego Czerskiego na tym samym stołku w gabinecie co poprzedniego dnia i zawrócił, żeby zamknąć drzwi. Grube, dwuskrzydłowe drzwi odcinały resztę domostwa od odgłosów tego, co działo się w tym pomieszczeniu.

– To teraz opowiedzcie mi, jak to się stało, że odkryliście tożsamość naszego agenta – Pokrowski chciał wykazać się przed szefem i postanowił spędzić ranek na wyciskaniu informacji z Czerskiego. – Po co go szantażowaliście, to ja już wiem, ale jak do niego doszliście?

– Nikogo nie odkryłem – powiedział zrezygnowanym głosem Czerski.

Pokrowski nawet nie musiał wydać polecenia wzrokiem, Szurajew z rozmachem uderzył w głowę przesłuchiwanego. Czerski spadł na bok ze stołka i jęknął boleśnie. Szurajew pochylił się i jednym szarpnięciem posadził go z powrotem. Ból nie był związany z samym uderzeniem, ale z reakcją mózgu, i w głowie Czerskiego rozbijały się dzwony. Bity czy nie, nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, bo nie wiedział, kim był agent ani jak miałby go wykryć. Instynkt samozachowawczy podpowiedział mu natychmiast, żeby zacząć tworzyć historię, w jaki sposób mógłby wysledzić bolszewickiego szpiega. Czerski wiedział, że nie przestaną go bić, dopóki nie przyzna się do wszystkiego, co chcieli wiedzieć. Zanim zdążył cokolwiek przemyśleć, dostał następne uderzenie, ale na tyle lekkie, że nie spadł ze stołka.

– Widzicie, Czerski – Pokrowski używał jego nazwiska, a nie pseudonimu – wy nie chcecie ze mną rozmawiać, a ja mam zadanie dowiedzieć się od was wszystkiego i przedstawić raport. Mamy czas, pogadamy, w końcu i tak powiecie, bo nie macie innego wyjścia. Nie uciekniecie mi. A nawet jak Agaton się zmęczy, to przyjedzie Pasza Iwanow i zaczniemy od początku. Mówcie!

Pokrowski z uśmiechem na twarzy krążył wolnym krokiem po zaciemnionym pokoju i mówił łagodnym głosem, jakby przekonywał niegrzeczne dziecko do poprawy. Tylko ostatnie słowo wykrzyczał Czerskiemu prosto w twarz.

– Wykonałem wszystkie polecenia, zdobyłem plany – mówił cicho Czerski,

nie wierząc jednak, że zdoła przekonać oprawców. – Czego wy chcecie? Nie szukałem żadnego agenta. Jestem po waszej stronie.

Kolejne uderzenie zrzuciło go ze stołka i powiększyło pulsujące łupanie w głowie. Szurajew dozował uderzenia otwartą dłonią w tył głowy, żeby ból zwiększał się po każdym z nich. Wprawdzie miał w tej dziedzinie nikłe doświadczenie, ale przeszedł przeszkolenie i orientował się, że użycie zbyt dużej siły na początku szybko kończyło przesłuchanie. Zwykle śmiercią przesłuchiwanego.

Pokrowski też się nie spieszył, wiedział, że ma czas. Przyjechał późno do Rembertowa, zjadł śniadanie, wypił kawę i przeczytał gazetę, a dopiero potem przystąpił do pracy. Nie spodziewał się przyjazdu Wojkova wcześniej niż po południu, ale chciał zrobić mu prezent w postaci rozwiązanej zagadki szantażu, zanim rezydent zjawi się w willi. W ten sposób liczył na dobrą ocenę u szefa i powierzenie mu bardziej odpowiedzialnych zadań w przyszłości. Dotychczas zajmował się głównie papierkami w sekretariacie i po cichu zazdrościł przygód agentom działającym w polu. Żółć go zalewała, kiedy musiał wysłuchiwać opowieści i przechwałek sowieckich agentów, którzy po udanej akcji chronili się na terenie poselstwa. Sam nie miał za wiele do opowiadania, a to nie zgadzało się z jego ambitną osobowością. Ten wyjazd do Rembertowa stanowił świetną okazję, żeby pokazać, że potrafi działać.

– Komu powiedzieliście o naszym agencie? – zapytał leżącego na podłodze Czerskiego.

Ten nie odpowiedział. Rozmowa nie miała żadnego sensu. Nie mógł ich przekonać, że nie był odpowiedzialny za szantaż, a bijące w jego głowie dzwony nie pozwalały mu skupić się na zmyśleniu jakiejś historyjki. Ze związanymi na plecach rękami był całkowicie bezbronny, a uderzający z tyłu Szurajew, niewidoczny dla oka, nie pozwalał na zrobienie uniku. Zresztą i to nie zdałoby się na nic.

– Widać trzeba zastosować mocniejsze środki perswazji – oznajmił prawie wesołym głosem Pokrowski. – Przynieście obciążki. Pogadamy jak twardzi mężczyźni.

Szurajew trzasnął drzwiami, a Pokrowski zasiadł za biurkiem, przesunął lampkę w swoją stronę i zaczął czytać gazetę. W gabinecie zapadła cisza.

Teraz to już się przyznam do wszystkiego – pomyślał Czerski. Nie warto się stawiać, bo i tak w końcu mnie złamią. I co z tego, że nic naprawdę nie wiedzą, bez znaczenia, taka widać moja dola, przegrane życie...

Myśli Czerskiego zaczęły się urywać, jakby tracił przytomność. Umysł oficera zaczadzony bólem i strachem przestawał racjonalnie funkcjonować. Przestał się bronić i pogodził się z przegraną, oczekując nadchodzących wydarzeń z fatalizmem. Usiłował przez chwilę zmusić swój mózg do pracy nad wykombinowaniem wyjścia z sytuacji, ale nie mógł się skupić na żadnej konkretnej myśli. Widział przed oczami jakieś obrazy, przez głowę przelatywały mu urywające się myśli, któ-

re prowadziły donikąd. W tym momencie Czerskiemu wydawało się, że nie może już nic więcej zrobić. Uznał, że przegrał.

Trzasnęły drzwi. Czerski przesunął głowę i zobaczył stojącego Szurajewa z parą ciężkich obcęgow w ręku, takich, jakich używają kowale, z długimi rączkami i potężnym zakończeniem. Więzień poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła, jakby miał za chwilę zwymiotować. Chciał powiedzieć, że to wszystko prawda, podejrzwał Bobińskiego i wydał go kontrwywiadowi. Zaczął coś bełkotać, ale Szurajew nie interesował się nim.

– Towarzysz Wojkow przyjechał – powiedział od progu Szurajew. – Automobil właśnie zajechał przed ganek. Zaraz tu będzie.

– Posadźcie go na stołku – mruknął Pokrowski, machając ręką w stronę Czerskiego, i poszedł do drzwi z zamiarem przywitania szefa.

Chwilę później weszli razem do pokoju. Wojkow ogarnął spojrzeniem sytuację i na widok obcęgow leżących teraz na biurku powiedział:

– Nie, teraz to niepotrzebne. Sprowadźcie drugiego z piwnicy. Zobaczymy, co powiedzą.

Czerski siedział na stołku z opuszczoną głową i powoli odzyskiwał równowagę ducha. Sytuacja się zmieniła i wprawdzie nie wiedział, kogo miał przyprowadzić Szurajew, ale każda zmiana była w tych warunkach zmianą na lepsze, tak przynajmniej sądził.

Tymczasem Wojkow zadawał mu te same pytania co poprzednio i Czerski odpowiadał podobnie. Przestał myśleć o przyznaniu się, odłożenie obcęgow podziałało na niego jak balsam, wróciła klarowność umysłu i chęć życia. Czekał na sprowadzenie drugiego więźnia, spodziewając się, że będzie to Arychtomow, który nie może go niczym obciążyć.

Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do gabinetu, ale Czerski, siedząc tyłem do wejścia, nie widział kto. Pokrowski przesunął krzesło i kiwnął ręką, żeby posadzić więźnia w polu widzenia Czerskiego. Szurajew pchnął go na krzesło i Czerski zdrętwiał. Przed nim, ubrany tylko w pidżamę, siedział Niemojewski. Ręce miał związane na plecach, a Szurajew dodatkowo przypiął go szerokim wojskowym pasem do oparcia krzesła. Wojkow przeszedł pokój i podszedł do oficera. Jedną ręką podniósł mu głowę i wskazał na Czerskiego.

– Poznajecie go? – zapytał.

Niemojewski z wyrazem zdziwienia na twarzy kiwnął głową.

– Myśleliście, kapitanie, że się nie dowiemy? – mówił dalej Wojkow do Niemojewskiego. – Ale przed nami, przed Czeka, nic się nie ukryje. Wiemy, że się zwąchaliście. Prawda?

– Przyniosłem plany „Wschód” i on, Czerski, je zabrał – odparł oficer. – Podobno miał je wam zanieść, a ja miałem dostać dwa tysiące dolarów za to.

– A przy okazji – przerwał mu Wojkow, który nie był zainteresowany wywo-

dami Niemojewskiego – zapomnieliście przynieść plany ofensywne „Wschód”. Tak? A dlaczego?

– Takich planów nie ma. Nie zostały opracowane.

– A my wiemy, że je ukrywacie. I dlatego tu jesteście.

– W Sztapie nikt nie planuje wojny z Rosją – powiedział zupełnie opanowany Niemojewski. – Co za bzdury. To byłoby samobójstwo. Są tylko plany defensywne.

– Nie wierzę – wrzasnął Wojkow tak głośno, że Czerski drgnął. Czuł za plecami obecność Szurajewa, który bez wątpienia trzymał go na muszce rewolweru.

Więc oni nic nie wiedzą, a tylko zgadują – pomyślał Czerski. Wojkow powiedział, że nie wierzy, czyli nie wie. A z tego wynika, że nie ma dodatkowej wtyczki w Sztapie.

Czerski odetchnął. Całe to przesłuchanie zaczęło mu się wydawać parodią. Bolszewicy udają, że mają wiedzę, a po prostu zakładają, że jeśli jest jeden plan, to musi być i drugi.

– Mówcie, gdzie są dalsze plany! – Wojkow nie ustawał w swojej natarczywości.

Czerski wyłączył się i przestał reagować na krzyki Wojkowa. Zaczął zastanawiać się, jak wydostać siebie i Niemojewskiego z rąk czekistów, byli przecież w Polsce, wystarczyło uciec z willi, znaleźć posterunek policji i po wszystkim. Wrócił do rzeczywistości na odgłos uderzenia. To Wojkow z rozmachem trzasnął Niemojewskiego w twarz, ale kapitan nie zareagował. Powtarzał w kółko, że w Sztapie nie przygotowano żadnych planów ofensywnych. Po upływie godziny Wojkow zniechęcił się i uznał, że pora zakończyć nieprzynoszące wyników działania. W Warszawie czekała na niego niedokończona sprawa szantażysty i najważniejsza sprawa akcji w Sulejówku. Nie miał czasu.

– Ech – machnął ręką Wojkow. – Nic z niego nie wyciągniemy. Szurajew, rozwiążcie Czerskiego.

Czerski zdziwił się, kiedy poczuł palce Szurajewa rozsypujące powróż na jego rękach. To nie zgadzało się z dotychczasową linią działania bolszewików. Zawsze woleli trzymać swoich więźniów skrupowanych, bo wtedy nawet w przypływie rozpacz nie mogli stanowić zagrożenia.

– Wstańcie no, Krasnaja Bielka – zwrócił się do niego Wojkow. – Będziecie mieli okazję udowodnić waszą rewolucyjną lojalność, o której tak mnie zapewnialiście.

Wojkow, pochylony nad szufladą biurka, czegoś w niej szukał, wyjął nagan-ta i zaczął wyrzucać amunicję z bębenka. Szło mu opornie, każdy ładunek trzeba było wyjmować pchnięciem umieszczonego pod lufą tłoka. Policzył leżące na blacie ładunki, sprawdził, czy jeden został w bębenu i zadowolony wyciągnął rękę z rewolwerem w stronę Czerskiego.

– Możecie teraz udowodnić, po której stronie naprawdę jesteście – powiedział z lekkim uśmieszkiem na twarzy. – Zastrzelcie go.

– Hę? – Czerski zrobił przerażoną minę i nie przyjął broni.

– To proste – ciągnął Wojkow z coraz szerszym uśmiechem – zastrzelicie Niemojewskiego albo Szurajew zastrzeli was.

Czerski odruchowo obejrzał się. Za jego plecami Szurajew odprowadził ze szczękiem kurek swojego rewolweru. Obojętny wyraz twarzy bolszewika i wycelowana w Czerskiego lufa powiedziały mu, że nie był to okrutny żart. Czerskiemu oczy otworzyły się na całą szerokość i poczuł suchość w gardle. Próbował przełknąć, ale nie udało mu się to. Chrząknął głośno i spojrzał na Wojkova.

– No, bierzcie, a jak zrobicie jakąś sztuczkę, to Szurajew was rozwali – warknął zły Wojkow. – I jak zaraz nie zastrzelicie kapitana Niemojewskiego, to znaczy, że i tak trzeba was obu zlikwidować. Decydujcie się!

Czerski wyciągnął rękę po rewolwer i zauważył, że drżała. Poczłł chłodny metal w dłoni i w tym momencie Szurajew przysunął się bliżej, tak że dotknął lufą pleców Czerskiego. Czerskiemu ręka opadła w dół. Ciężar broni okazał się za wielki dla zdrętwiałej dłoni. Człł mrowienie w palcach po długim związaniu, które odcięło dopływ krwi do rąk. Mięśnie nie chciały służyć i podnieść rewolweru do strzału. Wojkow i Szurajew uważnie obserwowali Czerskiego i na chwilę w gabinecie zapadła cisza, a potem rozległo się głośne pierdnięcie Niemojewskiego. Wojkow odwrócił się z obrzydzeniem i obrzucił pogardliwym spojrzeniem skazańca.

– Za chwilę zesra się ze strachu – powiedział Wojkow do Pokrowskiego. – Lepiej chodźmy stąd. Szurajew da sobie radę.

Czerski odprowadził wzrokiem wychodzącego Wojkova i Pokrowskiego. Zostali sami w pokoju. Niemojewski próbował się wyswobodzić z krępujących go więzów i w efekcie podrygiwał na krześle, patrząc przerażonym wzrokiem na Czerskiego. Całe jego ciało trzęsło się, twarz zbladła i suchym językiem próbował oblizać spieczone wargi.

Szurajew szturchnął Czerskiego w plecy lufą. Widać nie miał zamiaru czekać za długo. Czerski podniósł rewolwer i wymierzył w pierś Niemojewskiego, ale dłoń mu drżała i nie mógł złapać celu. Spróbował podtrzymać ją drugą ręką – bez skutku. Wycelował w sufit i odciągnął kurek naganta, teraz wystarczyło ściągnąć spust. Położył nań palec, ale to nie zdało się na nic. Zmartwiałe po długim związaniu palce nie miały czucia, a spust naganta był zawsze twardy, nawet przy odciągnięty kurku.

– Pospieszcie się – mruknął Szurajew i przesunął się na lewo od Czerskiego, który trzymał rewolwer w prawej ręce. Szurajew w ten sposób chciał zejść z linii strzału, gdyby Czerski odwrócił się, a przy tym zyskiwał ułamek sekundy, żeby strzelić pierwszy.

– Poczekajcie, ręce mi zdrętwiały po związaniu – powiedział Czerski, nie

oglądając się na Szurajewa. – Nie mogę spuścić.

Wsadził rewolwer lufą pod lewą pachę i zaczął rozcierać nadgarstki. Szurajew w pierwszej chwili chciał strzelić mu w plecy, ale szybko zmitygował się. Zachowanie Czerskiego było zupełnie naturalne, o czym świetnie wiedział. Dłonie związane przez ponad godzinę traciły czucie i nawet ściągnięcie spustu stanowiło wtedy problem.

Pokrowski zamknął drzwi za Wojkowem i odciął się w ten sposób od wydarzeń w gabinecie. Wojkow przeszedł przez salon, otworzył okno do ogrodu i odechnął głęboko. Smród w gabinecie przeszkadzał mu i dlatego podszedł szybko do okna, chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. Spojrzał na zegarek. Nie miał już czasu, musiał zostawić niedokończoną robotę i wracać do poselstwa.

– Słuchajcie Pokrowski – Wojkow uznał, że musi wydać ostatnie dyspozycje, zanim odjedzie. – Niech Szurajew zamknie Krasną Bielkę w piwnicy, na jakiś czas tylko, żeby trochę ostygł. Tego kapitana zawiniecie w płótno z podłogi i zakopiecie w ogrodzie. Głęboko zakopiecie. I niech Szurajew sprawdzi, żeby plam krwi nie było na ścianach albo meblach. Dopilnujcie?

– Tak, oczywiście, towarzyszu – odpowiedział Pokrowski, z niechęcią myśląc o czekającym go zadaniu. – A skąd wiecie, że Czerski zastrzeli kapitana?

– Ach, Pokrowski – powiedział Wojkow, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Krasnaja Bielka to nasz człowiek. Robi wszystko, co mu się karze. Plany przyniósł, kapitana zwerbował, sekretarkę poderwał. Trochę się pomęczy, a potem strzeli. Przeszkolili go tak, że nawet przez myśl mu nie przejdzie zdradzić. A po likwidacji będzie lepszym agentem. W dawnej Czeka to jak się nie zabiło wroga ludu, to nie przyjęli. No i Krasnaja Bielka będzie miał okazję. Mówię wam, że to nasz człowiek, ja już wiem, że nie zdradził naszego agenta numer jeden.

Pokrowski, ty durniu – pomyślał jednocześnie Wojkow, patrząc mu prosto w oczy. Do przekładania papierków to może się nadajecie, ale nie do pracy operacyjnej. I jeszcze te obcegi, czy wy naprawdę uważacie, że jesteśmy takimi rzeźmieszkami? Żadnego wyczucia sytuacji, zrozumienia psychologii człowieka, odróżniania swego od obcego. Palant! No, młody jest, to może się jeszcze wyrobi, ale na razie może jedynie wykonywać polecenia.

– Ale skąd wy, towarzyszu Wojkow, wiecie, o ile wolno mi spytać, że Czerski nie wydał naszego agenta? – spytał Pokrowski i zmieszał się na myśl o własnej bezczelności.

Wojkow spojrzał na swojego sekretarza zdecydowanie wrogo, uważając, że za dużo sobie pozwala. Pokrowski pod wpływem wzroku Wojkowa zaczął się kurczyć w sobie, myśląc, że musiał powiedzieć coś niezręcznego, za co szef go ukarze.

– Wiem, że nie jest, bo Iwanow poszedł złapać szantażystę – odparł krótko Wojkow.

– Wolałbym mieć ze sobą tutaj Iwanowa, a nie tego młokosa Szurajewa – powiedział Pokrowski. – Zawsze co doświadczenie to doświadczenie.

– Iwanow zajęty, i to nie wiadomo jak długo – odparł Wojkow i pomachał przez okno na szofera samochodu, żeby zapalał maszynę. – Musi złapać szantażystę i zlikwidować go. No idę, nie mam czasu na gadanie. Dopilnujcie wszystkiego?

– Tak jest, towarzyszu Wojkow. Dopilnuję – odparł służbiście Pokrowski.

Wojkow zabrał swój płaszcz i teczkę, a potem przypomniał sobie o czymś i odwrócił się jeszcze raz do Pokrowskiego.

– Przyszła depesza z Moskwy w sprawie Arychtomowa – powiedział jakby w zamyśleniu Wojkow. – Sądząc z rysopisu, to wcale nie jest on, a niejaki Konstanty Wasiliewicz Ługin, pracownik INO. Miał odprowadzić Arychtomowa do granicy i wracać, bo to była nasza prowokacja. Tymczasem znaleziono trupa Arychtomowa w lesie opodal polskiej granicy, a Ługin zniknął. Pewno myślał, że ucieknie przed nami, ot głupiec. Niech Szurajew da mu wycisk, a potem zlikwidować i zadołować razem z kapitanem.

– Przekażę, towarzyszu Wojkow – odpowiedział Pokrowski i jeszcze raz pożałował, że nie ma ze sobą Iwanowa.

– A gdzie Bobiński? – zapytał Wojkow, przypominając sobie o szpiegu.

– Spał na piętrecie, ale rano go nie widziałem – odparł Pokrowski.

– Zainteresujcie się tym – powiedział Wojkow. – Ma mieć wszelkie wygody i całkowite bezpieczeństwo.

W tym momencie przez zamknięte drzwi gabinetu doszedł do nich odgłos strzału, a zaraz potem łoskot ciała padającego na podłogę. Obaj odruchowo spojrzeli w tamtą stronę i czekali, jakby coś jeszcze miało się wydarzyć. Po minucie Wojkow machnął ręką.

– Nie mówiłem – powiedział obojętnym tonem, jakby stwierdzał fakt, a nie poprawność własnej przepowiedni. – Krasnaja Bielka jest nasz człowiek. Nie mam więcej czasu na te zabawy. Jadę do Warszawy, a wy zajmijcie się sprzątnięciem tego bardaku.

– Żegnajcie, towarzyszu. Zajmę się wszystkim – zapewnił Pokrowski. – Wrócę po południu.

Wojkow odwrócił się bez słowa i wyszedł na ganek. Pokrowski odprowadził go na podjazd willi i patrzył w ślad za nim, aż samochód odjechał. Wrócił do salonu i właśnie miał zamiar zawołać na Szurajewa, żeby przekazać mu instrukcje, kiedy jego uwagę zwróciło skrzypnięcie drzwi. Na progu gabinetu stał Czerski z rewolwerem w opuszczonej w dół ręce. Oparł się ciężko o ścianę i wolną ręką zamknął drzwi za sobą. Pokrowski, widząc go z rewolwerem, sięgnął po swój pistolet, ale zanim wyplątał go z kieszeni marynarki, Czerski odłożył naganta na stolik i ciężko usiadł na podłodze. Z kredowo białą twarzą, dygoczącymi rękami i rozbie-

ganym wzrokiem wyglądał jak upiór. Zamknął oczy i kilkakrotnie głęboko odechnął, a potem przyłożył dłonie do twarzy.

– Gdzie Szurajew? – zapytał Pokrowski, który wreszcie wyciągnął pistolet z kieszeni i wycelował w Czerskiego. Zreflektował się szybko, Czerski musiał wykonać egzekucję i dlatego tak wygląda. Zresztą odłożył broń, zatem po co trzymać go na muszce. Pokrowski wsadził pistolet z powrotem do kieszeni.

– Sprząta tam – odparł po długiej chwili przez przyciśnięte do twarzy dłonie Czerski.

Warszawa – kwiecień 1926

Kruk zdawał sobie sprawę z ryzyka wracania w to samo miejsce, ale nie miał wyjścia, jeśli chciał sprzedać kolejną studolarówkę. Pozbył się kilku w innych kantorach, ale większość małych handlarzy albo nie miała pieniędzy na taką transakcję, albo bała się wziąć do ręki pieniądze, które mogły pochodzić z przestępstwa. Kruk znał policyjne metody działania i dlatego musiał sprzedawać szybko, zanim wiadomość o sprzedaży dużej liczby banknotów dotrze do policji. W Warszawie sprzedanie nawet kilku banknotów o tak wysokim nominale stanowiło niecodzienne zjawisko. W momencie kiedy zostały mu ostatnie dwa banknoty, nie miał już do kogo pójść, zatem uznał, że wróci do Lejzora Golicera. Kruk doskonale wiedział, że nie powinien być wracać, ale przy pierwszej wizycie w kantorze Golicer wyraził chęć nabycia kolejnych banknotów. Przy tym był tam wczoraj, więc wiadomość nie mogła jeszcze rozejść się szeroko.

Kruk przez długą chwilę obserwował kantor na Beera Majzelsa, ale nie mógł robić tego godzinami – nie pasował do otoczenia. Katolicy odwiedzający żydowskie ulice załatwiali swoje interesy i wracali do swoich dzielnic, nie włączali się po uliczkach Nalewek. Ubrany w cywilne ciuchy Kruk odstawał w widoczny sposób od wyglądu przechodniów. Zatrzymał się zatem przy ulicznej handlarce i kupił sobie precle, a potem stał oparty o mur i konsumował je powoli. Ulica wyglądała normalnie, ludzie chodzili za swoimi sprawami, dyskutowali, zawzięcie gestykułując obiema rękami, a uliczni handlarze zachwalali swoje towary. Kobieta piskliwym głosem wołała dzieci z okna drugiego piętra, przejechała platforma z towarem, pod murem stał niewidomy sprzedawca papierosów w czarnych okularach, nie było zwiększonej aktywności policji. Kantor Golicera nie wyróżniał się ani dużym ruchem, ani pustką.

Po półgodzinie obserwacji, kiedy słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, Kruk zdecydował się i wszedł do środka. Golicer, stojąc jak zawsze za ladą, przywitał go szerokim uśmiechem.

– Szanowny pan wrócił do mnie – powiedział na powitanie. – Jakże się cieszę. Czy ma pan coś na sprzedaż?

– Owszem, mam – odparł Kruk. – Jeszcze dwie setki, ale po tej samej cenie.

– Oj, to była cena na rybkę, co by pan do mnie przyszedł więcej – Żyd załamał rękę. – Przy takim dużym zakupie ja nie mogę dać takiej ceny. Ja na tym stracę.

Golicer usiłował wymusić lepsze warunki, dążąc do większego zysku. Miał przecież dobrego kupca na dolary, zatem trzeba było się targować. Takie transakcje nie zdarzały mu się często, były jak rodzyнки w świątecznym cieście i mógł zarobić tyle co przez cały miesiąc. Złożył dłonie na brzuchu i patrząc na klienta, kręcił młynka kciukami.

– Ta sama cena, innej nie biorę – powtórzył Kruk, który też znał zasady handlu na Nalewkach.

– Dam dziewięćset pięćdziesiąt złotych – powiedział poważnie Golicer.

– Wczoraj dałeś tysiąc, to dzisiaj tyle samo.

– Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj.

Kruk musiał szybko wynosić się z kantoru i z tej ślepej ulicy, która była pułapką. Nie miał zamiaru handryczyć się o sto złotych, ale jeśli nie będzie się targował, to będzie wyglądało podejrzanie. Popatrzył uważnie na Żyda i mruknął przekleństwo.

– Słuchaj, spuszczę ci pięćdziesiąt złotych, bo mam napięte interesy i muszę zapłacić za towar, ale ani grosza więcej. Bierzesz?

– Szanowny pan sprzeda po dziewięćset dwadzieścia i obaj pójdziemy szczęśliwi do żony. To jak, jest interes?

– Interes jest, tysiąc dziewięćset za dwie – powiedział Kruk i sięgnął pod marynarkę. Pokazał Golicerowi dwa studolarowe banknoty, poruszył nimi demonstracyjnie i podsunął pod nos Żyda.

– Dam tysiąc osiemset pięćdziesiąt – odparł Żyd, oblizując usta na widok pieniędzy. – Dolar spada, rząd się stabilizuje, ja ponoszę ryzyko.

– Gówno prawda – warknął Kruk, zły na stratę czasu, i obejrzał się za siebie, ale przez zasłonięte firanką okienko nie było nic widać.

– No to krakowskim targiem tysiąc osiemset siedemdziesiąt.

Kruk pomyślał, że powinno być o pięć złotych więcej, ale zrezygnował z kłócenia się o tak drobną sumę.

– Dawaj – powiedział niezadowolony z przebiegu rozmowy. – O piątkę nie będę się targował.

– Oj, widzi szanowny pan i doszliśmy do porozumienia – odparł Żyd, ukrywając uśmiech. – Wszystko można załatwić u Lejzora Golicera. Prawda? A więcej będzie pan szanowny miał tych setek?

Jednocześnie Golicer sięgnął pod ladę, pod którą trzymał metalową kasetkę z pieniędzmi. Jego wprawne palce zaczęły liczyć papierki i po chwili położył na ladzie uzgodnioną sumę. Kruk podał mu dolary i zaczął liczyć pieniądze, a Golicer oglądał amerykańskie banknoty, spojrzawszy na nie pod światło, potarł palcem i zado-

wolony z wyniku obdukcji schował pod kontuar. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że miał dać znak swojemu wczorajszemu klientowi i podszedł do okienka.

– Ja nie wiem, czy będę miał więcej – odparł Kruk, który wolał zostać w pamięci Golicera jako potencjalny przyszły klient, bo o takich ludziach nie rozmawia się z policją. – Ale jest to możliwe.

– To jak pan szanowny będzie miał więcej, to proszę nie zapominać o Lejzorzce Golicer – to mówiąc, rozsunął firanki i jednocześnie poczuł zdenerwowanie na myśl, że w jego kantorze może rozegrać się bójka.

Kruk spędził dosyć lat w policji, żeby rozpoznać kłamstwo. Natychmiast spostrzegł zmianę w zachowaniu Golicera i coś go tknęło. Podskoczył do przodu i szybkim ruchem zasłonił okienko.

– Komu dawałeś znaki? – wycedził przez zaciśnięte zęby, chwytając Żyda dłonią za gardło. – Co ma się teraz zdarzyć?

– Ja nic, proszę szanownego pana, nic – Golicer dygotał i nagle słowa przestały dźwięczeć, a tylko poruszał zbieleiałymi ze strachu wargami.

Kruk zorientował się, że nie wydobędzie wiele z przerażonego Żyda i spojrzął przez okno. To, co zobaczył, zaskoczyło nawet obytego z różnymi przestępstwami policjanta. Przez ulicę przebiegał niewidomy handlarz, który jeszcze przed chwilą stał pod ścianą domu naprzeciw i sprzedawał z przypiętej na piersi tacy pojedyncze sztuki papierosów. Taca leżała porzucona pod murem, biała laska opierała się o ścianę domu, a nagle ozdrowiały ślepiec biegł po kocich łbach ulicy, trzymając w ręku pistolet. Kruk nie tracił czasu, odepchnął przestraszonego Golicera i przekręcił klucz w drzwiach wejściowych. Zyskał w ten sposób kilka sekund, rozejrzał się po kantorze, położył rękę na kontuarze i przeskoczył na drugą stronę. Za kantorem znajdowało się mieszkanie Golicerów, do którego prowadziły drzwi ulokowane w tylnej ścianie pomieszczenia. Kruk z rozpędem wypadł przez drzwi i zatrzasnął je. W tym momencie usłyszał łomot za sobą, to jego prześladowca wyważył drzwi do kantoru.

Iwanow przebrany za ślepcę stał cały dzień na ulicy i handlował papierosami. Wbrew swoim oczekiwaniom ze zdziwieniem zauważył, że ogromna większość kupujących wrzucała do puszek na brzegu tacy pieniądze i brała tyle, za ile zapłaciła. Zdarzały się typy, które oszukiwały, płacąc za jednego papierosa, a biorąc dwa, ale było to bardzo rzadkie wydarzenie. Przez cały dzień nie zauważył nikogo, kto mógłby odpowiadać jego wyobrażeniu szantażysty. Dopiero po południu zobaczył niepozornego człowieka, który podobnie jak on obserwował kantor Golicera. W zasadzie mógł się z nim rozprawić, wciągając go do pobliskiej bramy, ale uznał, że ma tylko jedną szansę na złapanie szantażysty i postanowił czekać na znak od właściciela kantoru. Wierzył, że chciwość poprowadzi Golicera do wypełnienia umowy. W myślach przyrzekł sobie dać mu nawet dwie stówki, jeśli Żyd da mu znak

we właściwym momencie.

Obserwował, jak tamten przeciął ulicę i wszedł do środka. W zasadzie był pewien, że to jest właściwy człowiek. Patrzył uważnie na drzwi wejściowe i jednocześnie przygotował się do akcji. Odstawił białą laskę pod mur, odpiął tacę i położył ją na ziemi, a potem założył na głowę wyjętą z kieszeni czapkę. Zdjął jeszcze przyciemnione okulary i był pewien, że nie zostanie rozpoznany, jak pójdzie za szantażystą. Podjął tak poważne środki ostrożności tylko dlatego, że przy odbieraniu okupu szantażysta wykazał się inwencją i ograł go. Tym razem postanowił mieć przewagę i przemyślał każdy swój ruch. Nie przyszło mu na myśl, że Golicer odłoni okno, kiedy jego klient będzie stale wewnątrz kantoru.

Iwanow zobaczył ruch w oknie, firanka odsunęła się i momentalnie została zaciągnięta na miejsce. Mogło być tylko jedno wytłumaczenie: Golicer dał mu znak, ale szantażysta momentalnie zorientował się w sytuacji i zaciągnął firankę. Iwanow ruszył biegiem w stronę kantoru. Przez myśl przemknęło mu, że ma do czynienia z zawodowcem, który świetnie zna wszystkie sztuczki i jednocześnie wspaniale kojarzy fakty. Z przyciśniętym do uda pistoletem przeskoczył ulicę w kilku susach i z całym impetem wpadł na drzwi do kantoru, które pod jego ciężarem wyleciały z zawiasów. Iwanow potoczył się po podłodze i z podniesioną bronią zlustrował pomieszczenie. Poza skurczonym pod ścianą właścicielem nie zauważył nikogo. Przeturlał się na bok, żeby zajrzeć za kontuar, ale w tym momencie usłyszał przestraszony pisk kobiety dochodzący gdzieś zza ściany. Poderwał się i rozejrzał się po pomieszczeniu. Drzwi za kontuarem były zamknięte, ale stanowiły drugie wyjście z kantoru. Pchnął je ramieniem i wpadł do mieszkania. Gdzieś w dalszej części domostwa słyszał tupot nóg szybko oddalającego się człowieka.

Iwanow ruszył w pościg. Przebiegł całe mieszkanie, mijając po drodze piszczącą Żydówkę, zapewne żonę Golicera, i wypadł na wąskie podwórko. Kiedyś to podwórko było szerokie, widne i zapewne nawet czyste, ale przez lata obrosło drewnianymi dobudówkami, komórkami i barakami i stało się wąską kiszką. Jedna rzecz zdziwiła Iwanowa: czemu szantażysta nie ukrył się gdzieś i nie próbował go zlikwidować? Uciekał, tylko uciekał. Czyżby nie miał broni? Z łatwością mógł ukryć się w tym podwórku i zastrzelić Iwanowa, kiedy wybiegał z domu Golicerów.

Na końcu podwórka, które nie miało drugiego wyjścia, widać było biegnącego co sił człowieka. Iwanow podniósł pistolet i wyprostował rękę. Strzał był trudny, cel ruchomy i do tego częściowo zakryty przez pranie suszące się po prawej stronie podwórza. Bolszewik zrobił pół kroku w lewo i skręcona dzień wcześniej stopa natrafiła na pustkę. Poczul, że zaczyna lecieć w bok i wystrzelił.

Kruk nie mógł się bronić i żeby zachować wolność, musiał uciekać. Przepuszczał, że goni go wywiadowca policji kryminalnej, jeden z kumpli, z którym kiedyś zapewne pracował. Strzelenie do policjanta nawet nie przeszło mu przez

głowę. Kiedy wypadł na długie podwórko i zobaczył idącą prosto aleję, wiedział, że nie ucieknie – stąd nie było wyjścia. Ale Kruk radził sobie w trudnych sytuacjach już wielokrotnie i postanowił przebiec do drugiego końca, a potem zobaczyć, czy nie uda się wdrapać na dach przybudówki i przeskoczyć na ulicę. Sprintem dobiegał już do ostatniej z komórek, kiedy padł strzał i coś smagnęło go w lewy bok, obróciło i rzuciło w błoto zalegające podwórko. Zdawało mu się, że cały bok miał rozerwany, a ból, który go przeszywał, był nie do opanowania. Skręcił się na ziemi i zobaczył, że ślepiec zbliża się do niego, wyraźnie utykając. W wyciągniętej przed siebie dłoni dzierżył pistolet.

Płaszczyna podwórka przypominała lekko sfałdowaną powierzchnię morza. Iwanow szedł niepewnie na bolącej stopie, sycząc z bólu przy każdym kroku. Każde oparcie nogi o ziemię powodowało rwanie w puchnącej kostce. Pistolet chwiało mu się w dłoni, ale musiał sprawdzić, czy tamten nie żyje. Jeśli żył, chciał się od niego dowiedzieć, jak wyszedł agenta, a potem dobić. Miał bardzo mało czasu, strzały nawet w najgorszych dzielnicach Warszawy należały do rzadkości i szybko sprowadzały na miejsce granatową policję, a Iwanow nie miał zamiaru dać się złapać. Z odległości kilkunastu kroków widział, że postrzelony mężczyzna żyje i skręca się w męczarniach.

Byle tylko był przytomny – pomyślał Iwanow i jak najspieszniej posuwał się w jego kierunku.

Kruk z twarzą wciśniętą w błoto kątem oka obserwował zbliżającego się prześladowcę. Teraz już był pewien, że to jeden z Rosjan. Policja nie strzelała ludziom w plecy i nie posługiwała się niemieckimi pistoletami. Pomyślał, że i tak ma szczęście, bo kula z lugera miała mosiężny płaszcz i przeszła na wylot. Gdyby bolszewik strzelał do niego z naganta, który miał miękkie pociski, to kula urwałaby mu ramię. Kruk miał kilkanaście sekund na wykombinowanie, jak wykaraskać się z beznadziejnej sytuacji. Nie miał wątpliwości, że bolszewik zastrzeli go, jak tylko się zbliży. Szedł wolno, bo skręcona w kostce noga musiała go strasznie boleć, ale Kruk krwawił z rany postrzałowej i tylko gwałtownemu przyływowi adrenaliny zawdzięczał, że nie stracił jeszcze przytomności. Lewa ręka była do niczego i bezwładna leżała wzdłuż ranionego boku, ale prawą wciśniętą pod ciało zaczął gmerać w ubraniu. Po długiej chwili znalazł kolbę rewolweru i zaczął powoli go wyciągać. Zaczepił kurkiem o materiał marynarki i słabnącymi siłami szarpał się z tym przez moment, patrząc z rosnącą trwogą, jak zbliża się do niego bolszewik z pistoletem.

Iwanow podszedł na krok do leżącego człowieka i naszła go ochota kopnąć drania, ale mając skręconą kostkę, nie mógł tego zrobić. Schylił się i szarpnięciem za ramię odwrócił go na wznak. Na ustach postrzelonego zobaczył krew.

Dostał w płuco – pomyślał. To dobrze, ma dosyć.

Odwrócenie ciała uwolniło przyciśniętą do ziemi rękę Kruka, który był już za słaby, żeby podnieść broń do strzału. Oparł łokieć o ziemię, podniósł dłoń trzy-

mającą rewolwer i strzelił Iwanowowi prosto w pochyloną twarz. Bolszewik zobaczył jeszcze lufę rewolweru, chciał odskoczyć, ale skręcona stopa zawiodła. Potem był błysk i zapadła ciemność. Odrzut strzału wstrząsnął Krukiem, poczuł przeszywający ból w boku i zemdlał.

Rembertów – kwiecień 1926

Odgłos szurania dochodzący z gabinetu zwrócił uwagę Pokrowskiego, jedno skrzydło drzwi otworzyło się i pochylony człowiek w skórzanej kurtce powoli, idąc tyłem, małymi kroczkami wywlókł po podłodze coś ciężkiego zawiniętego w płótno. Szło mu opornie, drzwi zaczepione o luźny kawałek płótna zaczęły się zamykać, przeszkadzając w pracy. Pokrowski podszedł i przytrzymał skrzydło drzwi, żeby ułatwić Szurajewowi robotę. Jednocześnie spojrzął z bliska na plecy pochylonego mężczyzny i zdziwił się. Po lewej stronie kurtki, na wysokości łopatki ziała okrwawiona dziura.

Co? Szurajew się postrzelił? – pomyślał Pokrowski i niepewnie spojrzął na Czerskiego. W jego umyśle świtało przecucie, że coś nie jest w porządku.

Czerski wstał z podłogi z wysiłkiem zmęczonego ciężką pracą człowieka, obszedł mężczyznę w kurtce i zaciśniętą pięścią walnął zupełnie zaskoczonego Pokrowskiego w zęby. Głowa sekretarza odskoczyła do tyłu i uderzyła o framugę. W oczach zawirowały gwiazdy, zrobiło mu się słabo i osunął się na podłogę.

Dziesięć minut wcześniej Czerski stał w gabinecie, rozcierając dłonie. Czuł na karku oddech Szurajewa, który z każdą chwilą robił się coraz bardziej nerwowy. Spojrzenie Czerskiego z rozcieranych rąk powędrowało na Niemojewskiego. Na myśl o nieuchronnej śmierci kapitana ogarnęła panika, wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w Czerskiego. Wbity w przyjaciela wzrok wyrażał jednocześnie przerażenie i niedowierzanie. Przy tym szarpał się z więzami, których i tak nie mógł zerwać, ale wkładał w to tyle wysiłku, że poruszał całym krzesłem. Bolszewicy mieli wprawę w krępowaniu więźniów, robili to często i zawsze bardzo skutecznie. Czerski obejrzał się i spojrzął w oczy Szurajewa. Wzrok czekisty był pusty, nie wyrażał niczego, on wykonywał rozkazy przełożonego z obojętnością golema.

– No – mruknął Szurajew i poparł swoje ponaglenie szturchnięciem lufą w plecy Czerskiego. Nie wiedział, czemu Wojkow zlecił mu tak skomplikowaną likwidację, można było po prostu obu zastrzelić, ale nie zamierzał kwestionować niczego, co przychodziło od naczelnika.

Czerski skinął głową i sięgnął po włożony pod pachę rewolwer. Widząc ten ruch, Szurajew, który stale podejrzewał, że Polaczek wykroi mu jakiś numer byle tylko nie strzelić, odprężył się nieco i połuźnił nacisk na spust. Czerski złapał rękę naganta, odsunął lewą rękę nieco w bok i wystrzelił. Ciało Szurajewa, który stał dokładnie po lewej stronie Czerskiego, ugodzone kulą w pierś przeleciało przez

pokój i z głuchym łomotem upadło na nakrytą płótnem podłogę. Czerski skurczył się w sobie i kucnął na podłodze, oczekując na strzał z broni Szurajewa.

Gdybyś miał trochę więcej doświadczenia, nie stałbyś tak blisko – pomyślał Czerski z uczuciem ulgi. Życie zawdzięczam brakowi rutyny u Szurajewa i ciężkim spustom w nagantach, gdyby to był niemiecki pistolet automatyczny, to w skurczu, nawet w momencie śmierci, wystrzeliłby. A tak ciągle jeszcze żyję.

Czerski wyprostował się i podszedł do Szurajewa. Wielka dziura po lewej stronie klatki piersiowej szybko ciemniała od krwi. Czekał był martwy. Strzał z minimalnej odległości, wprost w pierś, musiał zabić.

Jeszcze chwilę – pomyślał Czerski, patrząc na trupa. Jeszcze chwilę muszę być spokojny, lodowato opanowany, a potem mogę odreagować. Albo wojna, albo bolszewickie szkolenie znieczuliły mnie na śmierć. Chyba jednak zawdzięczam to czekistowskiemu kształtowaniu charakterów. Zabijam bez namysłu i mrugnięcia okiem, a potem nie mam wyrzutów sumienia. Ba, czuję, jakbym to wręcz lubił. Stworzyli bestię i wypuścili ją z klatki, a teraz bestia pracuje przeciwko nim, a może nawet na własny rachunek.

Obszukał ciało czekisty i zgodnie z przypuszczeniem znalazł przy nim nóż. Podniósł rewolwer Szurajewa, który pod wpływem nagłego rozmachu jego rąk znalazł się pod ścianą. Zatrzymał się na moment, żeby posłuchać, czy Pokrowski albo Wojkow nie idą sprawdzić wyniku egzekucji, ale nic nie słyszał. Wsadził naganta za pasek spodni na plecach i obdarł Szurajewa z jego kurtki. Czekał lubowali się w skórzanych kurtkach, stanowiły rodzaj umundurowania ich formacji, a teraz okrycie to miało posłużyć do maskowania.

Niemojewski przestał szarpać się z powrozami i tylko patrzył wytrzeszczonymi, przerażonymi oczami na Czerskiego. Zamarł w bezruchu ze wzrokiem wlepionym w kolegę, który na jego oczach obdzierał zabitego przez siebie chłopaka z ubrania. Kapitan Niemojewski nie rozumiał niczego ze sceny, jaka się rozegrała w gabinecie. Potem Czerski rzucił kurtkę w jego stronę.

– Nie było innego wyjścia – powiedział szeptem. – Szczęśliwie tamci wyszli, bo z trzema nie dałbym rady, ale i tak bym spróbował. Chyba nie myślałeś, że do ciebie strzelę?

Oczy Niemojewskiego pozostawały rozszerzone do ostatnich granic, a na skroniach pulsowały mu żyły. Czerski zrozumiał w lot. Zabił czekistę i stał z nożem w ręku przed związanym oficerem, do którego przed chwilą miał rozkaz strzelić. Umysł Niemojewskiego przeładowany dramatyzmem rozgrywających się przed jego oczami wypadków jeszcze nie nadążał za rozwojem sytuacji. Czerski zaczął obawiać się, że kolega mógł ulec atakowi hysterii i w momencie, kiedy zdejmie mu knebel z ust zacznie krzyczeć.

– Józus – powiedział cichym, miękkim głosem. – Musimy się stąd wydostać. Nie wiem, ilu ich jest w domu. Potrzebuję twojej pomocy. Czy możesz zapanować

nad sobą? Musimy działać szybko. W zupełnej ciszy. Rozumiesz?

Krótką przemowa odniosła skutek. Niemojewski zamknął oczy, potrząsnął głową i kiedy je znowu otworzył, skinął głową. Czernski pochylił się i przeciął więzy na przegubach dłoni. Kapitan Niemojewski natychmiast zdarł szmatę, którą zawiązano mu twarz, wypluł drugą wsadzoną do ust i zaczął gwałtownie oddychać. Złapał się rękami za głowę i gwałtownie drapał swoją czaszkę paznokciami, a potem nerwowymi ruchami zaczął ściągać poprzecinane powrozy z przegubów dłoni. W końcu poderwał się z krzesła i w milczeniu zaczął chodzić po gabinecie, machając rękami na wszystkie strony. Wydawało się, że każdy mięsień jego ciała trzęsie się jak w nagłym ataku febry.

Przez minutę Czernski bez słowa obserwował zachowanie kapitana, wiedząc, że po takim przeżyciu nie wróci szybko do równowagi. Wokół panowała zupełna cisza. Czernski miał wrażenie, że znajdują się w odosobnionym świecie, do gabinetu nie docierały odgłosy rozmów ani żadne dźwięki z zewnątrz. Jednak w momencie, kiedy wyczerpany gestykulacją Niemojewski opadł na fotel za biurkiem, nagle usłyszał warkot silnika.

Ktoś odjechał automobilem, pewnie Wojkow – pomyślał Czernski. Nasze szanse rosną. Bolszewików jest mniej, trzeba działać.

Stanął przed Niemojewskim i położył mu obie ręce na ramionach, zajrzał w oczy, a w końcu potrząsnął nim.

– Opanuj się! – powiedział szeptem, ale z wyczuwalnym w głosie naciskiem.
– Weź się w garść. Musimy wydostać się stąd.

Rozbiegane oczy Niemojewskiego zaczęły patrzeć ze zrozumieniem. Widać było wysiłek, jaki wkładał w opanowanie drżenia rąk, próbował też skupić się na słowach Czernskiego.

– Jesteśmy stale w niebezpieczeństwie – ciągnął Czernski, jednocześnie ładując naganta rozrzuconymi na biurku pociskami. – Bolszewicy są ciągle za drzwiami.

– Co robimy? – ochrypłym głosem spytał Niemojewski.

– Ubierz się w kurtkę Szurajewa i zawiń jego ciało w płótno – wydał mu instrukcje Czernski. Jednocześnie poczuł przypływ radości, kapitan zaczął się kontrolować.

– Ja ich pozabijam! – Niemojewski szarpnął się, jakby chciał nagle rzucić się w stronę drzwi.

– Cicho! – syknął Czernski z niepokojem. – Mam plan. Wykonamy go. Dobrze?

Kapitan skinął głową i po chwili ubrany w kurtkę Szurajewa zaczął składać pokrywające podłogę płótno. Czernski obejrzał się jeszcze od drzwi i sięgnął po klamkę.

Niemojewski rzucił ciągnięte płótno i spojrzał na zemdlonego Pokrowskiego. Wyglądał, jakby spał, tylko przekrzywiona szczeka wskazywała na skutki pobicia.

– Co z nim zrobimy? – powiedział. – Jest dyplomata. Broni go immunitet.

– Gówno! – warknął Czerski. – Ten gnój chciał mi wyrywać paznokcie obcążkami. Szurajewa pewno też bronił immunitet. Co?

– Prawo międzynarodowe...

– W dupie mam prawo! – wrzasnął Czerski, który na myśl o wypuszczeniu bolszewika dostawał furii. – Teraz ja go przesłucham, a potem go zadołuję. Tak trochę dla niepoznaki, nie mam zamiaru się wysilać.

– Tak nie można – odparł Niemojewski trochę już słabszym tonem.

Czerski chciał odpowiedzieć, ale z góry doleciały ich odgłosy kroków i ktoś wychylił się przez balustradę na schodach.

– Co to za wrzaski? – powiedział niezadowolony głos ze schodów. – Najpierw strzały, a teraz te...

Odwrócili się obaj jak na komendę. Na schodach stał mężczyzna i z wyrazem dezaprobaty patrzył na nich z góry.

– Szlag! – powiedział na głos Czerski, do którego nagle dotarło, kim był ten człowiek. – To musi być Bobiński.

Czerski sięgnął po rewolwer, ale nie zdążył, Bobiński zniknął, jakby go zdmuchnięto. Obaj oficerowie ruszyli biegiem po schodach na piętro, biorąc po dwa, trzy stopnie na raz. W korytarzu trzasnęły drzwi i kiedy stanęli na podeście piętra, zobaczyli szereg zamkniętych drzwi do sypialni.

– Ostrożnie, ta kanalia może być uzbrojona – mruknął przez zaciśnięte zęby Czerski.

– Nie tylko może, ale z pewnością jest – odparł szeptem Niemojewski. – Musimy wziąć go żywcem.

– Byłoby dobrze, ale wątpię, żeby się poddał – zawarczał Czerski i z wysuniętym przed siebie rewolwerem ruszył w kierunku sypialni.

Czerski nacisnął klamkę pierwszych po lewej drzwi i odskoczył za mur. Ciśsza. Zaryzykował spojrzenie do środka. Nikogo. Jednym krokiem stanął po drugiej stronie korytarza i nacisnął klamkę. Stwierdził, że były zamknięte na klucz, i przewidująco cofnął się na bok. Rozległ się huk strzału i pistoletowa kula rozbiła tynk na przeciwległej ścianie, a w drzwiach pojawiła się najeżona drzazgami dziura. Obaj oficerowie odskoczyli odruchowo jeszcze jeden krok do tyłu, choć nie było to potrzebne. W pokoju coś się kotłowało i dochodziły jakieś hałasy. Czerski strzelił na oślep przez drzwi, wyrywając w nich potężną dziurę. W odpowiedzi ze środka padły dwa strzały, układając się równo po obu stronach drzwi.

– Oszalałeś! – powiedział Niemojewski. – Żywcem! Trupa nie przesłucham.

– Jak? – odparł Czerski i patrząc na kolegę, wzruszył ramionami.

Ze środka doszedł ich odgłos szurania, a potem coś ciężko łupnęło.

Barykaduje się czy wyskoczył przez okno? – zastanowił się Czerski. Tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Czerski odszedł na drugą stronę korytarza i z rozpędu kopnął drzwi, które z łoskotem wpadły do wnętrza. Oczekując strzału, znowu uchylił się za mur, ale ze środka nikt nie strzelał. Jednak Czerski był ostrożny i odczekał chwilę, a potem szybko zajrzał do środka. Nie zobaczył nikogo. Wpadli do pokoju, w którym wokół otwartego okna powiewała koronkowa firanka. Czerski bez zastanowienia dopadł okna, oparł się dłońmi o parapet i wyjrzał do ogrodu. Z boku przez trawnik biegł Bobiński, który zdążył już oddalić się od domu na kilkadziesiąt kroków.

– O rzesz twoja mać – mruknął Czerski i złożył się do strzału.

Strzelił dwa razy, ale nie trafił. Bobiński niczym atleta skoczył na mur rozgraniczający posesje i zniknął z pola widzenia. Oficerowie pognali po schodach na dół i wypadli na ulicę, ale nikogo już nie było widać.

– Psia jego mać, cholerna, pieprzona, psia jego mać – złość wprost rozsadzała Czerskiego.

– Nic z tego – powiedział Niemojewski. – Zawiadomimy policję i może oni go złowią.

– Granatowi złapią najlepszego bolszewickiego szpiega w Polsce – powiedział cynicznie Czerski. – Nie bądź śmieszny.

– W domu jest telefon – odparł Niemojewski. – Nie ma nic innego do zrobienia. Idę zadzwonić.

– Nic z tego nie będzie. Ale dzwoń i tak zaraz tu będzie policja. Strzały było słychać w całej okolicy.

Zniesmaczeni i zawiedzeni wrócili do willi. Niemojewski zajął się telefonowaniem, a Czerski chodził wściekły po salonie. Wtedy jego wzrok padł na Pokrowskiego, który w międzyczasie oprzytomniał i zaczął się ruszać.

Czerski złapał sekretarza za przód koszuli i bezceremonialnie wrzucił go do gabinetu. Nogą zatrzasnął drzwi za sobą i zrewidował Pokrowskiego. Zabrał mu pistolet, a potem posadził go na stołku na środku pomieszczenia.

– No, panie Pokrowski, mam cię – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Role się zmieniły, ale ja nie mam czasu. Pan miał czas, ale ja nie. Wobec tego zaczniemy od pańskiego pomysłu.

Czerski wziął z biurka obcęgi i podsuwając je pod nos sekretarza, kłapał nimi kilka razy.

– Jestem dyplomatą! – wybełkotał przerażony Pokrowski.

– A ja jestem bezlitosny anioł cierpienia – Czerski uśmiechnął się sardonicznie, łapiąc w szczytce mały palec lewej ręki Pokrowskiego. – A do tego przeszkolonym przez OGPU w Sowdepaii.

Rozległ się wrzask i kiedy Czerski w końcu puścił obcęgi, Pokrowski, z miną niesprawiedliwie obrażonego dziecka, wsadził zmiażdżony palec do ust.

Właściwy ból dotarł do niego po kilkunastu sekundach, a wtedy zaczął dygotać i spomiędzy warg poląła mu się krew pomieszana ze śliną. Oczy zaszyły mu łzami i wyglądał, jakby miał się rozplakać.

– Co zamierza zrobić Wojkow? – zapytał przymilnie Czerski i delikatnie poklepał Pokrowskiego dłonią po policzku, a potem wrzasnął mu w ucho: – Mów!

– Ja nie wiem – odpowiedział bełkoczącym głosem sekretarz.

– Ja myślę, że wiesz – cicho mówił Czerski z jadowitym uśmiechem na twarzy. Złapał prawą rękę Pokrowskiego i włożył kciuk w obcęgi. Zamierzał złapać mały palec, ale zaciśnięta pięść bolszewika uniemożliwiła mu to.

– Wojkow zabrał plany do swojego biura – zaczął szybko mówić Pokrowski, który nie mógł wytrzymać bólu. – Nie wiem, co zamierza z nimi zrobić. Odesłał mnie do Rembertowa, bo chciał być sam w poselstwie.

– A jak on zamierza wywołać wojnę w Polsce? – zapytał Czerski. – Mówił coś o tym w podziemiach na Twardej. Pamiętasz?

Pokrowski błagalnie spojrzał na swojego oprawcę, a po policzkach zaczęły mu płynąć łzy.

– Nie wiem – odparł przekonany, że za chwilę straci kolejny palec, ale Czerski wierzył już w każde jego słowo.

Jednak ja opierałem im się dłużej – pomyślał z mściwą satysfakcją Czerski. Widać Pokrowski jest jedynie sekretarzem, a nie agentem. To zwykły urzędnik.

– Tak – wycedził Czerski, udając, że nie jest przekonany co do prawdziwości Rosjanina. – A Arychtomow, dlaczego tak bardzo chcieliście tego bieżenca?

– To nie jest żaden oficer. To czekista, który uciekł, a Arychtomowa zabił przed granicą. Nazywa się Ługin, Konstanty Wasiliewicz Ługin.

– No proszę, jak nam dobrze idzie – Czerski uśmiechnął się złośliwie i spojrzał na Niemojewskiego, który po załatwieniu telefonów stanął w drzwiach gabinetu z niezadowoloną miną. – To jeszcze powiedzcie mi, Pokrowski, gdzie znajdę Bobińskiego?

Na dźwięk nazwiska szpiega Niemojewski zeszytniał i zaczął się przysłuchiwać. Dezaprobata znikła mu z twarzy, a na jej miejscu pojawił się wyraz zainteresowania. To było najważniejsze pytanie i z niecierpliwością oczekiwał na nie odpowiedź.

– On jest gdzieś bardzo wysoko w administracji państwowej – powiedział Pokrowski. – Ja nie wiem dokładnie, gdzie on pracuje, ale przygotowywałem jego raporty, on bardzo dużo wie. Ma dostęp do tajnych informacji.

– Gdzie on jest? – krzyknął Niemojewski.

– Nie wiem – Pokrowski skurczył się cały, oczekując na kolejną porcję bólu. Sam przecież tak postępował. – Tylko towarzysz poseł miał z nim kontakt. Nikt w poselstwie nic o Bobińskim nie wiedział.

– Wiesz, bolszewickie ścierwo – syknął Czerski i pokazał Pokrowskiemu ob-

cęgi. – Mów!

– Nie wiem – wybełkotał sekretarz i zaczął płakać na głos. Zakrył twarz dłońmi i szlochał jak dziecko, rozmazując krew i łzy po policzkach. – Nie bij.

– Toż to wasze czekistowskie metody, sami mnie tego nauczyliście – powiedział z zadowoleniem Czerski.

– Powiem, gdzie znajdziecie Wojkowa, tylko mnie nie bij – oczy Pokrowskiego wędrowały za trzymanymi przez Czerskiego obciążkami.

– Co mnie obchodzi Wojkow – mruknął Czerski.

– On chodzi do takiej jednej dziwki na Topiel – mówił szybko sekretarz, który chciał sprzedać tajemnicę szefa za ocalenie własnej skóry. – Ona nazywa się Długa Tamara, kiedyś była żoną rosyjskiego oficera, ale teraz jest zwyczajną zdiurą.

– Gdzie ona pracuje? Tylko nie skłam – Czerski nieco teatralnym ruchem pomachał obciążkami przed nosem Pokrowskiego.

– Na Topiel, w takiej knajpie na Topiel. Mówię prawdę. Uwierz mi – głos Pokrowskiego drżał, ogarnięty przerażeniem nawet nie pomyślał, żeby kłamać. – Ale tam jej nie rznął, Wojkow zabierał ją do swojej kawalerki na Emilii Plater, niedaleko poselstwa.

– Gdzie na Emilii Plater?

– Ja nie wiem. Wojkow bardzo pilnował, żeby nikt nie wiedział, gdzie ma swoją dziupłę.

– Wierzysz mu? – zapytał Niemojewski, natychmiast kojarząc dziewczynę, o którą miał starcie z nożownikiem.

– O tak – odparł Czerski z uśmiechem. – Już wypaplał największą tajemnicę sowieckiego poselstwa, nic więcej ciekawego nie powie, bo nie wie. Możemy go puścić.

– Teraz chcesz go wypuścić – zdziwił się Niemojewski. – Przed chwilą chciałeś go rozwalić i zadołować.

Pokrowski, słysząc te słowa, zaczął głośniejsz płakać. Przerażenie, jakim napałował go Czerski, zaczęło rodzić histerię. Ten potworny człowiek zabił Szurajewa, a teraz zamierza zabić i jego. Następne słowa Czerskiego tylko pogłębiły panikę sekretarza.

– Zdradził nam już wszystko, co wiedział – mruknął Czerski. – Teraz rozwalą go bolszewicy. Za tę właśnie zdradę.

Rozdział VII

Warszawa – kwiecień 1926

Wojkow dojechał do Warszawy wczesnym popołudniem i w dobrym nastroju natychmiast zajął się pracą. Wypadki w willi w Rembertowie napełniły go optymizmem, ale z drugiej strony ciągle nierozwiązana zagadka szantażysty sprawiała ponury nastrój. Na początek krótko przyjął dwóch agentów przysłanych mu do pomocy z Berlina i wysłał ich do miasta z instrukcją, żeby odszukali Iwanowa. Uważał, że przy tak trudnym zadaniu Iwanow może potrzebować pomocy, a dwóch dobrych, operatywnych ludzi z pewnością mu się przyda. Podkreślił, że nie znają realiów pracy w Polsce tak dobrze jak Iwanow, zatem nakazał im wykonywanie poleceń Rosjanina i zameldowanie w ciągu dwóch godzin, jak postępuje sprawa szantażysty. Potem zasiadał przy swoim biurku i zajął się papierami, czekając na telefon od wysłanego do Sulejówka komunisty. Czas płynął powoli i nic się nie działo. Wojkow od czasu do czasu spoglądał na telefon z niecierpliwością, ale aparat milczał. W końcu zły na opóźnienia zażądał przyniesienia mu obiadu z kuchni i zabrał się do jedzenia w swoim gabinecie. Postawił talerz z kotлетem schabowym wprost na dokumentach pokrywających blat biurka i jadł ze smakiem. Lubił wieprzowinę. W latach jego młodości stanowiła rzadkość i przysmak, który trafiał na stół raz na miesiąc albo i to nie. Przeciętny robotnik, nawet jeśli miał stałą pracę, jadał mięso nie częściej niż raz w tygodniu. W czasach kiedy studiował na Uniwersytecie Genewskim, też nie stać go było na przysmaki. Teraz, od kiedy został posłem, Wojkow mógł sobie pozwolić na mięsny obiad każdego dnia. Do tego wypił trzy duże kieliszki schłodzonej wódki, co poprawiło mu humor i pozwoliło zapomnieć o przedłużającym się oczekiwaniu na meldunki. Każdy kieliszek zagryzał schabowym, delektując się chrupiącą panierką i delikatnym mięsem. Uznał, że jego kucharz był mistrzem w swoim fachu, i postanowił przy pierwszej okazji pochwalić go za wysiłki. W końcu otarł usta serwetką i odepchnął talerz od siebie. Usatysfakcjonowany beknął głośno, po czym rozparł się w fotelu, przymknął oczy i oddał marzeniom. To była jego ulubiona chwila w ciągu dnia, kiedy mógł popuścić paskę u spodni i z pełnym brzuchem oddać się przemyśleniom. Myślał chwilę o swojej karierze, która doprowadziła go do tak wysokiego stanowiska i zapewniła wikt, jakiego nigdy wcześniej nie miał. Potem przerobił w myślach swoje działania w Polsce, które miały w jakimś dalekim planie doprowadzić do wkroczenia Armii Czerwonej. Uznał, że wiele więcej w tym momencie zrobić nie może, i spojrzał na aparat telefoniczny. Przez moment rozważał, czy nawet bez meldunku nie zadzwonić na policję i nie złożyć anonimowego doniesienia o kradzieży planów operacyjnych „Wschód” przez Piłsudskiego. Ale natychmiast pomyślał, że na takie doniesienie

musi mieć stuprocentową pewność, i uznał, że jeszcze zaczeka. W końcu zaczął myśleć o kobietach. Zawsze lubił kobiety, ale w Polsce, na placówce dyplomatycznej, musiał być ostrożny. Żadnych przygodnych znajomości, tylko sprawdzone kontakty. Dlatego znalazł sobie tę chudą dziewczynę, Rosjankę, która uciekła jeszcze w 1924 i bez środków do życia popadła w nędzę. Szybko zdecydowała, że zostanie prostytutką, nie mogła liczyć na inny sposób zarabiania na życie. Nazywała się Tamara Nieżopasowa, była szczupłą, ale biuściastą i na tyle krótko w zawodzie, że jeszcze nie zdążyła się zniszczyć, a jednocześnie na tyle długo, że była wyrafinowana w sztuce miłości. Znalazł ją przy okazji nakazanego z Centrali penetrowania środowisk emigracyjnych, które wykonywał dla niego Iwanow. Wojkow zainteresował się Tamarą i w krótkim czasie wykrył, w końcu miał swoje możliwości, kim była i czego najbardziej pragnęła, a potem przedstawił jej układ. On poszuka jej zaginionego męża w Rosji, a ona będzie mu donosić wszystko, czego się dowie, i oczywiście będzie mu świadczyć nieodpłatne usługi. Jak dotąd kobieta dotrzymała umowy, on zresztą też. Na jego prośbę wszczęto poszukiwania lejtnanta Siergieja Nieżopasowa, które po krótkim czasie zostały uwieńczone powodzeniem. W archiwach w Rostowie, gdzie stacjonował przed wojną jego pułk, Czeka miała notatkę, że porucznik Nieżopasow został rozstrzelany w czasie czystki przeprowadzonej w regionie w 1923 roku. Tej wiadomości Wojkow nie przekazał Tamarze, powtarzał ciągle, że szuka jej męża, który wyjechał z Rostowa w nieznanym kierunku.

Odchylony na oparcie fotela przymknął oczy i zaczął przypominać sobie kształty kobiety, jej płynne, pełne napiętności ruchy, kiedy się dla niego rozbierała. Myślami przesunął się dalej, kiedy w przyćmionym świetle pokoiku na pięterku rozbudzała jego zmysły dotykiem swoich wciąż miękkich dłoni. Na myśl, że mógłby odwiedzić ją wieczorem, bezwiednie oblizał suche z wrażenia wargi.

Poobiednią sjęstę przerwało mu natarczywe pukanie do drzwi gabinetu.

– Wejść! – krzyknął Wojkow niezadowolony, że przerwano mu marzenia. W pierwszej chwili sądził, że ochroniarz Wasyl przyszedł zabrać talerz do kuchni, ale głośnie, natarczywe pukanie dało mu do myślenia.

W otwartych drzwiach stanął Jasza Krużin, jeden z agentów, którzy dziś rano przyjechali z Berlina. Normalnie szare, obojętne oczy Krużina błyszczały jakby w gorączce. Blond czupryna zawsze gładko ulizana do tyłu była zwichrzona, oddech miał przyspieszony i zaczerwienione policzki.

– Co się stało? – Wojkow momentalnie wiedział, że zaszły jakieś wydarzenia, które spowodowały przedwczesny powrót agenta.

– Towarzyszu Wojkow – powiedział, stojąc na progu, Krużin. – Iwanow zastrzelony w dzielnicy żydowskiej. Wszędzie pełno policji. Ludzie mówią, że postrzelał się z wywiadowcą policyjnym i zginął. Mikoła został na miejscu, żeby śledzić.

– Co? – ryknął Wojkow, zrywając się z fotela i niechcący kładąc rękę na tłu-

stym talerzu. – Co wy mi tu pieprzycie?! Iwanow nie żyje? To niemożliwe!

– Niestety to prawda – odparł Krużin ze zwieszoną głową.

– A szantażysta? – zapytał Wojkow. – Dopadł tą szmatę chociaż czy nie?

– Drugiego człowieka, policjanta, zabrali karetką do Szpitala Dzieciątka Jezus przy Nowogrodzkiej. Ciężko ranny i nieprzytomny.

– Job waszu mać – zaklął Wojkow. – Pieprzone Polaki. Ubili Iwanowa. Najlepszego człowieka, jakiego mam w Warszawie. Jak to możliwe?

– Tego nie wiem, towarzyszu Wojkow. Na miejsce dojść nie można, bo wszędzie policja. Powtarzam, co zasłyszałem od Żydów na ulicy.

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku Wojkowa. Poseł chwycił słuchawkę tłustą ręką i klnąc, rzucił na biurko. Złapał serwetkę i chwycił ją ponownie.

– Co jest? Składajcie raport – powiedział ostro, nie wiedząc nawet, kto dzwoni. Był przekonany, że telefon mógł pochodzić wyłącznie od wysłanego do Sulejówka komunisty.

– Nic ciekawego – powiedział głos w słuchawce. – Towaru nie dostarczyłem. Dziad chyba wyjechał, nie wpuścili mnie nawet do domu i w ogóle nikt nie chciał ze mną rozmawiać. O niczym nie chciał rozmawiać. Przesyłka nadal jest u mnie.

– Co? – wykrzyknął zdziwiony Wojkow. – Wyjechał? Nic mi o tym nie wiadomo. A dokąd wyjechał?

– Tego nie wiem – odpowiedział głos w słuchawce. – Co mam zrobić z przesyłką?

– Przynieście ją do mnie, zaraz, teraz, dzisiaj. Chcę ją mieć u siebie.

– Tak zrobię. Do widzenia.

Wojkow bez słowa odłożył słuchawkę na widełki i ciężko usiadł w fotelu. Pięknie zapoczątkowany dzień po południu zamienił się w najczarniejszy w roku, ba, w dziesięciolecie.

Co jeszcze może się dzisiaj zdarzyć? – pomyślał Wojkow z pewnym przestachem i przypomniał sobie o obecności Krużina w gabinecie.

– Na co wy czekacie? – powiedział głosem zdenerwowanego człowieka. – Idźcie na miasto i zbierzcie wiadomości w szpitalu. Szantażysta musi być zlikwidowany. Może działał na własną rękę i nikt nie wie, kogo szantażował. Zróbcie rozpoznanie w tym szpitalu i raportujcie, trzeba będzie założyć akcję na tego wywiadowcę.

– Słucham, towarzyszu Wojkow – odparł Krużin i cicho zamknął za sobą drzwi.

Wojkow został sam. Przez długą chwilę przeklinał piętrowo i dosadnie. Sięgnął do szafki obok biurka i wyciągnął butelkę z polską wódką. Wolał smak polskiej wódki od dostaw, jakie od czasu do czasu przychodziły do poselstwa z Sowieków. Nalał i wypił, obtarł pot z czoła i nalał ponownie. Pałący gardło alkohol po ja-

kimś czasie spowodował odprężenie i oczyścił mu umysł z zaćmienia, jakie niesie ze sobą wzburzenie. Zaczął widzieć sprawy jasno i rzeczowo. Zaczął myśleć, w jego głowie krystalizowały się plany dalszego postępowania.

Telefon zadzwonił, w momencie kiedy chciał przywołać swojego szofera z zamiarem wysłania go po Szurajewa i Pokrowskiego do Rembertowa. Ten numer telefonu nie był związany z poselstwem i służył Wojkowowi do rozmów z agentami. Sowieci byli przekonani, że polski wywiad założył podsłuch na liniach telefonicznych prowadzących do poselstwa, zatem przeciągnęli linię z domu obok. Ten telefon był formalnie zarejestrowany na nieistniejącego mieszkańca sąsiedniej kamienicy i technicy z Berlina sprawdzali go co jakiś czas, czy nie założono podsłuchów. Wojkow machinalnie podniósł rączkę i będąc pewien, że polski komunista zawraca mu głowę jakimiś duperelami, warknął do słuchawki:

– Czego znowu?

– Towarzysz Wojkow? – odezwał się głos, który dochodził poprzez trzeszczące połączenie zagłuszane hałasami w tle.

– Tak – odparł Wojkow zdziwiony, że nie rozpoznał głosu.

– Wiecie, kto dzwoni?

– Nie wiem. Mówcie szybko albo nie zawracajcie głowy.

– Tu jedynka. Mam kłopot.

Wojkow momentalnie skojarzył, że dzwoni do niego Bobiński i wyprostował się w fotelu. Coś musiało się wydarzyć.

– Jesteście nadal w willi? – zapytał zdziwiony.

– Nie, musiałem wyjść. Jestem na Koziej Górcie. Zaraz złapię pociąg do miasta. Przyjeżdżam.

– Czy to absolutnie konieczne? – Wojkow poczuł rosnącą mu w gardle gulę. W lot zrozumiał, że musiało zdarzyć się coś bardzo niedobrego.

– Tak. Opowiem, jak przyjadę.

– Wyślę automobil – powiedział Wojkow.

– Nie. Zbyt rzuca się w oczy. Sam dojadę.

– Nie przychodźcie od frontu – prawie krzyknął Wojkow przestraszony, że Bobiński może wejść do poselstwa z ulicy. – Podejdziecie od tyłu, od podwórza i wejdziecie przez tylne drzwi. Znacie to miejsce.

– Znam.

Połączenie zostało przerwane. Wojkow opadł na fotel i spocił się znowu. Świat nagle zawałił mu się na głowę. Misternie tkane plany wzięły w łeb w jedno po południe.

Iwanow nie żyje – pomyślał. Takie rzeczy się zdarzają, była strzelanina z policjantem, a nieszczęścia chodzą po ludziach. Mimo wszystko to znaczy, że spartolił, bo gdyby było inaczej, to przyszedłby z meldunkiem. Szantażystą jest wywiadowca policyjny – to dziwne. Jak on wyśledził Bobińskiego? To też dziwne. Plan

niedostarczone, czyli operacja się opóźni, ale są większe nieszczęścia, w końcu można spróbować jeszcze raz. Może uda się to jeszcze naprawić. Natomiast nie rozumiem, co wydarzyło się w Rembertowie. Co z Szurajewem i Pokrowskim? Dlaczego Bobiński musiał uciekać? Wszystko razem pachnie poważną wspaniałą!

Dwie godziny później, kiedy Bobiński skończył relacjonować wydarzenia w Rembertowie, Wojkow miał już odpowiedź na wszystkie pytania. Poczuli, że zaczyna przygniatać go rozpacz.

Co teraz?! – pomyślał.

Rembertów – kwiecień 1926

– No, Pokrowski, zjeżdżajcie – powiedział Czerski i dla podkreślenia pokojowych zamiarów rzucił obcęgi w kąt.

– Co? – Pokrowski wydawał się być zdziwiony. – Dokąd mam iść?

– A idźcie do diabła – zaśmiał się Czerski. – Kłaniajcie się Belzebubowi po drodze i nie wracajcie, bo mogą być w mniej miłosiernym nastroju.

Pokrowski wstał niepewnie ze stołka i ruszył w kierunku salonu, obejrzał się podejrzliwie, a potem zaczął biec.

– Myślał pewnie, że strzelisz mu w plecy – powiedział Niemojewski i ironiczny uśmiezek skrzywił mu wargi.

– Bolszewiki tak by pewnie zrobili – odpowiedział Czerski i zaczął grzebać w biurku. – Może znajdę tutaj coś interesującego. Zawsze to kryjówka czekistów.

– Wątpię. Ja, w każdym razie, w takim miejscu niczego trefnego bym nie trzymał. Ale powiedz mi, czemu puściłeś Pokrowskiego. Tak naprawdę czemu?

– Pokrowski jest bez znaczenia. Od momentu, kiedy Bobińskiemu udało się uciec, Pokrowski jest bez znaczenia. Bolszewiki i tak już wiedzą, że zdradziłem ich i nie zabiłem ciebie. Zatem Pokrowski opowie im po kolei, co tu się wydarzyło, a potem zostanie zlikwidowany.

– Ruskie mogą z tego zrobić międzynarodową sprawę – powiedział Niemojewski. – Przesłuchiwałeś go, ba, torturowałeś, a przecież chroni go immunitet dyplomatyczny.

– I co zrobią? – zaśmiał się Czerski. – Przyznają się, że trzymali małe więzienie w Rembertowie? Zmuszali Polaka do zamordowania oficera kontrwywiadu? Bili ludzi? Jak przeszukać ten ogród, to znajdzie się pewno kilka trupów. Skandal międzynarodowy na dużą skalę. W Anglii i Francji zaczną patrzeć im na ręce, sprawdzać, czy tam nie ma podobnych sytuacji. Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał robić z tego sprawę.

– Chyba racja – powiedział w zamyśleniu Niemojewski. – Ale mamy trupa, tego Szurajewa, z którego trzeba będzie się wytłumaczyć.

– Dzwon do szefa, zanim zjawi się policja. Niech naciśnie, gdzie trzeba, a w ogóle niech się tu zjawi i zobaczy to na własne oczy. Ale, ale, byłbym zapo-

niał. Na dole siedzi Arychtomow czy Ługin, jakkolwiek się nazywa. Ten facet jest teraz dla ciebie bardzo wartościowy. To jeden z komisarzy Czeka, który po tym, jak uratowaliśmy mu życie, z pewnością zacznie zeznawać.

– Idziemy po niego.

– Najpierw telefon do szefa kontrwywiadu, a potem wypuścimy Arychtomowa. On nigdzie nie idzie, może zaczekać.

Kapitan Grudziński zjawił się w rembertowskiej willi szybciej, niż można było się tego spodziewać. Pod bramę podjechały dwa automobile z oficerami i żandarmami, którzy grzecznie, ale stanowczo przejęli śledztwo z rąk policji państwowej. Żandarmi zabezpieczyli teren, dwóch oficerów zajęło się skrupulatnym przeszukiwaniem pokoi, a kapitan Grudziński w towarzystwie Niemojewskiego i Czerskiego zwiedził najpierw ogród, a potem willę. Prowadził przy tym szczegółowe przesłuchanie, przepytując kapitana Niemojewskiego, Czerskiego traktował jak powietrze. Grudziński domagał się wskazywania, gdzie miały miejsce poszczególne wydarzenia, sprawdzał ślady, pytał o szczegóły, aż zaspokoiwszy ciekawość co do wydarzeń w willi, zszedł do piwnic. Jako szef V Wydziału w II Oddziale Sztabu Generalnego, który zajmował się kontrwywiadem, miał duże doświadczenie w prowadzeniu śledztwa. Praca kontrwywiadowcza oprócz ogromnego zasobu informacji i wielu lat w profesji wymagała bystrości umysłu i zdolności kojarzenia, zdawałoby się, oderwanych faktów. Po latach służby, najpierw w armii austro-węgierskiej, a potem w Wojsku Polskim, niewiele mogło go zaskoczyć, jednak kiedy stanął w piwnicznym korytarzu i zdał sobie sprawę, że bolszewicy zbudowali mu pod bokiem własne więzienie, nie krył zdziwienia.

– To tutaj was trzymali? – powiedział, patrząc na trzy pary drzwi wiodących z korytarza do improwizowanych cel. Podeszedł do otwartej celi, zajrzał do wnętrza i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Owszem – odpowiedział Niemojewski, który miał przewodnią rolę przy wizji lokalnej. – A w ostatniej celi jest jeszcze jeden więzień, którego wypuszczenie pozostawiliśmy panu kapitanowi.

– O, czy rzeczywiście? – Grudziński okazał zdziwienie. – A kto zacz?

– Niejaki Ługin, który podaje się za zbiegłego z Bolszewii carskiego oficera Arychtomowa.

– Znam sprawę Arychtomowa – kapitan spojrzał z zainteresowaniem na Niemojewskiego. – Meldował pan, że nie można mu wierzyć. Zatem udało się panu odkryć kto to? Ale czemu bolszewicy trzymali go w celi?

– Długa historia i pełny raport złożę w ciągu kilku dni, panie kapitanie – odpowiedział Niemojewski. – Nie ulega wątpliwości, że to zbiegły komisarz Czeki czy INO, jak oni się teraz przewali. Widać znudziło mu się życie w Sowietach i postanowił wybrać wolność na Zachodzie. Nie można go wypuścić, bo może mieć

bardzo nas interesujące informacje. Był komisarzem Czeki, na razie nie wiemy, w jakim stopniu ani jakie piastował funkcje.

Nieco żartobliwy sposób omówienia sprawy Ługina sprowadził nieprzyjazne spojrzenie Grudzińskiego. Niemojewski zauważył to i szybko przeszedł na bardziej oficjalny język. W tym samym czasie odblokował drzwi celi i otworzył je na oścież. W małym pomieszczeniu siedział skulony Ługin i patrzył spode łba na stojących w korytarzu oficerów. Pomimo otwarcia celi i rozpoznania widzianych wcześniej twarzy Polaków nie wstał z cementowej podłogi.

– Wstańcie, zabieramy was – powiedział Grudziński. – Nic wam nie grozi.

– Panie kapitanie – odezwał się Czerski – on nie może chodzić. Bili go w stopy, żeby nie mógł uciec. To tak na pamiątkę, że raz im już czmychnął z Bolszewii do Polski.

– Coś takiego – ponownie zdziwił się Grudziński. – Dowiaduję się coraz więcej zadziwiających szczegółów. Dobrze, niech żandarmi go wyniosą i wsadzą do samochodu. Zabierzemy go do Warszawy.

– Panie kapitanie, trzeba go strzec – powiedział Czerski. – Już raz bolszewicy go porwali. Dodam: w bardzo sprytny sposób.

– Zabierzemy go do nas – odparł Grudziński. – Może nie będzie najwygodniej, ale nikt oprócz służby kontrwywiadu nie będzie miał do niego dostępu.

Grudziński zatrzymał się na moment i popatrzył uważnie na Czerskiego. Wyglądał, jakby sobie nagle coś przypomniał.

– A z panem, panie Czerski, mam dużo do porozmawiania – powiedział Grudziński, celowo pomijając stopień wojskowy Czerskiego. – Pańskie zniknięcie dwa lata temu jest nadal sprawą otwartą. Pozostanie pan do mojej dyspozycji, w celi zaraz obok Ługina. A teraz muszę wracać do Warszawy i złożyć meldunek ministrowi spraw wewnętrznych. To więzienie w Rembertowie, o krok od poligonu, to jest coś absolutnie szokującego. Zabieram panów ze sobą. Powrót do miasta przyda się też panu kapitanowi, pomoże włożyć na siebie coś przyzwoitego.

Grudziński wiedział, że kapitana Niemojewskiego porwano, ale nie mógł pominąć okazji, żeby nie zaznaczyć swojego niezadowolenia z wyglądu podwładnego. Niemojewski stale chodził w pidżamie.

– Wzięli mnie prosto z łóżka – odpowiedział cicho kapitan Niemojewski, po raz pierwszy odczuwając wstyd z powodu swojego dziwnego ubioru.

– Widzę – powiedział Grudziński i skrzywił się.

– Panie kapitanie, chciałbym ścigać Bobińskiego – powiedział Czerski – ten człowiek może wyrządzić nam wielkie szkody.

– Bez gadania, panie Czerski – odparł ostro kapitan Grudziński. – Jest pan aresztowany.

Niemojewski podniósł brwi w geście zdziwienia, a potem bezradnie rozłożył ręce.

Godzinę później jechali samochodem po ulicach Pragi. Obok kierowcy siedział Niemojewski, a na tylnej kanapie Grudziński, Ługin i Czerski. Niemojewski przez całą drogę opowiadał kapitanowi Grudzińskiemu o zasługach Czerskiego w wykryciu bolszewickiego szpiega, a tym samym próbował przekonać przełożonego, żeby podjąć pościg za Bobińskim. Do tego potrzebny był mu Czerski, ale dowiedział się tylko, że sam ma stanąć do raportu za kontakty z nim. Dla oficera kontrwywiadu, jakim na wskroś był kapitan Grudziński, sprawa miała tyle niewyjaśnionych punktów, że nie mógł pozwolić żadnej z zamieszanych w nią osób na oddalenie się, zanim wszystko nie stanie się klarowne. Grudziński nie mógł ponadto uwierzyć w opowieść o zastrzeleniu czekisty. Uważał, że było to prowokacją, żeby wprowadzić Czerskiego do kontrwywiadu.

Poświęcili szeregowego agenta, żeby umieścić oficera w kontrwywiadzie – pomyślał. Za łatwo poszło Czerskiemu. W sytuacji bez wyjścia powinien być zginąć. Skądinąd ciekawy pomysł. Brutalny, ale tacy są bolszewicy. Cena za wprowadzenie swojego człowieka do kontrwywiadu ościennego państwa była niska i niezaprzeczalnie warta zapłacenia.

Czerski przez całą drogę się nie odzywał. Miał poczucie, że dzieje się coś koszmarnego i jego sprawa, jeśli znajdzie się w sądzie wojskowym, będzie kosztować go życie, a przynajmniej długie lata w twierdzy. Pożałował czekania w willi w Rembertowie na Grudzińskiego i zrobił się zły na siebie o nieostrożność. Przecież powinien był przewidzieć reakcję zawodowego oficera kontrwywiadu.

Trzeba było zostawić Niemojewskiego samego – pomyślał. Jakoś by to wszystko wytłumaczył Grudzińskiemu, a teraz pójdę do więzienia i przed sąd. Bo nieważne są obecne zasługi, ważne są dawne przewinienia. Najgorsze, że gdybym choć chwilę się zastanowił, to wiedziałbym, że tak się to skończy, ale uniesiony euforią po uratowaniu życia koledze, a przy okazji sobie, przestałem logicznie myśleć.

Słońce odbiło się w przedniej szybie pojazdu i raziło w oczy. Czerski spojrzął przed siebie. Wjeżdżali do Warszawy od wschodu przez Pragę i most Kierbedzia. W popołudniowym słońcu stanęła przed nimi kolorowa panorama lewobrzeżnej Warszawy, podobna do tej z obrazów Canaletta, lecz znacznie unowocześniona. Na prawo od stalowej konstrukcji mostu widniała czerwona bryła Zamku Królewskiego z wystającą wieżą zegarową i widocznym za nią szczytem Kolumny Zygmunta. Po lewej powyżej Mariensztatu, na tle nieba, rysowała się biała dzwonnica kościoła Świętej Anny i kolorowe kamienice na rogu Krakowskiego Przedmieścia i placu Zamkowego. Chwilę później wjechali w stalowy tunel kratownicy mostu Kierbedzia. Opony zmieniły dźwięk i na stalowej nawierzchni mostu piszczały w wysokiej tonacji. Wycofujący się w 1915 roku z Warszawy Rosjanie wysadzili dwa środkowe przęsła mostu, które po wojennej rekonstrukcji dokonanej przez okupacyjną armię niemiecką dostały półokrągłe dźwigary. Ta zmiana odebrała kra-

townicowy charakter mostu, który stał się kombinacją dwóch różnych rozwiązań inżynierskich. Szybka reperacja dokonana w warunkach wojny nie przejmowała się pozostawieniem architektonicznego dziwoląga.

Na moście panował wzmożony ruch furmanek wracających z targowiska przy rynku mariensztackim. Te ze wschodniego brzegu Wisły ciągnęły konie zwykle zaprzężone w hołobli z charakterystycznym półkolistym pałąkiem, typowo wschodni rys rzadko spotykany na zachodnim brzegu rzeki i zwany chomątem podlaskim. Konie na zachodnim brzegu Wisły najczęściej były w chomątach typu krakowskiego, przylegających do szyi i od wewnątrz wyłożonych wypchaną włosiem skórzaną poduszką.

Automobil przepychał się między furmankami, trąbiąc rozgłośnie, ale z powodu ścisłu wywołanego liczbą pojazdów nie mógł posuwać się szybko do przodu. Przez otwarte okna do środka wpadł duszący odór końskiego potu i moczu, silniejszy nawet od zapachu spalin. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż przez most toczyło się kilkadziesiąt furmanek i zaledwie trzy automobile.

Spowolnieni przez tłok na moście wytoczyli się na Nowy Zjazd, którego początkowa część biegła po nasypie ziemnym, żeby po kilkudziesięciu metrach przejść w wiadukt o półokrągłych betonowych wspornikach. Po prawej błyszczał w słońcu seledynowy dach pałacu Pod Blachą, a po lewej widać już było zamieszkaną przez profesorów Uniwersytetu Warszawskiego secesyjną kamienicę połączoną z Nowym Zjazdem kamiennym mostkiem. Mostek wiszący nad ulicą Źródlaną zapewniał mieszkańcom dogodne przejście na Starówkę.

Wyjeżdżający na Nowy Zjazd automobil został zablokowany przez kolejną falę furmanek i wjeżdżający na most tramwaj, który dzwonił gorączkowo, chcąc otworzyć sobie drogę na Pragę. Kierowca kilkakrotnie nacisnął na gumową gruszkę trąbki, ale z braku miejsca znajdująca się tuż przed maską automobilu furmanka nie mogła zjechać mu z drogi i pojazd zatrzymał się. Grudziński spojrzał podejrzliwie na Czarskiego, który wyglądał na zupełnie odprężonego.

– Zróbcie coś – warknął Grudziński do żandarma siedzącego przy kierownicy, który zatrąbił ponownie, ale zyskał tyle, że spłoszył konia.

– Chwila i pojedziem dalej – powiedział żandarm i przesunął uwierający go w plecy karabin. Broń wsadzona między oparcia przednich siedzeń przez całą drogę opadała raz na jego stronę, raz na stronę pasażera i kierowca odpychał ją od siebie łokciem.

Czarski lewą ręką silnie uszczypnął Ługina w udo, co spowodowało, że zaskoczony Rosjanin z okrzykiem bólu skoczył odruchowo w stronę Grudzińskiego. Prawą ręką Czarski złapał za klamkę i otworzył drzwi. Jednym ruchem wyskoczył z automobilu i pobiegł do tyłu. Kluczył szybko między wozami konnymi i automobilami, skręcił w stronę balustrady Nowego Zjazdu i przeskoczył ją zgrabnie. Zsunął się po ziemnym nasypie na Źródlaną, po czym wpadł w pierwsze otwarte drzwi

kamienicy.

– Łap go – wrzasnął Grudziński do żandarma za kierownicą. Oficer jako jedyny zorientował się, co się działo. Sam złapał za klamkę i otworzył drzwi, ale znajdująca się blisko furmanka zablokowała je częściowo i kapitan przez chwilę przeciskał się przez ledwo uchylone drzwiczki. Kiedy stanął na drodze, Czerskiego nie było już w polu widzenia.

– Cholerny szpieg – wymamrotał wściekły na siebie oficer. – Trzeba było go skuć kajdankami.

Spojrzał na Niemojewskiego złym wzrokiem, jakby to była jego wina, ale Niemojewski siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i drgał cały. Śmiał się do rozpułku.

Warszawa – kwiecień 1926

Bobiński nie zamierzał czekać na nikogo. W momencie kiedy dowiedział się, gdzie jest szantażysta, zrobił się tak wściekły, że nie widział i nie słyszał niczego wokoło. Wąska, długa, ascetyczna twarz Bobińskiego zaczerwieniła się i wyrażała wręcz niepohamowaną furję. Przestał słuchać, wyszedł z biura Wojkowa, machając rękami, trzasnął drzwiami i nie obejrzał się nawet, kiedy Wojkow wołał za nim. Burzliwa scena, jaką przed chwilą wywołał, nie miała najmniejszego wpływu na jego plany. Wyglądał, jakby żądza zemsty odebrała mu zdolność myślenia. Dochodził już do drzwi poselstwa, kiedy usłyszał za sobą głos Wojkowa.

– Przebierzcie się, Bobiński. Ktoś mógł was widzieć.

Bobiński zatrzymał się. Niezależnie od miotających nim uczuć nie zamierzał dać się złapać byle stójkowemu. Argument, że robotę wykonają przysłani z Berlina agenci, którzy siedzieli w pomieszczeniu obok, oczekując na rozkazy, nie trafił do niego, ale obserwacja policyjna była czym innym.

– Ach tak – powiedział Bobiński jakby w transie – oczywiście, ktoś mógł widzieć.

– A może byście, towarzyszu, wzięli broń ze sobą? – drwiąco powiedział Wojkow, który nigdy nie przestawał kalkulować. – Czy zamierzacie zadusić go gołymi rękami?

Ostatnie zdanie otrzeźwiło nieco rozpaloną głowę Bobińskiego. Nie miał przy sobie broni, jego rewolwer został w ogrodzie w Rembertowie, tam, gdzie go upuścił, skacząc przez mur. Opanował się i zawrócił. Wojkow uśmiechnął się na ten widok.

– No, widzę, że jednak oprzytomnieliście – powiedział spokojniejszym głosem Wojkow, który przez moment zastanawiał się, czy Bobiński nie zwariował.

Po przyjeździe do poselstwa Bobiński opowiedział Wojkowowi o wypadkach w Rembertowie, z kolei Wojkow opowiedział mu o śmierci Iwanowa i postrzeleniu szantażysty. Po gwałtownej reakcji Bobińskiego na wiadomości Wojkow

przestraszył się, że aresztują go, zanim przejdzie przez następną ulicę. Z premedytacją krzyknął o przebraniu, choć sam nie wierzył, żeby ktoś zobaczył i zapamiętał go w tej ruchliwej dzielnicy. W ten sposób zyskiwał na czasie i mógł wysłać z nim swoich agentów.

– Weźcie rewolwer i amunicję ze składnicy, a potem zjedzcie coś – powiedział zawsze zimno myślący Wojkow. – Trochę się uspokoić i robota pójdzie wam łatwiej.

– Tak, nic nie jadłem od wczoraj – mruknął Bobiński i rozejrzał się po salonie poselstwa jakby nagle obudzony z głębokiego snu.

Wojkow wskazał mu drogę i skinieniem ręki przywołał Wasyla.

– Jedź do szpitala i zrób rozpoznanie – powiedział szeptem do niego. – Dowiedz się, na której sali jest ten policjant, zobacz, czy ktoś go pilnuje, rozpoznaj rozkład szpitala. Sam wiesz. Potem czekaj na niego przed szpitalem, ale po drugiej stronie ulicy. Każę mu z tobą porozmawiać, zanim tam wejdzie. Z Bobińskim wysłę berlińczyków do obstawy, ale oni nie znają miasta. Zatrzymam go tutaj, ale to nie potrwa długo, ma być stale pilnowany. Idź, masz tylko pół godziny, zanim ten wariat tam dojedzie.

– Zrobi się, panie pośle – odparł Wasyl, dla którego cała awantura z agentem wyglądała nieprawdopodobnie.

Wojkow klepnął go w ramię i odwrócił się do Krużina, który z pewnym zdziwieniem obserwował rozgrywającą się scenę. Krużin był zawodowym agentem operacyjnym wywiadu, wielokrotnie wykonywał podobne akcje, ale porywczość Bobińskiego zrobiła na nim najgorsze wrażenie. Jego przeszkolenie nauczyło go, żeby każdą akcję przygotować dokładnie, a tu facet wyrywał się sam i bez dokładnej wiedzy o miejscu akcji, ochronie czy nawet gdzie konkretnie leżał obiekt ataku. Wszystko razem nie podobało mu się i z daleka śmierdziało wpadką.

Wojkow, wysławszy Wasyla, podszedł do Krużina i Samosiuka. Oparł ręce o oparcie krzesła i cichym głosem wydawał polecenia.

– Nie mogę go zatrzymać, bo nie usłucha. Pojedziecie z nim i będziecie go chronić za wszelką cenę. Jest nam ciągle potrzebny. Do budynku Bobiński wchodzi sam, jak wykona likwidację, to jego sprawa, nikt go w szpitalu nie zatrzyma. Zaraz wysłę automobil z poselstwa, żeby czekał na was w bocznej ulicy. Ale możecie go użyć, tylko jeśli nie będzie innej możliwości ucieczki. Po akcji macie natychmiast wracać.

– Przecież on będzie spalony po takim wyczynie – zaprotestował Krużin. – Lepiej, żebyśmy my to zrobili.

– Wiem, że lepiej wam powierzyć robotę – odparł Wojkow. – Bobiński jako szpieg jest już i tak spalony po tej strzelaninie w Rembertowie, nie ma na to rady. A jeśli go zatrzymam, to będę musiał zamknąć go w piwnicy, a tak przyda się jeszcze przez jakiś czas.

Zadowolony, że zdołał choć trochę przygotować akcję, poszedł za Bobińskim do składziku. Miał nadzieję, że opóźni go na tyle długo, żeby zaczął zapadać zmrok. Zawsze łatwiej uciec po ciemku, a w szpitalu będzie mniej ludzi.

No, to nie mamy już szpiega w kancelarii prezydenta – pomyślał, idąc do Bobińskiego, Wojkow. W Rembertowie widzieli go Czerski i Niemojewski, choć tylko przez moment i mogą go nie rozpoznać. Może uda się jeszcze sklecić z nim jakąś akcję, ale to będzie jego ostatnia. Trzeba go wywieźć i dogłębnie przesłuchać. Nosi ze sobą mnóstwo interesujących materiałów, które ze względu na konspirację nigdy nie trafiały do krótkich raportów. On nam się jeszcze przyda, ale na krótko. Sprawia tyle kłopotów swoim nieopanowanym zachowaniem, że może trzeba się go będzie pozbyć.

Bobiński był narwany, ale nie był głupcem. Zanim doszedł do szpitala, cała porywczosć wyparowała mu z głowy, pozostała tylko zimna żądza zemsty. Tam był człowiek, który wysłedził go, wysłedził najgłębiej zakonspirowanego agenta w historii INO. Cztery lata trwało, zanim doszedł do stanowiska, na którym jego raporty zaczęły mieć znaczenie dla wywiadu, i dopiero teraz zajął stanowisko, które dało mu realny wpływ na wydarzenia. W takim momencie znalazł się blacharz z apetytem na pieniądze i zaczął go szantażować. Spowodowało to lawinę zdarzeń, które doprowadziły do strzelaniny w Rembertowie i spotkania twarzą w twarz ze zdrajcą Czerskim i z kapitanem wywiadu Niemojewskim. Rozpoznał ich, w momencie kiedy odwrócili się do niego twarzą i gdyby nie zaskoczenie, strzeliłby do nich pierwszy. Obaj mieli być zlikwidowani, tak dla pewności, Niemojewski, bo za dużo wiedział, i Czerski, bo widział Bobińskiego. Wprawdzie Bobiński uważał, że nikt nie zdoła go rozpoznać po widzeniu w takich warunkach, ale jednak.

Zanim doszedł do drzwi szpitala, po drugiej stronie ulicy ktoś gwizdnął i Bobiński podszedł do stojącego pod drzewem Wasyla. Przesunęli się w miejsce, gdzie nie padało światło latarni. Obaj berlińczycy spacerowali wolnym krokiem wzdłuż chodnika.

– Czego się dowiedzieliście? – zapytał Bobiński, trzymając ręce w kieszeniach długiego czarnego płaszcza.

– Znaczą się policjant leży na sali numer trzy, na parterze – zaczął Wasyl. – To sala na sześć osób. Jego łóżko jest po lewej, pod ścianą przy oknie. Nikt go nie pilnuje. On leży bez przytomności. Na tej samej sali jest niejaki Kroszeniak.

– A co mnie to obchodzi – przerwał mu Bobiński.

– Wchodząc do szpitala, trzeba powiedzieć na rejestracji, do kogo się idzie – odparł Wasyl i pomyślał, że diabli przynieśli tego Polaka i że z pewnością narobi im kłopotów. – Przeca nie powiecie, towarzyszu, że idziecie do tego postrzelonego policjanta, bo wtedy was zapamiętają. A tak nikt nie zwraca uwagi na zwykłych odwiedzających i twarzy nie zapamięta.

Bobiński chciał warknąć, żeby Wasyl pilnował swego nosa, ale nie mógł się nie zgodzić z jego chłopską logiką i w efekcie nie powiedział nic. Pomacał w kieszeni płaszcz rewolwer i pewnym krokiem wszedł do szpitala. Zapadał już zmierzch, zatem w salach i korytarzach zapalono światła. Bobiński wcisnął kapełusz z szerokim rondem głębiej na czoło i oznajmił cel wizyty cieciewi w dyżurce. Dowiedział się, że wizyty kończą się za mniej niż pół godziny i poszedł korytarzem do sali numer trzy. Cztery łóżka stały pod przeciwległą ścianą pod oknami, a dwa po obu stronach drzwi wejściowych. Bobiński podszedł do skrajnego łóżka po lewej stronie i dla pewności przeczytał kartę wiszącą na poręczy. Nazwisko Kruk nic mu nie powiedziało, ale opis przypadku – postrzał w płuco – upewnił go, że to był szantażysta. Na sali przy łóżkach chorych siedziały dwie kobiety. Nikt nie zwracał uwagi na Bobińskiego, kobiety ściszonymi głosami rozmawiały z leżącymi, a pozostali chorzy drzemali. Bobiński podsunął sobie stołek i usiadł tyłem do sali, zasłaniając wezglowie łóżka Kruka. Policjant leżał wyciągnięty na wznak z rękami wzdłuż ciała, oddychał płytko i chrapliwie, cała klatka piersiowa była zabandażowana. Bobiński patrzył na woskową twarz rannego i z trudem panował nad sobą. Rozpierała go przemożna żądza, żeby uderzyć Kruka, ale opanował się i siedział pochylony nad łóżkiem. Z pewnej odległości wyglądał, jakby mówił do chorego.

Wieczorem, kiedy wizytujące swoich krewnych kobiety opuściły już salę, Bobiński lewą dłonią nakrył usta nieprzytomnego Kruka i pchnął nożem policjanta pod pachę. Zaczekał chwilę, żeby się upewnić, że Kruk nie żyje, pedantycznie poprawił kołdrę, żeby krew nie była od razu widoczna, i wyszedł spokojnie ze szpitala. Wróciwszy do poselstwa, opowiedział Wojkowowi o likwidacji szantażysty.

– Teraz pora na Czerskiego – zakończył swoje opowiadanie.

Warszawa – kwiecień 1926

W kwietniu 1926 roku Warszawa, a nawet cała Polska, żyła kolejnymi przesileniami w sejmie, spekulacjami na temat prób zebrania większości parlamentarnej przez kolejnych polityków desygnowanych na premiera i wojną celną z Niemcami. Powołany w poprzednim roku rząd koalicyjny, utworzony z poparciem zarówno lewicy, jak też prawicy, nie mógł ostać się długo i upadł po ogłoszeniu prokapitalistycznej reformy budżetowej przygotowanej przez ministra skarbu Jerzego Zdziechowskiego. Program rządu spowodował rezygnację lewicowych ministrów związanych z PPS z udziału w rządzie i złożenie dymisji przez gabinet premiera Skrzyńskiego. Prezydent wprowadzie dymisji nie przyjął, ale rząd utracił większość w sejmie. De facto upadek rządu 20 kwietnia spowodował desygnowanie przez prezydenta kilku polityków na premierów, ale misja utworzenia rządu nie powiodła się nikomu. Zatem u władzy pozostawał rząd mniejszościowy Aleksandra Skrzyńskiego w oczekiwaniu na zebranie większości sejmowej. Zapanowała niepewność, bo cóż mógł działać rząd bez poparcia sejmu. Społeczeństwo nie miało zaufania

do kolejnych konstelacji sklepanych z kilku małych partii politycznych. Opozycja zawsze była silniejsza od partii wchodzących w skład następnego rządu. Podejmowane raz po raz przez prezydenta Wojciechowskiego wysiłki nie dawały wyników. Sytuacja zdawała się nie mieć rozwiązania, gdyż rozbicie polityczne w społeczeństwie było tak wielkie, że przeprowadzenie przedterminowych wyborów nie gwarantowało wyłonienia większości parlamentarnej. Na ulicach i na giełdzie dawała się odczuć niepewność, gospodarka kraju kulała, niedawne niepokoje społeczne powiększały zamieszanie, nawet pieniądź zaczął tracić wartość w stosunku do dolara. Zdawało się, że sprawujący rządy politycy nie mieli pomysłu na wyciągnięcie Rzeczypospolitej z podwójnego kryzysu: politycznego i gospodarczego. W powietrzu czuło się stale narastające napięcie, a podziały polityczne w społeczeństwie nie malały. Kraj stał na krawędzi czegoś nieznanego, każdego dnia wydawało się, że coś musi się zdarzyć, ale nie działo się nic.

Tymczasem pogoda zrobiła się wiosenna, ciepła i deszczowa. Powietrze w mieście pachniało świeżością, kwiatami i wschodzącą tu i tam zielenią. Po wiosennych opadach pojawiała się słońce i osuszało ulice, pozostawiając jedynie miejscami rozległe kałuże. Warszawiacy przestali chodzić w zimowych płaszczach i na ulicach zrobiło się bardziej kolorowo. Spacer, jaki odbywał kapitan Niemojewski, idąc przez Ogród Saski do sztabu, robił się z każdym dniem coraz przyjemniejszy.

Kapitan Niemojewski już od kilku dni trzymał kwiatek na podłodze mieszkania, co było znakiem dla Czerskiego, że szuka kontaktu, ale Czerski się nie pojawił. Niemojewski nie miał nic przyjemnego do zakomunikowania przyjacielowi, ale uważał, że musi to zrobić. Kiedy Czerski nie pojawił się przez trzy dni, Niemojewski zaczął myśleć, że może obawia się pułapki zastawionej przez kontrwywiad.

Przecież nie wyjechał z Warszawy – myślał Niemojewski. Nie mógł przecież zwać i ukryć się gdzieś z obawy przed aresztowaniem. Więc czemu się nie odezwał?

Każdego wieczoru, wracając do mieszkania, Niemojewski spodziewał się zastać kolegę siedzącego w jego fotelu, podobnie jak to było przy ich pierwszym spotkaniu przed miesiącem, ale za każdym razem fotel był pusty. Zaczął się już obawiać, że Czerski w trosce o własne życie wyjechał za granicę, ale takie zachowanie nie pasowało mu do charakteru kolegi. Czerski kochał niebezpieczeństwo i wielokrotnie udowodnił, że potrafił wyjść obronną ręką z najtrudniejszych oparów. Co zatem się stało?

Rozmowa, którą Niemojewski odbył z kapitanem Grudzińskim, nie zachwiała jego wiary w szczerłość intencji podporucznika. Pomimo licznych i ciężkich argumentów o zdradzie, jakie wytaczał szef kontrwywiadu, Niemojewski, który obserwował kolegę przez miesiąc, wiedział swoje. Czerski naprawdę chciał złapać bolszewickiego szpiega i przed dokonaniem tego nie mógł zniknąć. Natomiast z pewnością nie miał zamiaru siedzieć w polskim areszcie.

Czerski pojawił się równie niespodziewanie, jak zniknął. Nie wszedł do mieszkania, ale czekał na klatce schodowej pół piętra wyżej i jak zwykle zaskoczył Niemojewskiego.

– Długo na mnie czekałeś? – odezwał się z cienia.

– Co? – Niemojewski prawie podskoczył i machinalnie sięgnął po pistolet. – Kto to? Czy to ty?

– Za dużo pytań – powiedział Czerski, schodząc po schodach. – Wejdzmy. Tutaj nas widać i słyszeć.

– Karol! – Niemojewski rozpoznał wyłaniającą się z cienia postać. – Długo kazałeś na siebie czekać.

– Chodźmy do mieszkania, tutaj nie jest bezpiecznie.

– Słusznie – mruknął kapitan i obrócił klucz w zamku, pchnął drzwi i wszedł.

Niemojewski pomyślał, że jego mieszkanie też nie stanowiło bezpiecznej przystani – porwano go z łóżka w pidżamie, ale nie zaprotestował. Zapalił światło i zaczął zdejmować pas. Czerski przeciwnie, minął go w korytarzyku, sprawdził pokój i łazienkę, a potem widząc, że drzwi zamknięte, włożył trzymany w ręku rewolwer do kieszeni.

– Czego się boisz? – zapytał zdziwiony Niemojewski. – Jesteś u mnie.

– Tego boję się najbardziej – odparł Czerski ponurym tonem. – Jesteś nieostrożny, Józus, i jak będziesz tak dalej robił, zginiesz.

– Myślisz, że bolszewicy znowu napadną mnie tutaj? – taka myśl wydała się Niemojewskiemu zupełnie niedorzeczna. – Pilnuję się o wiele bardziej niż przed porwaniem.

– Nie czytasz gazet? Czy jesteś aż tak naiwny? Obaj jesteśmy naznaczeni.

– O czym ty mówisz? – Niemojewski zauważył, że głos Czerskiego wyrażał napięcie, i trochę go to zdziwiło.

– Zamordowali Kruka w szpitalu. Wiesz o tym?

– Kruka? A, tego policjanta. Tak, wiem. To jakaś dziwna sprawa. Śledztwo nic nie wykazało, ale policja nie spocznie, aż nie złapie winnych. To jeden z nich.

– Józus, nic nie kojarzysz? Przecież Kruk postrzelał się z Iwanowem, agentem bolszewickim.

– Co z tego? To jakaś kryminalna historia. Z zeznań świadków wynikało, że chodziło o oszustwo przy interesach. Kruk brał pieniądze, sprzedawał dolary, a potem pokłócił się z tym Iwanowem i postrzelali się.

– Ech – Czerski machnął ręką, wyrażając swoją frustrację. – Iwanow to bolszewicki agent do mokrej roboty, a mnie w Rembertowie pytali o szantażowanie bolszewickiego szpiega. Kojarzysz teraz?

– Myślisz, że to był ten Kruk? – Niemojewski otworzył szeroko oczy.

- A któż inny?
- Cholera, a oni myślą, że to sprawa korupcyjna.
- Z tego wynika, że policja nic nie wie o Iwanowie i szantażowaniu Bobińskiego przez Kruka.
- Tak – mruknął smutno Niemojewski i pomyślał, że ktoś, kto tak świetnie kojarzy fakty, przydałby się w kontrwywiadzie na stałe.
- Domyślam się, że nie złapaliście szpiega – Czerski zmienił temat.
- Nie. W Rembertowie widziałem go, ale w tej chwili pewno nie mógłbym go rozpoznać. Kapitan Grudziński zarządził przegląd...
- Daj mi spokój z kapitanem Grudzińskim – przerwał mu Czerski. – Ten facet nie złapie żadnego bolszewickiego szpiega. Ja mam takie wrażenie, że to swój człowiek, który ulokował się blisko cycka Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i ciągnie dużo pokarmu. On myśli w kategoriach sprzed lat, dobrych dla austro-węgierskiej defensywy sprzed wojny, a bolszewicy zrobili ogromne postępy i stale się uczą. Instalują ludzi z wyprzedzeniem kilku lat, pomagają im w karierze, a potem usuwają wszelkie niebezpieczeństwa. Co stało się z Pokrowskim? Wiesz coś?
- Nie doceniasz kapitana Grudzińskiego, a to dobry fachowiec. Wykazał się wielokrotnie w czasie wojny, w armii cesarskiej był szanowanym oficerem. On naprawdę dużo potrafi, bo inaczej nie dostałby takiego stanowiska. A Pokrowski chciał uciec na Zachód. Widziano go, jak wsiadał do berlińskiego ekspresu. Kilka dni później wyłowiono go z rzeki w Poznaniu.
- Ot, widzisz, Józus – ton Czerskiego, który wrócił myślami do niebezpieczeństwa, jakie stanowili bolszewicy, stał się jeszcze bardziej ponury. – A ty wchodzisz do mieszkania jakby nigdy nic. Przecież widziałeś szpiega. W opinii bolszewików stanowisz zagrożenie dla ich siatki, nie możesz żyć!
- Czerski zakończył głośno i dobitnie. Patrzył w oczy kolegi, usiłując wyczuć, czy go zrozumiał. Niemojewski poczuł ogarniający go strach przed nieznanym.
- Nie odważą się – warknął Niemojewski, kładąc rękę na boku, ale wyczuł brak broni. Zostawił przecież pas z kaburą w przedpokoju, tak jak robił to zawsze. Czerski roześmiał się i spojrzał na kolegę z niedowierzaniem.
- Dziwi mnie, że ty jeszcze żyjesz.
- Niemojewskiemu zrobiło się zimno. Po historii w willi w Rembertowie odprężył się i zaniedbał pewne środki bezpieczeństwa. Przestał nawet spać z bronią w łóżku, co wcześniej zrobił kilka razy. Tylekroć beztrąsko przemierzał drogę ze sztabu do domu, nie rozglądając się nawet.
- Co teraz? – Niemojewski robił wrażenie zagubionego.
- Od czasu strzelaniny w Rembertowie upłynęły dwa tygodnie, no, powiedzmy, prawie tyle – stwierdził Czerski. – Rozumiem, że z Ługina nic nie wydobyliście.
- Wprost przeciwnie, opowiada dużo i szczegółowo, ale nie na temat Bobiń-

skiego. Twierdzi, że nie słyszał nawet o takiej operacji, i ja mu wierzę.

– Ja też – Czerski nie miał wątpliwości. – Zatem jak znaleźć Bobińskiego? Myślałem o tym przez długi czas. Zastanów się: jeśli Kruk go wykrył, a przecież był wywiadowcą policji, to my też możemy. Trzeba przeprowadzić dochodzenie, i to nie w poszukiwaniu Bobińskiego, ale w sprawie Kruka. On gdzieś znalazł szpiega i zaczął go szantażować. Sądząc z tego, że sprzedawał dolary, to udało mu się podjąć okup, czyli przechytrzył bolszewików. Potem bolszewicy go znaleźli, ale zastrzelił ich najgroźniejszego szpicla. Tyle dokonał szeregowy policyjny wywiadowca, no to oficer defensywy powinien uporać się z dochodzeniem bardzo szybko.

– Zacznę od sprawdzenia ustaleń z dochodzenia policyjnego, a potem zajmę się notatkami Kruka z jego biurka na komendzie i z mieszkania. Trzeba przyjrzeć się jego ostatnim dochodzeniom, bo mógł wpaść na ślad Bobińskiego podczas któregoś z nich.

– Oj, Józus – Czerski westchnął smętnie – zaczniesz od zmiany miejsca zamieszkania. I to na długo, do czasu, aż zlikwidujemy tą bolszewicką jacejkę.

– Dobrze, dobrze – Niemojewski sfrustrowany machnął ręką. – Potrafię sam o siebie zadbać.

– Nie doceniasz ich czy uważasz, że jesteś lepszy od bolszewickich speców od mokrej roboty? – Czerski czuł, że przyjaciel chce mu zaimponować swoją heroiczną postawą w obliczu niebezpieczeństwa. – Ja nie mam wątpliwości i ulotniłem się.

– A gdzie ty byłeś przez te dwa tygodnie? – spytał wiedziony ciekawością Niemojewski.

– Obserwowałem poselstwo – odparł szczerze Czerski. – Zamierzałem ich likwidować pojedynczo, ale poruszają się po dwóch, i to tylko w dzień. Czyli trudno ich podejść. A w międzyczasie zadekowałem się w pobliżu. Zostałem pomocnikiem dozorczy w kamienicy na Poznańskiej, naprzeciw poselstwa, i zamiatam ulicę. W tej chwili znam twarze wszystkich wchodzących i wychodzących. Potrafię rozpoznać każdego bolszewika, ale żaden z nich nie poznał mnie.

– Coś podobnego – Niemojewski spojrzał innym wzrokiem na dawnego towarzysza broni.

Rozdział VIII

Warszawa – kwiecień 1926

Tego wieczoru, po spotkaniu z kapitanem Niemojewskim, Czerski postanowił jeszcze zajrzeć do Anny Chylińskiej. Często przechodził pod jej oknami, a nawet wchodząc po schodach, zatrzymywał się na krótko pod jej drzwiami. Wprawdzie nie spodziewał się, żeby bolszewicy mieli ją porwać albo próbować siłą zmusić do współpracy, ale jednak podświadomie obawiał się tego. Po śmierci Kruka i Pokrowskiego zdał sobie sprawę, że każdy, kto miał z nim styczność, był w niebezpieczeństwie.

Ciepła noc wprost zachęcała do wieczornego spaceru po mieście. Kamienica, w której mieszkała Chylińska, stała w odległości przyjemnego spaceru i Czerski postanowił iść piechotą.

Przed kamienicą na Szczygła 15 spojrzał w górę, w okienku na piętrze paliło się światło, firanka była zasunięta, panowała cisza. Uspokojony zamierzał wracać do dozorcówki i odszedł kilka kroków, ale tknięty nieokreślonym przeczuciem zawrócił i wszedł po schodach na piętro. Sam nie wiedział, czemu to zrobił, czasem przychodził pod jej drzwi, czasem zadawała się tylko spojrzeniem w okno. Wszedł po stopniach i zatrzymał się przed szarymi drzwiami. Pochylił się w stronę mieszkania i usłyszał stłumione głosy, na tyle ciche, że nie mógł zrozumieć słów. Zaniepokoiło go to, gdyż nigdy przedtem Anna nie miewała gości. Czyżby zaprosiła kogoś do siebie? Przyłożył ucho do drzwi i skupił się na odgłosach dobiegających z wnętrza. Pewnie dlatego zareagował o ułamek sekundy za późno. Usłyszał ciche stąpnięcie na półpiętrze powyżej. Płynnym ruchem sięgnął po naganta schowanego za paskiem spodni na plecach i chwycił rękojeść, kiedy usłyszał kliknięcie kurka.

– Nie myśl o tym... Krasnaja Bielka – powiedział chłodny głos stojącego na półpiętrze mężczyzny.

Dźwięk jego pseudonimu poraził Czerskiego, przemknęło mu przez myśl, że pomimo podjętych środków ostrożności, jednak go dopadli. Zamarł w bezruchu i tylko kątem oka spojrzał w prawo. W mdłym oświetleniu schodów zobaczył, że na podeście stał nieznany mu człowiek z wymierzoną w niego bronią. Przyjrzał się twarzy i moment później skojarzył ją z jednym z mężczyzn z sowieckiego poselstwa. Agent, nie spuszczać wzroku z Czerskiego, ostrożnie schodził stopień po stopniu, trzymając w wyciągniętej przed siebie ręce rewolwer. Zupełny spokój i pewność, z jaką posługiwał się bronią, powiedziały Czerskiemu, że ma do czynienia z zawodowcem. Podjęcie jakiegokolwiek działania w tej chwili było jednoznaczne z samobójstwem. Czerski podniósł ręce do góry, ale nie zrezygnował, był przecież przeszkolonym agentem operacyjnym, jego mózg zaczął pracować nad

sposobem wyrwania się z pułapki.

Sowiecki agent zmusił Czerskiego do położenia obu dłoni na ścianie, przyłożył mu lufę rewolweru do potylicy i wprawnie obszukał go lewą ręką. Zabrał mu broń i portfel, a potem zwyczajnie nacisnął klamkę, a drugą ręką silnie wepchnął go do mieszkania. Czerski wleciał do przedpokoju, machając rękami, żeby utrzymać równowagę, i złapał się wieszaka na ubrania, żeby nie upaść. Wchodzący za nim czekista nie dał mu wytchnienia, chwycił go za kołnierz i wrzucił do pokoju.

– Klękaj! – warknął bolszewik, zanim jeszcze Czerski przestał się chwiać. Sekundę później agent kopnął go pod kolana, zmuszając do klęknienia na środku pokoju.

– Zobacz, co złapałem pod drzwiami – pochwalił się przed kumplem Samosiuk. – Toż to Krasnaja Bielka, o którego jest tyle wrzasku.

– Uważaj na niego – Krużin poderwał się z krzesła, sięgając po rewolwer. – To niebezpieczny człowiek. Lepiej go ubić na miejscu.

Z boku doleciało Czerskiego gwałtowne westchnienie, ale nie obejrzał się. Wolał, żeby jego prześladowcy nie wiedzieli, że coś łączyło go z Anną. Wiedział już, że żyje i jest w tym samym pokoju, zatem nie porwali jej. Anna musiała znajdować się gdzieś z jego prawej strony, ale poza polem widzenia. Nie ruszając głową, obrzucił spojrzeniem pokój i w lustrze toaletki zobaczył jej odbicie. Leżała na łóżku, poruszając tylko głową.

– Towarzysz poseł mówił, żeby jak się da, to przywieźć go żywego – odparł Samosiuk i sięgnął do kieszeni płaszcza po sznurek. Z konieczności na akcję w mieście nie wzięli ze sobą grubego powroza, ale cienki sznurek konopny. Samosiuk związał Czerskiemu ręce na plecach, okręcając sznurek wielokrotnie wokół przegubów.

– A tam żywego – przez głos Krużina przebijała nienawiść. – Zabił jednego z naszych. Nie daruję.

– Ubił tego młodego – powiedział Samosiuk. – Jak mu było... Szurajew. Ledwo chłopiec ze szkoły wyszedł. Taki młody, szkoda go. Ale to nie zmienia rozkazów. Poseł chce Krasną Bielkę żywego, pewnie chce go przesłuchać.

– Niech z nim robią, co chcą, bylebym go dostał na końcu – z zimną nienawiścią wymamrotał Krużin. – Długo szukalim, ale w końcu mamy go.

– No i widzisz – powiedział Samosiuk prawie szeptem, ale Czerski i tak go słyszał. – Nigdzie go nie można było odkryć, ale do kobiety przyszedł. Dobrze, że towarzysz poseł tu nas przysłał. Wzielim tą Bielkę na zasiadkę. Policjanta zlikwidował „jedynek”, Krasnaja Bielka już w naszych rękach, to został nam tylko ten oficer.

– Widać dobrze pomyślał – podsumował Krużin, mając na myśli Wojkowa. – On zna tu wszystko.

Czerski dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o czym mówili bolszewicy.

Mieli zamiar zlikwidować nie tylko jego, ale również Niemojewskiego i pewno Annę. Nie mogli zostawić jej przy życiu, bo była przecież świadkiem ich działalności i słyszała, co mówią. Poczul, jak oblewa go gorący pot. Nie po to podjął grę z bolszewikami, żeby wystawić przyjaciół na niebezpieczeństwo. Nawet nie podejrzewał, że wiedzieli o jego zafascynowaniu kobietą, on z pewnością nic im o tym nie powiedział, czyli musieli przeprowadzić własne śledztwo. Ze słów Samosiuka rozumiał, że mordercą Kruka był Bobiński, bo tylko o nim mogli mówić „jedyńka”, i poczul przyływ prawdziwej nienawiści. Do tej pory nienawidził bolszewików za to, co jemu zrobili, ale teraz celem jego wrogości stał się personalnie Bobiński. Przymknął oczy i nakazał sobie spokój, wybuch niekontrolowanej nienawiści nie mógł niczego rozwiązać. Czerski nie miał czasu na uczucia, odłożył je na bok, na później. W chwili obecnej ważne było tylko jedno: musiał wyrwać się z matni, w którą sam się wpędził.

– Chłopaki, przecież jestem jednym z was – zaczął mówić Czerski. – Nie dajcie się nabierać na bajdy.

– Zamknijcie się – prawie pieszczotliwie powiedział Kruzin. – Wiemy o was wszystko. Ale jak załatwiliście Szurajewa, to będziecie musieli nam pokazać, bo to ciekawe.

– Szurajew wor, chciał mnie ubić i zabrać pieniądze, które miałem ze sobą na zapłacenie naszego szpiega w polskim Sztapie Generalnym – ciągnął swoją myśl Czerski.

– Tego kapitana? Po niego też pójdziemy. A wy będziecie się tłumaczyli przed szefem, a teraz milczeć, bo łeb rozwałę – powiedział Kruzin znacznie mniej przyjemnym tonem, a na poparcie swoich słów szturchnął Czerskiego w głowę lufą rewolweru.

Tymczasem Samosiuk skończył wiązanie rąk i pociągnął Czerskiego do tyłu, tak że usiadł na własnych piętach. Bolszewicy uważali, że jest to najbezpieczniejszy sposób trzymania więźnia, gdyż nie może łatwo wstać, ale w tym wypadku się pomylili. Czerski zaczekał, aż obaj usiądą na krzesłach na wprost niego. Berlińczycy poczuli się bezpiecznie, mieli swoich więźniów przed sobą, związanych, a przy tym trzymali w rękach broń. Z tej pozycji nie widzieli jednak dłoni Czerskiego, który zaczął grzebać palcami za cholewką buta. Już wiedział, jak im ucieknie. Wiązanie rąk w przegubach miało to do siebie, że pozostawiało palce zupełnie wolne i zdolne do ruchu. Siedząc z opuszczoną głową, robił wrażenie całkowicie złamanego, ale słuchał uwag cicho wymienianych między agentami.

– Tak myślę, że towarzysz poseł nas pochwali – wesoło rzucił Samosiuk.

– A pewnie – odparł Kruzin. – Przyjechalim i w ciągu zaledwie kilku dni oczyścili teren. Zdrajca złapany, materiały są, pozostaje tylko sztabowiec, ale to dziecinna robota.

– Pora wracać na stare śmiecie – Samosiuk uśmiechał się stale. – Nie lubię

wyjazdów, wyspać się nie mogę na obcych łóżkach. Cholerna gostinica, niby dla gości, a ludzie tylko wchodzą i wychodzą.

– Mówią, że hotel na wizyty – zaśmiał się Krużin i z uśmiechem puścił oko. – Siedź spokojnie!

Krużin, który wstał i chodził powoli po pokoju, zupełnie niepotrzebnie kopnął Czerskiego w bok. Albo chciał upewnić się, że Polak był już pod pełną kontrolą, albo może sprawiało mu to przyjemność. Czerski siedział nieruchomo, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim zdrętwieją mu nogi, a wtedy nie będzie mógł nawet chodzić. Krużin stanął na środku, jakby zdecydował się na zakończenie wszystkich spraw, i zwrócił się do Samosiuka.

– No, to robota zrobiona, jeszcze chwila i możemy iść pospać – powiedział i odwrócił się do Anny. – Posłuchaj, panienko, masz trzy dni na przyniesienie nam planu ofensywnego „Wschód”. Wiesz, o jaki chodzi. Zapewne sama go przepisywałaś na maszynie. Jak już plany będą, zostawimy ciebie w spokoju.

– Ale ja... – zaczęła Anna, ale Krużin jej przerwał.

– Zamknij się – warknął przez zaciśnięte zęby. – Jak będę musiał tu przyjść jeszcze raz, to kontrwywiad się dowie, że współpracujesz z wrogiem, i pójdziesz pod ścianę. Dowody się znajdują, a jak ich zabraknie, to je podrzucimy.

– Zabieramy go piechotą? – zapytał Samosiuk, wskazując głową na Czerskiego.

– Co ty? – Krużin wydał się zaskoczony propozycją. – Nie da się iść z więźniem po ulicach. Pójdziesz sprowadzić automobil z poselstwa, a ja z nimi posiedzę. A maszyna przyda się potem, żeby nas odwieźć do gostinicy. Tylko się pospiesz, nie chcę tu siedzieć z nim sam na sam.

Obaj Rosjanie wyszli do przedpokoju, zostawiając otwarte drzwi, przez które spoglądali na siedzącego na podłodze Czerskiego. Ustalili coś między sobą szepcąc, po czym Krużin wrócił do pokoju i w milczeniu usiadł na krześle pod ścianą, jak najdalej od więźnia. Za plecami Czerskiego słychać było ciche popłakiwanie Anny, ale poza tym panowała cisza.

– Posłuchajcie mnie, towarzyszu – zaczął Czerski.

– Milczeć, nie gadać – odpowiedział Krużin i wycelował naganta w Czerskiego. Anna chlipnęła głośnie.

Widać boi się mnie i traktuje sprawę bardzo poważnie – pomyślał Czerski. Jak się ma do czynienia z zawodowcami, to można przewidzieć ich zachowania.

Od jakiegoś czasu, mając ręce związane na plecach, dłubał palcami w prawym bucie, macając za ostrzem noża złamanego w Rembertowie. Starał się nie ruszać, żeby Krużin nie zaczął czegoś podejrzewać, tylko jego palce poruszały się z wolna, sięgając coraz głębiej za cholewkę buta. W końcu dotknął stali, chwycił ostrze kciukiem i palcem wskazującym i wyciągnął. Teraz czekała go najniebezpieczniejsza część operacji – musiał przeciąć więzy, ale w taki sposób, żeby obser-

wujący go nieustannie Krużin nie nabrał podejrzeń. Co gorsze wiedział, że Anna musiała widzieć jego operację i nie wiedział, jak zareaguje. W pokoju panowała cisza przerywana tylko tłumionym popłakiwaniem kobiety.

Czerski krótkimi ruchami zaczął przecinać sznurek, ale po długiej chwili zdał sobie sprawę, że nic się nie dzieje. Opuszką palca dotknął ostrza i poczuł, że próbował ciąć tępą stroną ostrza. Zły na siebie za stratę czasu ostrożnie obrócił nóż w palcach i ponownie zaczął piłować. Teraz posuwał się szybko. Czuł jak sznurek ściskający przeguby dłoni rozluźnia się stopniowo, aż wreszcie puścił. Czerski odczuł ulgę, ręce miał wolne. Ukrył ostrze noża w rękawie i rzucił okiem na czekistę. Rozcięcie więzów zmieniło sytuację, ale rozwiązywało tylko część jego problemu. Nie mógł skoczyć na Krużina, bo odległość była za wielka, a wstanie z niewygodnej pozycji musiało potrwać i Krużin bez wątpienia zdążyłby wystrzelić. Zatem co dalej?

Czerski najpierw pomyślał, że poczeka, aż coś zmusi bolszewika do ruszenia się z miejsca, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Samosiuk poszedł po automobil i za chwilę tu będzie wraz z szoferem, a wtedy wszystko przepadło. Szybko przebiegał w myślach sposoby odwrócenia uwagi Krużina, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy, a trzy metry dzielące go od siedzącego agenta zdawały się nie do przebycia. Rosjanin był profesjonalistą, siedział bez ruchu z rewolwerem w ręku wpatrzony w Czerskiego. Wyraźnie się go bał i wolał zachować najdalej posuniętą ostrożność. W odróżnieniu od młodego Szurajewa był starszy, bardziej doświadczony i nie popełnił żadnego błędu.

Anna płakała coraz głośniej, jej początkowo ciche pochlipywanie zaczęło przybierać na sile. Po chwili zaczęła zawodzić rozpaczliwie i widać było, że nerwowo nie wytrzymuje napięcia.

– Co ja zrobię? – mówiła zawodzącym głosem. – Boże, Boże, co ja mam teraz zrobić? Czego wy ode mnie chcecie? Ja nic nie wiem, jestem sekretarką. Boże!

Ostatnie słowa Anna prawie wykrzyczała, wyraźnie wpadając w spiralę rozpacz, która mogła zakończyć się tylko histerią. Czerski pomyślał, że płacz Anny może podziałać na ich korzyść. Do tej pory wszystko odbyło się we względnej ciszy, ale płacz kobiety musiał być słyszalny za ścianą u sąsiadów, a to mogło spowodować pomoc. Krużin musiał pomyśleć o tym samym i odezwał się stłumionym, wściekłym głosem.

– Milcz, suko, bo łeb rozwalę!

Groźba nie poskutkowała, a nawet pogorszyła sytuację. Anna, zamiast przstraszyć się i zamilknąć, zaczęła lamentować głośniej i szarpać się na łóżku. Krużin wyczuł niebezpieczeństwo, wstał z krzesła i ściągnął serwetkę ze stoliczka z wyraźnym zamiarem zakneblowania kobiety. Ostrożnie przesunął się obok Czerskiego, celując z rewolweru w głowę Polaka.

– Jeden ruch i rozwalę – wycodził przez zaciśnięte zęby w jego stronę.

Czerski nie obrócił nawet głowy. Z napięciem śledził ruchy bolszewika w lustrze toaletki, która stała po przeciwnej stronie pokoju. Krużin, który nie mógł wiedzieć, że jest pod stałą obserwacją, podszedł do Anny. Zanim cokolwiek zrobił, obejrzał się jeszcze raz na Czerskiego, ale Polak siedział nieruchomo na podłodze. Czerski czuł się sparaliżowany. Sam przed sobą nie chciał przyznać, że to skutek ogarniającego go strachu. Doskonale wiedział, że to jest jego moment, musi działać teraz, czas płynął i drugi bolszewik mógł wrócić lada chwila, od jego wyjścia upłynęło kilkanaście minut. Musiał być już w drodze, ale Czerski ani drgnął. Myślał o tym momencie tak długo, a kiedy nadszedł, siedział bez ruchu.

Krużin zmiął serwetkę w kłęb i zamierzał wpakować ją w usta kobiecie. W tym celu musiał pochylić się nad nią, ale zanim to zrobił, obejrzał się ponownie. Uspokojony, że Czerski nie ruszał się, przełożył rewolwer do lewej ręki, a prawą sięgnął w stronę Anny. W tym momencie kobieta podniosła głowę i chwyciła bolszewika zębami za dłoń. Musiała zacisnąć mocno zęby, bo Krużin krzyknął i twarz ściągnął mu paroksyzm bólu. Okrzyk bolszewika wyrwał Czerskiego z transu. Więc jednak można było zranić tego zimnokrwistego agenta, zadać mu tyle bólu, że krzyczał. Czerski widział szamoczącego się bolszewika w lustrze i wróciła jego zwykła energia. Odwrócił się, nie wstając z podłogi, złapał rękami za stopy Krużina i szarpnął do siebie. Agent, który podniósł rękę, żeby zdzielić kobietę rewolwerem w twarz, poleciał nagle na łóżko, a pociągnięty mocniej – spadł na podłogę. Upadając na twarz, odruchowo zasłonił się ręką z rewolwerem, podczas gdy drugą chciał uwolnić z zębów Anny. Chylińska puściła dłoń Rosjanina, gdy ciężar spadającego na podłogę ciała stał się za duży i nie mogła go utrzymać. Czerski klęknął, zdrętwiałe nogi nie utrzymałyby ciężaru ciała, gdyby próbował wstać, i z całej siły uderzył bolszewika w tył głowy pięścią. Głowa agenta z głuchym odgłosem odbiła się od drewnianej podłogi. Krużin upadł na twarz, rewolwer znalazł się pod nim i nie mógł go użyć z tej pozycji. Spróbował się odwrócić, żeby uwolnić broń, ale Czerski domyślił się tego manewru i skoczył na jego plecy kolanami. Krużin stęknął głucho, a Czerski chwycił go za włosy, szarpnął głowę do tyłu i wbił mu ostrze noża w szyję. Bolszewik zaryczał i pokrwawioną przez Annę ręką odepchnął Czerskiego, który oparł się o łóżko, zostawiając klingę w szyi przeciwnika. Rana na szyi nie była śmiertelna, gdyż wbicie gołego ostrza w człowieka było zadaniem niewykonalnym, ale była głęboka i bolesna. Krew rozlała się po podłodze szerokim pasmem. Krużin zdołał odwrócić się, ale teraz obiema rękami próbował wyrwać nóż z szyi. Sekunda opóźnienia wystarczyła Czerskiemu, który przycisnął ręce agenta do jego szyi, wbijając ostrze głębiej i uderzył go głową w twarz. Krużin zaczął rzeźić i osłabł. Czerski podniósł upuszczony na podłogę rewolwer i kolbą niczym młotem kilkakrotnie walnął bolszewika w głowę. Wyrwał nóż z rany, krew buchnęła strumieniem na podłogę i zwisającą z łóżka pościel. Przytrzymał go jeszcze przez minutę, żeby się upewnić, że Krużin nie żyje, i wstał. Świat wirował mu

w oczach, zdrewniałe nogi ugiwały się pod nim i ręce mu dygotały.

Wygrałem, jeszcze raz się udało – przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał na Annę, która cały czas leżała z rękami przywiązanymi do obramowania łóżka. Po twarzy płynęły jej łzy, ale próbowała uśmiechnąć się do Czerskiego.

– Nie mów nic – powiedział cicho Czerski. – Zaraz ciebie uwolnię, nich mi tylko ręce przestaną drżeć.

Usiadł na brzegu łóżka i przycisnął zaciśnięte w pięści dłonie do piersi. Wykonał głęboki wdech i poczuł, że napięcie z niego opada. Złamanym ostrzem przeciął sznurki trzymające jej ręce, pochylił się nad nią i lekko pocałował ją w usta. Kiedy podniósł głowę, Anna uśmiechała się szeroko.

– Uratowałeś nas – powiedziała pieszczotliwym szeptem.

– To raczej ty nas uratowałaś – odparł. – Płacz wywabił go z krzesła, a twoje zęby kupiły mi sekundy, które zdecydowały o wyniku bójki.

– Karolku, pocałuj mnie – szepnęła ponownie, jakby nie słyszała jego słów.

Czerski pochylił się i pocałował ją mocniej, dłużej, bardziej głęboko. Oczy Anny wyrażały już tylko rozkosz i oddanie. Uwolnionymi rękami przycisnęła go do siebie, ale Czerski wyrwał się. Zza okna dobiegł go odgłos silnika spalinowego. Bolszewicy wracali.

– Musimy uciekać – powiedział gorączkowo. – Oni już tu są.

Poderwał się z łóżka i pociągnął ją za sobą. Anna wstała i omal nie wdepnęła bosą stopą w kałużę krwi. Cofnęła się przestraszona i usiadła na pościeli. Wcześniej związana nie widziała walki stoczonej w jej pokoju, teraz rozszerzonymi z przerażenia oczami patrzyła na martwego Krużina, który ciągle jeszcze krwawił. Czerski zabrał rewolwer bolszewika, a potem podniósł swój portfel i broń z toaletki. Dwoma krokami przeszedł przez pokój i chwycił Annę za rękę.

– Idziemy – powiedział i nie oglądając się, skierował się w stronę drzwi, ale Anna zawisała mu na ręce. Wpatrzona w zmasakrowane zwłoki bolszewickiego agenta nie mogła się ruszyć. Czerski chwycił ją wpół i pociągnął za sobą.

– Muszę... pantofle – wymamrotała Anna.

– Później, teraz trzeba uciekać – odparł i pociągnął ją w stronę drzwi na schody. Nie stawiała oporu, ale jej oczy spoglądały na pozostawione w pokoju ciało Krużina.

Czerski nie zatrzasnął drzwi, co okazało się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania Anny, z dołu słychać było kroki. Czerski zmarszczył brwi i sięgnął po rewolwer, ale zrezygnował natychmiast. Położył dłoń na ustach kobiety i stąpając na palcach, zaczął wchodzić po schodach. Zatrzymał się dopiero na trzecim piętrze.

– Musisz być bardzo cicho – wyszeptał jej w ucho. – Może nas miną.

Drzenie nóg ustępowało i Czerski zaczął czuć się normalnie. W napięciu

skupił się na wsłuchiowaniu się w odgłosy o dwa piętra niżej. Anna z jednej strony czuła zimne lastriko podestu, jakby parzyło jej stopy, a z drugiej silne ramię mężczyzny przyciskające jej ciało do swego. Niemniej było jej zimno i stanęła bosymi stopami na butach Czerskiego, który przytulił ją do siebie.

Oboje rozumieli, że ten moment połączył ich mocniej niż wszystko, co stało się wcześniej.

Dąbrówka – maj 1926

Podwarszawska kolejka jak zwykle była zatłoczona. Tłum pasażerów zapelniający otwarty wagon drugiej klasy, w większości składający się z drobnych handlarzy i robotników, zalatywał wonią piwa, tytoniu i potu. Zmęczeni ludzie chwiali się na ławkach z drewnianych listewek i podrzemywali po spędzeniu wyczerpującego dnia pracy w stolicy. Nad głowami w sznurowych siatkach na bagaże kołysały się wywożone z miasta pakunki. Czerski siedział obok Chylińskiej, która bez zainteresowania wyglądała przez okno. Wyjechali z Warszawy późnym popołudniem, w czasie, kiedy na dworcu był największy tłum. Chcieli zniknąć w masie podróżnych, żeby utrudnić możliwą obserwację przez bolszewickich szpiegów, którzy musieli ich szukać. Czerski z uwagą rozglądał się, czy nie zobaczy znajomych twarzy, ale nikogo nie zauważył, i uspokojony zajął miejsce w wagonie. Chciał się odprężyć po wypadkach ostatnich dni, ale obawa o bezpieczeństwo Anny nie pozwalała mu na to.

Poprzedniej nocy po odejściu bolszewików pozwolił Annie zapakować trochę najniezbędniejszych rzeczy i poszedł z nią do Niemojewskiego. Nie wiedział, gdzie ukryć Annę, i żadne inne miejsce nie przyszło mu do głowy. Ciasno im było w małym mieszkanku, Niemojewski zachował się rycersko, odstępując swoje łóżko Chylińskiej, a potem obaj wynieśli się do przedpokoju. Oficerowie ustalili warty i jeden z nich stale czuwał, a drugi drzemał, siedząc w fotelu. Strach przed najściem ze strony bolszewickich agentów zmusił ich do trzymania straży przez całą noc.

Siedząc w pociągu, Czerski wrócił myślami do poranka, kiedy razem z Niemojewskim powiedzieli Chylińskiej prawdę – nie całą prawdę, ale dużą jej część. Czerski opowiedział o swoich działaniach w ramach kontrwywiadu i o śledzeniu bolszewików. Nie powiedział nic na temat zlecenia nawiązania z nią kontaktu, jakie otrzymał od Pokrowskiego. Uznał, że ta część prawdy musi pozostać w tajemnicy. Nie dało się dłużej ukrywać, kim w rzeczywistości był Karol Czerski i jaką odgrywał rolę. Anna zareagowała łzami i nieukrywanym strachem. Najbardziej ubodło ją, że Czerski nigdy nie był w pułku ułanów legionowych, nie brał udziału w szarży pod Rokitną i nie znał porucznika Włodka. Użył tej opowieści, żeby ją poznać, wkraść się w jej zaufanie i uwieść ją, a przez to uznała, że nie może mu wierzyć. Co więcej, pomimo przemilczeń, w głowie Chylińskiej zaświtało, że spo-

tkanie z Czerskim nie było jednak całkowicie przypadkowe. Po chwili, której potrzebowała, żeby pojąć, co do niej mówili, wstała z krzesła i zaczęła robić Czerskiemu wyrzuty, że ją oszukał i wykorzystał. W miarę jak mówiła, stawała się coraz bardziej rozgorączkowana, słowa rzucała coraz szybciej i szybciej, nie panując już nad tym, co wypowiada. Jej własne domysły podniecały ją coraz bardziej, aż w końcu, w zupełnej hysterii, wyszła z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami. Czerski chciał biec za nią, ale Niemojewski zatrzymał go.

– Ona nie ma dokąd pójść – oświadczył spokojnie. – Zaczekaj chwilę i pójdziesz za nią, ale w pewnej odległości.

– Ona może zrobić sobie krzywdę! – prawie krzyknął Czerski.

– Nie sądzę. Wypłacz się na ławce w parku i uspokoi. Wtedy podejdź do niej i przyprowadź ją tutaj.

– Nie trzymaj mnie. Idę!

– Weź mój płaszcz i kapelusz, z pewnej odległości będziesz wyglądał inaczej – rzucił za wychodzącym Niemojewski.

Stało się tak, jak przewidział to Niemojewski. Czerski szedł kilka metrów za Anną, pilnował jej z dystansu i nie zbliżał się. Jego ostrożność nie była jednak konieczna, kobieta była zajęta sobą i swoimi myślami, a nie rozglądaniem się, czy ktoś za nią nie idzie. Po krążeniu przez chwilę po ulicach Chylińska rzeczywiście usiadła na ławce i wypłakała się. Pomimo wiosennego słońca, siedząc w samej tylko sukni, zmarzła i widać było, że dłońmi rozciera zziębnięte ramiona. Po godzinie czekania Czerski usiadł obok niej, a Chylińska nie okazała zdziwienia jego pojawieniem się. Spokojnym głosem, nie zważając na rzucane pod jego adresem co jakiś czas inwektywy, tłumaczył jej, żeby wróciła. Z początku nie odpowiadała, ale po przypomnieniu zdarzeń ostatniej nocy logika jego wywodów zwyciężyła i wrócili razem. Resztę przedpołudnia w mieszkaniu Niemojewskiego, który w międzyczasie wyszedł do sztabu, spędzili w milczeniu.

Czerski miał czas przemyśleć coś, co zaskoczyło go tego ranka. Niemojewski przewidział zachowanie Anny w najdrobniejszych szczegółach i podał mu sposób rozwiązania problemu. Wniosek nasuwał się sam – musiał mieć duże doświadczenie z kobietami, ale skąd – tego już Czerski nie mógł zgadnąć.

Dopiero po południu wyszli z zamiarem znalezienia bezpiecznego schronienia dla Anny. Pierwszym pomysłem był jakiś mały hotel w mieście, ale zrezygnowali z tego. Pomysł był zbyt oczywisty i łatwy do odgadnięcia. Dopiero po dłuższym czasie Czerski zaproponował pojechanie do domku ojca w Dąbrówce pod Warszawą, gdzie można było ukryć się bez budzenia podejrzeń. Ojciec Czerskiego miał mieszkanie w Warszawie i tam mieszkał przez zimę. Wyjeżdżał do Dąbrówki na lato, kiedy w mieście robiło się duszno i gorąco. O jego letnim domku pod Warszawą, resztówce po majątku dziadków, mało kto wiedział i Czerski spodziewał się, że Anna będzie w nim bezpieczna. Historia Dąbrówki była typowa dla podwar-

szawskich majątków. Swego czasu gospodarowano na niezbyt dużym obszarze mało urodzajnej ziemi i majątki przynosiły dochód zapewniający utrzymanie. Jednak czasy się zmieniały i rosnąca liczba połączeń kolejowych sprawiła, że transport stał się tańszy. Zaopatrzenie wielkiego miasta zaczęło płynąć z terenów o wielokrotnie większej wydajności, ceny towarów spadły, a małe majątki wokół Warszawy, w których produkcja rolna była droższa, zaczęły podupadać. Ocalały te, które przeszły na ogrodnictwo i sadownictwo, ale pola należące do rodziny Czerskich nie nadawały się do tego celu. Dziadkowie po trochu sprzedawali ziemię, a potem rodzice kontynuowali tę działalność, aż w końcu został sam domek z ogródkiem. W tym domku Czerski zamierzał ukryć Annę.

– Proszę, niech mnie pan nie dotyka – zbudził go z zamyślenia głos Chylińskiej, kiedy bezwiednie osunął się w jej stronę i dotknął ją ramieniem.

– Przepraszam – powiedział i odsunął się, dotykając siedzącego na ławce robotnika, który nie zwrócił na to uwagi. Przyjrzał się jej uważnie, ale Anna nie zareagowała. Siedziała sztywno wyprostowana i odwrócona w stronę okna obserwowała przepływający krajobraz. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, żeby się nią nie interesował.

Czerski ponownie badawczo obrzucił wzrokiem wagon. Zerknął za siebie, przestudiował ludzi siedzących przed nim, ale nie rozpoznał nikogo. Pasażerowie siedzący na drewnianych ławkach byli zupełnie obcy. Uspokojony, że nie ma niebezpieczeństwa, wrócił do własnych myśli. Po dwóch rozróbach, w Rembertowie i w mieszkaniu Chylińskiej, nie mógł liczyć, że bolszewicy zostawią go w spokoju. Oczywiście już wcześniej wiedział, od momentu, kiedy jego zdrada wyszła na jaw, że nie ma szans na spokojne życie. OGPU nie pozostawiało zdrajców przy życiu, to mogło źle oddziaływać na innych agentów. Będą na niego polować aż do śmierci, a nawet później. Jeśli zdecyduje się na otwarte przejście na polską stronę, zniszczą go za pomocą donosów i celowo podrzucanych „zupełnie pewnych” informacji, które w końcu znajdą wiarę w polskim kontrwywiadzie. Co gorsze Czerski zdawał sobie sprawę, że ścigał go nie tylko wywiad sowiecki, ale również polski, szczególnie po ucieczce z samochodu kapitana Grudzińskiego. Nagle poczuł się jak osaczone zwierzę. Zbyt wielu wrogów, zbyt mało przyjaciół. Nawet Anna odwróciła się od niego, a to zabolalo go do głębi. Zastanowił się, co mógł jeszcze zrobić w celu przekonania polskiego kontrwywiadu, że przeszedł na ich stronę. Czy wyśledzenie Bobińskiego w czymś mu pomoże? Zabił dwóch czekistów, ale byli to pomniejsi agenci operacyjni, łatwi do zastąpienia i czasem poświęceni dla większych spraw. Takie argumenty nie przekonywały nikogo. Zatem co robić? Jakie posunięcia mu zostały?

Dopaść Bobińskiego wydawało się sprawą niecierpiącą zwłoki i na tyle poważną, że mogła zaważyć na jego dalszych losach. Dopaść to za mało, trzeba było udowodnić, gdzie pracował i jakie przekazywał meldunki, udowodnić jego agentu-

ralność, a do tego celu potrzebne były przynajmniej zeznania Bobińskiego. Czerski wiedział, że może złapać szpiega, ale nic z niego nie wycisnie. Znał sposoby przygotowywania agentów, ludzie tego pokroju nie składali zeznań. A nawet jeśli, to co? OGPU będzie nadal czyhać na jego życie. Co robić? Przez długą chwilę Czerski był na granicy załamania. Przecież, żeby mieć spokój, musi umrzeć, inaczej nigdy go nie zostawią. Nie widział innego rozwiązania niż własna śmierć. Zatem zginię, ale przyrzekł sobie, że nie umrze sam. Odejdzie z tego świata, ale najpierw zlikwiduje szpiega. Przynajmniej odkupi swoje winy i zmaże hańbę z rodzowego nazwiska. Czerski powoli zaczął oswajać się z myślą, że nie ma dla niego wyjścia. Wprawdzie podjął grę z nadzieją, że wywinie się śmierci z rąk bolszewików, jednak gdzieś na dnie duszy wiedział, że tylko przedłuży swoje życie, może o rok, może o dwa. Starcie pojedynczego człowieka z machiną OGPU musiało zakończyć się jego klęską. Oszukiwał się, marzył, pokrywał złe myśli energicznymi działaniami, które wyczerpywały go fizycznie i nerwowo, po to, żeby nie myśleć o przyszłości. Wyrwał się z łagru, przeżył przesłuchania, ale wjeżdżając do Polski, nie liczył na długie, dostatnie życie. Dążył do oczyszczenia się z zarzutu zdrady, z hańby, jaką ściągnął na siebie i rodzinę, do zmycia plamy z munduru polskiego oficera. Tak było do dnia, kiedy wykonując polecenie Pokrowskiego na Ordynackiej, podłożył się Annie.

Odwrócił się w stronę Chylińskiej, ale ona stale wyglądała przez okno i nie reagowała na jego zainteresowanie. Jeszcze nie tak dawno myślał o tym, co będzie, kiedy ta cała historia się skończy. Odpychał od siebie rzeczywistość marzeniami, które przychodziły i odchodziły łatwo. Od momentu, kiedy poznał Annę, zaczął ostrożnie myśleć, że ma cel w życiu, kogoś, na kim mu zależało. Nie był już sam. Marzył o życiu z nią, jeszcze nie wiedział gdzie, ale to nie przeszkadzało mu układać planów na przyszłość. Teraz wszystko zaczęło się walić, nie widział przed sobą żadnej przyszłości. Jakby tego było mało, przez swoją działalność zniszczył życie Annie, która nie dość, że nie brała żadnego udziału w pracach wywiadu, to do tego dnia nie miała pojęcia o tym, co ją otaczało. Chylińska miała być tylko pionkiem w operacji bolszewickiego wywiadu, raz użytym i porzuconym. Bolszewicy byli bezwzględni, zatem jej szanse przetrwania we współpracy z nimi były zerowe. Czerski pocieszył się, że przynajmniej z nim miała możliwość wyjścia z opresji. Jaką możliwość? – zapytał i natychmiast ponownie popadł w przygnębienie. Jakie miała szanse, jeśli on musi umrzeć?

Resztę drogi do stacji Czerski siedział pogrążony w ponurych myślach.

Warszawa – maj 1926

Bobiński czuł się źle. Pocił się, ciągle było mu gorąco, rozpiął kołnierzyk, ale zaraz go zapiął. W sekretariacie wszyscy musieli wyglądać jak spod igły. Po godzinie siedzenia za biurkiem nawet wyszedł przed Belweder, żeby trochę ochłó-

nać, ale to pomogło tylko na krótką chwilę. Maj zawitał do Warszawy ciepłą i słoneczną pogodą. Wprawdzie w parku okalającym pałacyk było mnóstwo drzew dających cień, ale majowe ciepło nie pozwoliło Bobińskiemu ostudzić rozpalonej dręczącymi myślami głowy. Do tego chodzące wokoło Belwederu warty z bagnetami na karabinach doprowadzały go do granicy nerwowego załamania. Nigdy nie wiedział, czy któraś z nich nie idzie po niego. Do tej pory nikt nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia i Bobiński czuł się bezpieczny. Od momentu strzelaniny i odkąd całe sowieckie poselstwo wiedziało o nim, dekonspiracja była tylko kwestią niedługiego czasu. Rozumiał to i po kilku dniach napięcia, nerwy zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa.

Siedząc przy biurku, przeglądał papiery podawane mu przez sekretarzy, segregował według ważności i układał w równy stos, który z czasem zabierze adiutant i zanieśie do prezydenta. Swoją pracę wykonywał machinalnie, co chwilę rzucając niespokojne spojrzenia wokoło. Najgorsze były momenty, kiedy ktoś otwierał drzwi kancelarii albo stukał butami, wchodząc po schodach. Każdy oficer wchodzący w twardych butach robił hałas, jakby żandarmeria wbiegała, żeby go aresztować. Swoje nieracjonalne zachowanie i spocone czoło tłumaczył przeciągającym się złym samopoczuciem po przebytej chorobie. Współpracownicy okazywali mu pewne współczucie i czasem rzucali w jego stronę pełne niepokoju spojrzenia.

Bobiński ciągle pamiętał rozmowę z Wojkowem sprzed kilku dni, kiedy stanowczo zażądał odesłania go do Sowietów. Nie miał zamiaru spędzić reszty życia w celi albo stanąć naprzeciw plutonu egzekucyjnego. Wojkow odmówił – odmówił natychmiast i jednoznacznie. Nie silił się nawet na tłumaczenie dlaczego, rzucił jedynie, że Bobiński jest mu potrzebny tutaj, a nie w Rosji. Bobiński próbował przekonywać, podnosząc kwestię, że Czerski i Niemojewski widzieli go w Rembertowie i prędzej czy później wskażą go żandarmom. Podkreślił, że zrobił już dość, żeby doprowadzić do kryzysu w Polsce. Przez dwa lata przysyłał meldunki do moskiewskiej Centrali. Opowiedział o tym, jak od kilku tygodni podsuwał prezydentowi głównie te negatywne raporty o sytuacji w kraju. Mówił o tym, że wyciągał na wierzch każdy wywiad prasowy, w którym Piłsudski krytykował działania rządu i prezydenta. Powtórzył, że dostał pracę w Kancelarii Prezydenta tylko dzięki rekomendacji człowieka, który znał ze szkolnych lat obecnego jej szefa. Rzekomy kolega tak naprawdę był hazardzistą i wziął pieniądze od wywiadu bolszewickiego, a taka historia musiała wreszcie wypłynąć. W końcu powiedział, że prezydent Wojciechowski jest fundamentalnie uczciwym i skromnym człowiekiem, który lubi brydża, wieczorki przy herbacie i kawie i czyta swoim gościom poezje Mickiewicza. Prawdopodobieństwo, że nagle na podstawie pogłosek i enuncjacji prasowych stanie się lwem i uderzy w swojego towarzysza z czasów konspiracji, było nikłe. Nic nie miało znaczenia dla Wojkova, który zbył go wzruszeniem ramion, kazał meldować się w kancelarii prezydenckiej jako ozdrowieniec i prowadzić dalej swo-

je działania. Bobiński próbował przekonywać dalej, ale Wojkow wyrzucił go z gabinetu.

Od tego czasu Bobiński z każdym dniem stawał się coraz bardziej nerwowy. Podskakiwał, kiedy ktoś głośno trzasnął drzwiami, oglądał się za siebie na ulicy, a w nocy nie mógł spać. Leżąc w łóżku, nadśluchiwał, czy nie idą po niego. W biurze sprawdzał twarz każdego wchodzącego w obawie, że zobaczy Czerskiego, ale Czerski zniknął i aresztowanie nie nastąpiło.

Teraz, siedząc w biurze, poprawił leżące przed nim papiery, odsunął się z krzesłem i sięgnął po herbatę. Zrobił sobie pięciominutową przerwę. Spojrzał na kupioną rano gazetę, której nie miał okazji przeczucić, i zobaczył w niej notatkę o wizycie złożonej przez nowego ambasadora Francji Jules'a Laroche'a u Piłsudskiego w Sulejówku. Ta wizyta nastąpiła w dniu złożenia listów uwierzytelniających w Belwederze u prezydenta Wojciechowskiego.

To wygląda tak, jakby obaj panowie byli sobie równi – pomyślał Bobiński. Prezydent może uznać, że Piłsudski uzurpuje sobie prawo do reprezentowania Polski w sprawach zagranicznych.

Przypomniał sobie, że nadszedł związany z ambasadorem raport, który widział rano. Zaczął nerwowo grzebać w papierach, które przysły z Francji i znalazł raport wywiadu na temat tej wizyty. Złożył artykuł prasowy z raportem, podkreślając w nim jeden akapit: „Dzień po dniu Piłsudski zbliża się do władzy. Jeśli przeciwnicy chcieliby go odsunąć od niej w sposób brutalny, zapewni sobie władzę siłą”¹.

Czyli myśli o przejęciu władzy siłą, a to już jest zamach stanu – pomyślał Bobiński i uśmiechnął się do siebie. Jeśli nie sam zamach, to otwarta groźba. Coś takiego powinno spowodować decyzję prezydenta albo premiera o aresztowaniu Piłsudskiego, co w konsekwencji może doprowadzić do wojny domowej. Jak taka wiadomość nie podziała, to nie wiem, co podziała.

Ułożył gazetę i raport na wierzchu paczki dokumentów i zadowolony ze swoich działań podał je adiutantowi. Trzymając w ręku papiery, stuknął palcem w leżący na wierzchu dokument i mruknął do adiutanta, żeby zwrócił uwagę prezydenta na ten raport.

Zadowolony przestał grzebać w leżących przed nim dokumentach i odprężył się. Zastanowił się, że może Wojkow trzymał go w sekretariacie właśnie w celu dokonania takiego odkrycia i podsunęcia go prezydentowi. Jeśli coś się teraz wydarzy, być może Wojkow wyrazi zgodę na jego ewakuację, przecież był już w Polsce spalony. Aresztowanie było kwestią nie miesięcy, a dni, najwyżej kilku tygodni. Myśl o wyjeździe pocieszyła Bobińskiego. Jednak sprawa Czerskiego kładła się cieniem na jego zadowoleniu. Musiał dokończyć robotę, pozostali Czerski i Niemojewski do zlikwidowania. Uznał, że musi skontaktować się z Wojkowem, przedstawić swoje posunięcia, donieść o planowanych ruchach wojska do Rembertowa

i zaplanować likwidację Polaków.

Wieczorem Bobiński zostawił wiadomość pod umówionym numerem telefonu i czekał na kontakt. Wojkow zabronił mu wizyt w poselstwie i telefon pozostał jego jedynym sposobem na skontaktowanie się z rezydentem.

Warszawa – maj 1926

– Nareszcie coś konkretnego – powiedział Niemojewski i sądząc z jego błyszczącej radością twarzy, rzeczywiście coś znalazł.

Siedzieli w ermitażu na rogu Widok i Marszałkowskiej, zwanym przez warszawiaków Pod Bachusem, gdyż swego czasu przy wejściu od Marszałkowskiej stała beczułka z siedzącym na niej bogiem wina. To małe miejsce bardzo im odpowiadało, z frontu, od ulicy, był skład win, a na zapleczu restauracyjka. Dzięki zlokalizowaniu jadłodajni na tyłach przechodnie nie mogli widzieć siedzących wewnątrz gości. Takie miejsca, ze względu na kombinację prowadzonych tam interesów, nazywano w Warszawie handelkami. Kiedyś handelki były modne, w ostatnich latach zaczęły jednak zamierać, mieszczanie dorobili się i uczęszczali do prawdziwych restauracji. Małeńkie dziuple, które oferowały smaczne, lecz niewyrafinowane potrawy, w tanim otoczeniu, przestały być atrakcyjne. Na nakrytym papierowym obrusie stoliku stała karafka białego wina i talerzyk słonych palonych migdałów. Pojadali migdały i przepijali je winem. Taka dieta nie mogła zaspokoić głodu, za to mogła zapewnić zgaę, a nawet bóle żołądka. Niemniej było to smaczne i pasowało do wczesnopopołudniowej godziny.

– Najpierw powiedz mi, jak się ulokowałeś? – powiedział Czerski.

– Ciągłe jestem u siebie, jakoś nie odpowiadało mi pętanie się po mieście jako uciekinier – odparł Niemojewski, ale widząc dezaprobatę Czerskiego, szybko dodał: – Mieszka ze mną kolega z pułku, dobry strzelec.

– Trzeba było zmienić mieszkanie, mogą cię zabić na ulicy – wyraził niezadowolenie Czerski.

– Na to nie ma rady, muszę chodzić do sztabu – Niemojewski wzruszył ramionami. – Ale przynajmniej nie jestem sam i chodzę po ulicach z obstawą. Kazimierz, kolega ze sztabu, jest poinformowany o możliwości napadu. Powiedziałem też Grudzińskiemu, który porozmawiał z policją. Od czasu do czasu widzę tajniaków włączających się za mną.

– Świetnie – Czerski rozejrzał się i odruchowo sprawdził, czy jest drugie wyjście z restauracji. – Przywlokłeś ich za sobą?

– Nie sądzę – Niemojewski uśmiechnął się lekko. – W południe nikt za mną nie łązi, a poza wszystkim oni cię nie znają.

– Dobrze – odpowiedział Czerski, choć wcale nie poczuł się uspokojony. – Wracaj do rzeczy. Czego się dowiedziałeś?

– Cały dzień spędziłem na szperaniu w papierach wywiadowcy Wojciecha

Kruka – opowiadał Niemojewski. – Policja zgrzytała zębami, że muszą udostępnić mi wyniki śledztwa, ale dostali takie polecenie, że nikt nie śmiał mi powiedzieć złego słowa. Tutaj kapitan Grudziński pokazał, co potrafi. W każdym razie jedna ze spraw Kruka dotyczyła śledzenia sowieckiego kuriera z Berlina, którego rozpoznano na granicy. To było poboczne zadanie, coś w rodzaju tworzenia nowego odcinka pracy. W każdym razie Kruk po wykonaniu zadania złożył tylko ogólnikowy raport, bez zaznaczenia, że jest tajny. Brak znaczka spowodował, że raport poszedł na dno stosu papierów do załatwienia i nikt go nie czytał. W raporcie wspomniał, że sowiecki kurier wszedł do domu przy Czackiego 17, ale mieszkania, do którego wszedł, Kruk nie zapisał. A potem znalazłem notes, w którym Kruk zrobił listę lokatorów, a jedno nazwisko zakreślił. Andrzej Krasnostawski. Co najdziwniejsze zrobił listę osób zamieszkujących przy Czackiego 19, czyli wykrył coś, co mu podpowiedziało zmianę adresu.

– No, proszę, i coś jest – powiedział ucieszony Czerski i odchylił się na oparciu krzesła.

– Nic nie wiadomo, bo to nazwisko nie należy do nikogo wysoko postawionego.

– Sprawdziłeś dokładnie?

– Sprawdziłem, ale jeszcze poszukam. Może coś przepuściłem.

– Wiesz co? – Czerski znowu patrzył z dezaprobatą. – Szukaj sobie, a ja tam pójdę.

– Nie mam nakazu rewizji i nie dostanę go na takiej podstawie.

– Masz rację, oczywiście – Czerski uśmiechnął się z pewną wyższością. – Tylko że ja nie jestem policjantem i takie drobiazgi mnie nie dotyczą.

– Pójdę z tobą – zaoferował Niemojewski i dopił wino z kieliszka.

– W mundurze? – kpiąco powiedział Czerski.

– Przebiorę się w cywilne ubranie i pójdziemy razem. Nie ma mowy, żebym pozwolił ci iść samemu. Zresztą jest południe, jeśli facet pracuje, to nie ma go w domu.

– Po co chcesz ze mną iść? Możesz sobie zaszkodzić, a poza tym poradzę sobie, poczekam na niego.

– Tyle to ja wiem, ale nieszczęścia, zdaje się, chodzą po mieście. Ja chcę go żywego.

– Też coś – mruknął Czerski niezadowolony, że będzie miał towarzystwo, które będzie go pilnować. Miał zamiar zlikwidować Bobińskiego i zamknąć za sobą jeden rozdział. – Ja się spieszę, nie mogę włączyć się po ulicach. Mogą mnie aresztować.

– W takim razie nie będę się przebierał – mruknął Niemojewski, zgadując, że Czerski chce się go pozbyć. – Róbmy to, muszę niedługo wracać do sztabu.

Czerski wzruszył ramionami i zrezygnował z dalszych prób odesłania kolegi.

Wiedział już, że nic nie wygra.

Wyszli z restauracyjki i ruszyli Marszałkowską w stronę Królewskiej. Marszałkowska stanowiła jedną z najważniejszych arterii stolicy. Obudowana kilkupiętrowymi, stylowymi kamienicami w większości pochodzącymi z okresu przed Wielką Wojną i wysadzana drzewami prezentowała się nadzwyczaj nobliwie. Środkiem jeździły tramwaje, a po obu stronach torowiska automobile i dorożki miały po jednej szerokiej jezdni w każdym kierunku. Na rogu Chmielnej minęli ocieniony zielonymi markizami skład kolonialny braci Pakulskich, gdzie półki wprost ugięły się pod ciężarem wyszukanych wiktuałów, wykwintnych importowanych win i zupełnie swojskich wódek. Wybór był praktycznie nieograniczony, a rozmiar sklepu i profesjonalność obsługi sprowadzała nie tylko kupujących, ale nawet gapiów. Minęli nieforemny front sklepu Jankowskiego z Bielska, który handlował własnymi wyrobami wełnianymi, i półokrągłe wejście do kina Stylowy. Niemojewski zatrzymał się przed oknem firmy rymarskiej Wawrzyńca Kazibeta i podziwiał wystawione w niej piękne siodło sportowe. Dopiero szturchnięty przez Czerskiego poszedł dalej. Idąc na północ Marszałkowską, której zabudowa przeszła z czteropiętrowej w zaledwie jednopiętrową, minęli najmodniejszy w Warszawie zakład fryzjerski Ewaryst, sklep z kapeluszami Lauera, gdzie Niemojewski swego czasu nabył swoje jedyne cywilne nakrycie głowy, oraz należącą do rodziny Bocquet restaurację Pod Bukietem. Całe piętro tej szerokiej jednopiętrowej kamienicy zajmował hotel Metropol, który czasem jeszcze staromodnie określano jako „pokoje umeblowane”. Dalej na rogu Złotej przeszli przed kawiarnią i restauracją Ostrowskiego, minęli firmę gorseciarską Aurelia, której wystawa manekinów ubranych tylko w gorsety zawsze ścigała młodzież. Czerski nie pominął tej okazji i spojrzął w witrynę, na której trzy manekiny demonstrowały różne kroje gorsetów. Wprawdzie wychodziły one już z mody, ale firma miała wierne grono przywiązanych do dawnej mody klientek. Niemojewski zauważył to spojrzenie i lekko podniósł prawą brew, a potem cicho zanucił strofę modnego szlagieru: *Takiemu troszkę pokaż pończoszkę*. Warszawa wyraźnie poczuła wiosnę i wypływającą z niej atmosferę amatorów.

Tłum przechodniów przelewający się wzdłuż głównej arterii stolicy, zawsze gęsty, we wczesne wiosenne popołudnie zgęstniał na tyle, że zmusił Czerskiego i Niemojewskiego do zwolnienia tempa marszu. Na ulice Śródmieścia wyległy kobiety spotykające się z koleżankami, robiące, jak mówiono modnie z angielska, *shopping* albo po prostu spacerujące. Przechadzka była często używanym środkiem na zabicie nudy, jak również powszechnie przyjętym sposobem na pokazanie się. Idąc, można było poobserwować inne spacerujące damy, a przy tym dać się zobaczyć. Często za paniami szły panny służące, niosąc pakunki z zakupami, a czasem również parasolkę, albo popychające wózek z niemowlakiem. Na Marszałkowskiej nie brakowało też statecznych jegomości, często z wypomadowanym, poczernionym i podkreślonym do góry wąsem, co wskazywało na ich prowincjonalne pocho-

dzenie. Mężczyźni spacerowali Marszałkowską pojedynczo, zawsze wolnym krokiem, oglądając przejeżdżające automobile, wystawy magazynów i takich jak oni przechodniów. Od czasu do czasu rzucali zabójcze spojrzenia na przechadzające się panie i zdarzało się, że byli nagradzani lekkim uśmiechem. Wszystko to wchodziło w zakres obowiązków każdego przyjezdnego businessmena, który wyrwawszy się spod kurateli jejmości, próbował swoich sił na stołecznym bruku. W masie przechodniów nie brakowało mundurów akademickich i gimnazjalnych młodzieży, która zachęcona pierwszym ciepłem postanowiła skrócić pobyt w murach szkolnych i porozglądać się po mieście.

Za domem mieszczącym przedstawicielstwo fabryki maszyn do szycia Singera przeszli przez Złotą i wkrótce po minięciu secesyjnej kamienicy skręcili w Sienkiewicza. Wobec większego luzu na trotuarze – Sienkiewicza nie była modną ulicą spacerową – przyspieszyli kroku, idąc w stronę Nowego Świata. Na placu Napoleona minął ich nowoczesny autobus z wysoko siedzącym kierowcą i otwartą platformą z tyłu. Nowa linia autobusowa jeszcze nie tak dawno wywoływała sensację, ale włodarze miasta nie mieli innego wyjścia. Ruch na Marszałkowskiej i Nowym Świecie był na tyle duży, że należało zwiększyć przepustowość komunikacji miejskiej. Gdy nie znaleziono sposobu na wytyczenie nowej linii tramwajowej, sprowadzono z Francji autobusy i wyznaczono im trasę z placu Zamkowego do placu Zbawiciela.

Nie zwracając uwagi na ruch automobili, co spowodowało, że jakiś nerwowy kierowca zmuszony do hamowania zatrąbił na nich niecierpliwie, przecięli ulicę na skos. Obeszli zajmujący środek placu Napoleona skwer i skręcili w lewo w stronę Świętokrzyskiej. Szli szerokim trotwarem pod murami monumentalnego gmachu poczty, w którym znajdowały się biura różnych firm i jedno małe biuro pocztowo-telegraficzne czynne całą dobę. Drzewa, wzdłuż trotuarów okalających plac i na skwerze pośrodku, zaczynały się właśnie zielenić i widać było, że dzięki cieplej pogodzie już za kilka dni będą pokryte jasną zielonością wczesnego listowia. Dzięki dużej liczbie drzew i krzewów różanych posadzonych na skwerze plac Napoleona stanowił swoistą oazę zieleni w tej części miasta.

Skręcili w Świętokrzyską i pod secesyjną kamienicą zbudowaną z licowanej na biało cegły, zapewne skradzionej² przy budowie soboru Świętego Aleksandra Newskiego na placu Saskim, przeszli na północną stronę ulicy. Świętokrzyska, łącząca Marszałkowską z Nowym Światem nie przypominała w niczym eleganckiego centrum stolicy. Zabudowę jej stanowił ciąg jednopiętrowych, małych i zaniedbanych domków, w których usadowiły się liczne antykwariaty. Tutaj kręciło się wielu studentów i uczniów szkół gimnazjalnych, którzy poszukiwali w używanych, a przez to tańszych, podręczników.

Skręcili w lewo w Czackiego i w jednej chwili znaleźli się w zupełnie innym świecie. Kamienice na Czackiego zbudowano z myślą o zamożnych lokatorach, za-

tem ulica tchnęła elegancją i pewnym dostojeństwem. Budynki miały balkony, zdobienia w postaci półkolumn, a wysokie okna były zwieńczone tympanonami. Było ciszej, puściej, bardziej szacownie. Po Czackiego nie kręcili się młodzi akademicy, którzy z racji wieku i temperamentu zawsze hałasowali i robili zamieszanie. Po nieparzystej stronie dominował gmach Stowarzyszenia Techników, w którym w karnawale odbywały się często eleganckie bale, a naprzeciw mieściły się biura Banku Francusko-Polskiego. Przeszli obok skwerku położonego w przerwie między domami, nazywanego z racji maleńkich rozmiarów Dowcipem, i stanęli pod kamienicą numer 19.

– To tutaj? – spytał niepotrzebnie Czerski.

– Tutaj – odparł Niemojewski i kiwnął głową. – Jak zamierzasz to rozegrać?

– Zwyczajnie – Czerski wzruszył ramionami i wszedł na klatkę schodową.

Idąc w górę, czytał nazwiska na drzwiach, ale nic mu nie mówiły. Stał na trzecim piętrze przed wejściem z tabliczką Krasnostawski i głośno zapukał, jednocześnie dając znak Niemojewskiemu, żeby stanął niżej. Nie czekając, zapukał ponownie i głośno oznajmił:

– Doręczenie dla pana Krasnostawskiego.

Czekał chwilę na odzew, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął komplet wytrychów. Niemojewski jęknął, widząc te atrybuty włamywaczy, ale nie próbował przeciwdziałać. Sam był ciekawy, jak Czerski otworzy drzwi, wchodził przecież do jego mieszkania bez żadnych trudności. Nie zawiódł się. Czerski uważnie wybrał klucz i przez chwilę operował nim w zamku, po chwili zmienił go na mniejszy, przyciągnął drzwi do siebie i obrócił. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi do wewnątrz, jednocześnie wyjmując z kieszeni pistolet. Niemojewski przewrócił oczami.

Nie dość, że włamanie, to jeszcze z bronią w ręku – pomyślał i sam sięgnął po broń.

W mieszkaniu panowała cisza.

Przypisy

¹ W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, Londyn 1977, s. 212.

² Przy okazji budowy soboru nieuczciwi bądź „patriotyczni” kontraktorzy kradli tak dużo materiałów budowlanych, że czas budowy wydłużył się do 18 lat, przekroczył trzykrotnie budżet i pozwolił na postawienie kilku kamienic. Podobnie postępowano przy budowie Cytadeli Warszawskiej.

Rozdział IX

Warszawa – maj 1926

Bobiński wracał ze spotkania z wysłannikiem Wojkova tak wściekły, że momentami ciemniało mu w oczach od uderzeń krwi do głowy. Idąc, potraçał przechodniów, którzy rzucali za nim niewybredne uwagi, ale on po prostu nie widział ludzi. Zgrzytał zębami na wspomnienie otrzymanej wiadomości – ma zostać w Warszawie. Bobiński jest blisko prezydenta, ma podgrzewać atmosferę i dostarczać raporty o wydarzeniach w kancelarii. Sytuacja w Polsce uległa gwałtownemu zaostrzeniu, zamach stanu może zdarzyć się w każdej chwili, a po nim wybuchnie wojna domowa. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, a poza tym powiedziano mu, że takie są rozkazy z Moskwy. Ale wiadomość od Wojkova to był dopiero początek tego, co spowodowało jego rozdrażnienie, resztę albo sam sobie dośpiewał, albo po prostu zrozumiał. Odmówiono mu po raz drugi, a teraz po podsunięciu prezydentowi gazety z wywiadem Piłsudskiego, kiedy uważał, że nic więcej nie zdoła już zrobić, odmówiono mu ponownie. Zrozumiał, że Centrala nie dbała o jego bezpieczeństwo, był agentem, którego życie się nie liczyło. W Moskwie nie było dla niego miejsca, nie był tam potrzebny, tutaj przynajmniej wykonywał dobrą dla nich robotę, ale przecież sam nie wywołał rewolucji. Jedyna okoliczność, powiedział człowiek Wojkova, w której mogą go wycofać, to pełna dekonspiracja. Bobiński wiedział, że znaczyło to aresztowanie, tylko że wtedy nie będzie już kogo przetrzucać do Rosji. Wiedział, że jeśli faktycznie go aresztują, zostanie oskarżony o zdradę główną, pójdzie siedzieć do twierdzy, a potem zostanie rozstrzelany. Jednak Bobiński nie miał zamiaru umierać. Rozczarowany traktowaniem przez zwierzchników i brakiem docenienia jego zasług, chciał wycofać się z szarpiącego nerwy zajęcia. A tak w ogóle nie czuł powołania, żeby zostać męczennikiem za sprawę rewolucji, poza tym dwukrotna odmowa ewakuacji rozczarowała go do służby w INO. Bobiński, sam o tym nie wiedząc, zaczynał mieć wątpliwości, czy w ogóle go wycofają, czy może poświęcą.

Jak wykombinować pełną dekonspirację i nie dać się aresztować? – myślał, wchodząc w ulicę Czackiego. A raczej jak przekonać Wojkova, bo przecież od niego zależy ocena, czy jest, czy nie jest zdekonspirowany. Anonim już był, wypłacił nawet oszukany okup. To niebezpieczeństwo udało się zlikwidować. Potem widział go Czerski, podwójny agent, i jeszcze ten drugi oficer. Oni obaj żyją, nikt ich nawet nie śledzi. Wojkow mówił, że nie można ot tak nonszalancko zabić oficera wywiadu. Czerskiego zlikwidują, jak tylko go wysłedzą, takie są dyspozycje z Moskwy. Ale jeden świadek pozostaje. Zatem co robić?

Bobiński, idąc zamyślony ulicą, nagle oprzytomniał, widząc wejście do swo-

jej kamienicy. Przecież wyszedł tylko na obiad i miał wrócić do pracy, a tymczasem w zamyśleniu i z umysłem przyćmionym furją odruchowo poszedł do mieszkania, zamiast wracać do Belwederu. Zatrzymał się przy drzwiach na klatkę schodową, niepewny co ma zrobić dalej.

Jak ja mogłem popełnić coś takiego? – zastanowił się, czując, że złość wyparowała z niego w zetknięciu z własnym roztargnieniem. Jak na głęboko zakonspirowanego agenta popełniłem dziecinny błąd. Starzeję się czy nerwy odebrały mi rozum? Psiakrew, cholerna psiakrew. Doszczętnie zgłupiałem.

Odruchowo chwycił pistolet w kieszeni płaszcza i upewnił się, że jest na miejscu. Broń dodała mu pewności siebie. Odpędził samokrytyczne myśli i zastanowił się co zrobić dalej.

Ale skoro już tu jestem, może wejdę i wypiję herbatę – pomyślał. Uspokoję się i przemyślę swoje sprawy. Tak, przemyślę wszystko od początku do końca na spokojnie i dopiero potem wrócę do biura. W kancelarii z pewnością czekają papiery, ale prezydent wyjechał do Spały, czyli nic się już dzisiaj nie wydarzy. Mam czas, jeszcze nie jest tak późno.

Ostrożnie spojrzął za siebie i nie widząc niczego, co mogło wydać mu się podejrzanym, postanowił wejść. Nacisnął klamkę, ale nie zdążył pchnąć drzwi do wewnątrz, kiedy otworzyły się same. Z kamienicy wychodził oficer w mundurze kapitana kawalerii. Bobiński odsunął się grzecznie na bok, przepuszczając go przed sobą. Oficer w pośpiechu skinął mu głową i odszedł o krok, ale potem zatrzymał się i spojrzął za siebie, jakby tknięty jakimś przecuciem.

Czerski i Niemojewski dokładnie zrewidowali cały trzypokojowy apartament Krasnostawskiego. Mieszkanie było obszerne i w tej części miasta musiało być kosztowne. Zapełniały je stylowe meble, kilka obrazów i całe mnóstwo gustownych bibelotów. Miejsc do ukrycia czegoś związanego z działalnością agenturalną było wiele i nawet pobieżna rewizja musiała zająć dużo czasu. Obaj wiedzieli jak szukać skrytek, ale po trzech godzinach wysiłku udowodnili sobie, że w mieszkaniu nie ma żadnych kompromitujących materiałów. Czerski posunął się nawet do opukiwania ścian w poszukiwaniu ukrytego sejfu, ale wszystko na nic. W końcu opadli z sił. Czerski zasiadł w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie.

– Zaczekam – rzucił, zapalił papierosa i dodał: – Musi się w końcu zjawić.

– Możesz tu siedzieć do nocy, a przecież my nic nie wiemy – odpowiedział zmęczonym głosem Niemojewski. – Chodźmy stąd. Nazwisko w notatniku Kruka mogło być zakreślone z różnych powodów. Nie mamy dowodu, że Krasnostawski jest agentem.

– Pogadam z lokatorem mieszkania. Widziałem tego sowieckiego agenta tylko przez moment, ale widziałem. Jeśli to ten sam człowiek, to go poznam. Lepiej – on rozpozna mnie.

– A jeśli to ktoś inny, co zrobisz? – Niemojewski ciągle chciał prowadzić sprawę w sposób zgodny z prawem. – Taki zupełnie przypadkowy facet.

– Powiem, że to pomyłka i wyjdę.

– Tak zwyczajnie? – Niemojewski zaśmiał się. – I myślisz, że Krasnostawski nie zawoła policji.

– Jeszcze będą musieli mnie złapać, a to nie będzie łatwe. A w ogóle kto to ten Krasnostawski? Czy wiesz coś o nim?

– Nic nie wiem – odparł Niemojewski i sięgnął po papierośnicę do kieszeni na prawej piersi. – Z pewnością nie jest to wysoko postawiona osobistość, bo znałbym nazwisko.

– Tym bardziej trzeba go sprawdzić, przepytąć. Dowiedzieć się, czemu Kruk zakreślił jego nazwisko.

– Potrzebne ci więcej kłopotów? Chodź, usiądziemy na ławce na skwerku i będziemy obserwować. Raczej usiądziesz, bo ja muszę do sztabu, ale przyślę tutaj żandarma.

– A Bóg cię strzegł. Żandarm go spłoszy. A poza tym zaaresztuje mnie, jestem poszukiwany.

– Nie zostaniesz sam. Nie ma o tym mowy. Pośpiesz się, dla mnie późno.

– Hm, ławka na skwerze, może to jakieś rozwiązanie. – Czerski zmarszczył czoło, jakby się namyślał. – Zawsze mniej kłopotów.

– No, dawaj, dawaj. Nie mam czasu, muszę iść – poganiał Niemojewski, który często spoglądał na zegarek i nerwowo zaciągał się papierosem.

– Dobrze – zgodził się Czerski, który uznał, że obserwacja z zewnątrz da te same wyniki co siedzenie w mieszkaniu – tak zrobię, ale ty leć. Posprzątam, zamknę i schodzę.

– Tylko na pewno, nie chcę wyciągać ciebie z aresztu.

– O to to się nie martw. Wieczorem przyjdę i zdam relację.

Niemojewski odwrócił się i wyszedł z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi. Wolał, żeby sąsiedzi nie zauważyli ruchu w mieszkaniu Krasnostawskiego. Zbiegł ze schodów i szarpnął za klamkę. W wejściu minął mężczyznę wchodzącego do budynku i w jednej chwili był na ulicy. Zrobił dwa kroki po trotuarze, myśląc, że szef da mu wygawor za przydługą nieobecność, kiedy praca wprost waliła się na nich. Nagle twarz w drzwiach wydała mu się znajoma i odwrócił się, żeby spojrzeć jeszcze raz.

Niemojewski, odwracając się, nie chwycił za broń, dopiero spojrzawszy w twarz mężczyzny, poznał go i sięgnął do kabury. Ale ruch był spóźniony, tylko o ułamek sekundy, niemniej spóźniony. Bobiński strzelił przez kieszeń swojego płaszcza, odwrócił się i pobiegł w kierunku placu Saskiego. Niemojewski, trafiony z minimalnej odległości, przewrócił się na wznak. Odrzucona siłą upadku rogatywka potoczyła się po bruku.

Bobiński przeszedł dobre przeszkolenie w czasach, kiedy był agentem Cze-ka, i umiał strzelać z kieszeni. Jednak ciężar poły płaszcz spowodował utrudnienie w celowaniu, a ruch prawej ręki Niemojewskiego ściągnął jego uwagę. Kula zamiast trafić w lewą pierś, co było zamiarem Bobińskiego, przeszła przez prawą kieszeń munduru, ześlizgnęła się po papierošnicy i przebiła górny płat prawego płuca. Niemojewski, leżąc na wznak na trotuarze, widział słońce, a nie ciemność.

Za rogiem ulicy Bobiński przestał biec i przeszedł w szybki krok. Przebiegł tylko dystans konieczny, żeby zniknąć z oczu postronnym świadkom. Idąc, zdjął z siebie płaszcz i przewiesił przez ramię, uważając, żeby osmolona dziura po strzale nie rzuciła się w oczy. Po przejściu kilku ulic, kluczeniu i sprawdzaniu, czy ktoś go nie śledzi, zaczął iść spacerowym krokiem, jakby cieszył się pierwszym wiosennym ciepłem. Przy pierwszej okazji bez wahania wyrzucił płaszcz, gdyż stanowił dowód, że strzelał. Ale nie mógł zmusić się do rozstania ze swoim pistoletem, który ukrył za paskiem pod marynarką. Uspokoił się na tyle, że odprężony przywołał na twarz uśmiech. W sumie był zadowolony, wykończył jednego z ludzi, którzy prześladowali go w Rembertowie i stanowili zagrożenie. O drugim wiedział, że zajmie się nim OGPU, które nigdy nie wybaczało zdrady. Śmierć Czerskiego była tylko kwestią czasu, i to niedługiego czasu. A przy tym był w oczywisty sposób zdekonspirowany. Teraz już Wojkow nie może mu powiedzieć, że nie jest narażony na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Po zastrzeleniu na ulicy oficera, kiedy widzieli go świadkowie, musi ułatwić mu wyjazd.

Nagle Bobiński stanął jak wryty na środku trotuaru. Gdzieś od strony Wisły, od wschodu, dobiegły go odgłosy strzałów karabinowych. Dźwięk przypominał dreptanie gołębi po blaszanym dachu, ale doświadczone ucho agenta odróżniło go od setek typowych hałasów wielkiego miasta. Po chwili coś huknęło, płosząc ptaki siedzące na okalającym park żelaznym parkanie. Bobiński pomyślał, że to wystrzał z działa – nieomylny znak, że zaczynała się wojna. Zamknął oczy i uśmiechnął się wewnątrz, jego misja została doprowadzona do końca i uwieńczona pełnym sukcesem. Mógł wracać, zadanie wykonane, tutaj nie był już potrzebny.

Warszawa – maj 1926

Czerski siedział na brzegu łóżka w Szpitalu Świętego Ducha na Elektoralnej i z nieukrywaną troską przyglądał się leżącemu Niemojewskiemu. Ranny miał obandażowaną klatkę piersiową, unieruchomioną prawą rękę i wyglądał, jakby spał. Zbielała twarz i płytki oddech mówiły Czerskiemu, że sprawa jest poważna. Wcześniej usiłował rozmawiać z lekarzami, ale rozgrywające się wokół mostu Kierbedzia walki spowodowały przywiezienie kilku rannych żołnierzy i w sytuacji, kiedy należało przygotować się na przyjęcie nawet większej liczby ofiar, nikt nie miał czasu. Personel był zajęty ustawianiem dodatkowych łóżek w korytarzach, wynoszeniem z magazynu wojennych zapasów środków opatrunkowych, przygoto-

wywaniem sali operacyjnej, żeby można było operować dwóch pacjentów jednocześnie. Czerskiemu zaimponowała precyzja, z jaką naczelny lekarz wydawał dyspozycje, szybkość wykonywania poleceń przez personel i spokój całej obsady szpitala. A przecież walki wybuchły nagle, zupełnie niespodziewanie i żaden szpital w Warszawie nie był przygotowany na przyjęcie rannych. Siwy, starszy wiekiem lekarz naczelny w zawiązanym na plecach białym kitlu spokojnym głosem wydawał całe serie zarządzeń, doglądał ich wykonania, a przede wszystkim panował nad sytuacją. Profesjonalizm służby zdrowia przebijał na każdym kroku, nie pytano o to, w jakich okolicznościach postrzelony odniósł ranę ani po której stronie walczył, ale udzielano pomocy szybko i najlepiej, jak można było.

Kiedy ambulans przywiózł Niemojewskiego i noszowi wnieśli zakrwawionego kapitana do izby przyjęć, lekarz był już na miejscu. Oglądając ranę, zapytał Czerskiego, czy to pierwsza ofiara tego, co dzieje się w mieście. Czerski tylko skinął głową, myśląc, że będzie lepiej, jeśli nikt nie skojarzy Niemojewskiego z bolszewickim szpiegiem. Lekarz wtedy zapytał, co właściwie dzieje się w Warszawie, a na to pytanie Czerski nie umiał udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Niemojewskiego zabrano na salę operacyjną, a Czerski poszedł do holu głównego i z automatu telefonicznego połączył się ze sztabem. Podoficer dyżurny odmówił mu połączenia z kapitanem Grudzińskim, ale wziął wiadomość i obiecał przekazać.

Następnie w szpitalu pokazał się komisarz policji państwowej, który przez pół godziny wypytywał Czerskiego o okoliczności strzelaniny. Czerski opowiedział o połączeniu przez Niemojewskiego nazwiska zakreślonego w notesie wywiadowcy Kruka ze sprawą bolszewickiego szpiega. Pomiął jedynie fakt wejścia do mieszkania i przeprowadzenia tam rewizji, uznając, że lepiej nie podkładać się policji. Wymienienie nazwiska Kruka podziałało na komisarza jak czerwona płachta na byka. Komisarz na moment stracił panowanie nad sobą, zasyczał, zrobił uwagę o braku odpowiedzialności ze strony kontrwywiadu i pożegnał się szybko. Powiedział, że idzie wdrożyć poszukiwania Krasnostawskiego, ale wiadomo było, że nic nie zdziała. Szpieg miał dostatecznie dużo czasu, żeby zniknąć bez śladu. Potem zjawił się porucznik żandarmerii wojskowej i wszystko zaczęło się od początku.

Zanim wszyscy śledczy wyszli do swoich spraw, zapadły ciemności. W mieście słychać było rzadką strzelaninę, a napływ rannych świadczył o tym, że nie była to tylko demonstracja. Czerski ze swojego wojennego doświadczenia wiedział, że pojedyncze strzały nie były niczym innym jak tylko manifestowaniem swojej obecności na zajmowanym odcinku. Wyciągał z tego wnioski, że walki nie były intensywne, a w nocy jeszcze straciły na nasileniu. W szpitalu już wiadano, że pułki wierne Marszałkowi Piłsudskiemu rozpoczęły działania bojowe w celu obalenia rządu, a oddziały wierne rządowi stawiały opór. W korytarzach można było usłyszeć taką czy inną uwagę na ten temat, ale generalnie zajmowano się swoją robotą. Szpital pracował intensywnie, ale wieczorem liczba przywożonych rannych zmalała.

Dobrze, że przywieźli Józusia, zanim walki w mieście rozpoczęły się na dobre – myślał Czerski. Dzięki temu zoperowano go i opatrzone bardzo starannie. Zresztą dbają o wszystkich podobnie, podziwiam. Cały personel stara się, jak może, ale to dopiero początek. Kto wie, jak długo potrwać walki. Za kilka dni, po kilku nieprzespanych nocach, personel zrobi się nerwowy, zły i obojętny. Tak jest zawsze. Lekarz powiedział, że Józus będzie żył. Miał szczęście chłopisko, ale tego szczegółu lekarz już wiedzieć nie mógł, że była to kula z mosiężnym płaszczem, czyli z pistoletu. Przeszła prawie na wylot i wyślubali ją z pleców. Stała dosłownie pod skórą. Gdyby Bobiński strzelał miękką kulą z naganta, ech, nie chcę myśleć.

Jego myśli przesunęły się na odgłosy strzelaniny w mieście. Zauważył, że żadna ze stron nie używa w nocy broni maszynowej, co świadczyło o pewnej odpowiedzialności. W ten sposób ograniczali liczbę postrzelonych gapiów. Walki toczyły się przecież w centrum miasta, oceniał to po odgłosach, a z doświadczenia wiedział, że cywile, głównie dzieci, wyłażą, żeby się pogapić. W gęsto zabudowanym mieście liczba ofiar wśród cywilów zwykle jest większa niż wśród żołnierzy, którzy umieją się kryć przed ostrzałem. Cywile mają tendencję do zbijania się w grupy, wystawiania głowy, żeby „popatrzeć” i narażania się na zabłąkane kule.

Ciąg myśli urwał mu się nagle, kiedy zorientował się, że ktoś stanął w wejściu do sali. Podniósł głowę i zobaczył kapitana Grudzińskiego, który obserwował go nieruchomym wzrokiem.

– Będzie żył? – zapytał krótko Grudziński, szukając odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

– Lekarze twierdzą, że tak – odparł Czerski, wstając z łóżka. – Kula przebiła płuco, ale operacja się udała, reszta w ręku Boga.

– Tyle dobrze – Grudziński wszedł do sali i lekko dotknął czoła leżącego. – Nie ma gorączki, to też dobrze.

– Zadbali o niego.

– Powiniennem pana aresztować.

– Teraz? Po co? Wykryliśmy, kto jest bolszewickim szpiegiem i...

– Uciekł wam – zimno stwierdził Grudziński, a jego świdrujący wzrok wykazywał silną dezaprobatę.

– Takie były okoliczności.

– I co, nic nie macie, a Niemojewski ranny. Akurat teraz, kiedy jest najbardziej potrzebny.

– Mamy nazwisko Krasnostawski – powiedział spokojnie Czerski. – W tej chwili nie wiem, kto to jest i jakie zajmował stanowisko ani dlaczego miał dostęp do tajemnic państwowych, ale z pewnością został zneutralizowany. Przynajmniej nie będzie więcej szkodził.

– To znajdą następnego – odpowiedział lekceważąco Grudziński. – Zawsze

znajdą kogoś. Tymczasem nie ma kogo przesłuchać i niczego się nie dowiemy.

– Wiemy, że kontrolował go Wojkow z sowieckiego poselstwa – Czerski próbował znaleźć pozytywną stronę wydarzeń. – Krasnostawski zapewne ukrywa się w poselstwie. A Wojkow to szpieg i bandyta.

– Nie koniec na tym – kpiąco zauważył Grudziński. – Ten uciekinier z Bolszewii Ługin mówi, że Wojkow był zamieszany w zamordowanie cara Mikołaja II. A przynajmniej tak się plotkowało na Łubiance w kwaterze OGPU.

– To by znaczyło, że większy bandyta, niż myśleliśmy – powiedział zaskoczony Czerski.

– Ja to wiem od dawna i nic z tym nie mogę zrobić – odpowiedział Grudziński. – Wojkowa chroni immunitet dyplomatyczny. I wie pan co? Wojkow naprawdę nazywa się Pinkus Łazarewicz Wajner i przyjechał do Rosji z Niemiec z Leninem w zaplombowanym wagonie. Nosi pierścionek z rubinem, który zdjął z palca jednej z księżniczek zamordowanych w domu Ipatiewa, a potem, będąc chemikiem, przywiózł kwas, żeby zniszczyć ciała rodziny carskiej. Taka to postać, wiem o wszystkim, ale chroni go immunitet i nie mogę go tknąć.

Czerskiemu na chwilę odebrało głos. Do tej pory uważał, że opowieści o Wojkowie to typowe plotki biurowe. Okazało się, że prawda była dużo gorsza.

– Owszem, chroni go przed działaniami państwa, ale nie przed prywatnymi ludźmi – warknął Czerski, kiedy odzyskał głos.

Grudzińskiemu nabiegła krew do twarzy, popatrzył na Czerskiego rozeźlonymi oczami.

– Niech pan się nie waży! – powiedział cicho i z mocą. – Jeśli coś stanie się posłowi sowieckiemu, bolszewicy wymordują nasze poselstwo w Moskwie i my poniesiemy ofiary. Oni zawsze tak postępują. Żadnej prywatnej wojny.

– I co? Damy im uciec po postrzeleniu polskiego oficera kontrwywiadu? – Czerskiemu takie rozwiązanie nie mieściło się w głowie. – Tylko się rozzuchwałą i będzie więcej trupów.

– Jak będziemy stosować właściwe procedury, to nie dojdzie do takich sytuacji.

– Mieliśmy wyjść razem, ale on się spieszył do sztabu i poszedł pierwszy.

– Teraz to już mało ważne – zbył go Grudziński. – Mamy wojnę i muszę się tym zajmować. Radzę szybko wyjechać, bo więcej nie chcę pana widzieć.

– Przy łóżku kapitana Niemojewskiego trzeba postawić posterunek – powiedział Czerski, pamiętając los wywiadowcy Kruka.

– Wiem o tym i jutro z rana przyjdzie tu żandarm – fuknął Grudziński, myśląc, że chcą go uczyć jego rzemiosła. – Na mnie pora, jak powiedziałem: niech pan wyjeżdża. Im szybciej, tym lepiej.

Grudziński odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Czerskiemu przyszło do głowy, że Ługina porwano właśnie dlatego, że znał plotki takie jak ta o udziale

Wojkowa w zamordowaniu cara Mikołaja II. Uznał, że sama wiadomość, jeśli się wie jak i kiedy jej użyć, stanowi silną broń. Potem pomyślał, że Ługin ma wiele interesujących informacji, którymi może się podzielić, oczywiście, jeśli będzie chciał. Czerski spojrzał za wychodzącym kapitanem i myśląc, że jednak musi z nim jeszcze porozmawiać, poszedł za nim. Na korytarzu czekała eskorta kapitana Grudzińskiego, podoficer i szeregowy, obaj z karabinami. Czerski zrównał się z kapitanem i obaj zatrzymali się na środku korytarza. Czerski zauważył czujne spojrzenie kaprała żandarmerii, który towarzyszył Grudzińskiemu.

– Czego jeszcze? – prychnął Grudziński, z trudem panując nad ogarniającą go złością na intruza. – Mało pan już namieszał? Nie mam czasu, nie słyszał pan? Wojna.

– Jeżeli chce pan przesłuchać Krasnostawskiego *vel* Bobińskiego, bo to jego prawdziwe nazwisko, ja mogę spróbować go złapać – powiedział szybko Czerski i widząc błysk zainteresowania w oczach oficera, dodał: – Szansa jest niewielka, ale nie ponosi pan żadnych kosztów. A może mi się uda, mam na to swój pomysł.

Grudziński patrzył uważnie w oczy Czerskiego i zastanawiał się.

Wojna czy nie, kto by nie był jutro u władzy, to bolszewickich szpiegów trzeba ścigać, bo to jest ponadczasowy obowiązek – pomyślał Grudziński.

Wojkow siedział sam w gabinecie poselstwa z wygaszonymi światłami i w samotności przeżywał chwile swojego osobistego tryumfu. Smakował każdy moment, wsłuchiwał się w odgłosy walki i cieszył się z doprowadzenia trudnej operacji do końca. Piętro wyżej obsada poselstwa świętowała po swojemu, pijąc wódkę, ale on chciał w tej chwili zostać sam i oddać się ogarniającej go świadomości spełnienia. Każdy strzał karabinowy, każdy huk wystrzału z działa wpływał na niego jak afrodyzjak. Słyszając odgłosy walki, czuł, że rośnie w fotelu. Nawet ciemności nie przerwały strzelaniny w mieście, która od popołudnia przesunęła się znad Wisły w głąb Śródmieścia. Wysłał już depezę z zawiadomieniem o wojnie domowej do Moskwy i załatwił bieżące sprawy, mógł zatem w spokoju rozkoszować się swoim zwycięstwem. Wprowadzie jego plan z podrzuceniem dokumentów sztabowych do domu Piłsudskiego i w konsekwencji aresztowaniem Marszałka nie powiódł się, ale widać działania podjęte przez Bobińskiego, odniosły skutek. Wojna zawitała do stolicy Polski, a za wschodnią granicą z pewnością ogłoszono już alarm. Pułki stawały do przeglądu, sprawdzano stany i broń, szykowano się do pochodu nad Wisłę. W sztabach otwierano teczki z tajnymi planami uderzenia na zachód. Tyle że teraz będzie inaczej niż sześć lat temu, teraz będzie łatwiej.

W 1920 roku Polacy solidarnie podjęli trud obrony swojego państwa i wygrali – pomyślał Wojkow. W 1926 roku Polska jest podzielona, narodowcy zażarcie zwalczają Piłsudskiego, jedyne go człowieka, który okazał się zdolny do zatrzymania marszu bolszewików na zachód. Rząd jest słaby, nie ma większości parla-

mentarnej, prezydent nieudolny, ludność rozgoryczona, gospodarka słabnie. Trochę przypomina to sytuację z czasów carycy Katarzyny, wtedy część Polaków sama poparła terytorialne roszczenia Rosji, a o oporze pomyśleli, jak sprawa była przegrana. W roku 1926 sprawy potoczą się podobnie, prawicowi wrogowie, nie rozumiejąc sytuacji politycznej, poprą nas przeciwko Piłsudskiemu i Polska upadnie pod pierwszym uderzeniem Armii Czerwonej.

Wojkow uśmiechnął się, czuł, że po wielu niepowodzeniach dotarł do celu. Odetchnął głęboko. Był szczęśliwy.

Jego zadowolenie zostało nagle przerwane głośnym stukaniem do tylnych drzwi budynku. Wojkow zdziwił się, nie był z nikim umówiony, a tylnego wejścia używali wyłącznie jego agenci. Zatem kogo nosiło po nocy podczas toczącej się bitwy?

Co za czort? – pomyślał i wziął rewolwer z szuflady biurka.

Stanął z boku drzwi i zapytał:

– Kto jest?

– Bobiński, otwierajcie, towarzyszu Wojkow – usłyszał.

Wojkow otworzył i Bobiński wepchnął się do środka, nie czekając na zaproszenie. Był spocony, zdenerwowany i bez płaszcza.

– Moja misja zakończona – oznajmił głośno i poszedł w głąb poselstwa. – Wyjeżdżam.

Warszawa – maj 1926

Jakby mało było szarpaniny z żandarmami przy aresztowaniu, to na odwachu Czerski dostał kopniaka w tyłek od dozorca. Kopniak był zupełnie niepotrzebny, Czerski nie stawiał oporu, ale dozorca widać uznał, że nowy aresztant nie może obyć się bez przejawu jego władzy. Siła uderzenia była wystarczająco duża, żeby wrzucić go do celi i spowodować nagły ból w tylnej części ciała. Z kocem w ręku zatrzymał się na środku i rozejrzał. Cella była mała, tylko na dwóch więźniów, z wyposażeniem typowym dla wojskowych aresztów: dwie prycze, kamienny stolik wmurowany w ścianę i kubek z drewnianą pokrywą w kącie, to wszystko. Na pryczy siedział zgarbiony, obojętny na wszystko więzień, który nawet nie podniósł głowy, kiedy wrzucono Czerskiego. Czerski rozmasował bolące miejsce i usiadł na wolnej pryczy. Nie chciało mu się gadać. Po dłuższej chwili położył się na deskach, nakrył kocem, który o dziwo robił wrażenie czystego.

Nie był specjalnie przejęty aresztowaniem, ale dokuczająca mu myśl, że Bobiński zdąży uciec z Polski, zanim on wyjdzie na wolność. Spodziewał się, że wydostanie się z rąk kontrwywiadu będzie skomplikowane i potrwa długo, ale pod okiem żandarmerii czuł się bezpieczny.

A miałem wrócić do Dąbrówki, do Anny – zdążył pomyśleć Czerski i zmęczony wydarzeniami dnia, zasnął.

Obudził go poranny ruch w celi, wydawano śniadanie. Trzasnęły drzwi, współwięzień szurał nogami po betonowej podłodze, postawił blaszane miski na stoliku, a potem ulżył sobie nad kubłem. Zdjęcie pokrywy i użycie kubła napełniło małą przestrzeń celi odorem odchodów. Czerski nie wstał z pryczy, czuł się obolały i sponiewierany. Wczoraj przy rewizji zabrali mu wszystkie drobiazgi i teraz brakowało mu grzebienia. Nie lubił być potargany, bo to świadczyło o abnegacji. Z tego samego powodu nie lubił być nieogolony, ale na poranną higienę nie można było liczyć w garnizonowym areszcie. Po chwili z sardonicznym humorem pomyślał, że jeśli jego problemy sprowadzą się do braku grzebienia i brzytwy, to będzie całkiem szczęśliwym człowiekiem. Drobne kłopoty świadczyły przecież o szczęściu, przypomniał sobie ulubione powiedzonko ojca.

– Jedzcie – powiedział do niego więzień i Czerski usłyszał szorowanie łyżki o dno miski. – Jak przyjdą po naczynia, to zabiorą, zjadłeś czy nie.

Czerski poznał głos. Ktoś znajomy w celi? Kto? Poderwał się i bacznie przyjrzał się więźniowi. Poznał go natychmiast. To Ługin! Zatem wrzucili go do celi dla bolszewickich szpiegów! Cholera. Gdyby siedział z pijaczkiem albo awanturnikiem, to może po zajęciu aresztu przez wojska Piłsudskiego, o ile by do tego doszło, miałby szansę wyłgać się, a tak? Co im powie? Że siedzi z Sowietem przez przypadek? Jego początkowo dobry humor zmienił się w jednej chwili diametralnie.

– Jedzcie – powtórzył Ługin. – Zara pójdzem do bani. Zabiorą miski.

Czerski odrzucił koc na bok i wstał. Jęknął głośno, bo kopnięty pośladek natychmiast dał o sobie znać. Ługin odwrócił się i w jego oczach błysnęło zainteresowanie.

– To pana porucznika też zamknęli? Ot i proszę. Spotykamy się. Najpierw w bolszewickiej, a potem w polskiej tiumnie. Znaczy się, po równo.

– Gówno – powiedział do rymu Czerski i wzruszył ramionami.

Wszystko było mu obojętne. Niemojewski ranny, Bobiński uciekł, Anna pozostawiona sama sobie – nie mogło już być gorzej. Kiedy zaproponował Grudzińskiemu, że pogada z Arychtomowem *vel* Ługinem, bo może dawny członek OGPU zna drogi przerzutowe z Polski do Sowietów, to myślał o krótkiej rozmowie w celi. Tymczasem Grudziński rozkazał swoim żandarmom z ochrony aresztować go i wrzucić do celi, bo jak powiedział, teraz jest wojna i nie ma czasu na dyrdymały. Nie chciał mieć z nim do czynienia. On siedzi, a Bobiński pewno już jest w drodze do granicy. W kraju zamieszanie, to z łatwością przejdzie na drugą stronę i tyle go widzieli. Czerski zaklął w duchu i sięgnął po łyżkę. Był głodny.

Tymczasem na korytarzu coś się działo. Nikt nie przyszedł zabrać ich do łaźni, za to w areszcie panował większy niż normalnie ruch. Otwierano cele, wywoływano nazwiska i odprowadzano więźniów, ale ich celę omijano.

Ktoś stuknął kluczami o zamek, przekręcił klucz i uchylił drzwi. Obaj od-

wrócili się, żeby spojrzeć, ale drzwi zaraz zamknięto.

– Tych zostaw, to bolszewiki – doleciało z korytarza i dozorca przesunęli się do innej celi.

Czerski zdziwił się. Nie usłyszał zamykania zamka, czyli zostawili celę otwartą? To było więcej niż dziwne. Podszedł do drzwi i ostrożnie spróbował je popchnąć. Nie były zamknięte, ale z zewnątrz dobiegały stale odgłosy szurania i chrzęst wojskowych butów na kamiennej posadzce, głosy dozorców i brzęczenie kluczy.

Czyżby? – pomyślał Czerski i pokręcił z niedowierzaniem głową. Czyżby wycofywali się pod naciskiem nacierających oddziałów i wypuszczali aresztantów, a w bałaganie zapomnieli zamknąć zamek w drzwiach ich celi?

– Chcesz uciekać? – zwrócił się do Ługina.

– Nie mam dokąd – mruknął Rosjanin.

– Posłuchaj! – Czerskiego ogarnęło nagłe podniecenie na myśl, że może się wydostać na wolność. – Pojedziemy do mnie, pod Warszawę. Tam się ukryjemy do czasu, aż przewali się wojna. A potem obaj zwieziemy do Francji. Co ty na to?

– Przeco nas nie puszczą – odparł Ługin zrezygnowanym głosem.

– Głupiś! – warknął Czerski. – Drzwi otwarte, oni się wycofują. W Polsce wojna. Byleśmy tylko wyszli do miasta, dalej ja już wiem co robić.

– Pilnują – odpowiedział Ługin, kończąc wyjadanie owsianki z miski.

– Za chwilę nikogo tu nie będzie, a zanim przyjdą żołnierze Piłsudskiego, wyjdziemy i tyle nas widzieli.

W oczach Ługina błysnęło zainteresowanie. Czerski stanął przy samych drzwiach i nadśluchiwał odgłosów z korytarza, gdzie stale trwała krzątanina. Ktoś wchodził i wychodził, ostrym głosem wydawano rozkazy, przenoszono jakieś rzeczy, trwało ciągle tupanie i szuranie wojskowych butów. Ługin podszedł na palcach do Czerskiego i zaczął nadśluchiwać. Po jego twarzy błąkał się cień uśmiechu. Więzień, który stracił już nadzieję na wydostanie się z matni, zaczął reagować na otoczenie, obojętność szybko zniknęła z jego oblicza, jakby starł ją jednym poruszeniem dłoni.

Żeby tylko nie przypomnieli sobie o kluczu pozostawionym w zamku – pomyślał Czerski. Ale to przecież niemożliwe. W areszcie nikt nie zapomina o zamknięciu celi. Czyli co?

Na korytarzu strzeliły obcasy. Dozorcy meldowali się oficerowi, mówili o zwalnianiu aresztantów i wykonywaniu rozkazów. Kroki zbliżyły się do ich celi i obaj odskoczyli od drzwi. Przysiedli na pryzkach i z niepokojem patrzyli na siebie. Zamkną czy nie zamkną? Myśli o wyjściu na wolność kołatały im się w głowach. Czerski spędził jedną noc w areszcie, ale czuł się, jakby siedział tutaj przez całe miesiące. Pragnienie wyjścia na otwarte powietrze opanowało go całkowicie i skupiało jego całą uwagę. Nie chciał zastanawiać się, co zrobi, jak ucieknie, to

mogło zapeszyć i spowodować odmianę losu. W tej chwili miał szansę, ale jeden obrót klucza w zamku mógł zniweczyć wszystko. Padły rozkazy i sądząc z odgłosów, kolumnienka żołnierzy weszła po schodach. Na korytarzu zapanowała cisza. Czerski głęboko wciągnął powietrze. Czuł, że los spletał mu kolejnego figla – wyjdzie na miasto. Na palcach podszedł do drzwi, obejrzał się i machnął ręką na Ługina, żeby nie wstawał z pryczy. Prawie przytknął ucho do wąskiej szpary między drzwiami i framugą. Nic, tylko cisza.

Może ktoś czai się na zewnątrz i czeka, aż otworzą – pomyślał. A potem co zrobi? Zastrzeli ich przy próbie ucieczki? Tu nie Rosja, w Polsce takich rzeczy nie robią. Nic, kompletnie nic z tego nie rozumiem.

Czerski czekał na jakiś dźwięk, ale nic się nie działo. Uchylił drzwi na centymetr i przyłożył oko do szpary – nikogo. Ośmielony ciszą i pustką pchnął jednym palcem drzwi i skurczył się z przerażenia, kiedy zaskrzypiały. Nikt go nie zaatakował, nikt się nie czaił za murem, nikt nie wymierzył w niego z karabinu. Czerski wystawił głowę na korytarz i rozejrzał się w obie strony. Tonący w zwykłym dla tego miejsca półmroku korytarz był zupełnie pusty, drzwi do cel stały otworem, za stoliczkiem dyżurnego nikt nie siedział. Kompletna pustka. Przez chwilę słuchał, czy ktoś nie schodzi po schodach, ale żaden dźwięk nie dobiegał z piętra. Czerski otworzył celę i wyszedł na środek korytarza, był już przekonany, że dozorczy opuścili areszt.

– Chodź – szepnął do Ługina, ale nie było to już potrzebne, gdyż Rosjanin z butami w rękę stał obok niego.

Przeszli korytarzem do schodów wiodących na parter i zatrzymali się. Czerski wyjrzał ostrożnie zza rogu, na schodach nie było nikogo. Obejrzał się na Arychtomowa i dał mu znak ręką, żeby włożył buty. Chodzenie po ulicy z butami w rękę mogło wywołać niepożądane zainteresowanie. Obrzucił wzrokiem stanowisko dozorczy. Krzesło stało odsunięte, szuflada stoliczka otwarta, a na haku obok wisiały klucze. Czerskiego zaintrygował kształt wiszący trochę z tyłu za kluczami. Czyżby mieli aż takie szczęście. Podszedł do stolika i sięgnął. Na haku wisiały płaszcze, cywilne płaszcze. Kiedy je zdjął, ciągle myśląc o swoim szczęściu i zapomnianych cywilnych ciuchach, rozpoznał swój płaszcz, który zabrano mu poprzedniego dnia. Po raz kolejny tego ranka zdziwił się, a nawet więcej niż zdziwił. Rzucił drugi płaszcz Ługinowi i włożył swój. Płaszcz był ciężki. Zaintrygowany wsadził ręce do kieszeni i nagle wszystko stało się dla niego jasne. Niezamknięte drzwi podczas ewakuacji, Ługin w celi i płaszcze wiszące na haku przy samym wyjściu. W prawej kieszeni płaszcza znalazł swój rewolwer, w lewej zwitek banknotów.

Dziękuję, panie kapitanie Grudziński – pomyślał ciepło. O, jaki pan jest podstępny, jaki przebiegły. W tej sytuacji mam pełną wdzięczność Ługina za uwolnienie go z aresztu i środki na dalsze poszukiwania. Ale też szybko pan to wymyślił, w jednej sekundzie podczas rozmowy na szpitalnym korytarzu. Starczył panu jeden

moment, jeden przebłysk inteligencji, widać starą szkołę CiK wywiadu. Teraz już wiem, dlaczego jest pan szefem kontrwywiadu. Wybaczam panu nawet tego kopniaka, poboli i przejdzie, a był przekonujący. Kapitanie Grudziński, nie wiem, czy spełnię, czy nie spełnię pana oczekiwań, ale nie mam wątpliwości, że się jeszcze spotkamy, i wtedy panu podziękuję. Tymczasem moje wewnętrzne przepraszam za wszelkie insynuacje i brak wiary, jest pan prawdziwym fachowcem.

– No, Arychtomow, idziemy – powiedział Czerski z lekkim uśmiechem na ustach, kończąc swoją wewnętrzną rozmowę z kapitanem Grudzińskim. – Pora wiać, zanim przyjdą legionści i zamkną nas na powrót w tych murach.

– Idziem do miasta?

– Idziemy, i to szybko – odparł Czerski i nie kryjąc się, pobiegł schodami na górę. Był pewien, że nie zastawiono na niego żadnej pułapki.

Dąbrówka – maj 1926

Mały, pomalowany na biało domek przy wiejskiej drodze wydał się Czerskiemu najbezpieczniejszą przystanią na ziemi. Po przygodach w Warszawie perspektywa odpoczynku na wsi niosła ze sobą obietnicę spokoju i regeneracji. Domek w Dąbrówce był jakby ucieleśnieniem tego przyrzeczenia. Pchnął furtkę i zrobił kilka kroków do domku. Otworzył na oścież drzwi i zawołał pełnym oczekiwania głosem:

– Panno Anno, gdzie panna jest?

Odpowiedziała mu cisza. Zdziwiony zajrzał do wszystkich pokoi i już zamierzał wejść na strych, kiedy rzut oka w okno przekonał go, że Anna pielęła grządki za domkiem, gdzie nie mogła go słyszeć. Pochylona pracowała nad porzuconymi od jesieni rabatami, które w męskich rękach nigdy nie wyglądały za dobrze, a wiosną, przed zjawieniem się właściciela, robiły wrażenie szczególnie zaniedbanych. Czerski uśmiechnął się i otworzył okno.

– Panno Anno, wróciliśmy – zawołał do niej wesoło i uśmiechnął się szeroko.

Chylińska oderwała się od pracy, odłożyła trzymane w rękach grabki i podeszła bliżej. Lewą ręką otarła pot z czoła i zaczęła zsuwać z dłoni ogrodowe rękawiczki.

– Widzę, że poradziłaś sobie – powiedział Czerski. – Pora na wiosenne porządki w ogrodzie. Prawda? Bardzo piękna z ciebie gospodyni.

– Miał pan wrócić przed wieczorem, a nie na drugi dzień – Chylińska zmroziła go tonem głosu, a przy tym użyła trzeciej osoby, chociaż od dawna byli już na ty.

– Nieprzewidziane kłopoty – odparł Czerski. – Niestety poważne.

– I co ja mam tu robić całymi dniami sama – wyrzuciła z siebie podniesionym głosem, dając upust nurtującej ją złości. – Zostawił mnie pan i pojechał sobie

do Warszawy, a ja co? Siedzę w nie swoim domu i czekam, aż przyjdzie właściciel i każe mnie aresztować.

– Wejdz – powiedział Czerski, któremu uśmiech zniknął z twarzy. Zrozumiał, że to spóźnienie i porzucenie własnego domu odcisnęło piętno na zwykle pogodnej dziewczynie. – Porozmawiamy.

Chylińska weszła tylnymi drzwiami do domku i stanęła zaskoczona obecnością nieznanego mężczyzny.

– A to kto? Kolejny z pańskich przyjaciół?

– To jest pan Arychtomow, który zostanie z nami przez noc.

– Znowu ktoś, kto musi się ukrywać przed bolszewikami? Mam tego dość. Jadę do domu. Zostawcie mnie w spokoju.

– Usiądźmy i porozmawiajmy. Opowiem, co zaszło wczoraj i dlaczego nie przyjechałem wieczorem.

– Znowu jakieś bajdy o bolszewikach, porwaniach i więzieniach.

– W rzeczy samej, i o bolszewikach, i o więzieniach – odpowiedział Czerski, którego zaskoczyła ta wypowiedź. Kilka dni wcześniej bolszewicy próbowali ją porwać, czyżby zapomniała. Uznał, że formalne zapoznanie Anny z jego towarzyszem może odwrócić jej uwagę i zmniejszyć napięcie. – Panno Chylińska, to jest pan Arychtomow.

Chylińska, która zbyt długo myślała o tym, co powie Karolkowi po jego powrocie, odwróciła się do Ługina tyłem, ignorując jego wyciągniętą rękę.

– Po co to wszystko? – powiedziała z widocznymi oznakami zdenerwowania na twarzy. – Ja muszę wracać do pracy i do domu. Nic mi nie grozi, nie wierzę, żeby bolszewicy próbowali ponownie mnie porwać. Zresztą opowiem wszystko szefowi.

– Siądźmy i posłuchaj mnie przez chwilę – Czerski z trudem zachował spokój.

– A mnie co? – zapytał Ługin, stojąc na środku pokoju.

– Siadajcie gdzieś. Jesteście mi potrzebni, w końcu dwa razy siedzieliśmy razem w tym samym więzieniu.

Chylińska uniosła brwi ze zdziwienia, ale zaproszona szerokim gestem Czerskiego bez dalszego oporu zajęła miejsce w bujanym fotelu. Czerski usiadł na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i zastanowił się. Sam wiedział najlepiej, że jego historie brzmią nieprawdopodobnie i tym trudniej było Annie przyjąć do wiadomości, że niebezpieczeństwo ze strony bolszewików było nadal aktualne. W końcu opowiedział wydarzenia poprzedniego dnia, nie omijając żadnych szczegółów, a Ługin od czasu do czasu kiwał głową, jakby potwierdzał opowieść Czerskiego.

– A teraz musimy uciekać do Francji – powiedział Ługin, kiedy Czerski skończył opowiadanie.

– Co? – zdziwiła się Chylińska. – A co będzie ze mną?

– Niezupełnie tak będzie – odparł Czerski, patrząc na nich oboje. – Najpierw pojedziemy złapać Bobińskiego.

– Hę? – jęknął Ługin. – Po co? Jak?

– Ano z waszą pomocą, Ługin. Z waszą pomocą – powiedział twardo Czerski i popatrzył mu w oczy.

– Skąd wiecie? – głucho jęknął Ługin.

– Samiście mi powiedzieli w Rembertowie – odparł Czerski. – Nie pamiętacie?

– To kto to jest? – zapytała Chylińska, która nagle poczuła się zagubiona. – Co to wszystko znaczy? Przed chwilą przedstawiłeś mi tego pana pod zupełnie innym nazwiskiem.

– Nie z własnej winy, Anno, znalazłaś się w orbicie zainteresowań wywiadu sowieckiego i niestety musisz się ukrywać. A to jest towarzysz Ługin, uciekinier z Bolszewii – wyjaśnił Czerski. – Dezerter z OGPU, co mniej więcej znaczy, że był czekistą. Tyle że teraz jest po naszej stronie i pomoże mi w pogoni za Bobińskim.

– A w jaki to sposób? – zapytał Ługin.

– Akurat to jest proste – ciągnął Czerski, wiedząc, że teraz rozegra się najważniejsza część jego planu. Błefował, ale zgadywał, że w ten sposób może pociągnąć Ługina *vel* Arychtomowa za język. Udawał, że wie więcej, niż rzeczywiście wiedział, i chce jedynie potwierdzić posiadane informacje. – Wy, Ługin, pracowaliście w wywiadzie zagranicznym. Prawda? Zatem znacie miejsca, gdzie Bobiński może się ukryć. Znacie kontakty, waszych agentów w terenie, bolszewickie kryjówki w kraju.

– On pewno jest w poselstwie, ale stamtąd go nie wyłuskacie – przerwał mu Ługin.

– Ja również tak myślę. Ługin, znacie trasy przerzutowe do Sowdepii – Czerski nie pozwolił na zejście na ślepy tor. – Bobiński pojedzie najkrótszą drogą, bo sytuacja w Polsce jest niebezpieczna. Wie, że jest ścigany. A wy tą drogę znacie.

– Dróg jest wiele – odparł Ługin, marszcząc czoło. – A mnie to na co? Ryzykowne. Jak mnie złapią...

– Nie macie wyjścia – powiedział Czerski, przerywając mu w pół zdania. – Tutaj was zamkną jako szpiega. Bolszewicy was rozwalą jak Pokrowskiego. W tej chwili tylko ja chcę i mogę wam pomóc.

– Co stało się z Pokrowskim? – informacja zainteresowała Ługina i zaczął domagać się więcej wiadomości.

– Pokrowskiego wyłowiono z Warty pod Poznaniem. – Czerski smakował każde słowo, wiedząc, że żadne groźby nie zrobią takiego wrażenia na Ługinie, jakie robi na nim prawda. – Miał nóż wbity przez oko do mózgu i był zupełnie zimny.

– Słodki Boże! – Anna westchnęła gwałtownie i próbując się odsunąć dalej,

zakołysała fotelem.

– Pokrowski to była gnida – powiedział obojętnie Ługin. – Matkę by sprzedał, żeby awansować w urzędzie. Nieużyty i tchórz.

– A przy tym okrutny człowiek – Czerski ciągnął wywód Ługina. – W Rembertowie chciał mi wyrywać paznokcie obcążkami.

– To do niego podobne – zamruczał Ługin.

Anna wstała z fotela na biegunach i podeszła do okna. Krew odpłynęła jej z twarzy i pobladła. Potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza, bo czuła, że za chwilę zemdleje.

Wygląda na to, że jest już zupełnie przekonana o konieczności ukrycia się przed bolszewikami – pomyślał Czerski, odprowadzając ją wzrokiem. Pora przejść do omawiania planu akcji.

– Jutro pojedziemy do Warszawy i narobimy awantury przed sowieckim poselstwem – zaczął planować Czerski. – Znaczy się, ja sam będę się na tyle głośno awanturować, żeby Wojkow mnie rozpoznał. Potem pogrozę im, że idę po legionistów, żeby szturmem wziąć poselstwo i ubić drania, który postrzelił polskiego oficera. Wojkow uzna groźbę za realną, bo już mnie zna od tej strony. Ze strachu wyekspediują Bobińskiego najszybciej, jak mogą, a my pojedziemy za nim.

– Ale my nie wiemy jaką drogą – zaproponował Ługin.

– Od tego to już wy jesteście – Czerski uśmiechnął się na myśl, że przewidział wszystkie uniki czekisty. – Wy będziecie obserwowali wyjście z poselstwa. Wojkow wyśle Bobińskiego na kolej, bo automobil robi za duże wrażenie i ludzie go pamiętają. A my pojedziemy za nim.

– Ale przecież wojna – zaprotestował Ługin.

– Jaka wojna? – spytała z przestraszeniem Chylińska, która wróciła na fotel.

– Ano, w Warszawie trwają walki – wyjaśnił Czerski, który zorientował się, że huk wystrzałów nie docierał na prowincję. – Wojska wierne rządowi walczą z Piłsudskim.

– Wojna domowa? W Polsce? – Chylińska podniosła z przerażenia rękę do twarzy i przechyliła się na oparcie fotela.

– Niestety tak – odparł Czerski. – I nie wiadomo, jak i kiedy się skończy. A w tym czasie Bobiński zwieje do Sowdepia i zniknie na dobre.

– Pan porucznik chce go ścigać? Teraz? Podczas wojny? – Ługin zdziwił się i przestraszył.

– Ługin, pomyślcie, w którą stronę i jakim sposobem uda się Bobiński. Wszystko mieliście przecież ustalone na wypadek wpadki. Nie?

Czerski nie wiedział, co Sowieci mogli mieć zaplanowane, ale zgadywał i nie omylił się.

– Owszem, są trasy alarmowe – odparł Ługin i Czerski wewnętrznie odczekał z ulgą. Jego przemyślenia w drodze do Dąbrówki okazywały się celne.

– Wystarczy zatem, że zaobserwujecie, w którą stronę udaje się Bobiński – rozstrzygnął Czerski. – Potem znajdziemy go na punkcie przerzutowym.

– A dlaczego nie łapać go w Warszawie? – zapytała Anna, która nie mogła pojąć, czemu ci mężczyźni planowali skomplikowaną operację, zamiast złapać szpiega i zamknąć w więzieniu.

– W sumie rozsądne pytanie – odpowiedział Czerski i spojrzął na Ługina. – W mieście i w drodze Bobiński będzie miał ochronę z poselstwa. Kogoś, kto nas zna, zatem trudno będzie go podejść.

Ługin powoli skinął głową, wyrażając zgodę.

– A nawet jeśli uda nam się go aresztować w Warszawie, to co z nim zrobimy? – ciągnął swój wywód Czerski. – W mieście toczą się walki. Rząd w oblężeniu, nie ma władzy. Nie będziemy go trzymać w mieszkaniu.

– Rozumiem – szepnęła Chylińska, dostrzegając logikę wyводу Czerskiego.

– A teraz daj nam jeść, bo to ciągłe uciekanie przed bolszewickimi szpiczlami wpływa na mój apetyt.

Anna wstała i już miała wyjść do małej kuchenki obok, kiedy zawróciła i stała na wprost Czerskiego.

– A właściwie dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

No proszę, nie jest głupia – pomyślał Czerski z podziwem. Nakryła mnie, tylko nie zna moich motywacji i pewno nie wie, co ją czeka.

– Jak zadajesz mi takie pytanie, musisz być przygotowana na szczerą odpowiedź, a prawda jest czasem trudna do przyjęcia.

– Jestem przygotowana – odparła zadziornie Chylińska, oceniając, że Czerski przejawia powagę sprawy. – Mów.

Czerski pomyślał, że błysk w oku Anny wrócił, i uśmiechnął się wewnętrznie do siebie. Krew dawnych kresowych kobiet grała w jej żyłach na myśl o niebezpieczeństwie.

– Jeśli bolszewicy ciebie złapią, będą chcieli się dowiedzieć, jakie są nasze plany.

– Nic im nie powiem – prawie krzyknęła Chylińska.

– Powiesz i nie potrwa to dłużej niż kilka godzin – powiedział powoli Czerski. – A potem ciebie zabiją. A jeśli nie będziesz wiedziała, to nie udzielisz oczekiwanej odpowiedzi i wtedy będą ciebie torturować kilka dni, zanim nie oszalejesz z bólu i nie umrzesz. Będą chcieli się upewnić, że na pewno nic nie wiesz. Zaoszczędzam ci kilka dni nieludzkiego cierpienia.

Oczy Anny Chylińskiej rozszerzyły się z przerażenia i odsunęła się o krok do tyłu. Ługin smętnie kiwnął głową, on wiedział najlepiej, jakimi metodami wydużane są z ludzi zeznania. Czerski podejrzewał, że Ługin sam prowadził przesłuchania i miał dużo na sumieniu.

– A co się stanie z wami, jak ja im powiem o waszych zamiarach? – Chyliń-

ska wiedziała, że było to niedorzeczne pytanie, już w momencie, kiedy je zadawała.

Czerski obojętnie wzruszył ramionami, a Ługin potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć złego snu, a potem przeciągnął palcem po szyi w wymownym geście. Chylińska przycisnęła dłoń do ust, żeby nie wydać żadnego dźwięku, i poczuła rosnące w niej mdłości.

Rozdział X

Warszawa – maj 1926

W Warszawie trwały walki uliczne. Pomimo że liczba wojsk biorących bezpośredni udział w boju była niewielka, tylko kilka tysięcy żołnierzy, to grzechot wystrzałów słychać było we wszystkich dzielnicach. Każda ze stron, dążąc do uzyskania przewagi, usiłowała ściągnąć do stolicy wierne sobie jednostki spoza Warszawy. Wojska wielkopolskie opowiedziały się po stronie rządowej, lecz transport żołnierzy z Poznania do Warszawy był długi i wymagał użycia kolei. Tymczasem na Dworcu Gdańskim wyładowały się wierne Piłsudskiemu bataliony 3 Dywizji Piechoty Legionów z Wilna i przemaszerowały z Żoliborza do Śródmieścia. Przybycie legionistów zadecydowało o zatrzymaniu kontrofensywy wojsk rządowych i przechyliło szalę na korzyść Piłsudskiego. Rozpoczęła się ofensywa skierowana w stronę Mokotowa, której zamiarem było zajęcie lotniska na Polu Mokotowskim. Koncentrujące się na obrzeżach miasta pułki rządowe zostały, po zajęciu lotniska, odcięte od siedziby rządu w Belwederze i wycofały się.

Największą groźbę dla Piłsudskiego stanowiły pułki znajdujące się w Poznaniu. Przybycie tych wojsk mogło zmienić stosunek sił na korzyść rządu i prezydenta Wojciechowskiego. W tej sytuacji Polska Partia Socjalistyczna wystąpiła przeciwko prawicowemu rządowi i ogłosiła strajk generalny. Do strajku przyłączyli się kolejarze. Transporty wojskowe z Poznania stanęły, a stolica została odcięta od reszty kraju.

W drugiej połowie dnia ciężar walki przesunął się bardziej na południe. Linia ulicy Pięknej została opanowana przez wojska Piłsudskiego, które napotkały opór dopiero na Nowowiejskiej. Zmagania przeniosły się w bezpośrednie sąsiedztwo Belwederu, co spowodowało fizyczne zagrożenie dla osoby prezydenta Rzeczypospolitej. Po naradzie z rządem podjęto decyzję o przeniesieniu siedziby prezydenta do Wilanowa. Tymczasem po ostatnich natarciach i przesunięciu się walk na linię ulicy Nowowiejskiej cała Poznańska była w rękach legionistów.

Czerski posuwał się wzdłuż Poznańskiej, czekając na moment, kiedy ulica zostanie zajęta i kule przestaną gwizdać w powietrzu. W momencie kiedy ostatnia kolumnienka plutonu piechoty zniknęła za rogiem Pięknej, Czerski stanął na wprost sowieckiego poselstwa. Jak mniemał, poselstwo, które pozostawało jako eksterytorialna sowiecka enklawa w Warszawie, musiało się przecież zabezpieczyć choćby w minimalnym stopniu i wystawić obserwatora. Czerski był zatem dokładnie dla bolszewików widoczny. Oparł się o latarnię i zapalił ulubionego tureckiego papierosa. Tymczasem, po przetoczeniu się walk, z okolicznych domów wychodzili ludzie i gapili się w kierunku Pięknej, skąd ciągle słychać było strzały. Co odważ-

niejsi, wiedzeni ciekawością, próbowali podchodzić do rogu Pięknej, żeby zobaczyć trochę prawdziwej bitwy.

Mogliby mnie zastrzelić z okna – pomyślał Czerski, ale w sytuacji wojennej byłoby to niebezpieczne. Wojsko mogło wziąć szturmem poselstwo, zanim ktokolwiek zdążyłby sobie sprawę, że to teren obcego państwa. Więc chyba jednak nie strzelą.

Firanka w oknie poruszyła się, ale nikt do niego nie wyszedł. Czerski nie był tym przejęty, wiedział, że nie będzie stał długo pod oknami sowieckiego poselstwa, i nie pomylił się. Po krótkiej chwili firanka poruszyła się ponownie i chociaż Czerski nie zobaczył twarzy w oknie, to był przekonany, że obserwujący ulicę czekista poszedł po Wojkova, który teraz na niego patrzył. Nie minęło pięć minut, jak w drzwiach domu ukazał się Wasyl, czekista z ulicy Twardej. Wasyl zdecydowanym krokiem podszedł do Czerskiego i zamierzał właśnie coś powiedzieć, ale Czerski odezwał się pierwszy.

– Wydajcie mi Bobińskiego – powiedział krótko, pewien, że Wasyl po prostu zawróci i wejdzie do poselstwa.

– Takiego tu nie ma – odparł czekista i stanął wprost przed Czerskim. – A wy wynoście się stąd, bo łeb rozwalę.

– Wydajcie Bobińskiego, i to bardzo prędko – Czerski nie zamierzał odpowiadać na zaczepki, ale chciał utrwalić swoje przesłanie. – Wiem, że jest w poselstwie, i przyszedłem zrobić wam przysługę.

– Zjeżdżaj stąd, zdrajco! – warknął w odpowiedzi Wasyl, a potem rozejrzał się ostrożnie, jakby licząc, ilu potencjalnych świadków stoi na ulicy.

– Macie kilka minut – odparł prawie wesoło Czerski. – Nie chce mi się tłumaczyć wam, dlaczego prędzej czy później i tak wydacie mi waszego szpiega, ale dla was, tępego czekisty, zrobię wyjątek. Bobiński zabił kapitana Niemojewskiego, polskiego oficera, a to nie może ująć bezkarnie.

– Ty swołocz – Wasyl, jak każdy prosty człowiek, którego oskarżono o głupotę, poczuł się głęboko dotknięty. Stracił panowanie nad sobą, zbliżył się o pół kroku i złapał Czerskiego za koszulę, jednocześnie wkładając prawą rękę za połą marynarki.

Czerski podniósł trzymany w kieszeni płaszcz rewolwer i przyłożył Wasylowi do brzucha, odprowadzając jednocześnie kurek. Szczęk metalu i wepchnięta mu w brzuch lufa ostudziły zapędy czekisty, który spojrzał w dół na przebijający przez materiał kształt broni. Na chwilę obaj zamarli w bezruchu, czekając, kto pierwszy ustąpi, ale pozycja Wasyla była znacznie gorsza, jego rewolwer był za pasem spodni. Wiedział, że nie zdąży go wyciągnąć, zanim Czerski strzeli mu w brzuch. Powoli puścił koszulę Polaka i wyciągnął pustą rękę spod marynarki. Czerski znacząco uniósł brwi i uśmiechnął się kpiąco.

Ulicą maszerowała kolumna żołnierzy, podkute trzewiki piechurów rytmicz-

nie stukwały o bruk. Migwały nogi w owijaczach, kiwały się głowy przykryte przez francuskie adriany i rytmicznie poruszały się tornistry na plecach. Obojętne chłopskie twarze szeregowych nie wyrażały strachu, żołnierze byli przyzwyczajeni do wykonywania komendy. Szli do boju z zupełnym spokojem, jakby nie rozumieli, co ich czekało po tamtej stronie Pięknej. Czerski jednym rzutem oka ocenił, że prowadzący pluton oficer kazał im nieść karabiny zawieszane na pasie na ramieniu, w ten sposób oddalając moment dławiącego przerażenia, jakie ogarnia nieostrzelanych rekrutów w chwili, kiedy po raz pierwszy wchodzi do boju.

– Widzę, że już dowiedzieliście się, jak załatwiłem waszego kolegę – powiedział cicho Czerski. – Moja reputacja musi być szeroko znana wśród czekistów. Co?

– Job twaju mać, idi w pizdu – Wasyl odsunął się o krok i Czerski opuścił rękę trzymającą rewolwer.

– Te kanalie sponiewierały kobietę i użyły jej, żeby dotrzeć do mnie – cedził słowa wolno, żeby żadne nie uszło uwagi Wasyla. – Zarzniętem waszego agenta nożem, zatem wiecie już, do czego jestem zdolny. Idźcie do środka i przyprowadźcie mi tu Bobińskiego.

– Job twaju mać – Wasyla ogarniała furia.

– Nie, to nie – powiedział Czerski lekkim tonem. – Wobec tego przekażcie towarzyszowi Wojkowowi, że poszedłem po legionistów. Jak im opowiem o zamordowaniu polskiego oficera, to zwyczajnie was wygarną. A jak będziecie strzelać, to was wszystkich rozwalą. Wojna. Zdarzają się pomyłki w wojennym zamieszaniu i żołnierze mogą nie uszanować dyplomatycznego immunitetu.

Czerski odwrócił się tyłem do Wasyla i odszedł, wyrównując krok do idących ulicą żołnierzy. Nie obawiał się, że Wasyl strzeli mu w plecy, zbyt wielu było polskich żołnierzy obok niego, zbyt wielu ludzi stało na trotuarach. Doszedł do roku Pięknej i obejrzał się, ale Wasyla nie było już widać.

Dwie godziny później Czerski odnalazł Ługina w umówionym wcześniej miejscu w Ogrodzie Saskim. Ługin siedział markotny na ławce i smętnym wzrokiem patrzył w przestrzeń. Czerski zajął miejsce obok niego i obaj rozglądali się w milczeniu po opustoszałym parku. Żadna dbająca o swoją latorośl mieszcza nie wysłała służącej na spacer ze swoją pociechą i normalnie wypełniony dzieciarnią park sprawiał wrażenie wymarłego.

Na widok siedzącego w umówionym miejscu Ługina Czerski nieco się zdziwił.

Mógł uciec i pozbyć się mnie, a nie zrobił tego – pomyślał Czerski. Czy chce z moją pomocą odegrać się na Wojkowie, czy raczej na bolszewikach w ogóle? A może boi się zostać bez protekcji, w końcu Pokrowskiego zabili. OGPU ma długie ręce i utrupia każdego, kto tylko pachnie herezją. Muszę go kiedyś podpytać na okoliczność. Na razie są ważniejsze sprawy.

– I co? – zapytał Czerski.

– Ano nic – odpowiedział Ługin. – Wyjechali automobilem we czterech i znikli mi z oczu. A taksówki, nawet dorożki ani śladu. Na nogach nie mogłem na-
dążyć.

– Uciekł – stwierdził zły na siebie Czerski. Mógł przecież przewidzieć, że nie pójda na piechotę, i coś wymyślić.

– Poszedłem na Dworzec Główny, ale stamtąd nie wyjechali – ciągnął Ługin.

– Pociągi nie chodzą. Tyle się dowiedziałem.

– Czyli że wrócą do poselstwa. Albo ukryją Bobińskiego gdzieś w mieście. Widziałeś, jak wrócili?

– Nie, nic więcej nie zobaczyłem. Znikli.

– Cholera jasna!

– Pociągi nie chodzą, ludzie gadali, że kolejarze zatrzymali, znaczy się strajk. A strajk potrwa.

– Potrwa pewno tak długo jak ta wojna – Czerski zamyślił się i mówił jakby sam do siebie. – Na Twardą pewno nie pojechali, znam to miejsce, to pewno już zwinęli tam wszystko. Mają mieszkanie w Warszawie czy wywieźli go poza miasto? A może zaczekają i jak nie przyprowadzę oddziału legionistów, to wrócą? Nie, zbyt ryzykowne. Wojkow wykombinuje coś bardziej inteligentnego, nie jest głupi. Tak myślę, że do czasu ukryje Bobińskiego w mieście, ale gdzie?

Nagle Czerski doznał olśnienia, otworzył szeroko oczy i wprost poderwał się z ławki. Ługin spojrzał na niego zaskoczony i też wstał. Czerski przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami i patrzył w przestrzeń, a potem gwałtownie odwrócił się do Rosjanina.

– No, towarzyszu Ługin, pójdziemy obserwować budynek poselstwa – powiedział i z łobuzerskim uśmiechem dodał: – A wieczorem ja pójde na wódkę, a wy, towarzyszu, pójdziecie na dziwki.

Uśmiezek na twarzy Czerskiego zmienił się w szeroki uśmiech na widok zadziwionej miny Ługina.

Warszawa – maj 1926

Harmonia pitoliła szlagiery równie hałaśliwie i fałszywie jak tamtego dnia, kiedy odwiedził knajpę „U Anatola” razem z Niemojewskim. W krótkich przerwach z zewnątrz, dochodziły dalekie odgłosy pojedynczych strzałów, a potem muzyk z Powiśla znowu zaczynał grać i wszystkie dźwięki tonęły w kakofonii wydierającej się z jego instrumentu. Wojna czy nie, tutaj bawiono się jak każdego innego dnia. Określenie „zabawa” było jednak raczej na wyrost. Półświatek z przedmieścia rzadko kiedy miał wystarczające środki, żeby bawić się pełną gębą. Grandy na dużą skalę zdarzały się kilka razy do roku i z reguły kończyły się aresztowaniem winnych wkrótce po prze hulaniu całego łupu. Przeważnie siedziano przy stołach,

czasem ktoś zatańczył, czasem wypił, ale głównie czekano na jakieś wydarzenie, które rozbawi gości. Poprzednim razem Niemojewski dostarczył takiej rozrywki swoim pojedynkiem z nożownikiem, teraz towarzystwo siedziało ponuro wpatrzona w ściany, mówiono mało i półgębkiem, pito powoli, przeciągając w nieskończoność przyjemność delektowania się tanią wódką. Tylko palono na umór. Papierosy były tanie, każdy mógł sobie pozwolić na paczkę wiarusów. Markę Wiarus reklamowano chwytliwym i skutecznym hasłem „Papierosy Wiarus. Tanie, mocne, dobre. Kto zapali ten pochwali”. Niska cena powodowała, że rozchodziły się masowo wśród biedniejszej części populacji. Aromat palonego tytoniu nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że nie był to wysokiej marki produkt z Turcji czy Egiptu. Powszechne użycie tytoniu powodowało, że w knajpie Anatola pod sufitem wiecznie wisiał kłęb szarego, drażniącego gardło i oczy dymu, co jednak nie przeszkadzało stałym bywalcom.

Siedział oparty łokciami o blat stołu zajętego częściowo przez trzech ludzi wyglądających na murarzy. Stół był na tyle długi, że nie przeszkadzali sobie nawzajem, a nawet gdyby, to ogólnie w tej części stolicy zwracano małą uwagę na konwenanse. Czerski smutno wpatrywał się w wypitą do połowy stopkę wódki i nadgryzione jajko na twardo. Miał nadzieję, że przystaje do towarzystwa i zostanie niezauważony, a co najważniejsze – nikt go nie zaczepi. Potarł gładki podbródek z niezadowoleniem. Przed wyjazdem do Warszawy odruchowo ogolił się i teraz miał wrażenie, że dbałość o higienę odróżnia go od reszty zajmującej izbę ferajny. Od czasu do czasu chytał rzucane w jego stronę spojrzenia, ale każdy odwracał wzrok, kiedy tylko Czerski zwrócił głowę w kierunku patrzącego. Czekał na Ługina, który miał za zadanie podejść do Długiej Tamary i przekonać ją, żeby zaprowadziła ich do kawalerki Wojkowa w mieście. Wymyślił sobie, że poseł nie przychodził osobiście do knajpy, a tylko wysyłał jednego ze swoich ludzi, żeby sprowadzili prostytutkę do niego. Zatem pojawienie się Ługina z taką misją nie byłoby niczym dziwnym, ale pozostawały dwa problemy. Po pierwsze Tamara nie znała Ługina, a było więcej niż prawdopodobne, że zawsze przychodził ten sam człowiek. Po drugie Ługin nie wiedział, gdzie ma z nią iść, przecież chodziło o to, żeby ich zaprowadziła. Czerski przewidywał, że kobieta nabierze podejrzeń i dlatego czekał na znak od Rosjanina, że wychodzi z Tamarą do kawalerki Wojkowa. W razie trudności zamierzał użyć argumentu finansowego, miał jeszcze pieniądze zostawione mu przez kapitana Grudzińskiego, a jakby to nie podziałało – rewolwer. Nie był w humorze i nie zamierzał przemawiać do jej uczuć antybolszewickich, a raczej wymusić posłuch siłą.

Siedząc samotnie przy stole, Czerski rozglądał się nieznacznie po sali, szukając oczami potencjalnego niebezpieczeństwa. Ferajna z Powiśla nie interesowała się nim, miał wrażenie, że usiłują zejść mu z drogi. Większość gości stanowiły zwykle w tej okolicy typy w czapkach cyklistowskich albo kapeluszach, czasem

w kolorowym szaliku fantazyjnie zawiązanym na szyi i przybrudzonych marynarkach na zdecydowanie już brudnych koszulach. Nawet ubrane w kolorowe sukienki kobiety mało odróżniały się od tłumu, który i tak raził oczy brakiem koordynacji barw. Czerski zauważył jednego studenta, chudego, wysokiego, z niesforeną czupryną kruczoczarnych włosów. On jeden wyglądem nie pasował do otoczenia.

Tymczasem Ługin po pierwszym kontakcie z Tamarą zniknął z nią na zapleczu i Czerski poważnie się obawiał, że wykorzystuje swoją domniemaną funkcję do uzyskania usług erotycznych. Przedłużająca się nieobecność pary utwierdzała go tylko w tym przekonaniu. Dyskretnie spojrzął pod stół na zegarek i postanowił sobie, że zaczeka jeszcze dziesięć minut, a potem pójdzie ich szukać. Z góry wiedział, że będzie za późno, ale chciał zachować cień nadziei. Dywagacje na temat czekisty-uciekiniara i jego nowej znajomej przerwało mu pojawienie się obojga na samym środku sali. Kobieta była obojętna, ale świecące blaskiem zaspokojenia oczy Ługina mówiły zupełnie co innego. Czerskiemu opadły ramiona.

Idziemy na robotę, żeby łapać agenta bolszewickiego wywiadu, a ten głupek rznie jedyne go świadka – pomyślał Czerski i z rezygnacją dopił stojący przed nim kieliszek wódki. Kiwnął na Ługina dłonią, zagryzł jajkiem i posunął się na ławce. Kątem oka zauważył, że student poderwał się z ławki i podszedł do Tamary, ale Czerski był bardziej zainteresowany, co ma do powiedzenia Ługin.

– No i co? – zapytał.

– Nic nam nie powie – odparł Ługin. – Ona nic nie wie.

– Jak nie wie? – Czerski pokręcił głową, czując narastające w nim uczucie beznadziejności.

– Przychodził po nią wysoki blondyn – relacjonował Ługin.

– Pewno Iwanow – przerwał mu Czerski.

– Tak myślę – Ługin kiwnął głową. – Zabierał ją dorożką i odwoził do śródmieścia. Tamara nie zna Warszawy i nie wie ani gdzie, ani którędy. Po robocie zabierał ją z powrotem też dorożką. I wszystko.

– Żadnych szczegółów?

– Owszem – Ługin wzruszył ramionami. – Dorożka miała zawsze podniesioną budę. Jechali w prawo, a potem długo szerokimi bulwarami i w końcu w lewo w wąską ulicę z ładnymi kamienicami. Wchodziła do takiej kamienicy na drugie piętro. Zawsze po zmroku. Tyle wie.

– Przecinali Marszałkowską? – dochodził dalej Czerski, ale widząc brak zrozumienia na twarzy Ługina, dodał: – Czy przejeżdżali przez duże skrzyżowanie ulic?

– Nie wiem, ale pójdę zapytać – zaoferował Rosjanin.

– To przy okazji zapytajcie o tego sztabaka, który się dookoła niej kręci. Chcę wiedzieć, kto to jest.

– Zrobi się.

Ługin przeszedł na drugą stronę sali i zachował się inaczej, niż spodziewał się tego Czerski. Nie szarpnął obcesowo Tamary za ramię, ale pochylił się i powiedział jej kilka słów na ucho. Tamara zareagowała natychmiast, wstała, uśmiechnęła się do emablującego ją studenta i pogłaskała go po twarzy, a potem odeszła na bok z Ługinem. Wymienili kilka zdań i Rosjanin wrócił do stołu.

– Tamara powiedziała, że przejechali przez duże skrzyżowanie, ale potem nie jechali daleko i zaraz skręcili – zrelacjonował Ługin.

– W Poznańską chyba nie wjechali – mruknął Czerski – bo tam sowieckie poselstwo. To następna jest Emilii Plater. Czy ona do tego stopnia nie zna miasta?

– Chodzenie po Warszawie to niezupełnie jest jej fach w tej chwili.

– A ten student?

– To gimnazjalista z Wilna, Borys Sofronowicz Kowerda. Po doświadczeniach w Samarze podczas rewolucji – antykomunista. Tamara mówi, że zakochał się w niej, a ona go tak trochę lubi. Podobno jak tylko może, to przyjeżdża do niej z Wilna.

Czerski przyjrzał się bliżej młodzieńcowi, który z bałwochwalczym wyrazem twarzy wpatrywał się w Rosjankę. Chłopak musiał być bardzo młody, ocenił Czerski, nie więcej niż osiemnaście lat, miał pociągłą, inteligentną twarz z kosmykiem czarnych włosów opadających na czoło. Wzrost, długie palce u dłoni i sposób noszenia się wskazywały na szlacheckie pochodzenie, ale ubiór mówił o poważnym zubożeniu.

– Dobrze, mniejsza o studenta. Czemu ona wam to wszystko opowiedziała?

– Czerski nie mógł uwierzyć, że Tamara bezinteresownie podzieliła się z Ługinem informacjami. – Nie była podejrzliwa? Coś wam to za łatwo poszło. Czy was nie okłamuje?

– Ona was poznała – powiedział Ługin. – Ona was pamięta, że byliście tutaj z kumplem od noża. Widziała, jak zatrzymaliście Anatola, a wasz kamrat załatwił jej opiekuna. Nie robiła trudności, a kłamać to by się bała.

– Powiedzieliście jej, że jesteście ze mną – Czerski bardziej stwierdził, niż zapytał.

– A i owszem. Pan porucznik ma tu swoją reputację – Ługin mrugnął porozumiewawczo. – Ot tam, pod ścianą siedzi Stach, sutener Tamary, ale tylko oczami łypie i chowa się, żeby go pan porucznik nie przyuważył.

Wzrok Czerskiego momentalnie omiótł izbę i bardziej wyczuł, niż zauważył postać kryjącą się za plecami siedzących. Porucznik poznał jednak charakterystyczny kolorowy szalik.

– Cholera jasna – Czerski zaklął, zdając sobie sprawę, że w knajpie „U Anatola” wszyscy go zapamiętali. – Czy oni wiedzą, że jestem wojskowym?

– A nie, tego to nie – odpowiedział Rosjanin. – Ze słów Tamary wynikało, że pamięta pana porucznika jako przyjezdnego bandytę.

Czerski pomyślał, że wiadomość o kryminalistach przepytujących Tamarę nie będzie miała wpływu na Wojkowa, a potrzebował przestraszyć postać i zmusić go do wykonania błędnego ruchu. Wtedy olśniła go prosta myśl.

– No to powiemy im prawdę – Czerski spojrzał znacząco w oczy Ługina. – Wychodząc, odezwiecie się do mnie przez „porucznika”.

– Po co? Lepiej, żeby nie wiedzieli.

– Lepiej, żeby wiedzieli – Czerski patrzył w przestrzeń niewidzącymi oczami. – Potem doniosą Wojkowowi, że polski oficer w towarzystwie znanego uciekiniera z Sowdepia szukał kontaktu z jego dziewczyną.

– Czyli wysypią nas!

– I bardzo dobrze, bo o to właśnie chodzi. – Czerski uśmiechnął się lekko i wstał z ławy. – Jutro mocniej podkręcimy śrubę, aż zmusimy ich do ruchu.

– Jak pan porucznik chce.

– Ale tej Tamary to nie musieliście rżnąć – Czerski nie mógł się powstrzymać, żeby nie zrobić uwagi. – Przyszliśmy tu na poważną robotę.

– E, toż to bładź, zaraz się zgodziła, a człowiek ma swoje potrzeby – odparł z chytrym uśmieszkiem Ługin.

– To teraz przynajmniej nie partol. Mają wiedzieć, że jestem z wojska.

Ługin popatrzył zdziwionym, nierozumiejącym wzrokiem na oficera i wzruszył ramionami, jakby dawał mu znać, że cała sprawa nic go nie obchodzi. Pierwszy podszedł do drzwi wychodzących na ulicę i otworzył je przed Czerskim, ustępując mu z drogi.

– Panie poruczniku – powiedział cicho, lecz słyszalnie, przepuszczając Czerskiego przed sobą. Czerski spojrzał na niego wściekłym wzrokiem i zacisnął pięści w bezsilnej złości.

Powinienem być zostać aktorem – pomyślał Czerski i poprowadził w stronę Śródmieścia.

Następnego dnia z obojętną miną Czerski przechadzał się uliczkami wiodącymi od Alei Jerozolimskich i przyglądał się oknom na drugim piętrze kamienic. Nie miał zamiaru niczego wykryć, ale liczył, że zostanie zauważony i przez to zwiększy nacisk na Wojkowa, żeby szybko wysłać Bobińskiego do Sowietów.

Warszawa – maj 1926

Strzały w Warszawie ustały równie nagle, jak się zaczęły, i nad miastem rozciągnęła się niespokojna cisza zawieszenia broni. Stada gołębi, w ostatnich dniach płoszone hukami wybuchów, zaczęły siadać w zwykłych miejscach i gruchać po swojemu w oczekiwaniu na pokarm. Cisza nad miastem przypominała oczekiwanie na kolejną burzę, która po krótkim okresie spokoju nadejdzie ze zdwojoną siłą. O ile na początku maja nie spodziewano się wybuchu walk, a raczej liczone się z wcześniejszymi wyborami, kolejną zmianą rządu czy nawet z powstaniem nie-

oczekiwanej konstelacji parlamentarnej, o tyle teraz społeczność stolicy spodziewała się długotrwałej wojny domowej i nie dawała wiary pogłoskom o zakończeniu walk w mieście. Rzeczywistość nie była jednak zgodna z żadnymi przewidywaniami.

Mieszkańcy Warszawy brali pasywny udział w bojach, często stając za plecami żołnierzy i z ciekawością obserwując działania wojska, co pociągało za sobą wiele przypadkowych i zupełnie niepotrzebnych ofiar wśród cywili. Pomimo że zarówno natarcia, jak też obrona nigdy nie nabrały charakteru okrutnej wojny domowej, ale strzelanina w gęsto zabudowanym mieście, czasem z użyciem artylerii, musiała pociągać za sobą zniszczenia i śmierć. W ciągu kilku dni sytuacja militarna w stolicy wyklarowała się. Wojska wierne prezydentowi Wojciechowskiemu zostały wymanewrowane i cofnęły się z Pól Mokotowskich, posiłki z Poznańskiego nie dotarły na skutek strajku kolejarzy, a walki przesunęły się w stronę Wilanowa. Prezydent, widząc, że przedłużające się zmagania w mieście powodują krwawe straty wśród wojska i ludności cywilnej, zdecydował się na kapitulację i po prostu wyjechał do Spały. Wkrótce, po przeprowadzeniu rozmów między oficerami obu stron, strzelanina ucichła.

Zmiana była tak nagła i niespodziewana, że długo nie wierzono w koniec wojny. Na ulicach spekulowano o oderwaniu się zachodnich województw i prowadzeniu wyniszczającej wojny domowej przez długie miesiące. Powszechnie wiadano, że w Poznańskim prezydent Wojciechowski cieszył się ogromnym poparciem i mógł liczyć na wielkopolskie i pomorskie pułki. Dopiero wiadomość o wyjeździe prezydenta z Warszawy i zawieszeniu broni spowodowała zmianę pesymistycznych nastrojów. Ludność odetchnęła z widoczną ulgą, odetchnęli też oficerowie, choć nie było to tak dobrze widoczne. W Polsce nikt nie chciał prowadzenia wojny domowej, a bratobójcze boje, niezależnie od osobistych przekonań politycznych, nigdy nie cieszyły się poparciem.

Jedynie Wojkow po ustaniu odgłosów wojny wpadł w depresję i chodził po swoim gabinecie w poselstwie, pomstując na Polaków, którzy nie potrafili się nawet porządnie pobić. Wysłał na miasto swoich ludzi, żeby sprawdzili pogłoski o końcu walki, ale oni potwierdzili tylko wcześniejsze informacje. Opowiedzieli o przemarszu rozbrojonych żołnierzy sił rządowych eskortowanych przez zwycięskie wojska Piłsudskiego. Po otrzymaniu wiadomości Wojkow wysłał długi, zaszyfrowany raport do Centrali i nie mając nic lepszego do roboty, zaczął przygotowania do pozbycia się Bobińskiego.

Raport o niesubordynacji szpiega, który domagał się ewakuacji, poszedł już wcześniej, ale Wojkow potrzebował porozumieć się z członkami siatki w terenie. Łatwiej było wysyłać długie telegramy do Moskwy oddalonej o tysiące kilometrów niż nawiązać kontakt z własnymi ludźmi w niezbyt dalekiej miejscowości. Telegramy do Centrali były zaszyfrowane i wysyłane przez stację radiotelegraficzną z po-

selstwa. Sygnały odbierano zaraz za sowiecką granicą i przekazywano dalej. Nikt nie mógł przechwycić i rozszyfrować takiego sygnału. Łączność z siatką w Polsce była dużo trudniejsza i zwykle wymagała wysłania kuriera. Żaden z rozsianych po Kresach Rzeczypospolitej agentów OGPU nie posiadał przecież radiostacji, a tylko kilku miało telefon. Wojkow, chcąc przygotować drogę i przejście Bobińskiego przez agenta w pobliżu granicy, musiał wysłać kogoś z odpowiednimi rozkazami, a przecież nie miał kogo wysłać.

Iwanow byłby najlepszy do takiego zadania, ale zabity – myślał Wojkow. Szurajew też utrupiony, Wasyl za głupi, Samosiuk to berlińczyk, nie zna Kresów, zgubi się. Sam przecież nie pojedę, muszę zostać w Warszawie, bo już wszystko mi się tutaj zawali. Na razie straciłem kilku czekistów, tych da się zastąpić, Moskwa już wie, ale jak wyjadę, to siatka może mi się rozsypać, a tego tak szybko nie da się ponownie skleić. A tu trzeba pracować nad stworzeniem nowych dojsć do nowych ludzi władzy. Rząd się zmienia, prezydent pewnie też, ba, w sztabach wśród generalicji też będą zmiany. Zdecydowanie nie mogę wyjechać. Kogo wysłać? Co zrobić?

Wojkow w złym humorze chodził po gabinecie i szukając sposobu na wyładowanie frustracji, tupał butami o klepki podłogi, ale żadne rozsądne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Braków personelu nie dało się szybko uzupełnić. Kiedy zapukał radiotelegrafista z odpowiedzią z Moskwy, Wojkow zwymyślał go niepotrzebnie i wyrwał mu kartkę z depeszą z ręki.

Bezużyteczny matoł – pomyślał o radiotelegrafiście. Nie potrafi nawet strzelać, tylko puka palcem w ten swój klucz. I co mu z tego?

Wojkow spojrział na kartkę z depeszą i zdziwił się. Wydział Zagraniczny nie miał mu za złe załamania się walk w Polsce, to nie była jego wina. Dostał zadanie rozszerzenia siatki agenturalnej i przygotowania dalszych antypolskich wystąpień ukraińskiej mniejszości, przekazania broni bojówkom i zorganizowania przetrzutu ulotek. To nie było nic nowego, ta robota szła od lat. Dalej zgodnie z uchwałami Politbiura nakazano całkowitą zmianę polityki wobec Piłsudskiego. O ile do tej pory KPP popierała działania Piłsudskiego, co przejawiało się poparciem dla strajku kolejarzy, o tyle teraz należało „demaskować” Piłsudskiego jako faszystę działającego na szkodę robotników i chłopów. Podkreślać, że jest podżegaczem wojennym na usługach Anglii i Francji oraz propagować hasła obrony Sowietów przed zakusami światowego kapitalizmu. Tyle wytyczne do dalszej działalności agenturalnej, natomiast na końcu depeszy w dwóch liniijkach wydano mu rozkaz o postępowaniu z Bobińskim. Polecenia z Centrali były wyraźne i nie pozostawiły żadnych wątpliwości, ale Wojkow uznał je za dziwne. Jeszcze bardziej zdenerwowany poszedł do pokoju radiotelegrafisty i wysłał do Moskwy depeszę z żądaniem potwierdzenia ostatnich rozkazów.

Wróciwszy do gabinetu, ponownie zaczął chodzić w kółko, myśląc o no-

wych rozkazach. W pewnym momencie olśniła go genialna myśl, uśmiechnął się chytrze do lustra i pokręcił z niedowierzaniem głową.

No, Piotrze Łazarewiczu – pomyślał, już wiecie, jak przerzucić agenta Bobińskiego do Sowietów. I nie będzie to wcale takie trudne, trzeba tylko wybrać odpowiednie miejsce i właściwych ludzi w terenie przygranicznym. A Bobiński pojedzie sam, bez eskorty, bo tak łatwiej zniknąć w tłumie.

Dwie godziny później Wojkow wymknął się tylnymi drzwiami z budynku poselstwa i piechotą poszedł do swojej kawalerki. Był pewien, że polski kontrwywiad obserwuje jego oficjalne ruchy, ale do tego używał samochodu, a teraz poszedł piechotą. Niemniej kilka razy skręcił w małe uliczki, przeszedł przez podwórko i zaczął czekać, obserwując, czy ktoś za nim nie idzie. Nikogo nie było. Zadowolony z siebie, wszedł po schodach na drugie piętro kamienicy przy Emilii Plater 62. Otworzył drzwi kawalerki własnym kluczem i z hałasem wmaszerował do przedpokoju. Drzwi do pokoju były uchylone, przez szparę Wojkow zobaczył Bobińskiego w fotelu przysuniętym blisko otwartego balkonu. Bobiński zaskoczony tupotem podskoczył, ale poznawszy Wojkova, opadł uspokojony na fotel.

– Myślałem, że blacharze – powiedział niby do siebie, ale dostatecznie głośno, żeby poseł go usłyszał. – Taki rumor, że sąsiedzi mogą się zainteresować.

– Boicie się aresztowania? – głos Wojkova zabrzmiał wesołością. – Nic wam nie będzie. Spokojnie, towarzyszu Bobiński, jesteście pod moimi skrzydłami.

– Jak na razie jestem w mieszkaniu w Warszawie, gdzie może mnie aresztować byle posterunkowy.

– Niedługo wyjedziecie. – Wojkow podszedł do szafki w rogu i sięgnął po butelkę z wódką. – Rozumiem wasze zdenerwowanie, wrogowie czają się wszędzie, ale tutaj nikt was nie znajdzie. Po to trzymam to mieszkanie, żeby mieć bezpieczną przystań poza poselstwem. Nikt o nim nie wie.

– Na Poznańskiej przynajmniej nikt nie mógłby mnie aresztować! – Bobiński podniósł głos.

– Ciszej! – warknął Wojkow. – Na ulicy was sływać.

– Właśnie na ulicy – odparł agent. – Wczoraj widziałem Czerskiego, jak przechadzał się po Emilii Plater i spoglądał w okna kamienic. Wiecie już o tym?

Wojkow nie kontaktował się z Bobińskim przez dwa dni i nie mógł wiedzieć o działaniach Czerskiego. Teraz wyraz zaskoczenia odbił się na jego twarzy. Zatrzymał się nagle i przekręcił głowę na bok.

– A to coś nowego – powiedział z udawanym lekceważeniem i postawił butelkę na stoliku.

– A właśnie. A wy mówicie mi, żebym się uspokoił. Ten facet patrzył w moje okno.

– Widział was?

– Nie. Z pewnością nie, trzymam się z daleka od okna. Ale on tu był.

– Gdyby wiedział, że się tu ukrywacie, to już by was aresztowali, zatem nie ma o czym mówić.

Wojkow mówił uspokajającym tonem, ale poczuł zimny dreszcz przechodzący mu wzdłuż kręgosłupa. Skąd Czerski, ten bezczelny zdrajca, mógł wiedzieć o jego pakamerze? Należało się dowiedzieć. Ktoś mógł wydać, ale kto? Tylko kilka osób wiedziało o istnieniu tego miejsca. Wojkow usiadł na krześle i nalał wódki do kieliszków. Musiał przemyśleć sprawę. Aresztowanie Bobińskiego mogło spowodować poważny incydent międzynarodowy. W śledztwie Bobiński mógł się wygadać i rola Wojkowa, ba, całego poselstwa, mogła dostać się do prasy i wyjść na światło dzienne, a wtedy stałby się persona non grata w Polsce. Nie dość na tym, defensywa innych państw europejskich podjęłaby działania kontrwywiadowcze wobec innych placówek. Centrala nie lubiła tego typu wpadek. Wprawdzie Wojkow nie spodziewał się, żeby doszło do aresztowania – takie działania podejmowały czynniki oficjalne. Gdyby Czerski rzeczywiście wiedział, gdzie szukać agenta, który zastrzelił Niemojewskiego, to Bobiński byłby już trupem.

– Czerski czegoś się domyśla, i to już jest niebezpieczne, ale nic dokładnego jeszcze nie wie – wyłożył swoje myśli Wojkow. – Inaczej już by was tutaj nie było, a ja tłumaczyłbym się w MSZ. To nie zmienia faktu, że jeśli łąził wzdłuż Emilii Plater, to wie, że gdzieś tutaj mam swój apartamencik.

– Kto wsypał? – rzucił Bobiński nerwowo.

– Kto wsypał? – powtórzył Wojkow i wypił wódkę. – Na razie nie wiem. Ale można do tego dojść metodą eliminacji i zrobię to, jak będę miał chwilę spokoju na zastanowienie.

– Ja nie mam chwili spokoju – Bobiński nerwowo poruszył się, złapał kieliszek i jednym haustem wypił. – Należcie!

Wojkow spojrział przeciągle na swojego agenta i sięgnął po butelkę. Nerwość Bobińskiego wydała mu się nieco dziwna. Agent OGPU działający nielegalnie na terenie wroga musiał mieć żelazne nerwy i niebywałą odporność na przesłuchaniach. Żadna słabość, nawet cień słabości nie były tolerowane, to była praca dla ludzi o nieugiętych charakterach. Z drugiej strony szpieg pracujący od lat we wrogim kraju, stale w napięciu, codziennie ryzykujący zdemaskowanie, w końcu wypala się i załamuje nerwowo. Tym bardziej, jeśli spotyka w drodze do swojego mieszkania oficerów kontrwywiadu i strzela się z nimi. Przemęczenie pracą było zrozumiałe, ale niedopuszczalne, bo stwarzało zagrożenie dla całej organizacji.

Nalał po kieliszku i pomyślał, że po drugim warto byłoby zagryźć czymkolwiek. Pokręcił głową, rozglądając się po pokoiku, ale nie wiedział, co może leżeć w kredensie. Zawsze kiedy używał swojej garsoniery, to przynosił koszyk z wiktuałami ze sobą, a sprzątaczkę czyścił resztki następnego dnia.

– Jest tu coś do jedzenia? – spytał, spoglądając na Bobińskiego.

– W kredensie stoi słoik z rolmopsami, chleb, masło i ser.

– No, to dajcie po śledziu i będziemy pili.

Chwilę później Wojkow, przeżuując śledzia, nagle jęknął i podłubał palcem w ustach. Wyciągnął wykałaczkę i zaklął.

– Polaczki muszą wszystko zepsuć – wymamrotał, czując ból w skaleczonym dziąśle. – Po jaką cholere pchają drewno do zakąski?

– Żeby się rolmopsy nie rozkręcały – zaśmiał się Bobiński.

– Zdurnieliście? – spytał zaskoczony odpowiedzią Wojkow. – Ja wiem, tylko myślałem, że jak wyjmę jedną, to już śledź będzie czysty. Ale mam dla was jeszcze jedno zadanie.

– Jestem spalony w Polsce – odpowiedział natychmiast Bobiński.

– To zadanie przyszło prosto z Centrali – zimno powiedział Wojkow, wiedząc z góry, że w takiej sytuacji Bobiński nie ma wyboru. – Zresztą jest zupełnie bezpieczne dla was. Nie wyślę was przecież do biura prezydenta, kiedy nie ma już prezydenta. Walki ledwie się skończyły i nie ma rządu, administracja w rozsypce, wojsko ciągle kręci się po ulicach. Atmosfera wojenna, a w takim zamieszaniu spokojnie możecie jeszcze coś dla nas załatwić.

– Mogą mnie rozpoznać na ulicy – mruknął bez przekonania Bobiński.

– Kto? Czerski? Przypadkowe spotkanie w milionowym mieście jest prawie niemożliwe. Nikt więcej o was nie wie. Poza tym nie ma żadnego gadania. Polecenie z Centrali.

– Mówcie – powiedział z rezygnacją Bobiński. Kilkudniowe przebywanie w zamknięciu i obecność Czerskiego na ulicy pod kamienicą wytrąciły go z równowagi i spowodowały u niego strach przed opuszczeniem bezpiecznego schronienia. Strach zupełnie bezsensowny, ale jak najbardziej prawdziwy. Bobińskiemu wydawało się, że dopóki jest w kawalerce, to nic złego nie może mu się przytrafić, ale wyjście na ulicę, opuszczenie bezpiecznej przystani, wystawiało go na niebezpieczeństwo.

– Wyjedziecie z Polski przez nasz punkt przerzutowy na południu – Wojkow uznał, że musi stworzyć nadzieję na szybki wyjazd do Rosji. Wprawdzie rzeczywiście nie obawiał się przypadkowego aresztowania Bobińskiego na ulicy, ale wiedział, że ukazanie końca działalności szpiega zwiększy jego efektywność w prowadzeniu ostatnich zadań. – Wyjedziecie przez Wołyń. Ale to dopiero za kilka dni.

– Ja nie mogę czekać – rzucił nerwowo Bobiński.

– Po pierwsze – ciągnął Wojkow, jakby nie słyszał uwagi Polaka – pociągi dopiero zaczynają chodzić, zanim wrócą do normalnego rozkładu jazdy, to potrwa kilka dni. Po drugie macie zadanie do wykonania, a po trzecie macie odebrać naszych agentów na stacji przerzutowej w Storczowie określonego dnia. Jeszcze kilka dni i pojedziecie do Moskwy.

– Co mam tu zrobić? – wymamrotał Bobiński i zwiesił głowę w zupełnej rezygnacji. Wiedział, że został pokonany, nie miał wyjścia, musiał wykonać przysła-

ne przez Centralę rozkazy.

– Macie dwa zadania – powiedział Wojkow. – Granicę przejdzie dwóch agentów. Jeden będzie pracował ze mną w zastępstwie Iwanowa, który dał się zastrzelić jakiemuś policjantowi. Drugi podejmie robotę agenturalną. Macie go przygotować do rozpoczęcia pracy w polityce. Przekażecie mu wszystkie swoje doświadczenia i obserwacje, po waszym odejściu powstała dziura w mojej siatce, on zajmie wasze miejsce.

– W biurze prezydenta? – Bobiński pokręcił głową z powątpiewaniem. – Mnie zajęło to lata powolnego awansu po drabinie urzędniczej.

– On nie pójdzie do żadnego biura rządowego – odparł Wojkow niezadowolony, że mu przerwano. – U piłsudczyków nie mamy wejścia, dopiero pracujemy nad tym. Wasze zadanie to przekazać swoje doświadczenia nowemu agentowi i to wszystko. Gdzie będzie pracował, to już nie wasza rzecz. Wasze zadanie przed wyjazdem z Warszawy to wizyta w redakcji „Gazety Porannej Warszawskiej”. Znaście tam dziennikarza, pisaliście dla niego podjudzające na Piłsudskiego teksty. Redakcja była z nich bardzo zadowolona, bo potraficie mieszać fałsz z dostateczną ilością faktów, żeby wyglądało to na prawdę. Zabierzcie tego żurnalistę na wódkę i przekonajcie go, żeby przyjmował artykuły od Żuromilskiego. To będzie polskie nazwisko agenta, którego będziecie przygotowywać w Storczowie. Czy rozumiecie, czego od was oczekujemy?

Wojkow z rozmysłem użył liczby mnogiej, chcąc w ten sposób podkreślić, że rozkazy nie pochodzą od niego, lecz z Centrali OGPU.

– Rozumiem – odpowiedział Bobiński szeptem. Rezygnacja i pogodzenie się z losem przebijały z każdego słowa i gestu. – Czego jeszcze chcecie?

– Wytłumaczycie żurnaliście, że w terażniejszej sytuacji musicie wyjechać. Nawet się nie zdziwi, wie przecież, gdzie pracowaliście. Żuromilskiego przedstawicie jako kolegę, więcej: bratnią duszę, kogoś, kto myśli jak wy i ma dostęp do istotnych materiałów. Powiecie, że on pisał pod różnymi pseudonimami, ale teraz po zamachu stanu i wojnie domowej chce wyjść na szersze wody. Gdyby żurnalista miał wątpliwości, to dodacie, że Żuromilski chce pisać dla „Gońca Krakowskiego” i tam go przyjęli, ale wy namawiacie go, żeby drukował w Warszawie. Stworzycie wrażenie, że jest trudny do złapania. Powiecie, że pracujecie nad nim, żeby zgłosił się do „Gazety Porannej”. Rozumiecie?

– Wszystko rozumiem.

– No! A potem was stąd zabiorę i pojedziecie do Centrali. Jeszcze po jednym? – zapytał Wojkow, podnosząc butelkę.

Bobiński kiwnął głową. Zadanie nie wydawało mu się trudne, a nadzieja szybkiego wyjazdu z Polski poprawiła mu humor.

– Kto pojedzie ze mną? – zapytał Bobiński.

– Jako eskorta? – zgadł Wojkow. – Nikt, pojedziecie sami. Tak jest łatwiej,

a poza wszystkim od śmierci Iwanowa mam trudności z kompetentnym personelem.

– Samego mogą mnie łatwo zamknąć. Zawsze dawaliście eskortę wyjeżdżającym i przyjeżdżającym agentom albo kurierom. Tak w ogóle to wszystkim.

– Mogę wysłać z wami Wasyla, ale tylko do pierwszej stacji przesiadkowej. Potem musi wracać, jest mi tutaj potrzebny – poseł w duchu uznawał argumenty Bobińskiego, ale nie mógł sobie pozwolić na kilkudniową stratę czekisty, zbyt mało ludzi mu zostało.

– Dobre i to – zgodził się Bobiński. – Największe niebezpieczeństwo jest w Warszawie, na prowincji nikt mnie nie będzie zaczepiał. Z jednym policjantem poradzę sobie sam.

– Macie broń? – spytał Wojkow, myśląc, że przy próbie aresztowania Bobiński będzie się bronił.

– Nie rozstaję się z pistoletem – odparł szpieg i natychmiast wyciągnął ukrytą za plecami broń.

– No, to i dobrze – pochwalił Wojkow i uznał, że policja nie weźmie Bobińskiego żywego, a to rozwiązywało problem zeznań na przesłuchaniu.

Co ja muszę robić, żeby utrzymać agentów w ryzach – myślał Wojkow, wracając na Poznańską? Zabawa jak z dziećmi, jednego pocieszać, drugiemu grozić, bo inaczej się rozplączą. Bobiński ma rozstrój nerwowy, Borakowski zapija się na śmierć i w sumie nie wiadomo, ile z wyniesionych przez niego z II Oddziału informacji jest autentycznych. Ale przynajmniej nic o nas nie wie, natomiast Bobiński nie może wpaść żywy w ręce kontrwywiadu, bo się wygada, a wie o nas wszystko. Muszę wysłać odpowiedni telegram do Centrali w tej sprawie, Bobiński nie może wpaść żywcem w łapy kontrwywiadu.

Rozmyślając, Wojkow doszedł do poselstwa i z zachowaniem odpowiednich środków ostrożności wszedł przez tylne drzwi. Zamierzał przejrzeć depesze i meldunki, a potem iść spać. Czuł się zmęczony po kilkugodzinnej rozmowie połączonej z libacją. Jednak jak tylko usiadł za biurkiem, rozległo się pukanie do drzwi gabinetu.

– Co znowu? – powiedział niechętnie. – Wejść!

– Towarzyszu pośle, jest meldunek od naszego obserwatora – powiedział od progu Wasyl.

– Czy to ważne? – zapytał zmęczonym głosem Wojkow.

– Chyba tak.

– No, to mówcie. Byle szybko.

– Nasz człowiek z knajpy na Powiślu powiedział, że widziano tam Ługina z polskim oficerem. Rozmawiali z Tamarą.

– O zesz job waszu mać! – zaklął Wojkow i z wrażenia podniósł się z fotela. Natychmiast skojarzył meldunek z obecnością Czerskiego na Emilii Plater. W jed-

nym momencie kilka spraw stało się dla niego jasne. Już wiedział, kto zdradził jego ukrycie. Ale to nie było wszystko. Wasyl powiedział: „rozmawiali z Tamarą”, czyli całe poselstwo wiedziało już o jego erotycznych przygodach z Długą Tamarą w sobotnie wieczory. Po chwili, kiedy przeszło pierwsze wzburzenie i rozum zaczął pracować ze zwykłą wydajnością, dotarło do niego, że musi natychmiast przeprowadzić Bobińskiego w bezpieczniejsze miejsce. Tylko gdzie?

Rozdział XI

Warszawa – maj 1926

Szpital Świętego Ducha przestał robić wrażenie polowego lazaretu postawionego w pobliżu linii frontu. W korytarzach panowała cisza przerywana jedynie przez prowadzone półgłosem rozmowy i skrzywienie sprężyn w metalowych łóżkach. W nastrojach personelu nie wyczuwało się przemęczenia i nerwowości, tak łatwo dostrzegalnej w czasie poprzedniego pobytu Czerskiego. Pomimo przepelnienia rannymi z ostatnich walk, którzy leżeli nie tylko w zagęszczonych z powodu tłoku salach, ale również na korytarzach, w szpitalu panował porządek, który zastąpił chaos pierwszych dni walk. Lekarze i pielęgniarki poruszali się powoli, a fachowa rutyna zastąpiła nerwowość przy zajmowaniu się rannymi. Znikł gdzieś pośpiech pierwszych godzin wojny, a wrócił profesjonalizm i dokładność, które były tak ważne w opiece medycznej. Z miasta przywożono jedynie chorych i ofiary wypadków, co nigdy nie przekraczało możliwości szpitala, nie przybywało już rannych żołnierzy. Wszędzie pachniało czystością i środkami dezynfekującymi.

Niemojewski pólleżał oparty o wysokie wezgłowie ułożone na szpitalnym łóżku. W pasiastej szpitalnej pidżamie, ze zlepionymi przez pot kosmykami włosów i bladą twarzą wyglądał na ciężki przypadek. Jednak uśmiechnął się na widok wchodzącego Czerskiego i podniósł rękę w geście pozdrowienia. Czerski zauważył gest przyjaciela i wyciągnął wniosek, że rany zaczynają się goić. Przysunął sobie stołek i siadając pochylony w stronę Niemojewskiego, odwrócił się tyłem do sali.

– Cześć – powiedział na powitanie. – Jak się czujesz?

– Ciągle jestem słaby, ale mówią, że wrócę do siebie – odparł prawie szeptem Niemojewski. Widać było, że mówienie sprawiało mu trudność. – Z płucem w porządku, zapalenia nie ma i rana się goi. Temperatura tylko ciągle jakby podwyższona i czuję się, jakby tabun koni po mnie przeleciał.

– Miałeś szczęście w nieszczęściu.

– Słabo celował albo ręka Boska mnie obroniła. Po tygodniu bóle się zmniejszyły i oddycham łatwiej.

– Widzę, że się poprawiasz – powiedział pocieszająco Czerski. – Jak cię przywozłem, to nie wyglądałeś tak dobrze.

– Nie mów nawet. Za to powiedz mi, czy go dopadłeś go.

– Nie, niestety nie. Gorzej – zgubiłem ślad. Mam jedną wskazówkę, że może ukrywać się na Emilii Plater, ale nie wiem gdzie.

– Tak – powiedział Niemojewski i zamyślił się.

Na chwilę zapadła cisza. Obaj oficerowie patrzyli na siebie z widoczną frustracją. Czerski nie wiedział jak ograć Wojkova, Niemojewski wciąż obracał

w myślach swoją fuszerkę w momencie spotkania z Bobińskim.

– Nie mogę sobie podarować spóźnienia – wyszeptał Niemojewski, myśląc o konfrontacji z bolszewickim agentem. – Nie poznałem go w pierwszej chwili. Zanim się połapałem, strzelił pierwszy. Spóźniłem się.

– Co się stało, to się stało, nie myśl o tym – Czerski czuł zalewający go pesymizm i bez namysłu zaczął opowiadać, co leżało mu na sercu. – Bobińskiego przetrzucą do Sowietów przez któryś z punktów blisko granicy. Znam je wszystkie, ale nie wiem przez który. Nie da się ich zwinąć na czas. Panuje bałagan po zmianie rządów i to jeszcze potrwa, zanim się cokolwiek zorganizuje, a przez ten czas szpieg ucieknie z Polski, ucieknie nam.

– Nie wolno dopuścić – szepnął Niemojewski, podrywając się na łożku. Chwycił Czerskiego za rękę i ścisnął nieco, a potem wyczerpany nagłym wysiłkiem opadł na poduszki i przymknął oczy. – Nie wolno pozwolić.

Czerski zaskoczony silną reakcją przyjaciela w pierwszej chwili przestraszył się, a potem obejrzał się, chcąc przywołać siostrę, ale żadnej nie było na sali. Poklepał uspokajająco dłoń Niemojewskiego i delikatnie przełożył ją na brzeg posłania.

– Z poselstwa jest tylne wyjście przez podwórka – wyszeptał Niemojewski, spoglądając w sufit. – Tamtędy można przejść na Wspólną. Nasi obserwują przeważnie główne wejście, ale teraz pewno nikogo tam nie ma. Tyle mogę ci pomóc.

– No, to już jest coś – szepnął Czerski, pochylając się w stronę leżącego. – Nie wiedziałem o drugim wyjściu. Zajmę się tym.

– Jeśli się z nim komunikują – Niemojewski ponownie chwycił Czerskiego za rękę – to nie wychodzą głównym wyjściem, tylko przez podwórka.

– Dobrze, zbadam i poobserwuję, ale teraz odpocznij. Coś za nerwowy jesteś jak na ciężko rannego.

– Nie wolno pozwolić mu uciec – szepnął znowu Niemojewski.

– Trzymaj się, Józus. Lepiej już pójdę. Zdrowiej i nie myśl o sprawach wywiadu. Ja się będę tym zajmował.

Czerski wstał i klepnął leżącego lekko w zdrowe ramię. Bał się zostać dłużej. Niemojewski zanadto brał do serca niepowodzenia w pracy i reagował za mocno. Czerski podejrzewał, że miało to coś wspólnego ze starciem z Bobińskim i przemożną chęcią zemśczenia się za porażkę zakończoną raną. Sam wiedział najlepiej, że nienawiść i żądza zemsty przysyłają rozsądek i prowadzą do zguby. Ile razy poniosły go nerwy, zawsze przegrywał; kiedy kalkulował na zimno, często wygrywał. Przeszedł kilka takich lekcji i nie zapominał, co z nich wynikało.

Czerski po wyjściu ze szpitala skierował się na Wspólną. Musiał osobiście dokonać lustracji terenu. Podstawą podejmowania każdej decyzji było zbieranie wiadomości, potem analiza i w końcu decyzja. Obszedł Wspólną, wyjrzał na Poznańską i przymierzył, które podwórko może być przechodnie, a potem zaczął je

zwiedzać. W ciągu piętnastu minut wiedział już wszystko. Dwa podwórka, to za poselstwem na Poznańskiej i za kamienicą od strony Wspólnej, łączyły się drewnianą furtką w murze, która pozwalała na wynoszenie śmieci z Poznańskiej do zbiorowego śmietnika. Zrobiono to połączenie dlatego, że tylko od strony Wspólnej mogła wjechać fura wywożąca śmieci.

Co dalej? – zastanowił się Czerski. Nie mogę stać i obserwować podwórka, bo oni wszyscy już mnie znają. Niczego się nie dowiem. Ługin też się nie nadaje, jego też już znają. Jak to zrobić?

Na początek udał się do dozorca kamienicy przy Wspólnej i próbował go przekupić. Ciec chętnie wziął pieniądze, ale sam nic nie wiedział. Był to bardzo prosty człowiek, którego jednym zajęciem było zamiatanie ulicy i otwieranie w nocy bramy zapóźnionym mieszkańcom. Ta droga prowadziła donikąd. Jedynym pozytywnym wycieczki na Wspólną było pozwolenie na siedzenie w stróżówce dozorca. Czerski podsunął sobie jedyne w pomieszczeniu krzesło i usiadł przy okienku. Odsunął na bok doniczkę z rachityczną roślinką i przygotował się na długie czekanie. Wszystkie cztery szybki okienka były brudne, a firanka, swojsko nazywana „zazdrostką”, odbierała sporą część widoczności, ale to było na rękę Czerskiemu. Za oknem, w ciemnym pokoiku, był słabo widoczny z bramy, a sam mógł obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących.

Po godzinie siedzenia w oknie Czerski był już tak znudzony, że ziewał. Żołądek dał znać, że pora na popołudniowy posiłek i Czerski zaczął rozglądać się za kubkiem, żeby zrobić sobie herbatę. W rogu pokoiku stała elektryczna płytko do grzania, ale jedyny kubek, jaki znalazł, bez ucha i wyszczerbiony, był tak zapyziały, że zrezygnował. Wrócił do okna i oparł głowę na rękach. Ludzie wchodzili i wychodzili co kilkanaście minut, raz przejechała fura z węglem, wpadła zgraja dzieciaków i pogoniona miotłą stróża wybiegła ze śmiechem na ulicę. Nikogo z poselstwa, żadnej znajomej postaci. Z nudów Czerski zaczął przyglądać się własnej twarzy odbitej w nigdy niemytym szkłe. Prawie natychmiast nawiedziły go różne myśli, wszystkie bardzo smutne.

Od strzelaniny z Niemojewskim upłynęło już dziesięć dni – myślał Czerski, patrząc sam sobie w oczy. To na tyle długo, że mogli już wywieźć Bobińskiego w głąb kraju. Przez granicę pewno jeszcze nie przeszedł, bo z tego, co mówił Ługin, punkty przerzutowe są porozmieszczane we wsiach z marną komunikacją, z dala od garnizonów wojskowych, odosobnione. Ale kto twierdzi, że pojedzie wprost na wschód, mogą wywieźć go do Berlina i dalej statkiem do Rosji. Droga długa, ale zupełnie bezpieczna. Co jeszcze? Mógł przecież wyjechać do Finlandii i tam przekroczyć granicę, albo na Litwę, Łotwę, do Estonii. Liczba możliwości jest nieskończona. Wprawdzie z tego, co mówił czekista, to nikt w INO nie bawi się w okrzęzne podróże, walą prosto, najkrótszą drogą do Związku Sowieckiego i tyle. Czyli jednak jeden z kanałów przerzutowych przez Kresy, ale który? Czuję,

że gonię w piętke, a odpowiedzi jak nie było, tak nie ma.

Przed oknem przesunęła się postać mężczyzny. Twarz była zupełnie obca dla Czerskiego, ale zwyczajowo przysunął się bliżej do okna i spojrzął za nim. Nic ciekawego nie zobaczył. Przeciętny facet z dużym, nakrytym serwetką koszykiem w ręku zniknął, skręcając w prawo z bramy. Czerski opadł na trzeszczące i chybotliwe krzeselko. Spojrzął na zegarek i pomyślał, że warto byłoby coś zjeść, pora obiadowa. Nagle podskoczył i wybiegł ze stróżówki.

Mężczyzna z koszykiem w ręku – przemknęło mu przez myśl. Nietypowe, zwykle kobiety wychodzą po sprawunki, ale jest możliwe, że niesie obiad dla kogoś, kto się ukrywa.

Czerski biegiem dopadł bramy, ale człowieka z koszykiem nie było już widać. Czerski jednak wiedział dokąd iść, przeciął Poznańską i doszedł do Emilii Plater. Wtedy go zobaczył, blondyn z koszykiem szedł spokojnie wzdłuż Poznańskiej w kierunku Mokotowa. Czerski zwolnił i poszedł za nim, skracając dystans. Nie bał się, że zostanie rozpoznany, nie znali się. Nie szli daleko, mężczyzna wszedł w bramę i zaraz skręcił w klatkę schodową wiodącą do lepszych mieszkań, których okna wychodziły na ulicę.

To zrozumiałe – pomyślał Czerski, wybrał mieszkanie od ulicy, żeby móc obserwować wydarzenia.

Wszedł na klatkę schodową i słuchał kroków. Zatrzymały się na drugim piętrze, zazgrzytał klucz, skrzypnęły drzwi i zaległa cisza. Czerski ostrożnie wspiął się na drugie piętro, zobaczył dwoje drzwi i sięgnął po broń, ale powstrzymał się.

Ich jest dwóch, ja sam – pomyślał. Zaczekam, aż ten z koszykiem odda jeźdzenie i wyjdzie. Wtedy zrobię Bobińskiego na pewniaka.

Przeczytał nazwiska na tabliczkach, ale nic mu nie mówiły. Czego miał zresztą oczekiwać? Że Wojkow wystawi tabliczkę z własnym nazwiskiem? Wszedł pół piętra wyżej i usiadł na schodach, częściowo ukryty za metalową balustradą podtrzymującą poręcz. Z tej pozycji mógł widzieć tylko jedne drzwi, ale to mu wystarczało. Czekał w napięciu, spodziewając się, że ktoś może wchodzić po schodach i zainteresować się, czemu tu siedzi. Popatrzył na zegarek, modląc się w duchu, żeby tamten nie czekał, aż Bobiński zje obiad.

Drzwi zaskrzypiały po kilku minutach, zaszurały kroki, ale Czerski nikogo nie widział, czyli były to te drugie drzwi, które pozostawały poza jego polem widzenia. Słyszac klucze, zaryzykował spojrzenie w dół nad poręczą. Każdy, kto zamyka drzwi, stoi odwrócony tyłem do klatki schodowej, i ryzyko było małe. Miał rację, na podeście, obracając kluczem w zamku, stał blondyn z koszem w ręku. Czerski odetchnął bezgłośnie – wiedział, gdzie dopaść Bobińskiego. Zauważył, że mężczyzna zamknął jedynie mały zamek Yale w górnej części drzwi.

Jakby pozamykał wszystkie zamki, byłbym w kłopotach – pomyślał. Ten zamczek nie wytrzyma kopnięcia. No, Bobiński, jesteś mój.

Drzwi na dole klatki schodowej trzasnęły i wszystko ucichło. Czerski dał blondynowi kilka minut, żeby się oddalił, to, co zamierzał zrobić, musiało pociągnąć za sobą dużo hałasu i wołał, żeby do Bobińskiego nie przybyła odsiecz. Zszedł na podest drugiego piętra, wyciągnął rewolwer z kieszeni płaszcza, chwycił go oburącz i głęboko odetchnął. Oparł się o przeciwległą ścianę, napiął wszystkie mięśnie i z impetem runął do przodu. Uderzył ramieniem na wysokości zamka i zgodnie z oczekiwaniami drzwi ustąpiły z trzaskiem wyłamywanego drewna. Czerski wpadł do przedpokoju, przewracając się na podłogę. Taki był jego plan. Gdyby Bobiński zaczął strzelać, to Czerski leżał i miał większe szanse strzelić drugi, ale celnie. Stęknął, uderzając o podłogę, i wysunął rewolwer do przodu. Przed nim były częściowo uchylone drzwi do pokoju, w szparze nie zobaczył nikogo. Przetoczył się po podłodze, pchnął pomalowane na biało drzwi do pokoju i wycelował broń. Nikogo. Poderwał się z posadzki i szybko obszedł pokój. Łóżko, stolik, fotel, krzesło, szafa i kredens – nikogo. Sprawdził w szafie, była zupełnie pusta. Dla pewności, wiedząc, że to nonsens, zajrzał do kredensu – nic. W ogóle nic, ani ubrania, ani talerzy, ani jedzenia. Bobińskiego nie było, i to zapewne od kilku dni.

Czerski przez chwilę niezdecydowany co robić dalej, stał na środku pokoju z rewolwerem w ręku. Nagle usłyszał głosy. Mieszkańcy zwabieni rumorem zaczęli wyglądać z zainteresowaniem na klatkę schodową i dyskutować między sobą wydarzenie. Nie miał czasu do stracenia. Szybko przerzucił jeszcze łóżko, położył się na podłodze i zajrzał pod nie, powyciągał szuflady z kredensu, ale niczego nie znalazł. Pokój wyglądał na niezamieszkały.

– Cholerny świat – powiedział do siebie, po czym podniósł kołnierz płaszcza, nacisnął kapelusz na oczy i wyszedł. Schodząc po schodach, usłyszał kogoś głośno wzywającego policję, ale nikt go nie zaczepił.

Dąbrówka – maj 1926

I jak ja się pokażę Niemojewskiemu na oczy? – rozmyślał ponuro Czerski, bujając się w fotelu na biegunach. Co mu powiem? Przyznam, że rozłożyłem sprawę i nie mam pojęcia co dalej? A wydawało mi się, że już mam Bobińskiego. Kim jest facet z koszykiem? Wszystko się zgadzało: obiad, tylne wyjście z poselstwa, kawalerka na Emilii Plater. Mimo to nie złapałem go. Wyjechał wcześniej. Dokąd? Nie wiadomo. Czy wiedział, że po niego idę? Nie. Nie mógł, bo ja sam nie wiedziałem, zatem dlaczego uciekł?

Czerski nie wiedział, czy jest wściekły, czy załamany, ale z pewnością był w depresji. Od powrotu z Warszawy siedział w bujanym fotelu i w myślach przechodził wszystkie swoje ruchy z poprzednich dni, ale nie znalazł błędu na tyle poważnego, żeby tłumaczyć porażkę. Nie miał dojścia do informacji, cała jego taktyka polegała na podgrzewaniu atmosfery i czekaniu na błąd przeciwnika, ale tym razem nie zdała egzaminu. Potrzebował nowych wiadomości z sowieckiego poselstwa, ale

bez względu na to, jakie przyjął założenia, nie mógł wymyślić jak do tego dojść.

Na kanapie po drugiej stronie pokoju w domku Czerskiego w Dąbrówce siedział Ługin, zniecierpliwiony i zły. Śpieszyło mu się odszukać swoje skarby i zniknąć z okolic Warszawy, gdzie znali go bolszewicki agenci. Każdy dzień wydawał mu się stracony i zwiększał ryzyko przypadkowego rozpoznania, a wtedy bez wątpienia czekała go śmierć. Nie po to wykorzystał okazję, jaka zdarza się raz w życiu, i uciekł z Bolszewii, żeby dać się zabić w Polsce. Ale siedział i czekał na Czerskiego, sam bał się pojechać na Kresy w poszukiwaniu ukrytych precjozów. Co gorsza Czerski odmówił picia wódki, a Ługin nie cierpiał pić sam, co dodatkowo pogarszało humor Rosjanina i powodowało zmęczenie nudą. Ługin nie bardzo wiedział jak wpłynąć na Polaka, żeby przestał rozmyślać i podjął jakąś zdecydowaną akcję. Jaką akcję? To nie było istotne, w końcu to nie była jego rozróżba, on tylko pomagał.

– Nu, panie poruczniku, jak my pogadamy o Bobińskim, to i co może dobrego nam przyjdzie do głowy? – podrzucił Ługin, patrząc z napięciem na Czerskiego.

– Hmm. Co? – Czerski zamrugał oczami, zdawał się obudzony ze snu.

– Przedyskutujmy nasze posunięcia, omówmy informacje, zrobmy mityng – powtórzył swoją myśl Ługin.

– Tak mówisz? Ale ja już wszystko przemyślałem, nic nowego nie ma. Nie warto marnować czasu.

– Czas to pan porucznik marnuje na bujanie się w fotelu – złośliwie stwierdził Ługin. – Co innego samemu przemyśleć, co innego wymienić się myślami z innym człowiekiem. Jak myśmy mieli trudność, to rozmawialiśmy o tym.

– Dobrze – zgodził się Czerski, który sam rozumiał, że zamknięcie się w sobie nie przyniesie nowych rozwiązań. – Powiedzmy, że przejdę przez wydarzenia. Na początek: na podstawie notatek policyjnego wywiadowcy Kruka znaleźliśmy mieszkanie Bobińskiego, który używał nazwiska Krasnostawski. Rewizja nie dała żadnych dowodów winy i nie byłem wcale pewien, że to rzeczywiście mieszkanie szpiega. Dopiero jak Bobiński postrzelił wychodzącego Niemojewskiego, upewniłem się, że to agent, o którego nam chodzi. Ale Bobiński uciekł, zanim zbiegłem na dół. Czy Bobiński ukrył się w sowieckim poselstwie? Tego nie wiem, ale sądząc z zachowania Wasyla, czekisty, to on tam siedział.

– Był w poselstwie, bo ja go widziałem, jak wyjechał samochodem w towarzystwie Wojkowa. Ale na pieszo nie mogłem ich zgonić. Wtedy z Warszawy nie ujechał, bo była wojna i strajk na kolei, a automobil wrócił do garażu.

– Z tego wynika, że Wojkow ukrył Bobińskiego w kawalerce na Emilii Plater – ciągnął Czerski. – O kawalerce powiedziała wam, Ługin, Tamara, dziewczynka Wojkowa, ale nie знаła dokładnego adresu. Próbowałem ich sprowokować do jakiegoś nieostrożnego ruchu, gapiąc się w okna kamienic, ale nic z tego nie wyszło. Dowiedziałem się od Niemojewskiego o tylnym wyjściu z poselstwa i podglą-

dałem ich. Potem poszedłem za blondynem z koszem, wyglądało na to, że niesie obiad dla Bobińskiego. Znalazłem kawalerkę, ale w środku nie znalazłem nikogo. Popełniłem jakiś błąd, ale nie wiem jaki.

– Pan porucznik nie zrobił aszybki – powiedział po chwili milczenia Ługin. – Mnie się wydaje, że jak pan porucznik chodził pod oknami na Emilii Plater, to Bobiński pana porucznika wypatrzył, zestrzechał się i zmienił kryjówkę.

– Albo wyjechał nad granicę i ucieknie nam do Bolszewii – ponuro zauważył Czerski. – A błędów popełniłem nie mało. Nie mam kajetu, w którym Kruk robił swoje zapiski, pewnie jest gdzieś w rzeczach Niemojewskiego, nie znalazłem mieszkania, które Bobiński używał do kontaktów z kurierami, nie mam informacji z poselstwa, zatem nie wiem nawet, czy Bobiński jest jeszcze w Polsce, i najgorsze: nie obroniłem kolegi w potrzebie i teraz leży w szpitalu.

Annę, która od dłuższej chwili stała w drzwiach kuchni za plecami Czerskiego, zdziwił smętny ton wypowiedzi Czerskiego, który nie miał zwyczaju obciążać siebie odpowiedzialnością. Nigdy przedtem nie widziała, żeby Czerski był czymkolwiek tak zmartwiony jak teraz.

Czyżby porażka w sprawie Bobińskiego była dla niego taka ważna? – pomyślała. Czy szuka zemsty za kolegę, czy ambicjonalnie nie może znieść myśli, że bolszewicy go przechytzyli?

– Niemojewski żyje i wydobrzeje, czyli mogło być gorzej – obojętnym tonem stwierdził Ługin. – Widać Bobiński zapomniał kursu strzelania z pistoletu, bo chybił. Nam potrzeba wymyślić, gdzie ukrył się Bobiński.

– Wyjechał – powiedział Czerski i pchnął fotel, aż stare drewno zaskrzypiało.

– Nie sędzę – odparł Ługin. – Potrzebują czasu, żeby zorganizować przerzut, muszą porozumieć się z Moskwą. Tu nie chodzi tylko o przekroczenie granicy, trzeba zawieźć go do Moskwy, ktoś musi przejąć jego sprawy w Polsce, a przy tym czują się bezpieczni, są o krok przed nami.

– Pewno jest znowu w poselstwie – stwierdził Czerski. – Tam go nie sięgnę.

– Nie. Tam go nie ukryli. Za duże ryzyko. On jest w mieście, ale już nie w kryjówce Wojkowa, czyli w zwykłym miejscu: hotelu, wynajętym pokoju, mieszkaniu kogoś z personelu. Bolszewicy też są mocno przyciśnięci. Pan porucznik zabił im dwóch agentów, a trzeciego zastrzelił policjant. Sekretne mieszkanie też pan porucznik znalazł. Oj, czuję, że Warszawa robi się ciasna dla Wojkowa.

– To prawda – po namyśle odparł Czerski. – Zlikwidowaliśmy im dużo zasobów i musi być trudno. Pomyśl tylko: ich willa w Rembertowie jest w rękach kontrwywiadu, a do kawalerki Wojkowa ktoś się włamał, łatwo zgadnąć kto. Na razie Wojkow zasłania się immunitetem dyplomatycznym, ale to podziała tylko do momentu, kiedy Piłsudski uporządkuje sprawy wewnętrzne. Potem będzie o wiele trudniej niż za czasów prezydenta Wojciechowskiego.

– O, to, to, to, właśnie to – ucieszył się Ługin. – Dobrze pan porucznik rozumuje. Bolszewicy muszą się spieszyć, a przy tym ich zasoby skurczyły się. No, to co mogli zrobić?

– Mieli mało czasu na organizację – dywagował Czerski, czując narastające w nim podniecenie. Wbrew jego pesymistycznym oczekiwaniom rozmowa z Ługinem zdawała się prowadzić do jakichś wniosków. – Mieszkanie któregoś z pracowników poselstwa odpada, większość z nich mieszka na Poznańskiej, a lokale innych są znane kontrwywiadowi. Znowu za duże ryzyko.

– Jeśli musieli w pośpiechu znaleźć nowe lokum dla Bobińskiego, to pewno w hotelu.

– Może i tak, ale w którym?

– Można rozpytać – podrzucił Ługin.

– Pamiętasz, że ci dwaj bolszewicy w moim mieszkaniu mówili o hotelu – odezwała się cicho Anna.

– Nie, nie pamiętam, żeby wymienili nazwę jakiegoś hotelu – odparł Czerski, oglądając się za siebie. Zastanowił się, jak długo Anna stała oparta o framugę drzwi i cicho przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Nie wymienili nazwy – potwierdziła – ale mówili, że nie można się wyśpać. O! I jeden powiedział, że to hotel na godzinkę czy na wizytę. Coś takiego.

– Jesteś pewna? – spytał Czerski, którego wspomnienia z mieszkania Chylińskiej ograniczały się tylko do walki z bolszewikami. Cała reszta pozostała w jego mózgu jako zamazane, nieczytelne obrazy. Wspomnienia zapewne zanikły pod wpływem niesłychanego napięcia i narastającej fali adrenaliny.

– Jestem pewna – Anna kiwnęła głową. – Oni obaj mieszkali w podrzędnym hoteliku, i to jest oczywiste miejsce, gdzie zabrali tego Bobińskiego. Jeden z nich żyje, czyli jest nawet strażnik.

– Jesteś nieoceniona – Czerski poderwał się, odpychając fotel z taką siłą, że stary bujak wpadł na ścianę. – Tylko że nie jest to zwykły tani hotelik, a raczej burdel na godziny.

Czerski zreflektował się, że używanie takich słów w obecności kobiety było niestosowne, i spojrzał przepaszająco na Annę. Chylińska jednak nie zaczerwieniła się i w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Przepraszam – mruknął Czerski.

– To pan porucznik już wie, gdzie ten hotel? – spytał z niedowierzaniem i z radością Ługin.

– Nie, nie wiem – odparł Czerski. – Nie jestem już warszawiakiem, zbyt długo byłem w Sowdeprii. Ale znam człowieka, który z pewnością będzie wiedział.

– Niemojewski – stwierdziła Anna.

– Tak, Niemojewski. On zna Warszawę i z pewnością będzie znał taki hotelik.

– No, to już plan gotowy – Ługin autentycznie się ucieszył.

– Kto pójdzie do hotelu? – spytał Czerski, który zaczął zastanawiać się nad wykonaniem planu. – Mnie znają wszyscy, wy, Ługin, też nie możecie iść, Niemojewski ranny. Zatem?

– Ja pójdę – z pełnym zdecydowaniem powiedziała Anna. – Mnie zna tylko Samosiuk, nikt inny.

– Nie. To nadal zbyt niebezpieczne – Czerski nie zgodził się. – Samosiuk mieszka w tym hotelu. Jak ciebie rozpozna, to zgadnij, co się stanie.

– Zmienię wygląd – Anna była pewna swego. – Pójdę do siebie i przebiorę się, umaluję, zmienię fryzurę. Widział tylko przerażoną dziewczynę, zapłakaną i rozczochraną. Jak się odpowiednio odstawię, to nie ma szans mnie rozpoznać. A jeśli to taki hotelik na godziny, będę wyglądać tak, żeby pasować do otoczenia.

– To nie jest zły pomysł – mruknął Ługin.

– Chyba powariowaliście – Czerski podniósł głos. – Nigdy się na to nie zgodzę. Czy ty, Anno, chcesz wyglądać jak kobieta lekkich obyczajów?

– A niby jakie masz prawo zgadzać się albo i nie – czupurnie odpowiedziała Anna, stając na wprost Czerskiego. – Jak mnie zatrzymasz? Co?

– Nie zgadzam się – powiedział Czerski, ale wiedział, że nie wygra ze zdecydowaniem Anny.

– Zrobimy tak – Anna zdawała się już wiedzieć wszystko i zaczęła planować następne posunięcia. – W trójkę pojedziemy jutro do Warszawy. Karol pójdzie do kapitana Niemojewskiego po informacje, a ja w tym czasie zajrzę do siebie i zrobię odpowiednie przygotowania. Pan Ługin może pójść ze mną, dla asekuracji, gdyby bolszewicy obserwowali moje mieszkanie. Potem, Karolku, dołączysz do nas i pojedziemy razem do hotelu. Wy dwaj zostanieie na zewnątrz, a ja pójdę dowiedzieć się, gdzie Samosiuk ma swój pokój. Reszta należy do was dwóch.

– Nie wygląda źle – rzucił Ługin, którego mile połechtano, że Anna mówiła mu „pan” i uważała go za obronę przed czekistami. – Tylko nie mam broni, a bolszewicy mają.

– Dostaniesz mój rewolwer – z rezygnacją powiedział Czerski. – W szpitalu nie potrzebuję broni.

Zastanowił się chwilę i spojrzął z zainteresowaniem na Annę.

– W domu porucznika Włodka musiałś uczyć się strzelać, to był oficer i do tego działał w konspiracji. Prawda?

– Owszem – odparła Anna z dumą. – To był prawdziwy polski dom, wieczorami grało się Chopina na fortepianie, czytaliśmy książki i czasem porucznik pozwalał nam strzelać, ba, uczył nas.

– Właśnie – ciągnął swoją myśl Czerski. – Pomyślałem, że poproszę Niemojewskiego o pozwolenie wzięcia z jego mieszkania pistoletu. Myślę, że powinnaś do hotelu pójść uzbrojona.

– O nie! – Anna w pierwszej chwili zaskoczona oprzytomniała szybko i zareagowała żywiłowo. – Co to to nie! Jestem kobietą. Nie będę strzelać do nikogo, nawet do bolszewików.

– Chcieli ciebie zmusić do współpracy, a teraz mogą chcieć zamordować! – Czerski przekonywał niezrażony pierwszą odmową.

– Nic podobnego – Anna była uparta. – Nie wezmę do ręki żadnej broni. Strzelanie to męska rzecz. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– To niedobrze – mruknął Czerski zaskoczony tak zdecydowaną odmową. – Musicie, Ługin, dobrze jej pilnować, zanim nie wrócę ze szpitala.

– Zrobi się – odparł Ługin i odetchnął. W pierwszej chwili myślał, że Czerski chciał oddać swój rewolwer Chylińskiej, i przestraszył się nie na żarty.

– I proszę, mamy plan złapania bolszewika – z tryumfem oznajmiła Anna.

Co ci mężczyźni zrobiliby bez mnie – pomyślała Anna Chylińska. Nawet Karol siedział w fotelu i rozmyślał, zamiast zrobić coś, cokolwiek, co pomoże złapać bolszewika. I jak zabawnie zareagował, kiedy podsunęłam pomysł przebrania się za dziwkę. Ale broń i strzelanie to nie jest moja sprawa. Przecież nie powiem Karolkowi, że po pierwszym strzale z flinty przewróciłam się i ze strachu uciekłam do domu.

Warszawa – czerwiec 1926

Czerski wszedł do Szpitala Świętego Ducha z pewnym niepokojem w duszy. Przez drogę do Warszawy zastanawiał się nad wielu czekającymi go tego dnia problemami: czy Niemojewski jest w dobrej formie i zdolny odpowiedzieć na pytanie, czy bolszewiczcy agenci nie czyhają w pobliżu mieszkania Anny, czy uda się odnaleźć hotel i w końcu czy ich dedukcje są poprawne i czy spotka tam Bobińskiego. Ale co się stanie, jeśli agent Wojkowa okaże się tchórzem i podniesie ręce do góry? Plan opracowany poprzedniego wieczoru w Dąbrówce obejmował akcję do momentu złapania szpiega, co z nim potem zrobić Czerski już nie wiedział. Najlepiej byłoby oddać go w ręce kapitana Grudzińskiego, ale czy w powojennym zamęciu uda się odnaleźć szefa kontrwywiadu albo czy Grudziński nadal piastuje swoje dawne stanowisko, tego Czerski nie wiedział. Sam nie miał prawa aresztować nikogo, a szczególnie niebezpiecznego sowieckiego szpiega. Czerski miał jednak nadzieję, że Polak-bolszewik będzie się bronił i wtedy go zabije, a to rozwiąże wszystkie problemy. Rozważając podczas drogi do Warszawy potencjalne komplikacje w prostym, zdawałoby się, planie, Czerski stał się małomówny i zamyślony. W przeciwieństwie do niego Anna, która nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, była uszczęśliwiona oczekującym ją zadaniem. Przez całą podróż szczerbiotała wesołym głosem na zupełnie nieistotne tematy, od czasu do czasu ściągając na siebie gniewne spojrzenia Czerskiego. Jednak jego zachowanie wcale jej nie przeszkadzało, a oczekiwana przygoda napełniała ją taką radością, że nie mogła po-

wstrzymać się od ciągłego gadania. Ługin natomiast siedział skupiony z ręką w kieszeni płaszcza, w której ścisnął rewolwer porucznika, wyraźnie przejęty od samego początku pełnioną rolą strażnika. Rosjanin usiadł na ławce naprzeciwko Czerskiego i Chylińskiej po to, żeby obserwować, co działo się za ich plecami. Przez całą podróż kolejką do Warszawy siedział prawie nieruchomo, tylko poruszające się we wszystkich kierunkach oczy Rosjanina dowodziły, że miał się na baczności i wyglądał niebezpiecznie.

Czerski, stając na progu sali, w której leżał Niemojewski, z zadowoleniem zauważył, że jego przyjaciel siedział na łóżku i zjadał coś z talerza. Niemojewski nie był przyzwyczajony do operowania lewą ręką i jedzenie łyżką przychodziło mu z trudem, jednak głód zmuszał do podjęcia wysiłku. Czerski uznał, że przyjaciel ma apetyt, a to było dobrą oznaką.

– Cześć, Józus – powiedział już z daleka Czerski i machnął ręką na powitanie.

– Cześć – Niemojewski zaskoczony omal nie zakrztusił się zupą, odłożył łyżkę i odstawił talerz na stołek obok łóżka. – Postaw to gdzieś, ja nie mogę sięgnąć dalej niż do stołka.

– Oczywiście – Czerski chwycił talerz i przestawił go na parapet okna. Przy okazji popatrzył na resztkę zupy o żółtawym zabarwieniu i wodnistej konsystencji.

Jak on może to jeść? – pomyślał. Wygląda na świństwo, nie ma żadnego zapachu i pewno nie ma też smaku. Widocznie jest bardzo głodny, a to znak, że nie gorączkuje i wraca do zdrowia.

– Masz apetyt – rzucił Czerski z kwaśną miną.

– Tak, od dzisiaj rana zrobiłem się głodny – odparł Niemojewski. – Widać gorączka spadła w nocy. Zupka przypominała mi okopy i wyżywienie z kotła szwadronu. Domyślam się jednak, że nie przyszedłeś pytać o moje zdrowie. Zatem co mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzebuję twojej pomocy, a raczej twojej znajomości Warszawy – powiedział bez wstępów Czerski, siadając na stołku. Spieszył się i nie miał czasu na stereotypowe dopytywanie się o stan zdrowia, poczynione już obserwacje wystarczały mu w zupełności.

– Widzę, że nie złapałeś Bobińskiego po moich poprzednich informacjach o tylnym wyjściu z poselstwa – stwierdził Niemojewski z ponurą miną. Czerski skinął głową, przez chwilę unikając wzroku przyjaciela. – W takim razie w czym mogę pomóc?

– Chodzi o hotel – powiedział Czerski. – Konkretnie o jakim hotelu mówiło się, że jest na godzinę albo na wizytę.

– Hotel na godziny to raczej burdel – zauważył cierpko Niemojewski. – Ale hotel na wizytę, to znaczy na krótki, jednodniowy pobyt, to już co innego.

– Podobno nie można się w nim wyspać, bo hałas – Czernski dodał zapamiętany szczegół.

– Hałaśliwie to będzie w hotelach na Nalewkach, bo tam zawsze jest jeszcze dziesięć warsztatów czy sklepów w tym samym budynku – mówił jakby do siebie Niemojewski. – W takim razie to albo Wenecki, albo Londyński. Owszem, o którymś z nich mówiło się, że jest na wizytę, ale o którym, żebyś zabił, nie pamiętam.

– To już dużo – powiedział Czernski zadowolony z szybkiego rozwiązania zagadki. – Mówisz, że jeden z tych dwóch i oba ulokowane są w żydowskiej dzielnicy?

– Tak, oba stoją na Nalewkach, ale teraz opowiedz mi, do czego ci to jest potrzebne – Niemojewski musiał zaspokoić własną ciekawość.

– Zacznę od początku, od sprawy tylnego wyjścia z poselstwa – Czernski podjął opowiadanie zadziwiony, że przyjaciel czekał tak długo na wyjaśnienia. Kiedy skończył, Niemojewski zachmurzył się i milczał.

– To jedyna nitka łącząca mnie z bolszewikami, nic innego nie mam – przyznał smętnie Czernski.

– Sam przyznasz, że to cienka nitka – mruknął Niemojewski.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Próbowalesz porozumieć się z kapitanem Grudzińskim?

– Nawet go nie szukałem. On stał po stronie prezydenta i pewno stracił już stanowisko.

– Nie jest powiedziane. Nie wyrzuca się dobrych fachowców, szczególnie w kontrwywiadzie, a Grudziński jest zawodowcem ze stażem jeszcze z armii cesarsko-królewskiej. Jestem pewien, że nie para się polityką, zatem przy nowym rozdaniu powinni go zatrzymać. Tylko polityczni pieczeniarze wyrzucają fachowców i zatrudniają kolegów. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Nie rozmawiałem z Grudzińskim i nie mam na to czasu, Bobiński może już być w drodze.

– Możesz najpierw spróbować dopaść bolszewika w hotelu, ale potem ja bym odszukał Grudzińskiego – rozważał Niemojewski. – Sprawdzenie obu hoteli potrwa krócej niż odszukanie szefa kontrwywiadu, więc lepiej zacząć od hoteli.

– Potrzebuję jeszcze coś od ciebie. Niestety.

– Niestety? Co takiego? Coś się zdarzyło?

– Mam tylko jeden rewolwer, który oddałem Ługinowi. Niech mi Anny pilnuje, a w sytuacji, kiedy przeciwników może być dwóch, potrzebuję broni.

– Czemu dwóch przeciwników?

– Bo zakładam, że w pokoju hotelowym z Bobińskim siedzi Samosiuk, jako ochrona. A to czekista i będzie uzbrojony. Zresztą zakładam, że Bobiński też ma broń.

– Dobrze myślisz, z twojego opowiadania wynika, że mogą go już teraz pil-

nować. Praktycznie stąpasz im po piętach. Oczywiście, możesz wziąć mój rezerwo-
wy pistolet. Jest w szufladce nocnego stolika. Obok w pudełku po papierosach jest
dosyć amunicji na powtórne załadowanie magazynka. To mały mauser 7,63 zatem
trudno będzie o amunicję poza Warszawą. Pamiętaj o tym. Widzę, że jesteś cięty
i nie przepuścisz pomimo niepowodzeń. W każdym razie cieszy mnie, że stale pró-
bujesz.

– Nie martw się, sprawa Polaka-bolszewika bardzo leży mi na sercu, a moty-
wacja leży tuż przede mną – Czerski spróbował obrócić poważną sprawę w żart.

– Nie tylko leży, ale i się niecierpliwi, że tamten wciąż spokojnie chodzi po
ziemi – wpadł w żartobliwy ton Niemojewski. – Ale powiedz mi, jak wygląda War-
szawa po walkach. Czy bardzo zniszczona?

– Nie, zniszczeń tak bardzo nie widać – zaczął relację Czerski. – Jest trochę
dziur w elewacjach domów po kulach karabinowych, kilka razy strzelono z działa,
to i ruina leży w centrum. Widać, gdzie bito się na poważnie, bo tam mury są po-
siekane z karabinów maszynowych. Jest kilka zwalonych lamp ulicznych, kostka
pozrywana, żeby barykady budować, nawet okopy w parkach pokopali, jakieś bary-
kady i ogólne śmietnisko, ale to wszystko jest łatwe do odrobienia. Pożarów nie
było, zniszczeń mało, poległych też mniej, niż można było się spodziewać. Ale
i tak przypadkowo zginęło sporo cywilów, a każdego wojskowego mi żal, bo wy-
konywali rozkazy, nawet jeśli bardzo nie chcieli brać udziału. Podobno dużo ofice-
rów poległo, było też kilka samobójstw, widać nie każdy mógł podnieść broń prze-
ciwko Polakom. Ludzie mówią, że zginęło kilkaset osób, tak koło trzystu. Są też
ranni, nawet dosyć liczni. Pewno kilku leży na tej sali.

– To była bratobójcza walka – zauważył smutno Niemojewski.

– Nikt mnie nie pytał o zdanie i nie brałem udziału.

– A mnie Bobiński postrzelił na samym początku i nie mogłem być na poste-
runku – powiedział Niemojewski z wyraźnym rozżaleniem. – Wszystko odbyło się
beze mnie.

– Postrzał mógł dla ciebie być szczęśliwym zdarzeniem.

– Co ty?! – Niemojewski aż podskoczył na łóżku. – Służba jest najważniej-
sza.

– Nie mam wątpliwości, ale to była wojna domowa. Szczęśliwie krótka.
Gdyby Ruscy wleźli do Polski, to co innego. Wtedy spodziewałbym się ciebie na
odpowiednim stanowisku sztabowym, ale to byłoby co innego.

– Tak, tak, ale czy to wojna domowa, czy z bolszewikami, powinienem pra-
cować w sztabie, bo tam moje miejsce.

– Wiesz, moje przypadki w Bolszewii dały mi inne spojrzenie na świat – po-
owiedział Czerski, patrząc w okno. – Kiedyś myślałem tak jak ty, a potem czekał
wzięli mnie w obroty i jak przeżyłem to wszystko, to zmieniłem zdanie. Jest coś
ważniejszego niż służba.

– Co?! – Niemojewski wyprostował się w łóżku, syknął z bólu, kiedy poruszył przestrzeloną ręką i z niepokojem patrzył przyjacielowi w oczy. Czyżby Czerskiemu pomieszało się w głowie po udrękach w Sowietach? – A co takiego może być ważniejszego? He!

– Przetrwąć, Józus, przetrwać i żyć.

Dwie godziny później w trójkę stanęli przed wejściem do hotelu. Chylińska była grubo uszminkowana, włożyła sukienkę z głębokim dekoltem i pantofle na obcasie. Mówiła wysokim, piskliwym głosem, przerywając rozpoczęte zdania śmiechem, i zaczepiała wzrokiem mężczyzn na ulicach. Weszła w rolę tak dobrze, że Czerski dostał dreszczy podczas długiego spaceru do dzielnicy żydowskiej. Obaj mężczyźni towarzyszący Chylińskiej wyglądali na ponurych typów i podczas przejścia przez miasto szybkimi i złowrogimi spojrzeniami lustrowali przechodniów, co kilku z nich ewidentnie uznało za groźbę i usunęło się na brzeg trotuaru. Ługin oglądał się często za siebie, szukając wzrokiem znajomych twarzy czekistów.

Front Hotelu Weneckiego przy Nalewkach pod numerem 11 wyglądał mało zachęcająco, była to zwykła kamienica warszawska, w której dwa piętra przebudowano na umeblowane pokoje do wynajęcia. Na parterze mieściły się sklepiki i warsztaty rzemieślnicze, a właściwy hotel zaczynał się dopiero na drugim piętrze. Na ulicy rzeczywiście panował hałas, a każdy z zakładów rzemieślniczych dodawał do tego swoisty jazgot maszyn i narzędzi. To wszystko nie przeszkadzało jednak niewybrednym przyjezdnym, gdyż hotel był niedaleko od centrum i co najważniejsze ceny za wynajęcie nie były wygórowane.

Jak uzgodnili, Chylińska poszła sama porozmawiać z portierem, a Czerski stanął pod drzwiami hotelu na klatce schodowej. Ługin piętro niżej ostentacyjnie przyglądał się przez szybę towarom wystawionym w sklepiku i od czasu do czasu rzucał spojrzenia w górę i w dół schodów. Czerskiemu serce biło szybciej, a niepokój o Annę nie pozwalał mu na ukrycie się w mniej eksponowanym miejscu. Po prostu musiał stać tuż przy drzwiach, żeby na pierwszy znak Anny móc szybko przyjść jej z pomocą. W kieszeni nerwowo ścisnął rękojeść pistoletu zabranego z mieszkania Niemojewskiego.

Chylińska weszła do małego holu, w którym na stołku za kontuarem siedział starozakonny właściciel hoteliku. Zamknęła drzwi i w tym momencie Czerski stracił ją z oczu.

Samosiuk pchnął drzwi oznaczone szóstką z taką siłą, że z hałasem odbiły się od ściany. Zrobił to naumyślnie, żeby trochę postraszyć Polaka, który od kilku dni wylegiwał się w łóżku. Bobiński przestraszony nagłym otwarciem drzwi poderwał się z łóżka, na którym leżał przez większość dnia. Roztrzęsiony długim oczekiwaniem na wyjazd i powtarzającymi się co kilka dni ucieczkami z miejsca na

miejsce, złapał za leżący na pościeli pistolet. Jednak momentalnie rozpoznał lekko uśmiechniętą twarz Samosiuka i ręka mu opadła. Przymknął oczy zrezygnowany.

Wszystkie polecenia Centrali wykonałem, czego mogą chcieć jeszcze? – pomyślał, zakładając, że gwałtowne wejście agenta zwiastowało kolejne rozkazy. Mam dosyć czekania i narażania się, dosyć już zrobiłem.

– Zbierajcie się z rzeczami – rzucił Samosiuk, stając na środku pokoju.

– A dokąd? – zapytał Bobiński przestraszony nagle typową więzienną frazą, która w celi Czeka zwykle oznaczała wyprowadzenie na egzekucję.

– Jest zgoda z Moskwy – odparł Samosiuk. – Macie jechać na punkt przerzutowy. Szef kazał zaraz wyjeżdżać, jeszcze dzisiaj. Nasi ludzie są już w drodze.

– No, nareszcie – mruknął Bobiński i przerzucił nogi z łóżka na podłogę. Schylony zaczął rozglądać się za butami. Wyciągnął je spod łóżka i zaczął sznurować, kiedy zauważył rewolwer w dłoni Samosiuka.

Bobiński przestraszył się. Odkąd zaczął się ukrywać i miał mnóstwo czasu na rozmyślenia, jedną z rzeczy, które przyszły mu do głowy, było, że INO zamiast ściągać go do Moskwy, co było przecież ryzykowną operacją, mogło go zlikwidować w Warszawie. Sam wiedział, że doświadczenie, jakie zebrał podczas kilkuletniego pobytu w Polsce, wprawdzie wartościowe przy szkoleniu nowych agentów, nie było unikalne. Byli inni agenci, wycofani ze swoich placówek, ale niespaleni, którzy mieli podobne i mogli się nimi podzielić. Dla INO powrót do Centrali był nagrodą dla szpiega za wierną wieloletnią służbę sprawie proletariatu, czymś w rodzaju odznaczenia, ale nie koniecznością. INO tylko z rzadka rozdzielala nagrody, najczęściej pozbywała się niepotrzebnych ludzi. Bardzo niewielu agentów wróciło do Moskwy, ogromna większość zginęła na posterunku. Bobiński sięgnął za siebie i chwycił pistolet, nie spuszczać oczu z Samosiuka, ale czekista sprawdził tylko, czy amunicja siedziała w bębenu i ponownie wsadził rewolwer do kieszeni marynarki. Bobiński odetchnął i zajął się wiązaniem sznurowadeł.

Czy jestem już niepotrzebny? – myślał, mocując się z butami. Jaka jest opinia Centrali? Jeśli niepotrzebny, to zlikwidują. Ciągłe jeszcze mogę im uciec. Zwieję do Paryża i zniknę w tłumie. Mrzonki. Nie mam papierów, nie mam pieniędzy i nie mam kontaktów poza OGPU. Jedynym wyjściem jest wyjazd do Moskwy.

Bobiński ciężko westchnął i pogodzony z własnym losem wstał z łóżka tylko po to, żeby schylić się i wyciągnąć spod niego małą kartonową walizeczkę. Natychmiast przeszło mu przez myśl, że jeśli Samosiuk ma rozkaz likwidacji, to teraz strzeli mu w tył głowy, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Pośpieszajcie – mruknął Samosiuk. – Za chwilę Wasyl będzie tu dorożką. On z wami pojedzie, ja tylko do stacji kolejowej i wracam.

– Wasyl pojedzie ze mną całą drogę?

– A skąd mam to wiedzieć? – odpowiedział pytaniem Samosiuk. – Tu jest dla was koperta z raportami i druga z rozkazami dla przewodnika. Pierwszą odda-

cie w Moskwie, drugą chłopu, co was będzie prowadził przez granicę. Poseł dał jeszcze trochę pieniędzy, bo jak powiedział, inaczej w drodze z głodu zemrzecie. Długa podróż. Gotowiście?

– Prawie – odparł Bobiński, odbierając papiery. Upchnął je w wewnętrznej kieszeni marynarki, a potem zaczął wtykać pistolet za pasek spodni na plecach. Szybko się jednak zreflektował, że będzie długo siedział w pociągu i pistolet z tyłu będzie go uwierał, wsadził go zatem do kieszeni spodni. – A czemu nagle taki pośpiech? Siedziałem tutaj cztery dni i nic się nie działo, a dzisiaj nagle pośpiech.

– Nie wiem – odparł Samosiuk. – Może przyszła depesza z Moskwy. Ja takich rzeczy nie wiem. Wszyscy mamy rozkazy. Ja jadę nocnym pociągiem do Berlina.

– Dobrze, to chyba wszystko – Bobiński westchnął. – Jeszcze tylko wezmę płaszcz. Idźcie przodem do recepcji. Trzeba im zapłacić.

– Nie ociągajcie się – rzucił za siebie Samosiuk i trzasnął drzwiami.

Czerski usłyszał najpierw czyjś podniesiony głos, potem brzęk tłuczonej porcelany, a w końcu głośny okrzyk. Cała sekwencja trwała może trzy sekundy, w tym czasie Czerski napięty i tak do granic wytrzymałości po prostu skoczył na drzwi wiodące do hoteliku. Wpadł z pistoletem w dłoni do pokoju recepcyjnego, który kiedyś zapewne był po prostu przedpokojem dużego apartamentu. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i wycelował broń w osobę stojącą za kontuarem. Salomon Rotblat, ubrany tylko w koszulę i spodnie, upuścił kota na podłogę i wybałuszył oczy na pistolet Czerskiego. Anna oparta o kontuar obejrzała się i zrobiła zdziwioną minę.

– Gwałt! Bandyci! Napad! – wrzasnął przerażony Żyd i schował się za kontuar, który był tak krótki, że widać było jego wystające stopy.

– Co ty robisz? – piszczącym głosem zapytała Anna, która nie rozumiała sytuacji i nie wiedziała, czy coś się wydarzyło.

– Co tu się dzieje? – zapytał Czerski, który zaczął podejrzewać, że niepotrzebnie pośpieszył się z interwencją. – Słyszałem twój krzyk i hałasy.

– Nie mój, tylko właściciela hotelu, a hałas to przez kota, który strącił filiżankę z gorącą herbatą na nogi pana Rotblata. A co ty robisz z tym pistoletem, to już nikt nie rozumie.

Czerski rozejrzał się podejrzliwie, ale niewiele było do zobaczenia. Maleńki kontuar, za którym na stołku urzędował właściciel, tablica z ponumerowanymi haczykami na klucze do pokoi, obrazek z palmami na ścianie i etażerka w rogu. Nie było się nawet gdzie ukryć. Co dziwniejsze, pomimo rumoru, jakiego narobił Czerski swoim wejściem, nikt nie wyjrzał z pokoi widocznych w korytarzu. Tymczasem Rotblat zrozumiał, że jednak nie jest to napad z bronią w ręku na jego hotel, i kobieta, która z nim rozmawiała, zna typa z pistoletem. Widząc, że nie ma niebezpie-

czeństwa, wstał z podłogi, zrobił obrażoną minę i właśnie chciał zacząć wołać policję, kiedy uprzedził go Czerski.

– Panie Rotblat, zdaje się, że to pomyłka – powiedział pojednawczo, chowając pistolet do kieszeni. – Wywiad wojskowy, szukamy szpiega. Macie zapomnieć co i kogo widzieliście. Zapomnieć natychmiast i nikomu o tym nie opowiadać. Zrozumiano!

Rotblat otworzył usta, żeby wyrazić swoje niezadowolenie, ale zamknął je natychmiast. Powołanie się na wywiad, wojsko i pościg za szpiegiem odebrało mu mowę. Pod wrażeniem tej nowej informacji zachwiał się, złapał za brzeg kontuaru, żeby utrzymać równowagę, i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy na Czerskiego.

– Nie ma ich tutaj, możemy iść – powiedziała szybko Anna, widząc, że za chwilę może zacząć się awantura. – Chodźmy stąd, możemy skreślić Hotel Weneci.

Podeszła do Czerskiego, wzięła go za łokieć i prawie wypchnęła go na klatkę schodową. Czerski opanował podniecenie i potulnie posłuchał Anny. Zza progu obejrzał się jednak na Żyda i znacząco położył palec na ustach.

– Proszę natychmiast wyjść! – krzyknął Rotblat i pokazał im palcem drzwi, które Anna cicho zamknęła. – To jest porządny hotel...

Reszta słów z niewątpliwie dłuższej przemowy Rotblata zginęła w zgiełku panującym na klatce schodowej.

– Co ty wyrabiasz? – powiedziała Anna karcącym głosem, kiedy schodzili po schodach. Po drodze na półpiętrze minęli Ługina, który z ręką w kieszeni uważnie patrzył na nich, nie rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło. – Kot przewrócił herbatę i poparzył właścicielowi nogę, więc narobił wrzasku, a ty wpadłeś z pistoletem, jakby co najmniej mnie gwałcili.

Czerski zaczął się czerwienić, a Ługin, który właśnie dowiedział się o przebiegu wypadków, opuścił głowę i uśmiechnął się, myśląc, że oficer jest zakochany, jeśli tak reaguje na każdy drobny incydent. Wydarzenie w Hotelu Weneckim udowodniło Ługinowi, że Czerski, zakochany w Annie, może zrobić głupstwo i sćiągnąć na nich niebezpieczeństwo. Biorąc to pod uwagę, Ługin zaczął rozglądać się bardziej uważnie, zakładając, że tylko on jest odpowiedzialny za całą grupę. Czerski w głębi duszy wiedział, że popełnił poważną gafę, która mogła kosztować ich bardzo drogo, gdyby Rotblat albo któryś z lokatorów zawołał policję. Szczęśliwie w kamienicy, w której mieścił się hotelik, było kilka warsztatów z głośno pracującymi urządzeniami, których hałas zagłuszył rozróbę w hoteliku.

– Chodźmy do Hotelu Londyńskiego – mruknął Czerski, kiedy znaleźli się na ulicy. – To całkiem niedaleko, pod dwudziestym siódmym.

– Może trochę spokojniej tym razem – powiedziała Anna, spoglądając spod oka na Czerskiego, który zawstydzony tylko skinął głową.

Przeszli Nalewkami kilka przecznic i dochodzili pod dom z numerem 27,

kiedy dwóch ludzi wyszło z kamienicy i wsiadło do dorożki. Czerski rozpoznał w jednym z nich Samosiuka, drugi tylko mignął mu przed oczami, ale tym razem Czerski był pewien, że to Bobiński wsiadł do dorożki. Poderwał się, żeby biec za nimi, ale natychmiast opanował odruch i zwolnił. Spojrzał za siebie na idącego z tyłu Ługina, który pokiwał głową. Nie mówiąc ani słowa, zaczęli iść szybciej, na tyle, na ile pozwalała im zwarta masa przechodniów na trotuarze.

– Co się stało? – zapytała Anna, wyrównując krok z Czerskim.

– Ten w dorożce to Bobiński – cicho powiedział Czerski.

– Który? – Anna popatrzyła przed siebie i widząc trzy głowy wystające nad opuszczoną budą dorożki dodała: – Ich jest trzech.

– Ten, który wsiadł pierwszy. Idziemy za nimi – Czerski obejrzał się na Ługina i rzucił: – Rozglądaj się za dorożką.

– Tłok na ulicach – odparł Rosjanin obojętnie – szybko nie pojedą. Pójdziem piechotą, będzie wygodniej.

– Nie – Czerski wiedział, czego chce. – Nie wiemy, dokąd jadą, może daleko. Patrz za dorożką.

– Jak pan porucznik chce – odparł Ługin i potoczył wzrokiem po zatłoczonej ulicy, ale wolnej dorożki nigdzie nie było widać.

Nalewki jak każdego popołudnia pełne były mieszkających tutaj Żydów, wózów konnych z ładunkiem i warszawiaków robiących zakupy. Stanowiły jedną z głównych arterii komunikacyjnych Warszawy, jeździły tędy tramwaje linii 15, 27 i kilku innych, co powiększało i tak ogromny ruch. Znajdujące się w domach warsztaty, księgarnie i domy handlowe z Pasażem Simonsa na czele sprowadzały codziennie tysiące mieszkańców stolicy na zakupy. Przeróżne kantory i biura ścigały ludzi interesu, finansów i pośredników każdego rodzaju. Przed nimi idący skrajem ulicy stary Żyd z siwą brodą popychał rower z trzema workami towaru przewieszonymi przez ramię, obok ktoś ciągnął ręczny wózek wysoko naładowany skrzynkami, dalej okryta płócienną plandeką platforma konna zaprzężona w parę kasztanowatych sztumów blokowała przejazd tramwaju, który dzwonił nerwowo. Gdzieś z przodu dobiegał powtarzający się odgłos trąbki, która swoim chrapliwym dźwiękiem bezskutecznie usiłowała torować drogę automobilowi. Ruch i zgiełk wielkiego miasta wypełniał powietrze i zdawał się zasłaniać ciepłe popołudniowe słońce. Tymczasem kurz podnoszony kołami pojazdów, nogami ludzi i zwierząt rzeczywiście przysłaniał słoneczny blask. Ciepło dnia spowodowało nasilenie nieprzyjemnych zapachów związanych z obecnością walczącego o przejście tłumu, pracujących zwierząt i wyziewów z kanałów miejskich. Wzdłuż ulicy przewalały się tłumy pieszych, których tempo posuwania się spowalniały grupy stojących Żydów, którzy ustawieni w koło na brzegu ulicy, żywo gestykulując, załatwiali interesy. Do tego dochodziły leżące w wielu miejscach zwąły towarów albo usuwanych raz w tygodniu śmieci. W takich warunkach dorożka z bolszewikami mogła posu-

wać się tylko stępa, otoczona ze wszystkich stron przeróżnymi pojazdami, których woźnicy nie zwracali uwagi na innych i z zasady nie ustępowali z drogi.

Czerski zwolnił kroku, utrzymując dystans. Podsunęli się bliżej dorożki i nie chciał zostać zauważony. Na ławce za dryndziarzem rozpoznał Wasyla, który doskonale znał jego wygląd, zatem wolał trzymać duży odstęp i miał nadzieję, że jego twarz zniknie w tłumie. Przepychając się przez gęste masy przechodniów, jednocześnie zastanawiał się nad swoim następnym posunięciem.

Zamyślenie Czerskiego nie trwało długo. Dorożka wyjechała z handlowej części Nalewek i przed Ogrodem Krasińskich skręciła na wschód w Świętojerską. Dryndziarz, widząc przed sobą wolną przestrzeń, machnął batem i koń ruszył kłusem. Jednocześnie zmalała liczba przechodniów na chodnikach i idąca grupka stała się bardziej widoczna. Chwilę później, w momencie kiedy dorożka wioząca Bobińskiego i jego towarzyszy oddalała się szybko, Czerski wyskoczył na jezdnię, i machaniem ręki zatrzymał jadącą w przeciwnym kierunku wolną dorożkę. Fiakier pociągnął za lejce i jego dorożka zawróciła w miejscu, ale kiedy Czerski odwrócił się, żeby skinieniem ręki przywołać Annę i Ługina zobaczył w dali stojącego w powozie Wasyla. Bolszewik osłonił oczy przed słońcem ręką, po czym odwrócił się do woźnicy i coś mu powiedział. Dryndziarz zaciął konia batem i dorożka z Bobińskim zaczęła oddalać się galopem. Wkrótce znikła za rogiem Bonifraterskiej.

Godzinę później w trójkę przeczesywali peron Dworca Wileńskiego, skąd odchodził pośpieszny do Wilna przez Białystok. Czerski kłął w duchu swoją nieostrożność, a z drugiej strony wiedział, że wtedy na Świętojerskiej nie miał wyjścia. Bez dorożki z pewnością nie nadążyliby za oddalającym się Bobińskim, zatem co by nie zrobił, było źle. Jediną pozytywną stroną jego obserwacji było wydedukowanie, że udawali się przez most Kierbedzia na Dworzec Wileński, a stamtąd pociągiem na wschód lub północ. Z kilku nocnych pociągów do sprawdzenia wybrali pośpieszny do Wilna i rozdzieliwszy się, przeczesywali peron, a Anna chodziła wzdłuż wagonów korytarzami i zaglądała do przedziałów.

Punktualnie o dziewiątej wieczorem, po półgodzinie bezowocnych poszukiwań, zawiadowca dał znak lizakiem, lokomotywa zagwizdała i spod kół buchnęła para. Pośpieszny odjeżdżał. Anna wyskoczyła na peron, gdy pociąg był już w ruchu, czym spowodowała irytację kolejarza, który szybkim krokiem podszedł do wagonu i trzasnął drzwiami. Czerski miał jeszcze nadzieję, że może Bobiński ukryty na dworcu wskoczy do pociągu w ostatniej chwili, i spoglądał wzdłuż coraz szybciej oddalającego się sznura wagonów, ale nic podobnego nie nastąpiło. Pięć minut później spotkali się na opustoszałym peronie. Czerski nic nie mówił. Rozpacz powoli wkradała się w jego serce. Znowu był tak blisko, widział drania i znowu mu uciekł.

– Co robimy? – zapytała Anna.

Nikt jej nie odpowiedział, Czerski wzruszył ramionami, a Ługin patrzył ponuro w przestrzeń.

– Może wrócili do poselstwa? – rzucił Ługin. – Przestraszyli się i wrócili. Nie?

Czerski westchnął i odwrócił się w stronę wyjścia z dworca.

– Na Wileńskim ich nie było – stwierdziła Anna. – Gdyby wsiedli, tobyśmy ich widzieli. Przecież w pociągu nie można się ukryć.

– No, wiemy tyle, że nie pojechali do Berlina, bo wtedy dorożka skręciłaby w stronę Dworca Głównego – mruknął Ługin.

– Co ty myślisz, Karol? – Anna zdecydowała się na bezpośrednie pytanie, chcąc wytrącić Czerskiego z marazmu.

Czerski nie odpowiedział. W myślach przebiegał błędy, jakie popełnił tego dnia, i robił się coraz bardziej zły na samego siebie. Każde jego posunięcie, każdy zaplanowany ruch kończył się porażką, najmniejszy błąd zamieniał się w klęskę, a bolszewicy wprost drwili z niego, zawsze o krok przed nim, jakby przewidywali jego plany i na czas zabezpieczali się przed nimi. Trzy razy był już pewny, że ma Bobińskiego w rękę i trzy razy mu umknął, teraz być może już na zawsze. Poniósł tyle niepowodzeń, że zaczął wierzyć w wiszącą nad nim klątwę.

Czyżby bolszewizm narodził się pod jaśniejszą gwiazdą? – zapytał samego siebie. Nie, są zbyt zszmaceni, żeby Bóg się nad nimi pochylał, to prędzej diabeł im sprzyja. Ale czemu, wobec tego, ja nie odczuwam opieki boskiej? Czemu nikt nie wspiera słusznej sprawy?

– Na Wileńskim bolszewików nie było, ale może oni pojechali na Dworzec Wschodni? – zapytała Anna i Czerski poczuł, że może jednak istota wyższa się nim opiekuje.

– Oczywiście, Aniu – powiedział cichym, bardzo spokojnym głosem pomimo rozsadzającej go radości – oczywiście masz rację. Na prawym brzegu Wisły są dwa dworce kolejowe. Idziemy na Wschodni!

– To możemy jeszcze ich dogonić? – zapytał Ługin.

– Nie sędzę, ale jestem pewien, że możemy sprawdzić, dokąd odchodzą pociągi z tamtego dworca – odparł Czerski i wzrokiem ucałował Annę. Z dubeltówki.

Zanim dotarli do Dworca Wschodniego, ostatni nocny pociąg pośpieszny już odszedł, ale to nie przeszkodziło im w studiowaniu rozkładu jazdy pociągów. Czerski i Ługin cicho naradzali się, stojąc przed wielką tablicą z wypisanymi godzinami odejścia pociągów i kierunkami ich jazdy, Anna jednak, rozejrzawszy się po brudnawej hali dworcowej, skrzywiła nos na unoszące się nieświeże zapachy i wyszła przed budynek. Obaj mężczyźni nie zwrócili uwagi na jej zniknięcie i dopiero po przedyskutowaniu wszelkich możliwych połączeń, kiedy postanowili iść na spoczynek, zauważyli, że Anny nie ma. Czerski poczuł przyływ zdenerwowania i niespokojnie obrzucił wzrokiem wszystkie zakamarki hali. Nie, nie widział jej.

Szturchnął Ługina łokciem i wzrokiem wskazał mu przejście na perony, a sam poszedł w kierunku wyjścia do miasta. Zaraz za drzwiami zobaczył Annę, jak stała pod latarnią i nonszalancko wymachiwała torebką. Obok niej stał wianuszek wozaków, których dorożki były zaparkowane wzdłuż krawężnika. Dorożkarze wyraźnie byli czymś podnieceni i machając rękami, wymieniali głośne uwagi.

Zachowuje się jak rozpustnica – pomyślał Czerski i ruszył w jej kierunku.

Anna zauważyła go, jak tylko zaczął się zbliżać i patrząc mu usilnie w oczy, pokręciła głową. Czerski zrozumiał, że nie chciała, żeby do niej podchodził, więc wyminął ją, przeciskając się między grupą głośno dyskutujących dorożkarzy i stojącą w wyzywającej pozie Anną. Odszedł w ciemność, poza zasięg światła latarni, i zatrzymał się, obserwując, co będzie działo się dalej. Upłynęło kilka minut, z hali dworcowej wyszedł Ługin i zaczął się rozglądać, a Anna wciąż stała w tym samym miejscu. W końcu lekko skinęła na Czerskiego i Ługina i podeszła do pierwszej w rzędzie dorożki.

– Może pojedziemy do mnie? – zapytała słodkim głosem, kiedy znaleźli się obok niej.

– Nie mamy tu nic więcej do zrobienia, to jedźmy – mruknął Czerski.

– Na dziś już wszystko wiemy – odparła Anna i zaczęła wsiadać do pierwszej dorożki. – Pojedziemy do łóżka, pora spać.

Dorożkarz spojrział na nich z widoczną dezaprobatą. Jeszcze jedna latawica zabierająca klientów na nocną zabawę, ale kurs był, więc odczepił koniowi worek z obrokiem i wsiadł na kozioł.

Czerski zauważył spojrzenie i poczuł się bardzo zmęczony. Cały dzień spędzili na poszukiwaniu Bobińskiego, zatem Anna jak zwykle miała rację, nic więcej nie mieli tutaj do załatwienia. Bobiński umknął. Mogli tylko zgadywać w jakim kierunku. Podał Annie rękę przy wsiadaniu pod budę dorożki i wsiadł, zostawiając miejsce za woźnicą dla Ługina.

– Na Szczygła, panie starszy – powiedział do dorożkarza, który cmoknął na konia i powóz potoczył się lekko naprzód.

– Wiem wszystko – powiedziała konfidencjonalnym szeptem Anna, którą wprost paliły posiadane informacje. – Podśluchałam sałacıarzy. Jeden z nich opowiadał o ucieczce ulicami Warszawy przed zazdrosnym mężem i rozmowie pasażerów, że kupią dodatkowy bilet na pociąg do Kowła. Śmiał się przy tym, jak zgubił pościg przy Ogrodzie Krasińskich.

Czerski podskoczył z wrażenia i dłonią otarł czoło.

– Czyli jadą... – wykrzyknął, ale nie skończył zdania, bo Anna położyła mu dłoń na ustach. Czerski natychmiast ucałował jej rękę. Ługin pochylił się i wyszeptał.

– Jadą na południe na punkt przerzutowy w Storczowie. To bardzo chronione miejsce, nikt go nie zna. Używane tylko przy najważniejszych przerzutach. Mamy

tam kilku agentów po waszej stronie, ale pewno użyją takiego jednego, nazwiska nie pamiętam, będziemy musieli poszukać. U niego pod chałupą bunkier, można tam ukryć nawet kilku ludzi. Słyszałem o tym miejscu.

I bardzo chętnie pojedę w tamte strony – dodał w myślach Ługin. Mam tam swoje sprawy do załatwienia.

Anna tryumfowała, oto bez pomocy broni, której serdecznie nienawidziła, odkryła, dokąd udali się bolszewiczcy agenci. Czerski poczuł ulgę. Zobaczył przed sobą isierkę nadziei. Isierkę zbudowaną na podsłuchanych plotkach dorożkarzy i wiedzy byłego czekisty.

Rozdział XII

Kresy – czerwiec 1926

Czerski odetchnął pełną piersią, z rozkoszą wchłaniając w płuca zapach kresowego powietrza. Po miesiącach pobytu w wielkim mieście czuł się jak zaczadzony, a tu, wśród pól i łąk, orzeźwił go słodki zapach burzanów i iglastego lasu. W pierwszej chwili po opuszczeniu pociągu nie czuł nic, dopiero kilka godzin później, kiedy jego nos pozbył się odoru miasta, wtedy w pełni doznał olśnienia. Te aromaty kojarzyły mu się z najlepszymi latami jego życia – życia w siodle, ze służbą w kawalerii i zwycięską walką z najazdem bolszewików. Tamte czasy kampanii konnej 1920 roku stanowiły nieskomplikowany okres jego egzystencji, kiedy młodzińcza brawura i wykonywanie rozkazów zastępowały głębokie dywagacje, a szabla w dłoni pokonywała wszelkie bariery, jakie nieprzyjaciel mógł tworzyć na jego drodze. Westchnął ponownie i poczuł zawrót głowy. Tyle czystego powietrza, że jego organizm wprost nie mógł się nacieszyć.

Nad polami zachodziło słońce, które opadając w stronę horyzontu, kryło się za lasem. Cienie przed nimi wyciągały się i wskazywały im drogę na wschód. Marszerowali w milczeniu, długim krokiem i z każdego pokonanego wzgórze spoglądali przed siebie, wypatrując celu podróży. Droga, którą szli, była częściowo zarosnięta trawą i Czerski niepokoił się, że po zmroku mogą łatwo zgubić kierunek i zacząć krążyć po polach.

Zostawili Annę w jej warszawskim mieszkaniu, zmuszając ją do złożenia solennego przyrzeczenia, że następnego dnia rannym pociągiem wyjedzie do Dąbrówki. Czerski uważał, że tam będzie bezpieczna. Przed odjazdem napisał długi list do ojca z wyjaśnieniem, dlaczego w domku mieszkała Anna, i prośbą o opiekę nad nią. Potem wraz z Ługinem wskoczyli do pośpiesznego do Kowla, tam przesiadli się do pociągu idącego do Sarn, żeby w końcu trzecim pociągiem dojechać do Hubkowa. Dalej trzeba było już podróżować podwodą. Zmęczeni do ostateczności przespali noc w zajeździe w Hubkowie i rankiem znaleźli chłopca jadącego na wschód. Przejechali wozem połowę drogi do Storczowa i dalej poszli piechotą. Obaj często rozglądali się, szczególnie kiedy droga wiodła przez otwarte pola. Znaleźli się w strefie przygranicznej i Czerski uważał, że muszą z tą samą ostrożnością unikać patroli KOP-u i wałęsających się po pograniczu przemytników. Nigdy nie wiadomo, kto i co będzie od nich chciał.

W ostatnich promieniach znikającego za lasem słońca Czerski zobaczył leżącą przed nimi wieś. Pobielone ściany chałup odbijały resztki światła, a na tle nieba odcinały się wysokie słupy żurawi, które tutaj zastępowały korbę przy studni.

– No, tak jakbyśmy byli w Żychcinie – powiedział sam do siebie Czerski.

– O, tam widać resztki spalonego dworu – wskazał mu Ługin. – Mnie trzeba tam pójść.

– Co macie we dworze, Ługin? – zapytał Czerski i odgadł. – Ukryliście tam coś, jak przechodziliście po raz pierwszy granicę. Co?

– A ukryłem. I tak jak przyrzekłem panu porucznikowi, podzielę się.

– Mówiliście o skarbie, zaraz, zaraz, to było w Rembertowie, jak was czekali bili.

– A, tak było.

– No, to chodźmy, byle szybko, bo światła z każdą chwilą mniej. W nocy pewno nie odszukacie waszego skarbu.

– Już ja go znajdę i po ciemku – odparł pewny siebie Rosjanin i ruszył szparkim krokiem w dół wzgórza.

– Jak już znajdziecie, to pójdziemy do chałupy – rzucił za odchodzącym Czerski. – Tu mieszkają osadnicy, to i bezpiecznie można się przespać.

Ługin nie odpowiedział. Nareszcie docierał do celu i nic już go nie obchodziło, tylko odnalezienie schowanego woreczka, który zabrał Arychtomowowi. Nie planował jeszcze, co zrobi, jak już kosztowności znajdą się w jego ręku, ale rozumiał, że ucieczka od bolszewików będzie łatwiejsza i w przyszłości będzie mógł żyć dostatnio. To był jego cel, który wykombinował sobie po załamaniu się misji odprowadzenia Arychtomowa do Polski. Ługin, wierny oficer OGPU, nie wiedział, po co eskortuje „białego” do granicy z Polską, ale nie zadawał zbędnych pytań. Dawny carski oficer nie wytrzymał trudów podróży, a może przejął się za bardzo odzyskaną wolnością, i zmarł na serce. Początkowo Ługin zamierzał wrócić do Moskwy, ale po krótkim namyśle zobaczył swoją szansę na wzbogacenie się i wyjazd z Sowietów. Próbuąc ratować umierającego, namacał na jego piersi woreczek i wiedziony ciekawością otworzył go. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy na brudną dłoń wysypał złote monety, pierścionki z kamieniami i diamentową kolię. Kto by nie skorzystał? Ługin domyślał się, że Arychtomow wygrzebał dobrze ukryte skarby rodzinne i zamierzał opłacić nimi nowe życie w Polsce albo w Niemczech czy Francji. Nie zastanawiał się długo, mógł wrócić do Moskwy do Czeka i oddać skarb albo spróbować szczęścia i zająć miejsce Arychtomowa. Wybrał to drugie. Tamtej nocy, zanim podszedł do dworku, ukrył woreczek z kosztownościami. Ługin znał metody działania wywiadu i wiedział, że zostanie bardzo szczegółowo zrewidowany, a znalezione przy nim kosztowności przepadną. Wybrał jedyne mądre rozwiązanie – zadekował cały skarb. Rzeczywistość okazała się gorsza od jego przewidywań. Ukryty w stogu mokrego siana na własne oczy widział szturm na dworek w Żychcinie i bitwę, jaka tam się rozegrała. Uratowała go noc, deszcz i własne kunktatorstwo, kiedy postanowił przez godzinę obserwować dworek z daleka, zanim do niego podejdzie. Dzień po napadzie zgłosił się do placówki KOP-u, zapewniając sobie ochronę w momencie, kiedy całe pogra-

nicze nagle znalazło się w stanie alarmu. Powiedział sobie, że odbębni w polskim więzieniu rok, może dwa, uznają go za uciekiniera i zwolnią, a wtedy wróci po skarb i zniknie wszystkim z oczu. Los chciał inaczej, musiał pokonać wiele przeszkód, nie sam, miał pomoc polskiego oficera, którą musiał odsłużyć, ale w końcu docierał do swojego majątku. Wpatrzony w jedno miejsce kroczył długim wojskowym krokiem przed siebie. Jeszcze tylko pół wiorsty i wszystko będzie jak w bajce.

Czerski, schodząc ze wzgórza, trzymał się o kilka kroków za Ługinem i robił to z wyrachowania. Pomyślał, że jeśli Ługin zastawiał jakąś pułapkę, to niewielki dystans dawał mu ułamek sekundy na reakcję. Czerski wierzył Ługinowi, ale teraz nad samą granicą z Bolszewią poczuł obawę, że może chcą go porwać i pomścić śmierć swoich agentów. Na samą myśl o spotkaniu z Czeka czuł nieprzyjemny dreszcz strachu przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Postanowił sobie, że gdyby miało dojść do walki, to nie podda się, ma pistolet w kieszeni, a w ostateczności będzie bił pięściami. Miał kilkuletnie doświadczenie, które mówiło mu, że z rąk Czeka nie ucieknie. To, co udało mu się w Rembertowie, nie mogło udać się w głębi Rosji.

Ługin zatrzymał się na drodze przed spalonym dworkiem i ponuro patrzył na ledwie widoczne w szarówce zgliszcza. Od wsi oddzielała ich kępa drzew i kawałek łąki. Na skraju lasu stała ozdobiona kwiatami przydrożna kaplica z pomalowaną na niebiesko figurą Matki Boskiej.

– Ja tak myślę, panie poruczniku, że oni wybrali Żychcin na swoją operację, bo Storczów jest opodal – powiedział Ługin, nie odrywając wzroku od wypalonych murów. – Tu mieli gotową drogę odwrotu. To była wojskowa operacja, zaplanowana i przeprowadzona przez oficera, który przewidział wszystkie warianty akcji.

– To możliwe – powiedział Czerski. – Storczów jest tylko kawałek drogi na południe.

– Gdyby nie ja – rozważał dalej Ługin – gdybym wrócił do Moskwy i zameldował, że Arychtomow zmarł w drodze, to nie byłoby tej masakry.

– Nieprawda. Sami mówiliście, że ktoś wszedł do dworku, jak leżeliście w sianie. Widać tamtego bolszewicy wzięli za Arychtomowa i uderzyli. Oficer miał rozkazy i atak musiał nastąpić, czy byliście tutaj, czy nie. A poza tym było już za późno na odwołanie akcji.

– Owszem. Tak widać musiało być.

Ługin westchnął i popatrzył na szybko ciemniejące niebo. Potem odwrócił się i poszedł w stronę kapliczki.

Czyżby dawny czekista, który musi mieć na sumieniu życie wielu niewinnych ludzi, nagle doznał wyrzutów sumienia – pomyślał Czerski, patrząc za odchodzącym Rosjaninem.

Ługin stanął przed kapliczką, wschodnim zwyczajem przeżegnał się trzy razy i w skupieniu patrzył na figurę Maryi.

Czy on zamierza się modlić? – spytał sam siebie Czerski. To już byłoby bardzo dziwne.

Ale Ługin nie modlił się, a tylko powoli, bardzo dokładnie lustrował okolicę i czekał na głębsze ciemności. Czerski podszedł bliżej i chrząknął znacząco. Nie chciał przypominać, że robi się ciemno, a odnalezienie skarbu wymagało światła. Ługin jednak nie reagował i dopiero po dłuższej chwili podszedł do kapliczki, odsunął na bok kwiaty w wazoniku i wyjął ze środka figurę. Przez chwilę majstrował przy podstawie i wreszcie z głębokim westchnieniem ulgi wyciągnął ze środka skórzany woreczek. Figura była fajansowa, malowana i pusta w środku, zatem stanowiła doskonałą skrytkę na mały przedmiot. Czerski patrzył z podziwem, doceniając doskonałą kryjówkę. Polacy nie ruszali figury, której bronila świętość postaci, Rosjanie byli wobec niej całkowicie obojętni. Nikt nie mógł domyślać się, że coś leżało w niej ukryte.

– No, to moja misja zakończona – powiedział Ługin, waząc na dłoni woreczek. – Jutro zajmiemy się tym, co interesuje pana porucznika – Bobińskim.

– No, proszę – mruknął Czerski. – Nie doceniałem was, Ługin.

Ługin pokiwał głową i ostrożnie odstawił figurę na miejsce. Czerski przeżegnał się przed Maryją i w milczeniu poszli razem do wsi.

Bobiński dotarł w końcu do kresu przydługiej podróży i z niekłamaną radością cisnął walizeczkę na podłogę chałupy, na co gospodarz natychmiast zareagował. Dwie minuty później w bunkrze pod chałupą Bobiński spotkał dwóch agentów bolszewickich, którzy poprzedniej nocy przekroczyli granicę i czekali na niego. W izbie gospodarz, ukraiński chłop, a jednocześnie szef placówki przerzutowej, oglądał kopertę z rozkazami przyniesioną przez Polaka. Przed rozdaniem koperty sprawdził, czy nie była otwierana, ale nitka zabezpieczająca leżała równo przyklejona i nie wyglądała na przerwana. Uspokojony rozerwał papier i zaczął czytać.

Storczów – czerwiec 1926

Osadnik wojskowy, do którego domu zapukali w Żychcinie, nie zadawał zbyt wielu pytań, wziął drobną sumę pieniędzy i pozwolił im przespać się na słomie w stodole. Niepytany podał im jednak istotną wiadomość, że w Storczowie przez miesiąc kwaterowali ułani, ale już wrócili do swoich koszar. Patrzył przy tym uważnie na ich reakcję, jednak Czerski tylko pokiwał głową i nie wspomniał nawet, że wybiera się w tamtą stronę. Natomiast zaczął mówić o podróży do brata, który miał gospodarzkę we wsi na północ od Żychcina, jednak gospodarz machnął tylko ręką i zatrzasnął im drzwi chałupy przed nosem. Widać nie wierzył w takie bajdurzenia.

W stodole zaczęli rozważać powód, dla którego ułani mogli zająć kwatery w Storczowie. Ługin podsunął, że wojskowi podejrzewali chłopów we wsi

o współpracę w napadzie na dworek i pokarali ich kwaterunkiem. Czerski zgodził się z tą myślą i zamierzał ją dalej rozwinąć, ale znużony całodzienną podróżą zasnął.

Czerski zamierzał przespać kilka godzin i jeszcze przed świtem wyruszyć w drogę do Storczoza, żeby wślizgnąć się do wsi w ciemnościach. Zmęczenie i świeże powietrze okazały się jednak silniejsze i obaj obudzili się, kiedy słońce stało wysoko na niebie. Wyprawę trzeba było odłożyć do zmroku i Czerski klął piętrowo na własną słabość. Zjedli chleb z mlekiem i pożegnawszy gburowatego osadnika, wyruszyli drogą na północ.

Czerski, mając czas, rankiem przed śniadaniem obmyślił plan wejścia do Storczoza od wschodu, od strony granicy, co pozwalało na udawanie bolszewickich agentów przed chłopami, ale jednocześnie niosło za sobą zwiększone ryzyko spotkania patrolu KOP-u. Przedstawił swoje zamiary Ługinowi i po przedyskutowaniu uznali je za ryzykowne, ale wykonalne. Ługin zrobił jedno zastrzeżenie, że w rozmowach z sowieckimi agentami przedstawi się jako przewodnik i to on będzie mówił. Czerskiemu przypadła zatem rola dywersanta idącego do Polski z misją terrorystyczną. Po uzgodnieniu ról szerokim łukiem obeszlą Żychcin i podążyli w kierunku Storczoza.

O zmroku Czerski i jego towarzysz wyszli z młodniaka, w którym od kilku godzin czekali na zmierzch, i zaczęli się zbliżać do wioski. Szli przez szerokie, opadające lekko w stronę wioski wrzosowisko i dopiero blisko zabudowań znaleźli się na zaoranym polu. W krytych strzechą chałupach paliły się pojedyncze żółtawe światła, które Czerski określił jako lampy naftowe, ale część zabudowań pozostawała pogrążona w całkowitych ciemnościach. Na tych terenach nie było to niczym dziwnym, gdyż powszechnie panująca bieda powodowała, że nafta do lamp dla wielu mieszkańców stawała się niedostępnym luksusem. Zeszli z pola wprost na polną drogę wiodącą do osady, szeroko rozsianych chałup było zbyt mało, żeby mogła to być wieś z prawdziwego zdarzenia. W wieczornej ciszy słychać było szum sosen na wietrze, skrzyp żurawi i stukającą o słupek niedomkniętą furtkę w płocie. Czerskiemu wydawało się, że przez orne pole nie prowadziła żadna droga.

Może w ten sposób usiłują odgrodzić się od granicy, która musi być blisko za lasem – pomyślał, oglądając się za siebie. Im droga do Bolszewii niepotrzebna. Ale czemu psy nie szczekają? Stoimy już między zabudowaniami.

– Czemu psy nie szczekają? – spytał niespokojnym szeptem, łapiąc Ługina za ramię.

– A po co im psy? – odparł Rosjanin. – Żeby alarmowały patrole, że obcy zbliża się do wsi. Chłopom to niepotrzebne.

– Ale przecież żołnierze KOP-u nie są tak głupi, żeby tego nie wiedzieć – domagał się dalszych wyjaśnień Czerski.

– Wiedzą, no i co z tego – Ługin wzruszył ramionami. – Wieś trudni się szmuglem, a raz od wielkiego dzwonu ktoś przyjmie idącego na zachód nielegała. Tylko obecności bolszewików udowodnić nie sposób, a na przemyt KOP patrzy przez palce.

– Rozumiem – mruknął Czerski. – Która to chałupa?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie ta z brzegu. To będzie któraś w głębi wsi.

– No to co robimy? Będziemy pytać, kto przechowuje bolszewików? – zakpił Czerski i pokręcił głową z frustracją. Do głowy mu nie przyszło, że Ługin nie wie, które obejście jest obsadzone przez człowieka Czeki.

– Coś w tym rodzaju – odparł Ługin. – Oni tu wszystkie są czerwone.

– Hę? – Czerskiego zatkało. Rozejrzał się po osadzie i spokojnie naliczył osiem gospodarstw w zasięgu wzroku. To oznaczało, że miał do czynienia nie z dwoma, lecz z kilkunastoma przeciwnikami. – Wszyscy? Jeśli tak, to nie mamy szans.

– Pan porucznik chciał Bobińskiego – powiedział obojętnie Ługin. – Jesteśmy niedaleko. Mamy wracać do Warszawy?

– Pójdziemy po KOP do Hubkowa.

– Stracimy cały dzień, a on może przejdzie granicę. KOP nam nic nie pomoże, bo nie uwierzy w opowiadanie pana porucznika. Ci tutaj to muzyki, oni bić się nie będą i może jeden między nimi ma przeszkolenie. Mogą ubić bezbronną ofiarę, ale walczyć i ryzykować życiem, co to, to nie. Bierzem go czy nie? Ja swoje załatwiłem, mnie tam wszystko równo.

Czerski wysłuchał argumentów Ługina, stanął pośrodku drogi i pokręcił głową. Misja nagle zaczęła wyglądać na samobójstwo. Każda chałupa kryła w sobie potencjalnego przeciwnika, a ich było tylko dwóch i mieli po garści amunicji. Ponure rozważania przerwał mu szept Ługina.

– Popatrzę przez okno, będzie go widać, znaczy się Bobińskiego. Każda chałupa to jedna izba, nie ma gdzie się kryć.

– Mówiliście, że przewodnik ma bunkier pod podłogą.

– W nocy nikt w bunkrze siedział nie będzie. W dzień to co innego, ale z wieczora będą samogonkę pili.

– Ale jak wejdziemy, jeden strzał i po nas.

– To trzeba będzie po cichu. Wejdziem jako bolszewiki, co to granicę dopiero przeszli, a potem capniem go i w nogi.

Ługin nie czekał na dalsze wątpliwości, przelazł przez płot najbliższego gospodarstwa i podkradł się pod ścianę budynku. Zajrzał w okno i spojrzawszy w stronę Czerskiego, pokręcił głową. Nie zobaczył nikogo znajomego. Poszli dalej. W ciszy słychać było tylko szelest piasku pod butami na rozjeżdżonym trakcie. Księżyc, który świecił, kiedy zbliżali się do wsi, skrył się za chmurami i tylko

ciemne sylwetki ludzi odcinały się na tle jaśniejszej wstęgi piaszczystej drogi. Czerski ze zdenerwowania czuł pulsowanie w skroniach, odruchowo sprawdził pistolet w kieszeni. Ale pewność, jaką daje broń, wyparowała z niego po wiadomości, z ilu przeciwnikami może mieć do czynienia.

Głupstwo zrobiłem, że nie poszedłem do KOP-u w Hubkowie – pomyślał. Ługin ma rację, teraz za późno. A swoją drogą, co Ługin robi tu jeszcze ze mną. Skarb znalazł, mógłby uciekać, a on idzie ze mną na bardzo ryzykowną eskapadę. Mało tego, namawia mnie, kiedy zaczynam się wahać. Nie rozumiem tego człowieka.

Ługin podkradł się pod stojącą z brzegu osady chałupę i szybko zajrzał w oświetlone okno. Momentalnie schował się i pokiwał ręką na Czerskiego.

– Siedzą przy stole w trzech – wyszeptał mu w ucho, kiedy Czerski przykucnął obok niego za węglem. – Piją.

– Trzech? – szepnął zdziwiony Czerski. Zauważył, że przy kucaniu pyknęło mu coś w stawie kolanowym. Złożył to na karb ciężkich warunków, w jakich znalazł się w obozie w Bolszewii, ale w głębi duszy wiedział, że była to pierwsza oznaka odchodzącej młodości.

Ługin tylko rozłożył ręce. Skąd miał wiedzieć, dlaczego było ich trzech. Tyłu zobaczył. Czerski zaczął szybko myśleć, jak wywabić gospodarza na podwórze. Zawsze o jednego mniej, gdyby go złapali pierwszego. Popatrzył po obejściu i nagle wpadł na bardzo prosty pomysł.

– Tam jest wykopany dół kloaczny – pokazał palcem w ciemność na mały budynek na skraju obejścia. – Jeśli piją, to będą chodzili szczać. Który wyjdzie, to w łeb i jednego mniej. Załatwisz to?

Ługin kiwnął głową, że rozumie i oddalił się we wskazaną stronę, a Czerski przyczaił się za rogiem drewnianej chałupy. Usiadł z nogami wyprostowanymi przed sobą, oparty plecami o ścianę. Z tej pozycji wstaje się dłużej niż z kucek, ale bał się, że w pozycji kucznej ścierną mu nogi i nie będzie zdolny do szybkiego ruchu. Czas mijał i nic się nie działo, przez ścianę dochodził go odgłos prowadzonej podniesionymi głosami dyskusji, ale nie rozumiał słów. Wiatr osłabł i zapadła zupełna cisza. Czerski wyjął pistolet z kieszeni i powoli, żeby robić jak najmniej hałasu, zarepetował. Od tego momentu trzymał go w ręku. Po półgodzinie przełożył broń do lewej ręki i wytarł spoconą prawą dłoń o spodnie. Wtedy skrzypnęły drzwi i przez próg wypełził promień słabego światła. Zaszurały kroki, ktoś szedł na stronę. Dokładnie jak przewidział Czerski, pijący musieli oddać dług naturze. Wychylił się zza węgła i w oddali zamajaczyła chwiejnie poruszająca się biała koszula, przesunęła się w stronę rogu gospodarstwa i zatrzymała się. Potem człowiek stęknął, ale Czerski nie dosłyszał odgłosu padającego ciała – Ługin musiał złapać swoją ofiarę i powoli położyć na ziemi. Czerski z niepokojem nasłuchiwał, czy atak nie został zauważony, ale nikt wewnątrz nie podniósł alarmu.

Jednego mniej – pomyślał, ale udany początek akcji nie rozwiązał napięcia.

Skrzypienie piasku dało mu znać, że Ługin wrócił. Usiadł obok Czerskiego i otarł pot z czoła dłonią, w której wciąż trzymał rewolwer.

– To Bobiński? – zapytał Czerski z nadzieją w głosie.

– Nie – odparł Ługin. – Jakiś nieznajomy. Nigdy go nie widziałem.

– No, to dwóch w chałupie i pewno baba. Idziemy po nich – zdecydował Czerski, czując przyływ podniecenia, jakie odczuwał tylko przed walką. Nagle opanowała nim niespożyta energia działania, jakby wiedział, że jest to jego ostatnia szansa na pomszczenie rany Niemojewskiego. Kilka razy zamrugnął oczami, przełożył pistolet do prawej ręki i podniósł się z ziemi. Ługin stanął tuż za nim.

Czerski bez pośpiechu otworzył drzwi do chałupy i zwyczajnie wszedł do izby. Wnętrze było typowe dla Kresów: na środku stał stół z dwoma ławami po obu stronach i naftową lampą na blacie, na przeciwległej ścianie zbudowano piec z miejscem do spania dla gospodarzy, z boku wisiała makata zasłaniająca pół pozostałej ściany. Wiadro, miednica i wielki kredens dopełniały wyposażenia. Kryta strzechą chałupa, mała i zapadnięta w ziemi ze starości, miała jedno wejście i dwa okna. Brak było natomiast typowego w tych rejonach obrazu z wizerunkiem świętych czy chociażby krzyża wiszącego nad progiem.

Całkowicie pozbawione dramatyzmu wejście kupiło Czerskiemu kilka sekund czasu. Siedzący przy stole Bobiński podniósł głowę, spojrzął na Czerskiego i obojętnie opuścił ją, wracając do pokazywania siedzącemu obok mężczyźnie czegoś w leżących tam papierach. Dopiero sekundę później jego mózg przyswoił informację i Bobiński jakby żgnięty sztyłem poderwał się z ławki. Ta sekunda pozwoliła Czerskiemu na przejście izby i podsuniecie szpiegowi lufy pistoletu pod sam nos. Bobiński zastygł w bezruchu, jakby zamarł, wytrzeszczył oczy i otworzył usta w bezgranicznym zdumieniu. Twarz mu pobladła, a oczy jak zahipnotyzowane wpatrywały się w Czerskiego. Tymczasem jego stale siedzący przy stole towarzysz gwałtownym ruchem wsadził rękę do kieszeni marynarki.

– Nie rób tego – ostro po rosyjsku powiedział Ługin, który pozostał na progu i w wyprostowanej ręce trzymał naganta.

Jacek Żuromilski, który kompletnie nie rozumiał, co działo się w chałupie, rzucił okiem na Ługina, ale nie wypuścił z dłoni trzymanego w kieszeni rewolweru. Przeniósł wzrok na Czerskiego i z powrotem na Ługina, usiłował znaleźć jakieś wyjście, ale przeszkolenie, które przechodził w szkole INO, nie obejmowało działań w sytuacjach beznadziejnych. Analiza dotychczasowych wydarzeń, a każdy agent miał na szkoleniu wbijane do głowy, żeby najpierw analizować, a dopiero potem działać, uświadomiła mu, że ma do czynienia z Rosjanami, którzy z jakiegoś nieznanego mu powodu zaatakowali odchodzącego z Polski agenta.

– Połóż ręce na stole – powiedział do niego Ługin, który zaraz potem obrzucił wzrokiem izbę i zwrócił się do małej, siwiejącej kobiety, która siedziała jak

martwa na zydlu pod piecem: – Ani słowa.

– Kto wy? – spytał Żuromilski, nie ruszając się z miejsca.

– Nie wasza sprawa! Wykonać! – powiedział Ługin głosem nieznoszącym sprzeciwu i wycelował w niego broń.

Tymczasem Czerski bez słowa zaczął odpinać pasek od spodni Bobińskiego. Patrzył mu w oczy i jednocześnie przyciskał lufę pistoletu od dołu pod szczęką.

– Co wy robicie? – wymamrotał sparaliżowany strachem Bobiński. W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl, że Czerski, ten renegat, odnalazł go dosłownie na moment przed przekroczeniem granicy. Wydawał mu się jakimś niezwykłym wojownikiem, który potrafił w Rembertowie nie tylko zabić własnego kata, Szurajewa, ale również odszukać Bobińskiego raz w Warszawie i teraz ponownie w, здаwałoby się, bezpiecznej kryjówce na Kresach. Nie dość na tym. Czerski wlaźł przecież między bolszewickich agentów i zamierzał porwać go, co było czynem szaleńczym. Cała wieś składa się z nich, ale wydawało się, że nie ma to znaczenia dla Polaka. W umyśle Bobińskiego krystalizowała się powoli myśl, że ma do czynienia nie z człowiekiem, ale z przeznaczeniem, a z przeznaczeniem walczyć niepodobna.

– Najmniejszy ruch, a mózg polecą na sufit – Czerski szeptem ostrzegł Bobińskiego.

Żuromilski powoli wyjął rękę z kieszeni i położył obie dłonie płasko na stole. Czuł się zagubiony. W bezpiecznej kryjówce, zaraz po przejściu granicy, został napadnięty i zmuszony do kapitulacji, zanim jeszcze podjął swoją akcję w Polsce. Dobijało go jednak, że stale jeszcze nie mógł zrozumieć, co rozgrywało się przed jego oczami. Ługin powoli przesunął się w bok, tak że nie stał w drzwiach. Wołał mieć za plecami ścianę z grubych pni niż cienkie deski. Zauważył, że Żuromilski nie wyjął z kieszeni marynarki broni, a jedynie położył dłonie na blacie stołu, czyli usiłował zachować zdolność do zaatakowania, czekał tylko na sposobność. W każdym innym warunkach Ługin zastrzeliłby go, ale w Storczowie nie chciał ściągać na nich uwagi mieszkańców. Uznał, że rozbroi Żuromilskiego, jak Czerski upora się z Bobińskim.

Kobieta pod piecem zaczęła pochlipywać z cicha, jednocześnie nerwowo szurając nogami po podłodze. Ługin nie chciał na nią krzyczeć, gdyż to mogło wywołać atak hysterii, ale musiał spoglądać na gospodynię od czasu do czasu. Czerski wyciągnął pasek ze szlufek spodni Bobińskiego, obrócił go tyłem do siebie i przełożył lufę pistoletu na tył jego głowy.

– Nie drgnij, bo mózg wyplujesz oczami – wyszeptał syczącym tonem w ucho Bobińskiego, który jak lalka poddawał się wszystkim operacjom. Na czole Bobińskiego zaczęły formować się krople potu, a jego oczy biegały po izbie, szukając pomocy, która znikąd nie nadchodziła. Drżały mu ręce i opadły ramiona, był pokonany.

– Bobiński jest zdrajcą – powiedział po rosyjsku Czerski, który pomyślał, że

w ten sposób wprowadzi więcej zamieszania w szeregi czekistów. – Zabieramy go ze sobą.

– Sam zdrajca! – wrzasnął Bobiński w nagłym przyпыływie odwagi i szarpnął się, chcąc wyrwać już skrępowane ręce. Czerski zamiast strzelić walnął go kolbą pistoletu w tył głowy.

– Milczeć! – warknął groźnie.

Żuromilski wykorzystał sekundę zamieszania i ponownie sięgnął do kieszeni po broń. W tym momencie poruszyła się makatka na ścianie za plecami siedzącej w bezruchu kobiety. Czerski, stojąc tyłem, nie mógł tego widzieć, ale czujny Ługin zauważył ruch i skierował w tamtą stronę rewolwer, jednocześnie przesuwał się dalej wzdłuż ściany. Zza makaty ukazała się lufa naganta i padł strzał. Pocisk ugrzązł w ścianie w miejscu, gdzie przed chwilą stał Ługin. W jednej chwili izba napełniła się krzykiem, strzałami i swędem spalonego prochu. Żuromilski kocim ruchem wsadził rękę do kieszeni, szarpnął rewolwer, ale zanim zdążył, strzelić Czerski kopnął go i przewrócił. Ługin strzelił w róg makaty, ale stojąc pod ostrym kątem, widocznie spudłował, bo zza makaty padł drugi strzał. Kobieta siedząca pod piecem zerwała się na nogi i z krzykiem rzuciła się w stronę drzwi. Bobiński zobaczył swoją jedyną szansę na wydostanie się z matni, odepchnął całym ciałem Czerskiego i ruszył w stronę wyjścia, na środku izby zderzył się z gospodynią i obydwójce upadli. Ługin klęknął pod ścianą i strzelał w makatę, aż w końcu za trzecią próbą trafił i łomot padającego ciała, którego wciąż nie było widać, oznajmił mu, że niebezpieczeństwo zostało wyeliminowane. Czerski popchnięty do tyłu przez Bobińskiego usiadł z łomotem na ziemi, ale momentalnie podniósł pistolet i strzelił do celującego w Ługina Żuromilskiego. Nie trafił, ale przestraszony oddanym z bliska strzałem bolszewik upuścił rewolwer i odruchowo rzucił się w bok, w stronę drzwi. Żuromilski, widząc wolną drogę, wyturlał się z izby na podwórze i zniknął w ciemności. Czerski strzelił za nim, ale wiedział, że było to beznadziejne.

Strzelanina ucichła równie nagle, jak się rozpoczęła, Czerski i Ługin spojrzeli na siebie. Obaj wyglądali jakby kule ich ominęły. Na moment wszelki ruch w chałupie zamarł, jakby wszyscy sprawdzali, kto żyje, a kto nie. Dopiero mgalnie oka później Bobiński zaczął wstawać z drewnianej podłogi, patrząc rozpaczliwie na drzwi, przez które wiodła droga do wolności. Czerski poderwał się, wycelował pistolet w makatę i podszedł bliżej. Zerwał materiał ze ściany i zobaczył nogi leżącego człowieka. Za makatą dobudowano schodki i małą komórkę ukrytą w ziemi. To był bunkier, w którym kryli się bolszewiczcy agenci po przejściu granicy i o którym opowiadał Ługin. Odwrócił się zobaczyć, gdzie jest Bobiński i wzrok jego padł na Ługina, który z rewolwerem w dłoni sięgał lewą ręką, żeby poderwać go za kołnierz z podłogi.

Nagle otworzyły się drzwi chałupy i stanął w nich chłop w białej koszuli z okrwawioną strzechą blond włosów na głowie. W rękach trzymał typowego dla

przemytników urzyna zrobionego z karabinu piechoty przez obcięcie części lufy i kolby. Taka broń nie była celna, ale łatwa do ukrycia, a przemytnicy nigdy nie strzelali na dystans większy jak kilka kroków. Chłop chwiał się na niepewnych nogach, ale potoczył nieco zamglonym wzrokiem po izbie, obserwując rozgrywającą się przed nim scenę. Ługin, stojąc nad klęczącym Bobińskim, zaczął już podrywać rękę, żeby strzelić, ale nie zdążył. Krótka broń drgnęła w rękach gospodarza i padł strzał. Ługin i Bobiński runęli na plecy.

Czerski podniósł rękę z pistoletem, ale w drzwiach nie było już nikogo, a tylko przerażona kobieta uciekała na czworaka na podwórze. Pozwolił jej.

Czerski zrobił kilka kroków i pochylił się nad Ługinem, który leżał na wznak z wytrzeszczonymi oczami. Na jego nogach leżał Bobiński, a jego koszula szybko pokrywała się rosnącą plamą krwi. Był martwy. Ługin powoli wstał z podłogi i patrzył zdziwiony na trupa.

– Co? Czemu? – wymamrotał przez ściśnięte wargi.

Czerski dopadł drzwi i wyjrzał na podwórze. Niczego nie mógł zobaczyć, panowała zupełna ciemność, ale z pobliskich domostw słychać było krzyki i trzaskanie drzwiami. Cofnął się do izby i rozejrzał wokoło. Na zbryzganej krwią podłodze leżały dwa trupy. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i wypuścił.

– Uciekamy! – krzyknął do Ługina. – Już po wszystkim. Chłopi idą. Uciekamy.

Ługin rzucił się ku drzwiom i wtedy z ciemności padł strzał. Pocisk wleciał przez otwarte drzwi chałupy i drasnął Ługina w wyciągniętą rękę. Rosjanin obrócił się wokół własnej osi i ponownie upadł na podłogę. Nagle nad wsią rozpętała się kanonada. Chłopi strzelali ze wszystkich stron, kule wpadały przez drzwi i oba okna. Strzały były niecelne, szły górą, ale w ocenie Czerskiego przynajmniej czterech ludzi strzelało do nich z karabinów.

– Cholera jasna – rzucił Czerski. – Ługin, co z wami?

– Nic takiego, draśnięcie – odpowiedział dawny czekista. – Drobiazg. Mogę nawet ruszać ręką.

– To dobrze, to dobrze – Czerski odetchnął. – Walą gęsto.

– Widać swołocznie mają amunicję – wycodził przez zęby Ługin. – Dużo marnują. Będzie ich kilku.

– Po mojemu ze czterech – odparł Czerski i podsunął się do Ługina. – Pokaż rękę, spróbuję opatrzyć.

– E, nie warto, draśnięcie – odparł Rosjanin i szybko wyjrzał na podwórze. – Nic nie widzę.

Czerski złapał go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

– Siedź i nie wystawiaj łba – warknął. – Poszukam czegoś czystego, żeby chociaż przewiązać ci rękę.

Podczołgał się do kredensu i wywalił dwie szuflady. W drugiej znalazł czy-

stą, poskładaną pościel. Wyciągnął prześcieradło i udarł pas materiału. Rana rzeczywiście okazała się powierzchowna i po chwili Ługin z przewiazaną ręką nadal wychylał się zza futryny, żeby obserwować atak. Strzelił dwa razy w ciemność, ale bez widocznego skutku.

– Lampa – krzyknął, odwracając głowę – Jesteśmy oświetleni.

Czerski, siedząc na deskach podłogi, sięgnął po lampę na stół. Postawił ją ostrożnie na dole i zdmuchnął płomień. Izba pograżyła się w ciemności. Natychmiast celność ognia prowadzonego z zewnątrz zmaląła, większość pocisków zaczęła uderzać w ściany. Tępy odgłos bicia kul w drewno zastąpił świst wpadających przez okna pocisków i brzęk tłuczonego szkła.

– Co robimy, panie poruczniku? – spytał Ługin.

– Nie wyjdziemy stąd – odparł Czerski. – Jedne drzwi i pod ogniem kilku karabinów. Żadnych szans. Zaczekamy na patrol KOP-u. Muszą być gdzieś niedaleko, przyjdą na odgłos strzałów.

– Może być za późno. Dużo ich. Cała wieś się już pewno zleciała.

– Niemożliwe, żeby cały Storców składał się z bolszewickich agentów – odparł Czerski zdziwiony.

– A czemu nie? Osadzili ich tutaj, żeby mieć pewne przejście przez granicę i kryjówki po tej stronie. Jeszcze chwila i pójdą do ataku. Zbliżają się. Widzę to po ognikach wystrzałów.

– To trzeba dać im nauczkę, żeby nie pchali się za blisko. Jak pójdą do przodu, musimy ich wystrzelać.

– Jak? Z pistoletów? Toż oni mają karabiny.

– Powiedziałem, jak pójdą do przodu. Dystans się skróci i pistolet będzie lepszy. Karabin po każdym strzale trzeba repetować, pistolet strzela szybciej.

– Przecież nie będą nacierać. To tylko chłopci, a nie wojsko. Boją się.

– To ich sprowokujemy.

– Jak?

– Tak jak teraz, nic nie robiąc. Pomyślą, że już nas zabili.

– Plan dobry, byle zadziałał. Amunicji mało.

– Obszukam trupy, a wy popchnijcie stół i ławy pod drzwi, żebyśmy mieli się za czym schować.

– Zrobi się – odparł Ługin i przewrócił ciężki stół na bok.

Czerski odszedł w głąb izby i pomacawszy podłogę, znalazł naganta Żurmińskiego. Na czworaka, żeby nie wystawiać się na strzał przez okno, podczołgał się do komórki. Człowiek zabity przez Ługina miał roztrzaskaną głowę i Czerski błogosławił brak światła, który nie pozwalał mu widzieć szczegółów. Zrewidował go, ale bolszewik nie miał przy sobie broni. Widocznie w momencie trafienia wypadła mu z dłoni i poleciała w głąb bunkra. Przy okazji wymacał papiery w wewnętrznej kieszeni marynarki i zabrał je odruchowo. Wbijano mu przecież w gło-

wę, że każde dokumenty zdobyte na szpiegu mogły się przydać. Pomacał dłońmi ziemię wokoło i zrezygnował, nie dało się nic znaleźć w ciemnościach. Wrócił do izby i po omacku zaczął szukać zapalek.

– Mam rewolwer od tego przy stole – powiedział i podał broń Ługinowi. – Wleżę jeszcze do kryjówki, może ten drugi coś ma.

– Niech pan porucznik pospiesza – mruknął Ługin ukryty za blatem stołu. – Chłopy przestali strzelać. Może coś kombinują.

– Tylko zapalki znajdę – odparł Czerski i zaczął obmacywać piec.

Piec, jak zwykle na wsiach, służył do wszystkiego: gotowania strawy, ogrzewania izby i spania. Z boku, w zbudowanym z gliny piecu, przy ścianie ulepiono szereg półek, które służyły do przechowywania sprzętów kuchennych. Czerski podniósł się, żeby sprawdzić, czy nie leżą tam zapalki, ale w tym momencie dobrze wycelowany strzał wpadł przez okno i ugrzązł w ścianie.

– Pan porucznik pospiesza – zawołał ponownie Ługin. – Tam za płotem ktoś wydaje rozkazy. Wygląda, jakby mieli tu dowódcę, jakby oficera.

– Niedobrze – zamruczał do siebie Czerski, myśląc, że przeciwnicy są lepiej zorganizowani, niż podejrzewał.

Nerwowo obmacywał ciepły ciągle piec, ale nie mógł znaleźć zapalek. Zaczął kląć w duchu, ale to też nie pomogło.

Jeśli nie ma ich na piecu, to może są na kredensie – pomyślał.

Przejechał ręką po blacie kredensu i stracił na podłogę kilka przedmiotów. W ciemności nerwowymi ruchami zaczął je sprawdzać, ręce mu dygotały, spieszył się i cokolwiek złapał, zaraz rzucał. Nagle zatrzymał się, przed chwilą miał w dłoni coś dużego, pudełko. Wrócił do sprawdzania raz odrzuconych przedmiotów i znalazł duże pudełko z grubymi, długimi zapalkami. Wyciągnął jedną i na kolanach wlażł do ziemianki. Trzasnęła draska i w świetle płomienia Czerski zobaczył małą, głęboko wykopaną dziurę z dwoma legowiskami. Odwrócił wzrok od trupa, mierzył go widok roztrzaskanej głowy, i przesunął zapalkę w lewo. Pod ścianą stała skrzynia. Czerski rzucił zapalkę, która zaczynała parzyć mu palce i zapalił następną. Szarpnął wieko i wewnątrz znalazł cały arsenał amunicji i dwa granaty. Granaty wsadził sobie do kieszeni i złapał pudełko z amunicją. W tym momencie usłyszał prawdziwą kanonadę. Ługin strzelał raz za razem, z obu rąk. Czerski wyczołgał się i podsunął w stronę prymitywnej barykady.

– Leżą! – krzyknął do niego Ługin. – Muszę załadować. Strzelaj pan.

– Mam coś lepszego – rzucił Czerski i wyjrzał na podwórze. Kilka cieni ruszało się przed chałupą. Ktoś strzelał i jednocześnie ktoś podbiegał kilka kroków. Kule karabinowe przebijały stół, który nie stanowił żadnej ochrony. Tylko ściany, zbudowane z całych pni drzew, zatrzymywały karabinowe kule.

Ługin przetoczył się za ścianę, zostawiając miejsce Czerskiemu przy samej futrynie. Czerski strzelił kilka razy z pistoletu, aż suchy szczęk oznajmił mu, że nie

ma czym dłużej strzelać. Chwilowo byli bez obrony, Ługin po ciemku ładował bębenek naganta, Czerski wystrzelał amunicję i cienie na podwórzu zbliżały się niebezpiecznie.

Nagle ktoś wsadził lufę przez rozbite okno i strzelił do wewnątrz. Ługina rzuciło o ścianę i znieruchomiał. Czerski nie miał czasu spojrzeć, co stało się z jego towarzyszem. Sięgnął po jedyną broń, jaką jeszcze dysponował – wyciągnął z kieszeni granat. Odbezpieczył po ciemku, ciesząc się w duchu, że to polski granat i odruchowo chwycił go, jak należało. Lewą ręką rzucił go blisko chałupy wzdłuż ściany, żeby pozbyć się napastnika przy oknie. Huk eksplozji zagłuszył wszystko, resztki szkła z okien sypnęły się na podłogę, ktoś na podwórzu zaczął nieludzko wyć.

Czerski przetoczył się w stronę Ługina i wyrwał mu z ręki rewolwer, zamknął bębenek, wystawił rękę przez drzwi i pociągnął za spust. Nic. Komora była pusta. Odciągnął kurek i znowu nic. Odciągnął ponownie i strzelił. Przetoczył się na środek barykady i z pozycji klęczącej oddał jeszcze dwa strzały. Potem znowu usłyszał tylko suche trzaśnięcie kurka. Pomacał wokoło, znalazł pudełko z amunicją, opróżnił bębenek z łusek i zaczął szybko ładować. Dawne szkolenie w kawalerii przyszło mu z pomocą, robił to tyle razy w równie niebezpiecznych sytuacjach, że każdy ruch był precyzyjny. Umieszczał ładunki w komorach, obracając jednym palcem bębenek, zawsze celnie, bez niepotrzebnej straty czasu na szukanie miejsca.

Szybkość i sprawność jego rąk nie mogła jednak odbyć się w dostatecznie krótkim czasie, gdyby napastnicy stale nacierali, ale wybuch granatu osłabił ich zapal do walki. Nadal strzelali z daleka, ale Czerski wychyliwszy na moment głowę zza ściany, nie widział skradających się cieni na podwórzu.

Odsunął się od otwartych drzwi i obmacał Ługina. Oddychał, ale wydawał się nieprzytomny. Na piersi miał łatwą do namacania mokrą plamę. Czerski zapalił zapalniczkę i zmartwił z rozpaczy. Ługin dostał postrzał w środek piersi, krwawił obficie i tylko lekarz w szpitalnych warunkach był w stanie mu pomóc. Czerski ściągnął prześcieradło i zabandażował mu pierś, ale wiedział, że co najwyżej przedłuży agonię. Potem rozejrzał się po ciemnej izbie i zrozumiał, czemu zginął Rosjanin, a nie on. Ługin siedział na podłodze, ładując naganta i na tle białej ściany stanowił ciemną plamę. Ktokolwiek podkradł się pod okno i wsadził karabin do izby, musiał go zauważyć. Czerski, ukryty za ciemnym blatem stołu, był pod ostrym kątem i słabiej widoczny. Zaklął w duchu, że nie pomyślał o tym, ale ostatecznie rozkład chałupy nie pozwalał na skuteczną obronę. Dwa okna i drzwi wejściowe wychodziły na tę samą stronę budynku. Z łatwością można było podejść pod ślepa ścianę, ale nie było sposobu, żeby stamtąd strzelić do obrońców.

Ale dostałeś, sukinsynu – pomyślał z wściekłą satysfakcją Czerski o człowieku, który zastrzelił Ługina. To ty wyjesz pod oknem, odłamki granatu ciebie sięgnęły i może kogoś tam jeszcze na podwórzu.

Zabrał Ługinowi drugiego naganta i załadował. Znaleziona amunicja pasowała do standardowego rewolweru nagant, który można było znaleźć po obu stronach granicy, ale nie do mausera Niemojewskiego. Wyjął i rzucił mały pistolet na podłogę.

I co dalej? – pomyślał z rezygnacją.

Przez chwilę patrzył na twarz Ługina, ale nie łudził się, za dobrze znał wojenne rzemiosło. Westchnął i zastanowił się nad sytuacją.

Jeśli zechcą, to mogą bezpiecznie podkraść się pod chałupę – pomyślał Czerski. Tylko po co? Próba ataku z bliska zakończyła się wyrzuceniem granatu i porażeniem odważnego, który to zrobił. No, mogą ostatecznie podpalić strzechę i wtedy mnie mają.

Czerski zastanowił się, czemu tego jeszcze nie zrobili. Może bali się, że ogień rozniesie się po osadzie i spali więcej zabudowań, a może gospodarz nie pozwalał na zniszczenie jego chudoby. Jak by nie było, chłopci w Storczowie byli o wiele za dobrze zorganizowani, a nawet przeszkoleni, żeby być zwykłymi chłopami. Ługin twierdził, że mieli dowódcę, co już wskazywało na wysoki stopień przygotowania. Czerski wiedział, że jeśli KOP nie przyjdzie mu z pomocą, szybką pomocą, to go wykończą.

Sprawdził, czy Ługin oddycha, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Umarł po założeniu mu opatrunku, a może z powodu tego opatrunku, Czerski nie wiedział. Bezwładne ciało Rosjanina leżało pod białą ścianą bez ruchu. Położył mu dłoń na twarzy i dwoma palcami opuścił powieki. W myślach zaczął się modlić za towarzysza przygód, który oddał życie za nie swoją sprawę.

Dlaczego on poszedł ze mną? – zastanowił się i nie znalazł odpowiedzi.

Czerski nie mógł pojąć, czemu Ługin wpakował się w sytuację bez wyjścia, żeby pomóc złapać Polaka-bolszewika. Co on na tym zyskał? Sam miał bolszewicką przeszłość, nic go nie zobowiązywało do pomagania Czerskiemu, więc czemu poszedł do Storczowa? Po odzyskaniu ukrytego w figurce skarbu nie potrzebował nikogo, żeby zacząć życie od nowa. Przynajmniej pieniędzy miał dosyć.

Czerski położył ciało Ługina na wznak i złożył mu ręce jak do modlitwy. Układając dłonie, poczuł zgrubienie na piersi. Skarb Ługina! Odruchowo sięgnął z szyi zabitego skórzany woreczek i ważył go na dłoni.

Odnalazł swój skarb i nie zostawił mnie, poszedł dalej. Po co? Czerski tego nie wiedział.

Na zewnątrz panowała cisza. Nie słyszał strzałów ani tupotu nóg, żadnych głosów ani krzyków. Kompletna cisza.

Czyżby wycofali się? – przebiegło mu przez myśl. Niemożliwe! Zatem coś przygotowują, niespodziankę dla mnie. Dla nas, przecież nie wiedzą, że Ługin nie żyje – luźne myśli przelatowały mu przez głowę.

Położył dłoń na twarzy zabitego i zacisnął powieki. Klęcząc, schylił się nad

ciałem Ługina, żeby go pożegnać. Pomyślał, że jako czekista Ługin z pewnością był ateistą, ale postanowił odmówić nad nim modlitwę.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział szeptem. – Wieczne odpoczywanie...

Odmawianie modlitwy za zmarłych przerwał mu chrzęst piasku na podwórzu. Chciał odwrócić się, ale nie zdążył. Zza okna padł strzał.

Hubków – czerwiec 1926

Anna Chylińska dojechała pociągiem do Hubkowa w dzień po przyjeździe Czerskiego. Na dworcu rozpytała się o koszary KOP-u i nie tracąc czasu na szukanie kogoś, kto mógłby ją podwieźć, wybrała się pieszo. Nie miała daleko, cała miejscina składała się z kilkunastu murowanych domów okalających rynek, ruin zamku na wzgórzu i niewielkich, porosyjskich koszar zajętych przez oddział polskiej kawalerii. Pomimo nieznacznego dystansu Anna zakurzyła swoje miejskie buciki i zasapała się, idąc po nierównej, ledwo ubitej drodze, która w wyobrazeniach lokalnych mieszkańców była główną ulicą Hubkowa.

Przed koszarami przekonała wartownika, prostego chłopaka z Wielkopolski, o konieczności widzenia się z oficerem i w krótkim czasie została zaprowadzona przed oblicze podoficera służbowego.

Rotmistrz Majewski zajęty sprawdzaniem zamówień dla szwadronu siedział w kancelarii i z determinacją czytał rachunki, z trudem odganiając ogarniającą go senność. Dawny oficer liniowy, który przed nieuniknioną emeryturą ze względu na wiek i doświadczenie dostał trudną nadgraniczną placówkę, z całej duszy nienawidził papierkowej roboty. Jednak Majewski był dostatecznie długo dowódcą samodzielnej jednostki, żeby wiedzieć, że osobiste sprawdzanie rachunków przez dowódcę doskonale wpływało na uczciwość wszystkich osób zaangażowanych w zakupy dla szwadronu. Zatem pomimo znudzenia i senności pracował rzetelnie i regularnie. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę.

– Panie rotmistrzu – zameldował służbowy – jakaś pani z Warszawy pilnie domaga się widzenia z oficerem dowodzącym.

– Z Warszawy? Dama? – z niedowierzaniem mruknął Majewski, podnosząc głowę znad biurka. – Puście. Wszystko jest lepsze od rachunków za siano.

Ostatnią uwagę wygłosił szeptem sam do siebie, gdyż nie można było okazywać znudzenia podwładnym, kiedy zajmował się sprawami gospodarczymi szwadronu. Kilkoma ruchami uporządkował bezładnie porozrzucane na stole papiery i odchylił się na oparcie krzesła. Objął zaciekawionym spojrzeniem wchodzącą do kancelarii młodą kobietę i natychmiast zdecydował, że rezygnacja ze sprawdzania rachunków na korzyść rozmowy z przyjezdną była słuszna.

– Rotmistrz Majewski – powiedział, wstając z krzesła i wskazując dłonią, gdzie mogła usiąść.

– Anna Chylińska – odpowiedziała i dygnęła ze staropanieńską gracją. –

Dziękuję, że pan rotmistrz mnie przyjął.

– Czym mogę służyć? – zapytał grzecznie. – Może herbatę?

– O! To by było wspaniałe – odparła Chylińska z ulgą. – Ja przyszedłam prosto z pociągu, po długiej podróży. Szklanka herbaty byłaby cudowna.

– Służbowy! – Majewski podniósł głos, wiedząc, że plutonowy podsłuchiwał za drzwiami. – Zagotujcie wodę na herbatę. Ja też się napiję.

– Dziękuję za uprzejmość, ale obawiam się, że trzeba pospieszać.

– A cóż takiego się zdarzyło? Pani przyjechała z Warszawy, to bardzo długa podróż. Zatem co panią sprowadza?

– Czy można zamknąć drzwi? Wolałabym, żeby nikt nie słyszał, co mam do powiedzenia.

– Oczywiście – Majewski wstał i zamknął uchylone drzwi do kancelarii. Żądanie i zdeterminowany wyraz, jaki zauważył na twarzy Chylińskiej, podniósł stopień jego zainteresowania sprawą.

– Panie rotmistrzu, chcę, żeby uratował pan polskiego oficera kontrwywiadu, który wyjechał na te tereny w poszukiwaniu bolszewickiego agenta.

– Czy pani pracuje w wywiadzie? – zapytał Majewski zdziwiony, że kobieta występuje w takiej roli.

– Powiedzmy, że pracuję w Sztapie Generalnym – odpowiedziała wymijająco Chylińska, która nie mogła powiedzieć prawdy, a nie chciała kłamać. – Ale jakie to ma znaczenie? Nie o mnie chodzi. Podporucznik Karol Czerski przedwczoraj wyjechał do Hubkowa, a dziś zapewne poszedł do Storczoza.

– O! – Majewski pod wrażeniem wiadomości odchylił się na oparcie krzesła.

– Widzę, że nazwa tej miejscowości nie jest panu rotmistrzowi obca – powiedziała Chylińska. – Właśnie. W sztabie też wiedzą o sprawach w Storczowie. Ale ciągle zbaczam z tematu. Podporucznik Czerski wyjechał z dawnym czekistą, niejakim Ługinem, który przeszedł na naszą stronę.

– Pozwoli pani, że przerwę – bardzo poważnie powiedział Majewski, którego historia zaczęła wydawać się dziwna. – Czemu ja nie dostałem oficjalnego zawiadomienia z II Oddziału? I czemu pani powierzono taką misję?

– Panie rotmistrzu, odpowiedź na pytanie jest bardzo prosta. Czy pan wie, co działo się w Warszawie w maju?

– Droga służbowa nie przestała istnieć – Majewski wzruszył ramionami.

– Owszem, tyle że trwa zamieszanie, a bolszewik, nawiasem mówiąc Polak nazwiskiem Bobiński, jest być może w Storczowie i już tej nocy może przejść do Sowdepii. Bobiński był wysoko postawionym szpiegiem i wyrządził Polsce wielkie szkody. Mówimy o kradzieży planów obrony Kresów. Pan rotmistrz zdaje sobie sprawę z wagi dokumentu. A! Nie powiedziałam jeszcze, że ten Bobiński postrzelił kapitana kontrwywiadu Niemojewskiego i dlatego ucieka. Problem polega na tym, że podporucznik Czerski wyjechał na operację bez rozkazu.

Brwi Majewskiego uniosły się ze zdziwienia. W umyśle zawodowego oficera żadna poważna akcja nie mogła odbyć się bez rozkazu.

– Zadał mi pan nieme pytanie: dlaczego bez rozkazu? Odpowiem, a kto miał wydać rozkaz? Szef wywiadu ma inne kłopoty. Ten bolszewik ucieka, stanowi mniejsze zło. Ale przecież nie można mu pozwolić ujść. No i jak sprawa wyszła na jaw, nieformalnie zostałam wysłana do pana rotmistrza.

Ostatnie zdanie było kłamstwem, ale kłamstwem trudnym do sprawdzenia i Anna liczyła, że Majewski podejmie działania, zanim cokolwiek zweryfikuje. Jeśli potem dowie się, że żadnego rozkazu nie było, to niech się dzieje wola nieba, byle tylko ruszył na pomoc Karolowi.

– Nasze patrole jeżdżą w tamte strony regularnie – powiedział Majewski, po czym dodał: – Szczególnie przez ostatnie dwa miesiące.

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że pana ułani patrolują granicę, ale tu chodzi o pośpiech. Cała rzecz rozegra się dziś w nocy, o ile nie poprzedniej nocy.

– Miałem wysłać patrol dopiero jutro.

– O ile w sztabie obliczono to poprawnie, to podporucznik Czerski dojdzie do Storczoza dzisiaj. Walki w Warszawie spowodowały, że nic nie idzie właściwym trybem. W tej sytuacji, jak pan sam rozumie, podporucznik Czerski postanowił bez rozkazu dokończyć prowadzone śledztwo i wyjechał do Storczoza. On jest w dużym niebezpieczeństwie. W Warszawie strzelał się z czekistami, a oni mu tego nie podarują.

– W Storczowie jest rzeczywiście w niebezpieczeństwie – mruknął do siebie Majewski.

Rotmistrz uważnie przyglądał się przez moment Annie, a potem wstał i otworzył drzwi na korytarz.

– Służbowy! Wołać mi podporucznika Krzyszewskiego! – krzyknął. – I gdzie do cholery jest ta herbata?!

Anna odniosła sukces. Ale był to sukces połowiczny, bo rotmistrz Majewski nie zgodził się, żeby towarzyszyła wojsku. Żadne argumenty, że jest pracownikiem wywiadu, umie jeździć konno i w ogóle da sobie radę, nie pomogły. Anna spróbowała na osobności przekonać podporucznika Krzyszewskiego, żeby zabrał ją na patrol, mówiąc, że Czerski jest jej narzeczonym. Jedynym skutkiem natarczywości Anny był werbalny rozkaz Majewskiego dla prowadzącego patrol podporucznika Krzyszewskiego, żeby nie zabierał jej ze sobą. Drugą porażką Anny był wymarsz plutonu ułanów. Wyobrażała sobie, że cała placówka pojedzie na pomoc, ale Majewski wysłał patrol w sile plutonu i krótko uciął wszelkie dyskusje.

Wczesnym popołudniem kolumna kawalerii wyjechała na drogę prowadzącą na wschód. Anna odprowadzała ułanów zazdrosnym wzrokiem, ale nic więcej nie mogła zrobić. Majewski, spodziewając się kłopotów z Anną, przydzielił jej wachmistrza z rozkazem odprowadzenia na kwaterę do aptekarza.

Apteka mieściła się w obszernym, murowanym domu na rynku w Hubkowie i czasem spełniała rolę hotelu, kiedy do szwadronu przyjeżdżali goście. Aptekarz żył samotnie i mając nadmiar pokoi, chętnie wyświadczał przysługę wojsku, nie zawsze pobierając opłatę za nocleg. Anna, niezadowolona, że rotmistrz zabronił jej jechać z wojskiem, w pierwszej chwili ofuknęła starszawego aptekarza. Wdowiec, człowiek bardzo uczciwy i szanowany w okolicy, nudził się śmiertelnie na prowincji. Wizyta młodej i inteligentnej kobiety, z polecenia dowódcy szwadronu, była wspaniałą okazją do wieczornej konwersacji. Przy kolacji Chylińska naprowadziła rozmowę na temat kontaktów z zaświatami i aptekarz bez długiego namawiania zgodził się na seans spirytystyczny, w którym Anna miała wywołać ducha jego zmarłej żony. Chylińska pomyślała, że z jej pomocą duch przekona aptekarza, żeby użyzył jej bryczki na wycieczkę do Storczoza. Nie miała zamiaru czekać bezczynnie w wygodnym domu. Nie po to odbyła wyczerpującą podróż do granicy, żeby teraz siedzieć z założonymi rękami.

Storczów – czerwiec 1926

Żuromilski, uciekając z chałupy, dopadł płotu i nadział się na lufę karabinu. Za sztachetami siedziało na ziemi kilku ludzi i strzelało w okna.

– Kto wy? – warknął basowy głos.

– Poszoł k czortu – odparł Żuromilski zdenerwowany ucieczką i strzelaniną, w której omal nie stracił życia.

– Eto wy, towarzyszcz – odparł inny głos. – Idi siuda.

Żuromilski przelazł przez płot i uścisnął dłoń komisarza, który rządził wsią. Przez chwilę dyszał ciężko, zanim się uspokoił.

– Co tu się dzieje? – zapytał komisarza.

– Nie znam. Strzelali, to przyszlim. Wy tam byliście, to gadajcie.

– Sorokin nie żyje. Ubili go w schowku. Bobińskiego wzięli żywcem, ale kto, nie wiem.

– Bobiński zlikwidowany – powiedział głos z boku.

– Wy kto? – spytał Żuromilski.

– Wot eto moja chałupa, ja gospodarz. Sukinsyny napadli.

– Czemu ubity?

– Taki był rozkaz.

– Kto oni, nie wiadomo. Wziąć ich nie można, strzelają.

– Podpalić chałupę, to wyleżą – zawyrokował Żuromilski.

– Nie dam – warknął gospodarz i podsunął urzyna pod nos Żuromilskiego. – Moja chudoba, nie pozwolę!

– Zły pomysł – poparł go komisarz. – Ze strzelaniny się wymigamy, powiemy, że bandyci, a trupy nie gadają. Ja chcę ich żywych, przynajmniej jednego, bo jeśli to Polaki, to skąd wiedzieli, że tej nocy agenci będą w tej właśnie chałupie?

Trzeba wziąć plennych i przesłuchać.

– Przesłuchać?! – krzyknął mu w twarz Żuromilski. – Toż oni za jednym zamachem zlikwidowali całą operację wywiadu w Polsce i ubili naszego agenta.

– Były pisemne rozkazy, żeby agenta zlikwidować, co by się w polskie ręce nie dostał – powiedział gospodarz.

– Cholera z Bobińskim, ale moja operacja jest zaprzepaszczona – odparł Żuromilski.

– Przycisnę ich do podłogi, a potem każę podejść i strzelać przez okna – powiedział komisarz. – Może być raniony, byle żyw.

– Dobrze. To każcie strzelcom wleźć na stodołę i pukać w okna – zgodził się Żuromilski. – Niech kilku podkradnie się cichcem pod okno. Z bliska łatwiej. Niech tylko wszystkich nie ubiją. A potem niech zaraz biegną brać plennych.

– Wydam rozkazy – mruknął komisarz i odszedł w ciemność.

Pierwsza próba podejścia pod chałupę zakończyła się jednak porażką. Obrońcy wyrzucili granat i poranili strzelca. Eksplozja dała bolszewikom do myślenia, bo wskazywała na dobre uzbrojenie ludzi w chałupie. Pod ogniem rannego wywlekli inni strzelcy, ale jeńców nie wzięto i chęć dalszego atakowania wyraźnie zmaląła. Wtedy Żuromilski, który uważał, że ma lepsze przeszkolenie, uznał, że osobiście zajmie się wzięciem napastników.

Kilkanaście minut później Żuromilski podczołgał się pod ścianę chałupy. Za nim posuwał się jeden ze strzelców ze wsi. Pokonanie kilku metrów podwórza zajęło im dużo czasu, bo posuwali się wolno, unikając robienia najmniejszego hałasu i trzymając głowy blisko ziemi. Nad nimi przelatywały wycelowane w okna kule. Żuromilski bardziej bał się ognia swoich niż strzałów z chałupy i kiedy podsunął się pod ścianę, zamachał uniesionym w górę karabinem. Chwilę później strzały ucichły.

Żuromilski leżał pod ścianą i słuchał. Z wnętrza nie dochodziły go żadne odgłosy i nie mógł zlokalizować obrońców. W końcu usłyszał szept, wtedy zdecydował się, wstał, wsadził karabin przez okno i strzelił w pierwszy ciemny kształt na tle jasnej ściany izby. Natychmiast padł na ziemię.

Kula wpadła przez okno i uderzyła w ścianę o kilka centymetrów nad głową Czerskiego. Gdyby nie pochylił się nad zmarłym, byłoby już po wszystkim. Czerski rozpląszczył się na podłodze i wycelował rewolwer w okno, ale nic nie widział. Usłyszał za to odgłos repetowania karabinu i tupot wielu nóg. Poturlał się pod okno, czując, jak na czoło występuje mu zimny pot, pierwsza oznaka strachu przed śmiercią. Drugi strzał znowu precyzyjnie wpadł przez okno, po chwili następny trafił w drugie. Pociski szły z góry i uderzały w deski podłogi albo w ściany tuż nad podłogą. Strzelcy musieli znajdować się wysoko – to była ich niespodzianka. Celność strzałów i wybór pozycji, z której mogli razić cel na podłodze chaty, wskazy-

wały na przemysłane działanie.

Planowość ataku – pomyślał Czerski – ktoś wydający rozkazy, celność ognia, sposób atakowania, to wszystko mówi mi, że we wsi osadzono dawnych żołnierzy. Zresztą czemu nie. To bardzo dobry pomysł, jest zabezpieczenie własnych działań przez granicę i możliwość obrony. Bolszewicy myślą z wyprzedzeniem, zapewne zostawili tych ludzi jako tutejszych chłopów podczas odwrotu jesienią 1920.

Tupot kroków zbliżał się z zatrważającą szybkością. Czerski podsunął się pod drzwi wejściowe i szybko wystrzelał cały bębenek rewolweru w ciemność. Siedem celowanych strzałów do ruchomych, lecz widocznych celów. Tym razem napastnicy nie mieli szczęścia, gdyż księżyc wyszedł zza chmur i Czerski widział ich biegnących przez podwórze. Nie wiedział, ilu trafił, wszystko rozegrało się tak szybko, ale strzelał nisko i był pewien, że przynajmniej raz trafił. Napastnicy cofnęli się ponownie, ale nie przestali strzelać w okna i drzwi.

Boicie się podpalić – pomyślał z mściwością. To zrobię to sam, tyle że zabiorę was ze sobą.

W jego głowie powoli krystalizował się plan zemsty. Spali całą osadę i sam zginie, ale zabije kilku z nich. Najpierw przeciągnął ciało Bobińskiego i oparł o ścianę. Wsadził woreczek ze skarbem Ługina do kieszeni i wyjął granat, sięgnął po lampę naftową pod ścianą i rozlał łatwopalną ciecz po podłodze. Był gotowy. Spali wieś, zabije, kogo mu się uda, i zastrzeli się. Musi tylko poczekać, aż wejdą do chałupy. Wycofał się rakiem do ziemianki, będzie się jeszcze bronił, nie odejdzie bez walki. Zapłaca za Ługina, Niemojewskiego i poległych w Żychcinie.

Złe myśli opanowały go zupełnie. Pogodził się ze śmiercią, byle tylko zabić, zabić jak największą liczbę wrogów. Nagle nieprzyjaciel stał się dla Czerskiego wrogiem. Nieprzyjaciela można pokonać i wziąć do niewoli, wroga się zabija. Dokonanie zemsty za cenę własnego życia stało się jego celem, a wkrótce obsesją. Nie myślał już o ucieczce, nie widział takiej możliwości, pożył tylko zemsty.

Siedząc ukryty w ziemiance, ścisnął załadowany rewolwer i starał się oczyścić mózg z wszelkich myśli. Otarł pot z czoła, zaklął potwornie i wycelował w ciemność.

Nagle wróciła mu pamięć szkolenia w INO, kiedy bolszewicy chcieli zrobić z niego swojego agenta w Polsce. Dopóki żyjesz, masz szansę coś jeszcze zrobić. Dopóki jesteś sprawny, możesz uciec, walczyć, ukryć się. Te frazesy raz po raz wbijano mu do głowy. Nigdy ich nie zapomniał.

Pod wpływem wspomnienia poderwał się na nogi i odszedł pod przeciwległą ścianę ziemianki. Wcześniej nie zwrócił uwagi, jak zbudowana była kryjówka. Teraz obmacał ją, ściana była zasłonięta kocem. Zerwał gruby wełniany materiał i dotknął wilgotnej ziemi. Sięgnął ręką w górę i poczuł belkowanie.

Dziura w ziemi nakryta deskami – pomyślał gorączkowo. Może jak przebiję strop, to wydostanę się na powierzchnię. Po tej stronie domu nie będzie wielu,

może nawet nikogo, bo nie ma tu wyjścia. To byłaby szansa na ucieczkę, na życie, na powrót do Anny.

Zapałił zapalną i przyjrzał się sklepieniu. Zwykle deski, nieheblowane, ale deski, a nie pnie, czyli warstwa ziemi nie może być za gruba, bo deski nie wytrzymałyby nacisku. Gdyby znalazł siekierę, ale nie przypominał sobie, żeby w izbie leżały narzędzia. Wyczołgał się z ziemianki i zaczął znowu wyrzucać szuflady z kredensu. Pierwsza poleciała z brzękiem na podłogę, rozsypując wokoło kuchenne utensylia. W ciemności namacał nóż, wielki chłopski nóż służący zapewne do szlachtowania świń. To musiało mu wystarczyć. Zszedł i przy świetle zapalniczki znalazł w rogu szczelinę w deskach. To była jego szansa na ucieczkę. Ostrzem noża, który był wielkości połowy szabli kawaleryjskiej i pewnie złamana broń posłużyła wiejskiemu kowalowi za materiał, zaczął wyrąbywać otwór. Kilka centymetrów drewna dało się wyciąć i Czernski poczuł, że nie da rady. Z podwórza dochodziły go głosy. Ktoś do niego wołał.

– Polaki, zdawajties. Wsio budiet choroszo. Budietie żyw. Zdawajties.

– Pocałuj mnie w dupę! – odpowiedział głośno na wołanie, wiedząc, że jego głos nie doleci.

Wiercił, powiększając dziurę, która nabrała wielkości pięści. Wtedy wsadził w nią rękę z nożem i poczuł, że ostrze wyszło na powierzchnię. Był blisko, ale otwór w deskach pozwalał jedynie na włożenie ręki, człowiek się nie przecisnie. Zaczął rąbać z wściekłością, ale widząc powolny postęp, zmienił taktykę. Wsadził nóż między deski i spróbował podważyć jedną z nich. Gdyby to się udało, to dalej byłoby łatwiej, bo deski układane obok siebie dałyby się rozsunąć. Czernski wiedział, że nie ma już siły, walka w chałupie i długa podróż pochłonęły jego energię, ale spróbował. W niewygodnej pozycji, trzymając ręce wyciągnięte do góry, nacisnął całą siłą na utworzoną z noża dźwignię i klinga pękła u nasady. Czernski z niedowierzaniem trzymał rękojeść w dłoni i myślał, że się rozplacze, w końcu zrezygnowany rzucił ułomek w kąt i usiadł. Ukrył twarz w dłoniach.

Nadzieja umiera ostatnia – pomyślał. Nadzieja jest najgorszą torturą, kiedy się przekonujesz, że znika. Nadziei już nie ma.

Z podwórza padło kilka strzałów i dobiegł go tupot nóg.

Idą – przeleciało mu przez głowę, ścisnął w ręku rewolwer i granat. Nie odda życia darmo. Granat!

Poderwał się znowu na nogi i macając w ciemności, wetknął granat w dziurę w deskach sklepienia. Wysadzi w powietrze całą ziemiankę i może wyjdzie. Wyjrzał do izby. Pociski regularnie wpadały przez okna i drzwi. Niech tam, znowu miał plan ucieczki. Zaryzykuje.

Ile czasu to trwa? – pomyślał. Czyżby nie było patroli KOP-u w okolicy, a może czerwonoarmiści przeszli przez granicę, przegonili KOP i pomagają w szturmie?

Czerski pracował na wyczucie, wcisnął granat w szczelinę i sprawdził, czy nie wysunie się, jeśli pociągnie się za zawleczkę. Potem uderzył podłużny pas materiału z prześcieradła, którym wcześniej opatrywał Ługina, i przywiązał do pierścienia zawleczeni. Postanowił sprawdzić, czy wszystko działało, ale nie było mu to dane. Napastnicy podeszli pod samą chałupę i strzelili do wnętrza. Czerski ukryty w ziemiance był bezpieczny, ale nie mógł zdetonować granatu. Wybuch w zamkniętym pomieszczeniu z pewnością by go zabił. Nie mógł też wyjść z kryjówki, bo przez okno strzelał jeden z atakujących go ludzi. Przestał myśleć o nich jako o chłopach, byli na to za sprawni, strzelali za dobrze, nacierali jak przeszkolona piechota – to byli żołnierze.

W bladej poświacie księżycy widział otwór okienny jako jaśniejszy kwadrat na tle pobielanej, lecz nieoświetlonej ściany. Widział lufę karabinu, jak poruszała się tuż za oknem, strzelec szukał w ciemnościach celu i zastanawiał się, czy wszyscy obrońcy są już zlikwidowani. Musiał o tym myśleć, bo podszedł tak blisko i nikt do niego nie strzelił. Nagle lufa drgnęła – bolszewik strzelił do ułożonego pod ścianą trupa Bobińskiego. Bobiński obsunął się i przewrócił na podłogę.

– Urra! Ubit! Dawajcie siuda! – krzyknął do swoich i przesunął się, żeby zajrzeć do wnętrza.

Czerski zobaczył ciemniejszą plamę na tle kwadratu okna i strzelił. Ręce mu drżały ze zdenerwowania i nie trafił, ale człowiek pod oknem wrzasnął i odskoczył w głąb podwórza.

Tego też mnie nauczyli bolszewicy – pomyślał Czerski. To nie są warunki polowe, to walka w zabudowaniach. Nigdy nie stawaj na tle otworu na dłużej niż sekundę.

Był zbyt wyczerpany, żeby się cieszyć z małego zwycięstwa. Na moment mógł bezpiecznie wydostać się z ziemianki i odpalić granat. W lewej dłoni ścisnął stale koniec urwanego prześcieradła i zaczął działać natychmiast. Poczłogał się po podłodze izby z zamiarem schowania się w kąt za ławę. Nie myśląc o tym, wysunął lewą rękę do przodu i poczuł niewielki opór na trzymanej w dłoni taśmie, który natychmiast zelżał. Momentalnie zrozumiał, co się stało – bezmyślnie pociągnął za taśmę i zawleczka wysunęła się z zapalnika. Czerskiego opanowała panika, miał tylko kilka sekund, uciekał na czworaka do kąta, kiedy eksplodował granat. Do chałupy wpadł huragan, ogień, dym, odłamki i kawałki drewna. Rozlana na podłodze nafta błysnęła żółtym płomieniem. Po izbie rozleciały się jakieś przedmioty i z hałasem odbiły się od ścian. Fala ciśnienia wydostała się z budynku przez wybite okna i otwarte drzwi i nappełniła kurzem podwórze. Bolszewicy zaskoczeni wybuchem przestali strzelać.

Czerskim cisnęło o ścianę. W głowie zahuczały mu dzwony, a w ustach poczuł gorzki smak piachu pomieszanego z kurzem. Wiedział, że ma mało czasu na reakcję, ale nie mógł się ruszyć. Podmucha eksplozji sparaliżował go, odebrał mu

resztkę energii i odurzył do tego stopnia, że leżał bez ruchu. Chciał wstać, ale nie mógł, na plecach poczuł ciepło, a w głowie kołowrót. Nic nie słyszał, nic oprócz dzwonienia, mrugał powiekami, żeby pozbyć się piasku z oczu, pluł i pocierał twarz brudnymi dłońmi.

Wiedział, że musi wstać, uciekać, robić coś, bo za chwilę podejną bolszewicy sprawdzić, co stało się w chałupie. Jeśli nie oni, to pożar go wykończy. Ogień! To przywróciło mu instynkt samozachowawczy. Bardziej bał się spalenia żywcem niż bolszewickiej kuli. W końcu podniósł się i zataczając się, podszedł do wejścia do ziemianki. Wciąż otumaniony wskoczył do wewnątrz i ugrzązł w miękkiej ziemi, połowa stropu zawaliła się, częściowo zasypując ziemiankę, ale przez dziurę zobaczył gwiazdy. Światło płomieni w izbie pomogło mu przedostać się pod otwór. Sięgnął ręką, żeby odsunąć deskę z drogi i poczuł ból. Obmacał zdrową ręką plecy i znalazł sterczący z nich kawałek drewna. W pierwszej chwili chciał go wyszarpanąć, ale zatrzymał się. Wyciągnięcie drzazgi musiało zwiększyć krwawienie.

Pod dziurą w stropie leżał dobrze teraz widoczny wał ziemi. Wszedł na niego i natychmiast zapadł się po kolana. Przez chwilę podnosił i stawiał nogi, jakby chciał znaleźć oparcie, ale świeżo poruszona wybuchem ziemia zapadała się pod nim. Nie, tak nie wyjdzie, dziura była za wysoko. Rozejrzał się po kłębówisku połamanych desek, ziemi i posłań, cofnął się i złapał kawałek urwanej belki. Położył go na miękkiej ziemi i jak po pochylni podszedł do otworu. Wystawił głowę na zewnątrz. Cisza. Nikogo. Podniósł się i wylazł przez strop na trawę. Sięgnął po rewolwer, ale nie miał do kogo strzelać.

Czerski odetchnął świeżym, pachnącym mokrą trawą powietrzem, tym kresowym powietrzem, które prawie go odurzyło po przyjeździe do Hubkowa. Przeszło mu przez myśl, że wydostał się z chałupy, która jednocześnie była jego twierdzą i pułapką. Zaczął się czołgać w stronę płotu. Księżyc oświetlał mu drogę przez mały warzywniak. Pełznąąc po miękkich grządkach, rozchyłał łodygi kopru i pomidorów, myśląc tylko o ucieczce ze Storczoza. Nie miał siły, żeby przeskoczyć zrobiony z badyli płot, więc uderzył w niego ciałem i przewrócił sekcję. Podniósł się i zaczął biec w ciemność. Wtedy gwizdnęła mu nad głową kula i usłyszał okrzyki. Widać mieszkańcy Storczoza zauważyli ruch i rozpoczęli pościg. Przebiegł drogę i wypadł na pole, ale rzędy ziemniaków nie stanowiły dobrej kryjówki. Z oddali dobiegły go odgłosy jakby biegnących ludzi. Tupot narastał, zbyt głośny, żeby to byli tylko ludzie.

Może zwierzęta gospodarskie uciekają przed pożarem – przemknęło mu przez myśl.

Kula bzyknęła nieprzyjemnie blisko i Czerski poczuł palenie w skroni. Nie bacząc na nic, skupił się, żeby stawiać równo nogi i nie przewrócić się. Wtedy usłyszał trąbkę. Rozpoznał dźwięk natychmiast, to kawaleria szła do szarży. Ułani? Biegł nadal, nie bacząc na ból w plecach i docierające do niego hałasy. Pole skoń-

czyło się rowem odwadniającym, Czerski zamierzał przeskoczyć przeszkodę, ale nie miał siły. But ześliznął się po mokrej trawie, skręcił i ugrzązł w błocie. Czerski padł twarzą na trawę, spróbował się podnieść, ale stopę przeniknął ból. Skręcił nogę. Westchnął i poddał się. Mięśnie rozluźniły się, powieki opadły, świadomość odpłynęła w nicość.

Rozdział XIII

Kresy – czerwiec 1926

Najpierw było światło, a długą chwilę później dźwięk. Jednocześnie pojawił się ból, otępiający i zniewalający ból. Czernski zdał sobie sprawę, że jest więziony, poruszył się i jęknął pod wpływem nagłego napływu rwącego bólu, który promieniował z głowy w dół przez całe ciało. Usłyszał jakiś głos i stracił przytomność.

Kiedy wrócił do siebie, leżał nieruchomo, bojąc się poruszyć. Nic to nie pomogło. Więziony na wozie po kresowych bezdrożach podskakiwał na wybojach, a każdy ruch wywoływał uczucie dźgania tęym nożem. Przytomność wróciła i nie chciała odpłynąć, żeby pograć go w odrętwieniu. Zaciśnął zęby, żeby nie jęczeć. Powoli, w miarę rozjaśniania się umysłu, zaczął sprawdzać, co się z nim dzieje. Stwierdził, że leży na brzuchu na wozie, który posuwa się po wybojach. Kto go wiozł i dokąd, nie wiedział. Następnie zdał sobie sprawę, że nie jest związany, czyli wiozł go ktoś przyjazny albo był już w Bolszewii i nie miał dokąd uciekać. Głowa ściśnięta czymś piekła nieznośnie, a przy każdym drgnieniu promieniowała bólem. Lewa ręka była bezwładna, nie czuł nawet palców, a stopa zdawała się ściśnięta niczym w imadle.

Otworzył oczy i wszystko, co zobaczył, to szare źdźbła siana, które raz rozmazywały się, a raz wracały do ostrości widzenia. Czuł suchość w przelyku i szalone zmęczenie. Cierpiał i nie rozumiał niczego. Chciał przeanalizować sytuację, ale jego umysł nie był zdolny do pracy. Całe ciało podskoczyło na kolejnej dziurze w trakcie i w oczach zobaczył błyski, które spływały stopniowo na tył głowy.

Godzinę później wóz zatrzymał się i Czernski usłyszał słowa komendy – polskiej komendy do zsiadania z koni. Pojął nagle, że jest w dobrych rękach i uszło z niego napięcie. Zaszurały kroki i ktoś stanął obok wozu.

– Jesteśmy w Żychcinie – powiedział nieznanemu mu głos. – Odpocznijemy tu z godzinkę i pojedziemy dalej do Hubkowa. Niech pan porucznik wytrzyma jeszcze trochę. W miasteczku przy strażnicy mamy lekarza, zajmie się panem.

– Dziękuję – wychrypiał. – Dajcie wody.

– Stachurski! – wykrzyknął głos. – Kubek wody ze studni. Ale biegiem.

Szeregowiec przyniósł wodę rzeczywiście w ekspresowym tempie i Czernski mógł ugasić męczące go pragnienie. Miał trudności z utrzymaniem kubka, gdyż leżał na zdrowym prawym boku, a jego lewa ręka była całkowicie niewładna. Oficer podtrzymał mu głowę i napoił, po czym zsalutował i powiedział:

– Nie przedstawiłem się, spieszę nadrobić tę zaległość. Podporucznik Krzyszewski Zygmunt, 12 szwadron kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza. Przyznaję, że jest z pana pistolet. Samemu wejść do wsi, która stanowi sowiecki kanał prze-

rzutowy do Polski, i aresztować sowieckiego szpiona to całkiem niezły wyczyn.

– Nie byłem sam – odpowiedział Czerski, woda widać pomogła mu odzyskać normalny głos.

– W każdym razie miał pan szczęście – ciągnął oficer. – A gdyby nie pana narzeczona, to pewno byłoby już po panu, poruczniku.

– Narzeczona? – Czerski zdziwił się. – Jaka narzeczona?

– Pana narzeczona – Krzyszewski, uśmiechnął się, biorąc pytanie za oszołomienie wywołane przez rany albo rozstrój nerwowy. – Panna Anna Chylińska, która w bardzo przekonujący sposób opowiedziała rotmistrzowi o pana pościgu za szpiegiem. Domyśla się, że...

– Gdzie ona jest? – Czerski poderwał się z legowiska i nie zważając na ból, zaczął kręcić głową na wszystkie strony, wypatrując Anny.

– Proszę się nie obawiać, poruczniku Czerski – odpowiedział oficer. – Pańska narzeczona została w Hubkowie, przecież nie mogłem zabrać jej na patrol nad granicę.

– To dobrze, to dobrze – z ulgą odpowiedział Czerski i odetchnął głęboko. – Mam do pana prośbę.

– Słucham.

– Ile osób zna moje prawdziwe nazwisko?

– Dowódca szwadronu, ja i wachmistrz – odparł z pewnym zdziwieniem Krzyszewski. – A o co chodzi?

– Panie poruczniku, chodzi o tajemnicę potrzebną do dalszego prowadzenia akcji antybolszewickiej – Czerski blefował, ale bardzo mu zależało na utrzymaniu incognito. – Porucznik Czerski poległ w Storczowie, a ja nazywam się Karol Bałaban, podoficer ułanów w stanie spoczynku na misji kontrwywiadu w Storczowie. Czy może pan rozpuścić taką wiadomość między swoimi ludźmi? I pana też proszę o dyskrecję.

– Ależ to jest kłamstwo – Krzyszewski wyprostował się z wyrazem zadziwienia na twarzy.

– Kłamstwo, które jest potrzebne – przekonywał Czerski. – W robocie wywiadowczej czasem trzeba zmieniać osobowość. Czerski zginął, pluton KOP-u uratował Bałabana. Gdyby ktoś rozpytywał o Czerskiego, może pan być pewien, że to bolszewicki agent.

– Kłamstw mówić nie będę, to nie uchodzi, mogę milczeć.

– To wystarczy w zupełności. Z pana dowódcą porozmawiam osobiście, jak mnie już łapiduch z krankenkamery puści.

Podporucznik Krzyszewski uśmiechnął się na dźwięk gwary żołnierskiej i kiwnął głową. Rozbawiły go te słowa, które normalnie zwalczał w plutonie, każąc żołnierzom mówić poprawnie po polsku. Opierał to na prostej obserwacji, że większość z jego podkomendnych pochodziła z Wielkopolski i Śląska, zatem mówiła ję-

zykiem z dużymi naleciałościami niemczyzny. Krzyszewski uznał, że ma szansę na poprawienie jakości języka u szeregowców i wobec tego zabraniał używania powszechnych w tamtym regionie słów pochodzących z niemieckiego.

– Kto mnie tak ładnie poobwijał? – spytał Czerski, dotykając bandażu na głowie. Chciał zmienić temat, żeby honorowy oficer nie zaczął mówić o regulaminie i zakazie kłamstwa.

– Wachmistrz, panie poruczniku – odparł Krzyszewski. – Zna się na tym. Ma pan kawał drewna pod łopatką, krechę na głowie i nogę skręconą w kostce. Całkiem niezłe. Nic poważnego, ale trzy rany są. Pewno będzie odznaczenie. A dostał pan szpiega?

– Ja nie, ale bolszewicki agent jest zlikwidowany. Na jedno wychodzi. Medalu to nie będzie i nikt się o niczym nie dowie. Taka służba w wywiadzie.

– Myślałem, że należy się za rany.

– Ba, żeby to na polu, w boju, to tak, ale akcje wywiadu są tajne. Proszę podziękować wachmistrzowi za posklejanie mnie. Chciałem jeszcze...

Czerski nie dokończył zdania.

– Karol! – wykrzyknęła Anna, wyskakując z bryczki, która właśnie zajechała na podwórze gospodarstwa. – Karol! Boże drogi! Żyjesz!

Anna biegiem dopadła wozu i chwyciła Czerskiego w ramiona. Czerski jęknął, kiedy ścisnęła mu głowę i zaczęła zasypywać pocałunkami. Anna odskoczyła równie szybko, jak dopadła wozu. Zobaczyła bandaż i sterzący przez materiał kawałek drewna.

– Jesteś ranny! – krzyknęła i spojrzała z wyrzutem na Krzyszewskiego.

– Nic poważnego – Czerski spróbował uśmiechnąć się.

– Spóźniliście się – powiedziała z wyrzutem, patrząc na Krzyszewskiego.

– Patrol porucznika Krzyszewskiego uratował mi życie – powiedział dobitnie Czerski.

– Pojechaliliśmy na odgłos strzałów tak szybko, jak było można – tłumaczył Krzyszewski. – Nocny marsz jest trudny. Nie można było szybciej.

– Też coś – fuknęła rozdrażniona Anna i zwróciła swoją uwagę na Czerskiego. – Boli ciebie?

– Skąd tu się wzięłaś? – spytał Czerski, który nie mógł przejść do porządku dziennego nad pojawieniem się Anny na Kresach. – Miałas czekać w Dąbrówce.

– Czekać, też coś. Pojechałam następnego dnia za wami i widzisz, że to była rozsądna decyzja. Gdyby nie ja, to porucznik nie zjawiłby się na czas w Storczo-wie. Miał iść na patrol dopiero następnego dnia, ale przekabaciłam cały KOP i poszli na pomoc.

Krzyszewski zrobił minę, jakby połknął cytrynę. Czerski mógł się tylko domyślać, jakich argumentów użyła Anna, żeby przekonać dowódcę strażnicy do wcześniejszego wysłania patrolu.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle – pomyślał Czerski i uśmiechnął się szeroko.

– No dobrze, do Hubkowa dochodzi kolej, to rozumiem, ale jak dostałaś się do Żychcina? – indagował Czerski, któremu wydawało się, że Anna omija pewne fragmenty ostatnich wydarzeń.

– Och, to już było łatwiejsze – odparła z pewną dumą Anna. – Wprawdzie w nocy nikt nie chciał mnie wieźć w kierunku bolszewickiej granicy, ale rankiem zmusiłam miejscowego aptekarza, żeby zaprzągnął swoją bryczkę, i oto jestem.

Czerski zrobił okrągłe oczy, a Krzyszewski złapał się za głowę. Obaj nie wiedzieli, czy podziwiać energię panny Chylińskiej, czy dać jej burę za nieostrożność.

– A panna wie, że bandy bolszewickie zapuszczają się nawet i pod Hubków – powiedział całkiem poważnie Krzyszewski. – Podróżowanie po tych terenach jest niebezpieczne.

– I na co pan porucznik czeka w Żychcinie! – powiedziała niecierpliwie Anna, jakby ostatnie słowa nie były skierowane do niej. – Jego trzeba zawieźć do doktora, przecież cierpi. Widzę, że cierpi.

Krzyszewski wzruszył ramionami i wycofał się, żeby dać komendę do wsiaania. Wolał odsunąć się od kobiety, która zaczynała wydawać mu rozkazy.

– Karolku, kochany, żyjesz i to jest najważniejsze. – Anna zwróciła swoją uwagę na Czerskiego. Dotknęła czołem jego czoła i patrzyła mu w oczy z wyrazem pełnego współczucia. – Pojedziemy zaraz do doktora, opatrzą cię jak należy, a potem do Warszawy.

– Słyszałem, że zostaliśmy narzeczeństwem – mruknął Czerski, opadając na siano.

Anna nie odpowiedziała, uśmiechnęła się chytrze i zalotnie przygryzła dolną wargę.

Warszawa – sierpień 1926

Kapitan Józef Niemojewski wciąż jeszcze nie poruszał się z szybkością i gracją z czasów przed majem, zanim odniósł ranę, ale się starał. Starał się odzyskać zdrowie, codziennie rano robił gimnastykę i regularnie, bez narzekania, poddawał się kontrolom lekarskim w Szpitalu Świętego Ducha. Wrócił do pracy w sztabie na początku sierpnia, po dłuższej rekonwalescencji w Ciechocinku, gdzie wśród kuracjuszy poznał kobietę, która zrobiła na nim tak duże wrażenie, że kontynuował znajomość po powrocie z kuracji do Warszawy. Panna Jadwiga Dzieżgoń wprawdzie mieszkała z ojcem w Gdańsku, ale od czego była poczta. Miał pewne zamiary na przyszłość, ale na razie bał się o tym myśleć. Otarcie się o śmierć wpłynęło na sposób myślenia Niemojewskiego, który z zatwardziałego kawalera postanowił przedzierzgnąć się w ojca rodziny.

Tego wieczoru, zmęczony i przepracowany, uznał, że wróci do siebie i położy się wcześniej spać. Wciąż jeszcze był osłabiony, a praca w duchocie sztabowego pokoiku wyczerpała go. Lato w mieście było trudniejsze do zniesienia niż zima, a po miesięcznym oddychaniu czystym powietrzem kurortu wydawało mu się, że latem Warszawa zwyczajnie śmierdzi.

Pchnął drzwi mieszkania i swoim zwyczajem zaczął rozpinąć pas główny, kiedy jego uwagę zwróciła woń tureckiego tytoniu. Zatrzymał się i zaskoczony popatrzył na przymknięte drzwi.

Czyżby? – pomyślał. Niemożliwe, żeby Czerski wrócił. Była wiadomość, że zginął. Zatem?

Szybko wyciągnął pistolet z kabury, zgasił światło w przedpokoju i nogą lekko popchnął przeszkłone drzwi do pokoju. Ukryty za ścianą na ślepo pomacał włącznik i przekręcił. W elektrycznym świetle zobaczył, że w jego fotelu siedział ubrany po cywilnemu mężczyzna, zupełnie siwy, w grubych okularach i do tego z nonszalancko założoną nogą na nogę.

– Może nie strzelaj do mnie – powiedział Czerski z wyczuwalnym rozbawieniem w głosie. – Dość już mam robienia za cel dla bolszewickich kul, chociaż ty mi tego zaoszczędź. Chodź, Józus, i rozgość się, w końcu to twoje mieszkanie.

Niemojewski oniemiał, ręka z pistoletem mu opadła i stanął w drzwiach.

– Czerski? – zdołał wydukać. – Podobno zginąłeś w Storczowie na Kresach. Przyszły meldunki o potyczce we wsi i napisali, że zginąłeś.

– Wiadomość o śmierci byłego porucznika Wojska Polskiego Karola Czerskiego jest potwierdzona. Zwłoki spłonęły w chacie kresowych bolszewików. Nazywam się Karol Bałaban. Przynajmniej teraz.

– Karol! – krzyknął Niemojewski, który nagle pojął szaradę. Otworzył ramiona i uściśnął go, jak przystało na powitanie wracającego z zaświatów przyjaciela. Objęli się. Niemojewski wciąż z pistoletem w dłoni, Czerski z tureckim papierosem niedbale trzymanym między palcami.

– Więc żyjesz!

– Jakoś się udało. Mam tylko krechę na głowie i bliznę na plecach. Tak na pamiątkę.

– Coś podobnego. Przyznaję, że nosiłem po tobie żalobę w sercu. Taka niespodzianka, kto by pomyślał. Wracasz z za grobu, ale czemu, czemu nie dałeś mi znać?

– Trochę byłem pokiereszowany i potrwało z miesiąc, zanim wydobrałem na tyle, żebym mógł podróżować.

– Czyli byłeś ranny.

– Drobne, lecz nieprzyjemne kontuzje. Już wyleczone w zupełności.

– Ależ się cieszę. Nie masz pojęcia.

– Miałem taką cichą nadzieję, że się ucieszysz, ale nikomu ani słowa. Po-

rucznik Czerski nie żyje. To jedyny sposób, żeby bolszewicy zostawili mnie w spokoju.

– Oczywiście. Rozumiem intencje. Niemniej zaryzykowałeś, przychodząc tutaj. Jestem ci ogromnie wdzięczny. Ciągłe o tobie myślałem.

– Musiałem do ciebie przyjść, nie mogło być inaczej.

– No, to opowiadaj, jak poszła wyprawa do Storczoza. Oficjalne komunikaty zawierają kilka linijek i nie znam szczegółów! Wprost umieram z ciekawości.

– Najważniejsze, Bobiński został zlikwidowany i jest to bardzo zajmująca historia. Ale od początku.

Kiedy Czerski skończył mówić, przez minutę trwała cisza. Niemojewski siedział i patrzył na przyjaciela wzrokiem pełnym podziwu i zdumienia.

– Sam, znaczy się tylko z Ługinem, wlałeś w gniazdo bolszewików, żeby dostać tego Bobińskiego – powiedział w końcu Niemojewski. – To było duże ryzyko.

– Owszem, ryzyko było duże – odparł Czerski. – Były momenty, kiedy się wahałem, czy nie cofnąć się, ale Ługin mnie zdopingował. Nie mogłem zostawić człowieka, który postrzelił mojego jedynego przyjaciela.

– To za dużo, za dużo ryzyka, żeby zabić jednego agenta.

– Ługin był bardziej odważny niż ja, ale poległ. Nawet pogrzebu nie będzie miał, spłonął.

– Tak. A jak myślisz, czemu on z tobą poszedł. Mógł cię zostawić i wyjechać.

– Myślę, że czuł dług wdzięczności za wyciągnięcie go z bolszewickich łap w Rembertowie. Drugi raz wyprowadziłem go z aresztu garnizonowego już podczas walk majowych. Chciał pomóc, spłacić dług wdzięczności w jedyny sposób, w jaki mógł to zrobić. Albo może chciał udowodnić, że jest po naszej stronie, że nie jest już bolszewikiem, że zerwał z nimi. A może miał jeszcze inne motywacje. Nigdy się nie dowiemy. W każdym razie okazał się najlepszym przyjacielem, jakiego mogłem mieć przy sobie. Oczywiście, oprócz ciebie.

– Dziękuję za komplement, płaski komplement, ale jednak. Dług wdzięczności powiadasz? Może i tak. Obawiam się, że nigdy go w pełni nie zrozumiemy. Frukuje mnie natomiast, czemu bolszewicy zastrzelili Bobińskiego, a nie ciebie albo Ługina. To już przekracza moją zdolność pojmovania. To był ich najlepszy człowiek w Polsce, wysoko postawiony szpieg, miał ogromne zasługi. Co ja mówię ogromne, omalże nie doprowadził do upadku państwa, tyle namieszał.

– Po pierwsze dziękuję ci, że uważasz mnie za cel godny bolszewickich kul – Czerski czuł, że sarkazm w tych okolicznościach jest usprawiedliwiony. – Akurat na to pytanie znam dokładną odpowiedź, i to z najlepszego źródła.

– No, to opowiadaj, nie mogę się doczekać – Niemojewski, oczekując sensacji, prawie podskoczył.

– W czasie zawieruchy w Storczowie obszukałem trupa bolszewika – zaczął wyjaśnienia Czerski. – Znalazłem przy nim papiery. W zasadzie nie wiem, czemu je zabrałem, chyba z przyzwyczajenia, że każdy papier znaleziony przy wrogu może okazać się ważnym dokumentem. Rewidowałem go w poszukiwaniu broni, amunicja mi wyszła. W tamtym momencie myślałem tylko o tym, żeby drogo sprzedać życie, nie rachowałem, że przeżyję.

– Sam ci o tym mówiłem, żebyś zawsze zbierał dokumenty, Grudziński powtarza, żeby przyprowadzać mu żywych szpiegów. To też jest źródło informacji.

– Nie mój drogi, twoje uwagi nie zaznaczyły się w mojej pamięci – Czerski uśmiechnął się złośliwie. – Szkołę szpiegowania wbijano mi do głowy, i to dosłownie, pod Moskwą. INO robi to znacznie lepiej niż polska defensywa. Mówiąc prawdę, a jest w tym jakaś perwersja, to bolszewickie przeszkolenie uratowało mi życie. To oni nauczyli mnie, że dopóki oddycham, mogę wciąż walczyć o życie. I proszę, sprawdziło się.

– Widać mocno wbili ci zasady działań agenturalnych do głowy – Niemojewski potrząsnął głową w osłupieniu.

– Niestety, Ruskie są lepsze od was – Czerski roześmiał się, widząc markotną minę przyjaciela. – Mają mniej skrupułów. Wracam do rzeczy. W papierach było polecenie Wojkowa, żeby Bobińskiego zlikwidować, gdyby istniała szansa, że dostanie się w nasze ręce. W tej sytuacji gospodarz, któremu Ługin rozbił głowę, ale widać niedostatecznie, poszedł po ukrytą w stodole broń i zastrzelił Bobińskiego. To było ważniejsze niż strzelanie do nas. Bobiński mógł się wygadać. W sumie Bobiński był typowym psychopata, okrutnym dla słabych, ale tchórzliwym w niebezpieczeństwie. Jak on wytrzymał tyle czasu na eksponowanej placówce, tego nigdy się nie dowiemy.

– Sam powiedziałeś, że sowieckie przeszkolenie góruje nad naszym.

– Przy okazji tej całej zawieruchy zmieniłem zdanie o kapitanie Grudzińskim. To niesłychanie dobry fachowiec, a przy tym tak cwany, że sam nigdy bym nie wymyślił tego, co on potrafi wykombinować w mgnieniu oka.

– O tak. To jest wybitny fachowiec. Został na swoim stanowisku, pomimo że w maju stał po stronie rządu.

– Czy wiecie już, gdzie działał Bobiński *vel* Krasnostawski?

– On był sekretarzem w kancelarii prezydenta. Wszystkie papiery przechodziły przez jego ręce. Niewiarygodne, ale nie potrzeba być wysoko postawioną osobistością, żeby mieć dostęp do najgłębszych tajemnic państwowych. Ciągłe zbieramy informacje o jego działalności – powiedział Niemojewski, zdając sobie sprawę z porażki kontrwywiadu. – Odsunęli mnie od śledztwa, że nie będę bezstronny, ale trzymam rękę na pulsie. Ten facet mógł kosztować nas wojnę domową!

– I prawie mu się udało – Czerski kiwnął głową. – Tyle że ja postanowiłem

zmienić stronę i przyszedłem do ciebie, no i zaczęliśmy wspólne śledztwo.

– Jak to ci się udało? Znaczący... dlaczego zmieniłeś stronę, mówiłeś, że ciebie złamali.

– A to już moja słodka tajemnica.

– Ale coś spowodowało, że zaraz po przyjeździe do Warszawy przyszedłeś do mnie z opowieścią o szpiegu na wysokim stanowisku.

– Owszem w drodze do Polski miałem czas myśleć i doszedłem do wniosku, że jeśli mnie pilnują na terenie Sowdepia, to znaczy, że mi nie wierzą. Od tego był już tylko jeden krok, żeby zrozumieć, że w Polsce będą wierzyć mi jeszcze mniej, a po wykonaniu zadania porzucą albo zlikwidują. Praca z tobą dała mi szansę na przeżycie. Pamiętasz, w szpitalu mówiłem ci, że jest rzecz ważniejsza od służby – ocaleć. Przynajmniej wtedy możesz rozegrać następną bitwę, nawet jeśli poprzednią przegrałeś.

– Znam ich metody działania – zastanowił się Niemojewski. – Rzeczywiście mogli ciebie zlikwidować, żeby zatrzeć ślady.

– Właśnie.

– Jak masz plany? Chyba musisz wyjechać. Zniknąć.

– Tak myślę, muszę zniknąć. Postaraj się, żebym pozostał martwy. Kto wie, kogo oni mają jeszcze w naszym sztabie, wywiadzie, kontrwywiadzie i czort wie gdzie.

– Ja nikomu nie wspomnę o tobie – zapewnił Niemojewski. – Więcej, dam na mszę za ciebie i zaproszę ludzi z Wydziału. Im więcej, tym lepiej.

– Zrób tak.

– Kiedy jedziesz? Nie będę pytał dokąd, nie chcę wiedzieć.

– Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia i znikam. Po dzisiejszym wieczorze już się nie zobaczymy.

– Szkoda.

– Taka to praca w kontrwywiadzie.

– Co masz jeszcze tutaj do załatwienia?

– Chcę zasiać ziarenko, może kiedyś wzejdzie. Co by nie było, nie daj się wziąć bolszewikom, a gdybyś wpadł w tarapaty, daj znać.

– Jak mam to zrobić, skoro nie wiem, dokąd jedziesz.

– Od tego jesteś w defensywie, Józus. Masz przecież swoje sposoby.

Warszawa – sierpień 1926

Czerski pchnął drzwi do knajpy i natychmiast znalazł się w dobrze sobie znanej atmosferze. Grajek ulokowany na tyle pomieszczenia wyciskał piskliwe dźwięki z harmonii, ferajna siedziała nad ubogo zastawionymi stołami, ktoś tańczył na małym kawałku wolnej przestrzeni, a w gardło gryzł odór taniego tytoniu, spoconych ciał i rozlanego piwa. Nikt nie podniósł głowy, żeby spojrzeć na wchodzącego. Robotnicy i prostytutki, cwaniacy i złodziejaszki, lumpenproletariat Czernia-

kowa, który stanowił codzienne grono gości, nie interesowali się, kto dołącza do gromady. Wśród biesiadników przeważali młodzi mężczyźni ubrani w całkiem niepasujące do siebie elementy zużytej, lecz barwnej garderoby. Bliższa lustracja wierzchniego okrycia pozwalała na określenie wykonywanego zawodu: malarz miał na ubraniu plamy farby, murarz wytarte kolana w spodniach, a złodziej albo stręczyciel nosił jaskrawą i przybrudzoną marynarkę. Pomimo późnego lata większość mężczyzn miała na szyi kolorowe szaliki, a na głowach czapki różnego rodzaju. Taki był ich strój niezależnie od pory roku czy okazji, bo po prostu innego nie mieli.

Czerski precyzyjnie się do kontuaru, za którym królowała wielka postać Anatola, i uśmiechając się niewinnie, postukał palcem w blat. Właściciel obdarzył go ponurym spojrzeniem rzuconym spode łba i nic nie mówiąc, nalał mu szklaneczkę taniej, czystej wódki. Po ich poprzednim spotkaniu dokładnie zapamiętał sobie twarz Czerskiego i chciał mieć z nim jak najmniej wspólnego. Jednak po chwili twarz Anatola pojaśniała. Czerski zdziwił się i uważnie idąc za wzrokiem knajpiarza, uświadomił sobie, że tamten patrzył na czubek jego głowy.

Widać zauważył świeżą bliznę po kuli – przemknęło przez myśl Czerskiemu. I to dało mu poczucie satysfakcji, że jednak ktoś mnie dopadł. Mają mnie tutaj za niezgorszego kosiora.

– Dajcie no jeszcze ze dwa ogórki i jajko na twardo – powiedział Czerski swobodnym tonem i rzucił na ladę banknot.

– Jak pan porucznik życzy – mruknął Anatol, sięgając drewnianymi szczypcami do słoja, w którym pływały kwaszone ogórki.

To też pamięta – pomyślał Czerski. Ciekawe, czy uważa mnie za policjanta, czy za zdegenerowanego oficera wyrzuconego z armii, a może myśli, że to złodziejska ksywa.

Czerski oparł się o kontuar i wypił wódkę, postawił szklaneczkę i kiwnął ręką, żeby Anatol nalał mu ponownie. Zagryzł ogórkiem i westchnął, myśląc, jak bardzo mu brakowało właśnie tego niewymyślnego smaku. Sięgnął ręką na spodek z solą i posypał nią jajko.

– A gdzie Tamara? – zapytał z pełnymi ustami.

– Wyjechała – odparł Anatol, uważnie przyglądając się oficerowi.

– Kiedy?

– Będzie z miesiąc temu.

Czerski pokiwał głową, jego przeczucia sprawdziły się i w sumie był zadowolony z uzyskanej odpowiedzi. Oparł się plecami o bar i potoczył wzrokiem po sali. Rozpoznał wiele znajomych z wcześniejszych wizyt twarzy, ale szukał tylko jednej. Zajęło mu długą chwilę, zanim dostrzegł siedzącego w kącie samotnego studenta. Chudy, rozczochrany, robił wrażenie zaniedbanego i zdesperowanego człowieka. Czerski, zadowolony, że spotkał go w trakcie pierwszej wizyty, zabrał wód-

kę i pozostałego ogórka i pewnym krokiem przeciął knajpę. Nic nie mówiąc, usiadł naprzeciw młodzieńca i postawił przed nim szklaneczkę.

– Łyknij sobie – powiedział zachęcająco.

– Wy kto? – podejrzliwie zapytał student, spoglądając ze zdziwieniem na Czerskiego.

– Przyjaciel Tamary – odparł Czerski. – Z dawnych czasów, jeszcze z Rosji. Nazywam się Bałujski, Jasza Bałujski. Ona tu swego czasu bywała, a gdzie teraz?

– Borys Kowerda – przedstawił się machinalnie student. – Nie wiem, gdzie jest. Wyjechała.

– Czemu? Żle jej tu było?

– Klient ją pobił i potem zniknęła – powiedział student, nie kryjąc smutku, potem wypił wódkę jednym haustem, otrząsnął się jak pies po deszczu i odstawił szklaneczkę. – Wyjechała, czort jeden wie gdzie, bez słowa pożegnania.

– Kto ją pobił?

– Jakiś skurwiel, ale kto, powiedziec nie chciała – widać było, że Borys Sofronowicz Kowerda ciężko przeżywał stratę. – Leczyła się potem cały miesiąc.

Czerski kiwnął głową i mimo że spodziewał się takiej informacji, zrobiło mu się żal Rosjanki – padła ofiarą wydarzeń, których nie ogarniała i na które nie miała żadnego wpływu. Pocieszyło go jednak, że uciekła, bo z doświadczenia w spotkaniach z bolszewikami wiedział, że mogło być gorzej.

– Cała była posiniaczona – dodał niepytany Kowerda. – I ząb straciła. Oko miała całe czarne. Wargi opuchnięte. Straszne.

– I nie wiesz, kto to zrobił?

– Nie wiem – student zacisnął leżące na stole pięści. – Gdybym wiedział to, to...

Czerski domyślił się reszty. Rozgoryczenie i wściekłość przebijały z głosu Kowerdy tak wyraźnie, że nie potrzeba było słów. Nie tylko pobito kobietę, w której był zakochany, ale co gorsze stracił ją na zawsze.

– Obawiałem się takiego obrotu sprawy – mruknął Czerski. – Bałem się o nią, byłem kolegą jej męża jeszcze w Rosji, znaliśmy się całkiem dobrze.

– O tak? – obojętnie skwitował to wynurzenie student.

– Po ucieczce do Polski nikt z nas nie miał z czego żyć – zaczął opowiadanie Czerski. – Nie mogłem jej pomóc, bo jak. Sam chodzę na robotę i ot po łbie dostałem. A mówiłem jej, żeby się tego czerwonego grzdyla nie trzymała, bo nic dobrego z tego nie będzie. Posłałem do niej kumpla, żeby jej przetłumaczył, ostrzegł, ale on dzwonił i nic z tego nie wyszło. Sam z nią nie rozmawiałem i ot teraz czuję się jak dupa na szczudłach.

– Ostrzegł przed czym? – zainteresował się Kowerda.

– No, przed zadawaniem się z tym bolszewikiem.

– Z jakim bolszewikiem! – młody człowiek podskoczył cały i podniósł głos.

– Z tym, do którego co tydzień jeździła dorożką.

– Ona do bolszewika? – młodzieniec z niedowierzaniem popatrzył na Czerskiego. – Nienawidziła ich. Nie, z bolszewikiem to ona by nigdy.

– Nie wiem – odparł Czerski. – Może jej coś obiecywał. Szukała przecież swego męża oficera. Pewno trzymali go w Czerezwyczajce. Pewno obiecał Tamarze, że go odszuka. To bardzo ważny bolszewik.

Kowerda popatrzył smutno na Czerskiego i z oka popłynęła mu jedna łza. Nie stał jej, nie usiłował ukryć, nie wstydził się. Było mu wszystko jedno.

– I co oni z nas zrobili? – mruknął zrezygnowany.

– Ano, co z nas zrobili – powiedział Czerski, wpadając w ponury ton Kowerdy i jednocześnie uważnie przyglądając się studentowi. – Bolszewiki odebrali nam wszystko, a na koniec zabrali honor.

– Jak on się nazywa? – spytał Kowerda.

– Nie wiem. Ludzie mówili różnie, a Tamara sama nigdy nie chciała nic powiedzieć. Jedno jest pewne, to główny bolszewik w Polsce. Sam najważniejszy. Ktoś mi kiedyś wspomniał, że dyplomata, co to sam do niej nie przychodził, tylko kazał ją sobie przywozić.

Dłonie Kowerdy ponownie zacisnęły się w pięści, twarz mu poczerwieniała i oczy pobiegły do drzwi, jakby właśnie teraz bolszewicy wchodzili do knajpy. Tłumiona wściekłość zdawała się rozsadzać mu głowę na samą myśl o takim ponizeniu.

– To nazwiska nie znacie? – spytał ponownie dla pewności.

– Nic pewnego nie wiem – odparł Czerski. – W ferajnie mówili, że mógł być sam poseł sowiecki w Warszawie – Wojkow, ale ja nie jestem pewien.

– I co, nic nie zrobicie? – głos Kowerdy zasyczał pogardą. – Wy, przyjaciel jej męża, nic nie zrobicie po tym, jak bolszewik najpierw zerznął Tamarę, a potem ją pobił. Męża pewno wcześniej jeszcze zamordował.

– A co ja mogę zrobić? – mruknął Czerski. – Przy ostatniej robocie po łbie dostałem i blacharnia mnie szuka. Muszę wyjechać. Dwa miesiące lizałem rany ukryte w komórce. Ot co.

– Ja go skurwiela... na kawałki rozerwę.

– Spokojnie, nie można, to dyplomata. U niego ludzie, obstawa z czekistów i polskich policjantów. Nie ma jak. Sam przepadniesz, ubiją. A jak nie oni, to policyjskie zamkną do mamra.

– Co mi tam – Kowerda robił wrażenie desperata, który nagle znalazł sens życia, czy raczej śmierci. – Mnie wszystko jedno.

– Co byście nie zrobili, zawsze lepiej przedstawić to jako sprawę polityczną. Wyrok krótszy – podsunął mu Czerski. – Trzeba myśleć o sobie.

– Ubić bolszewika to zawsze jest sprawa polityczna – Kowerda załapał w jednej chwili, o co chodzi. – Nie podaruję. Straszna zbrodnia, rznął Tamarę, a jak

mu się znudziła, to ją pobił do nieprzytomności, oszpecił i wygnał z Warszawy. Co za bydle! Do czego bolszewicy nas sprowadzili?

– Taki widać nasz los – mruknął Czerski.

Dwie godziny później, po wypiciu kilku jeszcze kolejek wódki, Czerski wyszedł z knajpy „U Anatola”. Idąc Topiel, myślał z zadowoleniem o swojej ostatniej nocy w Warszawie. Nie miał po co zostawać dłużej w stolicy, załatwił wszystko, co tylko mógł.

Miałem zasiać ziarenko – pomyślał cynicznie, a posadziłem drzewko. Duży i mocny dąb, który wyda owoce już bez mojej pomocy.

Epilog

Monte Carlo – czerwiec 1927

Karl Bauman, od pół roku mieszkaniec Monte Carlo, jeszcze raz spojrzął na swoje odbicie w lustrze, przeciągnął dłonią po świeżo ogolonej twarzy. Usatysfakcjonowany idealną gładkością skóry, wytrząsnął nieco wody kolońskiej na dłonie i obiema rękami roztarł ją na policzkach. Lubił uczucie lekkiego szczypania, jakie ze sobą niosła, orzeźwiało i mówiło mu, że poranna toaleta została ukończona. Zaciśnął pasek szlafroka i pogwizdując dawny rosyjski szlagier, poszedł do jadalni. Poranek bez kawy i słodkich bułeczek od Otmanna byłby stracony. Wprawdzie przed chwilą w łazience skonstatował, że utył, ale niech się dzieje, co chce, chrupiące bułeczki stanowiły nieodzowny element rozpoczęcia dnia. Usiadł na krześle i podniósł leżącą na stole gazetę. Poranna kawa wymagała, żeby uzupełnić ją lekturą najświeższych wiadomości ze świata.

- Kawę, kochanie? – usłyszał z kuchni.
- O tak, kawę – odparł. – Właśnie tego potrzebuję.
- Już niosę.
- Jesteś nieoceniona, Aniu.

Anna postawiła przed nim tacę z filiżanką kawy, dzbaneczkiem śmietanki i talerzykiem z dwoma rumianymi bułeczkami. Ucałowała go w czubek głowy, za co Bauman zrewanżował się ucałowaniem jej dłoni. Bauman przygotował kawę i wypił pierwszy mały łyżek. Zawsze, każdego ranka, sprawiało mu to ogromną przyjemność, porównywalną tylko do porannego pocałunku Anny. Ten pierwszy łyk dnia był jak pierwszy dzień wiosny: aromatyczny i pobudzający – wspaniały. Pobieźnie przeczytał nagłówki na pierwszej stronie i nie znajdując nic szczególnie ciekawego, odłożył gazetę. Jedno spojrzenie w okno powiedziało mu, że dzień zapowiadał się ciepły i słoneczny, jak to w czerwcu nad Morzem Śródziemnym. Westchnął z uczuciem silnie odczuwanego szczęścia, którego mało zaznał w młodości. Przygody i liczne niepowodzenia nauczyły go doceniać każdą chwilę spokoju. Odwrócił się na krześle i spojrzął na Annę krzątającą się w kuchni, ucałował ją wzrokiem i wrócił do czytania. Na trzeciej stronie drukowano wiadomości ze świata, które każdego ranka stanowiły dla niego najciekawszą część lektury. Przelatywał wzrokiem nagłówki, robił to szybko i mało uważnie, chcąc znaleźć coś wartego zainteresowania. W połowie strony jego uwagę przyciągnęła telegraficzna wiadomość z Polski.

„W Warszawie zamordowano posła legacji Sowieckiej Piotra Wojkowa.

Dnia 7 czerwca 1927 roku poseł sowiecki w Polsce, Piotr Wojkow, odprowadzał na pociąg do Moskwy sowieckiego dyplomatę Arkadija Rozenholca, wracają-

cego do Moskwy po wydaleniu z Wielkiej Brytanii. Wojkow i Rozenholc zjedli razem kolację w bufecie Dworca Głównego w Warszawie i szli peronem w stronę wagonu sypialnego, kiedy podszedł do nich student gimnazjum rosyjskiego w Wilnie, Borys Kowierda, i oddał sześć strzałów. Poseł Wojkow sięgnął po pistolet i trzykrotnie strzelił do Kowierdy, lecz chybił. Kowierda trafił pośła Wojkowa dwukrotnie, a do Rozenholca nie strzelał. Po zamachu Kowierda spokojnie oddał się w ręce policji. Odprowadzony do budynku dworca powiedział: «To za Rosję», a chwilę później dodał: «Zemściłem się za Rosję, za miliony ludzi». Policjant Dąbrowski, który pilnował Kowierdy na dworcu, miał odpowiedzieć: «Szkoda, że nie Trockiego». Borys Kowierda został aresztowany i odstawiony do więzienia na Pawiaku. Poseł Wojkow zmarł godzinę po przewiezieniu do szpitala”.

Bauman upuścił gazetę na stół i zamknął oczy. Wiadomość z Warszawy wywarła na nim ogromne wrażenie, poczuł gwałtowne uderzenie krwi do głowy. Nagle zrobiło mu się gorąco i pot wystąpił mu dużymi kroplami na czole, tak że zaczął się obawiać omdlenia. Odetchnął głęboko i użył złożonej gazety jak wachlarza. Po dłuższej chwili poczuł się lepiej i otworzył oczy, żeby zobaczyć Annę przyglądającą się mu z widoczną troską. W czasie, kiedy walczył z narastającym ciśnieniem, Anna usiadła na swoim zwykłym miejscu, naprzeciw, i zauważyła zmianę w jego zachowaniu.

– Czy źle się poczułeś? – zapytała z niepokojem.

– To takie przejściowe, poranne osłabienie. Nic ważnego – odparł, siląc się na uśmiech.

– Za dużo pracujesz i za mało wypoczywasz – ton głosu Anny wskazywał, że błyskawicznie zmieniła nastawienie z troski na wyrzuty. – Czy musisz codziennie siedzieć w kasynie do pierwszej rano?

– Aniu, kochanie moje, przecież nie mogę wyjść, zanim nie zamkną drzwi.

– Masz podwładnych, mogą się zająć, wyręczyć. W końcu to ty jesteś szefem ochrony. Nie jesteś już młody i miałeś przejścia.

– Odlóżmy tą dyskusję – Bauman rozłożył ręce w geście kapitulacji. – Czy chciałabyś pójść na spacer wzdłuż morza po bulwarze Ludwika II. W taki dzień, jak dzisiaj...

– Zmieniasz temat, a ja tylko boję się o twoje zdrowie – przerwała mu Anna urażona, że jej opiekuńczość została w ten sposób zlekceważona.

– A ja o twoje, za bardzo się martwisz, kochanie – uśmiechnął się do niej. – Nawet nad ranem jesteś pełnią kobiety.

– O! Chcesz mi udowodnić, że jednak ze zdrowiem w porządku, a przejścia zapomniałeś? – nieco kpiącym głosem odpowiedziała Anna. – Pójdę do kuchni po dzbanek z kawą. Dolewka?

– Ależ oczywiście.

I taką kobietę okłamuję – pomyślał Bauman zły na samego siebie. To chyba

większy grzech niż podsunięcie Borysowi Kowerdzie, kto pobił jego ukochaną. Zabójstwo. W sumie nie spodziewałem się, że do tego dojdzie. Chciałem zasiać ziarenko gorczycy, a wyrósł dąb, i teraz wracają echa dawnych działań. Co bym nie myślał, pomściłem nie tylko postrzelenie Niemojewskiego, ale także śmierć nieszczęsnego Ługina i zapewne tysiące bezimiennych Rosjan, nie mówiąc już o carskiej rodzinie. Nie będę miał wyrzutów sumienia z powodu śmierci Wojkova i spać będę dobrze. Żał mi tylko Ługina, okazał się najwierniejszym towarzyszem broni. Dzięki jego skarbowi mogliśmy zacząć dostatnie życie zagranicą. Niech się dzieje, co chce, nie mogę powiedzieć Annie, ani skąd są pieniądze, ani czemu wiadomość w gazecie dotknęła mnie aż tak głęboko. Ona nigdy nie widziała ich zbrodni i może nie rozumieć dlaczego. Muszę dowiedzieć się, kto będzie bronił Kowerdy i posłać pieniądze na adwokatów. Przynajmniej tyle jestem mu winien.

Anna patrzyła uważnie na swojego męża i w duchu uśmiechnęła się. Kilka dni temu podczas seansu spirytystycznego dowiedziała się od ducha poległego francuskiego oficera, że jej przygody dopiero się rozpoczną. Nie mogła o tym powiedzieć mężowi, przecież ktoś taki jak Karol nie wierzył w łączność z zaświatami, ale ona wiedziała lepiej – do niej przemawiały duchy z tamtej strony.

Bauman chwycił zawieszoną na łańcuszku małą złotą pięciorublowkę z dziurą na boku. Znalazł przestrzeloną monetę w woreczku ze skarbami Ługina i uznał, że zachowa na pamiątkę i memento. Pamiątkę po wiernym do ostatka, odważnym towarzysz przygód i memento, że skarb, nawet złoty, nie ratuje życia, kiedy w powietrzu latają kule. Jeszcze w Warszawie kazał przewiercić monetę, założyć łańcuszek i od tego czasu nosił ją na szyi. Nie dawno pomyślał, że robi się miękki, romantyczny, ale teraz przekonał się, że warto było. Kiedy w Hubkowie wytrząsnął ją na dłoń na wizerunku cara Mikołaja II zobaczył dwie maleńkie kropelki krwi. Krwi Ługina.

